

Paweł Jasionica

Słowiański rodowód

SPIS RZECZY

Wprowadzenie	3
Przeszłość złożona warstwami	4
Czoło ziem polskich	34
Zatarte ślady księcia Wiślan	105
Wały nad Szprotawą	150
Mare Barbarum	190
W Wiślicy	223
Prawda legend	253
Starożytności bułgarskie	271

WPROWADZENIE

Było to wkrótce po Wielkanocy 1416 roku. U przebywającego w Wielkopolsce Władysława Jagielly zjawił się poseł Ernesta I Żelaznego, księcia Austrii, Styrii, Karyntii i Krainy, nie tyle dyplomata, co zaufany dworzanin, obarczony dość osobliwą misją.

Władysław II i Ernest znali się dobrze, byli nawet spowinowaceni, gdyż cztery lata wcześniej wiedeńczyk ożenił się w Krakowie z siostrzenicą królewską, najstarszą z pięciu urodziwych córek Ziemowita IV z Płocka. Nosiła ona nie spotykane od tamtych czasów imię Cymbarki, odznaczała się niebywałą siłą fizyczną i przekazała swą piastowsko-litewską krew aż dziewięciu małym Habsburgom płci obojej, z których pierworodny miał zasiąść na tronie cesarskim jako Fryderyk III.

Wysłannik zastał dwór polski w żałobie. Niedługo przedtem zmarła bowiem w Krakowie królowa Anna Gillejska, wnuczka Kazimierza Wielkiego, i Jagiello odmienił ulubione żółte szaty na czarne. Przyjął przybysza uprzejmie i prośbę jego potraktował nader poważnie.

Ernest Żelazny kazał swemu dworzaninowi przekonać się „osobiście i naocznie, czyli prawdą było, że w królestwie polskim rodzą się w pewnym miejscu same przez się i bez żadnej ludzkiej pracy rozliczne i różnego kształtu garnki”. Zdumiewające wieści o tym szerzył ostatnio w Wiedniu rycerz polski, niejaki Jan Warszawski, ale książę uważał to za „powieść niepodobną do prawdy”.

Niemłody i stroskany Jagiello nie pożałował fatygi. Zabrał Austriaka na pola wsi Nochowo, położonej pomiędzy Śremem a Kościanem, i w jego obecności polecił w wielu miejscach jednocześnie... kopać. Wszędzie znaleziono „mnóstwo garnków rozmaitej formy i objętości, ręką samej przyrody dziwnie i misternie jakby przez garncarza urobionych...” Dworzanin mógł je do woli podziwiać, a na zakończenie król dal mu kilkanaście okazów i kazał zawieźć Ernestowi do Wiednia.

O ile mi wiadomo, był to pierwszy wypadek poszukiwań archeologicznych w Polsce.

PRZESZŁOŚĆ ZŁOŻONA WARSTWAMI

I

- Bąków panicznie się boi. Jak tylko usłyszy takiego, zaraz lejc pod ogon i dopiero w bok! Nerwowa taka.

Woźnica - profesor doktor Zdzisław Adam Rajewski, dyrektor Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie, uczony mąż o sarmackim temperamentem, krotochwilnym animuszu i głosie Ajasa Telamońskiego - śmignął batem, usiłując trafić w powietrze dokuczliwego owada, i skierował w prawo. Zgrabna kobyłka lekko wzięła przydrożny rów. Dwukółka zaczęła się kołysać po nierównościach ugoru.

U stóp wzgórza, pod słupkiem, profesor zatrzymuje konia i wysiada.

- Musieli utracić... - narzeka i po gospodarsku podnosi z ziemi drewnianą tabliczkę z napisem: „Teren zabytkowy, pobieranie piasku wzbronione.” - Zabierzemy ze sobą. Po południu przyślę kogoś z młotkiem i gwoździem.

Na szczycie wzniesienia silny podmuch łagodzi nieznośny ciężar sierpniowego skwaru. Bąków tutaj nie ma, więc gniada stoi spokojnie, żując wędzidło. - No, obejrzyj sobie okolicę. Stąd widać najlepiej. Zaraz pojedziemy na dalsze stanowiska. - Wraz z dymem papierosa Rajewski wysapuje upał.

Owszem, podoba mi się tutaj. Ale nie zanadto.

Słynne Jezioro Biskupińskie leży w dole, w poprzek widnokregu. Wędrują po nim pasma białych grzywaczy. Tuż przy bliższym brzegu, w przerwach między trzcunami, linijki rozkołysanych czarnych punkcików. Ptactwo wodne, a wygląda jak wypłukane przez falę węgielki.

Półwyspu, na którym wznosił się ongi gród kultury „łużyckiej”, mógłbym w ogóle nie zauważyć. Płaski język bagnistego łądu, zagubiony wśród szuwarów. Oko prześliznęłoby się po nim, gdyby nie wznoszące się tam baraki ekspedycji oraz dwie zrekonstruowane chaty prasłowiańskie i fragment drewnianego wału obwodowego. Mało tych budowli. A przecież na tle okolicznej położej panoramy wydają się szczególnie duże. Dwa tysiące pięćset lat temu, kiedy ciasno stłoczone szeregi wielkich strzech szczelnie wypełniały przestrzeń między

pionowymi ścianami obwarowań, musiało to sprawiać wrażenie groźnego masywu, ciężkiej bryły panującej nad jeziorem.

Wzgórza po tej i po tamtej stronie musiały już wtedy być łyse. Osiemset hektarów lasu poszło przecie na budowę grodu. Rzeczką, która dziś nosi nazwę Gąsawki, splawiono siedem tysięcy metrów sześciennych drewna, czyli - czternaście tysięcy dobrze wyładowanych wozów! A siekiera ówczesna wygląda jak dziecinna zabawka. Ostrze jej ma cztery, może pięć centymetrów długości.

Krajobraz nie bardzo mi jednak przypada do gustu. Cóż, przywykł człowiek do mickiewiczowskich pojęć o tym, jak powinno wyglądać jezioro! A tymczasem - ta oto tafla sinej wody wcale nie jest „gęstą po bokach puszcza oczerniona”. Nie jest. Ani trochę. Wszędzie po brzegach „nadobnie uorano”, zawłóczono, wybronowano. Widać nawet kominy cegielni. Drzewek za to całkiem niewiele. Jak okiem sięgnąć, kraj podobny jest do ogromnego płaskiego otoczaka. Tylko - to nie działanie wód tak go wygładziło.

- Stara ziemia. Dwadzieścia pięć stuleci uprawy i historii - odezwałem się półgłosem.

- Co? Jakie dwadzieścia pięć stuleci? - ocknął się z zamyślenia Rajewski. - A o tamtym, co ci mówiłem, już zapomniałeś?

Biczysko uczonego wskazywało na prawo, nieco w dół. Wokół ujścia rozpościerają się tam jaskrawozielone łąki. Czernieją wśród nich regularne piramidki torfu. Ludzi nie widać. Robota pewnie już ukończona i tylko przyszłe paliwo przesyca sobie na wietrze. W tym właśnie niepozornym miejscu udało się wysledzić najstarsze tropy miejscowej historii. W torfowisku znalezione zostały harpuny i dziryty kościany. Kilka tysięcy lat przed Chrystusem zgubiła je wędrowna horda łowców, zostawiając nam w ten sposób pamiątkę po czasach, co kończyły starszą epokę kamienną, a w nauce noszą nazwę epipaleolitu.

Potem z bardzo dalekich stron, od południa, przyszedł tu lud, który swoje gliniane garnki zwykł był zdobić dziwnym ornamentem o kształcie wstęgi oraz posiadał rewolucyjną, nigdy dawniej nie przeczuwaną umiejętność uprawy ziemi rafiową lub kamienną motyką. Zaczęła się wielowiekowa robota nad wygładzaniem, wyrównywaniem, niwelacją dzikich niegdyś wzgórz nad jeziorem. Motykę zastąpiło z czasem radło, socha, pług...

Z drugiego brzegu, od Żnina, dolatuje postukiwanie traktora. Wygodnie mu tam. Może sobie swobodnie kursować po łagodnym zboczu.

I znowu zakotłosała się dwukółka. Ściągana lejcami, gniada drobi w wądół między dwoma

pagórkami. Odchylamy się na oparcie - zaraz już szczyt kolejnej wyniosłości. Kilka osób bez pośpiechu coś tam ryje. Nagle Rajewski zatrzymał konia, wstał, przez chwilę przyglądał się czemuś i jał gromko przyzywać najwyższego z kopiących.

- Kolego Rauhut! Popatrz pan. I tutaj trzeba będzie szukać! - Coś ty ciekawego zobaczył?
- zapragnąłem wiedzieć.

- Sam się przypatrz. O, widzisz? Pług pewnie palenisko rozorał.

Na popielatej powierzchni roli znaczyła się duża, brudnej barwy plama. Była wydłużonego kształtu, jakby rozwleczona w jednym kierunku.

- To się często zdarza - wyjaśniał mój cicerone. - Szkoda tylko, że nieboszczyków zawsze dość głęboko grzebali. Nie sposób tutaj na cmentarzysko natrafić.

Ludzie na szczycie pagórka zajęci byli preparowaniem jakichś innych burych plam, z których jedna leżała płasko niczym placek na równiutko wyczyszczonym prostokącie piasku. Zarysy innych, z kształtu podobnych do retort chemicznych czy pękających u dołu sakw, widniały w pionowych ścianach wykopów. Wszystko to było na podziw elegancko i zgrabnie odrobione. Zupełnie jakby materiał, w którym grzebano, nie był zwyczajnym zleżałym piaskiem, ale zwartą masą plastyczną, nadającą się do precyzyjnego profilowania.

- To, co widzisz, jest śladem wędzarni z IX lub X wieku. Funkcjonowała tu na wzgórzu, opodal siedzib ludzkich. W tych jamach wędzono przede wszystkim ryby z jeziora. Znajdujemy sporo łusek i ości.

Teraz dopiero zrozumiałem. Ta szara płaska plama jest wylotem jamy wędzarnianej. Tamta zaś „retorta” w ścianie wykopu - przekrojem jej sąsiadki.

Wysiadamy z wózka. Szczegółowo pokazują mi miejscowe *curiosa* i cierpliwie wszystko tłumaczą. Wysłuchałem i oddałem się pożytecznemu zajęciu układania w głowie zdobytych wiadomości. Tymczasem załoga stanowiska skupiła się przy Rajewskim. Całą gromadą ruszyli debatować nad jakimiś wykresami, zaścielającymi stolik polowy. Spojrzałem na zaaferowanych tą robotą i raptem przypomniała mi się strofka starej piosenki dziecinnej „Ojciec Jacenty uczył dzieci swoje...”

Zdzisław Rajewski, uczonej całkiem jeszcze młodej generacji, wyglądał wśród tego otoczenia co najmniej jak rzymski senator między takimi, którzy dopiero marzą o todze dojrzałego męża.

Pierwsze podobne przeżycie spotkało mnie zaraz na początku, jeszcze w lipcu 1951 roku.

Wybrałem się wtedy do gmachu Zachęty w Warszawie, gdzie miało kwatery Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego (przeniesione później do Pałacu Prymasowskiego przy Senatorskiej, gdzie dokonało naprawdę zasłużonego żywota, ustępując miejsca Instytutowi Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk). Ukłoniłem się pięknie spotkanej w Zachęcie bardzo młodej pani i poprosiłem o dopuszczenie przed oblicze doktora Ryszarda Kiersnowskiego, zastępcy kierownika, profesora Aleksandra Gieysztora. Nie było żadnych trudności. Zza biurka podniósł się niezmiernie wysoki i chudy autor cennych prac o *Walach śląskich i Legendzie Winety*, uczonego, któremu do trzydziestki ładnych jeszcze paru lat brakowało.

Przy innych stołach w wielkiej sali było podobnie. To znaczy - sama młodzież.

A siedłem tam podświadomie pewien, że starożytności słowiańskie badać mogą na pewno tylko starcy, a już co najmniej ludzie podtatusiali. Tymczasem i pryncypał tych badaczy, profesor Gieysztor, dziś jeszcze jest młody, cóż mówić wtedy...

- Do Biskupina powinien pan wybrać się koniecznie w sierpniu - tłumaczył Ryszard Kiersnowski. - Będzie tam kurs dla studentów. To pana niewątpliwie zainteresuje.

Na przystanku autobusowym w Gąsawie podszedł do mnie jakiś młodociany atleta.

- Pan z Warszawy do Biskupina? Jest Mercedes. Jedziemy do baraków na kolację, a potem na folwark do profesora Rajewskiego.

W baraku ekspedycji było o tej porze, to znaczy około godziny dziewiętej wieczorem, prawie zupełnie pusto. Kilka osób zajętych czymś przy stole. Potem ktoś zaczął brzdąkać na fortepianie - jedna i druga para. puściła się w płasy. Reszta zdradzała niedwuznaczną skłonność do snu.

Nazajutrz rano, wraz z Januszem Rychlewskim, przybyłem tu przed paru dniami autorem *Człowieka z gutaperki*, zjawiliśmy się na śniadanie w porze według nas dosyć wczesnej. Dochodziła dziewiąta. W sali nie było już nikogo.

Przybity obok drzwi rozkład zajęć kursu wyjaśnił powody, dla których wielu jego uczestników lubiło chodzić spać razem z kurami. Dzień pracy zaczynał się o godzinie szóstej trzydzięści: całe towarzystwo ruszało na wykopy. O piętnastej następowało wielkie mycie i kąpanie się w jeziorze, po czym obiad. Zajęcia popołudniowe kończyły się o siedemnastej.

W roku akademickim 1950-1951 uniwersytety warszawski, krakowski i poznański zorganizowały u siebie pierwsze w Polsce studia historii kultury materialnej. Nie oznacza to

oczywiście, że dopiero wtedy zaczęły się badania w dziedzinach archeologii, etnografii i etnologii. Tradycje tych nauk są u nas stare i czcigodne. Za pierwszego polskiego archeologa uważać należy współczesnego Mickiewiczowi Adama Czarnockiego, który zasłynął pod pseudonimem Zoriana Dołęgi Chodakowskiego. Przedwojenne uniwersytety miały katedry archeologii i prehistorii, które wespół z etnologią, historią, polonistyką, romanistyką i wielu innymi naukami należały do wydziałów humanistycznych. Obowiązki słuchaczy wspomnianych studiów historii kultury materialnej nie ograniczały się do wykładów i ćwiczeń. Każdy z nich musiał ponadto odbyć miesięczny kurs wakacyjny. W sierpniu 1951 roku był właśnie pierwszy turnus. Uczestniczyło w nim około pięćdziesięciu osób z Warszawy i Poznania. Kraków przysłał tym razem tylko trójkę studentów, dla pozostałych pięćdziesięciu sześciu rezerwując wrzesień.

W latach późniejszych kursy owe doznały rozmaitych zmian. Przede wszystkim stały się mniej dumne. Z natury rzeczy archeologia może dostarczyć pracy nielicznemu gronu osób, więc na studia przyjmować należy tylko ludzi naprawdę rozmiłowanych w tej dziedzinie wiedzy, że się już nie wspomni o przygotowaniu, sprawdzonym przez egzamin. Początkowo nieraz wykraczano przeciwko prawdzie, dyktowanej przez samo życie, odsyłając na archeologię takich na przykład, którzy nie znaleźli miejsca w Akademii Wychowania Fizycznego. Przemineło. Zdrowy rozsądek odzyskał swe prawa.

Wbrew tradycyjnym pojęciom o kursach wakacyjnych te archeologiczne nie mają nic wspólnego z żadnym *dolce far niente*. Praca polegająca na uważnym skrobaniu ziemi łopatą lub szpadlem, na przesiewaniu jej przez palce i sito lub nawet szlamowaniu przez sitko kuchenne nie zalicza się do lekkich. Trzeba uważnie patrzeć na każdą grudkę, na każdą drobinę gliny. Byle ciemniejsza plamka na dnie odkrywki - a natychmiast łopata wędruje na bok, idzie natomiast w ruch maty szpadek, czasami nawet łyżka. Bo przecież ta plamka może być nikłym śladem pala, który doszczętnie zbutwiał w piasku. Należy dokładnie ujawnić jej kształty i w ten sposób ustalić, czy pal był wbity, czy też wkopany w ziemię. To ważne! Czasami pomylił tropy jama krecia. Ale to nie na długo, bo korytarz taki zaraz zagina się w bok.

Oto na przykład stanowisko XVa, miejsce, do którego dotarłem zaraz po ukończeniu oględzin wędzarni. Jest to rząd dwunastu prostokątnych wykopów, przecinający płaskie wzgórze od podnóża aż po szczyt. Tyralliera płytkich jeszcze, jedna obok drugiej położonych jam powinna wyłapać z ziemi ślady wsi Stari Biskupici, o której w roku 1136 wspominała bulla papieża Innocentego II. Pragnie się ustalić, gdzie w XII stuleciu leżało osiedle, którego

bezpośredni spadkobierca - wieś Biskupin - istnieje i prosperuje aż po dzień dzisiejszy.

Szczęście towarzyszyło mi w wędrówce. Trafiłem bowiem akurat na chwilę wydobywania z ziemi pięknego i niemal całego naczynia z epoki „łużyckiej”, znalezionego jednak w warstwie wczesnośredniowiecznej, a więc o tysiąc kilkaset lat późniejszej. Kiedy zacząłem wyrażać z tego powodu wielkie zdziwienie, studenteria przyszła z pomocą mojej naiwności.

- Znaleźli ten garnek i ponieważ był cały, zaczęli go po prostu używać. Takie rzeczy bywają nawet i dzisiaj. W jednej wiosce ludzie trzymali sól w „łużyckim” naczyniu, a w innej gospodyni poila kury ze szklanej miseczki rzymskiej.

- Pewno, że się zdarza - dodał drugi. - A tamten miecz rzymski, który służył do pielenia chwastów w ogrodzie!

Po wysłuchaniu zaimprovizowanego wykładu postanowiłem zabierać się do rzeczy systematycznie i nie wyskakiwać z niewczesnymi spostrzeżeniami. Usiadłem sobie z boku, wyciągnąłem notes i zacząłem zapisywać usłyszaną dopiero co wiadomość:

„Słowo «calec» w języku archeologów...”

W tej chwili przy trzeciej jamie na prawo buchnął wielki krzyk. Kto żyw rzucał łopatę i biegł patrzeć. Szczęśliwy znalazca trzymał w palcach kościaną oprawkę od noża. Rzecz była wielkości i kształtu naparstka, barwy żółtawej, ozdobiona prześlicznym rytym ornamentem.

- Ten szlaczek jest przecież najzupełniej podobny do dzisiejszej polskiej borty generalskiej - musiałem jednak wtrącić uwagę. - O, całkiem taki sam łamany wężyk!

- Istotnie, że podobne. Obawiam się tylko, że jest pan na drodze do trochę nazbyt pochopnych wniosków - uśmiechnął się magister Jerzy Gąsowski, młodziutki naukowiec, kierujący pracą na jednym z odcinków.

Dokładnie w ten sam punkt, w którym leżała oprawka, wbita teraz została stalowa szpila, na niej i na brzegu jamy oparta łąta z podziałką, na łacie umieszczona poziomnica. Ściśle oznaczono głębokość punktu znalezienia oraz jego odległość od obu brzegów wykopu. Dane cyfrowe, data, miejsce, warunki zalegania, charakterystyka przedmiotu i nazwisko znalazcy zapisane zostały do metryczki. Metryczka wraz z oprawką powędrowały do pudełka od papierosów i na półkę magazynu. Mogłem sobie teraz wrócić na swoje miejsce i dokończyć zdanie o calcu:

„...oznacza warstwę ziemi pozbawioną śladów działalności człowieka.” Czasami można się jednak grubo pomylić także co do calca. Mówiąc dokładniej: uznać za calec taką warstwę

ziemi, której człowiek nie dotykał od bardzo dawnych czasów. Sam byłem świadkiem sprostowania takiego błędu. Zdarzyło się to w Biskupinie, na tej samej „piętnastce”, ale w dwa lata później.

Młodzi badacze uznali, że już dokopali się calca. Kurs się skończył, Biskupin znacznie opustoszał, ale kustosz tamtejszych zbiorów, Franciszek Maciejewski, postanowił raz jeszcze sprawdzić słuszność diagnozy. Kazał trzem starym robotnikom obniżyć dno wykopu. Odsłoniły się dwa długie czarne pasma. W ten sposób wykryto w Biskupinie ślady tak zwanych „długich budowli”, czyli domostw o trapezoidalnym kształcie i długości sięgającej trzydziestu metrów. Przemieszkiwała w nich ludność „kultury ceramiki wstęgowej”, ta sama, która przyniosła w te strony rolnictwo.

Trzeba wyjaśnić, że „piętnastka” leży nie na półwyspie, dźwigającym szeroko znane resztki grodu „łużyckiego”, lecz na brzegu, opodal jeziora. Tam, jak stwierdzono, znajdowały się Stare Biskupice. Chałupy ich stały na prastarych prochach, także i ludzkich.

Jak przed chwilą napisałem, w sierpniu 1951 roku Zdzisław Rajewski narzekał, że nie sposób natrafić w Biskupinie na cmentarzysko. W rok i parę miesięcy później, jesienią 1952 roku, Franciszek Maciejewski odnalazł jednak szkielety. Grzebał w ziemi właśnie na „piętnastce” i palcami namacał kości.

Było tych szkieletów trzy, lecz tylko jeden posiadał czerep. Dwa pozostałe uległy zwęgleniu i rozsypały się bez śladu, gdyż przypadkiem bezpośrednio nad nimi mieszkańcy Starych Biskupic umieścili paleniska. Normalna kolej rzeczy. Ileż dzisiejszych domów stoi na dawnych cmentarzach. Bezpośrednia spadkobierczyni Starych Biskupic, wieś Biskupin wznosi się obecnie o jakiś kilometr dalej. Kolejne pokolenia przesuwają nieco swe siedziby, teren „piętnastki” opustoszał i można na nim dokonywać odkryć.

Odnalezione przez Maciejewskiego zwłoki należały do niewiast. Wszystkie trzy miały położenie sprawiające wrażenie dosyć niesamowite. Trupa układała się na prawym boku, w pozycji skurczonej, skrępowanego powrozami (po których naturalnie śladu nie zostało). Zabiegi te wynikały z ówczesnych wyobrażeń religijnych i miały uniemożliwić zmarłemu wstawanie z mogiły i niepokojenie żywych.

Ramiona szkieletu zachowanego w całości zdobiły piękne bransolety kościane, zdobione rytowaniem. Bardzo możliwe, że właścicielka ich była władczynią plemienia, gdyż znalezisko pochodzi z epoki tak zwanego matriarchatu. Licząc okrągło - ma cztery i pół tysiąca lat. Owa niewiasta oraz obie jej towarzyski również należały do ludu „kultury ceramiki wstęgowej”.

A więc to, co w roku 1951 uważałem za jałowy calec, kryło nie lada jakie tajemnice.

Wracając do poruszonych spraw kursu wakacyjnego i w ogóle studiów archeologicznych, powiedzieć trzeba, że student musi kolejno przejść wszystkie stadia pracy. Kopie, skrobie, przesiewa, szlamuje. Rysuje plany wykopów i profilów. Znaleziony przedmiot sam musi scharakteryzować, oznaczyć położenie, skatalogować i opisać. Musi też wyciągnąć wnioski naukowe, które później, rzecz jasna, będą przez profesorów sprawdzone. Jakiś przed chwilą widzieli, zbyt pochopne wnioski co do calca na „piętnastce” uległy takiemu sprawdzeniu.

Doczekałem się w Biskupinie niedzieli i wraz ze studentami wziąłem udział w wycieczce. Zajechał traktor z dwiema przyczepkami. Każdy z nas wziął z jadalni po taborecie, rozsiedliśmy się i ruszyli w kierunku wsi Izdebnej. Niedaleko - dwanaście kilometrów.

Ciągnik z przyczepami został przy szosie, a my zanurzyliśmy się w gęste zarośla olszowe. Ścieżka pod stopami ugina się, sprężynuje. Przeskakujemy torfiaste rowy. Po lewej ręce, za pasmem trzcin, przebłyskuje woda jeziora. Maszerujący na czele kierownik wyprawy, doktor Włodzimierz Szafrąński, wspina się na coś w rodzaju suchego pagórka. Dopiero z tego wyższego miejsca, spod gruszki polnej, widać, że mniemany pagórek jest fragmentem wału, który równym zakolem obiega cały półwysep. U przeciwległego cypla dwa rosły dęby, wzdłuż brzegów krzaki i wielkie olchy. Brodzimy w wysokich trawach między wałami.

Robót wykopaliskowych w tej chwili nie ma. Dwa lata temu dokonano trzech próbnych kopań, stwierdzono, że ziemia kryje istny drugi Biskupin może wspanialszy jeszcze i lepiej zachowany, który jednak może trochę poczekać na odkrycie, skoro czekał już dwa tysiące pięćset lat.

Izdebna, a raczej położony obok tej wioski półwysep na Jeziorze Wolskim, posiada gród „łużycki” z tej samej dokładnie epoki co i Biskupin. Przypuszczalnie były to grody bliźniacze, blisko ze sobą współzujące. Możliwe, że mieszkańcy jednego brali z drugiego żony, i odwrotnie. W okresie wczesnośredniowiecznym nawarstwiło się tutaj drugie osiedle, które wyzyskało dla swego budownictwa rozsypisko dawniejszego wału.

Istnienie drugiego jeszcze grodu „łużyckiego” nie wydaje się archeologom żadną sensacją. Na obszarze tej kultury jest ich bowiem około dwustu dwudziestu.

Doktor Szafrąński wykazał chwalebna wielkoduszność i nie mordował nikogo zbyt długim wykładem. Objął pokrótce, jak się w Izdebnej rzeczy mają, i obwieścił czas wolny.

Wał sędziwego grodu zakwitł zaraz plamami barwnych strojów kąpielowych. Grupa gółców, płosząc dzikie kaczki, niezwłocznie ruszyła w trzciny na rekonesans, w celu zbadania, gdzie najmniej grząsko. Inny zespół wynalazł dwie tyczki i na tym samym miejscu, gdzie ongi wznosiły się chałupy brodatej starszyny „łużyckiej”, rozpoczęto mecz siatkówki. Opodał, w cieniu potężnej wierzby, namiętnie zgrywano się w brydża.

Nie uczestniczyłem jakoś w żadnej z tych rozrywek. Najbardziej interesującym zajęciem wydało mi się patrzeć na tych archeologów, naukowców *in spe*, i snuć porównania z niezbyt odległą przeszłością.

Pomimo że nie ma już na polskich uniwersytetach wydziałów humanistycznych, studium historii kultury materialnej zalicza się niewątpliwie do działu humanistyki. Tak więc to hałaśliwe bractwo, które w tej chwili wyczynia po całym półwyspie dzikie hopki - to są studenci humanistyki, moi młodszy koledzy.

Ojcie Światowidzie z krakowskiego muzeum tudzież wy, inni bogowie słowiańscy! Jakże jednak zmienił się porządek rzeczy na tym padole! Skończyłem humanistykę w Wilnie - w roku 1932 - i, sam wiem najlepiej, przez cały czas moich studiów w pracach miejscowego AZS uczestniczyło naprawdę jedynie trzech humanistów. Gdzież to widziano za tamtych dni, by studentka humanistyki stanąć śmiała przed profesorskim obliczem bosa, w kusym kostiumie plażowym! Na stosie by jej nie spalili, ale coś cierpkiego mogłaby usłyszeć. A teraz w strojach wyżej opisanych paraduje podczas zajęć służbowych cały studencki Biskupin.

Nauka bynajmniej nie chyli się od tego ku ruinie, a zdrowy rozsądek triumfuje.

U północnego cypla półwyspu biskupińskiego, o pięć metrów od brzegu, straszy na barierze groźny napis: „Uwaga, głębia!” Rzeczywiście głęboko, podobno całych trzynaście metrów. Ale najrojnziej na wodzie właśnie za barierą, aż po środek jeziora... Można tam było obserwować cawła, klasyczny, i nawet skomplikowany styl motylkowy. Uprawiała go rodzona wnuczka i prawnuczka profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej.

Zdarzyło się lat temu wiele, że pewien dzisiejszy profesor Uniwersytetu Łódzkiego zjawił się na egzamin o lasce.

- A cóż to, wypadek się panu przytrafił?

- Nie, panie profesorze. To tak tylko wczoraj przy skoku w dal na zawodach...

- Gdzie, proszę?

- Na zawodach lekkoatletycznych.

Od tej chwili opinia przyszłego naukowca została poważnie nadwątlona. Uprawianie sportu uchodziło bowiem za rzecz niegodną rzetelnego humanisty (nie było zabronione - powiadam wyraźnie tym wszystkim, którzy lubią to odczytywać, czego wcale nie napisano; uchodziło za zajęcie świadczące o lekkości ducha). Należało być niezaradnym, zasuszonym mamutem. I cały wydział przypominał zbiorowisko okazów tej odmiany zwierząt. Sport, bliższa znajomość z motorami - to było dobre dla studentów politechniki, dla medyków, dla prawników.

Potem, podczas okupacji, kiedy pracowało się łopatą przy zwykłych wykopach, jednemu z moich kolegów ani rusz nie można było wytłumaczyć, że krawat nie pasuje do tego typu zajęcia, a marynarkę należy raczej zdejmować. Styl staroświecki uporczywie trzymał się dawnych humanistów.

Obrazek z Izdebniej z roku 1951 oceniłem zdecydowanie optymistycznie i nie miałbym dziś żadnych zastrzeżeń przeciwko własnej diagnozie, gdyby nie pewne skojarzenia myślowe. Dawniej istniał komiczny raczej problemat towarzyskiej izolacji humanistów. Obecnie mamy do czynienia z kwestią o wiele poważniejszą - z pustką społeczną, którą humanistyka s a m a wokół siebie wytwarza. Brodaci, zbrojni w kalosze i celuloidowe kołnierzyki profesorowie umieli jednak trafiać swymi dziełami w centrum zainteresowań ogółu. Nie da się tego powiedzieć o ich dzisiejszych następcach, ogolonych na co dzień.

Głównym winowajcą ma być rzekomo technika. To ona odwróciła uwagę społeczeństwa i, co gorsza, rozwijając się potężnie, spycha humanistykę w cień, zamyka przed nią wszelkie perspektywy. Pogląd ten wcale mi nie trafia do przekonania.

Przede wszystkim nie należy się przejmować opiniami byle inżynierka, który z gorliwością neofity pomiata wszystkim, czego nie można zmierzyć ani ująć w formuły matematyczne. Mocodawcą techniki jest nauka, a więc istotne znaczenie ma postawa uczonych, reprezentujących wiedzę przyrodniczą i ścisłą. Właśnie w ich gronie najłatwiej dziś napotkać humanistów prawdziwych, to znaczy ludzi o szerokich zainteresowaniach i wszechstronnych horyzontach.

W r. 1953 spędziłem kilka miesięcy we Wrocławiu, gdzie zbierałem materiały do reportażu o pracach Ludwika Hirszfelda i jego uczniów. Na miesiąc przed zgonem wielkiego uczonego czytałem mu fragmenty napisanych już, lecz jeszcze nie wydrukowanych *Opowieści o żywej materii*. Wysłuchał uważnie całego rozdziału, po czym rzekł:

- Nie mam żadnych zastrzeżeń, jeśli chodzi o mikrobiologię. Ale wiersz Mickiewicza to

pan własnymi słowami przytoczył. U niego jest „niewinnie”, a u pana „najprościej”.

Oto prawdziwy humanista! Nie ma nic przeciwko literackiemu gawędzeniu o wiedzy ścisłej, ale nie dopuszcza niedokładności w cytatach z Mickiewicza. Prostuje z pamięci. Nie uważa poezji romantycznej za rzecz mato ważną.

Musimy ciągle przypominać sobie i innym, że dzisiejszy imponujący ramach wiedzy ścisłej wzniesli tacy, którzy kończyli gimnazja humanistyczne lub nawet klasyczne. Rozwój nauki wymaga nieustannego dopływu ludzi wyposażonych w wyobraźnię twórczą oraz umiejących myśleć krytycznie. Wdrożyć do tego jeszcze w szkole mogą tylko dyscypliny humanistyczne. Młody człowiek uczy się fizyki czy chemii, ale nie jest zdolny do tworzenia w ich zakresie teorii własnych. Może natomiast snuć najbardziej świątoburcze rozmyślenia dotyczące historii albo polonistyki. Może na przykład dojść do wniosku, że *Warszawianka* to grafomania, trzecia część *Dziadów* nie nadaje się do czytania, a Kazimierz Wielki był bezmyślnym niedołągą. Na tym także polega nie słabość, lecz siła humanistyki, która w odróżnieniu od matematyki podaje młodzieży nie tylko pewniki, ale i rzeczy wątpliwe, sporne. W jej zakresie mato co nadaje się do zmierzenia, natomiast niemal wszystko do krytykowania. A przecież należy wychowywać ludzi, którzy nie ulękną się autorytetu zarówno Kazimierza Wielkiego, jak Izaaka Newtona.

Słucham podczas rozmaitych zebrań albo czytam o stłamszeniu humanistyki przez technikę, a potem idę na międzynarodowe targi księgarskie. Przekonuję się tam naocznie, że kraje o wysoko rozwiniętej technice jednocześnie szczycą się bogactwem literatury humanistycznej. Obok powieści, wierszy i dramatów widnieją na stoiskach rozprawy, eseje, monografie historyczne, literackie, podróżnicze, etnologiczne, etnograficzne i wszelkie w ogóle, jakie sobie tylko można wyobrazić. Zjawisko dość chyba wymowne.

Nie da się obarczyć techniki odpowiedzialnością za grzechy popełniane u nas przez samych humanistów. Jeśli dziedziny pokrewne literaturze i raz na zawsze skazane na posługiwanie się s ł o w e m pisanym, a nie wzorem matematycznym, jeśli dziedziny te - powtarzam - zaczną gardzić estetyką literacką, to trudno, nie ma ratunku, ogół odwróci się plecami. Nie można bezkarnie zaprzecić się duszy własnej. Podobnie, jeżeli to, co zwiemy humanistyką, wypowie posłuszeństwo głównej zasadzie h u m a n i z m u, która nakazuje wszechstronność. Ciasnota horyzontów, pisanie tylko dla wtajemniczonych, pogarda dla głodnego nowości tłumu - „to niby kat, szubienica i stryzyk” - że użyję słów Zagłoby.

Pozostajmy sobą. Pogódźmy się pokornie z przekonaniem, że taka na przykład historia

nigdy a nigdy wiedzą ścisłą nie zostanie. Wiemy z wszelką pewnością, że Mieszko I w roku 972 pobił margrabięgo Hodona, ale gęstości zaludnienia Polski za tegoż Mieszka ustalić dokładnie nie potrafimy. Więc gdzież tu ścisłość? Ktoś bardzo złośliwy mógłby nawet twierdzić, że historia polityczna właśnie pod względem ścisłości przeważa nad innymi działami tej wiedzy, ponieważ pozwala na ustalenia faktów nie podlegających zakwestionowaniu.

Pocieszmy się za to stwierdzeniem, że Tacytowi czy Swetoniuszowi już nie wieki, ale tysiąclecia nie poradziły. Ludzie nadal chętnie czytają prastarych autorów, którzy stale pamiętali, że... piszą dla ludzi i o sprawach ludzkich.

Wydaje się, że najdawniejsi historycy, wiedzeni niezawodnym instynktem a r t y s t ó w, od razu trafili na właściwą drogę. Dziejopisarstwo to konkret. Prawdziwa historiografia nie może, nie ma prawa wyrzekać się opisu literackiego, portretu bądź plastycznego obrazu. Wnioski i konstrukcje filozoficzne są niezbędne. Przede wszystkim one nadają dziełu rangę w oczach współczesnych, autorowi zaś godność poszukiwacza prawd najistotniejszych. Ale przyszłość potrafi je przekreślić, nawet wyszydzić. Wieczną wartość zapewnia książce zawarty w niej wizerunek postaci, wydarzeń, czynów i dzieł ludzkich. Wizerunek będący osobistym tworem pisarza, bo inaczej być w ogóle nie może. Nie straci zresztą znaczenia wiedza o faktach, które można ciągle na nowo badać, używając coraz doskonalszych kryteriów.

Niepodobna wątpić, że najdawniejsi historycy szli po dobrej drodze, skoro dzieła ich doskonale zniosły próbę. Tylko poezja, dramat i dziejopisarstwo potrafią pokonywać czas. Ciekawe wyniki mogłaby przynieść ankietę, mająca na celu sprawdzenie, który z dwóch autorów jest obecnie bardziej poczytny: Tacyt czy Homer.

Tacyt był zgorzkniałym pesymistą, biskup Thietmar żarliwym kaznodzieją, upatrującym w zdarzeniach historii działania ręki bożej. Pomimo tak zasadniczych różnic łączyło ich jedno, aczkolwiek wprost nie wyrażone poczucie: podziw dla bujności form życia i pasja utrwalania piórem wieści o nim.

Sentymenty owe doszczętnie zatarły granicę pomiędzy ich naukową w intencjach prozą a sztuką. Ludzkość nic na tym nie straciła. Doświadczenie dowiodło prawdy, której niepodobna obalić: człowiek potrzebuje wiedzy o przeszłości, jest jej ciekaw.

Minęło dziesięć lat od chwili, w której przyglądałem się nowoczesnemu stylowi życia młodych archeologów. Zagadnienia, które wtedy zaczynały się dopiero zarysowywać,

występują już teraz wyraźnie i ostro. Obecnie przedstawiciele najmłodszego, uczniowskiego pokolenia umieją głośno wyrażać zdumienie, że historia bywa czasami ciekawa...

Humanistyka sama siebie spycha w cień, lecz dziwną osobliwością niedawno minionych lat był ogromny wzrost zainteresowania ogółu tą jej dziedziną, która poprzednio uchodziła za dostępną tylko dla specjalistów. Mam na myśli oczywiście archeologię. Fakty muszą pozostawać faktami, odkrywanie rzeczy niezwykłych i dziwnych przykuwa uwagę ludzką. A przecież niespodzianek archeologicznych było u nas ostatnio co niemiara.

Ze wszystkich dziedzin humanistyki największą popularność zyskała u nas ostatnio ta, która jest najbliższej spokrewniona z techniką. Nikogo jednak nie obchodzi, jak kreśli się plany, poziomuje i oblicza. Dla wszystkich ważne są wyniki badań, pozwalające wejrzeć w tajemnice dawno wygasłego życia. Archeologia nie dlatego jest w wysokiej cenie, że zaprasza do badań nurków i fotografuje z helikopterów. Szanuje się ją za wierność humanistycznemu nakazowi rzeczowego zgłębiania spraw ludzkich.

II

W roku 1948 rozpoczęły się u nas badania nad początkami państwa. Pomysł uczczenia w ten sposób „tysiąclecia” wysunął poznański archeolog, profesor Witold Hensel. Projekt przyjęto. Z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki powstało Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego. W skład jego wchodził profesorowie: Aleksander Gieysztor, Kazimierz Majewski oraz Zdzisław Adam Rajewski.

Wspomniana instytucja pilnie zabiegała o wyzyskanie okazji i rozpoczęcie poważnych prac badawczych, ale dziwnie mało troszczyła się o ich rozgłos. Nie wiem, czemu się tak działo. Odegrała pewnie rolę stara i zasługująca na szacunek tradycja, która każe uczoneму stronić od starań o reklamę, zwłaszcza na kredyt. W każdym razie Kierownictwo zrobiło dobry interes. O wykopaliskach stało się w Polsce głośno, lecz dopiero wtedy, gdy naprawdę było już czym się pochwalić. Zamiast poszczególnych obrazków publiczność ujrzała całą panoramę od razu.

Na samym początku przezorne Kierownictwo wydało zakaz udzielania informacji dziennikarzom, reporterom i literatom, nie wyposażonym w specjalne upoważnienia imienne. Tajemnic stanu w jamach wykopaliskowych nie bywa, są tam za to rzeczy podniecające

wyobraźnię. Zrozumienie ich, że już o opisywaniu nie wspomnę, wymaga minimalnego chociażby przygotowania teoretycznego. Zakaz miał zagrozić drogę bajkom i fantazjom.

Dziesięć lat temu można było przeczytać w stołecznym dzienniku reportaż, którego autor trochę zanadto zaufał przygodnym informatorom i wskutek tego wiedział, że tę właśnie, a nie inną wnękę kościoła na Ostrowie Lednickim miłował Mieszko I i że w niej siadywał. Dzisiaj solidnie traktowana tematyka archeologiczna na dobre weszła do literatury. Archeologowie są bohaterami powieści Zbigniewa Nienackiego.

Osobiście zetknąłem się z wykopaliskami późną jesienią 1949 roku, przypadkowo. Było ze mną po trosze tak jak z kopaczami w stuleciu XIX, którzy zbrojni w kilofy i patelnie wykrywali w dziewiczej Kalifornii żyły złota. Gdybym wtedy przyjechał do Gniezna o dzień wcześniej lub później i zastał doktora Kazimierza Żurowskiego na miejscu, nie musiałbym go szukać na wspomnianym Ostrowie Lednickim, nie uległ urokowi wyspy i wskutek tego nie natrafił na wdzięczny a nie tknięty temat.

Tęskniłem do niego przez dwa lata blisko, aż nadeszła właściwa pora. Latem i jesienią 1951 roku objechałem siedemnaście rozrzuconych po kraju stanowisk archeologicznych. Byłem w Gnieźnie, w Poznaniu, w Gieczu, Biskupinie, na wyspie jeziora Lednicy, w Krakowie, Tyńcu, Igołomi, Cieszynie, Kaliszu, Łęczycy, Rokitnie pod Warszawą, a także w Gdańsku, Opolu, Wrocławiu, Niemczy i Szczecinie. Nie odwiedziłem wszystkich wykopalisk. Nie zdążyłem być w Wiślicy, nie widziałem Wietrzna-Bóbrki w Rzeszowskim, Jeziorek pod Giżyckiem ani - Zamku Warszawskiego. Zamku nie dlatego jednak, że najtrudniej wybrać się tam, gdzie najbliżej. Zamek Warszawski zdradził rzeczy bardzo ciekawe, ale z czasów znacznie późniejszych niż okres budowy państwa polskiego. Zresztą prace w Jeziorkach, Wietrznie i na Zamku nie wchodziły w zakres „millenium”.

Oprócz wyżej wymienionych miejscowości badania prowadzono poprzednio w Lutomiersku pod Łodzią, w Inowłodzu nad Pilicą, w Kruszwicy, Trzemesznie i Strzelnie.

Wizyty na wykopaliskach nie skończyły się w roku 1951, weszły mi raczej w nałóg. O późniejszych - w Wielkopolsce, na Śląsku, Kurpiach, Grodach Czerwieńskich i w Kielecczyźnie - opowiada książka *Archeologia na wrywki*. Ukazała się w roku 1956 i ze względu na trzytysięczny nakład jest mało znana, chociaż osobiście uważam ją za znacznie lepszą od *Świtu słowiańskiego jutra*, który osiągnął tysięcy dwadzieścia i całkowicie się rozszedł. Końcowe rozdziały niniejszego tomu mieszczą plony odwiedzin na wykopaliskach, odbytych w roku 1960.

Próba wprowadzenia polskiej archeologii do literatury nie zaliczała się do zadań specjalnie łatwych, lecz od razu dostarczyła wielkiej satysfakcji moralnej. To dużo - zetknąć się z dobrą robotą. Byłem świadkiem i jako takiemu wolno mi wyrazić pogląd, że nasi archeologowie wyzyskali nadarzoną sposobność chyba w stu procentach. Ani mi w głowie lekceważyć znaczenie naukowej interpretacji odkryć. Sądzę jednak, że jeszcze ważniejsze, bo leżące u samiułteńkich podstaw wszelkiej pracy umysłowej, to zdobywanie i szerzenie wiadomości.

Informacja! - czynnik tak lekceważony przez środowiska literackie, przynajmniej w Polsce. Utwór, który zawdzięcza powodzenie nie kreacji, lecz informacji, uchodzi za drugorzędny z natury. Wbrew tej opinii śmiem mniemać, że zwyczajna informacja zalicza się do najszczytniejszych zadań człowieka na świecie.

Informacja! - proste rozszerzanie zakresu wiedzy o ludziach i faktach jest tym czynnikiem, który nieustannie rewoltuje społeczeństwa i pcha je naprzód. Po to, aby w ogóle zapragnąć ulepszeń, trzeba najpierw poznać np. własne położenie, jego stosunek do innych zespołów ludzkich i możliwości poprawy. Bez takiej wiedzy nie powstanie rozumna chęć zmian, bo odruchów można dokonywać i na ślepo (oto dlaczego wkrótce po objęciu władzy we Francji przez Napoleona z sześćdziesięciu gazet utrzymały się cztery). Filozofia Oświecenia zmieniła oblicze Europy? Bezsprzecznie, ale ta filozofia sama była komentarzem do poprzednio zdobytej wiedzy o świecie. Posunęli ją naprzód przede wszystkim tacy, jak Kopernik i Newton, lecz w przygotowaniu wielkiego przewrotu umysłowego uczestniczył też każdy prostak marynarz, przywożący z zamorskich wypraw nowe, nie znane dawniej wiadomości. Powojenne znaleziska archeologiczne przyniosły zupełnie nowy pogląd na najwcześniejsze rozdziały naszych dziejów. Odkryto nie znane poprzednio rzecz i zawiadomiono o tym ogół. Opinia publiczna nie tylko przyswoiła sobie świeże informacje, ale niekiedy okazywała się aż przesadnie konsekwentna we wnioskowaniu. Spotykałem się mianowicie z twierdzeniami, że rewelacje uczonych zadały moralną klęskę powieściopisarzom, gdyż wykazały gruntowną fałszywość ich wizji przeszłości. Nieraz próbowałem walczyć z tym zapatrywaniem, wskazując na niewłaściwość praktyki utożsamiania powołań beletrystyki i historiografii, lecz nie odnosiłem zbyt wielu sukcesów. Słuchacze zostawali przy swoim, a w wywodach ich czuć było jak gdyby żal do autorów, którzy okazali się lękliwi i zanadto ulegali pokusie kreślenia obrazów pełnych prymitywu.

Dzięki archeologom ogół nauczył się wyżej cenić własną przeszłość.

W 1960 roku ukazał się polski przekład *Pochwały historii* Marca Blocha.

Dzieło tragicznie zmarłego Francuza uzyskało u nas duży rozgłos, do czego - jak śmiem sądzić - w znacznej mierze przyczynił się sam ton książki. Wybitny uczony okazał się nie mniej znakomitym myślicielem... Wychwalając wiedzę, której poświęcił życie, nie cofnął się przed zgromadzeniem i ukazaniem wszystkich jej słabości. Przekonał czytelników o całej względności poznania historycznego. Nie tworzył sztywnych przepisów ani kanonów, nie głosił żadnych niezłomnych praw. Według niego jedynym przykazaniem dla naukowca jest nakaz b a d a n i a. Mamy szukać prawdy, z góry świadomi, że nigdy nie osiągniemy absolutu.

Tezy nienowe. Nienowe, ale potrzebne.

Na wstępie Marc Bloch usiłował odpowiedzieć na proste pytanie dziecka: do czego służy historia? Jak przystało na prawdziwego mędrca, zaczął skromnie od wzmianki o potrzebie zaspokajania ludzkiej ciekawości. Wskazał na rodzicielkę nauki.

Dziełko Blocha nie zostało ukończone i dlatego nikt nie ma prawa rozprawiać o pominięciach czy przeoczeniach. Być może zresztą, autor powstrzymał się od pisania o zjawiskach z jego punktu widzenia oczywistych. O tym, że wiedza o historii sprzyja zwartości i trwaniu grupy społecznej, zwanej narodem.

We Francji zwykły dzień powszedni pomaga owej spójni. Kataklizmy polityczne nie niszczyły tam odwiecznych urzędów. Poczucie, nawet widok ich ciągłości kształtuje umysły pokoleń. Edward Herriot zapewnia w pamiętniku, że nieprawdą jest, jakoby to pewien zreformowany przezeń szpital w Lyonie założony został w wieku VI. Prawdą jest natomiast, że pierwsze wzmianki o lecznicy Hôtel Dieu de Lyon pochodzą ze stulecia XI, a późniejszy jej byt nie doznawał przerw. Trochę inaczej u nas... Wiedza o historii musi łątać szczyby, wypełniać pustki tworzone przez historię żywą. Trzeba wiedzieć, skoro się nie widzi.

Biorę z półki studium Piotra Miquel o Rajmundzie Poincaré i odczytuję komentarz wydawcy, że „Francuzi, tak rozsądni w prowadzeniu swych spraw prywatnych, jeśli chodzi o politykę, gustują tylko w awanturach i romantyzmie”. Takie reklamowe pisanie nie szkodzi w kraju, którego ustrój polityczny przetrwał obie wojny światowe i Hitlera, a podział administracyjny pamięta Wielką Rewolucję i Napoleona. U nas podobne efekciarstwo, ciągle wszak uprawiane, przynosi zło oczywiste. Zaszczepia przekonanie, że niemiłosierna historia postępowała słusznie.

Odkrycia archeologów poradziły sobie z nazbyt gorliwymi prokuratorami czasów dawnych. Dowiodły nie tego wcale, że jesteśmy czymś nadzwyczajnym i powołanym do zadań szczególnych. Pokazały tylko dorobek społeczeństwa, rozwijającego się według

normalnych europejskich przeciętnych. To bardzo wiele, skoro nie brakowało takich, którzy utrzymywali, że już za Bolesławów wystąpiły w pełnej krasie znamienne polskie oblędy, czyli właściwie dyskwalifikowali nas jako dojrzały naród.

Na pewno niedokładnie cytuję słowa Colas Breugnon, który powiedział, że Francuzom rozmaite ekstrawagancje nic nie szkodzą, lecz biada nieszczęśnikom, co spróbują naśladownictwa...

Należałoby życzyć sobie jeszcze, by rzeczowość archeologów posłużyła za przykład niektórym historykom, zajmującym się późniejszymi rozdziałami naszej przeszłości.

Prace wykopaliskowe, prowadzone po wojnie z nadzwyczajnym rozmachem, spowodowały prawdziwy przewrót pojęć. Dokonały rewizji oryginalnego typu, bo przynoszącej wyrok dodatni, o wiele pomyślniejszy od wszystkich poprzedzających. Uczeni bardzo pięknie wyzyskali nadarzoną sposobność, trzeba to jeszcze raz powtórzyć, a nie zawadziłoby i podkreślić. Wiedza spajająca społeczeństwo została bardzo wzbogacona.

Kierownictwo Badań zorganizowało robotę zespołową. Będzie jeszcze okazja do zapoznania się z poszczególnymi osobami, czynnymi na samych wykopaliskach. Tutaj wspomnieć wypadnie o tych działach, których reportaży nie objął.

Poznać początki państwowości polskiej, to między innymi znaczy ponownie wziąć pod lupę pozostałości pergaminy, rozważyć każde ich słowo napisane w starożytności przez Greków lub Rzymian, a potem przez autorów orientalnych oraz średniowiecznych europejskich - po łacinie, grecku albo po słowiańsku. Nie wolno pominąć nawet legendy o Argonautach, podejrzewa się bowiem, że wracający z wyprawy po Złote Runo Jazon mógł zawadzić i o kraje słowiańskie. Kierownictwa niesłuchanie odpowiedzialnej i skomplikowanej pracy nad wydaniem najstarszych pisanych źródeł do dziejów polskich podjął się profesor Gerard Labuda. Nie można ponadto pominąć tekstów hebrajskich, którym poświęcił się profesor Tadeusz Lewicki.

Wśród zamierzeń wydawniczych nie zabrakło projektu opracowania Atlasu Wczesnośredniowiecznego, co wziął na siebie doktor Władysław Pałucki, ani pełnej inwentaryzacji grodzisk polskich. To ostatnie zadanie należy do docenta Zofii Wartołowskiej. Pracownię antropologiczną objęła doktor Hanna Milicer, paleobotaniczną zaś profesor Konstanty Moldenhawer.

Jakież to tematy wypływały przy okazji tak szerokich badań, czego nie przetrząsnęto i nie opisano!

Kto traktuje: sprawę według starych przyzwyczajęń, tego zadziwi beztroska, z jaką przerzucam się od jednego zakresu nauki do drugiego. Wykopaliska sąsiadują za pan brat z wertowaniem kronikarskich zapisek... Tymczasem według tych dawnych przyzwyczajęń badania nad początkami Polski należałoby ograniczyć przede wszystkim do pracowni historyków. Trzeba by więc ponownie wziąć na warsztat sędziwe pisma, w których imię Polski jest wspomniane. A zatem relację wszędobyłskiego Żyda z Hiszpanii, Ibrahima ibn Jakuba, skrzętnie notującego wiadomości o „królu północy”, Mieszce. A dalej - kronikę saskiego mnicha Widukinda i foliały biskupa merseburskiego Thietmara, który Polski nienawidził, ale jej nie lekceważył. I jeszcze ruskiego Nestora, czeskiego Kosmasa, naszego Galla Anonima oraz innych, wcale nie zanadto licznych.

Opowiadając o zamierzeniach Kierownictwa Badań, pisał Aleksander Gieysztor w „Przeglądzie Zachodnim” (nr 1/2, 1951 r.): „Obowiązek pracy nad polskim millenium rozumiemy dziś jako obowiązek zbadania dziesięciu co najmniej wieków rozwoju społecznego na naszych ziemiach przed X wiekiem.”

Mocno powiedziane - zbadać co najmniej dziesięć wieków! Ale jak to wykonać, skoro nauka historii nie rozporządza ani jednym źródłem pisany, które by szczegółowo opowiadało o sprawach polskich nie tylko w V czy VI, ale nawet na początku X stulecia? Odnalezienie jakichś nowych, dotychczas nie znanych notatek jest bardzo mało prawdopodobne. Na taki cud w ogóle nie można liczyć.

Przyzwyczailiśmy się do dat: 963 i 966. Kiedy omawiane tu prace badawcze dopiero się zaczynały, ludzie pozwalali sobie czasem na wyjątkowo odważne wnioski, że przecież Mieszko I mógł objąć rządy już grubo wcześniej, to znaczy gdzieś mniej więcej w roku 950 (Oswald Balzer przypuszczał, że Mieszko przyszedł na świat około roku 920). A więc moment zorganizowania państwa można śmiało przesunąć co najmniej o kilkanaście lat wstecz. Spóźniliśmy się z obchodem tysiąclecia, spóźnili!

A naprawdę - o to między innymi chodziło, by wykazać, jak bardzośmy się spóźnili. Określeń: „tysiąclecie” - „millenium” wolno obecnie używać tylko w znaczeniu przenośnym, nie zapominając o ujęciu ich w cudzysłów.

Data 963 została ostatnio zakwestionowana przez profesora Labudę, o czym będzie jeszcze mowa, Nie ulega jednak wątpliwości, że w owych czasach państwo polskie zwróciło na siebie uwagę takich, którzy umieli pisać, W roku 966 Mieszko I zdecydował się na przyjęcie chrztu. I ten właśnie fakt dowodzi, jak mocno władca Polski musiał już wtedy

siedzieć w siodle. Nie dokonuje się bowiem tak ryzykownych posunięć politycznych z państwem dopiero co zorganizowanym; z ustrojem o słabych, nie okrzepłych spójnościach (obecnie można z widokami powodzenia bronić poglądu, że kiedy książę z Gniezna przyjmował chrzest, chrześcijaństwo od dawna nie było już dla ziem polskich pierwszozną; ale poczekajmy z tym do jednego z ostatnich rozdziałów tej książki).

Państwo nasze powstało wskutek długotrwałych procesów dziejotwórczych. Wyjaśnić jego początki, to wcale nie znaczy ustalić, kiedy stoczona została pierwsza bitwa, zawarty taki czy owaki traktat. Dzisiaj już wszyscy chyba uznają za pewnik, że państwowość polska wykiełkowała na długo przed Mieszkiem I. Kilkanaście lat temu pogląd taki wydawał się ogółowi przesadnie śmiały.

Nie myślę, rzecz jasna, posądzać uczonych o uproszczenia. Oni od dawna wiedzieli o tym, co szersza opinia świeżo przyjęła do wiadomości. Profesor Józef Kostrzewski w napisanej podczas wojny *Kulturze prapolskiej* powiedział wyraźnie: „Nie ulega wreszcie wątpliwości, że i dynastia piastowska nie rozpoczęła się dopiero z Mieszkiem, lecz sięga w głąb IX wieku, rozpoczynając się - zgodnie z przekazem Galla Anonima - od pradziadka Mieszka. Jest bowiem po prostu wyłączone, aby państwo Mieszka I, opisane jako najrozleglejsze z zachodniosłowiańskich przez Ibrahima ibn Jakuba, stworzone zostało z niczego przez pierwszego historycznego władcę Polski. Zanim wiadomość o państwie polskim dostała się do źródeł pisanych, tworzyło się ono z pewnością przez kilka pokoleń, rosnąc w drodze podbojów sąsiednich plemion polskich przez księcia gnieźnieńskiego.”

Błędy opinii publicznej pozostawały jednak w pewnym związku z podziałami, niesłusznie chyba przyjmowanymi przez samych uczonych. Aż do ostatnich czasów uchodziło za pewnik, że h i s t o r i a danego kraju rozpoczyna się wraz z najwcześniejszą notatką o nim w kronikach i rocznikach. W tym znaczeniu historia Polski zaczynać się miała w dziewięćset sześćdziesiątych latach po Chrystusie. Wszystko, co było przedtem - i o czym wnioskujemy z wykopalisk - zaliczało się do p r e h i s t o r i i. Między tymi dwiema dyscyplinami zarysowywała się dawniej wyraźna granica.

Kierownictwo Badań zajęło wobec tego arcyważnego problemu stanowisko niedwuznaczne. W ogóle odrzuciło termin: prehistoria, wracając do starszej nazwy - archeologia. Wynikało to z założeń marksizmu. Ale niektórzy uczeni spod innego znaku samodzielnie dochodzili do tego samego przekonania.

W 1951 roku ukazała się książka profesora Kazimierza Tymienieckiego *Ziemie polskie w*

starożytności. Nie będący marksistą autor napisał swe dzieło przed wojną, a po jej zakończeniu musiał je odtworzyć, ponieważ spłonęło. Oto jego słowa: „Historia jest więc tą nauką ogólniejszą, w obrębie której tak prehistoria, jak i nauki posiadające wprawdzie własne swe cele nie równoznaczne bynajmniej z historycznymi, ale wkraczające mimo to w dziedzinę przeszłości, muszą się pomieścić.” I nieco dalej: „świadomość «historyczna» prehistorii nie może do niczego innego doprowadzić, jak tylko do utożsamienia się z historią w dziedzinie syntezy naukowej...”

Rozwiązanie zagadki powstania państwa polskiego będzie stworzeniem syntezy. Żadna kronika nie powie nam, co się tutaj, na ziemiach naszych, działo aż po X wiek naszej ery. Przygody poszczególnych postaci, rodów, dynastii - to na zawsze zamknięta tajemnica. Nigdy się nie dowiemy, która księżniczka komu oddała rękę i jak się jej małżeńskie pożycie układało. Nie ma powodów do kpin z tak zwanej historii historyzującej czy personalistycznej, bo żywa osoba człowieka to główna siła dziejotwórcza. Można i należy szczerze żałować braku sposobu zdobycia wiedzy o poszczególnych ludziach oraz o stworzonych przez nich faktach, niepodobna jednak zaprzeczać, że inna metoda poszukiwań pozwoli nam dojrzeć zjawiska bardziej ogólne.

Przy pomocy rzeczowych dowodów prawdy poznamy historię kultury nie tylko materialnej - gospodarczą i społeczną przeszłość kraju. Na tej podstawie będziemy mogli wnioskować o ogólnym przebiegu dziejów politycznych, czasami nawet wykopaliska wprost nam o nich powiedzą. Owe dowody rzeczowe wydobywa z ziemi łopata archeologa.

Nie należy rezygnować z argumentów najbardziej aktualnych i dlatego sięgam po to, o czym dowiedzieliśmy się całkiem niedawno. Dnia 4 kwietnia 1961 roku „Życie Warszawy” wydrukowało artykuł (podpisany „A. W.”) o wyprawie polskich archeologów... do Italii. Dowiedzieliśmy się, że Eleonora Tabaczyńska, Lech Leciejewski i Stanisław Tabaczyński, którym towarzyszy historyk, Karol Modzelewski, już tam pojechali i zabierają się do dzieła w Wenecji.

Nieoczekiwana wieść. Przecież na Półwyspie Apenińskim wykopaliska od dawna, stanowią chleb powszedni, czemuż więc Włosi zapraszają i na własny koszt sprowadzają do siebie Polaków? Autor artykułu zapytał o to Aleksandra Gieysztora i oto, co usłyszał w odpowiedzi: „Włosi mają wprawdzie rozbudowaną archeologię klasyczną, natomiast słabiej jest u nich rozwinięta archeologia wczesnośredniowieczna. Tymczasem problemy naukowe są u nich podobne do naszych. Wenecja powstała na wyspach, które wynurzały się z morza w sposób podobny jak nasz Półwysep Helski... Początki osadnictwa datuje się tam na wiek V i

VI, jednak źródła pisane o Wenecji pochodzą dopiero z wieku X, jej przeszłość wcześniejsza jest mało znana” - całkiem jak w Polsce. Zaproszono więc nad Adriatyk polskich fachowców, dobrze wyszkolonych w robotach wykopaliskowych, mających na celu badanie wczesnego średniowiecza, czasów najzupełniej historycznych, a w porównaniu z dobą Etrusków czy założenia Rzymu - stosunkowo niedawnych.

Nauka zajmująca się poszukiwaniem zabytków starożytnej kultury greckiej i rzymskiej zawsze nosiła nazwę archeologii.

Trudno pewnie będzie odpowiedzieć na następujące pytanie: dlaczego uczone, kopiące ziemię w poszukiwaniu wiadomości o Rzymie Juliusza Cezara, zowie się archeologiem, a jego kolega, czyniący to samo dla zdobycia wiedzy o pierwszej rezydencji dożów weneckich, nosić ma miano prehistoryka? W Polsce „prehistorycy” wiele nam ostatnio powiedzieli o stuleciu XII, o rzeczach, na które własnymi oczyma patrzyli nasi kronikarze, Gall i Wincenty Kadłubek.

Termin „prehistoria” myli, sugerując istnienie jakiejś epoki bytowania ludzkiego, która nie należy do historii właściwej, wyprzedza ją w czasie. Archeologia bada historię, stosuje tylko specjalną metodę poszukiwań.

III

Dziwne miejsce ten Biskupin. Wymarzone dla udzielania początkującym lekcji poglądowych na temat historii. Bo to przeczyta sobie człowiek uczoną tezę o ciągłości procesu dziejowego, dowie się, że kto chce zrozumieć, jak i wskutek czego uformowało się państwo polskie, ten musi głęboko sięgać w tak zwaną otchłań wieków - i niby wszystko pojmuje. Ale czegoś zdaje się brakować, jeszcze by się chciało zapiąć wiedzę na ostatni guzik, związać z konkretem. Biskupin dostarcza takiej możliwości.

Pojechaliśmy więc bryczuszką, na szczyt pagórka, panującego nad okolicą. Widok stamtąd niezbyt obszerny, zawsze jednak można ogarnąć okiem spory szmat ziemi wielkopolskiej. Zdzisław Rajewski informował mnie uprzejmie o nazwach poszczególnych wiosek, wskazywał, co godniejsze uwagi. Sądzę jednak, że w niniejszej relacji dobrze będzie te jego objaśnienia odwrócić w czasie, ustawić poniekąd na głowie. On zaczynał od rzeczy najstarszych. My postąpimy odwrotnie, naśladować archeologa, który zaczyna pracę od

zdejmowania najmłodszych nawarstwień historii, tych, co leżą na samym wierzchu.

Na widnokregu sterczała wieża kościoła, obok niej szczyty jakichś budowli. Tak się oczom naszym przedstawiło z oddali powiatowe miasto Żnin, miejsce urodzenia dwóch wielkich uczonych, Jana i Jędrzeja Śniadeckich. Przeciętny Polak nazwisko to wiąże tylko i wyłącznie z Wilnem, nie pomnąc (a najczęściej po prostu nie wiedząc), że ci dwaj znakomici profesorowie uniwersytetu wileńskiego byli Wielkopolanami krwi najczystszej.

Charakterystyczne zapomnienie... Od razu przychodzą na myśl cienie, ale też i blaski historii polskiej. Od czasów unii z Litwą odwracała się ona tyłem do Wielkopolski, to prawda. Ale Śniadecy szerzyli na Litwie nie imperializm polski, lecz europejską naukę w polskim wydaniu. Jędrzej był ponadto przywódcą szlachetnego Towarzystwa Szubrawców, redagował „Wiadomości Brukowe” (dopóki ich carska cenzura nie zamknęła). Walczył o poprawę doli chłopów - białoruskich, litewskich, polskich, wszelkich w ogóle, jacy mieszkali w byłym Wielkim Księstwie Litewskim. Jan należał do tych nielicznych, których naprawdę szanował Napoleon. Zaimponował cesarzowi odwagą cywilną, wielkim poczuciem godności własnej.

Urodzeni w Żninie, leżą w ziemi wileńskiej, której dzieje i kulturę tak wzbogacili. Towarzyszy im Joachim Lelewel z Warszawy rodem.

Sama nazwa Żnina znajomą nutą pobrzmiwa w uszach tych, którym lekcje literatury nie całkiem jeszcze wywietrzały z pamięci. Utrwała ją melancholijny rytm przekładu Syrokomli:

*Nad żnińskim bagnem jest wieś przejezdna,
Co się Janusza imieniem zowie;
Tamtędy niegdyś polscy królowie
Jeździli w pruską ziemię od Gniezna
I tam mój ojciec, mieszkaniec wioski,
Orał poczciwie grunt pradziadowski.*

Wieś Januszkowo, gdzie orał ziemię ojciec Klemensa Janickiego, istnieje do dzisiejszego dnia.

Janicki należał do tych, którym się wyjątkowo poszczęściło w życiu. Twierdząc tak, nie o tym nawet myślę, że łaska kilku po kolei wielkich panów wydzwignęła go z nizin i dopomogła osiągnąć szczyty. W XVI stuleciu takie wydarzenia przytrafiały się nieraz: Łukasz Górnicki (recte: Góra), jego wuj, poeta Anserinus, a po polsku Stanisław Gąsiorek z Bochni, sam Erazm Ciołek, mieszczanin, a nie żaden szlachcic... Nasz Złoty Wiek nie znał społecznej martwoty.

Wielu było w Polsce poetów lepszych od Janickiego, ale właśnie on osiągnął to, o czym daremnie by marzyli ci znacznie wybitniejsi. Otrzymać w Padwie laur poetycki, stanąć wśród twórców znanych na całym kontynencie. Pisał po łacinie, w języku powszechnie zrozumiałym. Dzięki łacinie nie było barier kulturalnych pomiędzy znińskim zaściankiem, Krakowem, Rzymem, Padwą a Paryżem. Nie było ich również na drodze do Madrytu i Lizbony.

Po przeciwległej stronie Jeziora Biskupińskiego, wśród kępy drzew, widać nowoczesny kościółek. Niedaleko wznosi się samotny odkos ceglanej ściany - szczątek zamku. Miejscowość, o której mowa, zowie się Wenecją. Cudzoziemska nazwa nie powinna dziwić - o dziesięć kilometrów dalej leży Rzym. o dwadzieścia i parę Szkocja. A jest także w Wielkopolsce i Bagdad. Mody na takie miana panowały w rozmaitych okresach czasu. Pierwsza, najstarsza, jedynie godna zapamiętania faza datuje się z doby szlacheckich wojażów po szerokim świecie. Późniejsza wynikała z propagandy idei imperialistycznych w dziewiętnastowiecznym państwie niemieckim.

Nazwa Wenecji, na którą spoglądamy przez jezioro, pamięta średniowiecze. U schyłku XIV wieku zbudował tam zamek niejaki Mikołaj Nałęcz, sędzia kaliski i kasztelan nakielski, dla srogości i okrucieństwa przezwany „diabłem weneckim”. Niezbyt zaszczytny przydomek z biegiem czasu przetworzył się w przysłowiową połajankę i zatarła się wieść o tym, że ów „diabeł” był kiedyś osobą z krwi i kości, mieszkającą wcale nie nad Adriatykiem, lecz nad rzeczką Gąsawką, nad jeziorem niedaleko Żnina. Zapomniano również losów Mikołaja. Za jego dni było jeszcze bardzo daleko do hasła: „Wolno w Polsce jak kto chce”, i dobrotliwy Władysław Jagiełło skazał złego sędziego na piętnaście lat więzienia.

Mamy aż nazbyt uproszczone wyobrażenia o dawnej Polsce. Pan Samuel Łaszczyłowski podsztybił sobie kiereżkę tekstami wyroków. To było w wieku XVII. Ale w XV, tuż przed Grunwaldem, król sądził i surowo karał rycerzy, którzy nie sprościli zadaniu obrony północnej granicy, nie wykonali tego wszystkiego, co zdaniem współczesnych leżało w ich mocy. Śledztwo przeciwko nim prowadzili „panowie i prałaci” Korony Polskiej i oni stawiali oskarżonych przed trybunatem monarchy. Jeden ze skazanych na utratę czci dostał obłąkania wskutek wstrząsu moralnego. Pod Grunwaldem odznaczył się męstwem i powrócił do dobrej sławy, ale nie do zdrowia.

Pokolenie, do którego należał ojciec Mikołaja Nałęcz, ustrzegło jednościci państwa po zgonie Kazimierza Wielkiego i Ludwika Węgierskiego - czyli po wygaścieniu dwóch dynastii w przeciągu lat dwunastu. Zerwało szkodliwy związek z Węgrami i w niczym nie gwałcał

prawa wezwało na Wawel Jadwigę pod tym jedynie warunkiem, że przyjąwszy koronę pozostanie w Polsce na zawsze. To pokolenie przezwyciężyło kryzys polityczny. Nie pozwoliło historii kraju cofnąć się w tył, do rozbitcia dzielnicowego, w którym Polska, zgodnie z powszechną normą europejską, trwała przez lat sto kilkadziesiąt i z którego za Władysława Łokietka ostatecznie wyszła.

Zbiegiem okoliczności na polach koło Biskupim rozegrał się jeden z najważniejszych aktów dramatu rozpadania się państwa na dzielnice w wieku XIII.

Tym razem nie trzeba spoglądać na jezioro. Należy natomiast odwrócić się i przyjrzeć pobliskiej szosie, przebiegającej o parę kilometrów samym niemal skrajem widnokągu. Jechałem nią wczoraj. Autobus posuwał przed sobą wąską smugę światła, które nagle wyłowiło z mroku tablicę z napisem: Marcinkowo. Wkrótce potem ukazała się jeszcze druga - Gąsawa. Gdzieś tu obok stał przed wojną pomnik z białego kamienia. Przedstawiał nagiego jeźdźca ze strzałą w plecach.

Rzeźba wznosiła się podobno w tym samym miejscu, w którym w roku 1227 wyzionął ducha Leszek Biały, władca Krakowa - i teoretycznie tylko całej Polski - pocziwiec, który nie chciał nawracać Prusów mieczem, doradzał za to handlowe przenikanie do ich kraju, na wyprawę krzyżową nie ruszył, bo w Palestynie brakło piwa i miodu, a w walce o całość państwa usiłował oprzeć się na duchownych feudalach - przeciwko świeckim. Zabójców nasłał nań Świętopełk, urzędnik książęcy z Gdańska, który postanowił zagarnąć władzę nad Pomorzem Wschodnim i postawił na swoim. Leszek prażył się w łaźni - zdążył jeszcze dopaść konia, ale między Gąsawą a Marcinkowem i jego dopadli.

Ocalił wtedy życie sojusznik Leszka, Henryk Brodaty. Wrocławskiego księcia zasłonił własnym ciałem rycerz imieniem Peregryn. Henryk zdecydowanie dążył do przywrócenia Polsce jedności, swój polityczny dorobek i program przekazał synowi, również Henrykowi, z przydomkiem Pobożny. Plany śląskich Piastów przekreślił najazd Tatarów w roku 1241.

Pomnik Leszka Białego zniszczyli Niemcy, zaraz jak tylko okupowali Wielkopolskę. Czas najwyższy odrobić, co się stało. Pomnik wzniesiony nie na żadnym placu defilad, nie w mieście nawet, lecz w szczerym polu, na samym miejscu zdarzenia, które przedstawia, to wyjątkowo uroczy sposób czczenia własnej historii. Pomnik jak krzyż przydrożny.

Tak oto, nie oddalając się nigdzie, spoglądając tylko po łąkach i polach od Żnina po Marcinkowo, dowędrowaliśmy niemal do tej granicy, którą według dawniejszych podziałów uznać by wypadało za kres „historii” tego szmatu ziemi. Jeszcze pozostało nam bowiem

popatrzeć stąd ze wzgórza na znane już stanowisko XVa, czyli na teren wsi Stari Biskupici, wymienionej przez papieża Innocentego II w roku 1136. Żadnej starszej notatki o tych stronach nigdzie nie ma. Czyżby więc naprawdę należało poprzestać na omówionych dotąd mizernych ośmiuset latach, resztę zaś podarować „prehistorii” ?

Kolorowa tyraliera na stanowisku XVa zaprzestała na chwilę kopania. Wszyscy się wyprostowali i pilnie obserwują wkraczający, a raczej wtaczający się w pole widzenia dowód uczestnictwa tych ziem w cywilizacji XX wieku. Zza rogu wsi ze zgrzytem i sapaniem wytacza się parowozik wąskotorówki. Za nim jeden wagon osobowy i pięć czy sześć towarowych. Ręczony pociąg kursuje tędy aż dwa razy na tydzień. Tor wiedzie pomiędzy jeziorom a „piętnastką”.

Ale przecież w Biskupinie kopią nie tylko na tym jednym miejscu. O wzgórzu, na którym Lechosław Rauhut komenderuje odgrzebywaniem wędzarni, już wspominałem. Oprócz tego bardzo intensywne roboty trwają na samym półwyspie i u jego nasady. Wszystkie cztery punkty pracy wiążą się w jedną logiczną całość. Wydobywa się mianowicie rzeczy sprzed X wieku oraz późniejsze, w każdym razie z tej doby, która dotychczas uznawana była za sam świt naszej państwowości. (Stari Biskupici wymienione zostały w roku 1136, ale z tego nie wynika jeszcze, że je dopiero wtedy zbudowano.) O charakterze tych ważnych wykopalisk będę jeszcze mówić później. W tej chwili zapytuję tylko, czy możliwe jest wydzielenie z tego kompleksu owych Starych Biskupie dla historii, a odpisanie reszty dla „prehistorii” jedynie z tego tytułu, że kroniki wzmiankują tylko o wiosce? Wydaje się, że byłaby to czynność pozbawiona podstaw logicznych.

W wieku X stanął na półwyspie maleńki gródek, jeden z ośrodków administracyjnych państwa już ponadplemiennego, polskiego. Więc może z tego tytułu, biorąc pod uwagę, że X stulecie znane jest z kronik, prawo do tego gródka przyznać historii, rezerwując dla „prehistorii” rzeczy jeszcze dawniejsze? Nie da się przeprowadzić takiej operacji, bo wzmiankowana forteczka wznosi się na rozwalinach starszego umocnienia z epoki plemienną, częściowo z nich korzysta. I samo przez się zrozumiałe, że jest spadkobierczynią poprzedniego okresu dziejów. Nie można więc wykreślać między nimi jakiejś fikcyjnej granicy, kroić zrośniętego organizmu. Obie twierdze są świadkami jednej i tej samej nieprzerwanej historii, której przebieg badać tutaj możemy wyłącznie za pomocą łopaty, szpadelka i sita.

Gródek z epoki państewka plemiennego, czyli ten starszy, zbudowano może w wieku VIII na szczątkach jeszcze dawniejszej półotwartej osady z VII stulecia, która zajmowała cały

półwysep i stanęła na podłożu resztek słynnego w Polsce i Europie „łużyckiego” osiedla z VI-V wieku przed Chrystusem.

Można się śmiało zakładać o najgrubsze pieniądze, że słowo „Biskupin” natychmiast wywoła w umyśle słuchacza skojarzenie z tym prastarym „miastem”. Figuruje ono w naszej świadomości jako fakt oderwany, jednorazowy, zamknięty. A przecież widzieliśmy - prawdziwy Biskupin to istny przekładaniec historii. Poszczególne jej epoki nawarstwiły tu gruba zrosnięte w skomplikowaną całość złoże. I nie warto łudzić się, że owo „łużyckie” osiedle stanowi sam jego spód. Zaraz posuniemy się dalej w głąb. Ale przedtem maleńka przerwa w wędrówce. „Łużycki” Biskupin jest bowiem dokumentem jednego z najważniejszych rozdziałów naszej przeszłości. Nie można więc tak sobie mimochodem obok niego przewędrować, od niechcienia tylko rzuciwszy okiem na poczerńiałe belki sterczące z bagna lub z płytkiej wody zalewów. Niezbyt dawno temu całe to drewno kryła błotnista łąka...

Zjawisko określane przez uczonych mianem „kultury łużyckiej” zaczęło się krystalizować we wczesnym okresie epoki brązu, czyli 1800-1500 lat przed Chrystusem, a wykształciło się ostatecznie już około roku 1300. Końcową datę jego trwania oznacza się mniej więcej na rok 100 przed naszą erą. Sama zaś nazwa pochodzi od najstarszych wykopalisk tego typu dokonanych na Łużycach i wcale nie oznacza, że kultura „łużycka” do tych tylko terenów się odnosi (właśnie dlatego potrzebny jest cudzysłów, podkreślający umowność nazwy, wymyślonej przez archeologów; bo przecież nie dotarło do nas ani jedno słowo z mowy ludu, który tę kulturę stworzył). Właściwą jej ojczyznę stanowi dorzecze Odry i Wisty, chociaż sięgała ona znacznie dalej, za Łabę i Karpaty.

Specjaliści nie są zgodni co do początków kultury „łużyckiej”. Profesor Tadeusz Lehr-Splawiński; autor książki *O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian*, utrzymuje, że fundamenty jej położyło najście ludu, który przyszedł z terenu dzisiejszych Niemiec (z Turyngii) i zmieszał się z poprzednimi mieszkańcami naszych ziem. Co innego głosi profesor Tymieniecki. Według niego o żadnej inwazji w ogóle mówić nie można. Kultura „łużycka” jest wytworem miejscowym, wynikiem poprzedniego rozwoju cywilizacyjnego. Kultury dawniejsze („przedłużycka”, „trzcinińska”) znajdują w niej swe ujście i naturalne przedłużenie.

Inne rzeczy nie ulegają za to wątpliwości. Kultura „łużycka” była dziełem ludu rolników i hodowców bydła, z dawną prowadzącą osiadły tryb życia. Wytwory jego rąk świadczą o wysokim poziomie cywilizacji. Przyjętym w archeologii zwyczajem bierze się pod uwagę przede wszystkim ceramikę, czyli wyroby garncarskie. Znamy je zwłaszcza ze znalezisk

grobowych. Bo lud „łużycki” wprowadził nie znany dawniej zwyczaj palenia zwłok. Popioły grzebał w pięknych urnach-popielnicach, obok których umieszczało się w mogiłach liczne naczynia „przystawkowe”.

Archeologowie znajdują w wykopach wiele skorup naczyń. Jest ich zawsze najwięcej. Ceramika służy fachowcom do wyróżniania „kultur”, a także jako czynnik pozwalający określać wiek znaleziska. W drodze żmudnych dochodzeń naukowych udało się bowiem ustalić, kiedy był w użyciu dany typ naczyń i ornamentów na nich. Nie można jednak zapominać, że garncarstwo było jedną z wielu gałęzi wytwórczości. Istnieją wszak jeszcze - prawda, że rzadziej spotykane - inne narzędzia pracy oraz przedmioty codziennego użytku. W kulturze „łużyckiej” wszystko to świadczy o wysokim rozwoju nie tylko umiejętności technicznych, lecz także organizacji społecznej i poczucia artystycznego.

Chociażby sam Biskupin... Istne miasto, obliczone na jakichś, tysiąc lub tysiąc dwieście mieszkańców, wybudowane od jednego zamachu, według z góry powziętego planu. Niby prosta rzecz - dla przyzwyczajen nam współczesnego człowieka. Jak to jednak dwadzieścia pięć wieków temu z masy dowiezionego na półwysep drewna nie utworzył się jeden wielki zator? Organizacja pracy!

Lud „łużycki” jest dziś przez większość uczonych uważany za bezpośrednich przodków Słowian. Za. Prasłowian po prostu. Moment skryształizowania się kultury „łużyckiej”, która nigdy nie przekroczyła Niemna i Pregoly, rozpoczyna historię Słowiańszczyzny. Rozbita wtedy została pierwotna jedność językowa „protobałtycka”, w której mieścili się pospół przodkowie Słowian i ludów bałtyckich, czyli dzisiejszych Litwinów, Łotyszów oraz wymarłych bądź wymordowanych Prusów, Sudawów, Jadźwingów. Bałtowie pozostali w swej praojczyźnie. Słowianie też, ale z czasem rozprzestrzenili się w sposób niebywały;

Profesor Lehr-Spławiński stawia ostrożną tezę, że lud „łużycki” nie powinien być utożsamiany z Prasłowianami, aczkolwiek był „bardzo ważnym współczynnikiem powstawania ludu i kultury prasłowiańskiej”.

Najpierwszy archeolog polski, profesor Józef Kostrzewski, pisze w *Kulturze prapolskiej* tak: „Prastare, w ogromnej swej przewadze rdzennie rodzime imiennictwo topograficzne Polski świadczy o odwiecznym zaludnieniu ziemi naszej przez Słowian, którzy mieszkali tu co najmniej od chwili swego wyodrębnienia się (wraz z Bałtami) z pierwotnej wspólnoty językowej indoeuropejskiej, a zatem przynajmniej od połowy drugiego tysiąclecia przed Chrystusem.”

Co się tyczy wspomnianej wspólnoty indoeuropejskiej, to profesor Tymieniecki powiada, że ojczyzną Indoeuropejczyków są ziemie od Renu aż po eurazjatycki step. Jest w jego książce mapa przedstawiająca wyroje Indoeuropejczyków. Strzałki, które symbolizują pochody Germanów (do Skandynawii), Traków, Greków, Ilirów, Celtów - rozchodzą się odśrodkowo z naszych i z niemieckich ziem.

Można z rozmaitych stron zaglądać w perspektywę tych prastarych spraw, zawsze okaże się jedno - nie od wieków, ale od tysiącleci siedzimy na swojej ziemi.

Z pozoru się wydaje, że w tym wszystkim jest pewna luka. Szukamy dowodów ciągłości historii. Czynimy to w określonym, konkretnym miejscu w Biskupinie. Tymczasem zaś pomiędzy grodem „łużyckim”, współczesnym Peryklesowi, a otwartą osadą z VII wieku po Chrystusie tak jakby nic nie było. Pustka.

Zerwaną nic łatwo nawiązać, i to w sposób dość efektowny. Wystarczy przejść się do wsi Biskupim która leży blisko, nad tym samym jeziorem. Jest tam drewniana chałupa, postawiona coś sto lat temu. System jej budowy jest ten sam, identyczny co i łątkowo-sumikowa konstrukcja „łużyckich” domów na półwyspie.

Ale nie na tej jednej niteczce trzyma się teza o łączności kultury „łużyckiej” z czasami znacznie późniejszymi.

Gród na półwyspie (który ongi był wysepką) otaczał pionowy wał o tak zwanej skrzyniowej czy izbicowej budowie: wysokie i mocne skrzynie z bierwion kładzionych na zrąb, wypełnione w środku ubitą ziemią. Takież sam sposób obwarowywania spotykać będziemy w fortalicjach słowiańskich, późniejszych o tysiąc kilkaset lat. W tym typie umocnień szczególnie lubowali się Słowianie wschodni. Skrzydła wrót biskupińskich obracały się na drewnianych czopach. Całkiem podobnie robiono drzwi w XII stuleciu, w chrześcijańskim Gdańsku i Opolu. I tak samo moszczono ulice drewnem.

Kultura „łużycka” z biegiem czasu przekształciła się w kulturę „grobów jamowych” (u Słowian wschodnich kultura „pól grzebalnych”), która posiada już bezpośrednie związki z prapolską cywilizacją wczesnego średniowiecza. Do tych spraw powrócimy jeszcze przy opisie podkrakowskiego Tyńca.

Ale „łużycki” Biskupin nie wykwił dwa i pół tysiąca lat temu żadnym cudownym przypadkiem. Społeczność ówczesna musiała przejść długi okres rozwoju, skoro stać ją było na powzięcie i wykonanie planu urbanistycznego. A była to społeczność osiadłych rolników. Pierwszy zaś człowiek, który w starszej epoce kamiennej pokazał się nad tą szeroko rozlaną

wodą, należał do wędrowniej hordy łowców reniferów. Tak więc między chwilą zgubienia przezeń harpuna a dobą wzniesienia grodu na wysepce dokonać się musiał zasadniczy przelotu w dziejach ludzkości, rewolucja tak ważna, że - bez przesady mówiąc - analogii dla niej szukać trzeba chyba aż w fakcie opanowania energii atomowej. Mowa naturalnie o wprowadzeniu rolnictwa.

Dla ziem polskich dokonał tego lud, którego ślady występują nad Jeziorem Biskupińskim. Wspominałem już o nim. Obecność jego stwierdzają archeologowie, ilekroć wykopią z ziemi garnek ozdobiony ornamentem o kształcie wstęgi. Twory jego ręki zowią się kulturą „ceramiki wstęgowej”. Zjawił się u nas jakieś cztery tysiące pięćset lat temu. Przywędrował z południa, od strony Morza Śródziemnego. Po nim to - być może - posiadamy do dziś dnia pamiątki w postaci nazw Tczewa, Rozewia i Wierzycy, które są pochodzenia etruskiego.

Wyróżnia się go i mianuje według jego kuchennych naczyń. Na ten ich niesłychany awans można się godzić tylko z największymi zastrzeżeniami. Formy i ozdoby ich są charakterystyczne, stanowią więc dobry środek rozpoznawczy. Ale wszystkie te garnki razem wzięte nie są warte jednego jedyne go okazu narzędzia, jakim ten lud władał - jego rogowej lub kamiennej motyki, zrobionej ze zwyczajnego łupku lub niekiedy nawet z nefrytu! Motyka ta - najstarsze u nas narzędzie rolnicze - posiadała kształt półeliptyczny i nie miała otworu. Widocznie przywiązywano ją do drewnianego trzonka o kolankowatym zagięciu.

Motyka spowodowała zasadnicze zmiany w bytowaniu ludzkim. Dając początek pokojowej pracy rolniczej, związali człowieka z ziemią, umożliwili ogromny wzrost gęstości zaludnienia, spowodowali tworzenie się większych związków społecznych o trwałym charakterze oraz o odrębnych typach kulturalnych.

Zapoczątkowali rolnictwo... Stoimy na wzgórzu nad jeziorem i rozglądamy się po kraju, który do dzisiejszego dnia jest przeważnie rolniczy. Olbrzymia większość walk, z których te i owe poprzednio wymieniłem, toczyła się tu właściwie o władzę nad ziemią orną oraz nad dochodami z niej płynącymi, gdyż dopiero ich posiadanie stwarzało trwałą podstawę władzy nad ludźmi. Zarówno „diabeł wenecki”, jak i protektorzy Klemensa Janickiego byli właścicielami rozległych obszarów roli. Czy mogliby kogokolwiek skazywać lub popierać, gdyby nie te włości? Tylko bez uproszczeń i przesady! Wola królewska mogła wyposażyć człowieka w moc rozkazywania innym ludziom. W XIV stuleciu świetną i błyskawiczną karierę zrobił u nas Jan Radlica herbu Korab, szlachcic wielkopolski wcale niemagnackiego rodu. Zaszedł wysoko, bo aż na krakowską stolicę biskupią i stopień jednego z wielkorządców państwa, ponieważ przedtem zdobył zaufanie Ludwika Węgierskiego jako

biegły lekarz. Skoro ośrodek władzy monarszej utworzył się i przetrwał, to tym samym zaczął grać rolę samoistnego czynnika, kształtującego dzieje. Jego postanowienia mogły wpływać nie tylko na losy poszczególnych osób, lecz także i na przyszłość całego narodu. Toteż wpłynęły na nią - w sensie dodatnim, gdy Kazimierz Wielki postanowił odroczyć termin rozgrywki z Krzyżakami, a w ujemnym, gdy Zygmunt Stary nie dobił tychże Krzyżaków, chociaż mógł to zrobić. Oba fakty potraktowałem tu oczywiście jako przykłady, innych argumentów można mieć wiele na każde zawołanie.

Ale sam ośrodek władzy uformował się i utrwalił dlatego, że panujący posiadli zdecydowaną i trwałą przewagę materialną nad poddanymi. (Kiedy ją później, za Jagiellonów, lekkomyślnie stracili - władza polityczna istniała, dopóki sami poddani o nią dbali, co nie mogło trwać bez końca; potem przemieniła się w fikcję.) A więc rodowód ośrodka władzy pozostaje w jak najściślejszym związku z rozwojem gospodarczym kraju, nad którym pracowały tysiąclecia.

Streszczajmy się: niepodobna wykreślić granicy pomiędzy krótkim okresem historii spisanej a epoką „ceramiki wstęgowej”.

CZOŁO ZIEM POLSKICH

I

Istnieje zasadnicze podobieństwo pomiędzy fortalicjami, kiedykolwiek je wzniesiono - jeżeli tylko do budowy użyto ziemi. Widziało się przecież niejedną forta z okresu przed pierwszą wojną światową. Tkwią w pamięci pochyłe płaszczyzny ogromnych nasypów, ucięte u góry linią poziomą. Z biegiem czasu przestarzałe umocnienia popadły w ruinę. Tu i ówdzie rozplenia się na nich sośniak czy zagajnik brzozowy. Okoliczny wieśniak bez ceremonii brał stamtąd piasek, kopał głębokie doły, coraz bardziej niszcząc wyraźne niegdyś zarysy przedpiersi i zapleczy. W stanie nienaruszonym pozostawała sama tylko sylweta masywu. Oglądana z daleka, stwarzała pozór nienaturalnej narośli czy wrzodu na licu ziemi.

Kontury prastarych grodzisk polskich czas zdążył jeszcze lepiej opłować. Wały ich zmalowały do połowy, nieraz do jednej trzeciej pierwotnej wysokości. Rozorały je pługi, rozmyły deszcze i słoty stuleci. A jednak i dzisiaj oko od razu wyróżni sztuczne obrzmienie gruntu, ścięte od góry jakby nożem. Najbardziej fantastyczna rzeźba terenu nie zwróci tak uwagi, jak ten obcy naturze zarys prymitywnych linii - monotonna pochyłość i sztuczny poziom.

Droga prowadzi w kierunku takiego właśnie obrzmienia, które tym bardziej jest widoczne, że leży na powierzchni wielkiego obszaru łąk.

Idziemy aleją, ale próżno w niej szukać odrobiny cienia. Po obu stronach czarnej grobelki sterczą rosochate, pokracznie powyginane ramiona olbrzymich ostów - „popłochów”. Żółte słupki dziewanny na chłopa wysokie. Na dobre buchnęło jednak żarem dopiero wtedy, kiedyśmy weszli między pionowe, niczym nie osłonięte ściany wykopów.

Wyobraźmy sobie, że wzięliśmy połówkę cebuli i ułożyli ją na stole płaszczyzną w dół oczywiście - potem zaś bardzo ostrym nożem jeszcze raz przekroili wzdłuż osi na dwie ćwiartki, które rozsunęliśmy nieco, tak by powstała między nimi „uliczka”. W ścianach tych ćwiartek wyraźnie widać łukowate jednobarwne warstwy. A teraz wyobraźmy sobie jeszcze, że każda ze ścianek ma pięć metrów wysokości, poszczególne warstwy stanowią żółto-czarno-bury przekładaniec, który pstrzą ponadto plamy odmiennych kolorów, a uliczka jest dostatecznie szeroka, aby zmieścić całą gromadę ludzi.

Znaleźliśmy się oto w przekopie, którym przecięto wał grodziska w Tumie pod Łęczycą.

U przeciwnego wylotu pokazuje się zażywna postać, podpierająca się laską. Spieszmy ku nam jowialny, tęgawy i dobroduszny pan, ubrany w pumpy i rozchełstaną koszulę. Wita się, ociera chustką opaloną na brązowo łysinę i z westchnieniem spogląda w blade niebo.

- Pali akurat tak samo jak we wrześniu dwanaście lat temu! Może od razu do naszych apartamentów.

Wolimy jednak nie korzystać z zaprosin gospodarza, profesora Konrada Jażdżewskiego, kierownika prac wykopaliskowych w Łęczycy oraz w Gdańsku. Apartamenty jego widać bowiem dokładnie. Wznoszą się mniej więcej pośrodku grodziska, w zakolu jego wałów. Są to zwykle baraki z desek, kryte papą. Jest tam pewnie teraz niczym w łaźni. Zostajemy więc na miejscu.

Obwiedziony gumą koniec laski profesora Jażdżewskiego zaczyna teraz opisywać szerokie kręgi. Pionowa, pocięta różnobarwnymi pasmami ściana wykopu okazuje się jedynym w swoim rodzaju preparatem archeologicznym. Pomału zgłębiamy jej tajniki.

Grodzisko leży pośród bardzo rozległych łąk. Jest to pradolina Bzury, niedaleko ku północy łącząca się z doliną Prawisły, która tysiące lat temu płynęła nie tak jak dzisiaj, lecz na zachód. Urodzajny, bezleśny, tratwy do uprawy kraj z dawien dawna wabił ku sobie osadników.

Łąki naokoło są w tej chwili raczej suche, zostały przecie jako tako zdrenowane. Sama Bzura płynie obecnie zupełnie inaczej niż kiedyś. Tafla jej połyskuje u zachodniego krańca płaszczyny, dalej piętrzą się dachy Łęczycy. Ongi całe błonie było jednym wielkim moczarem. Na kępie sterczącej może o metr ponad poziom bagniska stało pierwsze, najstarsze tutaj umocnienie. W IV - VI wieku po Chrystusie nieznani budowniczości wbili w ziemię pale prymitywnego podwójnego częstokołu. Jego źle zachowane ślady ujawniono wprost w calcu.

Zanim jednak je ujawniono, przeszły całe miesiące żmudnej pracy rąk, oczu i mózgów. Naturalną rzeczą kolejną kopanie musiało się zacząć od samego szczytu wału. Warstewka za warstewką schodzili archeologowie w dół.

Wyskrobano tyle ziemi, że starczyło jej akurat na usypanie tamtej grobelki, wzdłuż której rosną teraz wielkie osty i smukłe dziewanny. I tak w pierścieniu wałów powstała kilkumetrowej szerokości przerwa. Uwidocznione w jej ścianach losy grodziska można

odczytywać niczym z otwartej księgi.

Gdzieś między VI a VIII stuleciem zjawili się ludzie, którzy postanowili wznieść nowe, doskonalsze umocnienie. Szczątki starego częstokołu zostały zasypane ziemią i przykryte grubym płaszczem gliny (laska profesora pokazuje kolejno ciemne półkole u samego spodu i tuż nad nim żółtą, półkolistą, zwężającą się ku krańcom warstwę). Na tym dopiero, jakby na podstawie, stały fortyfikacje właściwe, drewniano-ziemne. Była to tak zwana przekładka, czyli konstrukcja rusztowa. Grube belki kładziono na przemian, raz równoległe, raz poprzecznie względem kierunku wału. Od zewnątrz bronił przystępu zasiek z mocnych zaostrzonych kołów, sterczących pod kątem 45 stopni.

- Samego drewna było w tej przekładce dwadzieścia warstw - powiada profesor takim tonem, jakby to on ufortyfikował Tum łączycki. Mogą państwo policzyć i sprawdzić. A ślady zasieków widać też bardzo wyraźnie.

Istotnie, można porachować nawet bez wspinania się na drabinę. W ciemnej warstwie okrywającej owo gliniane jądro pozostały po kłodach przekładki mdłe, niewyraźne prążki i lekkie ślady próchna. Drewno zetlało niemal do szczytu. Sprasował je ciężar później jeszcze nasypanej ziemi. Potężne bierwiono dawnego zasieku wygląda dziś jak ciemna, dość długa, lekko w dół wygięta smużka, jak ślad po wtłoczonym w glinę i zupełnie przerdzewiałym drucie.

Ładnych kilkaset lat trwało to umocnienie, zanim - już w XII stuleciu - w nie uszkodzonym przez człowieka stanie dostało się pod kolejny nasyp. Bardzo musiało być spokojnie w tych centralnych ziemiach Prapolski, skoro ani w pierwszej ani w drugiej fazie grodu nie znać świadectwa ruiny wojennej, czyli węgla - dowodu pożaru. (A zresztą, skąd pewność, czy naprawdę było tak spokojnie? Niejedną twierdzę zajęto rozmaitymi czasy zdradą, nie niszcząc jej urządzeń.) Obie fortalicje, starsza i młodsza, umarły śmiercią naturalną, zbutwiały. O następnym rozdziale dziejów Tumu opowiada już nie tylko ściana przekopu, lecz także pisana historia.

Kronika Gala donosi, że Bolesław Krzywousty odnowił starą twierdzę i umocnił ją „*contra Masoviam*”, przeciwko Mazowszu. Było to w roku 1107, podczas walk pomiędzy przyrodnimi braćmi - Krzywoustym i Zbigniewem.

Ciekawe i znamienne, że Krzywousty w wieku XII trzymał się mniej więcej tej samej metody działania co i budowniczowie drugiej fazy w stuleciu VIII, VII czy może nawet VI. Zrujnowane dawniejsze fortyfikacje kazał mianowicie grubo pokryć gliną (profesor znowu

puścił w ruch laskę, tym razem jednak sięgnął wysoko ponad głowę i pokazał kolejną, żółtą warstwę przekładańca). Nowość polegała na skrzepieniu nasypu wpuszczonymi weń poziomo belkami (to są te smugi, wyglądające jakby kto palcem czarną farbę rozsmarował). Na tej dopiero podstawie stanęły właściwe umocnienia. Szczyt ich wznosił się na dziesięć czy nawet na dwanaście metrów ponad poziom mokradeł, a szerokość u dołu równała się bitym piętnastu metrom.

Rdzeń nowego wału stanowiła również przekładka, zakończona od góry potężną konstrukcją skrzyniową, zawierającą ziemię i kamienie. Podobne izbice przylegały od frontu, mając utrudniać podtaczanie machin oblężniczych.

Miejsce to musi się bardzo oryginalnie przedstawiać z lotu ptaka. Wprost z góry tak pewnie wygląda, że wokół grodziska, niby wokół pluśniętego w wodę kamienia, obiegają współśrodkowe kręgi, które zastygły w bezruchu. Jest ich trzy. Tyluż bowiem niższymi zaporowymi wałami i tyluż fosami otoczył Krzywousty główną twierdzę. Od strony wschodniej te dodatkowe fortyfikacje już rozkopano, odsłaniając między nimi coś w rodzaju mostu. Gdzie indziej tylko lekkie sfałowania łąki znaczą ich ślad.

Ostatnią fazę grodu w Tumie wzniesiono zatem w roku 1107, za czasów Galla Anonima, naszego pierwszego kronikarza. Można przyjąć za bardzo prawdopodobne, że on patrzył na te wały własnymi oczyma. A już na pewno wiedział, w jaki sposób organizowało się wtedy podobne roboty.

Opisując oblężenie Głogowa przez Niemców wcale wiernie przedstawił metody natarcia i obrony: „Niemcy nakręcali kusze ręczne, Polacy zaś maszyny z kuszami; Niemcy wypuszczali strzały, a Polacy strzały i inne pociski; Niemcy zataczali proce z kamieniami, a Polacy kamienie młyńskie i silnie zastrzone pale. Gdy Niemcy, zakryci przykrywkami z desek, usiłowali podejść pod wał, to Polacy sprawiali im łaźnię wrzącą wodą, zasypując płonącymi głowniami. Niemcy podprowadzali pod bramy żelazne tarany, Polacy zaś staczali na nich z góry koła, zbrojne stalowymi gwiazdami. Niemcy po wzniesionych drabinach pięli się do góry, a Polacy, zaczepiając ich hakami żelaznymi, porywali ich w powietrze.”

Patos wielkiej wojny uznał widać Gall za godny kronikarskiego pióra. Sposoby i sam przebieg wznoszenia takich grodów, jak Głogów i Łęczyca, zupełnie zlekceważył. Nie wiemy niczego o organizacji tych rozległych prac ani się domyślamy wyglądu obozowisk wykonawców. Nie wiemy, kim byli i skąd się brali majstrowie, którzy umieli tak świetnie związać masy ziemi i drewna, że wały grodu łęczyckiego jeszcze w 1945 roku posłużyły

Niemcom za punkt oporu przeciwko Armii Czerwonej.

Wszystko zapomniane jak najdokładniej! Archeologowie odkopują szczątki belek, które są nieme i nie opowiedzą, jak je tu dostarczono. I jeżeli kronikarz patrzy na to z zaświatów, wyrzuty sumienia psują mu pewnie słodycz osiągniętego zbawienia.

Rozkrojona ściana nie posiada już dla nas tajemnic. Bo i pochodzenie tej tam - wysoko w górze - czarnej plamy wyjaśniają kroniki. To węgiel, rodem dokładnie z 1293 roku. Nagły najazd Litwinów puścił wtedy z dymem gród, naówczas już siedzibę księcia łęczyckiego. Spłonęły skrzyniowe konstrukcje, zwolnione z uwięzi ziemia i kamienie runęły w dół, zasypując pierwszą fosę. Ocalałe drewno zbutwiało z biegiem czasu do grubości niteczek, wał osiadł - i dzisiaj, jeszcze potężny, liczy akurat połowę pierwotnej wysokości.

Napad Litwinów i katastrofa musiały się zdarzyć w porze cieplej, bo wkrótce spadł niewątpliwie wielki deszcz. Milczą o tym kroniki, ale świadczy charakterystyczne rozmycie pogorzeli, czarne smugi zacieków, widoczne w rozsypisku.

Ów węgiel, pozostawiony przez Litwinów tak daleko na lewym brzegu Wisły, aż na pograniczu Wielkopolski, to coś znacznie więcej niż ciekawostka historyczna. On należał do argumentów, które spowodowały wielką zmianę kursu naszych dziejów, skłaniając Polaków do zawarcia unii z Litwą. Naczelnym jej motywem była bowiem wcale nie żadna żądza zaborów na wschodzie, lecz odwrotnie - chęć zabezpieczenia wschodniej połaci państwa przed niszczącymi napadami. W średniowieczu małżeństwa monarsze stanowiły normalny środek do osiągnięcia takich celów.

Litwini sprawili pożar aż nad Bzurą. Później Kazimierz Wielki rozbił nad tą samą rzeką ich niszczący zagon, którego nie zdołali powstrzymać książęta mazowieccy. Najazdy wypłoszyły najstarszą Warszawę z prawego brzegu Wisty na lewy. Z tegoż powodu urodzajna Lubelszczyzna była w wieku XIV słabo zaludniona. Litwa nie zagrażała bytowi Polski ani nawet Mazowsza, nie miała po temu dostatecznej siły. Ale dokuczała nieznośnie, upuszczała krew, przeszkadzała normalnemu zagospodarowaniu Zawisła. Należało temu zapobiec.

Nikt z twórców pierwszego z nią układu nie mógł przewidzieć wszystkich jego wyników, ale rozumowanie w zasadniczej sprawie okazało się jak najbardziej poprawne. Kiedy w roku 1569 zawierano w Lublinie ostateczny akt unii, Lubelszczyzna i skolonizowane przeważnie przez Mazowszan Podlasie zaliczały się do najgęściej zaludnionych dzielnic Polski. A sto kilkadziesiąt lat wcześniej świeciły pustkami.

Wykopaliska podłęczyckie pozwalają na myślowe wycieczki w późną epokę dziejów,

choć właściwym ich celem było zbadanie budownictwa obronnego w stuleciu XII i wiekach wcześniejszych.

Nie wiem dokładnie, ile czasu spędziliśmy z profesorem Jażdżewskim w jego przekopie. Zdaje się jednak, że nie dłużej niż jakieś półtorej godziny trwała wędrówka poprzez osiem stuleci sztuki fortyfikacyjnej. Widzieliśmy nikle ślady częstokołów z IV wieku i późniejszą przekładkę, w której przestrzenie między krzyżującymi się bierwionami były wypełnione ubitą ziemią. Potem jeszcze nawarstwiła się na to konstrukcja skrzyniowa, połączenie drewna, ziemi i kamienia (a na niej wznosiła się jeszcze na pewno palisada). Mielśmy więc przed oczyma wszystkie trzy rdzenie słowiańskie typy fortyfikacji. Sprawdziliśmy, jak się one nawzajem przenikają, śledziliśmy ich ewolucję, nieustanny ciąg rozwojowy. Nic nie świadczyło o wtargnięciu obcego elementu, który by przyniósł jakieś nowe, nie znane Słowianom umiejętności. Budowle skrzyniowe mogliśmy przecie podziwiać już w Biskupinie, starszym od Krzywoustego o tysiąc siedemset okrągłych lat. Przekładki zaś i częstokoły znajdziemy wszędzie, jak Polska i Słowiańszczyzna długie i szerokie.

Kto będzie kiedykolwiek w Tumie pod Łęczycą, ten niechaj nie zapomni przypatrzeć się tej części wału, którą nam Krzywousty pozostawił w spadku po sobie. Zmurszała przekładka wygląda jak cienkie warstewki torfu, poukładane jedna na drugiej. Próchno stwarza pozór. Ten torf, jego rzekoma obecność w wałach polskich grodów, to całkiem niezmiernie poważne zagadnienie naukowe. Torfu jako materiału do budownictwa obronnego używali germańscy Wikingowie.

Przed wojną niemieccy badacze rozkopali Wolin i na podstawie „argumentu torfu” stwierdzili jego normański rodowód. Odkrywki ich dawno już zasypano. Ale dzięki ocalałym fotografiom profesor Hensel przypuszczał, że ów woliński domniemany torf to po prostu resztki ztłalego drewna przekładki.

W Wolinie rozwinęły się później badania na dużą skalę. Kieruje nimi Władysław Filipowiak, który w tomie *Pomorze średniowieczne*, wydanym w roku 1955 przez „Książkę i Wiedzę”, umieścił studium pod wymownym tytułem: *Wolin - największe miasto Słowiańszczyzny Zachodniej*. Dowiadujemy się, że na przełomie IX i X wieku, w dobie największej świetności, „miasto przypuszczalnie zostało opasane wałem obronnym, który dochodząc do rzeki obejmował je półkolem. Przypuszczalnie wał zbudowano z drzewa i ziemi na sposób wówczas powszechnie stosowany na tych terenach. Na podstawie późniejszych źródeł pisanych, z XII wieku (Saxo Gramatyk), możemy domyślać się, iż były to obwarowania potężne...”

Z zupełnie zrozumiałych względów Łęczycza nie mogła się równać z Wolinem, który kontrolował ujście Odry i był stolicą samodzielnej republiki kupieckiej. A przecież widzieliśmy, że i nad Bzurą wznoszono w tych odległych czasach nie lada jakie obwarowania.

Wnętrze tumskiego grodziska nie zdradziło nam już żadnych nowych nadzwyczajności. Stwierdzono obecność resztek kleci przybudowanych do wału, których dachy tworzyły dawniej coś w rodzaju ganku obiegowego, oraz szczątków chat - półziemianek. Nie odkryto miejsca zamieszkania księcia łęczyckiego.

Bogaty „skarb” monet oraz ości olbrzymich jesiotrów, na pewno importowanych, potwierdzają fakt istnienia w Tumie rezydencji książęcej.

W 1950 roku wielką sensację wywołały przedmioty wydobyte z tamtejszych studni. Było ich dwie. Każda na osiem metrów głęboka, o ścianach umocnionych cembrowaniem z dranic dębowych lub dębowych i sosnowych okraglaków. (Stos tego drewna piętrzy się w tej chwili za barakiem.) Jedna z nich służyła aż do końca istnienia grodu, drugą wcześniej zasypano. I ona właśnie dostarczyła nie lada jakiej sensacji. Wydobyto kielich drewniany, toczony, zupełnie podobny do romańskich naczyń liturgicznych. Był w niej takie trzewik skórzany tudzież doskonale zachowane wiadro drewniane z żelaznymi obręczami. A oprócz tego jeszcze dwie rzeczy, które się obecnie pieczołowicie przechowuje w muzeum łódzkim. O nich rozprawiać jednak będziemy nieco później. Bo w tej chwili trzeba nam jeszcze przekroczyć wał grodziska w kierunku zachodnim i rzucić okiem na przyległą połąć rozległego błonia.

O parę kilometrów, aż za Bzurą, widać dachy Łęczycy. Na zielonej równinie sterczy kręty rząd palików.

- To panowie ustawili te żerdki?

- Tak. Ale to nie są żadne żerdki, tylko żelazne słupki wpuszczane w betonowe podstawy. Proszę się dobrze przypatrzeć. Nic pan nie widzi? Trzeba uważnie śledzić barwę łąki wzdłuż linii słupków. Dostrzega pan takie rude pasemko?

Rzeczywiście. Wzdłuż tej linii kolor trawy jest jakby inny. Pasemko, o którym wspominał profesor, składać się zdaje z szeregu rdzawych plam. Nieregularnym zakosem przecina łąkę, biegnie niedaleko grodziska, później wyraźnie odchyła się w kierunku miasta.

- Widzę. Ale co to jest?

- Barwę nadaje temu pasmu szczaw, zawsze szukający dla siebie miejsc chociażby

odrobinę wyższych, a przez to bardziej suchych. Ta ruda linia jest śladem średniowiecznej drogi. Wyznaczył ją najpierw szczaw, a potem my, Chcemy ją w przyszłości zrekonstruować. Była kiedyś od pięciu do piętnastu metrów szeroka i wiodła w poprzek całej doliny Bzury. To ją właśnie ryglował ten gród, który strategicznie zatykał szlak prowadzący z południowej Wielkopolski na południowe Mazowsze. Na tym polegał sens istnienia twierdzy. Jest to najdalej na wschód wysunięty bastion obronny dawnej Wielkopolski!

Stoimy zatem wobec materialnej pozostałości po tej dobie dziejów, w której okolice Poznania trzeba było ubezpieczać grodami od strony dzisiejszej Warszawy. W podręcznikach historii okres ów nosi lakoniczną nazwę „Polski dzielnicowej”. A tu oto, pod Łęczycą, mamy możliwość sprawdzić prawdomówność dokumentów pisanych. Okazuje się dowodnie, że nie skłamali starzy kronikarze. Niezbyt sielankowe panowały w Polsce ówczesnej stosunki, skoro Krzywousty musiał aż tak potężnie obwarowywać się nad Bzurą. A przecież to była dopiero przygrywka! Krzywousty, wyposażony przez naturę w niebywałą energię i zdolności, przemógł siły odśrodkowe. Nie cofnął się przy tym przed oślepieniem brata, Zbigniewa. Odbył później ostentacyjną pokutę kościelną, boso pielgrzymował do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie, ale cel polityczny osiągnął - utrzymał w ręku całe państwo. Prawdziwe rozbiecie dzielnicowe zaczęło się dopiero po jego zgonie. Polska wśliznęła się w tę samą koleinę, w którą już przedtem popadły Czechy i Ruś. Na swój sposób dostosowała się do europejskiej normy.

Pisząc dziesięć lat temu *Świt słowiańskiego jutra* aż nazbyt pobieżnie potraktowałem sprawę mozaikowej struktury państwa piastowskiego. W *Myślach o dawnej Polsce* powróciłem do tego problemu, traktując go jako jedno z podstawowych zjawisk naszych dziejów.

Sto lat temu Karol Szajnocha twierdził:

„Przez długie czasy nie było innej Polski jak Wielkopolska. Reszta była Krakowem, Mazowszem, Sandomierzem, nie Polską. Do czasów Bolesława Wstydlwego wyrażano się: Sandomierzanie, Mazury, Kujawici i Polacy. Jeszcze za czasów Jadwigi «sposstrzegają się Krakowianie. na podszeptach Polaków».”

Piastowie, sklejali Polskę przez lat pięćset i nigdy nie przestanę żałować, że tak krótko. Bo sklejanie Francji trwało lat osiemset. Ale u nas wcześniej wygasła dynastia, której postępowanie nie różniło się od przeciętnego europejskiego wzorca. Ustąpiła miejsca innej, wychowanej w niedobrej szkole politycznej, rozmiłowanej w zdobywczym rozpędzie, a

niezwykle do solidnej roboty, polegającej na wykańczaniu szczegółów.

Gród podłęczycki zabezpieczał Wielkopolskę od strony Mazowsza. Gdyby nie umiar ze strony Kazimierza Wielkiego, granica między tymi dwiema dzielnicami mogłaby się przemienić w przepaść. Po zjednoczeniu Polski Mazowsze zachowało samodzielność. Graniczyło z Koroną Polską, Litwą i państwem Krzyżaków, które aż do XVI wieku, nawet po przemianie w świeckie księstwo pruskie, nie wyrzekło się marzeń o Płocku i Warszawie. Jak wiemy, to ostatnie miasto od schyłku tegoż XVI stulecia jest stolicą Polski. Mogło być zupełnie inaczej, gdyby próbowano siłą złamać regionalną odrębność Mazowsza zamiast cierpliwie poczekać, aż wygaśnie rodzina jego dziedzicznych władców.

Istnieje bardzo mądre przysłowie chińskie: „Śpieszyć się należy tylko wtedy, kiedy się chce złowić pchłę.”

Niesłusznie uważamy rozbięcie dzielnicowe za plamę na naszych dziejach, aczkolwiek pod względem politycznym straciliśmy wtedy naprawdę wiele. W średniowieczu siły odśrodkowe przeważały wszędzie, nie tylko u nas. Kiedy w XIV wieku Polska ponownie się zrosła, to już na dobre. Było to możliwe także i dlatego, że w złączonym królestwie Łokietka i Kazimierza każdy Kujawita, Sandomierzanin czy Polak-Wielkopolanin pozostawał sobą. Nikt go nie przymuszał do wyrzekania się ojcowizny, jej regionalnych zwyczajów, a nawet praw odrębnych.

Poszukiwania archeologiczne w ‘Pumie pod Łęczycą odnosiły się do epoki, którą Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego uznało za kres swych zainteresowań. Jak już wiemy, poszukiwania te sięgnąć miały co najmniej w głąb dziesięciu stuleci przed Mieszkiem I. Zamyka zaś je „okres ustalania się feudalizmu”, wiek XII, czasy, których świadkiem była twierdza Krzywoustego.

Nie przypuszczałem, że przyjdzie mi oglądać w Tumie coś najzupełniej odmiennego od częstokołów i wałów. Omyliłem się dwukrotnie. Najpierw pokazano mi ślad drogi, mozolnie wymoszczonej w średniowieczu. Następna niespodzianka wystrzeliła w pięć lat później.

W czerwcu 1956 roku zatelefonowała do mnie pani Zofia Jeżewska z Polskiego Radia, proponując wspólną wyprawę samochodem do Tumu. Zabrała oczywiście i aparaturę do nagrywań, która wygodnie zmieściła się w osobowej maszynie. Przy okazji rzewnie wspomniałem czasy własnego spikerowania w Wilnie przed wojną. Do reportażu terenowych służył nam wtedy mały autobusik. Zamiast taśmy magnetofonowej używało się tak zwanych płyt neumannowskich, z których każda wystarczała na trzy minuty nagrywania. Uchodziło to

naówczas za ostatnie słowo postępu technicznego.

Zatrzymaliśmy się w Tumie tuż obok murów ogromnego, czwórwieżowego kościoła, który z daleka rzuca się w oczy każdego, kto tylko wędruje szosą z Warszawy do Łęczycy albo odwrotnie. (Warto wspomnieć, że dzisiejsza wieś Tum to dawna „Prażczyca”; z czasem - lecz ciągle w średniowieczu - miasto przesiedliło się na lewy brzeg doliny, dokładnie tam, gdzie się teraz znajduje.) Kościół, o którym przed chwilą była mowa, około roku 1140 wzniosła księżna Salomea, wdowa po Bolesławie Krzywoustym, z domu hrabianka Bergu, matka trzynastorga dzieci. Obfitość potomstwa nie pozostała bez wpływu na dzielnicowe rozdrobnienie państwa, bo synów należało obdzielić władztwem.

Kolegiata księżny Salomei spłonęła we wrześniu 1939 od ognia artylerii. Odbudowa była w pełnym toku już podczas mej pierwszej wizyty w Tumie, a teraz przyjechaliśmy popatrzeć na to, co wykryto we wnętrzu.

Wraz z nami przywędrował magister inżynier Zdzisław Tomaszewski z Politechniki Warszawskiej, na miejscu czekali już profesorowie Tadeusz Manteuffel i Bohdan Guerquin oraz magister Józef Płocha. Cały zjazd naukowy, w którym uczestniczył oczywiście doktor Andrzej Nadolski, obecny kierownik prac wykopaliskowych w Tumie, mający do pomocy magistrów Andrzeja Abramowicza, Tadeusza Poklewskiego, kilku studentów i coś trzydziestu robotników.

Zajrzeliśmy oczywiście i na grodzisko, maszerując od strony kolegiaty tą samą, usypaną przed kilku laty czarną grobelką. Pani Jeżewska zabrała mikrofon i zorganizowała na wałach całą audycję. Jak mogłem, tak jej pomagałem wyciągać ostrożnych archeologów na zwierzchnia i zasłaniać mikrofon przed ciepłym, porywistym wiatrem, który kłonił wysokie trawy i barwił olbrzymie łąki na siwo. Nie pamiętam, który z uczonych powiedział wtedy, że twierdza tak stara, pamiętająca wiek IV, to walny argument przeciwko tym, co przeczyli istnieniu prapolskiego plemienia Łęczycan. Mozaika ludzka była więc u nas jeszcze bogatsza, niż zazwyczaj myślimy.

Ale do Łęczycy ściągnął nas tym razem nie gród, lecz kościół. Wykop zajmuje całą niemal jego nawę. Odslonięta panorama składa się z tylu elementów, że trudno się połapać. patrząc z boku, spomiędzy filarów. Dopiero z góry, z chóru albo z empor piętra widać wyraźnie.

Najpierw rzuca się w oczy to, co najmniej ważne - spore wydmy ceglane, podobne do beczek lub walców ułożonych poziomo. Są to grobowce dostojników duchownych,

pochowanych w czasach niedawnych, najwcześniej w XV stuleciu. Za zgodą władz kościelnych zostaną usunięte, bo zasłaniają najcenniejszy zabytek i przeszkadzają badaniom.

W wykopie, wzdłuż wszystkich jego czterech ścian, widnieje niski mur z szarego kamienia. Zarys przypomina prostokąt zaokrąglony od strony wschodniej, czyli tej, gdzie znajduje się ołtarz. Dwie także niskie i szare ściany biegną w kierunku poprzecznym, wskazując, że tajemnicza budowla dzieliła się ongi na trzy części. Wykryte szczątki długie są na dwadzieścia trzy, szerokie na osiem metrów.

Majstrowie, którzy około roku 1140 z rozkazu księżnej Salomei wznosili kolegiatę, rozebrali ten starszy kamienny gmach, pozostawiając tylko odziomki murów. Na pełnych osiem stuleci znikły one pod posadzką romańskiej świątyni i z pamięci ludzkiej.

Zeszliśmy na dół. Minęło pięć lat, a ciągle czuję na dłoniach ciężar i chłód granitowych kostek. Pozwolono mi dotykać ich, brać w ręce.

Uczeni dyskutowali bez przerwy. Skłaniali się do przypuszczenia, że odkryte mury stanowiły kiedyś opactwo benedyktynów, założone przez św. Wojciecha w samym końcu X wieku. Są o nim wzmianki w źródłach prastarych w dokumencie cesarza Ottona III z roku 1001, w bulli papieża Innocentego II, wydanej w roku 1136.

Jeżeli założycielem klasztoru był św. Wojciech, to wolno przypuszczać, że on sam kładł kamień węgielny. A może uroczystość uświetnił własną osobą protektor czeskiego księcia, Bolesław Chrobry. Przecież to jego czasy, doba najśmielszych marzeń i najbardziej górnych porywów. Przełożonym tumskiego eremu był może tajemniczy opat Astryk-Atanazy, który zadał owym rojeniom cios dotkliwy. Wysłany w roku 1001 do Rzymu po tytuł królewski, zmienił front, zdradził. Otrzymany od papieża znale władzy monarszej odwiózł na Węgry. Historyczna korona św. Stefana była pierwotnie przeznaczona dla Polski. Chrobry musiał czekać jeszcze dwadzieścia cztery lata, po czym - w ostatnich miesiącach życia - wyzyskując sposobną chwilę i nie pytając Rzymu o pozwolenie, kazał własnym biskupom ukoronować się na króla. Mógł to uczynić, bo dzięki niemu samemu Polska miała już od ćwierćwiecza arcybiskupstwo.

Zabytki z podłęczyckiego Tumu dotyczą wielu spraw i rozdziałów naszej przeszłości. Wszystkie te kwestie tworzą obraz niewątpliwie jednolity, ale bardzo skomplikowany.

Mozaika ludzka, szczepowa, plemienna, istniała. Stworzył ją tysiącletni rozwój Słowiańszczyzny, nie bez znaczenia była charakterystyczna dla wszystkich Indoeuropejczyków skłonność do formowania „drobnoustrojów politycznych”. Podziałom

sprzyjały warunki materialne - słabość komunikacji, rzadkość zaludnienia. Łączyła prapolskie plemiona bliskość, nawet wspólnota kultury.

Nic nie dyktowało przyszłości. Gdyby, na przykład, cesarzom albo margrabiom niemieckim udał się podbój Powiśla, gospodarka rozwijałaby się według normalnych dla średniowiecza zasad, zaludnienie by gęstniało. Dokładnie tak jak na ziemiach zaodrzańskich, wchłoniętych przez Germanów. Tylko Polski by nie było.

Mozaikę ludzką spoiło w naród świadome działanie ludzkie. Ono stworzyło państwo, w którego granicach - po wielu wiekach - Mazury, Sandomierzanie, Łęczycanie, Kujawici i Polacy-Wielkopolanie przemienili się w Polaków... już bez dodatków czy cudzysłowu.

Oto jedna z najstarszych w Polsce budowli kamiennych - szczątki opactwa benedyktynów, pamiętające przełom X i XI wieku. Kraj był jeszcze wtedy właściwie pogański, ale świeże w nim chrześcijaństwo już stanowiło spójnię - j e d n o 1 i t ą dla całego księstwa Piastów. Te niziutkie mury stanowią pomnik myśli i woli, tworzących dzieje.

II

Rude od szczawiu pasmo na błoniach pod Łęczycą nie było jedynym szczątkiem pradawnej drogi, który mi dane było oglądać.

Pewnego sierpniowego przedpołudnia dychawiczny Mercedes biskupiński dowiózł nas szczęśliwie do Giecza. Mówię, że szczęśliwie, bo w dyferencjale tego wehikułu stale podróżowała niepokojąca tajemnica: niepodobna było odgadnąć, czy i kiedy wóz ruszy.

Podczas wędrówki do Giecza zagadnienie to wydawało się nam szczególnie pasjonujące, a to ze względu na wyjątkowo zapadle położenie tej historycznej miejscowości. Kto jechał pociągiem z Wrześni do Poznania, ten zapamiętał może maleńką stacyjkę Nekla. Ciecz leży o siedem kilometrów na południe. Ostatecznie niezbyt daleko. Ale tamtego dnia upał dławił niemilosiernie. Ze wschodu nadciągała burza.

Od wklęsłej łąki, położonej za kościołem i kępą drzew, powiało dusznym, przegrzanym zapachem mokradła. Nad czarnymi jamami o kształtach prostokątów pochylało się kilka postaci. Przybyli wraz ze mną profesorowie Hensel i Rajewski zaraz rozpoznali w nich członków tutejszej, gieckiej ekspedycji i stwierdzili brak kierownika doktora Bogdana Kostrzewskiego, który akurat wyjechał służbowo do Poznania. Ale i ja znalazłem znajomka.

Dwa lata temu na Lednicy robił mi honory domu student z Poznania, Edward Dąbrowski. Rezydował na bezludnej wyspie, przez sześć miesięcy kina ani kolei nie oglądał. W poprzednim roku też się gdzieś zaszył, a teraz oto jest w Gieczu i znowu ryje. Nie należało się obawiać, że Edward Dąbrowski całkiem zapomni o XX stuleciu. Bądź co bądź, na późną jesień i zimę wracał do Poznania, gdzie obficie korzystał z dobrodziejstw cywilizacji współczesnej. Ale te jego wakacyjne obyczaje, dobrowolne pustelnicтво połączone z ciężką pracą, wydają mi się charakterystyczne dla stylu życia młodego pokolenia archeologów, które i w tym względzie dochowuje wierności tradycjom.

- Za moich czasów - opowiadał mi kiedyś Zdzisław Rajewski - jak się chadzało z profesorem Kostrzewskim, to wyglądało tak: ganieć od świtu po polach i jeszcze czasem człowiek znaleziony kamień od żaren niósł pod pachą. Profesorowi na cały dzień wystarczyło pół kilo czereśni, a wieczorem, jako po ciężkim znoju fizycznym, podśmiewanie z kaszą. Taki asceta!

- A tam - magister Dąbrowski wyciąga rękę w kierunku zaklęśnięcia łąki i czarnych, mizernych strug - tam się znajduje wspaniała rzeka Moskawa, co do której w upalne lato tylko z mapy można się przekonać, w jaką stronę płynie.

To już chyba szczyt ascezy: przez całe lato przewracać ziemię w takim miejscu, gdzie nawet kąpiel brak. Na Lednicy przynajmniej pod tym względem panował luksus. Jezioro!

Głębokie wykopy w Gieczu zabezpieczono barierami - po łąkach ludzie chodzą, bydlę się pasie, a niezbyt dobrze by było zwałić się po nocy tam na dół, między gęste i grube belki poziome, albo natrafić na koły, sterczące pionowo. Co prawda, w ciągu stuleci drewno mogło dobrze zbutwieć, nie warto jednak sprawdzać tego na niczyich kościach.

Poczerniałe od starości kłody są pozostałością po wczesnośredniowiecznej grobli czy moście. Od niej aż do grodziska, położonego za Moskawą, wiodła droga. Widać ją i teraz. I to nie tylko dzięki tyczkom, którymi wyznaczono jej przebieg. Z torfowiska do dziś dnia sterczą odziomki słupów, które służyły niegdyś do umocnienia szlaku. Cierpliwi jacyś ludzie muszą jednak mieszkać w okolicy... Przez tyle setek lat potykać się, zawadzać kołami wozów o przeszkody - a nie wziąć siekiery i nie zrąbać. Zresztą niech im to pójdzie na zdrowie, że nie zrąbali.

Droga w Gieczu przebiega w sposób bardzo oryginalny. Najpierw podchodzi pod same waty, potem zbacza na zewnętrzne podgrodzie i dopiero stamtąd zawraca wprost do grodu. Całkiem jakby budowniczy chciał zmusić podróżnych do defilowania tuż pod wałem, skąd

zbrojna straż kontrolowała wszelki ruch.

I na tym się właściwie wyczerpują luźne porównania z Łęczycą, która też ryglowała ważną arterię komunikacyjną.

Twierdza w Tumie doskonale odpowiada zakorzenionym. pojęciom o roli prapolskiego grodu. Spełniała przecież doniosłe zadanie w zarządzie kraju była siedzibą księcia i jego drużyny, broniła Wielkopolski od wschodu. Dotychczas sądziliśmy, że powołanie naszych „czół ziemi” ograniczało się jedynie do funkcji strategiczno-administracyjnych. Mniemanie to uległo zasadniczej rewizji.

W Gieczu, na przykład, główne zainteresowanie uczonych skupiało się wcale nie na wałach, które mogłyby stanowić wdzięczny przedmiot dochodzeń. Grodzisko jest bowiem bardzo rozległe, ma kształt elipsy o jakichś stu czterdziestu metrach średnicy dłuższej. W jego wnętrzu znajduje się dziś drewniany kościół, plebania, czworak i cmentarz grzebalny. A jeszcze zostało dosyć miejsca na piękną aleję kasztanową. Tu i ówdzie wał dosięga jedenastu metrów wysokości.

Przekopywanie się przez cmentarz, założony w ubiegłym stuleciu, nie należało do zadań zbyt miłych. Trzeba było ostrożnie ryc między mogiłami, bo ścianki ziemi, dzielące jeden grób od drugiego, były jedynymi miejscami, których grabarze nie tknęli. A w nich właśnie natrafiono na rzeczy niezmiernie ciekawe. Liczne ślady przepalanej polepy glinianej, jak również rudy darniowej dowiodły, że gród był bardzo ważnym ośrodkiem wytwórczym. W dymarkach wytapiano tu żelazo. Podobny proceder uprawiano na terenie dzisiejszej wsi Borzejewo, odległej stąd o półtora kilometra. Do Gieczu przylegały cztery osady produkcyjne.

Ślady rudy, surówki, polepy oraz żuźle znajduje się tutaj w partiach przylegających do wewnętrznej ściany wału. Podobny system rozplanowywania stwierdzono podczas badań w ZSRR, zwłaszcza na Białorusi.

Odkryty ośrodek wytwórczy w Gieczu, a także wysokie wały grodu pochodzą z epoki stosunkowo późnej, bo z przełomu XI i XII stulecia. Ale kroniki mówią nam, że tradycje przemysłowe istniały tu i przedtem.

W pierwszej połowie XI wieku, wkrótce po śmierci Chrobrego, spotkała Polskę wielka katastrofa polityczna. Jednym z jej najbardziej tragicznych aktów był najazd księcia czeskiego Brzetysława I, który w roku 1038 dotarł aż do Gniezna, skąd na stu wozach uwiózł zdobyczne dobro. Wtedy to z Gieczu wyszli mu naprzeciw mieszczanie z różgą złotą. Wyszli prosić, aby ich zabrał z nieszczęsnego kraju i przeniósł do Czech.

Do dzisiaj istnieje w Czechosłowacji miejscowość Hedczany. Tam osadził Brzetysław rzemieślników, których wraz z rodzinami zabrał z Wielkopolski, z twierdzy nad Moskawą, zwanej wtedy Gieczem czy Gdeczem, a obecnie Grodziszczkiem. (Zaszedł tu ciekawy wypadek przeniesienia nazwy miejscowości: Gieczem nazywa się teraz wieś kościelna, położona o kilkaset metrów od grodu-Grodziszczka.)

Nie miałem zbyt wiele czasu na zwiedzanie gieckich osobliwości. Zza wschodniego horyzontu pomału wylaniała się ołowianej barwy chmura, a Rajewski wcale nie pragnął narażać swego Mercedesa na spotkanie z burzą w miejscu odludnym, gdzie nawet o konie do przyprzążki nie zanadto łatwo. Nie bacząc więc na nieznośny skwar, kłusem ganiałem po grzebieniach wałów. Zdążyliśmy. Ulewa złapała nas już w Poznaniu.

Nazajutrz, znowu w Biskupinie, każdy z nas otrzymał na śniadanie porcję wędzonej ryby. Spotkany później na wykopach doktor Włodzimierz Szafrąński natychmiast zaczął wypytywać, jak nam smakowała. Trochę mnie zdziwił ten niezwykle u uczonego rodzaj zainteresowania. Ale szydło niezwłocznie wylazło z worka.

Okazało się, że poprzedniego dnia doktor Szafrąński zorganizował generalną próbę wędzenia ryb na sposób wczesnośredniowieczny. Spora ich ilość została umyta, osuszona i oczyszczona. Wiernie naśladowując pradawne wzory, wykopano w ziemi jamę, nałożono dymiącego paliwa i umieszczono ryby nanizane przez skrzela na patyki. Ceremonia trwała cały dzień, a produkt okazał się świetny.

Opowiadano mi, że już przedtem odbywała się próba pędzenia dziegiu, Myślę, że osobą doktora Szafrąńskiego powinno się zainteresować Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego, bo przedsiębiorczy archeolog gotów pewnego pięknego dnia zacząć pławić żelazo na przedhistoryczny ład.

Włodzimierzowi Szafrąnskiemu nie zabrakło i nie zabraknie wzorów do doświadczeń. Prowadził on roboty na wypukłości terenu tuż u nasady półwyspu biskupińskiego. Odkopano tam osiedle o niezmiernie starym rodowodzie. Ludzie mieszkali w nim i pracowali jeszcze w epoce „łużyckiej”, o czym dowodnie świadczą skorupy garnków. W czasach późniejszych, kiedy na półwyspie stanął gródek państwowy, był tutaj ośrodek pracy wytwórczej. Zatrudnieni w nim dochodzili pewnie co dzień z głównego osiedla, odległego o jakieś sto metrów.

Zupełnie inaczej zaczęło wszystko wyglądać, kiedy w X wieku wzniesiono na półwyspie gródek państwowy. Na omawianym miejscu zbudowana wtedy została osada o typie

okolnicy. Chaty obiegały wzgórze wydłużonym kręgiem, pośrodku leżał plac, tak zwany majdan. Podczas kopania wychodzą na światło dzienne rzeczy może mniej efektowne od tych, jakie dotychczas zwykliśmy oglądać w gablotach muzeów, ale za to świadczące o niezmiernie ważnych przejawach życia dawnej Polski.

Na stoliku polowym leży wykopana niedawno bryłka, kształtem zbliżona do nieregularnego trójkąta, o objętości nie większej niż jakieś sześć centymetrów sześciennych. Z zewnątrz pokrywa ją zielonkawobiała warstewka żużla, od spodu świeci czerwień dobrze wypalanej gliny. Widać też otworek wentylacyjny, zrobiony patyczkiem.

Archeologowie obchodzą się z tym maleńkim znaleziskiem niczym z drogocennym skarbem. Na nóż, miecz albo grot oszczepu pewnie by mniej chuchali, Mają rację. Nie tak często przecież znaleźć można resztkę kopuły pieca hutniczego sprzed tysiąca lat, niezbity dowód istnienia w Polsce ówczesnej ciężkiego przemysłu.

Biskupińska okolica była osiedlem o typie wybitnie przemysłowym. Na obszarze jej środkowego placu-majdanu wykryto do sierpnia 1951 roku osiemdziesiąt pięć jam produkcyjnych - wędzarni, smolarni, magazynów. W jednej z nich nie spostrzeżono śladów węgla, smoły, kości ani też ości rybich, ujawniono natomiast odłamki bursztynu. Czyżby to była pracownia jakiegoś ówczesnego jubilera?

Chaty okolnicy dostarczały nie tylko mieszkań sile roboczej. W owych odległych czasach nie uznawano widocznie podziału na kwaterę i warsztat pracy. Wszystko było razem. Robotnik wraz z rodziną gnieździć się musiał na tym skrawku miejsca, jaki mu pozostawiło potężne palenisko. Stłoczenie wręcz nieprawdopodobne. Tu oto wyrzała spod ziemi polepa, dawna podstawa pieca hutniczego. O parę metrów dalej jest długi pokład doszczętnie przepalonych kamieni - pracownia specjalisty obróbki rogu i kości. Łatwo się o tym przekonać, bo naokoło nie brakuje odpadków surowca. Gdzie indziej gęsto leżą bryłki limonitu, żużle, kawałki wapna.

Gęsta zabudowa okolnicy skłoniła mnie początkowo do zbyt śmiałych wniosków. Później przekonałem się, że ciasnota była we wczesnym średniowieczu regułą. Ziemianki w Gródku Nadbużnym koło Hrubieszowa były tak małe, że długo zastanawialiśmy się, w jaki sposób w każdej z nich mogła się zmieścić rodzina właściciela. Narzucała się wprost konkluzja, że ludzie korzystali z mieszkań przede wszystkim w nocy, a dnie woleli spędzać na świeżym powietrzu. Nam wydaje się to dziwne, ale przyzwyczajenie tworzy dziwy. Zwiedzając później Chiny ze zdumieniem przyglądałem się mieszkaniom pozbawionym jakichkolwiek systemów

ogrzewania, wyposażonym za to w kamienne podłogi. I ludziom, człapiącym po grudniowym bloku właściwie boso, bo tylko z cienką podeszwą słomianą pod stopą. Wszystko w prowincjach o klimacie kontynentalnym, znających dotkliwe chłody.

Ciasnota pomieszczeń na biskupińskiej okolicy jeszcze nie upoważnia do wniosku, że ludziom obsługującym ówczesne wytwórnie stwarzano specjalnie złe warunki bytowania.

Zakłady tutejsze niewątpliwie pracowały na wywóz. Data ich powstania zbiega się akurat w czasie z momentem, kiedy na półwyspie, na resztkach dawnych plemiennych osiedli, wzniesiony został maleńki kolista gródek jeden z licznych ośrodków administracyjnych młodego państwa polskiego. Ludzie z niezbyt rozległej okolicy pracowali na jego rzecz.

Nie jest oczywiście wiadome, czy w gródku stale mieszkał miejscowy administrator. Możliwe, że przebywała tam tylko straż, która pilnowała porządku i zapewniała bezpieczeństwo. Urzędnik mógł zjawiać się od czasu do czasu dla skontrolowania roboty i wydania potrzebnych zarządzeń.

Nie same tylko wyniosłe wały, przerdzewiałe miecze i groty oszczepów świadczą o budowie Prapolski. Nie ulega już dzisiaj wątpliwości, że każdy niemal gród ówczesny był poważną, czasami nawet bardzo znaczną centralą przemysłową. Na tym także - bo zasadniczą gałęzią wytwórczości było rolnictwo - wspierała się dawna potęga Polski.

Istnieje mniemanie, że posiadanie grodów rozstrzygało o władzy nad krajem dlatego, że ten, kto je dzierżył, mógł kontrolować życie mieszkańców pod względem politycznym i wojskowym. Teza niemylna, ale zawierająca niecałą jeszcze prawdę. W świetle ostatnich dochodzeń okazało się bowiem, że władca grodów panował nie tylko nad szlakami komunikacyjnymi, wioskami i osiedlami, lecz także nad szeroko rozwiniętą wytwórczością przemysłową. Na jego rzecz pracowały liczne zespoły produkcyjne. One także stanowiły źródło siły, dawały możliwość urzeczywistniania polityki.

W drugim rozdziale *Kultury prapolskiej* profesor Józef Kostrzewski użala się na literatów, a zwłaszcza na Stefana Żeromskiego, który każe średniowiecznemu Kaszubie posługiwać się w walce młotem kamiennym, czyli przedmiotem już od dwudziestu ośmiu stuleci na Pomorzu nie używanym. Jest u nas mania, przesadzania z rzekomym prapolskim prymitywem. Wyraża się ona między innymi w wyobrażeniach, że kraj nasz był dawniej jedną wielką puszcza, a ludzie gnieździli się po jej polanach. W rzeczywistości zaś Polska nie była cała lasem pokryta. Przemysłni przodkowie nasi osiedlali się też wcale nie tam, gdzie się dało, lecz wybierali dla siebie co lepsze, co żyzniejsze kawałki gruntu.

Kiedyś przed wojną wojewoda śląski wyasygnował pieniądze na poszukiwania archeologiczne. W pracach tych uczestniczył także i Zdzisław Rajewski. Opowiadał mi, że było mu wtedy po prostu przykro. Chodził, jeździł, szperał, pieniądze wydał i niewiele znalazł. Zagadkę łatwo wytłumaczyć. Szukano na Górnym Śląsku, gdzie gleba jest kiepska, toteż ludzie nie kwapili się na niej mieszkać. Inaczej ma się rzecz z obszarami lessowymi - na każdym sterczy prapolskie grodzisko.

Prymityw istniał bez wątpienia. Warunki mieszkaniowe i higieniczne były pożałowania godne. Ibrahim ibn Jakub zanotował, że wszyscy Słowianie chorują na wysypki (pod względem czystości akurat podobnie było zresztą w całej Europie aż do zupełnie niedawnych czasów).

Jednakże lubimy grubo przesadzać w poglądach na kwestię owego prymitywu. Wbrew temu, co pisał Kraszewski, dawni Polacy nie potrzebowali wytrzeszczać oczu na żelazne noże przywiezione przez kupca-Niemca. W ich własnym kraju od dawna już istniała wcale bogata i rozgałęziona wytwórczość, piece hutnicze dymiły już w czasach przedchrystusowych, nie tylko w przedchrześcijańskich.

Tendencyjne wywody wielu badaczy niemieckich z powodzeniem uzupełniały naszą rodzimą skłonność do zbyt niskiego szacowania naszych własnych dziejów. Kołaczę się przeciw poglądom, że pierwsze miasta w Polsce zaczęły powstawać dopiero w stuleciu XIII, w dobie tak zwanego osadnictwa na prawie niemieckim.

I tę teorię postaramy się sprawdzić na miejscu, w terenie. A w dodatku w takim punkcie, który posiada bardzo czcigodną, prastarą metrykę historyczną. Lecz przedtem jeszcze trochę o Gieczu.

Nigdy już tam więcej nie pojechałem, o późniejszych odkryciach wiem z lektury i opowiadań. Doktor Bogdan Kostrzewski działał dalej, i to z powodzeniem. Odnalazł rzecz, która dziesięć lat temu wzbudziłaby wielką sensację. Uchodziło wszak za pewnik, że wczesne średniowiecze polskie nie znało monumentalnego budownictwa kamiennego...

W Gieczu odkopano fundamenty murowanego gmachu tego typu, który nasi archeologowie upierają się nazywać po łacinie „*palatium*”. Dla uproszczenia poprzestańmy na skromniejszym mianie zamku. Bo powiedzieć „pałac”, będzie chyba za dużo. Zamek giecki liczył pięć izb, miał trzydzieści pięć metrów długości na szesnaście szerokości i łączył się z kaplicą o planie kolistym.

Znalezisko to nie stanowi sensacji dziennikarskiej, ale należy do bardzo poważnych i

wcale już u nas nie odosobnionych odkryć naukowych. W Płocku doktor Włodzimierz Szafranski odkrył resztki wielkiej budowli kamiennej z pierwszej połowy XI wieku. Prawdopodobnie był to kościół z czasów Masława, może świątynia klasztorna opactwa benedyktynów. Nie wykluczone, że w jej murach spoczęły pierwotnie zwłoki Władysława Hermana, który uczynił z Płocka swą stolicę. W 1960 roku doktor Andrzej Żaki znalazł bardzo ciekawe rzeczy na wzgórzu zamkowym w Przemyślu, a mianowicie kamienną posadzkę o układzie mozaikowym, będącą zapewne pozostałością po cerkwi katedralnej z XII-XV wieku. Prócz tego wystąpiły mury rotundy, kościoła o planie kolistym, liczącego jedenaście metrów średnicy i połączonego z zamkiem o wymiarach niemal dokładnie takich samych jak w Gieczu: trzydzieści pięć metrów na piętnaście.

Dawne teorie rozwiały się w nicość. Wczesnośredniowieczna Polska doskonale знаła monumentalne budownictwo kamienne. Jeszcze za wcześnie na ostateczną interpretację odkryć przemyskich, poczynionych w roku 1960, ale nie jest niemożliwe, że rotunda i zamek pamiętają czasy Bolesława Chrobrego, który tu władał od 1018 roku. I archeologia wcale jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa... Pisząc pierwszy reportaż o wykopaliskach nie przypuszczałem, że przyjdzie mi uzupełniać go wiadomościami o gmachach kamiennych, wznoszonych za pierwszych chrześcijańskich Piastów.

Zabytki prastarego przemysłu, szczątki monumentalnej architektury, kronikarskie wiadomości o dobrej, solidnej robocie politycznej - to wszystko razem wzięte tworzy dopiero obraz logiczny i zwarty. Widnieje na nim zupełnie przyzwoite państwo, rozwijające się w sposób, który śmiało można uznać za normalny w tej części Europy.

III

Profesor Aleksander Gieysztor zabrał ze sobą do Łęczycy i dalej dwoje pasażerów. Naukę krajową reprezentowała wraz z nim magister Maria Anna Dembińska (obecnie już doktor) - lekki autorament ja. Zabrał nas, lecz nie okazywał nam miłosierdzia.

Ruszając z Tumu zaczęliśmy przekonywająco rozprawiać o pięknie Bzury oraz o nieznośnym upale...

- Nie ma czasu. Nie ma czasu. Jeszcze dziś wieczorem musimy być we Wrocławiu - gilotynował nasze marzenia profesor, który widać zapomniał, że w podróży nigdy nic nie

wiadomo. A może obraził się i zemścił suwerenny diabeł łączycki, Boruta. Zobaczyliśmy Wrocław, ale dopiero z dwudziestoczworgodzinnym opóźnieniem. W Kaliszu maszyna nawaliła nam na dobre. Potrzeby życiowe jednak przemogły, skłoniły profesora do kapitulacji. Kąpiel, która nas ominęła na pograniczu Mazowsza i Wielkopolski, odbyliśmy na innej rubieży Polski dzielnicowej, tam gdzie zaczyna się historyczny Śląsk. W Baryczy pod Miliczem.

Bzura została więc daleko z tyłu.

Nie zatrzymując się auto przemknęło przez most nad inną rzeką. Na oko nie wydała mi się ciekawa. Bieg prosty, uregulowany, przybrzeżne łąki błotniste pewnie, woda czarna.

Dopiero po dobrej chwili przypomniało mi się, że z nazwą tej strugi wiąże się historia bardzo ciekawego odkrycia naukowego. W sprawie tej archeologia i językoznawstwo przyszły dziejopisom na odsiecz i pomogły rozjaśnić zagmatwany i mętny tekst przekazu kronikarskiego. A chodziło o nie lada rzecz! Ni mniej, ni więcej, tylko o najdawniejszą wzmiankę o Słowianach.

Historyk grecki Herodot wspominał w V wieku przed Chrystusem o tajemniczym plemienu Neurów, którzy mieszkali na północny zachód od dzisiejszego Wołynia i Podola. Według Herodota Neurowie przywędrowali w tamte strony na sto lat przed wyprawą Dariusza perskiego przeciwko Scytom, czyli w wieku VI przed Chrystusem. Pierwotne swoje siedziby - nie wymienione niestety przez uczonego Greka - mieli opuścić, wyparci przez nadmiernie rozmnożone węże. Posiadali też rzadką umiejętność: raz do roku każdy z nich przemieniał się w wilka.

Neurowie uważani są w nauce za lud słowiański, czemu sprzyja i ten fakt, że legendy o wilkołakach są naszego, rodzimego pochodzenia. Archeologom udało się stwierdzić, że, w czasie na ogół zgodnym z wywodami Herodota, na terenie Podola i Wołynia mieszkało plemię o bardzo charakterystycznym typie kulturowym, który nosi nazwę kultury „wysokiej”. Dalsze dochodzenia doprowadziły do jeszcze ciekawszych spostrzeżeń. Okazało się mianowicie, że owa kultura „wysoka” zdradza jak najbliższe pokrewieństwo z kulturą „łużycką”, i to z tą jej lokalną odmianą, która występowała w północno-wschodniej Wielkopolsce. W ten sposób mielibyśmy ustalone: punkt wyjściowy oraz kres wędrówki plemienia Neurów. Ogniwa pośrednie wypełniła, czyli drogę ich pochodzenia wyznaczyła inna dyscyplina wiedzy. Językoznawstwo.

Profesor Tadeusz Lehr-Spławiński stwierdza, że nazwa Neurowie zawiera rdzeń „neur,

który występuje w normalnej, fonetycznie słowiańskiej postaci nur - w takich wyrazach słowiańskich, jak polskie zanurzyć, nurek; w postaci obocznej jako nyr: w starocerkiewnosłowiańskim: *nyriati*, rosyjskim: *nyriat*, serbo-chorwackim: *ponirati*, oraz w licznych nazwach rzek i miejscowości”. Rzeka, którą przed chwilą minęliśmy, nazywa się Ner.

Miano to Tadeusz Lehr-Spławiński wywodzi również od prasłowiańskiego nyr-, nur-.

Dziwnie jakoś ci Neurowie z Wielkopolski rodem byli rozmiłowani w utrwalaniu szlaku swej wędrówki za pomocą imiennictwa. Do Bugu wpada jego prawobrzeżny dopływ Nurzec, jest tam tak samo się nazywająca osada oraz miasteczko Nur. Do rzeki Nurca wpada z kolei rzeczka Nurczyk. Nieco na południe, w powiecie łukowskim, leży wieś Nurzyna. Jeszcze dalej na południe, już na Ukrainie, w powiecie taraszczańskim płynie Nurec.

Próbujmy wykreślić na mapie rezultaty tych dociekań. Wszystko się chyba zgadza. Ktoś, kto dla siebie tylko wiadomych przyczyn wyruszył z Wielkopolski na wschód, a nie chciał ugrzęznąć w dzisiejszej Puszczy Białowieskiej lub w bagnach poleskich - mógł peregrynować na południe przez wszystkie te Nurce, Nurczyki, Nurzyny i Nurece, aż zawitał w strony, z których plotki i pogłoski docierały do uszu kształconych w piśmie mędrców greckich. Zresztą Herodot wybrał się tym wieściom na spotkanie, nie pozbierałby ich siedząc w swoim rodzinnym Halikarnasie w Azji Mniejszej. Odbył podróż łodzią w górę Bohu.

Jak wiele znaczy konkret! Sprawę Neurów potraktowałem w *Świcie* jako rzecz ważną i teoretycznie ciekawą. Zupełnie inaczej patrzę na nią, odkąd zajrzałem do Bułgarii. W wędrówce Neurów wolno chyba widzieć jeden z pierwszych aktów słowiańskiej ekspansji, która doprowadziła do skutków jedynych w swoim rodzaju. Ale o tym w ostatnim rozdziale książki.

Swoją drogą Wielkopolska ma jeszcze jeden tytuł do sławy. Najstarszy znany z imienia lud słowiański z tych stron był rodem. Podobnie i miasto, które najpierwsze ze wszystkich naszych osiedli dostało się na karty kronik, leży w historycznej Wielkopolsce.

Badania archeologiczne w Kaliszu datują się nie od wczoraj. Już w końcu XIX wieku ukazały się w literaturze wzmianki o bogatych znaleziskach tutejszych. (W połowie ubiegłego stulecia, przy okazji budowy gmachu więzienia, doszczętnie zniszczono jedno z ciekawych stanowisk.)

W 1936 roku profesor Zygmunt Zakrzewski na przedmieściu zwanym Tyniec wykrył ślady osiedla z epoki Cesarstwa Rzymskiego.

Nie bez racji i nie dzięki przypadkowi prapolski Kalisz trafił na karty dzieła Ptolemeusza z Aleksandrii w II stuleciu po Chrystusie. (Ptolemeusz czerpał wiedzę z pism wcześniejszego o kilkadziesiąt lat Marynusa z Tyru, a więc starożytność klasyczna już w I wieku naszej ery na pewno posiadała wiadomości o Kaliszu-Calisii.) Przechodził tędy słynny „szlak bursztynowy”, wiodący z Italii poprzez Dunaj, Karpaty i ziemie polskie aż nad Bałtyk. Bursztyn - tajemnicze *genitum terrae* - kupowali patrycjusze rzymscy znacznie drożej niż na wagę złota. Za żółtą bryłę, znaną na plażach dzisiejszej Gdyni lub wygrzebaną z wodorostów pod Połogą, na rynkach stolicy ówczesnego świata można było pewnie dostać całą gromadę niewolników. A może nawet kształconego w rozmaitych kunsztach greckiego intelektualistę na dodatek. Bursztynu łaknęła również sama Grecja, a także nababowie Kartaginy i Babilonu.

Handel nim zaczął się wtedy, kiedy ziemie nasze zajmował lud „kultury pucharów lejkowatych”, to znaczy - nie tylko przed Chrystusem, ale i przed Mojżeszem, w młodszej epoce kamiennej. Już wtedy wykiełkowała działalność gospodarcza, która miała trwać przez tysiąclecia, sprzyjając materialnemu rozwojowi kraju. Inna grupa „pucharowców” w okolicach dzisiejszych Krzemionek Opatowskich w województwie kieleckim wydrążyła rozległą kopalnię i wydobywała z niej pręgowany krzemień.

Szlak bursztynowy wiódł lewym wybrzeżem Promy, przez Ołobok, i na wprost Tyńca, tam gdzie jest bród i dziś jeszcze używany podczas żniw, przerzucał się na brzeg prawy, dążąc dalej ku Warcie. Kalisz i Turek szczycą się w naszym kraju rekordową liczbą importów rzymskich.

Kaliski Tyniec posiada wyjątkowo dogodne położenie. Miejsce dość wyniosłe, zabezpieczone od powodzi, panujące nad ważnym brodem. W roku 1943 podczas budowy domów mieszkalnych dokonano tu dalszych odkryć. Zaraz po wojnie, z inicjatywy miejscowego społeczeństwa, znowu rozpoczęły się systematyczne badania, nawiązujące do poprzednich prac profesora Zakrzewskiego.

Dawniej sprawa Kalisza leżała jakby w osobnej szufladce. Nie docierało do naszej świadomości, że osadnictwo i handel z czasów Nerona mogą mieć jakikolwiek związek z kwestią powstania państwa polskiego, którą zacieśnialiśmy do ram X stulecia. Już się wspominało, w jaki sposób Kierownictwo Badań rozumiało swoje zadania. Poszukiwania kaliskie znalazły się całkowicie w ich zakresie.

Robotami kierował tu profesor Michał Drewko. Nie zastaliśmy go, wobec czego

oprowadzali nas zastępcy profesora, Marta Młynarska i Krzysztof Dąbrowski, badacze bardzo młodzi.

Tuż za budynkami byłego monopolu, przez szmat roli śródmiejskiej, biegły w dół ku Prośnie cztery długie i proste wykopy. Miały wyłapać ewentualne ślady osadnictwa na tym zboczu. Na razie jednak rezultaty poszukiwań nie odpowiadały nakładowi pracy. Pod samą czerwoną ścianą budynku odkryto jedno jedyne palenisko. Skorupy naczyń pozwoliły datować je na późny okres rzymski.

Krzysztof Dąbrowski tęsknie spogląda w dół zbocza, gdzie na tle drzew parku, przy dźwiękach sentymentalnego tanga, wiruje żółta karuzela wesołego miasteczka.

- Może tam się coś znajdzie - powiada.

Chyba jednak na tym się skończy, że ekspedycja kaliska zaniecha prac w tym miejscu, zwinie manatki i powędruje wyżej, między ogródki domów na Tyńcu. Plony będą tam niewątpliwie obfitsze.

W poprzednich sezonach udało się na Tyńcu uchwycić ślady pobytu i działalności człowieka z III wieku po Chrystusie. Jest to przypuszczalnie najmłodsza faza osadnictwa, którego początki sięgają grubo w głąb.

Resztki pieca hutniczego, żużle, przęśliki i ciężarki tkackie dowodzą istnienia rzemiosła i przemysłu. Najbardziej jednak zagadkowo przedstawiają się obszerne paleniska. Wszystko zdaje się wskazywać, że zakładała je ludność bawiąca w Kaliszu sezonowo w porze letniej. Mógł więc w tym ważnym węźle komunikacyjnym istnieć znaczny ośrodek handlowy.

Tak sobie gwarzyliśmy, stojąc nad jałowymi rowami. To, co zaszło wkrótce potem, dowodzi, jak bardzo w dziedzinie archeologii stan rzeczy może się zmieniać. Po prostu z dnia na dzień.

Po naszym wyjeździe z Kalisza powrócił tu profesor Drewko. Zamiast - jak przypuszczałem - spakować manatki i ruszać na Tyniec, postanowił kopać między rowami, o których już była mowa. Opłaciła mu się robota. Ale co za złośliwość losu! Cztery wspomniane wykopy posiadały chyba dobrze ponad pół kilometra długości łącznie. A poszły akurat tak, jak było potrzeba, aby najciekawsze miejsca starannie ominąć.

Między pierwszymi dwoma rowami znajdowały się, dość nawet płytko pod ziemią, liczne otwarte paleniska układane z kamieni średniej wielkości oraz z całkiem małych. Jedno z nich, największe, o podwyższonych brzegach, wygląda po trosze na resztkę kopułkowatego pieca.

Naokoło - skorupy i szczątki kostne. Osobliwością okazały się liczne łyżwy kościane. Leżały nie wiadomo czemu - wprost na paleniskach. Żadnych śladów budowli nie ujawniono. Wiek znaleziska zgadza się - czasy Cesarstwa Rzymskiego. Ustalono to, jak zresztą zwykle się dzieje, przy pomocy znalezionych ułamków naczyń. Szczególnie pomocny okazał się gliniany baryłkowaty kubek z grubym uchem. Odszukano go obok jednego z palenisk, a tuż przy nim bryłkę bursztynu o kształcie półkuli. Uczeni od dawna wiedzą, że takie kubki są formą bardzo typową dla schyłku „epoki żelaza” oraz I stulecia naszej ery.

Nie od rzeczy będzie wtrącić parę słów o prapolskich łyżwach, których wykopuje się u nas dużo. Robiono je z kości nóg jelenia (większe kości goleniowe służyły naszym przodkom do wyrobu płóz do sań; jeleń uważany był w ogóle za stworzenie bardzo przydatne do rozmaitych celów komunikacyjnych: w średniowieczu pęciny końskie smarowano szpikiem z nóg jelenich, co miało dodatnio wpływać na chyżość wierzchowców). łyżwy bywały z jednego końca ukośnie ścięte i zaostrzone. Niektóre okazy zaopatrzone były ponadto w otworki, przez które przeciągało się rzemyki. Ślizgać się można było tylko na jednej nodze, drugą odpychając się od lodu. Dolna płaszczyzna łyżwy była bowiem gładka i dość szeroka.

Przypuszcza się, że odkryte w Kaliszu paleniska stanowiły sam południowo-zachodni skraj osady. Dalej już ludzie mieszkać nie mogli, bo tuż zaraz zaczynają się zalewowe tereny Prosny. Palenisk używano chyba tylko w porze letniej, kiedy ze względu na ciasnotę mieszkań ludność spędzała czas pod gołym niebem. A może, zgodnie z wcześniejszym domysłem, służyły one tym, co przybywali w porze jarmarków.

Tak więc krańce starej Calisii zostały uchwycone. Ale oprócz nich są jeszcze w Kaliszu - i to widoczne na samej powierzchni - inne rzeczy stare, lecz takie, które się poczęły na naszej stronie barykady. To znaczy wtedy, kiedy egzystencja państwa polskiego była już dokonany fakt historyczny.

W czasie rozmów z Martą Młynarską i Krzysztofem Dąbrowskim raz za razem padało słowo „Zawodzie”. Wymieniano je jako termin o treści dobrze wiadomej, symbol obiektu, który gwałtem domaga się bliższego zainteresowania.

Nazajutrz od rana Aleksander Gieysztor poprowadził nas na owo Zawodzie. Najprzód minęliśmy przystanie licznych klubów wioślarskich, a potem, ciągle krocząc samym brzegiem Prosny w górę jej biegu, doszliśmy do zwykłej przedmiejskiej kamieniczki. Zaraz za nią pod kątem prostym odbiega od rzeki ulica. Tabliczka na ścianie głosi jej nazwę: Stare Miasto.

Nie nazbyt wspinała to magistrała. Stoją przy niej i zgrabne nowoczesne kamieniczki, i

chałupiny trzcina kryte. Dziwnie wyglądają przewody elektryczne doprowadzone do takiej strzechy. Teraz, po latach, jeszcze głębiej się zamyślam na widok anten telewizyjnych, zdobiących dachy domów podobnych do kurników.

Za płotem robotnicy kopali dół pod fundamenty. Zaintrygowało to profesora. Przystanął i jął się pilnie przyglądać wyrzucanej ziemi.

- Ech, warto by tak sprawdzić to ich kopanie, popatrzeć im na łopaty. Myśmy tu jeszcze żadnych prac nie zaczęli.

- Czemu tak?

- Ludzi, specjalistów mamy ciągle jeszcze mało. Proszę pomyśleć, ile robót ziemnych prowadzi się w tej chwili w Polsce. Pod Krakowem, na Śląsku, pod Warszawą. Wszędzie by trzeba patrzeć, co tam przy okazji wygrzebują. A skąd wziąć fachowców?

Słusznie profesor zaniepokoił się nienaukowym kopaniem właśnie na Zawodziu. Dowiedziałem się ostatnio, że najstarsza z tutejszych chatynek, wzniesiona w roku 1721 i sama będąca cennym zabytkiem, stoi na fundamencie sporządzonym z romańskich fragmentów pewnego średniowiecznego kościoła, o którym wkrótce. Można więc śmiało podejrzewać i ogródki o ukrywanie rozmaitych cenneści.

Ulica Stare Miasto jest mniej więcej prosta. U końca rozszerza się lejkowato, tworzy coś w rodzaju trójkątnego placu. Na wprost jego osi stoi kościół Św. Gotarda.

W średniowieczu intelektualne zainteresowania warstw oświeconych mieściły się niemal bez reszty w obrębie religii. Jest faktem powszechnie znanym, że w poszczególnych okresach tej długiej epoki cieszyli się popularnością rozmaici święci. Swoista moda na św. Gotarda panowała w XII, a nawet wcześniej - w XI stuleciu.

Skrećmy w lewo. Dróżka między wielkimi topolami wyprowadza na podmokłą łączkę. W jej głębi znajduje się rzecz tradycyjnie a bez żadnej podstawy zwana u nas „szwedzkimi okopami”. Ten kaliski obiekt zwie się nawet trochę odmiennie, a mianowicie „Szwedzkimi Górami”.

Mamy przed sobą po prostu jedno więcej prapolskie grodzisko. Wały rozorane, spłaszczone, rozniesione na boki. Dopiero od dwóch lat, wskutek zabiegów archeologów, zakazano tu prac rolnych. Za grodziskiem półkole wyniosłych topól, a w ich cieniu kościółek Św. Wojciecha. Patron ten był szczególnie popularny za dni Krzywoustego.

Przed pierwszą wojną światową prowadzono tu badania, w 1903 roku z ramienia Polskiej

Akademii Umiejętności przyjeżdżał aż z Krakowa profesor Władysław Demetrykiewicz, coś niecoś znalazł i wygłosił przypuszczenia, które okazały się słuszne. Ale i to, co leży na samej powierzchni, pozwalało odcyfrować ważny etap przeszłości Kalisza.

Wspominając o tym, co leży na powierzchni, nie miałem na myśli skorupy prastarego garnka, którą profesor dostrzeżę w trawie, podniósł, zidentyfikował i wręczył mi na pamiątkę. Chodziło mi o cały miejscowy układ - kościoły o charakterystycznych wezwaniach, wskazujących na zamierzchłe czasy, nazwę „Stare Miasto”, którą dziś nosi ulica wycelowana prościutko na ów stawny bród przez Prosnę i zarzeczny Tyniec. To wszystko pozwalało fachowcom wiele odczytać, zanim jeszcze rozpoczęty się wykopaliska na Zawodziu.

Nastąpiło to dnia 1 czerwca 1958 roku. Prace prowadziła Stacja Archeologiczna Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN w Kaliszu przy wybitnym poparciu ze strony Miejskiej Rady Narodowej. O wynikach można się szczegółowo dowiedzieć z pierwszego (niecierpliwie czekamy na następne!) tomu dzieła *Osiemnaście wieków Kalisza*. Na zlecenie Społecznego Komitetu Obchodu tak niezwykłego jubileuszu miasta Wydawnictwo Poznańskie obdarzyło nas książką naprawdę cenną i piękną. Józef Skoracki, który opracował ją pod względem graficznym, zaprojektował wyklejki według reprodukcji karty rękopisu dzieła Ptolemeusza.

Zbyt wielu ludzi książki jednak nie przeczyta, ponieważ nakład wynosi trzy tysiące egzemplarzy. Tym bardziej wolno streścić tu część wiadomości z rozdziałów, poświęconych wczesnemu średniowieczu. Autorkami ich są Iwona Dąbrowska, Marta Młynarska i Teresa Wąsowiczówna.

Przekopując grodzisko wdążyli się badacze aż do calca, wyróżniając po drodze osiem złoży przeszłości. Przebijali warstwy spalenizny, a znajdowane przedmioty i naczynia określały stulecia. Niezbyt głęboko pod murawą był to wiek XIII i XII, na samym spodzie IX. Przy okazji wyłoniło się pytanie, czy Krzywousty, który w 1106 roku zdobył Kalisz na Zbigniewie, nie spalił aby grodu. Gall o tym nie pisze. Może nie chciał zbyt się rozwodzić nad niektórymi uczynkami swego dobrodzieja. A może - co bardziej prawdopodobne - przyjmował takie postępowanie za niegodną uwagi normę.

Najstarszy gród kaliski pamięta wiek IX-X. Był szczuplejszy od dziś widniejących obwarowań. Miał wały drewniano-ziemne, budowane systemem jakby skrzyniowym. Stanowił może czoło samodzielnego dawniej opola, wchłoniętego przez monarchię piastowską. Wszystkie warstwy późniejsze świadczą o dziejach, kierowanych przez tę

dynastię. W najwyższej położonych, tych najbliższych dzisiejszej powierzchni, kryły się pamiątki po szczytowym momencie rozwoju prapolskiego Kalisza.

Nie były to pamiątki tuzinkowe. Profesor Demetrykiewicz miał słuszość, jego sondaze trafiły w sedno. W grodzie mieściła się kamienna kolegiata Św. Pawła, której budowniczym był Mieszko Stary. Spoczął w niej najpierw jego syn, a potem sam założyciel, zmarły w roku 1202. Dopiero w sto trzydzieści i jeden lat później Wawel stał się cmentarzem monarchów.

Szczątki kolegiaty początkowo utrudniały rozpoczęcie wykopalisk. Profesor Demetrykiewicz miał trudności z opozycją pewnego włościanina, właściciela grodziska, który nie chciał utracić... kamieniołomu. Ciosy romańskie rozwleczone po całym Zawodziu i Kaliszu, kolekcjonowane przez jednych, a zużywane na fundamenty przez drugich, pochodziły stąd. Wobec takiego stanu rzeczy niewiele ocalało z potężnego kościoła. Iwona Dąbrowska powiada jednak, że fundamenty przetrwały. Pozwoliły one od razu obliczyć, że świątynia miała piętnaście metrów szerokości i była jednonawowa.

Gród kaliski stanowił ośrodek, wokół którego skupiały się bliżej i dalej położone osiedla o charakterze rzemieślniczo-handlowym, więc miejskim. Jedno, będące wprost podgrodzem, istniało przy kościele Św. Wojciecha; inne - osada targowa - tam gdzie obecnie jest Stare Miasto. Pozostałe znajdowały się dalej, na przykład przy kościele Św. Gotarda i gdzie indziej.

Takie rozproszenie może dziwić. Trzeba jednak wiedzieć, że krajobraz naokoło grodu wyglądał kiedyś zupełnie inaczej niż dziś.

W roku 1228 podstąpiły pod Kalisz drużyny ruskich książąt z Nalicza, Daniela i Wasylka Romanowiczów, którzy w sojuszu z Konradem Mazowieckim zwalczali Władysława Laskonogiego. Daleko zaszli, bo poszczególne zagony łupiły aż w okolicach Milicza. Kalisza nie zdobyto, zawarto układ, ale nie to jest dla nas w tej chwili ważne.

Ruski kronikarz, czerpiący wiadomości z opowiadań uczestników wyprawy, tak to opisał:

„Rano zaś wzięli Daniło i Wasylko swoich wojów i poszli ku grodowi... Ci obaj przystąpili do bram kaliskich, a Mirosława i inne pułki posłali z tyłu grodu. Bo woda i gęste łozy, i wierzbina obeszyły gród. I sami nie wiedzieli; gdzie się kto bił, bo jak jedni od boju odstępowali, to drudzy nań nalegali, i odwrotnie; ...gdy zaś szły z palisad kamienie jak silny deszcz, stali oni w wodzie...”

Gród okalały kiedyś ramiona Proсны, która płynęła całkiem innym korytem niż obecnie.

Tuż za wałami grodziska, po stronie południowej, oglądać można osobliwe urządzenie.

Jest to wzniesienie, nasyp ziemny o kształcie owalu, potężny, lecz niższy od wałów. Najłatwiej pomyśleć, że stała tu kiedyś wieża obronna, romantyczny „stołb”. W rzeczywistości był to oryginalny łamacz kry, która sunąc z prądem natrafiła na ten garb, traciła rozpęd i spływała na boki. Teresa Wąsowiczówna, doskonała znawczyni tajemnic dawnych dróg lądowych i wodnych, utrzymuje, że podobne „ostrogi” istniały również w Sieciechowie i Łądzie, a brak zabezpieczenia źle wpłynął na losy zamku w Zawichoście, który Wisła zmyła.

Prapolski Kalisz - zarówno gród, jak i związane z nim osiedla miejskie - stał na kępach w szerokiej, zabagnionej dolinie Proсны. Być może nawet, znajdował się nie na lewym jej brzegu, jak dzisiaj, ale na prawym. Albo na wyspie.

Ibrahim ibn Jakub pisał w stuleciu X:

„Słowianie budują w ten sposób przeważną część swoich grodów. Udają się umyślnie na łąki obfitujące w wodę i zarośla, po czym kreślą tam linię kolistą lub czworoboczną, zależnie od tego, jaki chcą mieć kształt grodu i obszar jego powierzchni, kopią dokoła [rów] i piętrzą wykopaną ziemię, umacniając ją deskami i drzewem na podobieństwo szańców, aż taki mur [wał] osiągnie wymiar, jakiego pragną. I odmierzają w nim bramę, z której strony pragną, a wchodzi się do niej po pomoście z drzewa.”

Opis wierny. Stary podróżnik rzetelnie informował.

W rok po wizycie w Kaliszu odwiedziłem wykopaliska na Grodach Czerwieńskich w okolicach Hrubieszowa. Badacze stwierdzili, że historyczny Czerwień to dzisiejsza wioska Czermno. Wały Czerwienia zachowały się. Ongi okolica była tak bagnista i mokra, że jeden z uczonych postawił pytanie, czy aby drużyny Włodzimierza Wielkiego (który w roku 981 zdobył Czerwień na Lachach) nie dotarły do tych wałów łodziami. Osiedla miejskie zajmowały wyniosłości, sterczące z mokradeł. Łączył je w całość system grobel, dostatecznie szerokich, by mogły się wyminąć dwa wozy.

Jak widzimy, stare osadnictwo miejskie nie stroniło u nas od terenów podmokłych, a nawet zdecydowanie wodnistych. Bo i gród łączycki stał wśród trzęsawisk. Dawało to oczywistą korzyść, ponieważ broniło przed napadami. Wymowny jest przytoczony przed chwilą opis ruskich szturmów na wały Kalisza. Jednakże z czasem przyszło porzucić wiekowy system.

W 1233 roku zdobył Kalisz Henryk Brodaty, dziedzic Wrocławia. Działał zgodnie z dobrem Polski, którą pragnął zjednoczyć, oraz z prawem, bo Władysław Laskonogi zapisał

mu testamentem swą dzielnicę. Dopiero Brodaty przeniósł Kalisz bardziej na północ i dokonał lokacji miasta na „prawie magdeburskim” (mówiąc ściślej - zastosowano tu tę odmianę, która od Środy Śląskiej zwie się „prawem średzkim”). Ale stary gród i otaczające go szerokim wieńcem osiedla niszczały i popadły w zapomnienie z innych powodów. Teresa Wąsowiczówna interesująco udowadnia, że zrujnowały je powodzie, w które obfitowała pierwsza połowa XIII wieku. Ludzie kolonizowali tereny wyżynne, wycinali lasy. Zmieniły się warunki bezpieczeństwa w dolinach rzek.

Żadna z tych okoliczności nie przeczy jednak tezie, że prapolski Kalisz był miastem. Inaczej wybudowanym, niezwartym urbanistycznie, ale niewątpliwym miastem. Przemawia za tym argument z wielu względów zasługujący na uwagę. W tym dawnym Kaliszu mieściła się gmina żydowska. Nie odpowiada prawdzie pogląd, że Żydzi trudnili się w tym czasie wyłącznie operacjami pieniężnymi, ale przecież na pewno stanowili grupę typowo miejską. Mieszko Stary zatrudniał ich w swej mennicy (istnieją oryginalne monety, na których hebrajskimi literami wyobrażono polskie słowa: Mszka, krol polski), opiekował się nimi, ale nie on ich sprowadził do Kalisza. Przebywali tu już od dawna.

Historycy uczą nas nie od wczoraj, że „kolonizacja niemiecka” jest pojęciem bałamutnym. Przyjęcie „prawa magdeburskiego” oznacza zastosowanie w Polsce tych reguł współżycia, które stanowiły własność i dorobek całego Zachodu, wywodzący się z rzymskich jeszcze urzędzeń. Zresztą na prawie tym osiedlano często - zwłaszcza po wsiach - ludność autochtoniczną, rdzennie polską. Badania archeologiczne walnie pomagają przy obalaniu politycznym celom służącej teorii, która głosiła, że Polacy i w ogóle Słowianie nie znali życia miejskiego, nie wiedzieli nawet, co to jest miasto. Dopiero germańscy koloniści mieli rzekomo nauczyć ich tego wszystkiego.

Zastanawiające jednak, w jaki sposób można było głosić tę teorię, mając przed oczyma to, co się tu w Kaliszu znajduje między kościołem Św. Gotarda a rzeką Prosną, na wprost wyniosłości Tyńca, gdzie już w pierwszych stuleciach po Chrystusie istniał ośrodek przemysłowo-kupiecki.

I jeszcze jedno godne zastanowienia: Po raz pierwszy Kalisz wymieniony został w *Zarysie geografii* Ptolemeusza z Aleksandrii w II wieku naszej ery. Następna wzmianka o nim pochodzi z XII stulecia, a ściślej z 1106 roku. Tysiąc lat historii - ani jednego słóweczka w kronikach. I tak bywa.

Łatwo zrozumieć niecierpliwość archeologów. Otworzyły się przed nimi nigdy dawniej nie spotykane - u nas ani nigdzie - możliwości, więc już by chcieli bez reszty je wyzyskać, wszystko w Polsce przewiercić i przekopać. Irytuje ich widok każdego problemu, do którego jeszcze nie dobrała się ich łopata.

W kilka tygodni po wyprawie do Wielkopolski znalazłem się na terenie jednego z największych dokonań Planu Sześcioletniego. Trwała tam praca przy budowie drogi.

- Widzi pan? - usłyszałem od towarzyszącego mi uczonego. - My szpadelkami, a oni - ot czym...

Owo „coś” samo rzucało się w oczy. Był to długi, chyba z piętnaście maszyn liczący rząd wielkich kopaczek. Szczęki ich czerpaków żarłocznie chwytaly ziemię.

Nasyp dosłownie znikał w oczach i tylko warczały wypełnione do wierzchu ciężarówki.

Wszystko działo się w miejscu kryjącym bez najmniejszej wątpliwości rzeczy ciekawe dla archeologów.

Nie słyszałem od nich narzekań. Przy budowie nowych zakładów przemysłowych, o ile tylko można, uwzględnia się potrzeby nauki o przeszłości.

Ale niepodobna przecież zatrzymywać pracy i kazać buldożerom wszędzie czekać, aż grunt przesiany zostanie przez sito.

Nietrudno jednak zrozumieć badacza, który otrzymał możliwość pracy pełną parą i pragnie niczego nie zmarnować, doprowadzić do stuprocentowego wyniku. A przecież jeszcze niedawno temu poprzednicy jego działali w warunkach odmiennych.

Na stanowiskach „tysiąclecia” można napotkać przedstawicieli starszego pokolenia, które pełniło służbę trudną i - jak się nieoczekiwanie okazało - śmiertelnie niebezpieczną. W niedawno zwiedzonym Gieczu miałem zaszczyt poznać najwybitniejszego spośród nich.

Na czele ekspedycji gieckiej stoi doktor Bogdan Kostrzewski. Nie zastaliśmy go, jak już pisałem, bo pojechał do Poznania. Był za to na miejscu jego ojciec.

Spod rozłożystego kasztana na przekopywanym cmentarzu podniósł się nam na spotkanie niemłody, średniego wzrostu, szczupły pan. Leżak sobie dotychczas na kocu, w pełnym słońcu, mając pod głową drewnianą skrzynkę. - Pan profesor plażował? - zapytał Witold Hensel.

- Ano trochę. Właśnie jest przerwa obiadowa.

Ten pan, pomimo straszliwego upału ubrany w wełniany sweter pod grubą wełnianą marynarką, to był profesor Józef Kostrzewski. Człowiek, który dokonał tytanicznej pracy - zapoczątkował u nas nowoczesną archeologię, napisał wiele znakomitych dzieł, wyrwał naukę polską spod wpływu szowinistycznej „nauki” starych Niemiec.

Widziałem fotografię nakazu aresztowania profesora Kostrzewskiego. Rozporządzenie to wydały władze hitlerowskie zaraz na początku okupacji Poznania. Motywacja była znamienita: „*sogenannter polnischer Geschichtsforscher*”, który za dużo sobie pozwalał i „wszystko, co wykopał, przypisywał Polsce”.

Nie udało się hitlerowcom aresztować i zgładzić profesora. Ukryty w Klemensówce pod Niskiem u doktora Alfreda Wielopolskiego, korzystając z pomocy swego ucznia, znanego nam już Konrada Jażdżewskiego, nie zmarnował okresu okupacji i napisał swoją wspaniałą *Kulturę prapolską*. Książka ukazała się w dwu wydaniach, ale dziś znaleźć ją można chyba tylko okazjnie, w antykwariatach.

W lutym 1961 pojechałem z wieczorem autorskim do Biecza. (Od tej pory uważam, że kto Biecza nie widział, ten Polski nie zna.) Podczas dyskusji zapytano mnie prosto z mostu: - To pan o archeologii pisze, a nie wie, że profesor Kostrzewski ukrywał się podczas okupacji i u nas? - Po tylu latach ludzie chlubią się pomocą, okazaną przez ich miasto uczoneму. Mają świętą rację.

Przyznaję, że pisałem *Świt* z obawą w sercu. Zapamiętałem sobie pewne sprostowanie, które profesor Kostrzewski nadesłał do redakcji jednego z tygodników literackich, gdzie się ukazał reportaż o Santoku. Artykuł zajął dwie szpalty drobnego druku, a kończył się słowami: „oto niektóre z omyłek, popełnionych przez autora reportażu”.

Ale jakoś mi się udało i profesor patrzył na mnie bez odrazy. (Zdradzę tajemnicę: w oczach rasowego archeologa literat nie jest najpodlejszą istotą pod słońcem - historyk sztuki stoi na pewno niżej.)

Profesor Józef Kostrzewski słynie nie tylko z wiedzy, ale i z ciętości słowa. Rzadko można spotkać człowieka o tak błyskawicznym refleksie. Na każdą okazję jest od razu pokwitowanie. Specjaliści wiedzą, że „tysiąclecie” jest spóźnionym przedsięwzięciem, ale tylko profesora stać było na replikę przy pierwszej wzmiance o programie uroczystości: „Ech, panowie, to wasze millenium to jest właściwie po-mylenium.”

Wśród naszych czołowych archeologów nie brakuje uczniów i wychowanków profesora Kostrzewskiego. Wyniki prac obecnych w pełni potwierdzają jego dawną i śmiałą tezę, że Słowianie siedzą na ziemiach polskich co najmniej od połowy drugiego tysiąclecia przed Chrystusem.

Jest rok 1961, upłynęło dziesięć lat od spotkania w Gieczu. Profesor nadal pracuje z tą samą, jednostajną energią. Spotkać go można na wykopaliskach i na wyczerpujących, przewlekłych dyskusjach fachowych. Pozostał sobą. Nie zmieniła go żadna z prób, które przeżył.

Zaraz po przywitaniu wdali się uczeni w dyskurs tak najeżony terminologią fachową, że jakoś nie mogłem się odważyć i swoich trzech groszy wolałem nie wtrącać. Tak więc i w Gieczu zawiodły mnie plany dłuższej rozmowy. Rychło bowiem wypłoszyła nas stamtąd nadciągająca burza.

Napisałem „i w Gieczu”, bo pierwszy raz nie udało mi się z profesorem Kostrzewskim dwa lata wcześniej, na Lednicy. Był wtedy pochmurny i wietrzny dzień październikowy. Płynąłem czółnem na wyspę, od której odbijała właśnie druga łódź. Wichur od razu odrzucił ją daleko. Profesor z grupą studentów wracał z wycieczki. Mogłem tylko z daleka pomachać w ich stronę kapeluszem.

Kierownictwo Badań zmartwiło mnie początkowo wiadomością, że w 1951 roku żadnych prac na Ostrowie Lednickim nie będzie. Pomimo to na zakurzone w pielgrzymce sandały proroka poprzysiągłem sobie odwiedzić wyspę. „Ktoś - rozmyślałem - ryby na jeziorze na pewno łowi, więc i łódka się znajdzie. Jakoś się dostanę i choć kilka godzin tam spędzę.”

W rzeczywistości siedziałem na Ostrowie trzy dni. Nocowałem na wyspie, której żaden z okolicznych starych wieśniaków nie odwiedzi nocą, bo powszechnie wiadomo, że grasuje po niej szatan w postaci czerwonego psa. Nie ma co ukrywać, po ciemku jest tam dosyć niesamowicie. Ale dobrześmy spali na oblanym wodą cementarzysku, gdzie wokół murów zamku Chrobrego żółtawo bieleją ludzkie czaszki.

Stoi tam maleńkie schronisko, wybudowane na kształt staropiastowskiego domku (z tą różnicą, że we wszystkich ścianach są duże okna). Obudzi się człowiek przed świtem, wyjdzie za próg i może do woli patrzeć, jak pomału świat widnieje. Z ciemnych przed chwilą, jednolitych plam koron drzewnych już się zarysowują pojedyncze listki wierzb płaczących. Mgła spadła na jezioro. Przeciwległy brzeg wygląda jak smużka sadzy, którą w spokojnym powietrzu pozostawia po sobie parowóz. Rozbryzgi na powierzchni, jakby kto z głębi

kropidłem machnął. To drobiazg rybi uchodzi przed ławicą żerujących okoni.

I cisza tutaj - nie dzwoni w uszach, nie świergoce - oblega wokół jak dotykalna materia. Głos towarzysza wybija w niej tunel, który się natychmiast znowu głuchym milczeniem zasklepia.

Przez lata całe nosiłem w sercu wrażenie z Lednicy, zanim odgadłem jego tajemnicę. We wrześniu pamiętnego 1956 roku historycy sztuki zaprosili mnie na swój zjazd do Krakowa. Obradowaliśmy na Wawelu, którego wnętrze stało dla nas otworem. Mogliśmy chodzić wszędzie swobodnie, nie dokuczał głos przewodnika, nie przeszkadzały papucie ani tłok. Któregoś wieczoru zostałem sam w komnacie Wazów. Uchylone okno otwierało widok na korony drzew, stwarzało nastrój zwykłości. Wtedy poczułem, że nic nie umarło, te ściany żyją. My sami odgradzamy się sztucznie od tego, co trwa.

Na Lednicy nie cisza stanowi tajemnicę. Jest nią samotność człowieka wobec świadków historii.

„Na jeziorze Lednicy leżała wyspa, ostrów święty, do którego z dala, od Wisły nawet, od Łaby, od Odry przychodzili podróżni z ofiarami po wróżby i rady...

Pokazało się jezioro szeroko rozlane, świecące, jasne, a podróżni powitali je pokłonem, bo i ono, jak ostrów, świętym było. Z dala też dawał się dostrzec ostrów, naówczas gęstym gajem i zaroślami okryty. U brzegu, na palach wbitych niegdyś w jezioro, stały nędzne chatki rybaków. Przy nich czółna, do palów poprzywiązywane, kołysały się jak senne, poruszając z falami. Rybacy, zamieszkali w tych budkach, przewozili pielgrzymów na ostrów.”

Tak opisywał te strony Józef Ignacy Kraszewski, którego nieustanna poczytność sama w sobie jest już zjawiskiem historycznym. Twierdził, pewnie słusznie, że znajdował się tu ważny ośrodek prapolskiej wiary pogańskiej. Kazał Dziwie schronić się na tę wyspę przed natarczywością Domana.

Obecnie dostać się na Lednicę „od Odry, od Wisły nawet” jest znacznie łatwiej niż za czasów *Starej baśni* i jej autora. Z pociągu Poznań-Gniezno wysiąść trzeba przy stacyjce Fałkowo i przejść się z pięć kilometrów w kierunku wsi Dziekanowice. A stamtąd do jeziora choć rękę podaj.

Osobiście nie potrzebowałem korzystać z usług kolei ani maszerować piechotą. Kierownik prac wykopaliskowych w Gnieźnie i na Lednicy, profesor Kazimierz Żurowski, jest rozmiłowany w nowoczesnych, szybkich środkach komunikacji. Zabrał mnie z Gniezna

motocyklem. Początkowo było trochę zmartwienia, bo wyszło na jaw, że tylna opona jest bardzo spękana i wystają z niej różowawe wzgórki dętki. Brakło czasu na wędrowkę po sklepach, ale rada się znalazła. Między oponę a dętkę powędrował grupy papier złożony w kilkoro - i pojechaliśmy.

- Ale jak na taką oponę to jednak dość ryzykownie pana wiozłem - odezwał się już w Dziekanowicach doktor Żurowski.

- Ile?

- Dziewięćdziesiąt. Normalnie nie schodzę niżej setki.

W łodzi, która nas zabrała z lądu stałego na wyspę, mieściła się reszta lednickiej ekspedycji: Jadwiga Subocz, studentka z Torunia, i Zygfryd Różański, fotograf, kreślarz i pomocnicza siła naukowa w jednej osobie. We trójkę, wraz z kierownikiem, bytują na Ostrowie, sami sobie jedzenie przyrządzają i wspólnie z dojeżdżającymi z Dziekanowic i Lednogóry robotnikami kopią. Bo pieniądze jednak się znalazły i prace trwały.

Zmierzchało. Tuż przed dziobem łodzi rodzinka perkozów, niczym nanizane na sznurek paciorki, kolejno znikają pod wodą.

Ścieżką, przez którą błyskawicznie przetaczały się czarne kuleczki - myszy polne - poszedłem w znajome miejsce, ku ruinom. W zmroku dawała się zauważyć ciemna masa. Nie było jej tu dawniej. Bo też dopiero w tym roku, po raz pierwszy od lat dziewięćset, zwaliska zamku Mieszka i Chrobrego nie zakwitły na wiosnę zielskiem. Wybudowano nad nimi obszerny dach drewniany.

Ostatnie, najmłodsze ślady osadnictwa na Lednicy pochodzą z XII stulecia. Od tej pory wyspa stała się bezludna. Tylko - aż do XV wieku - okoliczni mieszkańcy zwozili tu swych zmarłych, by ich pogrzebać w kolisku wałów. W 1949 roku profesor Dalbor wysunął ciekawie tezę: kto wie, czy uporczywy zwyczaj używania tego miejsca jako cmentarza nie łączy się z nawrotami pogaństwa. Bo zgodnie z domysłem Kraszewskiego mogło tu istotnie płonąć ognisko dawnej wiary. Wspomnienie o tym działało jak magnes na jej Mohikanów.

W czasach najstarszych, grubo przedpiastowskich, była tu otwarta osada. Przystępu do niej broniły tylko wody jeziora. Najbliższy brzeg leży o kilkaset metrów. Z tego okresu pochodzą odłamki prymitywnych, ręcznie lepionych naczyń.

Potem, to znaczy wtedy, kiedy o Mieszku I ptaki jeszcze nie ćwierkały, w południowo-zachodniej części wyspy stanął silny gródek. Wały jego stanowiła dobrze nam już znana

przekładka - poprzeczne i podłużne kłody, przestrzenie między nimi wypełnione ubitą gliną. Od stóp umocnienia wybiegały pod kątem prostym jakby języki czy ostrogi z belek. Utrudniały one przystęp do wałów, podtaczanie machin oblężniczych i rozczłonkowały szyk nacierającego nieprzyjaciela. Szczątki gródka widziałem własnymi oczyma w 1949 roku. Po zbadaniu ich głębokie rowy zasypano starannie, przywracając wyspie normalny wygląd. Jest to stała, wiernie przestrzegana metoda postępowania archeologów. Raz rozkopana warstwa traci wartość naukową, ale dla zachowania zewnętrznego wyglądu zabytku należy zatrzeć ślady pracy.

W końcu X wieku albo może na samym początku XI na zwaliskach gródka rozparł się istny Wawel. Zbudowano wtedy świątynię chrześcijańską, formy okrągłej, całkiem podobną do rotundy Feliksa i Adaukta w Krakowie. Był to jeden z pierwszych polskich kościołów. Resztki jego można i dzisiaj oglądać: niski krąg murów, odziomki kolumn, które nadawały kiedyś wewnątrz plan krzyżowy, ślady wnęk bocznych oraz absydy, schody wiodące do królewskiej empy, której już nie ma. Wszystko wzniesione z kamienia spajanego zaprawą o różowej barwie a twardości skały. Występuje tutaj, podobnie jak i w Kruszwicy, kamień sztuczny. Różowy kolor spoiwa pochodzi od domieszki limonitu, tlenku żelaza.

Do kościoła bezpośrednio przylega wielki prostokąt kamiennych murów. To zamek, równie stary jak i świątynia, jedna z rezydencji Chrobrego, miejsce, w którym na pewno gościł cesarz rzymski, Otto III.

Legenda opowiada, że Bolesław Chrobry urodził się na Ostrowie Lednickim.

Kto zbliżyć się będzie do wyspy w porze letniej, temu korony drzew przysłonią widok. Ale jesienią spostrzec można bez trudu, że na tym połogim w zasadzie skrawku ziemi z jednego brzegu wznosi się wypukłość o regularnych zarysach.

Już po katastrofie zamczyska działo na Lednicy jeszcze jedno umocnienie. Był to znowu wał o tradycyjnej, drewniano-ziemnej konstrukcji rusztowej. Istnieje do dnia dzisiejszego, pierścieniem swym obejmując jedną trzecią część powierzchni Ostrowa. Do wewnętrznego skłonu przylegają ruiny tamtych murowanych budowli. Wykopy, mające na celu zbadanie najstarszego gródka, przecięły wał w jednym miejscu, ale nasyp dokładnie odtworzono, zapewniając turystom widok nie popsuty.

Pozostałe dwie trzecie wyspy, poza wałami, musiały być kiedyś jednym zwartym podgrodzem. Jeszcze tu nie kopano, ale tajniki przeszłości powydobywał najstarszy na Lednicy archeolog - kret.

Brodziliśmy z Kazimierzem Żurowskim po łące, otoczonej naokoło ścianą drzew i krzewów, wśród traw, dziewanny i mętnej żółcizny kwiatów dziurawca. Pracujące przy wykopaliskach kobiety wiejskie zbierały całe bukiety leczniczego zioła. Towarzysz mój schylał się raz po raz, podnosił kawałki ceramiki i rzucał je z powrotem między trawy.

Dalsze badania rozjaśniają wszechstronnie zagadki Lednicy. Stanie się wiadome, kiedy i w jakim celu na zachodnim brzegu zbudowano kunsztowne umocnienie drewniane - może przystań. Obecnie znalezisko to zostało starannie zasypane i zabezpieczone gęstym płótem plecionym - łamaczem fal.

Ale i teraz jest nad czym się zastanowić. I znowu problem leży na samej powierzchni ziemi, nawet bez kopania jest widoczny.

Był więc najpierw gródek, wykonany starannie, zaprojektowany przez ludzi doświadczonych i myślących. Potem dokonano ogromnego kroku naprzód, postawiono kamienny kościół i zamczysko. Czasy jeszcze późniejsze dowiodły, że nasi praszczurowie wcale nie wyrzekali się starych, rodzimych umocnień drewniano-ziemnych. Opasali nimi znaczną część wyspy.

Czy to tylko dyktowało tradycjonalizm, że Polska wcale nie zanadto obfituje w kamień i dobrą glinę na cegły? Chyba tylko po części. Prapolskie grody o wałach z tramów dębowych, gliny i głazów były bardzo dobrymi warowniami, spełniały swe zadanie bez zarzutu. Może wyda się to komuś rozmyślną przesadą, ale cóż począć - one lepiej broniły niż na przykład kamienne twierdze włoskie. Przyznaje to historyk niemiecki Schünemann, autor książki *Deutsche Kriegsführung im Osten während des Mittelalters*. Od czasów Karola Wielkiego (r. 789) aż do wojny Fryderyka Barbarossy (r. 1157) odbyło się sto siedemdziesiąt pięć wypraw germańskich na Słowian. Z nich jedna trzecia przyniosła sukces, a dwadzieścia zakończyło się zupełną klęską najeźdźcy. Ale nie ma przykładu zdobycia przez Niemców jednego choćby grodu polskiego, umocnionego na znany nam sposób.

Bo i jak można było ugryźć taką twierdzę? Chyba tylko ogniem. Lecz i to niezbyt łatwo, bo przecież glina trzyma wilgoć. Rusztowe czy przekładkowe ściany miały dziesięć i więcej metrów wysokości, a w podstawie grubość ich wynosić potrafiła piętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów! Żadne walenie taranem nic przeciwko takiemu ogromowi nie działo, nie rozkruszy go, nie zarysuje i nie zawali.

W połowie X wieku w naszym systemie fortyfikacyjnym pojawia się ulepszenie uważane za rdzennie polską właściwość. Wynalazku dokonano w czasach Mieszka I (istniały pokusy

ogłoszenia jego samego za wynalazcę, ale brak jakichkolwiek podstaw do takich mniemań). Mówię o tak zwanej konstrukcji hakowej. Przykład jej można było obserwować i na Lednicy przy pomoście nad jeziorem, zanim nie został zasypany. Innowacja polegała na tym, że kłody położone w stosunku do biegu wału poprzecznie zaopatrywano w potężne zaczepy, które zupełnie uniemożliwiały wysunięcie się belek warstwy górnej, podłużnej. Brało się pień drzewa z grubym konarem bocznym, odpowiednio się go obrąbywało siekierami - i zrosnięty z kłodą zaczep gotów. Co najwyżej można go było jeszcze wyrzeźbić na podobieństwo głowy dzika, jak to miało miejsce w Gnieźnie.

Starosłowiański system fortyfikacyjny był zupełnie odrębny i do obcych wzorów wcale niepodobny. Tak samo zresztą musiało być i z naszą prastarą sztuką wojenną. Myśląc - a nieraz i pisząc - o prapolskich drużynach wyobrażamy sobie wszystko na obraz armii Zachodu. A więc rycerze zakuci w ciężkie zbroje, olbrzymie ogiery bojowe. Jak dotąd jednakże archeologom nie udało się wykopać na naszych ziemiach chociażby jednej wczesnośredniowiecznej zbroicy. Mogły być, owszem, używane, ale tylko sporadycznie. Najstarsze hełmy, importowane z Rusi, znamy dopiero z przełomu X i XI stulecia. Co się tyczy koni, których nazwa jest rdzennie Słowiańska, to po wykopaliskach można oglądać ich podkowy. Każda zmieści się wygodnie na dłoni. Dopiero z warstw późniejszych wydobywano podkowy o normalnych wymiarach. Woje Mieszka i Chrobrego musieli zatem dosiadać koników małych, lekkich, może pokrewnych tarpanom. I nie byli chyba wielkoludami, bo taki rumak nie udźwignąłby dzisiejszego kanoniera artylerii ciężkiej (wiadomo zresztą, że współczesny mężczyzna nie wciągnie na siebie wczesnośredniowiecznej zbroi, która okaże się za mała). Bardzo też prawdopodobne, że Mieszko I niewiele posiadał konnicy. Do walki z grafem saskim Wichmanem wypożyczył wszak sobie dwa oddziały kawalerii czeskiej. Może i rację miał zatem mnich saski Widukind, który pod datą roku 929 zapisał o Słowianach: „Barbarzyńcy nie mieli wielu konnych, mieli natomiast niezliczone mnóstwo piechoty.”

„Barbarzyńcy” posiadali w ogóle swój własny system obrony kraju. Nie brakuje, rzecz jasna, teorii, że słowiańskie umiejętności fortyfikacyjne zostały zapożyczono od Germanów. Teoria ta wykazuje jednak pewną szczelinę. Nie jest mianowicie oparta o żadne dowody.

Archeologia nie zwykła niczemu przeczyć bez dostatecznych powodów. Poważnie więc rozpatruje się zagadnienie, czy rusztowy sposób stawiania wałów nie zawędrował w słowiańskie strony za pośrednictwem Protobułgarów aż z Chin. Bo niektóre partie muru chińskiego wzniesione zostały na podobny ład. Domysł ten chyba, jednak nie odpowiada

prawdzie. Konstrukcja rusztowa jest pewnie wynalazkiem rodzimym. Nadawała się specjalnie do budowli wznoszonych na terenach podmokłych, bagnistych. Kalisz, Łęczyca i Czerwień zaświadczyły, jak Słowianie lubili takie miejsca.

Od Germanów nie mieli się oni czego uczyć.

Pierwsze grody germańskie powstały dopiero w samych początkach naszej ery, pod wpływem zetknięcia się z Celtami i Rzymianami. Wydoskonalenie systemu budowy twierdz nastąpiło w wieku X pod naciskiem Węgrów. Gotowie nie przynieśli pod tym względem absolutnie nic na nasze ziemie. W Skandynawii jeszcze w XIII stuleciu używano prymitywnych ostrokołów. Przekonanie, że to Normanowie pokazali Prapolakom, czym jest gród, można z powodzeniem między bajki włożyć.

Słowo „gród” jest rdzennie słowiańskie.

W odległych tysiącleciach, kiedy na ziemie późniejszej Polski przywędrował znany nam już lud „ceramiki wstęgowej” - czyli jakie dwa i pół tysiąca lat przed Chrystusem - rozpoczęła się wielka rewolucja w trybie gospodarowania i życia w ogóle. Zajęcia myśliwskie strachy znaczenie wobec rolniczych. W ślad za tym koczowanie ustąpiło historycznego miejsca osiadłości. Słabo jeszcze pod względem społecznym zróżnicowana ludność mieszkała w większych skupieniach. Ten właśnie przewrót, według profesora Witolda Hensla, stanowi „najistotniejsze źródło rozwoju grodów”.

Sposób budowy starego gródka na Lednicy wynikał z szacownych doświadczeń. Nie istniały widocznie żadne powody, dla których należałoby go zaniechać, gdy tylko pojawiły się w Polsce murowane kościoły Boga chrześcijan i kamienne zamki monarchów.

Dopiero Kazimierz Wielki zostawił nam „Polskę murowaną”. Za jego czasów było to już koniecznością i „wiecznotrwały król” dokonał gruntownej reformy całego systemu obronnego, o kilkanaście lat wyprzedzając Krzyżaków w dziele zastosowania artylerii. Ale poprzednie uparte trzymanie się drewniano-ziemnego budownictwa bynajmniej nie świadczyło o zacofaniu. Skuteczna, dopasowana do natury kraju metoda trwała, dopóki dawała korzyści.

Jednakże największy nawet szacunek dla rusztowych i hakowych obwarowań nie niweczy zainteresowania zamkiem Chrobrego. Kiedyż powstał i kiedy zginął? Czy słusznie nazywa się go imieniem wielkiego monarchy?

Kopanie wokół murów przyniosło ciekawe rezultaty. Od północnej strony wykryto

obszerny dół do wypalania wapna. Tego samego, które - obok różowej zaprawy - spotyka się w murze w postaci bryłek. W jamie oprócz surowca i resztek węgla były także kawałki naczyń z przełomu X i XI wieku. To by może pozwalało datować budowę najpóźniej na sam początek XI wieku. Bo skoro wtedy wypalano wapno... A zatem według wszelkiego prawdopodobieństwa - Chrobry.

Inne odkrywki doprowadziły do wniosku, że przy południowym murze, obok jego części sąsiadującej z kościołem, stała lekka budowla drewniana. Spłonęła wraz z zamkiem, bo na jej zgliszczach leżało rozsypisko jego ścian. Pewnie był to składzik. Odszukano w nim cztery pestki b r z o s k w i ń oraz ziarna pszenicy, jęczmienia, grochu, poukładane - rzecz dziwna - jakby kupkami i zmieszane ze strzępkami przepalanej tkaniny. Były to resztki worków, w których trzymano zboże.

Tamże znalazły się liczne przedmioty żelazne, cackiem rdzą przeżarte i nie nadające się do rozpoznania. Z rzeczy lepiej zachowanych były groty strzał, noże, paciorki szklane i z kryształu górskiego, przęśliki, wśród nich jeden bursztynowy. Nie wiadomo, czemu go ogień oszczędził. A dalej wrzeczono, przepalone wprawdzie, ale z nawiniętą nań nicią, brązowa skuwka do pasa, szydła kościane oraz trójkątna blaszka złota zdobiona granulacją. Poprzednio obok tych samych ruin znaleziono pierwszy w Polsce złoty kabłaczek skroniowy, ulubioną i charakterystyczną ozdobę głowy Słowianek, sporządzaną jednak zazwyczaj z materiałów o wiele tańszych. Nie byle kto mieszkał na Lednicy!

Złote ozdoby i paciorki z kryształu na mniejszy zasługują podziw niż jedno z dopiero co wspomnianych szydeł kościanych. Zamek należał do monarchy, którego oczywiście stać było na kupienie złotej blaszki rodem ze Skandynawii, z miasta Birka. Ale szydło na pewno zrobił miejscowy rzemieślnik, który uczynił je dość szerokim i pokrył piękną, bardzo delikatną rzeźbą. Powierzchnia zwykłego szydła przypomina po trosze wygląd łuski rybiej. To była wysoka kultura artystyczna - na co dzień.

Skorupy wyciągnięte z pokładu spalenizny, w którym leżały pospołu i szydła, i blaszka złota, i groch, wskazują na pierwszą połowę XI wieku. A zatem zamek - w którym na pewno mamy prawo widzieć siedzibę Chrobrego, może nawet Mieszka - nie trwał długo. Spalił go zapewne Brzetysław czeski w roku 1038. Wtedy również spłonął i kościół. W każdym razie Długosz nie zdołał się niczego dowiedzieć o klęskach Lednicy. Zaginął wszelki słuch o zdarzeniu.

Taka piękna warownia, a może i pięćdziesięciu nawet lat nie przeżyła. Pisząc dawniej o

Lednicy nie mogłem wyzbyć się uczucia żalu, bo działa się jej wyraźna krzywda. Nie możemy narzekać na brak powieści opiewających dobę pierwszych Piastów. Ale jakoś nie przypominam sobie w nich zbyt licznych wzmianek o kamiennych budowlach na wyspie. Pomimo dawniejszych, jeszcze przedwojennych prac profesora Zygmunta Zakrzewskiego Lednica mało była znana szerszemu ogółowi. Przed pierwszą wojną światową i podczas ostatniej okupacji wyłamywali stąd kamień na szosy.

Od niedawna wszystko się zmieniło. Nazwa Ostrowa Lednickiego pojawiła się na pierwszych stronach gazet, w miejscu zastrzeżonym dla największych sensacji.

Powrócę na chwilę do wspomnień z 1949 roku. Profesor Kazimierz Żurowski zaprowadził mnie wtedy do parokrotnie już wspomnianych szczątków przystani. Romantycznie tam było i bardzo tajemniczo. Za plecami miało się skłon wału, wokół gęste zarośla i drzewa. Na wprost, za wodą, widniał nie brzeg stały, lecz pokryta lasem wyniosłość jeszcze jednej wyspy, mniejszej, zwanej Ledniczką lub Kuchnią Królewską. Łagodnie falująca woda omywała zupełnie poczerniałe i spękane ze starości belki, wyścielające wybrzeże.

Rozmyślałem wtedy o tym, co od dawna stanowiło przedmiot marzeń badaczy. O wpuszczeniu w jezioro nurka.

Rojenia oblekły się w ciało, ale dopiero w dziesięć lat później, czyli w roku 1959. Jednakże zamiast nurków „klasycznych”, których ciężkie skafandry i wielofuntowe podeszwy butów nie nadawały się do walki z mułem dennym jeziora, poszli w wodę płetwonurkowie. Odkrycia ich zadziwiły Polskę i stały się głośne poza jej granicami.

Okazało się, że wyspę łączył niegdyś z lądem stały, szeroki most drewniany. Głęboko pod powierzchnią sterczą z mułu dna rzędy pali, na których się wspierał. Most wybiegał z wyspy w obie strony, zaczynał się nie przy zamku, ale tam gdzie było ludne podgrodzie, i miał długości łącznej około sześciuset metrów! Został zniszczony, spłonął, zapewne także w roku 1038, podczas walki, a wszystko, co się na nim w chwili katastrofy znajdowało, runęło do wody. Płetwonurkowie znaleźli wiele przedmiotów, a wśród nich typowy słowiański hełm spiczasty.

A zatem Otton III nie potrzebował w roku 1000 korzystać z łodzi. Wkroczył do zamku Chrobrego po moście, który może naprawdę wystano na uroczystość purpurą.

Słowianie lubili osiedlać się w miejscach wodnistych, bagiennych. Szeroka droga pod Łęczycą, groble wokół Czerwienia, świeżo odkryty most w Gieczu, który łączył gród z podgrodzem, i tajemnica, tak długo ukrywana przez Jezioro Lednickie, świadczą, jak sobie w

tych okolicznościach radzili.

Na wyspie jeziora Teterow w dzisiejszej Meklemburgii również istniał słowiański gród. Z łądem łączył go most drewniany długości siedmiuset pięćdziesięciu metrów, wyprowadzający na groblę. Analogiczne odkrycia w Polsce, macierzystym kraju Słowian, dowodzą chyba, że plemiona, które z niej wyszły na zachód, zabrały w podróż umiejętności doskonale znane w ich praojczyźnie. „Łużycki” gród biskupiński był połączony z wybrzeżem także za pomocą drewnianego mostu.

W 1960 roku płetwonurek bobrujący pod wodą koło pali namacał dłonią przedmiot, który wydał mu się podobny do rzeźby naśladowującej głowę węża czy smoka. Tak natrafiono na łódź-dłubankę, świetnie zakonserwowaną w mule. Wśród nadzwyczajnych trudów i ostrożności płetwonurkowie przyholowali ją do brzegu, starannie ochraniając przed niewczesnym wydobyciem na powierzchnię. Bo tlen to najbardziej śmiertelny wróg wszelkich zabytków zrobionych z drewna. Woda zabezpiecza przed nim.

Łódź była rzeźbiona, na dziobie zdołał ją wizerunek głowy smoczej. Służyła komuś znakomitemu, mole rodzinie monarszej. Długa na dziesięć metrów mogła pewnie zmieścić sporo osób. Jak się znalazcy domyślają, w chwili katastrofy byka uwiązana do pala mostu i przywalona spadającymi ciężarami poszła na dno. Taki sam los spotkał dwie inne łodzie, których jeszcze nie przywleczono do brzegu.

Przyszłość pokaże, co woda jeszcze ukrywa.

Konferencja Pomorzoznawcza, zorganizowana w Szczecinie we wrześniu 1960 roku, przyniosła nam rewelacyjną teorię, ściśle związaną z tym, co kryje ziemia Ostrowa Lednickiego. Nie brakuje tam mianowicie kości ludzkich. Kiedy zawitałem na wyspę po raz pierwszy, widok szkieletów rzucił mi się w oczy, jak tylko przekroczyłem wały. Zdjęto wtedy murawę z niezbyt wielkiego prostokąta gruntu, od razu odsłaniając co najmniej kilkanaście.

Najlepszym u nas znawcą wszystkiego, co dotyczy doczesnych szczątków człowieka, jest profesor Jan Czekanowski. W danym wypadku słowa „u nas” wcale nie znaczą: tylko w Polsce. Profesor Czekanowski to światowa sława w dziedzinie antropologii.

To on przed wojną, w dobie rozszalałego rasizmu, najspokojniej w świecie dowiódł i ogłosił, że w typie fizycznym przeciętnego Żyda warszawskiego dominuje składnik nordycki. Wszyscy rozsądni ludzie zawyli z radości. Zwolennicy „aryjskości” znaleźli się w kłopotliwym położeniu, a Antoni Słonimski, komentując w *Kronice tygodniowej* odkrycie profesora, nie zapomniał i o drugiej stronie barykady. Dla ortodoksów - pisał - profesor

Czekanowski to wróg gorszy od Nabuchodonozora. Wykazał przecież, że - cytuję z pamięci - wszystkie rybki i pipki, które nabożne Żydki jadały w szabas, są splugawione dotknięciem rąk gojowskich.

Jan Czekanowski był przyjacielem Ludwika Hirszfelda.

- Owszem, przekonywająco pisze pan o archeologii - mówił kiedyś profesor Czekanowski, przyglądając mi się nie bez pobłażliwej zyczliwości. -Widzi pan, przyjechałem po raz pierwszy do Afryki wkrótce po zniszczeniu państwa Zanzibarytów, które było tak potężne, że zwycięstwo nad nim wymagało wysiłku trzech mocarstw kolonialnych. Archeolog powie panu, że tego państwa nigdy nie było. Zanzibaryci to Arabowie, którzy żenili się z miejscowymi Murzynkami. A one gotowały im jedzenie w swoich murzyńskich garnkach. Nigdy nie było żadnych zanzibarskich garnków. Nie ma skorup, dla archeologa nie istniało państwo...

Profesor Czekanowski chciał za młodu zostać carskim oficerem zawodowym, ponieważ liczył, że służąc w odległych garnizonach będzie mógł badać wnętrza Azji.

- A pojechałem w pierwszą podróż - opowiadał - na stypendium akademii innej cesarskiej mości - Wilhelma II.

Jakoś się nigdy nie odważyłem bronić archeologii wywodem, że Słowianie palili zwłoki, więc profesorowi pozostają do badania czerepy Szwedów, Gotów i Wandalów. Nie obraziłby się na pewno, niepokojące tylko, co by mi odrzekł...

Jednak nie wszystkie słowiańskie zwłoki płonęły na stosach. Badając czaszki z IX i X wieku, które odnaleziono w najstarszym grodzie Przemyślidów czeskich na Levym Hradcu koło Pragi, stwierdził profesor Czekanowski ich pokrewieństwo z czaszkami Słowian Połabskich. Ludzie zamieszkujący gród różnili się pod względem antropologicznym od mieszkańców okolicy, byli natomiast podobni do plemion skrajnie zachodnich. Odkrycie to ma już dziesięć lat. Ostatnie badania, przeprowadzone przez uczniów profesora, przede wszystkim przez docenta Franciszka Wokroja, natrafiły na podobne zjawisko, ale dotyczące tym razem najstarszych czaszek znalezionych w Kruszwicy oraz na Ostrowie Lednickim. I one także wykazywały pokrewieństwo z Połabianami, były natomiast różne od szczątków zwykłego pogłowia późniejszej Wielkopolski.

Ale czaszki młodsze, więc później - do XII wieku - grzebane w katedrze gnieźnieńskiej, już nie wykazywały tych różnic. W katedrze, oczywiście, składano na wieczny spoczynek tylko wielmożnych.

Opierając się na tych ustaleniach, profesor Czekanowski wystąpił w Szczecinie z niezwykle śmiałą i zwartą teorią. Tak więc w wieku VII czy VIII plemiona połabskie oraz czeskie dostały się we władzę Słowian Połabskich, uległy Lechitom z Zachodu. Na Levym Hradcu, w Kruszwicy oraz na Ostrowie Lednickim stanęły załogami drużyny wojowników z Połabia. Stąd właśnie wzięły się owe zagadkowe pokrewieństwa antropologiczne starych czaszek, wykopanych w miejscowościach tak znacznie od siebie odległych. Ta sama przyczyna wyjaśnia różnice zachodzące pomiędzy szczątkami załóg a podbitej ludności.

W 789 roku Karol Wielki zniszczył imperium Połabian. Jednakże na wschodzie, a zwłaszcza na południowym wschodzie resztki tego państwa przetrwały. W Czechach utrzymali się przy władzy Przemyslidzi, wywodzący się z Połabia, znad Bałtyku. Nie przebijając w środkach wytypili oni rodzimych książąt czeskich, między innymi ród św. Wojciecha, Sławnikowiczów. Przyszły apostoł znalazł przytułek w Polsce, to samo uczynił wcześniej jego brat, Sobiebor, któremu Chrobry wyznaczył na rezydencję wielkopolskie Łekno.

I na ziemi Polan władza połabska przetrwała, ale nie na długo. Według profesora Czekanowskiego nasza pierwsza, „legendarna” dynastia Popielidów była spadkobierczynią imperium połabskiego, wywodziła się z Zachodu podobnie jak czescy Przemyslidzi. Rychło obalili ją Piastowie, Polanie z krwi i kości, przyszli twórcy Polski.

Czesi, Połabianie i Polacy należą do Słowian zachodnich. Dwie ostatnio wymienione nazwy sumuje się nawet czasem w jedno miano plemion lechickich. Jeśli imperium połabskie istniało - jego podboje nad Wełtawą i Wartą, obrona ze strony ujarzmionych, rzezie w Czechach i udane powstanie w Gnieźnie są rozdziałami wewnętrznej zachodniosłowiańskiej historii. Ale jej przebieg zostawił wyraźne ślady. Stosunki Przemyslidów z Piastami były przeważnie złe. Pierwszą swą walkę o Śląsk (a być może o Łużyce) stoczyła Polska w roku 990 z Czechami. Mieszka I wspierały cztery hufce rycerzy niemieckich, przysłane przez cesarzową Teofano, która sprawowała w Rzeszy regencję. Niczego nie wskórały, spowodowały tylko kłopoty, gdyż Czesi dostali w ręce ich dowódców i posiadli możliwość wywierania szantażu, ale to nie jest w tej chwili ważne. Chodzi o niedwuznaczny obraz układu sił politycznych. O trzydzieści niemal lat wcześniej Mieszko wkroczył do pisanej historii jako wróg sprzymierzonych z Czechami zachodniosłowiańskich Wioletów i jako władca obdarzony zaszczytnym tytułem „przyjaciela cesarza”. W całe stulecie później ostatni z dynastii Przemyslidów występowali jako przyjaciele Krzyżaków. Przecież nazwa „Królewiec” to krzyżacka grzeczność, wyświadczona Przemysławowi Ottokarowi II, który

bywał i wojował w Prusach.

Tak, w wielkim skrócie, przedstawiają się zarysy teorii profesora Jana Czekanowskiego. Ponieważ styl to człowiek, posłuchajmy jego polemiki z przeciwnymi poglądami („Problemy”, nr 3, r. 1961):

„Według jednych sprawa powstania państwa polskiego, w jej nieco groteskowym ujęciu, przedstawia się mniej więcej następująco: Gdy przyszedł po temu czas, podyktowany rozwojem stosunków gospodarczych, poczciwi kmiotkowie uznali za wskazane stworzenie państwa i najgodniejszego spośród siebie wybrali na króla. W ten sposób na odwiecznym słowiańskim wiecu zgodnie załatwili całą sprawę.

Według innych żaden naród słowiański nie stworzył sobie własnego państwa i Polacy pod tym względem nie stanowią wyjątku... Jednym słowem. Germanowie przyszli bandą, złupili ludność, sterroryzowali ją i urządzili się. Polacy wnet o tym zapomnieli. W dosyć obfitym materiale podaniowym, notowanym przez kronikarzy poczynając od XI wieku, gdyż i Nestor wiedział dużo o Polsce, nie ma bowiem śladu świadczącego o takim zdarzeniu. To tylko Murzyni z Afryki środkowej ogarniają pamięcią 22 generacje swoich władców.”

Tyle o teorii. Leżące u jej podstaw fakty mówią, że wielmoże, uroczyście chowani we wzniesionej przez Mieszka katedrze gnieźnieńskiej, byli tej samej krwi co mali, nic nie znaczący ludzie z plemienia Polan.

V

Dzisiejsze otoczenie katedry gnieźnieńskiej ma wygląd bardzo cywilizowany i - moim przynajmniej zdaniem - banalny i nudny. Wszystko ładnie wyrównane, ogrodzone, wybrukowane. Nad wodą jeziora Jelonek sterczą czerwone ściany fabryki czy browaru. Trudno doprawdy uwierzyć archeologom, którzy twierdzą, że miejsce to było ongi szczególnie niedostępne. Od południa, zachodu i północy otaczały Górę Lecha mokradła oraz głębokie jeziora (mizernym wspomnieniem po tym wszystkim jest ów wyżej wymieniony Jelonek). Płynęła tu jeszcze rzeka Srawa. Jedyna droga sucha wiodła od wschodu.

Trzeba jednak wierzyć archeologom. Nawet wtedy, kiedy zaczynają rozprawiać o rzeczach pozornie mało wiarygodnych, o zabytkach wykopanych sześć do ośmiu metrów poniżej lustra nie istniejącego dziś Jeziora Świętego. To by mogło dowodzić, że poziom wód

gnieźnieńskich był niegdyś tyleż przynajmniej niższy.

Twierdzenie to jest, bądź co bądź, domysłem tylko, ale zdarzają się i pewniki. Nie ulega, na przykład, żadnej wątpliwości, że sosny rosną wyłącznie na samej powierzchni ziemi, a nigdy pod ziemią. Tak więc skoro stwierdzono, że stopa wału oparta była jak o podstawę o pień ściętej sosny, to znaczy, że tam znajdowała się powierzchnia wzgórza. Czyli - jedenaście metrów trzydzieści centymetrów niżej niż obecnie.

Góra Lecha, taka, jaką teraz oglądamy, jest cała niemal dziełem ręki ludzkiej. Utworzyły ją nawarstwiające się kolejno zgliszcza, ruiny, rozsypiska. Dawniej stanowiła niewielką, lecz stromą wyniosłość między jeziorami, suchą wypukłość otoczoną dokoła mnóstwem trzciny. Szczyt jej był niższy od obecnego tylko o cztery metry, za to krańce o całych jedenaście z okładem. Wzgórze rozrosło się na baki. Kiedyś można było naprawdę dopatrywać się w nim podobieństwa do gniazda. Najstarszy nasz kronikarz, Gall Anonim, pisze po łacinie o „mieście Gnieźnie, które w słowiańskim tłumaczy się jak gniazdo”. Wśród miejscowych znalezisk jest moneta Bolesława Chrobrego, ozdobiona jego podobizną i napisem: „*Gnesdun civitas*”.

Plemiona ludzkie od dawna zaglądały w te strony. W Dziekance pod Gnieznem wykryto dowody pobytu człowieka z tak zwanej środkowej epoki kamiennej (5000-2500 przed Chrystusem), który przywędrował aż z Afryki poprzez Azję i dzisiejszą Rosję.

Około połowy pierwszego tysiąclecia przed naszą erą mieszkała tu ludność prasłowiańska.

Nie lada jakie drzewo genealogiczne posiada więc prastolica Polski, miasto, od którego odwróciła się nasza późniejsza historia, gdzie dziś próżno by szukać zabytków architektury świeckiej.

Niezbyt ściśle wyraziłem się przed chwilą. Bo zabytków istotnie próżno szukać, lecz tylko na powierzchni. Za to pod ziemią znaleźć je można w wielkiej obfitości, i to w dodatku takie, które potrafią obalić niejedno błędne mniemanie o przeszłości kraju.

Wielkie i głębokie jamy na północ od katedry ubezpieczone, na wszelki wypadek, drewnianymi rozporami. Kiedy przyjechałem, najgłębsza z nich, prawdziwa studnia o dwunastu metrach głębokości, była już do połowy zasypana. Kierownictwo pilnie dbało o całość murów pobliskiej bazyliki, którym od archeologów nic nigdy nie zagrażało.

W jednym z wykopów, pod dachem, niby skarb największy, widniała popielatej barwy spadzistość o siedemdziesięciu stopniach nachylenia. Była to resztką wału grodowego,

rodzimej, dobrze znanej przekładki. Drewno zdążyło już całkowicie spróchnieć, pozostała sama glina. Wiek tej ściany udało się dokładnie oznaczyć. Stało się to dzięki osobliwym sposobom troski o higienę u naszych odległych przodków.

Grody prapolskie czyszczono ze śmieci. Ktoś, kto musiał wtedy o to dbać, poradził sobie następująco: zbierał odpadki i wyrzucał je za wał. Spadały na jego ławę, to jest część najniższą, wysuniętą ku przodowi. Tam nikt już ich nie niepokoił. A przecież nie brakło między nimi skorup poduczonych garnków.

Gruba warstwa śmieci przez bardzo długie lata zalegała podnóża twierdzy gnieźnieńskiej. Aż jeden z następnych władców postanowił obwarować się silniej. W tym celu kazał pogrubić wał, dodać od przodu nowy stój przekładki. Śmieci nie uprzątnięto, dostały się więc między dwie szczelnie do siebie przylegające ściany i przetrwały tam bezpiecznie przez dziesięć stuleci. W roku 1950 doktor Kazimierz Żurowski i magister Gabriela Mikołajczykówna, prując wał, dobrali się do nich i na podstawie wieku odszukanych skorup ustalili, że twierdza na Górze Lecha w Gnieźnie istniała na pewno już w końcu VIII stulecia. Na sto kilkadziesiąt lat przed Mieszkiem I.

Mieszko I? Ależ to przypuszczalnie on właśnie kazał pogrubić waty i zasypać śmietnisko, które wzbogaciło wiedzę.

Należy mieć nadzieję, że namacalny argument oduczy nas wreszcie od pewnych niczym nie usprawiedliwionych przyzwyczajęń. Do Gniezna każdy mógł pojechać, wejść za gęsty płot koło katedry i obejrzeć wał z VIII wieku. Skoro zaś tak potężne umocnienie wznosiło się już na sto kilkadziesiąt lat przed datą chrztu, to nie ma chyba żadnych podstaw teza, że Mieszko I był pierwszym „historycznym” władcą Polski,

Zbudować taki wał - to oznaczało coś więcej niż nająć drużynę roboczą, dać jej potrzebny sprzęt i już tylko doglądać. W Gnieźnie dokonano jeszcze jednego rewelacyjnego odkrycia, Wyszła na jaw metoda organizacji pracy przy budowie prapolskich fortyfikacji. Okazało się, że wał podgrodzia dzieli się wyraźnie na odcinki po dwa metry czterdzieści centymetrów długości każdy. Granice między nimi są dla archeologów zupełnie czytelne. Stanowi o nich różny skład i zabarwienie ziemi użytej do ubijania przestrzeni między tramami. Pracę wykonywały poszczególne grupy robocze. Zadanie każdej z nich polegało na wzniesieniu umocnienia przez całą jego grubość i wysokość, na szerokości dwa metry czterdzieści centymetrów. Nie ulega wątpliwości, że wszyscy pracowali jednocześnie, według jednolitego projektu i pod wspólnym kierownictwem.

Kogo stać było na zorganizowanie podobnej roboty, ten musiał posiadać w ł a d z ę nad ludźmi. Rozkazów jego słuchali ci, co stale byli zobowiązani do pracy fizycznej. Nie ma dwóch zdań, że spadzisty wał grodu świadczy o istnieniu państwa już w wieku VIII. A skoro rzecz dzieje się w Gnieźnie, naszej prastolicy, więc jakiego to państwa był załążek?

Mieszko I cieszy się dziś bardzo dobrą opinią u historyków. Niektórzy z nich są skłonni przyznać mu wyższość nawet nad Bolesławem Chrobrym, Toteż odmawianie mu tytułu pierwszego historycznego księcia Polski nie nosi cech żadnego niewczesnego rewizjonizmu. Słowo „pierwszy” uważa się za to, czym ono jest w istocie: za zwyczajny liczebnik.

Nasi najdawniejsi kronikarze byli wyłącznie osobami duchownymi. Gall wprawdzie namawiał do „poniechania” rzeczy „skażonych błędami bałwochwalstwa”, ale Popiela, Piasta oraz przodków Mieszka wymienił. Biskup Kadłubek postępował jak typowy powieściopisarz, nie krępował się prawdą realną. Komponował zadziwiające opowieści o sławie i blasku Polski... pogańskiej. Arcybiskupa Długosza oskarżano o wymyślenie całego Olimpu polskich bożyszcz. Dopiero później, kiedy poszły w zapomnienie rdzennie polskie tradycje tolerancji, wytworzył się nieszczęsny obyczaj skreślenia wszystkiego, co poprzedzało rok 966.

A zatem - cóż wiemy od Galla o przodkach Mieszka I? Po omówieniu historii Popiela i Piasta powiada kronikarz:

„Ziemowit (syn Piasta) tedy, osiągnąwszy godność książęcą, młodość spędzał nie na nedorzecznych rozrywkach, lecz oddając się pracy i służbie rycerskiej, zdobył sobie rozgłos zacności i zaszczytną sławę oraz granice swego księstwa rozszerzył dalej niż ktokolwiek przed nim. Po jego zgonie na jego miejscu zasiadł syn jego, Leszek, który czynami rycerskimi dorównał ojcu w dzielności i odwadze. Po śmierci Leszka nastąpił Ziemomysł, który pamięć rodziców potroił i potomstwem, i dzielnością.

Ten zaś Ziemomysł spłodził wielkiego i sławnego Mieszka...”

Cóż w tych informacjach bajecznego? Imiona: Ziemowit, Ziemomysł i Leszek, wcale nie są zmyślane. I później jeszcze spotykamy się z nimi, zwłaszcza w linii Piastów mazowieckich.

Powtórzę celne zdanie profesora Czekanowskiego: „To tylko Murzyni z Afryki środkowej ogarniają pamięcią 22 generacje swoich władców.” W Polsce za czasów Galla, który służył księciu z szóstego pokolenia po Mieszku, nikt oczywiście niczego już nie pamiętał.

O przodkach Mieszka napisał Gall właściwie nie mniej i nie więcej niż o nim samym. Bo

jeżeli odliczyć wywody na temat chrztu, pozostaną następujące słowa:

„Objąwszy księstwo, zaczął rozwijać zdolności umysłu i siły ciała i coraz częściej nachodzić wojną ludy sąsiednie dookoła.”

To wszystko. Dowiedzieliśmy się akurat tyleż samo, co o Leszku czy Ziemomyśle.

Teoria profesora Czekanowskiego skłania do głębokiego zastanowienia. Zdaje się ona rzucać ciekawe światło na rodowód walk polsko-czeskich, ale nie tylko na, tę jedną sprawę. Piastowie obalili Popielidów i zostali - być może - spadkobiercami ich dorobku i doświadczenia. Bo ta dynastia szła naprzód dziwnie szybko, jeśli start liczyć dopiero od Ziemowita. I co miał na myśli Gall, kiedy pisał o Ziemowicie, że „granice swego księstwa rozszerzył dalej niż k t o k o l w i e k przed nim.” To znaczy - kto? Piast? W takim razie byłoby napisane: dalej niż ojciec. Zresztą „ktokolwiek” to jeden z wielu.

Oto czterech pierwszych książąt z dynastii Piastów: Ziemowit, Leszek, Ziemomysł, Mieszko. Gall jest katastrofalnie lakoniczny, wcale nas nie poucza, w jaki sposób odbywało się p r z e k a z y w a n i e w ł a d z y, czynność wagi niezmiernej, i to w każdym ustroju. A jednak znajdujemy w kronice takie powiedzenia, jak: „...na jego miejscu zasiadł syn jego...” albo: „...po śmierci Leszka nastąpił...”

Dziedziczność władzy monarszej! Państwa takie jak Francja zabiegały o nią przez wieki. Niemcy nie wytworzyły jej nigdy aż po rok 1870. W Polsce pojawiła się ona od razu na początku jej spisanych dziejów. Miała może formę daleką od doskonałości, ale przecież istniała. Mieszko podzielił państwo między synów, ale nic nie słyhać, by postawił ich jako kandydatów przed wiecem elekcyjnym. Chrobry i zasadę podziałów pragnąc znieść, biorąc w Gnieźnie koronę królewską,

Czyżby to sami Piastowie od początku byli aż tacy genialni? A może i dorobek oraz doświadczenie Popielidów na coś się im przydały? Bo Piastowie to niemal na pewno d r u g a dynastia, rządząca krajem Polan. Pierwsza była też słowiańska, ale przyszła z zewnątrz, która to okoliczność mogła sprzyjać wytworzeniu się zasady dziedziczenia tronu wewnątrz rodu, który nieco się od poddanych odróżniał. Popiel zginął, a zwycięzcy przejęli wszystko, co było politycznie korzystne.

Ciągle się rozważa, w jaki sposób zaginęła u nas dziedziczność tronu. Pytań o to, skąd się ona w ogóle wzięła za Piastów, bywa o wiele mniej. Dziwne! Francuzi z uwagą i szczególnie śledzą prace swych wczesnych Kapetyngów, którzy tylko dlatego utrzymywali się przy władzy, że koronowano syna jeszcze za życia ojca. Lecz i z tym były początkowo

kłopoty.

Zwyczaj lekceważenia wiadomości o przodkach Mieszka tym bardziej razi w zestawieniu z rozgłosem i oryginalną karierą dokumentu „*Dagome iudex*” (Dagome sędzia).

U schyłku życia, w latach 990-992, Mieszko I dokonał aktu darowizny, czyli poddania Polski pod protekcję Rzymu. Właściwy dokument się nie dochował, znane są tylko jego późniejsze regista. Najstarszy z nich pochodzi z roku 1087, a więc sporządzony został w wiek blisko po fakcie. Tekst tych regestów zaczyna się od słów: „*Dagome iudex*”.

Kopista z 1087 roku nie miał pojęcia, do jakiego kraju odnosi się streszczany przezeń dokument. Dodał nawet uwagę: „*nescio, cuius gentis homines, puto autem Sardos fuisse, quoniam ipsi a IIII iudicibus reguntur*” (nie wiem, z jakiego plemienia ludzie, sądzę jednak, że chodzi o Sardyńczyków, bo rządzą nimi czterej sędziowie). Poprzekręcał nazwy miast. Wymyślił jakieś Schinesge (Gniezno czy Szczecin) oraz Alemure, które nawet po trosze przypomina Ołomuniec.

Są rozmaite próby odcyfrowania zagadki. Zalicza się do nich przypuszczenie, że Mieszko otrzymał na chrzcie imię Dago czy Dagon. Profesor Henryk Łowmiański twierdzi, że nazwano go wtedy Dagobertem, co by się łączyło z francusko-lotaryńskim wpływem na uchrześcijanienie Polski. Najbardziej prawdopodobnie wygląda jednak inny domysł. W średniowieczu, zwłaszcza wczesnym, pisano niewyraźnie, posługując się w dodatku rozmaitymi skrótami, bo pergamin był bardzo drogi. Przepisywacz mógł mieć przed sobą dokument zniszczony i nie umiał go należycie odcyfrować. Możliwe, że rozpoczynające akt darowizny słowa: „*Ego Mescio dux*” (ja Mieszko książę) - przesylabizował na owo nieszczęsne „*Dagome iudex*”.

Ale drogo zapłaciło dziejopisarstwo za poślizgnięcie się ręki rzymskiego skryby. Imię Dagon stało się podstawą do całej efektownej teorii o normandzkim pochodzeniu dynastii piastowskiej. Tak więc państwo nasze miał zorganizować germański zdobywca, co - rzecz jasna - znakomicie podbudowuje tezę o zasadniczej niższości Słowian oraz o braku u nich zdolności politycznych.

Robert Holtzmann, autor książki *Böhmen und Polen in 10 Jahrhunderts*, z uporem wywodził:

„...nagle i bez etnograficznego podłoża nowe państwo zostało przez pięć zdobywców powołane do życia... Można przypuścić z wielkim prawdopodobieństwem, że ten twórca państwa był Normanem Dagonem, przybyłym przez morze...”

Ton tych naukowych przypuszczeń rozpoznać łatwo. Zwłaszcza zaś ów miły passus o pięści zdobywcy. O ile się nie mylę, słowa „*brutaler Faust*” należą do najczęściej używanych zwrotów w *Mein Kampf* Hitlera. Dodać jeszcze trzeba, że podczas ostatniej wojny nazistowski dziejopis Ludat złożył rozbijającą szczere oświadczenie. Po ostatecznym zlikwidowaniu Polski - mówił - należy dać już spokój teoryjce o normandzkim pochodzeniu Piastów; skoro samej Polski już nie ma - można spokojnie i rzeczowo zabrać się do badania jej początków.

No, Polska jest. Ale to jeszcze nie powód, byśmy szczerych słów Ludata nie mieli zachować we wdzięcznej pamięci.

(Swoją drogą osobliwa bywa moralność badaczy, zbyt gorliwych w służalstwie. W 1945 roku do rosyjskiego generała komenderującego załogą w Berlinie zgłosił się pewien niemiecki uczyony, znany dawniej z nacjonalistycznego ducha. Przedstawił się jako historyk, profesor, i zgłosił gotowość udowodnienia, że nie tylko Pomorze i Śląsk, ale i Meklemburgia to kraje Słowiańskie. - „*Niet!* - Rosjanin podniósł dłoń gestem obronnym. *Nie nado! Miekleburgii nie nado.*”)

Tendencyjne pisaniny rozmaitych nacjonalistów nie są jednak argumentem ani „za”, ani „przeciw”. Teorię o rzekomo normandzkich początkach państwa polskiego (którą wyznawali zresztą i niektórzy nasi badacze w ubiegłym stuleciu) trzeba obalić dowodami rzeczowymi, w sposób poważny. Dokonał już tego profesor Józef Kostrzewski. Powiada on, że gdyby teoria o najeździe wikińskim była słuszna, to na ziemiach naszych w grodach i osiedlach musielibyśmy znajdować typowo skandynawską broń, ozdoby i temu podobne przedmioty. A tymczasem tak nie jest. Znaleźsk owych jest wyjątkowo mało. Dotychczas odkopano u nas jeden tylko grób Wikinga (w Ciepłym, w powiecie gniewskim). Polski system fortyfikacyjny, jak już wiemy, nie ma nic wspólnego ze Skandynawią. W mowie naszej istnieje jedna jedyna pożyczka nordyjska. Jest nią śledź, wywodzący się od starszwedzkiego: *sild*.

Należy więc odłożyć do lamusa mniemania oparte o nieszczęsny dokument „*Dagome iudex*”. Koniecznie za to potrzeba więcej niż dotychczas szanować Gallowe wzmianki o przodkach księcia Mieszka.

Profesor Witold Hensel powiedział, że w świetle wykopalisk nie tylko Ziemomysł, Leszek i Ziemowit, ale nawet „postacie Popiela i Piasta zaczynają nabierać rumieńców rzeczywistości”. Od strony antropologii to samo głosi profesor Jan Czekanowski, który stwierdza w dodatku, że szczątki kostne z okresu wczesnohistorycznego nie wykazują w ogóle żadnych pokrewieństw z Normanami. Jedyny wyjątek stanowi Wolin.

W latach 1936-1938 prowadził w Gnieźnie wykopaliska profesor Kostrzewski, a wcześniej - w latach 1926-1928 - ksiądz biskup Laubitz. W podziemiach katedry, pod konfesją św. Wojciecha, wykrył on rzecz niezmiernie ciekawą. Były to warstwy „skamieniałego popiołu”, grubości około pięćdziesięciu centymetrów, oraz - w samym środku konfesji „gładka płaszczyzna z ubitej gliny powleczone twardą skorupą wapienną”. W Poznaniu pod prezbiterium katedry też odkryto warstwę popiołu, ale sypkiego, dowód zwykłego spaleniska. Popiół skamieniały powstał chyba z ciał organicznych.

Długosz twierdził, że w Gnieźnie istniał ośrodek kultu bogini Nyi. Skamieniały popiół może być resztką składanych ofiar, a gładka płaszczyzna - to podstawa ołtarza lub sam nawet ołtarz. Domysł znajduje poparcie w faktach późniejszych. Na miejscu dawnej świątyni pogańskiej stanął chrześcijański kościół-rotunda. W 997 roku Chrobry złożył w nim zwłoki św. Wojciecha.

Niesłabym miastem było Gniezno za Mieszka I. Uczni zadali sobie trud policzenia belek, z których składał się wał podgrodzia. Było ich pięćdziesiąt osiem warstw. Jeżeli grubość każdej kłody oznaczymy skromnie na piętnaście centymetrów, to okaże się, że samo drewno utworzyłoby ścianę wysoką na osiem metrów siedemdziesiąt centymetrów. A gdzie glina i ziemia, którymi wypełniano przestrzenie między belkami?

Wał ten wystąpił dopiero na głębokości przeszło pięciu metrów poniżej dzisiejszej powierzchni. W końcu X lub na początku XI wieku nie pełnił już funkcji obronnej, został zrównany i stanęły na nim liczne domy mieszkalne, drewniane oczywiście, o węglowej konstrukcji. Zagadkę tłumaczy, być może, ustęp z kroniki biskupa merseburskiego, Thietmara, który pisze, że w kwietniu 1018 roku „spłonął na podgrodziu gnieźnieńskim kościół arcybiskupi razem z pozostałymi budynkami”. Po tym pożarze zabudowa wzgórza przybrała nowe kształty.

Dzisiaj archeologowie przychylają się do poglądu, że we wczesnym średniowieczu istniało w Gnieźnie więcej kościołów niż jeden. Samo przez się nasuwa się pytanie: a gdzie koronował się Chrobry, skoro katedra spłonęła w roku 1018? Z kronik wiemy tylko, że następną wznosił Bolesław Śmiały. Niepodobna przypuścić, że pierwsza koronacja w Polsce odbyła się byle gdzie, na przykład pod szalasem. Za dobrze poznaliśmy poziom kultury wieku XI... Pod posadzką obecnej katedry gnieźnieńskiej wykryto płytę wapienną ze szczątkami łacińskiego napisu, najstarszego z dotychczas u nas znanych. Majestatyczne litery głoszą, że spoczywały w tym miejscu kości trzech ludzi z pięciu... Może zatem grobowiec zakonników benedyktyńskich, pierwszych męczenników polskich? I zapewne pamiątka po katedrze, którą

wzniósł Bolesław Chrobry na uroczystość własnej koronacji.

Katedra gnieźnieńska stała na podgrodziu. To zapisał biskup Thietmar, a wykopaliska w pełni potwierdziły jego prawdomówność. Gród gnieźnieński, stolica Polski, znajdował się na samym szczycie wzgórza. Katedra leżała poza obrębem jego wałów, opodal ich południowego stoku.

Wiele miejsca poświęciłem w tych rozważaniach ludziom, którzy rządili Polską z wierzchołka Góry Lecha. Odkrywki tutejsze dostarczyły jednak jeszcze większej liczby wiadomości o tych, co mieszkali niżej, na podgrodziu, wokół katedry.

Trzeba teraz wziąć pod uwagę nie same tylko wyniki prac powojennych. Jak już wspomniałem, robotami kierował tu dawniej profesor Kostrzewski. Zdobywali wtedy ostrogi dzisiejsi profesorowie Witold Hensel i Wojciech Kočka, spędziwszy na terenie podgrodzi trzy pracowite lata. Nagromadzono mnóstwo danych dotyczących trybu życia ludzi zwykłych i prostych. Stwierdzono, czym się trudnili, co jedli, jak mieszkali. Zdobytą wiedzę zawarł profesor Kostrzewski w swej książce o *Kulturze prapolskiej*. Sądzę, że wolno wyzyskać tutaj drobną część tych ustaleń, które utorowały drogę badaniom dzisiejszym.

Profesor Kostrzewski spenetrował wszystkie warstwy osadnicze aż do VIII wieku włącznie. Dotarł do prymitywnego częstokołu z łupanych dyli, czyli do najstarszej fazy obwarowań. Zwracał uwagę nie tylko na przedmioty z żelaza czy brązu, ale nie pomijał najdrobniejszego ziarenka. Dzięki temu wiemy, że w Gnieźnie znajdował się najobfitszy, najbardziej wszechstronny zbiór zbóż, jakie tylko uprawiano na ziemiach Prapolski.

Siano więc proso, pszenicę zwyczajną i drobnoziarnistą, jęczmień, owies i żyto. Wbrew dotychczas jeszcze trwającym obyczajom niektórych plemion słowiańskich zbóż tych przy siewie nie mieszano, lecz używano każdej odmiany osobno. Do żęcia służyły sierpy. Znalaziono nawet okaz sierpa składanego jak kieszonkowy nóż oraz przynależną doń piękną oprawę z rogu. Taki przedmiot był przydatny w podróży. Kawalerzysta mógł go łatwo przytrzymać do siodła lub ucześcić u pasa. Mieszkańcy Gniezna znali len i konopie, sadzili groch i ogórki.

Podziwienia godny był poziom sadownictwa. Dojrzewały nad Jelonkiem takie owoce, jakie dzisiaj trzeba sprowadzać z zagranicy. Oprócz jabłoni, wiśni, czereśni i śliw zwykłych pielęgnowano po sadach śliwy wiśniowate, brzoskwinie, wisienki karłowate oraz winorośl szlachetną. Sprowadzili ją, może już, w X wieku, duchowni katoliccy, potrzebujący wina dla celów liturgicznych.

Rolnictwo i sadownictwo były podstawowymi zajęciami mieszkańców podgrodzi poczynając od fazy najstarszej, od VIII stulecia. Na drugim miejscu należy postawić hodowlę zwierząt. Kości ich, wykopane przez profesora Kostrzewskiego i jego pomocników, wzięły na warsztat profesor Edward Lubicz-Niezabitowski i doszedł do bardzo charakterystycznych wniosków.

W Gnieźnie zebrano wtedy ogółem 94 630 szczątków zwierzęcych. Kości zwierząt domowych stanowiły 99,12 procent tej liczby. Dla innych grodów prapolskich, które profesor Lubicz-Niezabitowski też badał, rachunek tak wypadł: Kłeco - 99,7 procent, Poznań - 98,8 procent, Lubicz - 96,2 procent, a „łużycki” Biskupin - 98,631.

Powojenne badania wniosły pewne poprawki do tych liczb. W materiale kostnym pochodzącym z Gdańska oraz ze stanowisk na Rusi kości zwierzyny łownej było od 15 do 20 procent. Jeżeli zaś chodzi o Związek Radziecki to wśród tamtejszych wykopalisk znaleziono 16 procent kości zwierząt dzikich.

Poprawki te, aczkolwiek bardzo istotne, nie zmieniają jednak zasadniczego obrazu. Hodowla u Słowian - zwłaszcza zachodnich - zdecydowanie przeważała nad myślistwem. Od bardzo dawnych czasów łowiectwo było u Prapolaków zajęciem podrzędnym.

Więcej niż jedna trzecia kości zwierząt domowych z Gniezna pochodziła ze świń, należących do tej samej odmiany, jaką hodowano w Biskupinie. Dwie trzecie wieprzów pozbawionych żywota przez starych Gnieźnian znajdowało się w wieku powyżej dwóch lat. A więc tuczniaki, hodowane przede wszystkim dla słoniny.

Tak wielka ilość nierogacizny całkiem grzebie jeszcze jedną teorię, która uznawała Słowian za lud koczowniczy. Przecież świnia nie znosi wędrówek - hodowlą jej zajmuje się tylko człowiek osiadły.

Bydło domowe z gatunku krótkorogich też pleniło się w Gnieźnie nader obficie. Należało do tej samej rasy, którą hodowano u nas w młodszej epoce kamiennej i hoduje się do dzisiaj w środkowej i południowej Polsce. Z niej wywodzi się tak zwane bydło czerwone polskie.

Trzymano również owce, konie, psy - większego i mniejszego gatunku - tudzież koty. Stwór, który zawsze chadza własnymi drogami, zawitał do nas stosunkowo późno. A póki się nie zjawił, do ochrony przed myszami służyły oswojone łasice.

Kur było bardzo dużo. Co do liczebności zajmowały one trzecie miejsce po świniach i krowach. Skorup jaj wygrzebano sporo. Lecz za to wbrew oczekiwaniom - wód przecie

naokoło aż nadmiar - gęsi hodowano niewiele. Kaczki były. Nie wiadomo jednak - swojskie czy dzikie.

Bartników w Gnieźnie oczywiście nie brakowało. Znalaziono ich charakterystyczne narzędzia, a także kubek z bryłą skamieniałego miodu na dnie. Rybacy interesowali się szczupakiem i sumem.

Pomocniczą gałęzią gospodarki było zbieractwo. Wśród znalezisk figuruje szalej jadowity oraz przytulica, której Słowianie wschodni i teraz jeszcze używają do barwienia tkanin na czerwono.

Resztki mieszkań ludzkich przechowały się dobrze w tym wilgotnym gruncie. Widywałem odziomki ścian o charakterystycznej zrębowej konstrukcji. Sposób budowania domów ulegał znamienym przemianom. Najdawniejsze chaty były małe, kwadratowe, o wymiarach 3 x 3 metry, bez podłogi, którą zastępował gliniany tok. Im wyższa warstwa, to znaczy im bliższe czasy, tym siedziba ludzka stawała się większa, wygodniejsza. Pierwotne otwarte palenisko z kamieni ujęte zostaje w ramy z drewna i w końcu zjawia się piec.

W drugiej połowie X wieku i w początkach XI budowano w Gnieźnie domy prostokątne o wymiarach 6 x 4,5 metra, zaopatrzone w starannie wykonane podłogi z dranic. Podłogi te, czyli tła, spoczywały na podstawach z okrąglaków. W połowie XII stulecia mamy już dom dwuizbowy, o rozmiarach 4,5 x 5,25 lub nawet 7 x 4,5 metra. W rogu większej izby znajduje się wysokie palenisko gliniano-kamienne, czyli niewątpliwy piec.

Na terenie dzisiejszych Niemiec piece występują w wykopaliskach tak daleko, jak daleko mieszkali niegdyś Słowianie.

Jako budulec służyło w Gnieźnie drewno sosnowe. Rzadziej występuje dąb. Jesion i brzoza należą do zupełnych wyjątków. Szpary uszczelniano mchem, którego wyróżniono siedem gatunków. Poczynając od warstwy najstarszej, spotyka się budowle gospodarcze o słupowej konstrukcji i plecionych ścianach.

W pokładzie odpowiadającym czasom Bolesława Chrobrego wykryto łaźnię parową, urządzoną na tej samej zasadzie co i dzisiejsze „banie” w Słowiańszczyźnie wschodniej, od Niemna począwszy.

Ruszając w podróż lub do roboty w pole mieszkaniac Pragniezna nie zostawiał domu otworem, lecz zamykał go na klucz. Okazy ich można oglądać. Jedne miały kształt sztabki zagiętej pod kątem prostym. Typ ten, znany w Polsce od I-II wieku naszej ery, obecnie

jeszcze bywa używany przez ludność wschodniego Mazowsza. Inny klucz przypomina kotwicę, jeszcze inny - powszechnie dzisiaj używane.

Skrzynie z cenniejszymi przedmiotami zamykano na kłódki. Według profesora Hensla znaleziono w Gnieźnie około trzystu paciorków pochodzenia wschodniego, wykonanych ze szkła, kryształu górskiego, opalu i krwawnika, oraz gemmę z krwawnika z wizerunkiem Pallas Ateny. O istnieniu złotnictwa świadczy płytką do wyciągania drucików, dowód uprawiania techniki filigranowej.

Sławą cieszą się w Polsce i w Europie drzwi katedry gnieźnieńskiej, na których przedstawiono sceny z życia św. Wojciecha. Jedna z wyobrażonych tam postaci ma na nogach akurat takie same buty, jakie nosiła ludność prapolska. Zasadniczo wykonywano wtedy dwa rodzaje obuwia. Chodaki, zrobione z jednego kawałka skóry, podobne do góralskich kierpców i nadnarwiańskich kurpi, oraz trzewiki, do których uszycia potrzeba było dwóch lub trzech osobnych płatów skóry bydlęcej albo koziej. Gnieźnieńscy szewcy byli dobrymi majstrami, ale - jak to później zobaczymy - nie przewyższali swoich kolegów z innych prapolskich osiedli.

Pogrążony w zadumie, długo stałem nad gablotką, w której leżało sześć sędziwych szydełek. Takie same. Zupełnie takie same jak dzisiaj. Nie wiem, czy służyły do wyrobu swetrów, czy też szali. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że w Gnieźnie - podobnie jak w Lednicy, Kruszwicy, Gdańsku i Opolu - uprawiano dziewiarstwo.

Z innych rzemiosł miały tu swoich przedstawicieli: tkactwo, krawiectwo, ciesiołka, garncarstwo oraz tajemnicza umiejętność obróbki rogu i kości. Nazwałem ją tajemniczą, ponieważ dzisiaj procederę tego uprawiać nie potrafimy. Profesor Kostrzewski pisze, że zmiękczenie rogu odbywało się „zapewne” przez smarowanie go tłuszczem i fugowanie w rozczywie popiołu i gorącej wody.

Mniej ważne, jak sobie poczynali ci dawno zmarli majstrowie. Wyroby ich i teraz jeszcze mogą zadowolić najbardziej wybredny gust. Sporządzali igły, zgrzebła, szydła, rylce, pochewki, kubki, pokrywki, łyżki (XI wiek), jelce i gatki do mieczów, kostki i kamyczki do jakichś gier. Ale przede wszystkim grzebienie! Takich już teraz nikt nie robi. Kształt ich zbliżony do naszych - mamy okazy o jednostronnym i dwustronnym uzębieniu. Są grzebienie zaopatrzone w rogowe ochraniacze-pochewki. To wszystko nie stanowi nadzwyczajności. Ale sposób wykonania z paru czy kilku płytek rogu spajanych metalowymi, bardzo delikatnymi nitami! Ale subtelne zdobienie rylcem!

Na stosunkowo niewielkiej powierzchni znaleziono w Gnieźnie trzydzieści grzebieni. Troska o uczesanie była więc rozpowszechniona u mieszkańców. Nie tylko zresztą o uczesanie. Odszukano egzemplarz metalowych szczypczyków do epilacji. Zastanawia za to brak brzytw. Znamy je z epoki „łużyckiej”. Ale z okresu wczesnego średniowiecza nie ma ani jednej, chociaż dobrze wiadomo, że noszenie brody nie było wówczas modne. Do golenia używano więc chyba dobrze wyostrzonych noży czy półkosków. Może zresztą przystrzygano tylko włosy na brodzie nożycami, których liczne okazy się odnalazły. Miały dokładnie ten sam kształt co dzisiejsze nożyce do strzyżenia owiec - którymi Kurpianki wycinają istne cuda z papieru.

Tak - w wielkim skrócie - przedstawia się kultura materialna najstarszego Gniezna. Na to wygląda, że w prastolicy Polski istniał przede wszystkim przemysł, który dziś nazwalibyśmy lekkim. Ale głównym rodzajem wytwórczości było rolnictwo. Stało ono tu i w całej Polsce na wysokim poziomie.

Od bardzo dawna Gniezno zalicza się u nas do podrzędnych, powiatowych zaledwie miast prowincjonalnych. Do ostatnich czasów nic nie zdradzało tajników, które kryto wewnątrz Góry Lecha. Wspaniała przeszłość zasklepiła się pod ziemią.

W 1038 roku najazd Brzetysława I zadał Gnieznu ciężkie straty. Potężny gród nie opadł się Czechom, ponieważ - jak pisze kronikarz Kosmas - był naówczas bardzo słabo zaludniony. Brzetysław miał stąd zabrać wielkie skarby. Oprócz relikwii męczenników zrabował złoty krzyż - ważący podobno trzy razy tyle co osoba Mieszka I - złote tablice wysadzane klejnotami oraz inne kosztowności, uwieszone na stu wozach. Gniezno tak długo stało opustoszałe, aż w kościołach założyły legowiska dzikie zwierzęta.

Jednakże katastrofa wojenna nie wyjaśnia nam powodów postępującej degradacji prastolicy. W opisach łupiestw Brzetysławowych może być zresztą wiele przesady. Utrata politycznego znaczenia przez to miasto łączy się z zasadniczymi zmianami w strukturze państwa i z przewrotem w dziedzinie ideologicznej.

Ale Gniezno długo jeszcze zachowało znaczenie moralne nie tylko jako kościelna stolica kraju, chociaż i to grało rolę olbrzymią. W katedrze na Górze Lecha koronowali się wszyscy nasi królowie aż po schyłek XIII wieku. Kiedy w 1370 roku przybył na Wawel Ludwik Węgierski, spadkobierca Kazimierza Wielkiego, arcybiskup Jarosław Bogoria ze Skotnik zażądał, by nowy monarcha przyjął koronę nie na Wawelu, lecz na Górze Lecha. Zupełnie jakby pragnął skłonić nową dynastię do symbolicznego odbycia drogi przemierzonej przez

wygasła.

VI

Wybierając się na objazd stanowisk przewidywałem, że najciekawsze rzeczy zobaczyć można będzie dopiero pod koniec sezonu. Trudno przypuszczać, by rewelacje spoczywały pod samą powierzchnią.

.Ale do Poznania podążyłem niezwłocznie, w pierwszej kolei, jeszcze w lipcu 1951 roku. Doktor Ryszard Kiersnowski przeraził mnie bowiem wiadomością, że prace odkrywcze w tamtejszej katedrze mają się już ku końcowi. Nie było tak źle - podziemne piętra poznańskiej katedry oglądałem jeszcze i później. Nikt w całej Polsce nawet nie marzył, co się w nich miało odnaleźć za kilka miesięcy...

Ale nie żałuję wczesnej podróży nad Wartę.

W Poznaniu pomocnicy profesora Hensla, magister Jacek Ślaski i student Jan Żak, kopali w dwóch miejscach na Ostrowie Tumskim. Pierwszy z nich w ogrodach seminarium duchownego poszukiwał śladów dawnego podgrodzia, W poprzednich sezonach udało się tam uchwycić warstwę osadniczą sięgającą, być może, IX wieku. Stwierdzono również fakt sztucznego podnoszenia terenu pod zabudowę. Zarys odkopanej chaty świadczył, że gospodarzowi dokuczała woda zaskórna. Podmakało od spodu. Wobec czego wziął łopate, warstwą piasku podwyższył polepę i pobudował się na nowo.

Jackowi Ślaskiemu nie dane było dokończyć poszukiwań. Jesienią 1951 roku ten bardzo zdolny uczony z najmłodszego pokolenia archeologów zginął w katastrofie lotniczej koło Łodzi. Nauka polska poniosła stratę bardzo ciężką. W chwili gdy archeologia nasza ruszała do wielkich zadań - zginął jeden z najlepszych.

Drugi zespół wykopów leżał między katedrą a kościołem Najświętszej Maryi Panny, w ogródkach kapitulnych.

W lipcu odkrywki były jeszcze płytkie. Otaczające drzewa zdawały się płowieć od upału, dostrajały się barwą do suchych jak pieprz ścian dołów. Jediną plamę żywego koloru stanowił samotny słonecznik, pochylony nad jamą jakby przez ciekawość.

Niewiele interesującego mógł wtedy zobaczyć na dnie. Chyba tylko „ławę” kamienną, coś

w rodzaju niewysokiej grzędy z luźnych głazów, co na dość długiej linii wznosiła się ponad powierzchnię.

Domyślano się, że była to reszta obwarowań, którymi w XIII stuleciu Przemysł I dodatkowo umocnił Poznań.

W biurze ekspedycji, to znaczy w maleńkiej budce drewnianej przytulonej w cieniu orzecha włoskiego, z triumfem pokazano mi plon pracy owego dnia. Była to moneta, pieniążek wielkości guzika od koszuli. Po jednej stronie widniał wyraźnie orzeł polski, po drugiej wizerunek lilii. Pamiątka po Kazimierzu Wielkim, może po królowej Jadwidze.

Kiedy zjawiłem się w Poznaniu po raz wtóry, pracujące łopatami studentki musiały się już rozstać z letnimi szatami, przywdziać natomiast robocze kombinezony. Tarcza ciekawego słonecznika znikła, łodyga sterczała prosto, jakby ją coś z nad jamy odepchnęło. Zamiast żółtego i suchego piasku - zwały mokrej ziemi barwy ołowiu. Wykop główny miał sześciometrową głębokością. Z dna buchał kwaśny zaduch gazu błotnego, metanu.

Na samym spodzie robotnik w fioletowym kombinezonie i butach gumowych babrał się w bagnie. Szufelką od węgla wybierał błocko. Spomiędzy belek brudnymi strużkami wyciekała woda. Zaskrzypiał bloczek i pojechało w dół blaszane wiaderko-czerpak. Pod stopami pracującego człowieka bez ustanku pękały pęcherzyki gazu.

Na dole, od krańca do krańca wschodniej części wykopu, sterczała ściana z grubych belek dębowych. Było ich sześć. Tworzyły drewniany mur, wysoki obecnie na sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Każdą z poziomo ułożonych kłód podtrzymywały z obu stron potężne haki-zaczepy. Biegły linią pionową w zasadzie, ale regularnie powyginaną. Pradawni architekci rozmieszczali je bowiem systematycznie, parami, co sto dziewięćdziesiąt lub co sto sześćdziesiąt trzy centymetry. Czynili tak po to, by haki nie leżały bezpośrednio jeden pod drugim i nie wpierały się w siebie. W bierwionach poziomych poczynione były odpowiednie trapezoidalne wycięcia dla przepuszczania dyli poprzecznych, tych z zaczepami.

Za tą ścianą, jakby za ramą podtrzymującą od frontu, leżała wysoka ława z kamieni (jej szczyt uważaliśmy poprzednio za resztę umocnień z doby Przemysła I). Wszystko razem - ściana z belek i ława kamienna - stanowiło coś w rodzaju progu czy podmurówki wału właściwego, który od strony wewnętrznej wzmocniony był dodatkową palisadą.

Wśród jej tramów pracuje w tej chwili Jan Żak wraz z towarzyszami. Ostrożnie wygrzebują ziemię, na arkuszu milimetrowego papieru natychmiast oznaczają położenie każdego kawałka drewna, nawet każdego kamyka.

Zszedłem tam do nich po drabinie. Byłem zamyślony, nie bardzo zważałem, co robię, nie chciało mi się deptać po ostatnich szczęblach. Ale oburzony okrzyk studentów natychmiast przywołał mnie do porządku. Gruba kłoda dębiny zaczęła mi się miękko uginać pod stopą.

Nie byle jakiej niespodzianki dostarczył Poznań w 1951 roku. Wyjrzało spod ziemi umocnienie, którego widok i dziś jeszcze wzbudza szacunek. Patrząc na nie, mimo woli wprost zaczyna człowiek rozmyślać, jak też to wszystko musiało się przedstawiać takiemu, co osłonięty drewnianym szczytem, z oszczepem w garści i siekierą za pasem, próbował zdobywać twierdzę.

A więc najpierw musiał pokonać wodę, przebyć rozlewiska Warty i Cybiny. Potem brnął przez mokradła. Bo gród stanął na bagnie. Zanim położono pierwszą kłodę warowni, pokryto trzęsawisko plecionką z faszyny. Widać ją i teraz. Widać nawet żółtą jak kość słoniowa korę gałęzi brzoźowych.

Szturmujący dał sobie radę z bagnem, nie dosięgła go tam strzała z łuku. Teraz natknął się na grube żerdzie wbite pionowo oraz na luźno wśród nich narzucane belki i kamienie. Przelazi i przez to. Dociera do pionowej niemal ściany - tamtej z zaczepami - wysokiej na dwa przeszło metry. Ponad głową ma jeszcze ławę kamienną i dopiero wał właściwy - co najmniej dziesięć metrów - z którego gradem lecą kamienie, strzały, groty, leje się smoła i ukrop.

W 1005 roku cesarz Henryk II nie ruszył do szturm. Wołał zawrzeć pokój.

W zachodniej części wykopu nie spreparowany jeszcze wał wyglądał jak wielki obcy pagór. Badacze od razu wysunęli domysł, że znalezisko nie jest starsze niż stulecie XI, może nawet znacznie młodsze. Ale wiąże się ono ściśle z odkryciami, które profesor Hensel poczynił na Ostrowie Tumskim przed wojną. Wał odsłonięty w roku 1951 posiadał tę samą budowę co i fortyfikacje Mieszka I. Był tylko od swego pierwowzoru znacznie w a t l e j s z y. Mieszko I umacniał się jeszcze solidniej.

Okazuje się, że w połowie X stulecia zastosowano w Poznaniu nową i nigdzie dawniej nie spotykaną formę obwarowywania: ławę kamienną. Zwiedziliśmy już poprzednio Ostrów Lednicki oraz Gniezno, wobec tego wiemy, że od połowy X stulecia zjawiają się w Polsce dwa nowe elementy budownictwa obronnego - zaczepy wałowe i ławy kamienne.

Zgodnie z przypuszczeniami uczonych należy przyjąć, że zdobycze te zawdzięczał kraj epoce Mieszka I. Ale to jeszcze nie wyjaśnia kwestii okoliczności, które skłaniały ludzi do wysilania umysłów. Bo jeżeli dokonywali ulepszeń, to chyba istniała potrzeba ich

wprowadzania.

Lista udoskonalających pomysłów X wieku nie została jeszcze wyczerpana. Teraz jednak chodzić będzie nie o taki czy inny wynalazek, ale o zmianę treści samego pojęcia grodu.

Ilekcroć wymieniamy to słowo, zaraz wyobrażamy sobie pierścien wałów i pustą kotlinkę w ich wnętrzu. Dawniej mogły się tam wznosić chaty, domy czy ziemianki - teraz i śladu po nich nie zostało. W każdym razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wnętrze owego pierścienia stanowi jedną, niepodzielną całość.

Przekonanie to nie jest całkowicie błędne. Istnieją, owszem, grody jednolitego typu. Zalicza się do nich chociażby Tum pod Łęczycą. Spotyka się jednak, i to często, inną odmianę.

Mieszkańcy Warszawy nie muszą daleko wędrować, by się z nią zapoznać. W Rokitnie koło Błonia, nad osuszonymi błotami Utraty, wznosi się grodzisko kasztelanów rokickich. Powstało późno, w XIII wieku; i reprezentuje pełne, rozwinięte polskie średniowiecze. Prace pod kierunkiem magistra Aleksandry Cofta doprowadziły tam do wykrycia kompletnego warsztatu złotniczego.

Grodzisko w Rokitnie jest niewielkie, łatwo je objąć jednym rzutem oka. Ludność stroniła od miejsca, zwanego Łysą Górą, co najwyżej grzebała tam samobójców. Może dlatego wały nie uległy zniszczeniu, cały krąg widać dokładnie. Nie uszkodził ich i Kościuszko, który w roku 1794 ustawił tu baterię i walczył z Prusakami. W Rokitnik niczym na wyraźnym planie, można obserwować istotę ulepszenia dokonanego w stuleciu dziesiątym i dziedziczonego przez późniejsze pokolenia.

Wały bieżą koliskiem, normalnie. Ale w ich wnętrzu znajduje się jeszcze jeden krąg, mały i przylegający do wału głównego. W planie poziomym mamy więc coś w rodzaju pawiego oka. Niekiedy zresztą to umocnienie wewnętrzne mogło częściowo wystawać poza obręb zewnętrznego. W takim razie wały większego koliska dochodziły z obu stron do pierścienia mniejszego, zrastały się z nim na głucho.

A więc ludność, która zamieszkiwała taką obwarowaną przestrzeń, dzieliła się zasadniczo na dwie kategorie. Jedna, znacznie liczniejsza, korzystała z ochrony pojedynczego wału, tego dłuższego. Druga, liczebnie mniejsza - bez wątpienia uprzywilejowana, bez wątpienia rządząca siedziała w wewnętrznym umocnieniu, które istniało nie tylko po to, by dostarczać dodatkowej ochrony przed postronnym nieprzyjacielem. W węższym pierścieniu wałów, czyli w grodzie właściwym, znajdował się ośrodek rządzenia - kasztelanią w Rokitnie, państwem w

Gnieźnie.

Pracowicie odgrzebywane przez archeologów resztki chat, a raczej rozplanowanie ich zabudowy, świadczą o charakterystycznym zjawisku. Zwyczajne pospólstwo nie miało widać prawa budować się tuż przy wałach grodów właściwych. Domostwa jego musiały przestrzegać dystansu.

Jeśli się kogoś chce skutecznie pilnować i mieć na oku, nigdy nie należy pozwalać mu podchodzić zbyt blisko. Zasadę tę znali na wylot Krzyżacy, których twierdze – „domy” - leżały z reguły o kilka kilometrów od miasta zamieszkałego przez ludność zależną. Dworów szlachty polskiej też nie budowano w samym środku wsi pańszczyźnianych.

Rozplanowanie wnętrza wczesnośredniowiecznych grodów polskich podział ich na gród właściwy i podgrodzie - jest nie ulegającym najmniejszej wątpliwości dowodem podziału klasowego i stanowego ludności. Podział ten zaczął się wykształcać od czasów bardzo dawnych i rezultatem tego procesu było uformowanie się na naszych ziemiach organizacji politycznej, państwowej. Najpierw plemiennej (co może oznaczać: terytorialnie szczuplejszej), potem ponadplemiennej, ogólnopolskiej. Szliśmy normalną drogą, bo wszędzie wszak warstwa społecznie górująca zagarnia władzę polityczną lub tworzy ją.

W drugiej połowie X wieku obserwujemy daleko już posuniętą fazę tego procesu, wyraźne skryształizowanie się podziału. Dobrze napisałem: obserwujemy. Bo każdy przecież może pojechać i popatrzeć na małe, a silne grody książęce powstające wewnątrz obszerniejszych osiedli. Można to obejrzeć w Gnieźnie, Poznaniu, Biskupinie, Gieczu, Rokitnie, Wrocławiu, Niemczy, Gdańsku, zapewne w Krakowie oraz w grodach Ziemi Lubuskiej, zdobytych i na nowo ufortyfikowanych przez Mieszka I.

Druga połowa X stulecia... Wtedy zostały wynalezione ława kamienna i konstrukcja hakowa, czyli elementy znakomicie wzmagające obronność grodów. W drugiej połowie X stulecia stanęła w Poznaniu twierdza, na której osłabioną podobiznę i teraz jeszcze straszno patrzeć.

W drugiej połowie X stulecia książę polski Mieszko I przyjął chrzest. Trudno, a nawet w ogóle niepodobna przypuścić, że fakty te przypadkiem tylko zbiegły się w czasie.

Tradycyjne zapatrywania na powody przyjęcia chrztu przez Polskę były od dawna ustalone i nie dopuszczały wątpliwości. Mieszkowi chodzić miało o zabezpieczenie się przed najezdami niemieckimi. Pragnął wytrącić Germanom z ręki argument o pogaństwie Polski i przez to pozbawić ich „prawa” do interwencji zbrojnej. (Teoria o konieczności nawracania

pogan mieczem istniała długo; w XV wieku świetnie zwalczał ją podczas soboru w Konstancji rektor uniwersytetu krakowskiego, Paweł Włodkowic z Brudzenia; odniósł zwycięstwo, lecz tylko teoretyczne - mocarstwa wcale nie wyrzekły się ideologicznego pretekstu do prowadzenia wojen zaborczych.)

Tradycja długo nie żywiła w tym względzie wątpliwości. Historycy sprostowali jej błędy, ale mylne mniemania jeszcze się kołaczą tu i ówdzie. W 1946 roku ukazała się książka profesora Gerarda Labudy: *Studia nad początkami państwa polskiego*. Jest ona niezwykle dowodem sztuki dawania sobie rady z mętными, pogmatwanymi tekstami średniowiecznych zapisek.

Profesor Labuda podważył mniemania, że Mieszku I podjął swą decyzję pod naciskiem niemieckiego niebezpieczeństwa. W latach 963 - 972 w ogóle nie było konfliktu Polski z Niemcami. Mieszko uważany był oficjalnie za przyjaciela cesarza. Małżeństwo z księżniczką czeską Dobrawą - a więc wstęp do chrztu - zawarł powodowany chęcią zniweczenia bardzo niebezpiecznego sojuszu, który wtedy łączył Czechów z Wioletami, czyli związkiem plemion słowiańskich na zachód od dolnej Odry. W latach 964 - 965 Mieszko ponosił klęski nie z ręki cesarza, z którym wcale nie wojował, tylko od Wioletów. Zamiar się udał. Przymierze Pragi z Redgoszczą zostało zniweczone.

Obawy przed słowiańskimi pobratymcami zza Odry nie pozostały bez wpływu i na samą decyzję przyjęcia chrztu. Wieleci bowiem nadawali się doskonale na groźnego współzawodnika dynastii piastowskiej.

Związek ich przeżywał w X stuleciu szczyt świetności. A trzeba pamiętać, że nosił on charakter republikański, nie znał władzy monarchicznej, co musiało oddziaływać przyciągająco na wszystkie czynniki polskie, którym władza Piastów nie szła w smak. Prócz tego Wieleci rozporządzali potężną bronią natury ideologicznej. Na ich ziemiach znajdowały się ważne ośrodki starego rodzimego kultu. W stolicy związkowej, Redgoszczy, oddawano cześć Swarozycowi, bóstwu Słowiańskiemu, które miało czcicieli i na Pomorzu Gdańskim, a może nawet i w samej Wielkopolsce. Sprawy religijne doskonale się nadawały do torowania drogi wpływom politycznym. Nie tylko zresztą w X wieku...

„Dlatego siła atrakcyjna ośrodka kultowego w Redgoszczy - pisze Gerard Labuda - połączona z wyraźną tendencją podporządkowania sobie sąsiednich plemion słowiańskich w dorzeczu dolnej Odry, na dalszą metę mogła stanowić dla Mieszka groźbę obalenia ustroju, a co najmniej ograniczenia wpływów politycznych dynastii piastowskiej do ziem ściśle

połańskich. Dla zapobieżenia tej akcji, a nade wszystko odciągnięcia narodu spod działania obcych ośrodków politycznych i kultowych, wspaniale się nadawała religia chrześcijańska, religia oficjalnie panująca w najpotężniejszych w owym czasie państwach europejskich, sąsiednich Czech nie wyłączając. Jeśli w tym zbiegu okoliczności brak Mieszko i pod uwagę i Niemcy, to tylko jako sąsiada Wioletów od ściany zachodniej, sąsiada znanego ze swego wrogię dla związku tego stosunku. Niemcy też były państwem chrześcijańskim i nawiązanie bliższej z nimi łączności możliwe było tylko po przyjęciu wiary chrześcijańskiej.”

Chrzest ułatwiał Polsce politykę wobec wielkiej potęgi - cesarstwa. Pomagał jej niejako urządzić się na wyższym szczeblu niż ten, który znała dawniej.

Nie wystarczy rozejrzeć się w zewnętrznohistorycznych motywach postępowania Mieszka. Wszyscy wiedzą, że władca państwa, którego ludność dzieli się na stany czy klasy, stoi wobec skomplikowanego frontu wewnętrznego. Toteż każde jego posunięcie trzeba rozpatrywać i z tego punktu widzenia. Bo to jednak chyba nie tak było, że Piastowie mieli pod berłem samych tylko zgodnych, miłujących się wzajemnie, niezłomnymi więzami solidarności połączonych Polaków. Przesadzać nie warto - opisane przez kronikarzy fakty świadczą, że ówczesny lud polski wolał podlegać własnym książętom czy królom niż obcym. Więż istniała, pojęcie ojczyzny tworzyło się z wolna. Ale to wcale nie wykluczało antagonizmów wewnętrznych, które są zjawiskiem normalnym.

Profesor Labuda tak pisze o chrzcie Polski: „Pewną rolę mógł tu też odgrywać czynnik sakralny, wiązany w religii katolickiej z władzą monarszą, a obcy religii pogańskiej Słowian; mogło to wpłynąć na podniesienie znaczenia dynastii piastowskiej wewnątrz kraju, podobnie jak w sąsiednich Czechach.”

Uczeni zawsze wyrażają się oględnie, literatowi piszącemu o historii wolno śmieiej sobie poczynać.

Mieszko I był władcą bardzo zdolnym i przewidującym, o czym zaświadczyły jego uczynki. Można więc przypuścić, że zastanawiając się nad sprawą chrztu, na pewno interesował się stosunkiem nowej wiary do jego własnej władzy. Kościół poucza, że wszelka władza pochodzi od Boga.

W drugiej połowie X wieku, jak już wiemy, w osiedlach polskich wydziela się bardzo wyraźnie gród właściwy, ośrodek władzy księcia i jego namiestników. Czynniki rządzący wyodrębnia się już talkiem od społeczeństwa, oddala się odeń widomie, odgradza się i zabezpiecza mocnymi wałami warowni. Jasne przecież, że przyjęcie religii, która z władzą

monarszą wiąże pewien „czynnik sakralny”, obcy dawnym wierzeniom Słowian, leży w nurcie tej samej tendencji politycznej, która pozostawiła nam rzeczowe pamiątki w postaci grodów państwowych w Gnieźnie, Poznaniu, Wrocławiu. Kościoły katolickie, wznoszone w tymże Gnieźnie, Poznaniu, Wrocławiu, Łęczycy, na Lednicy i w tylu innych miejscach, stawały się dodatkowymi filarami ustroju. Zaczął się on kształtować głęboko w pomroce wieków, a w połowie X stulecia ostatecznie okrzepł.

Pradawna rusztowa konstrukcja wałów grodowych i na obcą modłę wznoszone kamienne mury świątyni chrześcijańskich w stosunkach wewnętrznych państwa pełniły podobne zadanie. Utrwalały, zabezpieczały przed wstrząsami, podtrzymywały piastowską monarchię.

W kamiennych zamkach, stawianych w pobliżu kościołów, mieszkał władca - pomazaniec boży. Posłuch wobec niego był obowiązkiem religijnym dla poddanych. Świetna liturgia, nowa sztuka otaczały blaskiem ołtarz, ale i tron.

Niczym do chleba powszedniego przywykliśmy do sądów, że przyjęcie chrztu jest początkiem nowej ery, progiem, który Mieszko I świadomie przestąpił, aby wprowadzić kraj na zupełnie nowe szlaki. Chrzest otwierał świeży rozdział od dawna trwającej naszej historii, to niewątpliwa prawda. Ale wolno chyba zaryzykować twierdzenie, że dla samego Mieszka przyjęcie chrześcijaństwa ważne było przede wszystkim jako zakończenie, ukoronowanie dzieła tworzenia monarchii, nie zaś jako desperackie niemal wyrwanie się ze starego w nowe.

W *Kulturze* Stefana Czarnowskiego czytamy o innych krajach: „Przyjęcie chrześcijaństwa przedstawia się przeto jako akt nie pierwiastkowy, ale końcowy procesu upodabniania strukturalnego i funkcjonalnego społeczeństw barbarzyńskich do zróżnicowanych, zindywidualizowanych i opartych na podstawie grupy lokalnej, nie zaś plemiennej, społeczeństw dawnych prowincji imperium.”

Stefan Czarnowski miał na myśli Imperium Rzymskie, które jednoczyło kiedyś kraje najbardziej kulturalne. Upadło ono pod ciosami ludów barbarzyńskich. Stopniowe przyjmowanie chrześcijaństwa przez nie oznaczało postępujący „proces upodabniania” do dawnych prowincji imperium, zaawansowanych w rozwoju. Daleka Polska, która nigdy w skład tego imperium nie wchodziła, też pracowała nad „upodobnieniem się.” I dla niej chrzest oznaczał koronację wielowiekowej pracy. Tajemnica polega na tym, że Polska już w dobie pogańskiej o własnych siłach dorosła do mniej więcej tego samego poziomu, który posiadały bliskie jej granicom kraje chrześcijańskiego Zachodu.

Decyzja przyjęcia chrztu była dla naszej historii wielkim dobrodziejstwem. Zyskaliśmy na

każdym polu. Nigdy nie zdołamy wysławić wartości dóbr kulturalnych, które wskutek tej decyzji stanęły dla nas otworem. Mieszko I okazał się politykiem naprawdę przewidującym. Został chrześcijaninem, zanim przyszło mu skrzyżować miecz z Niemcami. Należy tylko wystrzegać się poglądu, że zmiana wiary uczyniła z Polski jakiś kraj wyjątkowy albo że odbyła się w warunkach niezwykłych, nieomal cudownych. Przeciwnie - szliśmy zwyczajną drogą tych narodów, które umiały sprawnie sobie radzić.

Mieszko I władał państwem obszernym i zagospodarowanym wcale dobrze. Co się tyczy techniki przemysłowej - Polska wcale nie wlokła się w ogonie ówczesnego świata. W dziedzinie techniki obronnej - inni mogliby się u niej wielu rzeczy nauczyć. Warto już nareszcie dać sobie spokój z wyobrazeniami o Prapolakach jako o dzikoludach, którzy jeśli im handlarz niemiecki odrobiny żelaziwa nie przywiózł, skazani byli na używanie kamiennych narzędzi.

Według profesora Zygmunta Wojciechowskiego, w 963 roku państwo Mieszka obejmowało 192 924 kilometry kwadratowe. (Czechy ówczesne wraz ze Śląskiem i ziemią krakowską – 151 936 kilometrów kwadratowych; przy okazji trzeba przypomnieć, że Kazimierz Wielki zaczynał rządy od 106 300 kilometrów kwadratowych.) W skład ówczesnej Polski wchodziły: Wielkopolska, Pomorze Wschodnie, Mazowsze, ziemia sandomierska, Grody Czerwieńskie i ziemia przemyska. Przyjmując chrzest szykował się Mieszko do lwiego skoku. W przeciągu dwudziestu trzech lat następnych zdobył Pomorze Zachodnie wraz ze Szczecinem, całą Małopolskę z Krakowem, cały Śląsk z Wrocławiem, a stracił tylko Grody Czerwieńskie na rzecz Rusi.

Pogląd wyżej wyrażony podzielają niemal wszyscy nasi historycy. Wyjątek stanowi profesor Jan Natanson-Leski. Głosi on, że Mieszko wcale nie zdobywał Małopolski i Śląska, gdyż odziedziczył je po przodkach. Wojnę w 990 roku - w której uczestniczył jako sojusznik Polski graf Zygfryd, ojciec kronikarza Thietmara, zajadłego wroga Polski - toczył z Czechami o Łużyce i zdobył je wcześniej przyłączył Pomorze Zachodnie.

Jak widzimy, rewizja poglądów odbywa się w kierunku dla Mieszka pomyślnym. Jakże to pogodzić z tradycyjnym wyobrażeniem o władcy, który pogrążony w rodzimej dzicy doszedł prawie do granic rozpacz i pragnąc uratować się od ostatecznej klęski - porzucił wiarę ojców?

Można przypuszczać, że było odwrotnie. Państwo Mieszka osiągnęło ten stopień rozwoju, że dawna, plemienne czasy pamiętająca wiara pogańska nie tylko przestała wystarczać, ale

musiała już działać jak kula u nogi. Niewątpliwie pętała przecież księcia licznymi więzami starych obyczajów, stawiała go poniekąd na równi z ludem, który on właśnie starał się mocno wziąć w karby. Po zdobyciu Szczecina Mieszko-poganin musiałby kłaniać się tam Trzygławowi, szanować jego kapłanów, którzy by stanowili najbardziej naturalny ośrodek opozycji, wyposażony ponadto w znaczny zakres niezależności.

Mieszko stał więc poniekąd wobec dziejowej konieczności zmiany wiary. Musiał postarać się a nową więź ideologiczną, taką, która by odpowiadała rzeczywistym stosunkom w jego państwie. Przyjęcie chrześcijaństwa znakomicie się zgadzało z ogólnym kierunkiem rozwoju wczesnopiastowskiej Polski.

W jakiś czas później Włodzimierz Wielki zaczął w Kijowie rozmyślać nad tym samym zagadnieniem, które Mieszko już rozwiązał. Ruski książę przeprowadził szeroki wywiad, zbierał wiadomości o rozmaitych wiarach i obrządkach. Wiemy o tym, bo kronikarze zapisali. Z tego, że u nas piśmiennego świadka zabrakło, nie wolno wysnuwać fałszywych wniosków. Mieszko też na pewno dobrze się namyślał i badał.

Nie mam zamiaru obciążać profesora Zygmunta Wojciechowskiego odpowiedzialnością za powyższe wywody. Chcę tylko przypomnieć jego znakomite studium: *Gniezno-Poznań-Kraków na tle kształtowania się państwa Piastów*. Uczony zastanawiał się nad powodami, które skłoniły Mieszka do zbudowania w Poznaniu bardzo silnej twierdzy i do przeniesienia tam stolicy (inni badacze sądzą, że Poznań nie był stolicą, wysunął się tylko na jedno z czołowych miejsc w państwie). Dochodzi do wniosku, że przyjęcie chrztu oznaczało nieunikniony konflikt z Wioletami. Dlatego Mieszko umocnił się aż tak silnie w Poznaniu oraz w innych grodach zwróconych frontem ku Odrze.

Profesor Wojciechowski nie traci jednak z oczu i tego niespornego faktu że wprowadzenie chrześcijaństwa oznaczało poważne ryzyko w stosunkach wewnętrznych. W zakończeniu swego studium pisze mianowicie tak:

„Z drugiej strony powstaje nowa sytuacja wewnętrzna. Elementy wrogie nowej wierze z natury rzeczy musiały czuć łączność z plemiennie i religijnie bliskimi sobie Wioletami; krótsza była droga od bóstw polańskich do wieleckiego Swaróżyca niż od tychże bóstw do Boga chrześcijańskiego. Przemoczenie elementów opozycyjnych w stosunku do nowej wiary stało się równocześnie momentem ostatecznego przeobrażenia przez księcia jego sytuacji w odniesieniu do społeczeństwa. Widowym wyrazem tego przemoczenia, a zarazem idomym dowodem związku tego faktu z przyjęciem chrztu jest gród poznański wzniesiony przez

Mieszka I w drugiej połowie X wieku. Tym samym zaś przyjęcie chrztu okazuje się momentem zupełnie zwrotnym w historii ziem polskich: jest zdecydowaną cezurą pomiędzy dziejami plemiennymi a państwowymi.”

Zdaje się więc, że wolno podtrzymywać poprzednią tezę. Dla Mieszka I przyjęcie chrztu równało się zakończeniu, ukoronowaniu procesu tworzenia monarchii, który to proces rozpoczął się dawno, w epoce plemiennej.

Ale - jak zachowało się społeczeństwo? Ludzie musieli przecież pojmować że nowa wiara będzie utrwałać i jeszcze bardziej pogłębiać istniejący porządek, podział społeczny i władzę monarchy. Opozycjoniści sympatyzowali z Wioletami.

Zapatrywania tradycyjne sprawiają takie wrażenie, jakby ich ojcem duchowym był biskup Thietmar, który już za Chrobrego napisał o czynie Mieszka: „I natychmiast w ślad za głową i swoim umiłowanym władcą poszły ułomne dotąd członki spośród ludu i w szatę godową przyodziane w poczet synów Chrystusowych zostały zaliczone...” Mieli więc Polacy zachować się potulnie i grzecznie. Posłuchali księcia, dali się przekonać i przyjęli nową wiarę. Trochę tam sobie po śmierci Mieszka II pohłasowali - przede wszystkim na barbarzyńskim Mazowszu - i dali spokój.

A w połowie XIII wieku legat papieski rozkazał, aby w kościołach wykładano Skład Apostolski po polsku, ponieważ nikt z ludu nie umiał mu wyjaśnić, w co właściwie wierzy.

Archeologia zaprzecza sielankowym wyobrażeniom. Ziemia zdradza dowody zdecydowanego konserwatyizmu religijnego u naszych przodków. Nie brakowało wśród nich takich, którzy z uporem trzymali się starej wiary. Jeszcze przed wojną doktor J. Żurowski penetrował trzy cmentarze z XI wieku. Dwa z nich leżały w powiecie pińczowskim, jeden w krakowskim.

Między pięćdziesięcioma czterema zbadanymi nieboszczykami był tylko jeden taki, któremu chrześcijańskim obyczajem skrzyżowano ręce na piersiach. Pozostałe mogiły zdradzały pogański rytuał obrzędowy.

Jerzy Gąssowski opowiadał mi w Biskupinie ciekawe rzeczy na ten temat. Wspominał o grobie odkopanym w Młodzikowie (powiat Środa). Spoczywał w nim niewątpliwie chrześcijanin. Ale tuż pod grobem - zawczasu widać przygotowana - leżała warstwa niewątpliwie pogańskich naczyń obrzędowych. A pod samym szkieletem - naczynie rozbite, dowód sprawionej tryzny. Szczególnie uporczywy konserwatyzm kultowy zdradzają mogiły mazowieckie. Długo trwał zwyczaj wkładania do trumien przedmiotów codziennego użytku, z

czym walczyło duchowieństwo.

Aż po XV stulecie ludność grzebała swych zmarłych na wyspie Jeziora Lednickiego. To nie było takie łatwe wozic się z nieboszczykiem i trumną poprzez szeroką wodę. Pogoda nie zawsze bywa piękna, a przy trochę tylko silniejszym wietrze dobrze tam kołysze. Może naprawdę wierność starym obyczajom kazała obrócić na cmentarz miejsce, w którym ongi płonął ogień wiary pogańskiej.

A teraz powróćmy na chwilę do podłęczyckiego Tumu. Pora już wywiązać się z danego przyrzeczenia i opowiedzieć, co profesor Jażdzewski i jego zastępca, Andrzej Nadolski, odszukali w tamecznej studni, wykopanej nie wcześniej niż w roku 1107, a zasypanej na pewno przed rokiem 1293. Ni mniej, ni więcej, tylko niezbite dowody, że w Polsce, w stuleciu XII lub XIII, w samej siedzibie księcia łęczyckiego i o trzysta kroków od kościoła, uprawiany był kult phalliczny. Dwa drewniane, realistycznie wyrzeźbione phallusy odwieziono stąd do muzeum łódzkiego. Jeden był ułamany, drugi cały i ozdobiony u nasady wizerunkiem głowy bóstwa. Zagadkę pomogły rozszyfrować studia profesora Borysa Rybakowa. Wynika z nich, że drużyny książęce na Rusi odprawiały obrzędy, polegające na moczeniu takich phallusów w wiadrze z wodą. Rozlewano ją potem do czarek i każdy uczestnik wypijał po jednej (może to nie przypadek, że w łęczyckiej studni znalazło się i wiadro).

Na uparte go twierdzić można, że ostatnia ofiara pogańska na ziemiach polskich złożona została w roku 1937. Badacz niemiecki Fritz Geschwendt widział wtedy naczynie z gotowanymi kartoflami ustawione u stóp pogańskiej jeszcze rzeźby kultowej (niesłusznie zwanej „mnichem”) w okolicach Ślęzy. W 1951 roku siedemdziesięcioletnia Ślązaczka Maria Cebula, mieszkanka wsi Strzegomiany, dobrze sobie przypominała te i im podobne obyczaje. Arcybiskup wrocławski dopiero około roku 1928 zakazał odprawiania tradycyjnych sobótek na Ślęzy. O wszystkim tym dowiedziałem się od profesorów Marii i Włodzimierza Hołubowiczów, którzy kierują wykopaliskami na Dolnym Śląsku. Przedostatni rozdział tego tomu opowie o przeżytkach pogaństwa trzymających się w dzielnicach bliższych Wisły.

Żadne współczesne źródła nie mówią nam, jak naprawdę przebiegała stopniowa chrystianizacja ludu polskiego. Wolno tylko przypuszczać, że przez bardzo długi czas istniały obok siebie dwie kultury, dwa systemy wierzeń i pojęć moralnych. Chrześcijaństwo polskie miało już własną historię, męczenników i ascetów, a lud wiejski nadal hołdował zwyczajom wiodącym się wprost z pogaństwa. Dopiero w XIII wieku nastąpiło prawdziwe przenikanie w dół. Słynne *Kazania Świętokrzyskie*, spisane po polsku, mieściły się w niewielkiej książeczce.

Właścicielem jej mógł być mnich z żebraczego zakonu, franciszkanin czy dominikanin. Działał wśród ludu, głosił wiarę w jego języku, potrzebował książki, którą by mógł stale mieć przy sobie.

Nie mając świadectw bezpośrednich, możemy jednak wnioskować, posługując się wiadomościami zaczerpniętymi z dziejów innych, a bliskich nam narodów. Około roku 1537 pisak biskup żmudzki Melchior Giedroyć:

„W bardzo wielkiej części mojego biskupstwa nie ma nikogo, kto by się raz w życiu spowiadał, kto by się raz w życiu komunikował; nikogo, kto by umiał pacierz lub znak krzyża świętego; nikogo, kto by miał jakąkolwiek wiadomość o tajemnicach wiary. Zadowolają się jednym: «My nie lutrzy, w piątki mięsa nie jadamy.» Powszechnie ofiarują gromom, czczą węże, szanują dęby i lipy jako święte, ofiarując im kury, miody, sery w razie choroby czy nieszczęścia; dusze zmarłych raczą ucztami i wiele podobnych dziwów za grzechy nie liczą.”

Tak się działo w sto siedemdziesiąt cztery lata po oficjalnym chrzcie Żmudzi. Wiek XVI - możliwości oddziaływania na lud znacznie większe niż w X czy XI. Można przypuszczać, że w Polsce konserwatyzm pogański był słabszy, bo żadni Krzyżacy nie obmierzili tak chrześcijaństwa, jak to miało miejsce na Żmudzi. Ale też niepodobna naiwnie mniemać, że stara; zakorzeniła wiara dała się od jednego zamachu zetrzeć.

Konserwatyzm pogański to sprawa ciekawa, po trosze zalatująca nawet sensacją. Trzeba ją badać, bo wnioski z niej płynące niweczą mity, i to wszelkie - zarówno mesjanistyczne, jak te o „papudze narodów”. Okazuje się po prostu, że i w tej kwestii wszystko u nas dopasowywało się do przeciętnej. Ciekawe rzeczy, godne badania, drogie - bo rodzime. Lecz nie ma powodów ani do wstydu, ani do wynoszenia się nad innych.

Zachodziły jednak zjawiska, które dość zasadniczo odróżniały Polskę od wcześniej ochrzczonych krajów Zachodu. Posłuchajmy, jak Régine Pernoud przedstawia w książce o krzyżowcach wizytę papieża Urbana II we Francji. Było to w roku 1099, w przeddzień pierwszej krucjaty:

„W XI wieku papież, głowa chrześcijaństwa, bez wątpienia nie był jeszcze tym nieco oddalonym autorytetem, jakim jest dziś Najwyższy Pasterz; zwłaszcza we Francji jego odwiedziny nie stanowiły wyjątku; cały lud odczuwał w stosunku do niego tę familiarną po trosze zażyłość, która dziś jest przywilejem tylko ludu rzymskiego. Widzieć Najwyższego Pasterza nie znaczyło wtedy oglądać go w tiarze i na Sedia Gestatoria, w całym aparacie solennej uroczystości; gdy lud zbierał się wzdłuż dróg, na których zapowiedziano jego

przejazd, widział papieża na koniu lub w lektyce, otoczonego orszakiem prałatów i baronów, a te podróże czyniły go bliskim chrześcijaństwu.”

Urban II był w dodatku Francuzem, nazywał się Odo de Châtillon. Polska nigdy nie doznała podobnych przeżyć. U nas chrześcijaństwo od razu przybrało cały majestat monarszy.

. Myśmy przystąpili do Kościoła jako jedni z ostatnich w Europie. Po nas uczyniła to już tylko Litwa oraz inne ludy bałtyckie. Nikt z Polaków nie brał nigdy najmniejszego udziału w dziejach kościelnych przez całe pierwsze tysiąclecie ich trwania. Państwo papieskie powstało z darowizny króla Franków; który symbolizuje wspólną przeszłość Francuzów, Niemców i Włochów. Tego rodzaju wspomnień w Polsce nie było. Dla niej Rzym papieski to od razu daleka potęga, którą można zjednać, z którą można współpracować, ale nie poufalić się.

Jakże wyraźny ślad wycisnęły te okoliczności na naszych obyczajach! Aż do XVIII wieku nadawanie imienia Marii uważali Polacy za rzecz pokrewną bluźnierstwu. Jedyne Marie występujące w naszych dziejach to królowe Francuzki. Nikt w naszym kraju nie nosił nigdy imienia Jezusa, co jest w Hiszpanii zjawiskiem zwykłym. Dopóki żyli Piastowie, imiona Mieszka, Bolesława, Władysława, Leszka, Ziemowita, Kazimierza służyły tylko królom i książętom. Nie śmiał ich przybierać nikt inny, nawet magnat.

Dystans wobec ołtarza był u nas ten sam co wobec tronu. Ani śladu zażyłości.

Być może odbiło się to na typowo polskim sposobie traktowania wiary. Polega on na przywiązaniu i uczuciu oraz na obojętności raczej wobec dociekań doktrynalnych. W 966 roku przyjęta Polska system w zasadzie już wykończony. Polacy mieli słuchać pouczeń, a nie rezonować o wierze. No i nie przywykli do tej ostatniej czynności. Później, w dobie reformacji, nasi wolnomyśliciele liczyć się potrafili do najśmielszych umysłów Europy. Zastanawiali się jednak nie tyle nad dogmatami, co nad lepszym ułożeniem spraw ludzkich. Wiara ich była głęboka, forma rozważań nieraz religijna, treść ziemską.

Brak pasji do dociekań doktrynalnych łączy się chyba dość ściśle z brakiem u nas religijnej zaciekłości. Okoliczności, wśród których Polska przyjęta chrzest, sprzyjały wytworzeniu się nawyku, który naprawdę pięknie zabarwił nasze dzieje - tolerancji. Mylą się ci wszyscy, którzy przypisują ją dopiero Polsce Jagiellonów, bo i Piastowska nie znała fanatyzmu, a ponadto jeszcze - ani myślała o mieszaniu religii z polityką, nigdy nawet nie udawała, że oddaje tę drugą w służbę pierwszej.

W dwa lata po Grunwaldzie zwycięski Władysław Jagiełło pojechał do Przemyśla, dokąd zabrał też posłów cesarza Zygmunta, i... ale oddajmy głos Janowi Długoszowi: „...w ich

obecności kazał kościół katedralny na zamku przemyskim, wspaniale z kamienia ciosowego zbudowany, w którym dotychczas sprawowano obrządek grecki pod zarządkiem ruskiego biskupa, poświęcić na katolicki i na kościół łacińskiego obrządku przemienić, powyrzucawszy z grobów ciała i popioły Rusinów. Kapłani i lud ruski, uważając to za największą wzgardę i obelgę swemu obrządkowi wyrządzoną, podnieśli żalosne krzyki, płacze i narzekania.” Jagiełło postąpił tak, ponieważ chciał „się oczyścić z rzuconej na siebie niesłusznie przez Niemców potwarzy, jakoby miał sprzyjać odszczepieńcom i szczególniejszą schizmie dawać opiekę”. Król neofita, zaproszony na tron państwa od czterystu przeszło lat katolickiego, nie miał tej swobody postępowania, jaka służyła Piastom, którzy przyjąwszy chrzest wraz z całym swym ludem, pozostali sobą i u siebie w domu. On musiał się popisywać żarliwością.

Dokładnie ta sama chwila dziejowa, w której nastąpił ostateczny podział na chrześcijaństwo zachodnie i wschodnie, zapoczątkowała okres szczególnie dobrych stosunków pomiędzy katolicką Polską a prawosławną Rusią Kijowską. Było to w XI stuleciu. W XVI, w dobie renesansu i reformacji, polska tolerancja rozkwitała wspaniale. Polityka już wcześniej zaczęła zbaczać na szlaki, nie dające się pogodzić z zasadą tolerancji.

Dość daleko prowadzą rozważania, rozpoczęte nad wykopaliskami dotyczącymi doby chrztu. Ale przecież tych rozmyślań nigdy nie może być dosyć, bo i temat jeden z najważniejszych, i uproszczeń wokół niego co niemiara. Te pamiątki są świadkami rozdziału dziejów, w którym stojące przed młodym państwem zadania rozwiązywano tak, że trudno lepiej.

Wykop poznański, na którego dnie widnieje podobizna najpotężniejszego ze staropiętystych obwarowań, mówi się zdaje o następującym biegu rzeczy: Od czasu kiedy Ziemowit niespodziewanym zamachem strącił z tronu Popiela, książęta piastowscy siedzieli w Gnieźnie, obok domniemanej świątyni bogini Nyi. Stamtąd zarządzili rosnącym w obszar i potęgę państwem. W roku 966 czwarty z tej dynastii postanowił przyjąć chrzest. Jednym ze skutków tego dla struktury wewnętrznej kraju była polityczna degradacja Gniezna. Może Poznań nie został stolicą w pełnym sensie tego słowa, lecz w każdym razie awansował: tam powstało pierwsze biskupstwo i tam Mieszko I spoczął po śmierci. Czemu tak się musiało zdarzyć? Właśnie dlatego, że Gniezno było nie tylko prastolicą, ale i jednym z najważniejszych pewnie ośrodków starej wiary.

Mieszko podwyższył Poznań. Miejsce dobre, obronne i bardziej zbliżone do granicy zachodniej, wiececkiej.

Wybrał Poznań i obwarował się w nim tak, jak nigdy dotąd ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało. Oczywiście było to potrzebne ze względu na Wioletów. Ale nie tylko dlatego. I zmiana wiary nie była jedyną przyczyną poczynań i ostrożności. Istniał cały splot faktów i dążeń, z którymi należało się liczyć.

Dobrze wszystko obmyślił i wykonał Mieszko I - oraz syn jego, Bolesław Chrobry - skoro rok 966 rozpoczął siedemdziesięciolecie powodzeń, pomyślności i wewnętrznego spokoju. Odmiana przyszła dopiero po roku 1030, za dzielnego, lecz nieszczęśliwego Mieszka II. Nastąpił kryzys o cechach katastrofy.

Jego najbardziej znanym objawem była tak zwana reakcja pogańska, o której pisał ruski kronikarz: „...i powstawszy ludzie pozabijali biskupów i kapłanów, i panów swoich, i było u nich poruszenie.” Co prawda, Stanisław Kętrzyński powiada, że nic nie wiadomo o śmierci gwałtownej jednego choćby biskupa, ale kapłanów na pewno wielu zginęło. Dawna wiara energicznie podniosła głowę. Lecz nie ona wcale zadała państwu pierwsze i główne ciosy. Uczynili to przedtem panowie rozmaitych rang, wielmoże, a także książęta krwi piastowskiej, sprzymierzeni z ościennymi mocarstwami przeciw królowi Mieszkowi II. Bunt pogański był jednym z wielu objawów kryzysu, a ci, którzy w nim uczestniczyli, zwracali się raczej właśnie przeciwko panom niż przeciw monarsze. Nieliczne wiadomości, jakie posiadamy, dowodzą, że lud sprzyjał synowi Mieszka, który powrócił do kraju i przywrócił ład.

Byłoby pewnie błędem utrzymywać, że potężne twierdze wznoszone w wieku X miały strzec władzy monarszej tylko i jedynie przed ludem. Współzawodnikami Piastów byli przede wszystkim możni, a nie słabi. Kapłanów pogańskich też niepodobna zaliczać do pospólstwa. Bliższe będzie prawdy, jeśli się ich posądzi o żądzę władzy raczej niż o pokorę i chęć poprzestawania na małym. W całych dziejach piastowskich widać wyraźnie charakterystyczną cechę europejskich monarchii polegającą na tym, że władza państwowa bierze w obronę małych przed wielkimi. Za Chrobrego i Krzywoustego „zajadłe chłopstwo” walczyło z drużynami cesarzy niemieckich. Kazimierz Wielki zwany był pogardliwie przez szlachtę „królem chłopów”. Kiedy ojciec jego, Władysław Łokietek, walczył o tron i zjednoczenie Polski, w wojsku jego więcej było chłopów niż rycerzy. Te obrazy układają się w całość logiczną.

Potężne twierdze X wieku mówią o krzepnięciu monarchii, która potrzebowała siły, aby zapewnić ład w kraju o skomplikowanych stosunkach wewnętrznych. Nie miały służyć tylko przeciw ludowi czy też tylko przeciw poganom lub Wioletom.

Ale nowa wiara była czynnikiem bardzo, bardzo ważnym. Bez niej polska monarchia nie okrzepłaby nigdy.

Odnowiciel władzy monarszej i katolicyzmu w Polsce, Kazimierz, na zawsze odjął tytuł stołeczny Wielkopolsce, która, podobnie jak Śląsk i Mazowsze, wrzała od pogańskiego buntu.

Nową stolicę założył Kazimierz Odnowiciel tam, gdzie tradycje chrześcijaństwa były starsze, bardziej zakorzenione.

W Krakowie.

ZATARTE ŚLADY KSIĘCIA WIŚLAN

I

Zwiedzanie Małopolski zacząłem od wizyty oficjalnej. Złożyłem ją posagowi Światowida w krakowskim Muzeum Archeologicznym.

Nie żywiłem właściwie tego budującego zamiaru. Ale tak się złożyło, że natychmiast po przyjeździe zadzwoniłem do muzeum. Głos dyrektora doktora Tadeusza Reymana zabrzmiał w słuchawce wieścią bardzo przyjemną:

- Proszę przyjść do nas trzy na drugą. Przypadkiem jest auto do Igołomi.

- To znaczy - wolałem wykluczyć możliwość wszelkich pomyłek - to znaczy, że mam się zjawić kwadrans przed czternastą?

- Prosimy. Pojedziemy razem.

Na wszelki wypadek przyszedłem o trzynastej.

W gabinecie dyrektora zastałem znajomą z Biskupina, ówczesną studentkę, Lidie Zollównę, która oprócz mistrzostwa w zakresie stylu motylkowego odznacza się też ogromnym zapałem do archeologii. Pamiętam, ile było w Biskupinie „radości i krzyku”, kiedy na jej łopacie znalazła się klinga przedhistorycznego noża.

Niezwłocznie poszliśmy zwiedzać muzeum. No i tak jakoś znalazłem się przed obliczem, a raczej przed obliczami Światowida. Widziałem go i przedtem, ale bóstwo zostało na nowo ulokowane, i to w sposób bardzo pomysłowy. Posąg stoi teraz w niewielkiej kolistej salce o podwyższonej posadzce. Lamy jarzeniowe wypełniają przestrzeń równym, łagodnym światłem. Można patrzeć na rzeźbę z perspektywy idących amfiladą sal.

- Wie pan - uśmiechnęła się na zakończenie przewodniczka - tutaj wcale często zwiedzający zostawiają przed posągiem kwiaty.

Sądzę, że to wzruszająco i ładnie, jeśli ktoś rzuci kwiatek i okaże w ten sposób szacunek dziełu sztuki, które symbolizuje prawieczną kulturę Słowiańszczyzny.

Istniały wątpliwości co do autentyczności Światowida. Niedawno minęło sto lat od chwili, kiedy figura została wydobyta z dna Zbrucza. Rzeka jakoś wtedy wyschła i odsłoniła od

wieków ukrywaną tajemnicę. Zdania fachowców były podzielone. Znaczna ich część twierdziła, że odkrycie było mistyfikacją, figurę po prostu spreparowano. Ubiegłe stulecie celowało w takim dopomaganiu nauce historii. Mieli Czesi swojego Hanke, a my poczciwego Narbutta, który fantazjował, komponował, sam sporządzał nadzwyczajne relacje posłów krzyżackich...

Dyrektor Tadeusz Reyman dziś już nie żyje. Wraz z wielu innymi poważnymi uczonymi (opowiada) się on zawsze za prawdziwością Światowida. Badania przyznały mu słusność.

Stwierdzono, że posąg był niegdyś polichromowany. Ślady farb odnaleziono także pod warstewką osadu wapiennego, który pozostawiły na rzeźbie wody Zbrucza. Żaden fałszerz tego by wykonać nie potrafił. Światowid jest prawdziwy.

Komu w drogę, temu czas! Dyrektor Reyman wywołał nas z kręgu starożytności Słowiańskich. Sześciuosobowy Fiat wtedy jeszcze istniejącej Polskiej Akademii Umiejętności (mieści) całą kupę skrzynek, pakunków, papierów, a nawet szkiełko do lampy naftowej. Wszystko dla archeologicznej ekspedycji, pracującej w Igołomi. Ale całkiem wygodnie zmieściliśmy się i my troje oraz doktor Andrzej Żaki. Kopał on dawniej na Wawelu i na Podkarpaciu, a w roku 1960 wslawił się wspomnianymi już odkryciami na zamku w Przemyślu.

Nazwę „Igołomia”, zaliczają specjaliści do tych, które upamiętniają jakiś wypadek. Igołomia - miejsce, gdzie się łamią iga, czyli jarzma zaprzęgów. Nie wiem, kiedy wymyślono miano. Pewnie bardzo dawno temu. Równie dobrze można było je skomponować jeszcze w 1950 roku. Z Krakowa na Igołomię - Koszyce prowadziła najgorsza szosa w Małopolsce, a może i w całym kraju. Bywali tacy, co wysiadali tu z wozów, Bezpieczniej było iść pieszo.

Jechaliśmy pierwszorzędną arterią z gładkiej, szarej kostki. Wrześniowe słońce łagodnie oświetlało istny las kolorowych dźwigów dopiero się wtedy budującego kombinatu Nowej Huty. Nie wiem, do czego to było potrzebne, ale dobry pomysł miał ten, kto kazał ubarwić te żurawie na żółto, czerwono, niebiesko.

- A tak - wskazywał w prawo Tadeusz Reyman - musiał wyglądać Wiedeń obleżony przez Turków.

Na garbie, pod jakimiś zaroślami, widniało prawdziwe miasto spiczastych namiotów z zielonkawego płótna, obozowisko junaków.

Zaledwie dziesięć lat, a jakie dawne sprawy. Teraz ma już swoją historię nawet teatr

Skuszanki w Nowej Hucie.

We wsi Zofipole znajduje się oryginalne muzeum. Idzie się tam między rzędami drzew sadu. W tym miejscu gdzie łagodnie wznoszący się teren przechyla się w południowe zbocze, stoi drewniany dom. Ściany wokół oszklone oknami. W środku, u góry - sufitu tutaj nie ma - na pasie szarego płótna biegnie czarny napis:

„Gdy upadało przed 1500 laty Cesarstwo Rzymskie, stworzyli Słowianie na lewym brzegu górnej Wisły wielki ośrodek przemysłu garncarskiego, którego ślady w drobnej części tu odsłonięto.”

W budynku brak nie tylko sufitu. Nie ma również podłogi. Tylko wzdłuż ścian szeroka galeria z poręczą. Można wygodnie się oprzeć i patrzeć na to, co „w drobnej części tu odsłonięto”.

Zamiast podłogi widnieje popalowana powierzchnia żółtej gliny, z której zdjęto warstwę próchnicy, aby uwidocznić cztery nie naruszone, całe, jakby gotowe do natychmiastowego użycia, piece garncarskie z IV wieku po Chrystusie.

Piec taki, widziany z góry, wygląda jak dość duża kopuła, w której szczycie jest walcowaty otwór, jakby wylot obszernej rury pionowej. Wkładano tam naczynia przeznaczone do wypalenia. Dno rury stanowi okrągły ruszt gliniany. Czernieją w nim liczne otwory zrobione ongi zwyczajnym kołkiem. Tam gdzie poziomy ruszt łączy się z pionowymi ścianami, wyraźnie znać ślady palców ludzkich sprzed półtora tysiąca lat. Człowiek zamazywał spojenia miękką gliną, która też uległa wypaleniu, skoro tylko pod rusztem po raz pierwszy zapłonął ogień.

Od spodu ruszt wspiera się na poprzecznej ścianie, niewidocznej oczywiście. Stąd dwa równoległe przewody, po sto siedemdziesiąt centymetrów długości każdy, biegną w kierunku południowym, ku krawędzi pieca-kopułki, gdzie czernieją ich bliźniacze ujścia. W tym miejscu, w dość obszernym wgłębieniu, siedział robotnik, który obsługiwał piec, podsycił ogień, ustawiał i wyjmował naczynia. Wszelkie braki niszczył od razu, skąd wielka ilość skorup tu znaleziona.

Piece budowano tak, że robotnik zwrócony był plecami na południe. Od przodu ogrzewało go palenisko.

Przewody nie biegną prosto. Mniej więcej w środku załamują się nieco, a to w tym celu, by płomienia pod sam ruszt nie dopuszczać. Nie są to ciasne rurki. Tadeusz Reyman, który był

szczupły i niewielki, opowiadał, że wczłogiwał się w nie zupełnie swobodnie.

Umocowywanie rusztu odbywało się w pomysłowy sposób. Świeży jeszcze, mokry i miękki umieszczano na gęstej siatce z prętów wierzbowych, po czym następowało wypalanie, które od razu niszczyło owe gałązki. W twardej glinie rusztu widnieją odciski liści oraz patyków - wdzięczne pole do pracy dla paleobotanika.

Dzieje tego odkrycia przedstawiają się następująco:

Dyrektor jeszcze przed wojną penetrował okolicę i znalazł kilka pieców w Tropiszowie. Bo trzeba wiedzieć, że to, co zwykliśmy nazywać skrótowo Igołomią, jest właściwie zespołem kilku osiedli. Zaliczają się tu wsie: Wyciąże, Cło, Kościelniki, Tropiszów, Zofipole, Igołomia oraz Witów. Wszystko razem stanowi jednolity obszar badawczy.

W Zofipolu mieszka gospodarz Piotr Paluch. Na jego ziemi, w sadzie, stało opisane przed chwilą muzeum. On go doglądał, pilnował, miał klucze i wpuszczał turystów. Poznałem go przy okazji zwiedzania. Kulturalny, przyjemny człowiek.

Przed wojną Piotr Paluch zwrócił uwagę na dziwne przedmioty, które raz za razem znajdował na swym gruncie. Występują tam u niego zabytki od epoki neolitu poczynając. Zainteresował się, zaczął kopać na zboczu. Odkopał piec, który się zawalił. Prosił kogoś z miejscowego nauczycielstwa o zawiadomienie Krakowa, ale jakoś do tego nie doszło. Dopiero po wojnie, zasłyszawszy, że doktor Reyman znowu pojawił się w okolicy, zgłosił się wprost do niego. 19 sierpnia 1946 roku wznowiono prace. Na ścianie muzeum zofipolskiego wisiała tabliczka, z której odczytałem rezultaty:

W latach 1930-1934 znaleziono 4 piece,
w roku 1946 - 11,
w roku 1947 - 8,
w roku 1948 - 3,
w roku 1949 - 12,
razem - 38 pieców.

A w roku 1950, w związku z rozpoczęciem budowy Nowej Huty, postanowiono przeciągnąć szosę objazdową od wsi Cło w kierunku Niepołomic. Roboty ziemne od razu pokazały, że piece istniały i tam. W ten sposób uchwycono od strony zachodniej dotychczas znany zasięg tego prapolskiego okręgu przemysłowego.

Na dwa dni przed moją wizytą w tamtych stronach wykryto piece na wschód od dworu w

Igołomi. Dokonał tego szofer miejscowego PGR, Władysław Wilk, który orząc pole traktorem zauważył, że pługi odsłoniły jakieś dziwne urządzenie pokryte wypaloną gliną. Natychmiast dał znać archeologom. Maszyna Władysława Wilka wydobyła na światło coś ciekawszego od pieców garncarskich. Pokazały się mianowicie wyloty dymarek, pieców hutniczych, w których wytapiano żelazo.

Pojechaliśmy na miejsce niezwykłego odkrycia. Za parkiem igołomskiego pałacu samochód wtoczył się na dróżki polne. Pomału, wśród ogrodów warzywnych, podskakując na główkach kapusty, sunęliśmy krawędzią terasy lewego brzegu Wisły. Rzeka płynęła kiedyś tuż w dole. Później koryto jej odsunęło się o całe kilometry na południe. Na niskim horyzoncie siniały lasy niepołomickie.

Stanęliśmy nad skłonem skopanego zbocza. Dwa pionowo uchodzące w głąb otwory o ścianach wylepionych gliną, odległe od siebie o kilkadziesiąt centymetrów... Średnica każdego z nich wynosi kilkanaście centymetrów. Jeszcze tej samej jesieni, podczas konferencji archeologów we Wrocławiu, miałem zobaczyć wyobrażone graficznie przekroje igołomskich dymarek. Przypominały kolby czy retorty, jakich używają chemicy. Korpus pieca był zagłębiony w ziemi. Władysław Wilk odsłonił same wyloty.

Badania wdrożone natychmiast doprowadziły wkrótce do ustalenia wieku znaleziska. Igołomskie dymarki powstały w I i II stuleciu po Chrystusie.

Rezultaty poszukiwań były więc takie: stwierdzono, że na lewym brzegu Wisły, w dół od późniejszego Krakowa, w I stuleciu naszej ery zaczął się kształtować okrąg przemysłowy. Rozciągał się on na przestrzeni sześciu kilometrów.

Tam gdzie tysiąc kilkaset lat temu pracował okrąg stary, działa obecnie całkiem świeży. Nowa Huta sięgnęła po tradycje. Widocznie nic w Polsce obejść się bez nich nie może.

Wyloty dymarek oglądałem na świeżo. Nie upłynęło przecież jeszcze czterdzieści osiem godzin od chwili, w której wyorał je pług traktorzysty. Korpusy pieców tkwiły nadal pod ziemią. Jak przed chwilą wspomniałem, podobne były do retort o kulistym spodzie. Otwory do wtłaczania powietrza znajdowały się w ich bokach. Po wytopieniu słoja żelaza ściankę pieca należało rozwalić.

We wrześniu 1951 roku mogłem zbierać wiadomości na temat dawniej już znanego igołomskiego garncarstwa przede wszystkim. Opowiadano mi rzeczy nie bardzo pasujące od mych dawniejszych wyobrażeń o tej gałęzi wytwórczości. Zawsze myślałem, że służyła tylko domowemu użytkowi. Tymczasem można śmiało przypuszczać, że te garncarnie pracowały

na zbyt. Któż budowałby na domowy użytek aż tyle pieców, z których każdy mógł jednocześnie wypalać kilkadziesiąt naczyń. Piec znaleziony przed wojną w Tropiszowie zawierał nietknięty ładunek garnków. Było ich równo dziewięćdziesiąt. Takie piece ciągnęły się całymi kilometrami, jeden przy drugim, niemal zrosnięte ściankami, na samym szczycie skarpy. Rzeka płynęła kiedyś tuż w dole. Zespół wytwórczy sprzężony był zatem z doskonałą, ba! najlepszą wtedy drogą.

Wyrabiano tak zwaną ceramikę siwą, którą dawniej upierano się nazwać gocką, obecnie zaś trzeba będzie przechrzcić ją na igołomską. Technika pracy stała bardzo wysoko. Obok dworu odnaleziono piec garncarski z XV wieku. Ani go porównać z tymi „przedhistorycznymi”. Prymitywny; niezdarny, byle jak sklecony.

Nasi pragarnkarze posiadali pewną tajemnicę. Znali taki sposób wypalania, że garnek i bez glazury nie przeciekał. Glazura występuje dopiero we wczesnym średniowieczu, i to jako wielka rzadkość. Garncarstwo ludowe nie odziedziczyło tej techniki, która przeszła raczej na wyrób porcelany.

Cały zespół Tadeusza Reymana był dosłownie zelektryzowany odkryciami. Nic dziwnego. Takich rewelacji historia nauki niezbyt znowu wiele pamięta. Odkryto zatem piece. Dzięki nowej w archeologii „technice traktorowej” natrafiono również na dymarki. Ledwie badacze zaczęli tam skrobać ziemię, a już na niewielkiej przestrzeni naliczyli ich dziewięć, i to ładnie uszykowanych w trzy rzędy.

Przybyło moc roboty, bo każdy drobiazg bada się wszak wszechstronnie. Ale trzeba także szeroko „iść na boki”, szukać osiedli, resztek cmentarzysk, domów i obwarowań. Pytania cisną się gwałtem. Kto tu pracował - ludzie wolni czy niewolnicy? Jak przedstawiał się problem ustroju społecznego i gospodarczego, jak wyglądały stosunki między rządzonymi a rządzącymi, jak rozwiązywano sprawę aprowizacji, dostawy surowca i zbytu.

Te same zagadnienia niepokoją już mocno, kiedy się ogląda piece garncarskie w ogrodzie Piotra Palucha. Ale tutaj, trochę na wschód od pałacu igołomskiego, stoimy wobec sprawy nieskończenie bardziej skomplikowanej. Tym razem chodzi o żelazo, o metal, którego zastosowanie było wielkim przewrotem w historii ludzkości. Mamy przed oczyma niezbite dowody, że w samych początkach pierwszego tysiąclecia, naszej ery wytapianie żelaza osiągnęło u nas bardzo wysoki szczebel techniki i organizacji pracy. Natrafiono na ślady już nie prymitywnych stosów, na których pławiono rudę otrzymując gąbczastą masę z żużlem, wymagającą jeszcze przekucia. Tutaj są dymarki zgrupowane w prawdziwy okrąg

przemysłowy. Na pewno znano sposoby utrzymywania w nich wysokiej temperatury. Obsługiwanie ich wymagało daleko posuniętego podziału pracy.

Wszystko to nie mogło chyba działać bez jakiejś formy organizacji państwowej. Taki domysł narzuca się sam przez się. Ktoś musiał czuwać chociażby nad bezpieczeństwem oraz nad sprawnym działaniem dostawy i wywozu. A jeszcze ważniejsze, że ktoś musiał tak czy inaczej, ale na pewno nie bez przymusu, rozstrzygać problemy socjalne. Wydaje się bardzo wątpliwe, czy dymarki obsługiwali robotnicy najemni. Wolno także wątpić o tym, że każdy piec z osobna stanowił własność jakiegoś drobnego wytwórcy. Raczej cały zespół do kogoś należał, znajdował się pod czyjąś władzą, którą ogromnie wzmagał.

W odległej przeszłości górnictwo i hutnictwo zaliczały się do robót szczególnie ciężkich. Kierowano do nich ludzi przymusowo. Tak mówią źródła historyczne. Według rzymskiego dziejopisa Tacyta, Kwadowie i Sarmaci zmuszali pokonanych do „kopania żelaza”. Nasz mistrz Wincenty Kadłubek opowiada, że do prac w kopalniach wysyłano rozmaitych złoczyńców, szczególnie takich, co kradli bydło.

Wzmianki te pozwalają domyślać się, że okrąg hutniczy spod dzisiejszej Igołomi mógł być po prostu obsługiwany przez niewolników. Sprawa dotyczy tak zwanego w archeologii „okresu rzymskiego” (I-IV wiek po Chrystusie), czyli czasów, w których przodujące państwo świata, Rzym starożytny, w całości oparte było na ustroju niewolniczym. Ale to jeszcze nie znaczy, że ci domniemani niewolnicy prasłowiańscy znajdowali się w tym samym położeniu prawnym co słudzy Petroniusza. Między jednymi a drugimi mogły istnieć bardzo zasadnicze różnice, a nic nie wskazuje, by tym słowiańskim działo się gorzej. Kiedy „barbarzyńcy” atakowali Rzym, sprzyjali im właśnie uciśnieni, ponieważ nie widzieli u najeźdźców instytucji niewoli takiej, jaka ich gnioła.

Daleko odbieśliśmy od wyobrażeń, że problematyka początków organizacji państwowych na naszych ziemiach da się zamknąć w granicach X wieku. Aniśmy się obejrzeni, a już dotarliśmy do samych początków owego tysiąclecia. Lecz i to jeszcze nie stanowi kresu.

Późną jesienią 1951 roku doktor Stanisław Buratyński stwierdził na terenie wsi Wyciąże ślady przemysłu garncarskiego z III - II wieku przed Chrystusem, a jednocześnie na próżno dawniej poszukiwane osadnictwo w samej Mogile. Okazało się od razu, że produkcja z Wyciąża reprezentowała poziom wyższy od igołomskiej.

Opłaciła się wiedza szeroko zastosowana w Polsce „technika traktorowa”. Zresztą oprócz traktorów wchodzi w grę kopaczki, buldożery i temu podobne maszyny do niemiłosiernego

nicowania ziemi. Każda z nich jest bardzo bezceremonialna i wiele potrafi zniszczyć. Ale za jednym zamachem sięga o dwa, trzy metry w głąb i otwiera dostęp do takich warstw, które niczym nie zdradzają swej obecności.

Prace nad budową stalowni w Nowej Hucie pozwoliły na przykład ustalić, że igołomski ośrodek garncarski sięgał aż po Cło i Kościelniki, a może nawet jeszcze dalej. Wspomniana przed chwilą wieś Wyciąże znajduje się na cyplu terasy wiślanej. I tam także odbywały się wielkie roboty ziemne. Dzięki nim wyjrzała spod ziemi bardzo ciekawa osada z okresu neolitu i brązu. W krakowskim Muzeum Archeologicznym można się było naocznie przekonać, co Nowa Huta dała... w zakresie archeologii. Leżą pod szkłem znaleziska od paleolitycznych aż po wczesne średniowiecze: ząb i łopatkę mamuta, łuzicka ceramika grobowa, kamienna forma odlewnicza, zestaw celtyckich narzędzi kamiennych...

Prosto od dymarek ruszyliśmy do dworu w Igołomi. Trzeba było odwiedzić tam wszystkie paczki, pudełka tudzież szkiełko do lampy naftowej. Auto zatrzymało się przed gankiem pięknego pałacyku, który zaprojektował i wznosił budowniczy warszawskiego Belwederu, Kubicki. Gmach wraz z parkiem i połową sadu oddany został na siedzibę Stacji Naukowej Muzeum Archeologicznego. Trudno było znaleźć odpowiednie ręce. Natychmiast po osiedleniu się naukowcy wykopali w krzakach, tuż obok dworu, dół na śmieci. I od razu natrafili na zabytki. Pałac leży bowiem na samej terasie wiślanej, która od Krakowa aż po Sandomierz jest właściwie jednym wielkim stanowiskiem.

Latem 1953 roku odbył się w Nowej Hucie zjazd organizacyjny Polskiego Towarzystwa Archeologicznego. Młodziutkie miasto miało już wtedy swój własny oddział Muzeum Archeologicznego, którym kierował doktor Józef Marciniak. Badacze najodleglejszej przeszłości zaliczali się do stałych mieszkańców Nowej Huty. Jeden z nich, doktor Emil Hachulski, opowiadał mi o niezwyklej życzliwości załogi:

- Telefony się urywają, jak tylko na co natrafiają. Zawiadamiają, do domu przynoszą.

Podczas wycieczki do samego kombinatu, kiedyśmy szli z odlewni staliwa do hali ciężkich maszyn, doktor Stanisław Buratyński odezwał się raptem:

- A czy pan da wiarę, że ja tu w tym miejscu rok temu pracowałem?

- Cóż pan tutaj robił?

- Sprawdziałem, czy w wykopach pod fundamenty nie ma czasem zabytków.

Byliśmy i w Mogile. W bezpośrednim niemal sąsiedztwie sławnego kościoła cystersów z

wielkiego prostokąta ziemi zdjęto sam naskórek gleby. Na gładko wyrównanym placu o burej barwie znaczyły się ciemne, jakby atramentem napuszczone smugi i plamy. Widniało zupełnie czarne kolisko, wyłożone drobnymi kamykami.

W tym miejscu ludzie mieszkali poczynając od młodszej epoki kamiennej aż po wczesne średniowiecze. Fragment odsłonięty pokazywał pamiątki z okresu rzymskiego. Ciemne plamy były śladami po wgłębionych w ziemię chatach, czarne kolisko - dobrze zachowanym dnem pieca. Długa, atramentowego koloru smuga stanowiła pozostałość rowu, który zapewne opasywał niegdyś osiedle. Wykryto w nim resztki słupa i płotu. Zabezpieczało to pewnie osadę przed zwierzętami, złodziejami i innymi nie proszonymi gośćmi, nie zasługiwało jednak na nazwę obwarowania.

Można było oglądać skrzętnie posegregowane kupki cienkich, typowych dla owej epoki skorup naczyń. Nie było jednak ani cienia dowodu przemysłowych zajęć ludności.

Bo też mieszkali tu zapewne rolnicy i hodowcy. Plony ich pracy były niezbędnie potrzebne zespołowi przemysłowemu, czynnemu opodal. Można przypuszczać, że opasywał go cały wieniec wsi rolniczych, dla których był rynkiem zbytu. Wszystkie dziedziny życia odczuwały skutki tak potężnego rozwoju garncarstwa i hutnictwa.

II

W poprzednim rozdziale obszernie rozpisywałem się o znaleziskach pochodzących z epoki, którą archeologia określa jako okres rzymski. Daje mi to, być może, prawo do wprowadzenia chwilowego zamętu w tok niniejszej relacji. Chcę mianowicie oderwać się nieco od spraw małopolskich i przedstawić rzeczy dotyczące życia całego kraju we wspomnianej dobie dziejów.

Wiosną 1951 roku Muzeum Pomorskie w Toruniu otrzymało alarmującą wiadomość o odkryciach w Lachmirowicach. Tak się nazywa wieś folwarczna na zachodnim brzegu Gopła, około dziewięciu kilometrów od Kruszwicy. Teren tam niski, lekko sfalowany.

Muzeum wysłało do Lachmirowic magistrą Bonifacego Zielonkę.

Ukazało się, że odkrycia dokonano na polu, o kilkadziesiąt metrów za barakami robotników rolnych. Zaczęto tam wybierać dół i nieoczekiwanie odsłonięto groby.

Bonifacy Zielonko kopał aż do listopada. Wykrył ciągłość osadnictwa, poczynając od epoki „łużyckiej” aż po wczesne średniowiecze. Były tam resztki grobów, chat, palenisk, dymarek, surowca żelaznego. Nie mogło się obejść bez licznych skorup. Pragnę jednak skupić uwagę na jednej kategorii zabytków.

Jama obok budynku robotników rolnych została wykopana na terenie bardzo starego, na pół już zniszczonego cmentarzyska. Na obszarze siedmiuset metrów kwadratowych odsłoniли badacze trzydzieści siedem stanowisk grobowych. Z tej liczby trzydzieści cztery dochowały się w stanie nie naruszonym. Było to ciałopalne cmentarzysko o grobach popielnicowych i jamowych. Wiek jego oznaczono na II lub III stulecie po Chrystusie.

W grobach było normalne słowiańskie wyposażenie. Obok samych popielnic widniały naczynia przystawkowe, rytualnie poduczone przed złożeniem do mogiły. Ale było jeszcze i coś więcej.

Oglądałem fotografię ładnej i zgrabnej lampki oliwnej wyrobionej z gliny. Leżała w jednym z grobów. W innych były szkatułki-szufladki o uszkach ze złota, szczątki naczyń z brązu, miecze, groty, okucia tarcz. Znalazły się także puchary oraz naczynia rodzaju „terra sigillata” oraz misa gatunku „terra nigra”.

„Terra sigillata” to charakterystyczne dla kultury rzymskiej naczynie z wytłaczanym ornamentem. „Terra nigra” - czarna glina glazurowana - jest typem najbardziej chyba znamiennym dla starożytności klasycznej. Takie rzeczy wyrabiano w Imperium Romanum, niekoniecznie zresztą w samej Italii. Uczeni twierdzą, że to, co się tu do nas dostawało jako import, reprezentuje raczej rzymską kulturę prowincjonalną. W samym Rzymie nikt się specjalnie nie uganiał za rzeczami, które, przywiezione na daleką barbarzyńską północ, stawały się znamieniem bogactwa i dostatku. Można z całym przekonaniem twierdzić, że nie każdy, na pewno nie każdy mieszkaniec prapolskich osad nad Gopłem mógł sobie pozwolić na luksus ich nabywania.

Zapamiętajmy jednak tę znamieną okoliczność, że kiedy pomiędzy Prapolską a Zachodem istniała naprawdę wielka różnica kultury, sprowadzano do nas stamtąd wyroby podrzędne. Przyda się nam ta wiadomość dla oceny czasów chrześcijańskich, kiedy powstawały u nas dzieła sztuki równej wartości co na Zachodzie. Być może, tworzyli je obcy, przyjezdni artyści. Ale narodowość autorów nie jest sprawą najważniejszą. Chodzi przede wszystkim o równorzędność samych dzieł, świadcząca o poziomie wymagań.

Dzięki odkryciom lachmirowickim muzeum toruńskie weszło w posiadanie przeobfitego

zbioru. Tak wielkiego skupiska znalezisk z okresu rzymskiego przedtem u nas nie było.

Zwracam jednak uwagę, że mówiłem o pojedynczym skupisku. Bo skarby lachmirowickie nie są niczym nadzwyczajnym w porównaniu z całością zabytków owej epoki, które rozmaitymi czasy odszukano na ziemiach polskich. Jest ich bardzo wiele. Tak nawet wiele, że istnieje najzupełniej wystarczająca podstawa do wniosków natury ogólnej. Dzięki nim możemy odtworzyć sobie zarys obrazu stosunków, jakie panowały u nas za czasów Nerona, Trajana czy Hadriana. Wspominana już książka profesora Kazimierza Tymienieckiego *Ziemia polskie w starożytności* informuje nas o tym obszernie. Jest w niej cały duży rozdział, zatytułowany: *W epoce rzymskiej*.

Okazuje się, że importy rzymskie oraz liczne monety płynęły do nas przede wszystkim drogą lądową. W odróżnieniu od Greków, urodzonych marynarzy; kupiec rzymski podróżował przeważnie lądem - przynajmniej w nasze strony. Wiódł przez te ziemie wzmiankowany „szlak bursztynowy” oraz inny - znad Morza Czarnego. I przełęcz karpackie służyły celom handlowym. W rezultacie - po licznych miejscowościach kraju rozchodziły się naczynia brązowe, gliniane, szklane, a nawet srebrne. Oprócz nich - narzędzia, przedmioty codziennego użytku, ozdoby, klucze, pilniki, obcęgi, wisiorki, pierścienie, sygnety. Broń - nie zabrakło wśród niej nawet mieczy legionistów z wyobrażeniami orłów i cyframi legionów, a mianowicie czternastego, stacjonującego w Pannonii, czyli w dzisiejszych Węgrzech. Przedmioty kultu - brązowe posążki Izydy, Bachusa, Merkurego, Marsa i innych bóstw. Istnieją domysły, że Izydzie oddawano u nas cześć.

Osobną grupę wśród znalezisk rzymskiego pochodzenia stanowią pieniądze. Przede wszystkim srebrne denary, chociaż i złotych aureusów nie braknie. Tych pierwszych było jednak najwięcej. Tak nawet wiele, że profesor Tymieniecki domyśla się w nich ówczesnej monety obiegowej. Oczywiście nie był to obieg powszechny ani - tym mniej - przymusowy. Na pewno jednak denary były w kursie, skoro zdarzały się, zwłaszcza w Wielkopolsce, nawet naśladownictwa. Najwięcej u nas rzymskich pieniędzy ze szczytowej epoki świetności cesarstwa, z doby rządów Antonina Piusa, który panował od 138 do 161 roku po Chrystusie.

To chyba logiczne. „Niezmierny pokoju rzymskiego majestat” pozwolił na najbujniejszy rozkwit handlu.

Można wiele zapisać papieru wyliczając, co i gdzie znaleziono. Zamiast rachować srebrne pucharki kapłańskie, włócznie legionistów i bogate sygnety zajmijmy się jednak lepiej - w ślad za autorem dopiero co wspomnianej książki - rozmieszczaniem tych odkryć na mapie.

Będzie to bardzo pożyteczne zajęcie. Zwłaszcza jeżeli od razu uprzytomnimy sobie, że okolice, w których importów rzymskich było szczególnie dużo, musiały już wtedy przodować. Były pewnie najgęściej zaludnione. A już nie ulega wątpliwości ich prymat w dziedzinie gospodarki, lepsze powiązanie ze szlakami europejskiej wymiany, wyższy stopień zamożności. Ponieważ Rzym leży na południu, wyliczanie godzi się zacząć od tej strony świata.

Pierwsze zatem okręgi polskie obfite w rzymskie dostatki to Kraków, Wiślica i Sandomierz wraz z okolicami. Wokół Radomia i Opoczna są okręgi drugorzędne, ale też nie pozbawione znaczenia.

Na Śląsku bezwarunkowo przoduje Opole. Za nim idą Wrocław, Oława, Oleśnica i jeszcze Głogów. Obecność znalezisk tutaj wyraźnie się wiąże z biegiem „szlaku bursztynowego”.

Główny jednak ośrodek Prapolski to niewątpliwie dzisiejsza Wielkopolska. Ale nie cała. Na czele - rzecz jasna - Kalisz. Największy w Polsce skarb monet, dwa tysiące sztuk! Ważny był obecny powiat turecki, Łęczyca, Kruszwica oraz Inowrocław. O Gnieźnie jeszcze nie słyhać. Wybijają się za to ziemie dobrzyńska i chełmińska.

Na Pomorzu do Gdańska i Szczecina nie ma po co chodzić. Najważniejsza połać kraju leżała wtedy między Regą a Prośnicą. Wybitniejszą funkcję mógł spełniać Kołobrzeg, a jeszcze bardziej Białogard.

Wyliczanie skończone. Ale nie odrywajmy oczu od mapy. Przecież rysuje się na niej znajomy kształt. Mgławicowy jeszcze, ścieśniony, chciałoby się po prostu rzec - zarodkowy, ale znany, bardzo znany. Jest oto blok małopolski. A dalej - Śląsk, Wielkopolska, Pomorze. Zgadza się i to, że obszary wschodnie, nad średnią Wisłą, kryją się jakby w cieniu. Z biegiem czasu punkty ciężkości ulegną przemieszczeniu, ale nie tak znowu bardzo wielkiemu. Z Kruszwy do Gniezna, z Opola do Wrocławia to blisko, choć ręką sięgnij. A w tradycyjnie - jak widać - konserwatywnej Małopolsce nic się specjalnie nie zmieni. Kraków, Wiślica i Sandomierz zachowają naczelne miejsca.

Tak na samym początku naszej ery zaczęły się kształtować „wewnętrzne granice późniejszej Polski” - powiada profesor Tymieniecki. Albo raczej jej jedność gospodarcza, podstawa przyszłej jedności politycznej.

Uchodziło dotychczas za pewnik niewzruszony, że ziemie nasze w żaden sposób nie uczestniczyły w historii starożytnego świata, Grecji, Cesarstwa Rzymskiego. Rzeczywiście, ani jeden z cesarów nie zainteresował się ziemiami położonymi jeszcze dalej niż Germania.

Intelektualiści, uczeni, filozofowie niewiele o nich wiedzieli. Herodot zapuścił się łodzią w górę Bohu, nazbierał nieco nowin o Neurach i Budynach, w których dzisiejsi uczeni odgadują Słowian zachodnich i wschodnich, oraz o siedzących w tajdze Tyssagetach, przodkach Finów. Ale pisarze rzymscy nie bardzo potrafili odróżnić Słowian od Germanów.

Nie zmienia to faktu, że zachodnia Słowiańszczyzna w dziejach Imperium Rzymskiego jednak uczestniczyła. Nie figurowała na szachownicy politycznej, ale to nie wyczerpuje jeszcze zainteresowań współczesnego dziejopisarstwa. Pozostaje do rozpatrzenia rzecz bardzo podstawowa - historia gospodarcza.

Importy rzymskie można na ziemiach polskich rachować na grube setki i tysiące okazów. A przecież znamy drobną zaledwie część tego, co niegdyś było. Mamy po temu przekonywający przykład. Profesor Tymieniecki nie mógł nic wiedzieć o odkryciu w Lachmirowicach, kiedy oddawał swą książkę do druku. Wyczerpująco opisał wykopaliska znane poprzednio i właśnie wtedy, gdy jego znakomita praca była pod prasą, wyjrzał z ziemi najbogatszy z dotychczasowych zespołów. Wyjrzał i bardzo wymownie poparł wywody uczonego.

Nikt do nas naczyń brązowych, sygnetów ani złotych aureusów w prezencie nie przywoził. To były przedmioty wymiany. Niezbyt dobrze wiemy, co kupcy rzymscy otrzymywali w zapłatę, ale że z pustymi rękami nie odchodzili - to pewne. Najbardziej pożąдали bursztynu, o tym nikt nie wątpi. Zabytki rzymskie wyznaczają bardzo wyraźną drogę z naszego Pomorza. Wiedzie ona dalej, na wybrzeże sambijskie, ku Połędzie. A tam, pod Połęgą, dziś jeszcze najęściej świecą w wodorostach bryłki stwardniałej żywicy. Oprócz bursztynu mogli Prapolacy odstępować skóry, futra, miód, воск, no i niewolników.

Ożywione stosunki handlowe uprawniają nas do pewnych domysłów. Ówczesne społeczeństwo musiało daleko odbiec od warunków wspólnoty pierwotnej, który to ustrój przeżył swój moment szczytowy może już w dobie „łużyckiego” Biskupina. Handel wzmagał nierówności społeczne, pozwalał się bogacić, ale nie wszystkim. A już na, pewno - nie wszystkim w tym samym stopniu. Starszyzna plemienna szła w górę, dystans pomiędzy nią a pospolitym ludem musiał rosnać. W grobach lachmirowickich znaleziono wyposażenie bardzo bogate. Majątek poszczególnych rodzin był więc tak znaczny, że stać je było na składanie do mogił lamp oliwnych przywiezionych z Italii czy też drogich naczyń „terra nigra”.

Taki stan rzeczy pozwala przypuszczać, że musiała istnieć jakaś forma organizacji

politycznej. Ci, co się wzbogacili - na wymianie i inaczej musieli teraz dbać o zabezpieczenie swej górującej pozycji społecznej. A to właśnie jest genezą wszelkiej władzy, także i państwowej.

Pora przypomnieć rzeczy, które już znamy. Najlepiej będzie po prostu powrócić na terasę wiślaną koło Igołomi, Zofipola i Wyciąża. Odślonięto tam resztki wielkiego zespołu przemysłowego z pierwszych stuleci naszej ery. Te piece i dymarki nie pochodzą z żadnej osobnej szuflady historii. Są one współczesne Lachmirowicom i rozmaitym innym skarbowom od dawna w Polsce znajdowanym. To wszystko zalicza się do jednego i tego samego okresu rzymskiego.

Połączmy teraz zdobycze wiedzy dawniejszej z tym, co ostatnio ujrzało światło dzienne. Okaze się, że zarysowujący się praorganizm Polski był nie tylko na podziw bogato nasycony importem rzymskim, lecz ponadto sam dojrzał do posiadania własnej potężnej wytwórczości przemysłowej.

Żaden z pisarzy starożytnych nie zanotował wiadomości o tym, co się u nas działo w stuleciach I, II, III czy IV. Szkoda niepowetowana, ale nawet ona nie przeszkadza dojrzeć prawdy. Materialne dowody przekonywają, że już wtedy zaczynała Polska rosnać. Tworzyły się nie lada jakie podstawy jej jedności gospodarczej, postępowało zróżnicowanie społeczne, wszystko szło ku normalnym następstwom natury politycznej.

Ale państwo polskie, znane nam z historii pisanej, było wytworem całkiem innej fazy dziejów. Bo pomiędzy dobrobytem okresu rzymskiego a ponownym podniesieniem się wytwórczości i poziomowi życia w stuleciu VIII zalegają wieki głębokiej depresji cywilizacyjnej. Okazuje się, że zanim kronikarze zanotowali w swoich foliałach imię Polski - historia kraju liczyła już kilka wieków, znała epoki pomyślności i kryzysu.

Wielki krach, który nastąpił po rozkwicie okresu rzymskiego, wynikł z wielu przyczyn. Południe Polski spustoszyły plemiona uchodzące przed Hunami. Ale nie to rozstrzygało. Najważniejszą rolę odegrało zawalenie się samego Imperium Rzymskiego, z którym zachodnia Słowiańszczyzna utrzymywała tak żywy kontakt gospodarczy. Było ono nieuchronnie skazane na zagładę. Ale upadek jego zniweczył handel, zniszczył mnóstwo ośrodków wytwórczych własnych i tych pewnie u nas, które pracowały dla jego rynków. Musiało nastąpić powszechne zubożenie, horyzonty gospodarcze zaczęły się znowu zacieśniać do granic najbliższej dzielnicy.

Wzrost bogactwa Słowiańszczyzny podczas handlu z cesarstwem i wzmożenie się

rodzimej wytwórczości doprowadziły do zwiększenia liczby ludności i nagromadzenia stosunkowo znacznych sił. Zasobne południe nęciło. Niejednemu musiało się marzyć panowanie nad źródłami bogactw przywożonych przez kupców. I jeżeli istniała wtedy w kraju jakaś organizacja polityczna, to musiała ona nabrać wtedy charakteru międzyplemiennych związków łupieżczych.

W końcu IV wieku naszej ery fala słowiańska przelewa się przez Karpaty, a jednocześnie plemiona zachodnie zaczynają gwałtownie przeć na Germanów. W IV i V stuleciu Słowianie zajmują Morawy i Połabszczyznę, trochę później, zjawiają się w Kotlinie Czeskiej oraz w Pannonii, a w dwu następnych stuleciach kolonizują Bałkany. Nie sami Germanowie przyłożyli ręki do upadku Imperium Rzymskiego. Słowianie też wzięli niebłahy udział w jego kruszeniu.

Rozmach ich był zdumiewający, ale z jego także przyczyny w macierzystych ziemiach słowiańskich w VI i VII stuleciu nastąpiło znaczne obniżenie się poziomu cywilizacji. Odmianę na lepsze przyniósł dopiero wiek VIII, a naturę dodatniego przełomu udało się wyśledzić dzięki sposobom zasługującym na uwagę.

Jak już wspominałem, w badaniach nad początkami państwa polskiego wziął również udział profesor Konstanty Moldenhawer, botanik. Archeologowie pilnie dbali, by jego poznańskiej pracowni nie zabrakło czasem roboty. Czternaście stanowisk z całej Polski przysyłało mu zabytki botaniczne. W przeciągu jednego tylko 1951 roku zdążył profesor zbadać dziewięćset osiemdziesiąt cztery próbówki ze szczątkami roślinnymi. Wśród ziaren rozmaitych zbóż, a nawet pestek brzoskwiń, znalazco się jedno jedyne na taty kraj nasionko maku. Odszukano je w Gdańsku, wśród zwalisk domu mieszkalnego. Było ich na pewno więcej, ale dosyć trudno zauważyć w wykopalisku przedmiot o wymiarach 1,1 x 0,90 milimetra.

Pod soczewkami poznańskich mikroskopów przesunął się jedyny w swoim rodzaju film dokumentarny. Rzecz pozornie dziwna - bardzo rzadko występował zwyczajny owies. Wspomnijmy jednak, co w X stuleciu napisał o Słowianach mnich saski, Widukind: „Barbarzyńcy nie mieli wielu konnych, mieli natomiast niesłychane mnóstwo piechoty.”

Badania paleobotaniczne były gruntowne i szerokie, istnieje więc zupełnie wystarczająca podstawa do wniosków natury syntetycznej. Są one takie, że w dobie wczesnego średniowiecza w całym kraju zaznaczył się ogromny wzrost i udoskonalenie rolnictwa. Jeden tylko Gdańsk - nadmorskie osiedle rzemieślników i rybaków - stanowi pod tym względem

wyjątek (którego zresztą można w ogóle nie brać pod uwagę, bo Gdańsk jest młodym miastem i liczy zaledwie około tysiąca lat; od państwa polskiego nie jest starszy na pewno). W Gdańsku siato się i zbierało przede wszystkim proso, które daje obfite plony nawet przy kiepskiej uprawie. Za to gdzie indziej grody i podgrodzia były dobrze zaopatrzone w pszenicę. I to w zwykłą, to znaczy tę jej odmianę, którą siejemy i dziś. Gatunki gorsze - jak na przykład płaskurka, której plewy trudno się oddzielają od ziaren - już wtedy zaczęły wychodzić z użycia. W wielkich ilościach pojawiło się żyto.

Pozsychane, a nieraz nawet i zwęglone ziarenka zbóż chlebowych to wielkiej wagi dokumenty, rzeczowe pamiątki po fali dziejowej, która powołała do życia państwo polskie.

VIII stulecie przyniosło odmianę, cywilizacja podniosła się, kryzys, wywołany upadkiem Cesarstwa Rzymskiego i wędrówkami ludów, przeminął. Po wykopaliskach można śledzić, wyraźne przejawy tego zjawiska. Na Pomorzu i na Kujawach zaczyna się na przykład pojawiać coraz to większa ilość „skarbów”, niezbity dowód, że arystokracja plemienna znowu zaczyna porastać w piórka. Stać ją nawet na sprowadzanie dla dzieci emaliowanych grzechotek z Kijowa, a dla siebie - broni frankońskiej, której wywozu do krajów Słowiańskich surowo zabraniał Karol Wielki. Zagraniczne, a nawet zamorskie rzadkości stąd się wzięły u nas, że kupieckie miasta-republiki - Szczecin, Wolin - włączyły się do handlu bałtyckiego. Na południu ważny szlak z Kijowa wiódł teraz przez Kraków, bo Węgrzy wyparli go bardziej na zachód z zakarpackich regionów.

To wszystko grało poważną rolę, ale nie wyczerpywało kwestii. Ponowny rozwój wyniknął przede wszystkim z udoskonalenia rolnictwa. Ono decydująco wpływało na przemiany społeczne i polityczne. Zacošana metoda uprawy żarowej ustąpiła miejsca orce sprzężajnej. Klasy ziarna lepszych gatunków znajdowane po grodach dowodnie świadczą o tworzeniu się większej własności typu feudalnego. Tylokrotnie już wspomniane fakty, jak zróżnicowanie zajęć na miejskie i wiejskie, wydzielanie się części ludności ze wspólnot terytorialnych, charakterystyczne zmiany w sposobie budowy grodów - to całkiem wyraźnie mówi o pogłębiającym się nieustannie podziale społecznym mieszkańców kraju. Lata sześćdziesiąte X wieku, które tradycyjnie przyzwyczajono się uważać za sam początek historii polskiej, w gruncie rzeczy oglądały już zakończenie procesu - państwo zorganizowane w pełni, skryształizowany rezultat tendencji różnicujących społeczeństwo. Rok 966 nadał sankcję religijną władzy monarszej, od dawna istniejącej.

Istnieje więc chyba podstawa do zaryzykowania tezy, że fakt upadku Cesarstwa Rzymskiego oraz wędrówek słowiańskich odroczył moment zorganizowania się na naszych

ziemiach jednolitego państwa. Jego fundamenty materialne zaczęły przecież w okresie rzymskim całkiem wyraźnie krzepnąć. Zjawiska historyczne szerszej natury przyhamowały jednak ten rozwój.

Ciekawa rzecz, czy w państwie Piastów istniała tradycja - wspomnienie o dawniejszej epoce pomyślności? Profesor Kazimierz Tymieniecki zwraca uwagę na interesujące zjawisko. Żyje u nas mianowicie przekonanie o sędziwym wieku i ważnej ongi roli Kruszwicy. Z tamtejszą Mysią Wieżą (którą wybudował Kazimierz Wielki) nawet literatura wiąże najstarsze, legendarne wydarzenia. Tymczasem nie posiada to uzasadnienia źródłowego. Opowieści o Piaście i Popielu całkowicie należą do Gniezna i dopiero kronikarz wielkopolski z XIV stulecia usiłował zaczepić je o Kruszwicę. Czemuż jednak wybrał sobie właśnie to miasto? Być może dlatego, że nawet w późnym średniowieczu utrzymywały się jakieś tradycje o dawnej wielkiej roli grodu i okolicy.

Tak się niefortunnie złożyło, że nigdy nie byłem w Kruszwicy. Wykopaliska tam się oczywiście prowadzi. Stwierdzono, że w okresie rzymskim było tam osiedle. Odnalezione w Kruszwicy importy z cesarstwa mają nie lada rangę: „skarby” srebrnych denarów i złoty wisiołek, zdobiony granulacją. W odległych od Kruszwicy o dziewięć kilometrów Lachmirowicach odkrył magister Zielonko rzeczy, od których Muzeum Pomorskie dosłownie spęczniało. A zatem ta połać kraju w okresie rzymskim przodowała. Potwierdziło się.

Wspomnienia o starych osiedlach potrafią się długo utrzymywać wśród ludności. W tych samych Lachmirowicach, kiedy już zbadano cmentarzysko, trzeba było szukać śladów siedzib mieszkalnych. Kopacze wzięli pod uwagę miejscową tradycję ustną, która wskazywała na wzniesienie nad Gopłem, będące ongi półwyspem. Pagórek ten nosi nawet nazwę Starych Lachmirowic. Wnętrze jego kryło zabytki zarówno z okresu rzymskiego, jak i znacznie starsze, z epoki żelaza.

Badania szeroko prowadzone metodą naukową przekonały nas także i o tym, że nie wolno lekceważyć podań. Mieszkańcy Czerмна w Hrubieszowskim zawsze uparcie twierdzili, że wioska ich stoi na tym samym miejscu, gdzie wznosiło się kiedyś potężne miasto Czerwieńsk. Uczni skreślili z tej nazwy tylko dwie ostatnie spółgłoski. Resztę potwierdzili.

Powracamy do Małopolski, której historia, dzięki archeologom, sięgnęła raptem o dobrych kilka stuleci wstecz. Już zbratała się wiekiem z ptolemeuszowym Kaliszem i zdradza ambitne tendencje do zrównania się z Biskupinem.

W dwa dni po wizycie w Igołomi wyruszyłem do Tyńca. Żałowałem, że i po tamtej stronie Krakowa nie zaczęto jeszcze budować jakiejś Nowej Huty. Wysiadało się z autobusu u stóp bielańskiej Srebrnej Góry i człapało dalej wzdłuż czegoś, co tylko na upartego można nazywać szosą. Wpuszczanie na nią samochodów stanowiło niezbitą dowód rozrzutności naprawdę karygodnej.

Prastara reguła zakonu kamedułów każe budować klasztory w miejscach obdarzonych przez naturę pięknym krajobrazem. Znawcy utrzymują, że wzniesiony w XVII stuleciu erem bielański nie ma sobie równych w Europie. Co prawda, tylko mężczyźni mogą zwiedzać tę jego część, skąd rozciąga się panorama, zupełnie niebywała. Jeśli chodzi o niewiasty, do samej pustelni mnichów wolno wchodzić tylko małżonkom głów koronowanych. Ale przecież i tej reszty wystarczy! Wspaniały kościół o pałacowym frontonie, przyległe podwórza i budowle, słynna studnia na kilkadziesiąt metrów głęboka, wykuta w litej skale. I jeszcze zakrycia akustyczna. Kazano mi tam ustawić się pod ścianą, twarzą do muru. W przeciwległym kącie przewodnik zajął taką samą pozycję i zaczął szeptać. Słyszałem wszystko, jakbym miał głośnik tuż nad czołem.

U stóp góry, dźwigającej ten skarb turystyczny, biegła wyżej opisana szosa.

Kiedy szedłem do Tyńca, było przynajmniej sucho. Za to do Krakowa wróciłem ubabrany w błocie prawie po kolana.

Dziwnie postąpiła sobie przyroda z masywem tynieckim. Sterczy nad Wisłą imponująca skała wapienna. I trzeba dopiero uczonego specjalisty, który rozwieje złudzenia i powie, że ten groźny widok to tylko swoista naturalna dekoracja. Skała stanowi jak gdyby cienki parawan od frontu. Tuż za nią znajduje się czapa lessowa. Na niej, a nie na kamieniu, wznosi się kościół i gmachy klasztorne.

Na lewym brzegu wąskiej Wisły wsiada się do łódki i ma kilka minut czasu na podziwianie skały z powierzchni lustra wody. Sam przez się narzuca się domysł, że osadnictwo nie mogło ominąć tych urwisk i wyniosłości. Tuż powyżej Tyńca widnieją istne wrota, wyraziste, niezwykle malownicze. Rzeka przepływa między dwiema ścianami. Z jednej strony koryta - góra Grodzisko i skała klasztorna, z drugiej - stromy masyw grodziska Piekary. Kto miał te wyniosłości w ręku, ten mógł łatwo zaryglować Wisłę.

W Tyńcu benedyktyni pieczołowicie odbudowywali swój zrujnowany klasztor, a robotami archeologicznymi kierował doktor Gabriel Leńczyk. Trudno było znaleźć bardziej odpowiedniego człowieka do prowadzenia tych niezwykle skomplikowanych prac. Doktor Leńczyk jest spokojny, ścisły, rzeczowy, wcale nie pozbawiony poczucia humoru, a przy tym rozumuje i działa tak jakoś po gospodarsku. Syn ubogiego chłopa z podgórszych stron, o własnych siłach zdobył wykształcenie i pozycję wybitnego uczonego.

Nie miał on w Tyńcu łatwego zadania. Bo nie było tam tak jak w innych miejscach, gdzie kopie się na polu albo w wałach, mając naokoło dużo przestrzeni i względną chociażby swobodę ruchów. Tutaj - na stosunkowo bardzo szczupłym obszarze sześćdziesięciu dziewięciu arów - bada się rzeczy pochodzące z epoki neolitu, a jednocześnie zabytki romańszczyzny oraz gotyku. Pomyślmy jeszcze, że jedno stoi na drugim, przeplata się i wikła.

W podziemiach już odbudowanej partii klasztoru pokazywano mi oryginalną ścianę. Jedna jej część to typowa kostka romańska, tuż obok, dosłownie zrosnięta z nią, cegła gotycka. Od spodu zaś, od spodu - podkreślam - mur z roku 1950.

W XI stuleciu powstał ten klasztor, który tak bardzo zasłynął w legendzie, historii i w literaturze - od *Krzyżaków* Sienkiewicza aż po *Srebrne orły* Parnickiego. Był wiele razy przebudowywany. Stał tam, gdzie poprzednio była siedziba wielmożnego rodu Starzów-Toporczyków, a jeszcze przedtem osada założona w epoce „łużyckiej” i trwająca aż do wędrówek ludów.

Technika pracy doktora Leńczyka wyglądała tak: robiło się wykop, natychmiast wydobywało zawartość, badało, opisywało i rysowało, po czym należało jamę niezwłocznie zasypać, bo w ślad szła odbudowa. Pozostałości „łużyckich” ziemianek odkryto pod wirydarzem klasztornym, resztki obwarowania w klatce schodowej. Nie ulega wątpliwości, że zasięg pierwotnego, romańskiego klasztoru pokrywał się z granicami dawnej osady.

O jakiś kilometr od klasztoru leży wyniosła góra - Grodzisko. Wykryto tam obszerny, siedem hektarów zajmujący obszar obronny. Wały jego długie są na przeszło tysiąc dwieście pięćdziesiąt metrów, ślady zabudowy wnętrza całkiem słabe.

Grodzisko służyło chyba okolicznej ludności jako schronie nie na wypadek wojny. Dlatego pewnie nie było prawie w środku budowli starych. Musiało się przecież zmieścić jak najwięcej ludzi wraz z bydłem i dobytkiem ruchomym. W tym samym czasie istniała osada po przeciwnej stronie Wisły, w Piekarach.

W osiedlu na górze klasztornej znalazł doktor Leńczyk wiele ciekawych rzeczy. Stwierdził

fakt obróbki żelaza i znacznie słabiej rozwinięte odlewnictwo brązu. Natrafił na dowody zajęć rolniczych, łowiectwa, rybołówstwa, jak również tkactwa i garncarstwa. Aż do mojej wizyty nie napotkał jednak ani jednego okazu broni.

Lecz gród tyniecki był niewątpliwie obronny. W klatce schodowej klasztoru udało się ustalić ślad po rowie, który z obydwu stron umacniała palisada.

Dzień, który spędziłem w Tyńcu, nie był zanadto łaskawy dla turystów. We wrześniu przyszyły niespodziewane chłody. W przeddzień spadł w Zakopanem śnieg, ścisnęło kilka stopni mrozu. Porywisty wiatr przejmując zębem i raz po raz napędza zza Wisty deszczowe chmury. Trzępęło nawet parę anemicznych jesiennych piorunów. W krużgankach klasztornych tak to brzmiało, jakby kto na strychu przetaczał puste beczki. Słaba burza. Przypominała jednak, że klasztor tutejszy, ongi bardzo święty, spłonął od uderzenia piorunu. Stało się to 2 maja 1831 roku. Od tej pory gmachy opactwa wyszczerzyły się ruinami. Odbudowę w prawdziwym tego słowa znaczeniu podjęli zakonnicy dopiero teraz, po wojnie.

Doczekaliśmy się pod sam wieczór chwili pogodnej. Od południa skała kończy się cypłem, z lekka przewieszonym nad doliną rzeki. Można tam sobie wygodnie stanąć i obserwować widoki, jeśli się komuś w głowie nie kręci.

Wprost w dole, nadrzeczną ścieżynką, pędzi pastuch stado bydła. Nigdy nie dane mi było oglądać krowy z lotu ptaka, ani się domyślałem, że to taki pokracznie pękaty stwór. To także poniekąd pamiątka po pokoleniach, których dorobek tu opisuję. Już one zabrały się do sztucznego wyolbrzymiania niektórych funkcji natury krowiej, przerobiły zwierzę na żywą wytwórnę mleka.

W górach, w tej stronie skąd Wisła wypływa, deszcz jeszcze padał. Kalwarię Zebrzydowską już było nawet widać. Potem z jasnej od słońca chmury pomału wynurzać się zaczęła Lanckorona. Po chwili dojrzelismy nawet pojedyncze drzewa na jej szczycie. Powietrze staro się przejrzyste, bez odrobiny kurzu.

Bardzo dawno temu, aż w epoce polodowcowej, wszystkie wzgórza wokół Tyńca były wyspami sterczącymi z szeroko rozlanych wód Prawisły. W pionowych skałach podklasztornych i teraz jeszcze znać wyraźnie wypłuczyny.

Nie mogłem się dosyć napatrzeć przerozległej panoramie. Tyle razy wracałem na cypel, że doktor Leńczyk postanowił tu, a nie pod dachem pracowni, dokończyć opowiadania o swoich odkryciach. Beztrosko balansując na krawędzi mówił o wnioskach, do których doszedł.

- Nie wysuwam tego bynajmniej jako pewnika. Stawiam tylko hipotezę, a szerokie badania powinny ją potwierdzić lub obalić. Chodzi mi o to, czy słusznie datujemy kulturę „łużycką” i czy nie trwała ona czasem aż do wędrówek ludów, które spowodowały zmiany. Jeżeli hipoteza moja się potwierdzi, to obraz będzie jasny. Kultura „łużycka” przetrwała aż do czasów, w których sama bezpośrednio stara się podłożem kultury prapolskiej - mówił kierownik tynieckich wykopalisk.

Uważa się obecnie, że kultura „łużycka” zaczęła zanikać w V-IV wieku przed Chrystusem. Jednakże żaden obcy typ nie start jej z powierzchni ziemi. Tylko w krajach sudecko-morawskich, lewobrzeżnych śląskich oraz w południowo-zachodniej Małopolsce ustąpiła ona przed inwazją Celtów, prących z południowego zachodu. Gdzie indziej stara się podłożem kolejnych cywilizacji nie tylko z nią spokrewnionych, ale nawet będących jej bezpośrednim przedłużeniem.

Najbardziej może charakterystyczna mutacja kultury „łużyckiej” zaczęła się bardzo wczesnie kształtować na Pomorzu Kaszubskim. Uczni nazywają ten, typ kulturą „grobow skrzynkowych” albo „urn twarzowych”. O jego właściwościach i tajemnicach zdążymy jednak pogawędzić później, na miejscu, kiedy zawędrujemy do Szczecina. Tutaj tyle tylko wspomnieć wypadnie, że Prapomorzanie, grzebiący swych zmarłych w grobach obudowanych kamieniem i przez to podobnych do skrzynki, pomiędzy 500 a 100 rokiem przed Chrystusem, zdołali podbić i zjednoczyć wszystkie ziemie późniejszej Polski.

Tam jednak, szczególnie na Kujawach i w ziemi chełmińskiej, napotkali inną, już tymczasem wykształconą odmianę kultury „łużyckiej”. Znamy ją znowu dzięki cmentarnym wykopaliskom. W mogiłach z tej epoki natrafiają badacze na popielnice przykryte wielkim naczyniem podobnym do klosza, a odwróconym dnem do góry. Stąd nazwa kultury „grobow kloszowych”. I ona także zalicza się niewątpliwie do arsenału prasłowiańskich starożytności. Ogarnęła bardzo rozległe ziemie - od Dolnego Śląska aż po Polesie, Wołyń i Ruś Czerwoną, mieszając się i stapiając w jedno z napływającymi z północy falami Prapomorzan.

Pora już jednak przypomnieć, że nawet w tych czasach, kiedy kultura „łużycka” rozkwitała najpiękniej, nie wszyscy Prasłowianie hołowali zwyczajowi umieszczania prochów zmarłych w popielnicach. Byli tacy, którzy wsypywali szczątki stosu i spalonych zwłok wprost do jamy grobowej. Zwyczaj ten stopniowo rozpowszechnia się coraz bardziej, aż w końcu osiąga zdecydowaną przewagę. Pomiędzy 250 rokiem przed Chrystusem a samym początkiem naszej ery kultura „grobow jamowych” (u Słowian wschodnich mająca odpowiednik w kulturze „pól grzebalnych”) ogarnia wszystkie dawne ziemie „łużyckie” od

średniej Łaby aż po Wołyń. Dzieli się na dwie grupy: południową - „przeworską”, oraz północną - „oksywską”.

Kultura „grobow jamowych”, wyrosła na podłożu „łużyckim” oraz „kloszowo”-pomorskiej mieszaniny, sama już bezpośrednio się łączy z prapolską cywilizacją wczesnego średniowiecza. Jest arcyważnym łącznikiem pomiędzy dobą budowy Biskupina a okresem utwierdzania się fundamentów państwowości polskiej. Profesor Lehr-Spławiński powiada, że z epoką jej utrwalania się „wiąże się prawdopodobnie także utrwalenie większości starych słowiańskich nazw geograficznych, przede wszystkim rzecznych: należą tu w pierwszym rzędzie nazwy Wisły, Warty, Dunaju, Wdy, Widy, Świdra itp.”

Nauka nie wątpi dziś, że lud kultury „łużyckiej” nigdzie ze swoich ziem nie wyemigrował. Inwazje i zagrożenia zewnętrzne - chociażby ze strony koczowniczych Scytów - mogły przyczynić się do opustoszenia grodów oraz do wydatnego obniżenia poziomu cywilizacji. Lud został na miejscu i wytwarzał coraz to nowe, najzupełniej rodzime typy kulturowe. I w ogóle nie można sobie tego wyobrażać na wzór przedstawienia w teatrze: oto dobiegł końca akt „łużycki”, kurtyna zapada, dzwonek - nowa scena przedstawia okres „kloszowy”. Chyba jednak było inaczej. Poszczególne odmiany „kultur” mogły współistnieć w czasie.

W Tyńcu znowu ujrzała słońce osada uplasowana bardzo oryginalnie pod względem chronologicznym. Siedzi ona jakby okrakiem na cyfrze „jeden”. Początki jej sięgają mianowicie w ostatnie stulecie przed naszą erą - schyłek następuje dopiero w okresie wędrówek ludów. Nie przerwany ciąg osadniczy jest faktem stwierdzonym. Na czapie lessowej, udekorowanej od frontu parawanem skaty, przez te kilka stuleci mieszkało jedno i to samo plemię.

Tutejsze znaleziska - zwłaszcza ceramika - są zastanawiającej natury. Wygrzebano między innymi garnki z Igołomi rodem oraz inne, bardzo do nich podobne. Doktor Gabriel Leńczyk stwierdza też, że mieszkańcy grodu tynieckiego przez cały czas posługiwali się też naczyniami typu „łużyckiego”. W górnych warstwach zaczyna występować obok nich już i odmienna ceramika. Ale wyroby „łużyckie” nieustannie są w użyciu, co świadczy, że i sama kultura była nadal żywa.

Kto wie, czy właśnie na tym wzgórzu nie zostanie odnalezione ogniwo, które posłuży do dodatkowego spięcia w całość łańcucha historii naszych ziem. Biskupińskie budowle obronne - efektowne i mocne wały skrzyniowe - znajdują analogie w czasach znacznie późniejszych. Spotykaliśmy je licznie na ziemiach całej Polski. Wielkie zwały gliny odkopane w Gnieźnie

mogą świadczyć, że i tam istniał ten rodzaj umocnień. Bo w razie spalenia izbic glina waliła się na prawo i lewo, tworząc znaczne usypiska. Słowianie wschodni też radzi budowali wały skrzyniowe. Łątkowo-sumikowa architektura biskupińska też się później jak gdyby odnajduje w wielu miejscowościach, między innymi w tym samym Biskupinie, ale już w XIX stuleciu. Kości zwierząt domowych z Gniezna dostarczyły niezbitego dowodu, że w stuleciach VIII, IX, X, XI i XII hodowano u nas tę samą rasę krów i nierogacizny, jaką znali i „łużycanie”.

To wszystko pozwala snuć bardzo daleko idące przypuszczenia, nie różniące się właściwie od pewników. Bo trudno przecież tylko przypadkowi przypisywać te zastanawiające zbieżności.

Ale jeszcze inaczej - po literacku wyraziście - zacznie rzecz wyglądać, jeśli będziemy mogli stanąć nad Wisłą, na wprost skały tynieckiej, wskazać na nią i powiedzieć, że tu oto kultura „łużycka” pulsowała życiem jeszcze wtedy, gdy koło dzisiejszej Igołomi zakładano w okresie rzymskim okręg przemysłowy. A także wtedy kiedy zaczynały się już kształtować gospodarcze i społeczne podwaliny przyszłego państwa polskiego.

IV

Załamaly się moje plany autorskie co do Polski południowej. Chciałem zacząć od efektownego pieca. A on niespodziewanie odskoczył gdzieś w czas i w przestrzeń.

Pisana historia Małopolski zaczyna się bowiem niemal o wiek wcześniej od wielkopolskiej. Owa pierwsza notatka stanowić miała punkt wyjścia dla rozdziału *Zatarte ślady księcia Wiślan*. Przyszło jednak zaczynać od spraw bez porównania dawniejszych. Teraz dopiero, po zwiedzeniu Igołomi oraz Tyńca, wolno przejść do zagadek IX stulecia.

Wtedy albo na początku wieku X napisany został *Żywot świętego Metodego*, czyli *Legenda pannońska*. Znajduje się w nim taki ustęp: „Miał Metody dar proroczy i wiele spełniło się z jego przepowiedni, z których jedną tylko lub dwie tu wymienimy. Pogański książę, potężny bardzo, siedząc w Wiśle (inna wersja: w Wiślech) urągał chrześcijanom i szkody im wyrządzał. Posławszy więc do niego kazał mu [Metody] powiedzieć: dobrze by było, synu, abyś się dał ochrzcić dobrowolnie na swojej ziemi, bo inaczej będziesz w niewolę wzięty i zmuszony przyjąć chrzest na ziemi cudzej; wspomnisz moje słowo. Tak się też stało.”

Oto tekst niezwykle cennego i całkowicie zasługującego na zaufanie przekazu źródłowego,

który daje świadectwo, że w IX stuleciu istniało państwo Wiślan.

Bohaterem dzieła, z którego pochodził cytat, jest św. Metody, apostoł Słowian, czynny w tym czasie na południe od Karpat. Sławiący go autor w jednym tylko niepotrzebnie przesadził, a mianowicie we wzmiance o darze proroczym. Wcale nie trzeba być Jeremiaszem, by przewidywać wydarzenia polityczne. W danym wypadku, znając działalność, a nawet charakter Metodego, można ryzykować przypuszczenie, że chciał on ostrzec księcia, którego nigdy na oczy nie widział. Radzie mu przyjąć chrzest, czyli pozbawić wroga pretekstu do najazdu.

Można by, co prawda, zgłaszać wątpliwości, czy taka wzmianka wystarcza do uznania teorii o istnieniu państwa Wiślan za realną. Uczeni nie kwestionują autentyczności *Żywota Metodego*, ale bądź co bądź jedna krótka relacyjka, która w dodatku mogła wynikać z zasłyszanych przez kronikarza mętnych wersji albo nawet z jego dobrych chęci i zapału do moralizowania... Nie należy jednak lekceważyć notatki o tajemniczym księciu, zatwardziałym w pogaństwie. Historycy wczesnego średniowiecza bardzo często skazani są na konieczność budowania swych hipotez na takich ułamkowych, skąpych, a czasem i poprzekręcanych wiadomościach. Trzeba przeczytać wznowioną po wojnie świetną książkę Tadeusza Wojciechowskiego *Szkice historyczne XI wieku*, by się przekonać, do jakiego kunsztu interpretowania źródeł dochodzą specjaliści.

Wieść o kraju Wiślan dotarła zresztą nie tylko do uszu żywotopisarza, który odtwarzał piórem czyny i myśli św. Metodego. Również Frankowie wiedzieli w wieku IX, że w dzisiejszej Małopolsce mieszkali „Uuislane”. Słyszał o nich również król angielski Alfred Wielki, panujący od roku 871 do 901.

Ładny zbieg okoliczności! O pięknej postaci św. Metodego wie się w Polsce sporo. A oto, co Andrzej Maurois napisał o Alfredzie Wielkim: „Alfred, jest władcą legendowym, którego legenda jest prawdziwa. Ten człowiek prosty i mądry, wraz żołnierz, żeglarz, pisarz i prawodawca, ocalił Anglię chrześcijańską. Posiada on wszystkie cnoty nabożnych królów bez ich słabości i obojętności na sprawy świata. Jego historia ma coś z baśni czarodziejskiej i rycerskiego romansu” (*Dzieje Anglii*, przekład Wacława Rogowicza).

Wiadomości o Wiślanach doszły do nas dzięki dwóm szlachetnym ludziom. Przypadek tworzy niekiedy obrazy przyjemne.

Król Alfred był nie tyle oryginalnym pisarzem, ile tłumaczem. Od roku 890 do 893 zajmował się przekładem dzieła *Historia przeciw poganom*, które w wieku V, na zlecenie św.

Augustyna, napisał niejaki Paweł Orozjusz.

Zawierało ono tak zwaną „chorografię”, czyli opis znanego podówczas świata. Alfred Wielki przetłumaczył je na angielski i zaopatrzył wiadomościami o krajach położonych pomiędzy Renem a Wisłą.

W kwietniu 1961 roku Państwowe Wydawnictwo Naukowe obdarzyło nas książką, z której może być pod każdym względem dumne. Jest to opracowany przez profesora Gerarda Labudę tom *Źródła skandynawskie i anglosaskie do dziejów Słowiańszczyzny*, będący pierwszą częścią cyklu *Źródła nordyckich*, objaśniających początki państwa polskiego. Jak widać, obietnice poczynione nam dziesięć lat temu przez Kierownictwo Badań są dotrzymywane.

Po raz pierwszy otrzymaliśmy na naukowym poziomie stojące wydanie *Opisu Europy* króla Alfreda (a przy okazji dowiedzieliśmy się, że i na Zachodzie aż dotychczas jest z tym słabo). Oprócz obszernych komentarzy i licznych przypisów mamy fotokopie oryginału, a potem teksty anglosaski oraz łaciński i przekład polski.

Co się tyczy Wiślan, to w rozdziale opowiadającym o krajach, które leżą na północ od źródeł Dunaju a na wschód od Renu, czytamy: „A na wschód od Moraw jest kraj Wisła, na wschód zaś od nich jest Dacja, gdzie przedtem byli Goci.”

W tekście anglosaskim nazwa brzmi „Wisle lond”.

To wszystko! *Opis Europy* jest o wiele wymowniejszy, kiedy chodzi o Wisłoujście, ale ziemiom położonym u źródeł tej rzeki poświęca tylko tych kilka słów. Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby komuś udało się odnaleźć taką samą wzmiankę, odnoszącą się do kraju Warty w IX stuleciu. Ale to są daremne marzenia.

Nie ulegają wątpliwości następujące rzeczy: istniały lud, kraj i państwo Wiślan, a nazwa ta - od X wieku już zupełnie nie używana - pochodzi od miana rzeki.

Kwestią Wiślan zajmował się gruntownie profesor Józef Widajewicz. W 197 roku wyszła w Krakowie jego książka *Państwo Wiślan*, której wywody w drobnej tylko części usiłuję tu przedstawić.

W ślad za dawniejszym badaczem J. Rozwadowskim, profesor Widajewicz zwraca uwagę, że na terenie Słowiańszczyzny są dwa „zwarte terytoria, gdzie liczne obiekty topograficzne noszą nazwę Wisły lub różne odmiany tego wyrazu”. Jeden taki okręg leży w dorzeczu Prypeci, drugi - nas żywo w tej chwili obchodzący - w dorzeczu górnej Wisły. Oprócz Wisły głównej mamy tu przecież jeszcze dwie inne, Polską i Niemiecką w powiecie pszczyńskim. A

dalej jeszcze: dwie Wiselki, Wisłokę, Wisłok, Wisłoczkę, Wisłkę, Wisłoczek, Wiślicę, Wiśliczkę i tak dalej. W okolicach Pińczowa oraz na Podhalu rzeczownik „wisła” występuje jako imię pospolite i oznacza wiosenne wylewy albo po prostu dużą rzekę. To samo w okolicach Kielc, gdzie ponadto jeszcze „wiselka” znaczy źródło.

Te nazwy topograficzne, jak również „specyficzna terminologia wiślana” ludu, wywodzą się od miana Wisły. Trwają sobie w najlepsze aż po dziś dzień i dalej jeszcze trwać będą, podczas kiedy twór polityczny, który kiedyś zaczerpnął nazwę z tegoż praźródła, został zapomniany, a skąpych wiadomości o nim trzeba mozolnie szukać po starych kronikach. Zjawisko charakterystyczne, skłaniające nawet do rozważań historiozoficznych. Ale uczeni od dawna doskonale wiedzą, że największą trwałością odznaczają się nazwy topograficzne, zwłaszcza rzek i w ogóle wód. Na pewno nie ma nikogo, kto by potrafił jednym tchem i bez błędu wymienić twory polityczne, które egzystowały nad Tybrem, odkąd on się tak nazywa.

Wyniki dochodzeń profesora Widajewicza są bogate. Na południu późniejszej Polski istniało państwo plemienne Wiślan. Szczyt jego potęgi przypada prawdopodobnie na sam początek IX wieku, a granice były wcale rozległe. Od południa stanowił je łuk Karpat i Tatr, od zachodu - podnóże Jesionika i Sudetów. Granica wschodnia biegła Styrem i Bugiem aż pod sam niemal Brześć, skąd skręcała w kierunku północno-zachodnim. Należała zatem do Wiślan cała Lubelszczyzna, Radom, Sieciechów, a więc nawet okręgi mazowieckie. Północno-zachodnią rubieżą była Pilica. To jest maksymalny i przypuszczalny jedynie zasięg państwa. Profesor Jan Natanson-Leski kwestionuje tezy profesora Widajewicza i nie sądzi, że Wiślanie władali aż tak szeroko.

Do państwa tego przenikało z sąsiednich Moraw chrześcijaństwo, a sprawa zmiany wiary weszła w fazę krytyczną. Pogaństwo Wiślan dostarczało ich południowo-zachodnim sąsiadom pretekstu do akcji politycznych. Przytoczona wzmianka żywotopisarza św. Metodego świadczy o tym dość wyraźnie.

Okolo 880 roku Świętopełk, władca Państwa Wielkomorawskiego, odznaczający się w ogóle wielką zaborczością, podbił terytorium Wiślan. Rozpoczęła się przymusowa chrystianizacja. Ochrzczony został lud, o czym mówi list biskupów niemieckich do papieża Jana IX z 900 roku. Ochrzczony został także, wzięty w niewolę, książę („na ziemi cudzej”).

Tylko dwadzieścia sześć lat podlegali Wiślanie Wielkomorawianom. W roku 906 Państwo Wielkomorawskie rozbili Węgrzy, a według czeskiego kronikarza Kosmasa, który żył na przełomie XI i XII wieku, do dzieła tego mieli przyłożyć ręki Niemcy i Polacy. Nasuwa się

interesujące pytanie: jacy to Polacy mogli aż tak skutecznie wojować w roku 906? Na pewno nie byli to późniejsi Małopolanie ani plemiona śląskie. Pozostaje jedna możliwość: w rozgromieniu Państwa Wielkomorawskiego uczestniczyli wielkopolscy Piastowie. Profesor Widajewicz domyśla się, że wtedy właśnie, w roku 906, opanowali oni Lubelszczyznę, Sandomierskie, ziemię czerwieńską, bełzką i przemyską.

Jeśli tak było, działał ojciec lub dziad Mieszka I, Ziemomysł albo Leszek.

Piastowie szli z Gniezna najpierw ku Kujawom i Wiśle. Mazowsze opanowali tak wcześnie, że zaginęła wszelka wieść o tym wydarzeniu. Nie ma nawet żadnych wspomnień; nikt i tego naprawdę nie wie, skąd się wzięła nazwa owej dzielnicy. Posiadanie Mazowsza skłaniało do pochodów zarówno w dół, jak i w górę Wisły, stwarzało dogodną podstawę operacyjną.

Wokół tego, co się działo w Małopolsce po upadku panowania wielkomorawskiego, rozwinęła się ostatnio nader interesująca dyskusja. Poglądy dawniejsze wydawały się zwarte i nie pozostawiały miejsca na wątpliwości. Streściłem je w *Świcie*: Wiślanie odzyskali niepodległość, ale nie na długo, bo jeszcze w tym samym X stuleciu dostali się pod władzę Czechów, którą Mieszko I usunął dopiero w roku 989. Ibrahim ibn Jakub zawiadamia w sposób zasługujący na zaufanie, że w roku 966 - gdy Gniezno przyjmowało chrzest - Kraków należał do Czech. Twierdzenia sumiennego podróżnika nikt nie kwestionuje. Spór dotyczy tylko całej reszty.

W 1958 roku profesor Jan Natanson-Leski ogłosił studium *Państwo Mieszka Pierwszego*. Poglądy autora na przeszłość Małopolski różnią się zasadniczo od wszystkich dotychczasowych i są tym cenniejsze, że odosobnione. Jeśli uczony głosi coś samotnie, to trzeba bardzo uważać, pilnie się przysłuchiwać, bo doświadczenie powiada, że z takich sytuacji rodzą się doniosłe odkrycia.

Według profesora Natanson-Leskiego Piastowie - Leszek albo Ziemomysł - po roku 906 zajęli nie tylko Lubelszczyznę, Sandomierskie, ziemię czerwieńską oraz przemyską, ale całą Małopolskę wraz z Krakowem. Tworząca się Polska wchłonęła kraj Wiślan.

Ale Ibrahim ibn Jakub nie skłamał - w 966 roku Kraków naprawdę należał do Czech. Słynny kościół wawelski, rotunda Feliksa i Adaukta, rzeczywiście upamiętnia czeskie panowanie, ponieważ wtedy została zbudowana.

Czesi - twierdzi profesor - pochycili Kraków gdzieś między rokiem 955 a 965, to znaczy wtedy, gdy Mieszko I zwrócił się w kierunku ujścia Odry i zaczął doznawać tam

niepowodzeń w walce z Wioletami. Pochwycili sam Kraków, który był ważnym osiedlem handlowym. Bezludne Podhale ich ani nikogo w ogóle wtedy nie obchodziło.

Mieszko pozornie pogodził się ze stratą, pojął za żonę Dobrawę. Chodziło mu w tym czasie przede wszystkim o rozerwanie przymierza Czechów z Wioletami. Cel osiągnął, mógł dalej działać w kierunku ujścia Odry. Ten twardy człowiek umiał czekać, sobie samemu nakładać hamulce. Ani on, ani jego następcy nie znali samobójczej zasady „wszystko albo nic”.

Kraków do Polski powrócił, ale nieco później. Nie wiadomo, kiedy i jak to tylko wiemy na pewno, że gdzieś między rokiem 981 a 989.

Trzeba jeszcze wspomnieć o ciekawej hipotezie Karola Buczka. Według niego Czesi - widząc beznadziejność położenia - sami zwrócili Kraków Polsce. Dla zachowania pozorów mogli to uczynić nadając gród w lenno młodemu synowi Mieszka i Dobrawy, Bolesławowi. Zostawszy księciem przyszedł Chrobry nie robił zbyt wielu ceremonii z pozorami czeskiego zwierzchnictwa nad Wawelem.

W każdym bądź razie wczesne dzieje Małopolski były urozmaicone i barwne. Zwłaszcza dla tych, co nie zapominają o ludziach, którzy, gdy upadało przed 1500 laty Cesarstwo Rzymskie, zakładali na lewym brzegu górnej Wisty ośrodki przemysłowe i umieli zorganizować życie wokół nich.

Wracając do Wiślan - o ile to możliwe, rzuciliśmy okiem na jedno z prapolskich państw plemiennych. Był to stopień polityczny niższy niż państwo w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, czyli narodowe. Szczebel niższy, lecz do przebycia konieczny.

Potoczne pojęcie państwa plemiennego myli. Bo w gruncie rzeczy wcale nie chodzi o taki twór polityczny, w którym mieszkają członkowie jednego plemienia. Mogło tak być w czasach dawniejszych jeszcze. Ale państwo Wiślan w wieku IX, a pewnie i wcześniej, obejmowało terytorium znacznie szersze od właściwej wiślańskiej ojcowizny, która leży między Bytomiem, Oświęcimiem, Nidą a Dunajcem. Niektórzy historycy nazywają Wiślan po prostu plemieniem krakowskim. Tymczasem stworzone przez nich państwo obejmowało niektóre obszary śląskie, Trenczyn i część ziem mazowieckich.

A więc w tej fazie rozwojowej państwo plemienne oznacza tylko: terytorialnie mniejsze od później utworzonego organizmu narodowego.

Niewątpliwie istniało także plemienne państwo Polan, szczuplejsze od przyszłej dziedziny

Mieszków i Bolesławów. Mamy jednak jeśli nie formalne, to na pewno moralne prawo i we wcześniejszej dobie rozwoju uważać je za Polskę. Nie potrzebujemy czekać z nadaniem tytułu, aż Mieszko I zdobędzie Kraków, Szczecin i Wrocław. Bo już i poprzednicy jego rządili Polską, która, początkowo niewielka, stopniowo jednoczyła plemiona pokrewne Polanom znad Warty.

Co się tyczy Wiślan, to dzięki żywotopisarzowi św. Metodego, królowi Alfredowi Wielkiemu, „Geografowi bawarskiemu” (o którym później), Karolowi Potkańskiemu i Józefowi Widajewiczowi wiemy o nich sporo. Jednego tylko niepodobna odgadnąć. Nikt nie wie, gdzie była ich stolica.

Archeologia spróbowała przyjść historii w sukurs. Ale jesienią 1951 roku najwięksi mistrzowie kopania bezradnie rozłożyli ręce (i rozkładają je aż po dzień dzisiejszy). Nie ma! Na tropy księcia Wiślan nie udało się natrafić.

Szukano w Wiślicy. Sama nazwa kazała bowiem podejrzewać, że to tam właśnie podążyli posłowie św. Metodego.

Podczas mej pierwszej wędrowki po wykopaliskach do Wiślicy nie zająrzałem. W tamte strony nie tak łatwo było wtedy zajechać. Kolej z Kielc do Buska dopiero się budowała, na podróż autobusem trzeba wiele czasu i szczęścia (by się w ogóle do środka dostać). Zanim co do czego doszło, profesor Włodzimierz Antoniewicz zakończył przewidziane na ów rok prace, które dały dużo wiedzy, ale stolicy księcia Wiślan nad Nidą jednak nie wykryły.

Wykopaliska wiślickie obejrzałem dopiero w dziesięć lat później. Opowiem o nich dalej.

Zawiódł również i Wawel.

Wejście na dziedziniec arkadowy oraz on sam wyglądały niezwykle. Drewniana bariera powstrzymywała ciekawych. Wywieszona na specjalnej tablicy trójjęzyczne komunikaty zawiadamiały o treści znalezisk. Gdzież się podziela idealnie gładka, wyżwirowana powierzchnia podwórca? Nierówna, łysa, pofałdowana w obłe wzgórki, żółta jak czaszka kościotrupa skała Wawelu nachylała się gdzieś w głąb, w wykop, który zajmował niemal połowę dziedzińca. Na lewo widać było jakąś kwadratową wnękę, na wprost, pod samymi arkadami, prostopadła ściana odkrywki świeciła różnymi odcieniami brązu i czerwieni. Kolory biegingy poziomymi równoległymi pasmami.

Ruszyliśmy w wykop we dwóch, razem z doktorem Emilem Hachulskim, tym samym, który wkrótce miał się osiedlić w Nowej Hucie i wyrobić archeologom moralne prawa

obywatelskie w tym mieście.

Dziś, po upływie lat dziesięciu, kiedy podwórzec Wawelu znowu jest równy i gładki, trudno mi sobie uprzytomnić, że to ja sam oglądałem jego podziemne tajemnice. A mimo to - nie mogę się zdobyć na przerobienie relacji, na zwykłe zastąpienie czasu teraźniejszego przeszłym. Bo i cóż stąd, że skała ponownie znikła pod żwirem. Przecież ona tam w głębi nie zmieniła przez to wyglądu. Jest właściwie obojętne, że nikt jej w tej chwili oglądać nie może. Więc niech zostanie czas teraźniejszy.

Powierzchnia skały sprawia wrażenie niesamowite. Gęsto w niej czernieją uchodzące w dół otwory, podobne do lejków. Brzegi ich obtoczone, gładkie, przypominają wyglądem zbielełe na słońcu czerepy ludzkie. Są to tak zwane leje krasowe, skutki działania wód atmosferycznych. W nich, wśród piasku i zwietrzliny skalnej, wykryto przedmioty ze starszej epoki kamiennej. A więc licząc okrągło - sprzed stu tysięcy lat. Były to rozmaite narzędzia, jak ostrza kamienne i zgrzebła. Badaniem ich zajął się dyrektor Ludwik Sawicki z Warszawy, specjalista od archeologii czwartorzędu.

Najwięcej lejków w najwyższej części skały, tuż obok kwadratowej niemal wnęki po lewej stronie. Na pierwszy rzut oka łatwo w niej rozpoznać dzieło ręki ludzkiej. Kształt regularny, ścianki pionowe, po pięć przeszło metrów długości każda. Od środka dziedzińca wiedzie w to miejsce coś w rodzaju otwartego korytarzyka, chodnika raczej. Długi na półtora metra i szeroki na metr trzydzieści centymetrów wgłębia się w skałę i kończy trzema schodkami. Widniejące po obu bokach wąskie wcięcia w ściankach świadczą, że były tu kiedyś drzwi.

Stanowi to pozostałość budowli przedromańskiej, prawdopodobnie z X stulecia. Nad tą fundamentalną, w kamieniu wykuta „podmurówką” wznosiły się drewniane ściany. W XI stuleciu strawił je pożar, o czym mówi zaczerwienienie i przepalenie kamieni.

W samym środku wnęki sterczy jak gdyby graniastosłup ziemny, dobrze ze wszystkich stron podparty belkami. Jego górna płaszczyzna znajduje się na równi z powierzchnią rozkopanego dziedzińca. Bo też stanowi jej część, poziomy wycinek. A sam graniastosłup to tak zwany „świadek”, niezbędny element pracy archeologa. Czyniąc wykop, umyślnie pozostawia się słup ziemi w stanie pierwotnym, nie naruszonym. Zawsze lepiej przewidzieć jakąś niedokładność roboty, konieczność sprawdzenia przebiegu tej czy innej warstewki. Gdyby nie „świadki”, kontrola byłaby niemożliwa. Zazwyczaj mają one formę ścianek pozostawionych między sąsiadującymi ze sobą jamami. Jeśli wykop jest szczególnie ciekawy i musi być badany bardzo wnikliwie - puszcza się dodatkowe „świadki” przez środek, na

krzyż. Na Wawelu najwygodniej było nadać „świadkowi” kształt słupa ziemi.

Od szczątków przedromańskiej budowli skała nachyla się gwałtownie. Okazało się, że podwórze wawelskie dopiero w czasach baroku zaczęło być gładkie jak stół. Przedtem było bardzo nawet pochyle. W epoce renesansu nachylenie wynosiło dwa metry na sto, a w końcu XIV wieku trzy na sto. A sama skała? Ta jest już talkiem spadzista: osiem metrów na sto. Fundamenty zamku wcale nie wszędzie spoczywają na niej samej. Wielkie zainteresowanie Kierownictwa Odbudowy budzi czerwona, dobrze w przekroju widoczna warstwa. Stanowi ona poziom dziedzińca renesansowego, który później utonął w ziemi na całych sto czterdzieści centymetrów.

Zaprowadzony przez doktora Hachulskiego na dno wykopu, zyskuję pojęcie o dawnym widoku. Gzy mogłem przypuszczać, że będę patrzył na parterowe kolumny Wawelu niczym na pierwsze piętro? A w tamtej chwili same ich podnóża miałem wysoko nad głową.

W skłonie szarej skały dość obszerne, nieckowate zagłębienie. W XIII stuleciu próbowano zrobić tu zbiornik na wodę. Skałę kruszono łomami. I ot, co znaczy nieuwaga, pośpiech, a może brak doświadczenia. Uderzył ktoś młotem raz czy dwa razy za dużo i już nie zdołał wydobyć łomu ze szpary. Krótkie żelazo utkwilo w niej na zawsze.

Tyle wykryto na dziedzińcu arkadowym. Poza budowlą przedromańską - ani jednej rzeczy starszej niż wiek XIII, XIV. Wyniki ogólne bardzo dodatnie i ciekawe - tylko nie dla badań nad początkami państwa polskiego.

Książę Wiślan na pewno nie mieszkał na Wawelu.

Z drugiej strony wzgórza są co prawda rzeczy nieco dawniejsze. Wygrzebał je jeszcze doktor Gabriel Leńczyk. Od strony Wisły, niedaleko Baszty złodziejskiej, pięć metrów pod powierzchnią znajdowały się resztki podgrodzia. Odkryto szczątki wału ze spaloną palisadą, pokład bierwion, dużo wyrobów i półwyrobów z gliny, kości, rogu i skóry. Niewątpliwie było to osiedle wytwórcze, którego ludność uprawiała między innymi powroźnictwo, tkactwo; rolnictwo, garncarstwo. Fragmentów naczyń było bardzo wiele, wyróżniono dwadzieścia znaków majsterskich, Kilka z nich nigdzie poza Krakowem nie występuje, czyli że warsztaty musiały się znajdować tu. Wspomniane znaleziska pochodzą z czasów od XII do XV wieku.

Archeologia potwierdziła wnioski wysnute z kronik. Kraków zaczął w Polsce piąć się w górę dopiero w wieku X, a zwłaszcza w XI, wtedy kiedy Piastowie wyrzucili z Tyńca zadzierzystych Starzów. A już szczególnie wtedy gdy Kazimierz Odnowiciel postanowił odebrać tytuł stołeczny Wielkopolsce, ogarniętej buntem pogańskim.

Długo gawędziliśmy z doktorem Jerzym Szablowskim, kierującym pracami odbudowy Wawelu. Oprócz niego w skład kierownictwa wchodził profesor Józef Dutkiewicz i Rudolf Jamka oraz inżynier architekt Alfred Majewski. Na Wawelu przyjęto zasadę, że odbudowa kroczy o rok jeden za wykopaliskami, które z samej natury rzeczy muszą stanowić awangardę naukową. Pracami archeologicznymi kierował dawniej doktor Gabriel Leńczyk, potem doktor Andrzej Żaki, a nieco później przeniosła się tu ekipa z Opola profesor Rudolf Jamka i doktor Emil Hachulski.

Rozmowa z doktorem Szablowskim skłoniła do rozmyślań o tym, jak mało przeciętny Polak wie o samym wzgórzu wawelskim. Zwiedzanie polega na dość pobieżnym obejrzeniu katedry oraz komnat królewskich. Potem turysta przysiadła na murku okalającym trawnik, rozgląda się i ani mu do głowy przyjdzie, że cały lekko ku Smoczej Jamie nachylony skłon jest właściwie jedną wielką, całkiem niedostatecznie zbadaną tajemnicą.

Nie zawsze, wcale nie zawsze był Wawel jednolitym wzgórzem, którego obły masyw jak zwarta całość góruje nad miastem. Skała wapienna, stanowiąca jego rdzeń, posiada bowiem dwa szczyty. Pomiędzy nimi biegł wąwóz, który wcinął się w górę od strony dzisiejszego kościoła bernardynów. W jego zapadlinie odnaleziono w swoim czasie szkielet rycerza i wierzchowca. Znalazca zainteresował się jednak tylko osełką, która była przy zwłokach.

Tam gdzie teraz jest trawnik, w średniowieczu leżało całe miasteczko z dwoma kościołami. Resztki jego zburzyli Austriacy. Gruz zużyli na wyrównanie terenu pod symbol i opokę monarchii, sławetny Paradeplatz. Stąd pochodzi mniej więcej gładka płaszczyzna, o której się sądzi, że zawsze istniała. Tymczasem dawniej było tu zupełnie inaczej i doprawdy nie warto wyobrazić sobie postaci Kazimierza Wielkiego na tych samych drózkach, które dziś służą dzieciom krakowskim za pole do harców.

Już pół wieku przeszło temu Tadeusz Wojciechowski twierdził, że egzekucja biskupa Stanisława ze Szczepanowa odbyła się wcale nie na Skałce, lecz tutaj, na Wawelu, pomiędzy katedrą i nie istniejącym już kościołem Św. Michała. Był tam kiedyś mały wzgóreczek, zniwelowany dopiero na początku XIX wieku. Na naturalnym wzniesieniu odbywały się sądy monarsze. Odprawiał je w tym miejscu jeszcze Henryk Brodaty w stuleciu XIII.

Musi upaść, a właściwie już upadło rozpowszechnione mniemanie, że góra wawelska była zawsze tylko siedzibą władcy. Wyobrażaliśmy sobie rezydencję króla, księcia lub ich namiestnika, a osiedla zwykłego ludu koniecznie niżej, wieńcem wokół skały. Tymczasem - niedaleko od Baszty Złodziejskiej można było zajrzeć w głębokie rowy, wykopane przez

doktora Leńczyka. Posiedliśmy dowód rzeczowy, że leżało tam podgrodzie. Mieszkali w nim i trudzili się powroźnicy, garnarze, rolnicy, tkacze, cieśle i myśliwi, którzy jako rzecz mało ciekawą i bezwartościową wyrzucali za wały rogi żubrów i turów, teraz odnajdywane.

A zatem historia Wawelu to nie tylko dzieje polityczne, lecz także gospodarcze i społeczne. Wolno chyba dopatrywać się w tym odkryciu wydarzenia symbolicznego dla naszych czasów, bo właśnie te rozdziały wiedzy w całej Europie awansowały teraz aż do szczybla, który dotychczas stanowił wyłączny przywilej zamków monarszych.

Byłoby zuchwalstwem chcieć w jednym rozdziale książki opowiedzieć o wszystkich tajemnicach Krakowa. Jakie one są i co nas jeszcze oczekuje, zaświadczyły chociażby rewelacje 1960 roku. W podziemiach kościoła Mariackiego odkryto prawdziwy cmentarz, a prócz tego fundamenty dwóch dawniejszych świątyń chrześcijańskich.

Wracajmy więc do pytania, które nas przyprowadziło na wzgórze wawelskie: gdzie więc mógł rezydować tajemniczy książę Wiślan? W Wiślicy nie było żadnych śladów jego zamieszkania, na Wawelu także.

Interpelowany w tej sprawie doktor Gabriel Leńczyk zademonstrował mi wspaniały przykład swej gospodarskiej metody wnioskowania:

- Czemu się pan dziwi, że na Wawelu nie ma? Co to jest Wawel? Uczony chwycił ze stołu arkusz papieru i od ręki nakreślił na nim plan wzgórza. - Łysa skała wapienna i po bokach dwie ławice piasku. Nie można się było tutaj w nic wkopać. A przecież ludzie ówczesni lubili właśnie wgłębiać swoje domostwa w ziemię, bo w ten sposób mieli cieplej. Więc jasne, że trzeba szukać niżej, a nie na skale.

Wyjechałem, nie uzyskawszy odpowiedzi na pytanie o stolicę księstwa Wiślan. Nie mogłem przewidzieć, że Małopolska zdradzi wkrótce takie tajemnice, pokaże takie zabytki, że wobec nich sama kwestia rezydencji monarszej z IX wieku usunie się w cień.

V

Długo zastanawiałem się, do jakiego rozdziału przeznaczyć reportaż z Cieszyna. Brałem pod uwagę następujące względy:

Cieszyn należał do państwa Wiślan. Znajdował się przecież na terytorium szczepu

Goleścyców, podbitych przez księcia, który rezydował w dotychczas nie ustalonym miejscu. Pamiątką po plemienu, co rozplynęło się w morzu ludności polskiej i czeskiej, jest miasteczko w Czechosłowacji - Hradec Golešzycki. Należałoby więc omówić sprawy cieszyńskie łącznie z małopolskimi, godzi się bowiem szanować w tej książce argumenty mchem obrosłe. Nie mogą one jednak stanowić jedyne go drogow skazu. Cieszyn należał do państwa Wiślan. Dobrze. Ale Opole też! Trudno zaś pakować je do tego samego rozdziału co i Kraków. Wprawdzie polskość jednego jest równie stara jak i drugiego, ale - Ziemie Odzyskane. Termin ten co prawda już prawie całkiem wyszedł z użycia, ziemie te są dla nas zwykłymi zachodnimi czy północnymi województwami, ale książka traktująca o sprawach historii musi się liczyć... z historycznymi faktami.

Po rozważeniu wszelkich *pro* i *contra*, biorąc pod uwagę zarówno racje odwieczne, jak i te z doby najświeższej, trzeba się zgodzić na salomonowe rozstrzygnięcie: Cieszyn razem z Małopolską, Opole w opowieści o Śląsku.

Pewnego mglistego poranku we wrześniu 1951 roku stanąłem przed gęstym parkanem ogradzającym szczyt Góry Zamkowej w Cieszynie. Na bramie tabliczka ze srogim napisem, że Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego zabrania wstępu osobom nie zatrudnionym. Namacałem więc w kieszeni papier z podpisami oraz pieczęciami tegoż Kierownictwa i sam sobie uchyliłem podwoi. Na razie nic. Pusto i głucho. Nikt na mnie nawet nie krzyknął. Droga wiedzie pod górę, w kierunku wysokiej czworobocznej wieży i walcowatej formy budynku, wokół którego gęsto oplotły się rusztowania odbudowy.

Są. Widzę je dobrze. Są dwa pochyło ustawione sita. Znaczy, że jesteśmy w domu. Śmiało dalej.

Teraz wyznam, czemu aż tak dokładnie opisuję początek mojej cieszyńskiej wędrówki i dlaczego wspinałem się pod górę z trwogą w sercu. Oto po raz pierwszy zdarzyło mi się trafić na takie wykopalisko, gdzie kierownikiem jest niewiasta. Poradzić sobie z dostojnym profesorem czy dziarskim magistrem płci męskiej - żadna sztuka. Natura przeznaczyła mnie jednak do tej kategorii mężczyzn, która jest bezlitośnie wydana na pastwę niewiast. Gniew ich wzbudza zawsze we mnie strach nieopisany. Przeznaczenie uczyniło mnie Polakiem, a pewien literat powiedział mi kiedyś zupełnie słusznie: „Mój drogi, to tylko na Zachodzie kobiety walczą o równouprawnienie - w Polsce zaś mężczyźni daremnie marzą o jakim takim równouprawnieniu.”

Na dnie wykopu, zajęta rysowaniem, niewiasta w brązowym kombinezonie. Ale jeszcze

nie sama kierowniczką.

Magister Halszka Szołdrska, której artykuł czytałem niedawno temu w czasopiśmie archeologów *Z otchłani wieków*, wychodzi z jamy po desce, wcale mi nie urąga, a nawet obiecuje osobiście zaprowadzić przed oblicze władzy.

Władza, magister Alina Kietlińska, siedzi w lokalu ekspedycji za stołem, ubrana w dwa swetry tudzież robocze szarawary, i zawzięcie skrobie żyłką po papierze z napisem: „pyszczalka - zabawka dziecinna.” Na mój niski ukłon i wyłożenie sprawy, która mnie tu przywiodła, łapie się za głowę.

- Bardzo chętnie - mówi (dodając pewnie w duchu: „Jeszcze i tego dzisiaj akurat diabli przynieśli.”). - Służę wszystkimi informacjami, ale jednocześnie będę dalej robiła swoje. Bo my dzisiaj kończymy kopanie, a za trzy godziny musi nastąpić otwarcie wystawy „polowej”, która ma treściwie zobrazować nasz dotychczasowy dorobek.

No, to w takim razie trafiłem wyjątkowo dobrze. Jutro byłoby już za późno. Bo i same wykopy obejrzyć trzeba, i taka wystawa to też nie byle co.

- Cieszyn - zaczyna Alina Kietlińska - lubi niespodzianki. W zeszłym sezonie znaleźliśmy tu złoty kabłączek skroniowy, drugi tego rodzaju okaz w Polsce. Wie pan, że kabłączki skroniowe...

- Wiem. I to także nawet wiem, że pierwszy złoty kabłączek znaleziono na Lednicy.

- To pięknie. A drugi był tu u nas. A w tym roku pod murem gotyckim... Panie Witku, panie Witku, a gdzie tamte naczynia grafitowe? Były w takiej drewnianej księżni!

- To wiem, ale gdzie ta księżnia? - dolatuje z drugiego pokoju głos pana Witka, czyli Witolda Bendera, asystenta. Czwarty pracownik ekspedycji, Władysław Filipowiak, był tego dnia przypadkiem nieobecny, ponieważ pojechał na własny ślub. W niedalekiej przyszłości miał zasłynąć odkryciami w Wolinie.

- Więc pod tym murem gotyckim, który za zgodą władz konserwatorskich rozebraliśmy numerując kamienie, zupełnie nieoczekiwanie natknęliśmy się na drugi tajemniczy murek. W ogóle Cieszyn posiada problematykę nieco odmienną od reszty stanowisk.

Tę problematykę najłatwiej sobie uzmysłowić, zaczynając od obejrzenia samego terenu pracy.

Szczyt wzgórza zamkowego służy miastu za park. Porastają go drzewa, z których wiele to

bardzo rzadkie okazy krajowej i zagranicznej flory. Z ujętej murkiem krawędzi wyniosłości piękny widok na Czechosłowację.

Graniczna Olza wyschła niemal do dna. Widać, jak po drugiej stronie, na podwórku szkolnym, młodzi obywatele czescy grają w jakąś czeską klipę i wrzeszczą po czesku równie zajadle, jak to zwykli czynić ich rówieśnicy po tej stronie rubieży.

Tam gdzieś, trochę na prawo, leży świetnie zachowane grodzisko, zwące się dzisiaj Podobora. Ale dawna, zanikająca już nazwa brzmi charakterystycznie: Stary Cieszyn albo Cieszynisko.

Wśród cennych drzew cieszyńskiego wzgórza-parku wznosi się wysoka czworograniasta wieża. Można wejść na jej szczyt i ogarnąć okiem olbrzymią polać tej pagórkowatej ziemi, zobaczyć Beskidy i Górę Baranią, skąd Wisła wypływa. Wieża to jedyna już naziemna pozostałość po zamku piastowskim, który istniał i żył aż do końca XVII stulecia, kiedy, w dwa lata po śmierci ostatniej Piastówny, zburzyli go Szwedzi.

Bardzo niedaleko, za ledwie o kilkadziesiąt kroków, jest owa wspomniana już walcowata budowla. Rusztowanie wokół niej zaczęto stawiać w 1947 roku i wtedy też ruszyło archeologiczne kopanie, włączone później w zakres prac „tysiąclecia”. Budowlę tę znamy zresztą z rozmaitych zdjęć i pocztówek sprzed pierwszej i drugiej wojny. Podobna na nich była do banalnego kiosku z wodami mineralnymi. Tak pięknie bowiem odnowili Habsburgowie romańską rotundę, kolisty w planie poziomy kościółek z XI stulecia. Swoisty sposób habsburskiej konserwacji oraz dziwne metody badań specjalistów niemieckich z lat okupacji doprowadziły zabytek prawie do mogiły. Ratunek przyszedł w ostatniej chwili.

Smutne losy rotundy nie są tutaj jedynym dowodem wandalizmu XIX stulecia, które w mniemaniu przeciętnego tradycjonalisty uchodzi za szczytowy moment rozwoju ludzkości. Arcyksiążę Karol Habsburg, w celu upiększenia i ucywilizowania wzgórza, kazał zburzyć resztki piastowskiego zamku, gruzy elegancko wyrównać i pobudować nad urwiskiem sztuczne ruiny. Sterczą do dzisiejszego dnia, stanowiąc jedyny w swoim rodzaju dokument dla historii kultury.

Z łaski Karola Habsburga ekspedycja cieszyńska miała niełatwy chleb. Dokopać się do warstwy kulturowej znaczy tutaj - przebić się najpierw przez gruby pokład rumowiska. Nic zupełnie nie zdradzało dawniej, że pod ścierkami i trawnikami parku kryją się rzeczy dla nauki wprost bezcenne. Trzydzieści ton wczesnośredniowiecznego drewna powędrowało stąd do Opola, do konserwacji. To - tylko do roku 1951!

Prosty, kilkumetrowej długości rów wiedzie od rotundy w kierunku niezbyt obszernych prostokątnych jam. Z jego dna, spod czarnej ziemi, wyglądają grzbiety pociemniałych od wieku belek. Tędy biegła kiedyś uliczka osiedla.

Wykopy główne oglądać można z rozmaitych perspektyw. Jedną ich ścianę stanowi mur romański, a przeciwległa biegnie bardzo oryginalnie, półkolem. Najefektowniej wygląda to ze szczytu wieży piastowskiej. Widać wtedy, że półkole jest tylko wyimkiem wciśniętego jakby w ziemię pierścienia o grubych, masywnych brzegach. Tak wygląda podstawa baszty romańskiej, równie starej jak pobliska rotunda. Istnienia jej nikt się przedtem ani nawet domyślał.

Muszę wyznać, bijąc się w piersi, że zwiedzanie wykopalisk doprowadziło mnie do granic wyuzdanej rozpusty intelektualnej. Przestałem się mianowicie interesować architekturą romańską. Dawniej z nadzwyczajnym zapalem oglądałem przysadziste baszty, absydy i mury. A teraz... przecież romańszczyzny na samej powierzchni ziemi nie tak znowu mało. Można ją podziwiać w Krakowie, Sandomierzu, Czerwieńsku, w Opatowie, a nawet i w Gieczu. Zresztą te kościoły to wiek XI, XII, XIII - nie tak stare rzeczy.

Wykop w Cieszynie - to dopiero ciekawe widowisko!

W ścianach jego bliższych skłonowi wzgórza wyraźnie przebiega falista linia barwy czarnej, podmalowana od spodu ściśle do niej przylegającym pasmem czerwieni. Pozostałość po wczesnośredniowiecznym wale obronnym, który się spalił; wskutek czego warstwa gliny nabrała cynobrowych tonów. Musiała to być chyba znana nam dobrze konstrukcja skrzyniowa, bo nie brakuje charakterystycznego rozsypiska kamieni.

Jeszcze niżej, nad samym już dnem jamy, poziomym i wymiecionym do czysta niczym posadzka salonu, plama ciemnego koloru o spadzistym profilu. Jest to resztką wału jeszcze starszego. Znaleźiska - nieśmiertelne skorupy naczyń - pozwoliły określić jego wiek: IV stulecie po Chrystusie.

- Tutaj w Cieszynie - Alina Kietlińska spokojnie i rzeczowo przerwała moje zachwyty - ujawniliśmy obecność pewnej niewielkiej grupy kulturowej, która obejmowała Beskid Zachodni, a najdalej na wschód sięgała pod Kraków, gdzie natrafił na nią profesor Rudolf Jamka. Otóż zabytki tej grupy pozwalają może datować ją na drugie stulecie...

- Drugi wiek?

- Tak jest. Drugie stulecie naszej ery. Tylko zastrzegam się od razu to jest bardzo

prawdopodobne; ale hipotezę traktujemy ostrożnie. I proszę pana nie ogłaszać tego za pewnik naukowy.

Przyrzekłem magistrowi Kietlińskiej zachować umiarkowanie i powściągliwość, czyli cnoty zasadniczo dość obce literatom. Ale mimo to wolno zestawiać pewne fakty.

Wtedy, we wrześniu 1951 roku, nie mogłem jeszcze słyszeć o odkryciach doktora Buratyńskiego koło wsi Wyciąże ani wiedzieć, jak dyrektor Reyman oznaczy wiek igołomskich dymarek. Okazało się na I-II stulecie. Kalisz nosił swoją obecną nazwę już w I stuleciu. W Cieszynie wydobywa się zabytki, które zapewne też pamiętają czasy Marka Aureliusza. Naiwnym tylko można opowiadać, że to wszystko przypadek, że fakty istnienia na naszych ziemiach tak starych ognisk kultury ludzkiej nie pozostają w przyczynowym związku ze sobą i z tym wszystkim, co się nawarstwiło w czasach późniejszych.

Dopiero patrząc na Cieszyn można było w pełni zrozumieć sens zamierzeń Kierownictwa Badań, które postanowiło sięgnąć o tysiąc lat głębiej niż w wiek X. Bo tu, w Cieszynie, zabytki owego wspomnianego przez Alinę Kietlińską typu kulturowego z pierwszych dwu stuleci naszej ery - zwanego kulturą „puchowską” - nie są jeszcze najstarsze. Reprezentują go ułamki wielkich naczyń glinianych o zgrubiałej krawędzi, tak zwanych zasobnie, miski z krawędzią zagiętą do środka i kawałki naczyń kształtu jajowatego z niezgrabnie rytymi liniami. Pod tym wszystkim znajdowała się jeszcze jedna, najstarsza tutaj warstwa kulturowa. Licząc od góry - siedemnasta z kolei! Jej zabytki to złota moneta celtycka, połowa paciorka szklanego, kamienna podwalina domu, szczątki naczyń czernionych o charakterze późno-„łużyckim” i piękna miseczka z wgłębieniem w dnie, ornamentowana wewnątrz rytymi pasami. A wnioski? Są takie, że najstarszy ślad osadnictwa w Cieszynie datuje się z I stulecia przed Chrystusem.

Tak, problematyka cieszyńska jest nieco odmienna od reszty stanowisk. To nawet od razu widać.

Kiedy przyjechałem, badało się między innymi IX stulecie. Z tych czasów pochodzi nieoczekiwane odkrycie na samym dnie wykopu - bruk, gładka płaszczyzna z kamieni o szarosinej barwie. Inne wieki pozostawiły to, co wyziera z prostopadłej niemal ściany. Końce zwęglonych dyli, krawędzie podłóg, warstwy sprasowanych trzasek. Kolejno odkrywano domy mieszkalne. początkowo budowane na zrąb, potem według metody słupowej. Chałupy łączyły się z ulicą główną - wymoszczoną drewnem - przy pomocy jakby uliczek bocznych, też wykładanych dranicami. Pod klepiskami chat zakładano warstwy izolacyjne z trzasek. A

tamta ot workowatego kształtu plama to przekrój jamy, w której gospodarz trzymał drzewo na opał. Widać półkoliste, dobrze przez ciężar ziemi ściśnięte warstewki narąbanych patyków. Sterczą odziomki słupów, co służyły ongi za podpory strzech. Szare, podłużnie spękane, na oko wydają się miękkie jak gąbka.

Pod tym wszystkim, w odkrywce bocznej, wał z IV stulecia i zabytki od niego nawet znacznie starsze. Powyżej - już na dzisiejszej powierzchni rotunda z XI i wieża z XV wieku. A między najstarszym i najmłodszym z tutejszych zabytków trwa jeden nie zakłócony ciąg rozwojowy. W Cieszynie zdobyto najlepsze, najpełniejsze dowody rzeczowe, że to, co się datuje z IV czy II stulecia, a może nawet z czasów jeszcze dawniejszych, prostą, nie przerwana drogą wjeżdża w historię polską. Prastare warstwy osadnicze stanowią fundament dla rotundy i zamku nie tylko w zwyczajnym, materialnym tego słowa znaczeniu. One stanowią także genetyczną, kulturową podstawę tych historycznych budynków.

Cieszyn jest prawdziwą skarbnicą tego, co szowinistyczni badacze niemieccy określali jako „*Mischkultur*”, czyli rzeczy, których żadną miarą, przy największych nawet wysiłkach, nie można było zaliczyć do „progermańskich”.

Ceramika z okresu wczesnośredniowiecznego jest tu nawet dość trudna do odróżnienia od skorup doby rzymskiej. Są, naturalnie, różnice, świadczące o postępie i ewolucji. Brak zmian gwałtownych, jakichś dodatków obcych. To dowodzi w sposób niezbitą ciągłości osadnictwa. Górę Zamkową zamieszkiwała od czasów najdawniejszych ludność słowiańska, prapolska.

Trzeba zejść ze wzgórza, zwiedzić okolicę jak długa i szeroka, a jeżeli czasu braknie - przynajmniej rzucić okiem na mapę, by zdać sobie sprawę, czemu tu właśnie znalazło się takie skoncentrowane muzeum słowiańskich osobliwości.

Ze szczytu wieży dokładnie widać łańcuchy gór na południu. Na mapie odtwarzają je brązowe, gęsto poziomiami pokreskowane pasma. W północnej stronie mapy bez trudu odnajdzie się płaszczyzny zieleni ożenionej z błękitem. Co one symbolizują, można się przekonać chociażby z okna pociągu, mijającego Pszczynę. Wielkie rozlewiska wodne, szuwały, mokradło, raj dla ptactwa błotnego. Tak zwany „żabi kraj”.

Cieszyn leży na przesmyku pomiędzy pasmami górskimi a obszarem bagien. Istnieje niemal pewność, że stanowił pomost wiodący z Czech do Małopolski. i odwrotnie. Jest tutaj powiązanie w obie strony - w kierunku Krakowa i Pragi. Nie przypadkiem wcale działali w Cieszynie benedyktyni tynieccy. Posuwali się po prostu wzdłuż ważnego szlaku.

Od Przełęczy Jabłonkowskiej i Bramy Morawskiej ciągnie się w stronę Krakowa

oryginalnie wyznaczona trasa. Stróżują nad nią prapolskie grodziska leżące parami i - rzecz znamienna - na skraju płatów gleby lessowej, która zawsze wabiła osadników.

Pod Cieszynem przebiegała jedna z odnóg „szlaku bursztynowego”. Gród wznosi się więc: nad prastarą, nadzwyczaj ważną drogą handlową, nad przejściem, któredy przepływać mogły i musiały nie tylko karawany kupców, lecz także fale rozmaitych, nie zawsze pokojowych pochodów. Jeżeli patrzeć od strony Krakowa, Cieszyn stanowił bastion, wysunięty najdalej na południowy-zachód. Docierać tutaj mogły jeśli już nie uderzenia wielkich potęg zza gór, to przynajmniej nieustanna z ich strony groźba. Bardzo możliwe, że dawał się odczuć napór Imperium Rzymskiego. A w dobie wczesnego średniowiecza z wałów twierdzy może i naprawdę widać było ruchome forpoczty mocarstwa, które świadomie sięgnęło po tradycje cesarów rzymskich.

Einhard, autor dzieła *Żywot Karola Wielkiego*, powiada, że władztwo tego monarchy sięgało aż po rzekę Wisłę. Wymienia ją całkiem wyraźnie, pisząc, że Karol podbił „*omnes barbaros ac feras nationes, qui inter Rhenum ac Vistulam fluvios oceanumque ac Danubium positae*” („wszystkich barbarzyńców i dzikie ludy, które:między rzekami Renem a Wisłą, oceanem i Dunajem leżą”; ocean oznacza tu Bałtyk).

Uczeni, ostatnio profesor Widajewicz, zastanawiali się nad tą dziwną wiadomością. Wnioski są takie: Karol, którego z powodzeniem można by nazywać Słowianobójcą, w roku 789 wojował z zachodnimi Słowianami i dotarł aż do Piany. Według teorii profesora Jana Czekanowskiego upadło wtedy imperium połabskie, z którego pozostały jedynie jego wschodnie przybudówki. Brak podstaw do przypuszczeń, że Karol posunął się wtedy ku Odrze, nie wspominając już o Wiśle. Za to w dwa lata później ruszył z armią przeciwko Awarom, zamieszkałym na terytorium dzisiejszych Węgier. Sam ciągnął od Bawarii wzdłuż Dunaju, natomiast północne skrzydło wojsk, pod wodzą Teodoryka i Meginfryda, szło przez Czechy i tamtędy wracało. Z Czech do Awarów trzeba było koniecznie iść przez Morawy, z którymi bezpośrednio graniczył kraj Gołszyców, obszar dzisiejszego Śląska Cieszyńskiego i Opawskiego. I jeszcze w 805 oraz w 806 roku Frankowie wdzierali się do Czech, poddając je swemu zwierzchnictwu. Podlegały mu również Morawy, o czym wiadomość pochodzi z roku 822. Nie można wykluczyć, że podczas którejś z tych wypraw - może nawet w czasie najpierwszej, w 791 - jedna z kolumn frankońskich wtargnęła do kraju Gołszyców i dotarła do górnej Wisły.

W każdym razie jest poniekąd prawdopodobne, że prastary szlak pod Cieszynem oglądał te same hufce frankońskie, które bijaly Arabów i wprowadzały z powrotem do Rzymu

wygnanego stamtąd papieża. Jeśli tak było - wtedy po raz pierwszy polityczna historia zachodu Europy otarła się o ziemie polskie, z czego jednak nie wynika wniosek, że w naszym kraju nic się przedtem ciekawego nie działo.

Na tym szlaku między Beskidami a „żabim krajem” nie musiało być zbyt spokojnie, jeżeli nawet Frankowie mogli tu zajrzeć. A przecież w krainach podgórskich, ważnych pod względem handlowym, a trudnych do opanowania, nigdy nie brakowało elementów ludzkich, które wysoko cenią pokojowość u innych. Że i tu tak było, dowodzą wyniki obecnych poszukiwań naukowych.

W okolicach Cieszyna nie ma śladów dawnego osadnictwa stałego. Nie warto i niebezpiecznie było budować się w tych stronach. Ludność musiała trudnić się pasterstwem. Zawsze to łatwiej przenieść się w góry i tam szukać schronienia. Nie ma tu charakterystycznych nazw wsi, tych Piekar, Skotników, Bartodziejów, Rybitwów, Grotników, jakich pełno wokół innych starych grodów polskich. Najstarsze sioła pochodzą aż z XIII wieku i zwą się: Radowist, Skoczów, Puńcza, Niemnica, Ogrodzona, Kleczenia. Po polsku, bez wątplenia. Ale w tych nazwach nie odbija się dawny służebny charakter osad.

Życie osiadłe musiało skupiać się przede wszystkim w samym Cieszynie. Na Górze Zamkowej i tam, za Olzą, na Starym Cieszynie, Cieszynisku. Stąd wysoko rozwinięta technika obronna. I stąd możność ustalenia nie przerwanej ciągłości zamieszkania na tej jakby wyspie warownej.

Próbne przekopy pozwoliły ustalić, że z biegiem czasu gród koncentrował się coraz bardziej, skupiając niejako i zwierzał wokół wierzchołka. W najdawniejszych wiekach korzystano z całego wzgórze, w średniowieczu już tylko z jego najwyższej części.

Obywatele dzisiejszego Cieszyna odnoszą się do wykopalisk z uznaniem i zrozumieniem rzeczy. Istnieje Komitet Badań Przeszłości Ziemi Cieszyńskiej, który świadczy znaczną pomoc organizacyjną i finansową. W jego działalności znajduje pewne ujście lokalny patriotyzm cieszyński, uczucie, które w każdym miejscu i czasie wzbudza w piszącym te słowa głęboki szacunek.

Z gorączki prac przygotowawczych wyłoniła się po południu starannie przygotowana wystawa. Energiczny kierownik administracyjny, Jerzy Sikora, sprowadził gabloty aż z Warszawy i nie stłukł ani jednej szyby. Pomieszczone w nich eksponaty, łącznie z treściwymi napisami i doskonałymi zdjęciami, dały możność poznania zasadniczych linii historii Cieszyna.

Dotychczas nie udało się w Cieszynie znaleźć ani jednej siekiery. Wiemy jednakże, jak wyglądały. Odszukano małą siekierkę drewnianą, na pewno wykonaną na wzór prawdziwej.

Dział zabawek reprezentuje ponadto owa piszczałka, wspomniana na początku. Jest drewniana, poczerniała ze starości. Obok - znaleziona w warstwie szesnastej, przedostatniej - malupaśka miseczka z szarej gliny.

Trzeba nareszcie powiedzieć parę słów o kabłączkach skroniowych, których złoty przedstawiciel wystąpił w Cieszynie. Ilekroć archeolog znajdzie w rozkopanej mogile taki kabłączek - wie na pewno, że natrafił na zwłoki Słowianki. Kabłączki wyglądają jak niepełne, otwarte kółka z jednym końcem zagiętym esowato. Bywały lite lub puste wewnątrz. Zdarzały się okazy bardzo bogato zdobione wytłaczanymi motywami roślinnymi lub, rzadziej, zwierzęcymi. Trafiały się, ale zupełnie wyjątkowo, splecione z kilku drucików. Naszywało się je na „czółko” - wstążkę czy pasek skórzany - tak, że zwisały po obu stronach głowy. Stąd nazwa skroniowych.

Obok gablot stoją na podłodze szare bloki rzeźbionego kamienia - głowice i podstawy kolumn z rotundy. Są i kafle, z których jeden nosi wyryte imię Przemysła. Wystawa obrazuje wszak cały ciąg osadnictwa na Górze Zamkowej. Zaczyna się wszystko od ułamków grubych zasobnie, a kończy na zabytkach gotyku i baroku.

Wyników badań nie ukrywa się przed ciekawością profanów, aczkolwiek nie zawsze wpuszcza się ich na wykopy, gdzie jednego kamyka nie wolno ruszyć, zanim się go na plan nie naniosło.

Jeszcze przed otwarciem wystawy poznałem przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, Wincentego Zająca, który od początku świadczy ekspedycji wszelką pomoc, a wtedy zajrzał sprawdzić, jak sprawy stoją i czy nie ma przeszkód.

- Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Cieszyna - opowiadał Witold Bender - natychmiast wystarał mi się o pokój w hotelu, za który nie musiałem płacić. Było to w lecie i wieczorem miałem z okna oryginalny widok na rynek. Wie pan, całkiem jak na Agorze ateńskiej. Obywatele stoją grupkami, rozmawiają, radzą, a między nimi krąży głowa miasta. Z każdym się za rękę przywita, pogwarzy, pogada i rusza do następnej grupki. Bardzo był swojski widoczek.

Podczas słuchania tej opowieści przyplątało mi się komiczne zresztą skojarzenie z przeczytanym u Zofii Kossak opisem zwyczajów któregoś z Piastów cieszyńskich. Władca

ten, jeśli łowami się nie zabawiał i sądów nie sprawował, to do mieszczan w kumy chadzał i rajcował z nimi przy piwie.

Tym miłym obrazkiem zakończyłem dziesięć lat temu rozdział o Cieszynie. Przyznaję otwarcie, nawykowo ulegałem wtedy metodzie dopatrywania się w polskiej przeszłości znamion poczciwej swojszczyzny. Inaczej patrzył na te dzieje współczesny im Jan Długosz. Na dziesięć lat przed datą narodzin historyka przeżył Cieszyn wydarzenie, o które dość lekko i delikatnie zatracił Sienkiewicz w *Krzyżakach*.

Panował wtedy w Cieszynie książę Przemko I zwany Nosakiem. 1 stycznia 1406 roku stracił syna, również Przemka czy Przemysła. Zamordowano go na drodze między Gliwicami a Cieszynem. Zabójców nasłał książę raciborski, Jan; a przywodził im pewien Czech, imieniem Marcin Chrzan. Stary Nosak pochował zwłoki syna w cieszyńskim kościele dominikanów, a potem za ogromną sumę tysiąca sześciuset kóp szerokich groszy praskich kupił Chrzana od jednego z panów morawskich, u którego tamten był dworzaninem.

Sprowadzono Chrzana do Cieszyna pod eskortą sześciuset rycerzy, po czym Nosak - głos ma Jan Długosz - „wobec wielkiego mnóstwa ludu kazał winowajcę wsadzić na konia miedzianego, wewnątrz żarzystym pałającym węglem, i obwozić go po wszystkich ulicach i przedmieściach, i wkoło miasta Cieszyna; po czym trzej oprawcy rozpalonymi kleszczami ciało jego rwali po kawałku, na ostatek wyszarpali z niego wnętrzności... Podobnym sposobem traceni byli współnicy rzezonego Chrzana, jako to Piotr Wątrobka, Jan Trzeciń i inni czterej.”

Nosak zmarł w trzy lata później, a dziedzinę jego objął drugi syn, Bolesław I.

Nie ma powodów do malowania polskiej przeszłości zbyt pogodnymi kolorami. W sam raz pasują do niej zwyczajne, europejskie. Piastowie to dynastia wybitna, ale i straszna.

WAŁY NAD SZPROTAWĄ

I

Niektóre osiedla ludzkie miewają jednak szczęście. Kataklizmy przetaczają się nad nimi, nie naruszając ich uroku. Główne uderzenie kolumn szturmowych pójdzie bokiem, artylerzyści ani lotnicy nie dojrzą celu godnego uwagi i można później radować oko - chociażby widokiem milej parafiańskiej architektury miasteczka Zduny. Pośrodku pochyłego rynku parterowy ratusz z kolumienkami. Od razu widać, że nigdy chyba nie rozstrzygano w nim spraw natury donioślejszej niż powiatowa. Kamieniczki naokoło wąskie, jednopiętrowe, wszystkie niemal muszą pamiętać XVIII stulecie. Tylko dwie czy trzy rażą nowoczesnością kształtów.

Istnieje w naszym kraju nieszczęsna tradycja, która sprawia, że przyjedzie człowiek do jakichś wielkopolskich Zdunów, kieleckich Szczekocin albo innych „ściśle podlaskich” Mord, chodzi po rynku, ogląda to i owo - i marzyć nawet nie może, by się dowiedzieć czegoś pewnego a konkretnego o tych skupiskach autochtonów. Nie ma. Nie ma monografii, popularnych chociażby opracowań, przewodników. Pocztówki z widokami też do znajomych wysłać nie można. Nic nie ma! Aż złość ogarnia na myśl, że przeciętny Polak ciągle miewa okazje podziwiania reprodukcji rozmaitych zagranicznych osobliwości, ale pojęcia nie ma, jak wygląda nagrobek rycerza Pakosława w klasztorze jędrzejowskim, gdzie dokonał żywota najpierwszy literat z naszego plemienia, mistrz Wincenty zwany Kadłubkiem. Czemu nie rozpowszechnia się zdjęć sarkofagu Pakosława, pierwszej u nas osoby świeckiej, a nie koronowanej pochowanej w kościele? Rzeźby, wyobrażającej średniowiecznego woja z XIII wieku, który wbrew rozpowszechnionym mniemaniom wcale Wyrwidęba nie przypominał. Nie był grubokościsty i toporny, ale wręcz przeciwnie - po kobiecemu niemal wysmukły, subtelny i wielkooki.

Opracowania i przewodniki mógłby z powodzeniem pisać miejscowy inteligent, zwłaszcza nauczyciel. Dobra wola nie wystarczy. Trzeba jeszcze warunków pozwalających na luksus pracy bezinteresownej...

Zaraz na zachód od miasteczka Zduny przecina pola mizerny rów. Nikt się nim dzisiaj nie interesuje. Tylko tablica głosi, że przebiega tędy granica powiatów. Dawniej była tu granica

dwu państw.

Jeszcze trochę pod górę, jeszcze jedna wioska i mamy przed sobą ogromnie rozległą poprzeczną dolinę. Bardzo daleko ku zachodowi sinieje jej przeciwległa krawędź, Wzgórza Trzebnickie. Wątpię jednak, czy uda się nam dojrzeć dzisiaj z ich szczytów centrum Dolnego Śląska, górę Ślężę. Słońce jest już nisko nad widnokregiem. Bronujący wieśniak po kolana brodzi w świetlistej chmurce pyłu. Ukośne promienie barwią ją na kolor różowy i złoty.

Dobiega kresu dwudniowa podróż, którą by od biedy można nazwać: „samochodem przez Polskę dzielnicową”. Przecieliśmy po przekątnej obszar dawnej historycznej Wielkopolski. Wczoraj rano oglądaliśmy Tum podłęczycki, jej najdalej na wchód wysuniętą strażnicę. A teraz serpentynami szosy zsuwamy się w dół, ku starej granicy Śląska.

Tuż przed wjazdem na most na Baryczy Aleksander Gieysztor nachyla się ku oknu i wskazuje w lewo. Na grynszpanowej płaskiej łące znajome, łatwe do zauważenia obrzemie. Grodzisko. Pozostałość twierdzy w Miliczu. Zbudowana w X czy XI stuleciu, strzegła bramy wypadowej z Wielkopolski na Śląsk, czyli jednego z dwu naonczas istniejących brodów przez niezgłębione mokradła Baryczy. Jeszcze w XIV stuleciu bulla papieska zowie miasto Milicz „kluczem królestwa polskiego”. Królestwa, które już wtedy nie obejmowało rdzennie polskiego Śląska.

Ziemie plemienne nie przylegały ściśle jedna do drugiej i o granicach w obecnym tego słowa znaczeniu myśleć nie należy. Granica ówczesna to r u b i e ż - szeroki, wydłużony pas ziemi niczyjej, rozdzielający dziedziny plemion... w danym wypadku pobratymczych. Pomiędzy Wielkopolską a Śląskiem rubież zajmowała obszar określony korytami Obry i Baryczy. Z czasem wtargnął w nią magnacki ród Awdanców, rozszerzając władanie państwa Polan.

Trzeba przyznać, że śląsko-wielkopolska rubież to stanowczo najlepsza ze wszystkich granic naturalnych, jakie tylko przecinają wnętrza ziem polskich.

Kiedy wiele tysięcy lat temu kończyła się trzecia faza zlodowacenia, masy wody z topniejących lodowców odpływały na zachód wzdłuż lekkiej pochyłości terenu. Tak została wymyta, wypłukana niecka Baryczy, owa przerozległa dolina pomiędzy Wielkopolską a pasmem Wzgórz Trzebnickich. Piasek i namuł wygładził, wyrównał jej dno. Zmniejszona z czasem rzeka wyrzeźbiła sobie koryto węższe, wijące się środkiem olbrzymiego zakłębnięcia. Lecz nie wszystkie wody lodowców spłynęły. Powstały z nich liczne tutejsze jeziora, wilgocią nasyciły się mokradła. Dzisiaj jeszcze okolice Milicza posiadają szczególnie dogodne

warunki uprawiania tych odmian gospodarki, które w jakikolwiek sposób są związane z wodą.

Do położonego na lewym brzegu rzeki miasteczka bezpośrednio przylega obszerny park. W jego środku, wśród dębów, które na pewno pamiętają czasy Piastów, wznosi się pałac, teraz siedziba PGR, dawniej rezydencja magnackiej rodziny Maltzahnów. Barycz - bystra, o żwirowatym dnie - płynie tuż za parkiem, ujęta w dwie tamy. Brzegi jej wyplecione faszyną. Powietrze ciężkie tu i parne niczym w Jaźni. Gdzieś w niedalekich mokradłach plenią się dotychczas żółwie błotne. Aż do samej wojny dzikie łabędzie wity gniazda po jeziorach tutejszych. Mokry, nasiąkły wilgocią kraj.

Stanowił północno-wschodnią połąć ziem zajętych przez te plemiona polskie, które skupiły się wokół góry Ślęzy. O pochodzenie tej nazwy praźródła miana Śląska - stoczyli uczeni wielką batalię. Niemcy, a z Polaków Aleksander Brückner, wywodzili ją od wandalskiego szczepu Silingów, który miał tu mieszkać w okresie rzymskim. Ten i ów spośród nas pamięta jeszcze hitlerowskie obrazki propagandowe, przedstawiające pragermańskie nabożeństwo. Siwobrody kapłan wznosi ramiona nad płonącym ogniskiem, a na pierwszym planie widnieją szeregi jasnowłosych olbrzymich wojowników. Wiatr malowniczo wzdyma ich płaszcze. Ryciny owe miały przedstawiać szczep Silingów składający ofiary na szczycie Ślęzy, niedaleko od Wrocławia.

Pochodzenie nazwy „Śląsk” jest jednak znacznie mniej romantyczne, walhallowate i nordyckie, za to o wiele bardziej swojskie i ludowe. Wywodzi się ona z pnia śleg- albo śląg-, tkwiącego w takich polskich wyrazach gwarowych, jak: ślągwa (wilgotne, mgliste powietrze), ślegnać (moknąć, nasiąkać wilgocią) prześlągły (przemoknięty). Dawno temu stwierdził to Władysław Semkowicz.

Wrocław odległy jest od morza o setki kilometrów, a klimat ma zbliżony do morskiego.

Wokół góry Ślęzy i nad brzegami rzeki o tejże nazwie mieszkało plemię Ślęzan które już w pierwszej połowie IX wieku posiadało piętnaście grodów obronnych. Że cała kraina odziedziczyła po nim imię Śląska - to jasne. Skąd jednali wiadomość o liczbie warowni? Nie pochodzi ona od współczesnych archeologów, którzy zbadać zdążyli zaledwie część grodzisk dolnośląskich. Zawdzięczamy ją ludziom, co dawno już zbutwieli w grobach, a nigdy w życiu nie pokalali się działalnością naukową.

W rozdziale o księciu Wiślan wspominałem o tak zwanym „Geografie bawarskim”. Utarło się w nauce nazywać tak notatkę z IX stulecia, która krótko, lecz treściwie wylicza rozmaite plemiona polskie, a przy każdym z nich pieczołowicie wyszczególnia ilość twierdz, którymi

dany lud rozporządza. Pisze więc szacowny „Geograf”, że na terenie dzisiejszej Wielkopolski mieszkają Lędzice czy Lędzianie, właściciele dziewięćdziesięciu ośmiu grodów. Ponieważ nazwa ta wywodzi się od „lędów”, bezleśnych przestrzeni nad wodami, wielu uczonych godzi się na utożsamienie tych Lędziców z Polanami znad Warty. Zresztą „Geograf” jest niedokładny, opuszcza niektóre plemiona, nazwy innych przekręca. Pisze na przykład „Golpeani” - kogo mając na myśli: Goplan?

Co się tyczy Śląska, „Geograf” zna tu Ślęzan z piętnastoma grodami, Dziadoszyców i Opolan mających po dwadzieścia warowni, oraz Golęszyców kontentujących się skromną liczbą pięciu fortec. (Tak zwany „Dokument praski”, napisany w roku 1086, a odnoszący się do stosunków z IX i X wieku, potwierdził te nazwy, a ponadto wymienił Bobrzan i Chorwatów, nie podając jednak ilości ich osiedli; mówił również o Trzebowianach, ale obecnie specjaliści uważają, że nie należy ich łączyć z Trzebnicą, ponieważ chodziło o plemię czeskie, zamieszkałe wokół Trzebowy.)

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że notatki „Geografa” opowiadają po prostu o małych państewkach plemiennych, które na sto lat z okładem przed Mieszkiem I egzystowały na Śląsku. Mamy więc do czynienia z rangą polityczną jeszcze niższą niż państwo małopolskich Wiślan.

Różnica rangi polega tu oczywiście na niejednakowej rozległości obszarów władania. Bo państwo plemienne - powtórzmy - to tylko umowny termin, nazwa, nie zaś treść, oznaczająca wspólne pochodzenie mieszkańców. IX stu-lecie zupełnie już niewiele miało wspólnego z dawnym ustrojem wspólnoty pierwotnej. Wskutek znacznego rozwoju gospodarki, możliwości wybicia się jednostki organizacyjnej mniejszej niż ród, stare formy uległy zupełnej odmianie. Zamiast więzi rodowej mamy już naówczas do czynienia z więzią terytorialną. U nas taką jednostką organizacji terytorialnej było o p o l e - u Słowian wschodnich m i r lub w i e r w - czyli wcale znaczny szmat ziemi zajęty przez gospodarstwa rodzinne, z których każde miało rolę na własność. Wspólnemu użytkowaniu podlegały tylko lasy, wody i pastwiska.

„Geograf” zapisał „*Opolini habent civitates XX*” - Opolanie mają dwadzieścia grodów. Z tego - oprócz wiadomości o sile państewka - wysnuć jeszcze można dodatkowy wniosek. Bardzo już dawno wspólnota pierwotna ustąpić musiała u nas terytorialnej, skoro powszechna nazwa jednostki organizacyjnej „opole” w jednej części Śląska zdążyła się przesunąć na całe państewko, a zapewne i na jego stolicę.

Notatki „Geografa” sporządzane jednak były wcale nie po to, aby przyszłe pokolenia

Dziadoszan czy Słężan miały skąd czerpać wiadomości o swych przodkach. Frankońskiemu pisarzowi - bo notatka powstała na terytorium państwa Franków - przyświecał cel zgoła praktyczny. Jak już wiemy, w końcu VIII i na początku IX stulecia wojska Karola Wielkiego dotarły aż do naszych ziem lub w ich pobliżu. Towarzysze legendarnego Rolanda poili konie w Pianie, a nie jest ostatecznie wykluczone, że i w górnej Wiśle. Z wypadów przywieziono nad Ren liczne pewnie wieści o ludach mieszkających jeszcze dalej na północ i wschód. Wiedzę tę nie tak znowu trudno było w określonym zamiarze pomnażać. Można było wypytywać kupców, ludzi bywałych, albo nawet wysłać jednego i drugiego umyślnego (Alfred Wielki robił to w celu zbierania danych geograficznych, podobnie mogli postępować Frankowie w innym zamiarze). W rezultacie powstał „Geograf bawarski”, który - jak się domyślał profesor Widajewicz - był podsumowaniem działalności frankońskiego wywiadu wojskowego.

Dokument spisano zaraz po traktacie w Verdun, zawartym w roku 843. Nie doszło do dalszych wypraw frankońskich w kierunku Wisły, a tajny zapewne zbiór wiadomości przydał się bardzo, lecz dla celów naukowych, czyli najdoskonalej obojętnych tym, co je zbierali. O losach Śląska w wieku IX nie wiemy nic, o stuleciu X mało pewnego. Być może, kraj dostał się pod panowanie Wielkich Moraw, a potem Czech. Polska wcześniej objęła go w posiadanie, ale - kto działał w jej imieniu? Mieszko I czy jego ojciec?

Profesor Natanson-Leski stanowczo utrzymuje, że Śląsk w ogóle nigdy do Czech nie należał, a „podbój piastowski musiał mieć miejsce przed Mieszkiem. Nic nie przeszkadza widzieć w nim dzieło ojca Mieszkowego, Ziemomysła...”

Odnosi się to do wieku X. Poszukiwania archeologiczne prowadzą do wiedzy o znacznie dawniejszych rozdziałach historii śląskiej.

Tak się niefortunnie składa, że w dalszym ciągu tego rozdziału mówić mi wypadnie o rzeczach, których nie widziałem. Biję się w piersi i wyznaję ze skruchą. - nie byłem na Śłęży. Imponujący jej kontur podziwiałem z daleka, z okien autobusu pomiędzy Wrocławiem a Niemczą. Zaraz potem wiatr nawiał mgły, brzuchate chmury pojawiły się nisko i już w żaden sposób nie można było dojrzeć masywu świętej góry Śląska.

Wprawdzie państwo Helena i Włodzimierz Hołubowiczowie namawiali renie gorąco do wyprawy, ofiarowywali się jechać razem, ale nie mogłem skorzystać z ich uprzejmości. W zapale zwiedzania, gdzieś w wielkopolskich jamach i wykopach, nadwerzężyłem bowiem tego nogę, a na Śłężę bitych siedem kilometrów drogi pieszo. Przyszło podziękować i poprzestać

na bardzo ciekawych opowiadaniach profesora Hołubowicza.

Żadnego śladu pobytu Silingów nie wykryto na Ślęży. Stwierdzono całkiem co innego. W V stuleciu przed Chrystusem na tym szczycie istniał gród Kultury „łużyckiej”, silnie obwarowany wałem z gładów. Groty strzał scytyjskich, tkwiące w jego skłonie, świadczą o zasięgu zagonów koczowników. Ostrza te miewały w bokach otworki specjalnie wywiercone i wskutek tego, prując powietrze, wydawały przeraźliwy gwizd. Kto żyje z najazdów, ten dba o technikę wojenną.

Na Ślęży i w jej bezpośrednim pobliżu znajdują się słynne monumentalne rzeźby. Jest „panna z rybą”, dwa „niedźwiedzie”, „mnich” koło wsi Garncarska oraz inne. Zbadanie materiału, z którego je zrobiono, prowadzi do zastanawiającego wniosku. Kamień pochodzi z samej Ślęży. Można to stwierdzić z całą pewnością, bo góra składa się z granitu i skały gabro. Na ich styku występuje oryginalna formacja - granit z mikroskopijnymi ziarenkami granatów. To on posłużył nieznanym rzeźbiarzom, którzy na każdym ze swych dzieł umieścili skośny krzyż, podobny trochę do krzyża św. Andrzeja. Znak taki figuruje i na niedźwiedziach, i na panie z rybą, i na „mnichu”, czyli kręglowatej rzeźbie, całkiem niesłusznie tak nazwanej. Na tym ostatnim istnieją zresztą dwa krzyżowe naciosy, ulokowane bardzo dziwnie. Jeden więc na „ciemieniu” posągu, a drugi na podstawie, odkopanej niedawno, i to od strony ziemi.

Ślęża to ośrodek pradawnego kultu, którego tradycje sięgają może nawet młodszej epoki kamiennej. Rzeźby pochodzą z czasów pogańskich, a krzyże na nich, których jest ogółem piętnaście, są znakami magicznymi, nie posiadającymi żadnego związku z chrześcijaństwem, skoro powstały przed chrztem Polski, a może nawet przed Chrystusem. Wysuwano hipotezę, że posągi datują się z doby kultury „łużyckiej”. Ale wielka doskonałość wykonania każe się raczej domyślać, że twórcami byli Celtowie, którzy bezpośrednio stykali się ze światem starożytności klasycznej, gdzie mogli się nauczyć kunsztu rzeźbiarskiego. Krzyżów na „mnichu” nie wyrzeźbili katolicycy zakonnicy, jak głosili badacze niemieccy. Bo i po co mieliby je ryc na szczycie figury i na jej podstawie, czyli tam, gdzie ich żadne oko nie dojrzy? Takie praktyki byłyby u chrześcijan czymś niezrozumiałym.

Badając Opole, wykrył później profesor Hołubowicz wśród zwalisk drewnianego domostwa małą figurkę magiczną. Był to konik wyrzeźbiony ze zwykłej kory, lecz z oczkami inkrustowanymi srebrem. Srebrna również była taśma, opasująca pierś. Po zdjęciu jej przekonano się, że zakrywała taki sam ukośny krzyżyk, jaki znaczy olbrzymie rzeźby ze Ślęży.

Konik z kory jest od nich młodszy o szesnaście wieków, licząc okrągło. Pochodzi z XI stulecia, a one przypuszczalnie z V przed Chrystusem. Pomimo tak ogromnego upływu czasu, utrzymała się tradycja rycia ukośnego krzyża i ukrywania go przed okiem ludzkim. Przekazywać ją sobie mogły chyba tylko pokolenia jednej krwi, dziedzicznie osiadłe na tej samej ziemi.

W dobie kultury „łużyckiej” zawładnął zapewne Ślężą jeden z okolicznych rodów prasłowiańskich. Sama natura czynna to miejsce czymś nadprzyrodzonym w oczach ludzi ówczesnych. Szczyt Ślęzy o całych siedemset metrów góruje nad okolicą. Opanowanie ośrodka kultu musiało potężnie wzmacniać znaczenie rodu. I tak oto dotknęliśmy nadzwyczajnie ważnej fazy historii, zwanej zazwyczaj okresem rozkładu wspólnoty pierwotnej. Rozsadzały ją doskonalące się procesy gospodarcze, dzięki którym zwiększały się różnice majątkowe. Ród, który podporządkował sobie Ślężę, posiadał dodatkowe źródło siły, przewagi nad innymi.

W 1955 roku zespół wrocławskich archeologów pod kierownictwem profesora Hołubowicza przystąpił do badań na pobliskiej Ślęży górze, która dzisiaj nazywa się bombastycznie Sępią, aczkolwiek z wszelką pewnością wiadomo, że w XIII wieku występowała w dokumentach jako Radunia. Jeszcze za niemieckich czasów zwrócono uwagę na dziwny nasyp kamienny, który długim na dwa kilometry owalem opasuje południowo-wschodnie łagodne zbocze Raduni w pobliżu jej szczytu. Profesor Lustig uznał go za pozostałość po wale obronnym. Według niego miała się tam chronić w razie niebezpieczeństwa ludność nizin. Diagnoza powyższa pochodzi z roku 1905. Na rewizję należało poczekać pół wieku.

Nasi archeolodzy doszli do wniosku, że nasyp ów nie mógł służyć celom wojennym. Był na to za wąty, a ponadto leżał poniżej szczytu, więc napastnik widziałby, co się dzieje wewnątrz umocnienia, i posiadałby od razu decydującą przewagę. Tajemnicze pasmo kamiennego rozsypiska to ślad po kręgu kultowym, który opasywał wyniosłość, poświęconą bogom. Znalezione skorupy w większości pochodzą z doby kultury „łużyckiej”, lecz są także i znacznie późniejsze, bliskie początków naszej ery. Jest bardzo prawdopodobne, że bożyszczem odbierającym cześć na Raduni było słońce.

Także pierścień magiczny opasywał zapewne i wierzchołek Ślęzy. Ale tam zniszczono go w średniowieczu, zabierając głązy na budowę wału naprawdę obronnego.

Wiara pogańska mocno była zakorzeniona na Śląsku, skoro wziął on tak żywy udział w

buncie pogańskim XI wieku. We Wrocławiu nic nie ocalało z najstarszej katedry, a przynajmniej niczego dotychczas nie odnaleziono. Biskup tamtejszy musiał uchodzić ze swej stolicy i szukać schronienia w Smogorzewie i Ryczynie. Wiele grodów i podgrodzi na Śląsku padło wtedy ofiarą pożaru, co by mogło dowodzić, że zostały zdobyte przez powstańców, a więc - stawały im opór. Wśród innych osiedli spłonęło wtedy Opole, typowe miasto, w którym żadni wielmoże nie mieszkali. Niczego nie należy upraszczać w historii. W świetle faktów ujawnionych przez archeologię sprawa buntu pogańskiego przedstawia się w sposób skomplikowany. Zapewne i wśród prostych ludzi nie brakowało takich, którzy stanowczo woleli ład zaprowadzony przez Piastów od chaosu i bezpańskiej swobody.

Bunt pogański niewątpliwie ułatwił Brzetysławowi I urzeczywistnienie jego zamiarów. W 1039 roku Śląsk został od Polski oderwany i przez następne dwadzieścia jeden lat pozostawał pod władzą czeską.

Wszystko, o czym się dotychczas opowiadało, świadczy, że już w pradawnych czasach Ślęza i zamieszkałe wokół niej plemię Ślęzan były ośrodkiem, przy którym ogniskowało się życie tej połaci Polski. Północną jej rubież, dolinę Baryczy, przekroczyliśmy niedawno. Od wschodu odgradzała Śląsk właściwy od Opolszczyzny trudna do przebycia puszcza, zwana Przesieką. Na południu mamy pasma górskie. Próbujmy zatem szukać rubieży zachodniej.

Wśród wielu dolnośląskich zagadek, które ciągle rozwiązują archeologowie i historycy, jedna szczególnie podnieca fantazję. Na południowy zachód od Zielonej Góry, po obu brzegach Bobra, w kierunku na Krosno, ciągnie się linia dziwnych szczątkowych wałów. Nie jest to pasmo jednolite. Gdziegdzie ginie, zniszczone przez czas i uprawę roli. W innych miejscach zaznacza się zaledwie niewielkimi wybrzuszeniami terenu. W innych znów do dziś jeszcze wyraźnie widnieje szeroki na czterdzieści pięć metrów pas trzech równoległych fos i trzech ziemnych nasypów. Dało się ustalić, że niegdyś wały te posiadały łączną długość stu przeszło kilometrów.

Niektórzy u nas zowią je Wałami Chrobrego. Niesłusznie, aczkolwiek na pewno widziały one wielkiego króla. Bo na samej niemal ich linii leży Iłwa, przez którą w roku 1000 uroczyście wkraczał do Polski witany przez Chrobrego Otto III.

Wały te na pewno są starsze od Chrobrego. Nie im też należy się sława, którą cieszyły się zasieki tego monarchy, zagrządzając wojskom cesarskim drogę w głąb Polski. Niektórzy niemieccy specjaliści utrzymywali, że twórcą wałów był osławiony margrabia Gero. W takim razie miałyby one osłaniać jego podboje od wschodu.

W 1949 roku dwie ekspedycje badawcze obejrzały tajemniczy obiekt, a w samych początkach 1951 ukazała się - wykonana na zlecenie Kierownictwa Badań - niewielka, lecz świetna praca doktora Ryszarda Kiersnowskiego: *Wały śląskie*. Problem uzyskał nowe, moim zdaniem, nader interesujące oświetlenie.

Tęgo się musieli Praślązacy utrudzić, zanim wzniesli swoje wały. Grzebień ich wieńczył chyba musiał częstokół lub inna przeszkoda z drewna. Ale tego nawet nie warto brać w rachubę. Samej ziemi poruszyć tu wypadło siedemset pięćdziesiąt tysięcy metrów sześciennych! Jednakże potężna linia obronna w żaden sposób nie nadawała się na prawdziwą zaporę dla silnych wojsk, które mogły ją złamać w każdym wybranym przez siebie punkcie, i to bez szczególnego wysiłku. Zaludnienie było wtedy rzadkie, nie istniała więc możliwość obsadzenia załogą całej stukilometrowej długości wałów. Obrona ruchowa? Skupienie rezerwy strategicznej, którą się rzuca na punkt zagrożony? Przy ówczesnym stanie komunikacji i środków łączności rzecz niemożliwa. Zanim piesi woje dobiegliby z wywieszonymi jęzorami do miejsca odległego może o kilkadziesiąt kilometrów, nieprzyjaciół dawno by przeszedł. Tak więc temu, kto musiał myśleć o szerokich operacjach wojennych, budowa wałów nie opłacała się wcale. Znacznie lepszą zasłoną była gęsta puszcza, rosnąca tuż po ich zewnętrznej, zachodniej stronie. Ona naprawdę wiązała ruchy poważniejszych jednostek wojskowych.

Ale jeżeli w głąb Śląska zmierzał mały oddziałek, słaba wataha łupieżcza? Dla niej wszystko było akurat odwrotnie. Przez las przepchać się mogła bez trudu, za to z wałem kłopot: bo i sił za mało, by go przerąbać, i ryzyko spotkania ze strażą... A jeśli nawet udało się przedostać - to zawsze jeszcze można dopaść takiego, co obciążony kupami lezie przez wał z powrotem.

Wały śląskie, ciągnące się wzdłuż zachodniej granicy ziem plemienia Dziadoszyców, grały rolę zasłony przed grabieżczymi napadami plemion, które mieszkały dalej ku Łabie. A więc nie przed cesarzem, lecz przed słabymi szczepami słowiańskich Serbów połabskich.

Czyżby jednak nieliczne plemię Dziadoszyców samo zdołało wznieść aż tak poważne umocnienie i dlatego troszczyło się tylko o obronę od zachodu. Wziąwszy wszystko pod uwagę doszedł Ryszard Kiersnowski do przekonania, że Wały mogły być dziełem organizmu państwowego, który jednoczył ongi cztery plemiona śląskie.

Stoimy wobec rewelacyjnego domysłu. Nie znamy ani charakteru tego domniemanego państwa, ani doby jego powstania. Mogło się sformować po roku 906, to znaczy po

oswobodzeniu się Śląska spod władzy wielkomorawskich Mojmirowiców (jeżeli taka władza w ogóle kiedykolwiek tu była). Ale równie dobrze mogło istnieć już w wieku IX czy nawet VIII. Nie wszyscy nasi historycy podzielają pogląd doktora Kiersnowskiego.

Bardzo poważni uczeni stanowczo zaprzeczają istnieniu jakiegokolwiek organizmu państwowego, jednoczącego plemiona śląskie. Przyznaje się tylko, że już w pierwszej połowie IX wieku, w czasach opisywanych przez „Geografa bawarskiego”, każde z tych plemion tworzyło państewko dla siebie.

W każdym razie - przypomnijmy sobie losy Wiślan. Małopolska przeżyła rozdział dziejów, który nazywamy dobą państwa plemiennego. Wiślanie zjednoczyli pod swą władzą mieszkańców wcale rozległej krainy. Podlegali im przecież i Goleńczyce, i Opolanie, i nawet część Mazowszan. Podobne zjawisko państwa plemiennego znało Pomorze, a może i Mazowsze. Dlaczegoż z tej tendencji miałby być wyłączony Śląsk, w którym od razu wskazać można ośrodek organizacyjny: górę Ślężę i plemię Ślęzan. W czasach późniejszych, o których opowiadają kroniki i dokumenty, Śląsk w granicach państwa polskiego tworzył region o zdecydowanie indywidualnym obliczu. Umiał w zastanawiający sposób łączyć wierność wobec narodowej, dopiero się tworzącej całości z tradycyjnym umiłowaniem ojcowizny. A zawsze sercem jego był Wrocław, niewątpliwa chyba stolica dawnych Ślęzan.

Historia wszystkich niemal prapolskich państewek rozmaitej rangi jest urwana, pozbawiona ostatniego rozdziału. Żadnej z nich nie wieńczy dzieło stworzenia państwa narodowego. Żadnej - z wyjątkiem plemiennego państewka Polan znad Warty, które, być może, odziedziczyło cenny spadek umiejętności politycznych po imperium połabskim. Gniezno wygrało wyścig. Ono, nie zaś Ślęza czy nie wykryta dotychczas stolica księcia Wiślan, stało się czołem całej ziemi polskiej. Nie ma w tym przypadku ani ślepej gry sił. Nawet jeśli się nie uzna za słuszną teorię profesora Czekanowskiego o poważnej roli Połabian.

Wielkopolska była najlepiej zewsząd zasłonięta od wrogów naprawdę zewnętrznych. Posiadała ochronę stokroć lepszą niż wszelkiego rodzaju wały. Na zachód od niej, za Odrą i aż ku Łabie, leżały ziemie innych Słowian zachodnich. Znamy ich trzy grupy: serbską - pomiędzy Soławą a Śląskiem, obodrzycką - między dolną Łabą a Bałtykiem, oraz wielecką - od Łaby do Odry. Do tej ostatniej zaliczało się niewielkie plemię Sprewian, którzy mieszkali w okolicach dzisiejszego Berlina. Tamci Słowianie też tworzyli związki państwowe, którym nie dane było ostatecznie okrzepnąć. Karol Wielki zadał im pierwsze ciosy. Obodrzyców i Wioletów podbili Niemcy, lecz dopiero w XII stuleciu.

Plemiona Słowian połabskich, których już nie ma, odegrały wielką i twórczą rolę dziejową. Zasłoniły samo serce Słowiańszczyzny. Dały pobratymcom ze wschodu możliwość i czas utworzyć państwo i naród.

Podobnie - do pewnego stopnia - kształtowały się losy rozmaitych państweczek na Śląsku, w Małopolsce, na Pomorzu i Mazowszu. Krainy te powstrzymywały sobą najazdy Morawian, Czechów, Prusów, Litwinów, nawet Niemców i Normanów. Za ich plecami książę gnieźnieński udoskonalał organizację swojej dziedziny, budował coraz to mocniejsze grody, coraz lepsze przekładki i izbice. Nie bez tego oczywiście, żeby go tam raz i drugi Pomorzanie nie zaniepokoił. Czasami mogli go bardzo nawet nie kochać, ale nie to rozstrzygało o przyszłych kolejach historii. W ostatecznym obrachunku właśnie państwo Polan znad Warty uratowało od zagłady resztę plemion zachodniosłowiańskich, mieszkających na północ od Karpat.

II

Obnażone, martwe fundamenty kościoła Św. Marcina stanowią zachodnią ścianę jamy. Jej bok południowy to mur wypalonego domu. W głąb schodzi się po betonowych schodkach byłej piwnicy. Pracuje się pod gołym niebem, w podziemiach nie istniejących budowli. Naokoło szczyrby zwalisk, a gdzie są między nimi luki, tam pieni się bujna, zdziczała zieleń krzewów.

Wykopy wrocławskie na Ostrowie Tumskim zostały dosłownie wkliniwane między ruiny.

Poszukiwania zaczęto wokół spalonego kościoła, który był kiedyś świątynią zamkową, a genealogię ma bardzo starą. W 1155 roku wspominał o nim w swej bulli papież Hadrian IV. Plan Ostrowa Tumskiego zdradzał zastanawiające rzeczy. Uliczki biegły wokół kościoła owalem. A przecież zdarza się nieraz, że nowoczesne miasto trzyma się schematów odziedziczonych po epokach bardzo odległych. Tak - i to bardzo wyraźnie - jest w Miliczu oraz w Kaliszu. W samym Krakowie charakterystyczny kształt ulicy Grodzkiej pozwala odcyfrować zarys dawnego rynku sprzed lokacji miasta „na prawie niemieckim”. Zaraz za placem Dominikańskim i Wszystkich Świętych, za pomnikiem nasepionego Dietla, ulica rozszerza się, wyraźnie widać cały masyw kościoła Św. Andrzeja. Tu był dawniej rynek miejski.

We Wrocławiu przypuszczano, że wschodni mur kościoła Św. Marcina znajduje się na samej krawędzi obwarowań grodu piastowskiego. Domysły zawiodły, bo w jednym miejscu mur zachodzi na krzywiznę wału. Dotychczas nie rozstrzygnięto kwestii wieku tego ostatniego. Nie wiadomo, czy szczątki fortecy liczą sobie bez mała lat tysiąc, czy też zaledwie dziewięćset. Ceramika każe się jednak domyślać, że budowano w X wieku.

Od dołów pod fundamentami kościoła Św. Marcina można przejść w lewo, pod zwaliskami bramy, ku dalszej części odkrywek. Pomiędzy pniami drzew przebłyskuje wartko ciekący nurt Odry. Za rzeką sylweta prastarego kościoła Najświętszej Marii Panny na Piasku.

Rów tutaj bardzo głęboki, o spadzistych zboczach. Istny wąwóz, prostopadły do rzeki, Po trosze przypomina jednak roboty kanalizacyjne, bo sam spód oszalowano deskami. Między nimi matowe pasemko wody. Usuwa się ją pompami, ale mato to pomaga: Dawniej poziom Odry był niższy o całe sto siedemdziesiąt centymetrów. Stale więc przecieka i zakrywa odkopaną zewnętrzną stopę wału.

Aleksander Gieysztor każe mi stanąć obok i pilnie uważać. Sam bierze do ręki kawał deski i zaczyna pomału, ostrożnie - by nie zmać - odgarniać opalizującą warstewkę pyłu, co pokrywa nieruchomą taflę. Kiedy ustało lekkie falowanie powierzchni, zobaczyłem. Mętny, zatarty, ale niewątpliwy zarys drewnianego haka. Takiego samego jak tamte z Ostrowa Lednickiego, Gniezna czy Poznania.

Fortyfikacje wrocławskie nie są zatem pozbawione bliskich pokrewieństw. Wały tutejsze zbudowano według tych samych zasad, które z pełnym powodzeniem wypróbowano w Gnieźnie. Jest to specjalna odmiana umocnień, zwana podkładką. Spód wału miał konstrukcję hakową, a wyżej łupane dyle ułożono wszystkie w jednym kierunku, a mianowicie poprzecznym względem biegu ściany. Końce tych belek - zwłaszcza na licu zewnętrznym i wewnętrznym - opierały się o bierwiona podłużne.

Wewnętrzny skłon był w niektórych miejscach całkowicie odsłonięty. Szeregi zeschniętych, zwężonych pod działaniem czasu dyli uchodziły gdzieś w ziemię na kształt szarej wielowarstwowej klawiatury.

Bardzo precyzyjne metody badań, zastosowane przez kierownika ekspedycji, doktora Wojciecha Koćkę, doprowadziły do ustalenia ciekawych danych cyfrowych. Gród posiadał formę koliska. Waty wysokie były na dwanaście metrów, szerokość ich u samego spodu równała się metrom dwudziestu pięciu. Kubatura ogólna wynosiła trzydzieści osiem tysięcy metrów sześciennych, z czego na samo drewno przypadało dziewiętnaście tysięcy. Całą masę

budulca spławiono Odrą, a częściowa przynajmniej obróbka odbywała

się na miejscu, o czym zaświadczyły liczne wióry. Same waty zajmowały przestrzeń czterech tysięcy metrów kwadratowych, wewnątrz zaś grodu sześćset. Bo średnice tego wnętrza wynosiły zaledwie dwadzieścia sześć na trzydzieści metrów.

Gród piastowski we Wrocławiu stanął na Ostrowie Tumskim, nad przeprawą na wyspę Piasek. Na samym cyplu wyrósł bardzo wysoki i potwornie gruby pierścień wałów, opasujących zupełnie szczupłą przestrzeń wewnętrzną.

Niedaleko, o jakieś dwadzieścia pięć, może trzydzieści kroków, też ryto ziemię, wydobywając na jaw regularnie położone kłody - wał podgrodzia. Gdzieś tu blisko zrastał się on z wałem cytadeli. Podgrodzie obejmowało cały Ostrów Tumski i na jego obszarze stała katedra. Porządek rozplanowania całkiem, ale to pod każdym względem, podobny do poznańskiego czy gnieźnieńskiego. Nadodrzańskie piaski troskliwie przechowały dokładny zarys rdzennie polskiego systemu budowania miejskich osiedli obronnych z X stulecia.

Kilkakrotnie wracałem pod gotycką absydę Św. Marcina. Tutaj bowiem, w przekrojach i na dnie o wyjątkowym bogactwie poziomów, mogłem czytać wyraźnie wypisaną historię starego Wrocławia. Tuż pod samymi niemal fundamentami świątyni kilkoma mokrymi ręcznikami przykryto jakieś wielkie podłużne kształty. Nie można przecież dopuścić, by utraciły wilgoć i beznadziejnie spękały dwie potężne skrzyżowane belki. Leżały na ziemi bezwładne, wrosłe w namul. Dawniej położenie ich musiało być inne. Może służyły do podwieszania czegoś. Naokoło rozrzucone kamienie, ciężkie bryły limonitu. Warsztat...

Wrocław nie odchyłał się od normy prapolskich grodów. On także stanowił poważny ośrodek wytwórczy. W 1951 roku można było o tym wnioskować, patrząc na ślady palenisk oraz liczne kawały szlaki, które znajdowano nawet między dylami wałów, w piasku, jak również w warstwach wyższych, romańskiej i gotyckiej. Teraz wiemy już na pewno, że Wrocław od razu został osiedlem rzemieślniczo-kupieckim. Jego poniekąd specjalność to hutnictwo ołowiane i żelazne. Inne umiejętności istniały, ale ustępowały miejsca tamtej, najważniejszej i głównej. Nie jest wykluczone, że żyli we Wrocławiu mistrzowie, którzy potrafili robić szkło. Znajdowane tu paciorki niekoniecznie musiały pochodzić z przywozu. Wbrew dawniejszym przypuszczeniom okazało się za to, że rolnictwo wcale nie było zasadniczym zajęciem mieszkańców podgrodzia, nie zaliczało się nawet do zajęć podstawowych.

W X i XI wieku miał Wrocław około tysiąca obywateli. To, co wiemy o ich,

zatrudnieniach oraz o sposobie zachowania się w chwili prób politycznych, całkowicie uprawnia do użycia powyższego tytułu. Byli oczywiście poddanymi polskiego księcia, potem króla, ale to się doskonale łączyło z pojęciem obywatelstwa.

Skoro sami mało parali się rolnictwem, musieli żywność kupować. A zatem w warsztatach swych pracowali dla siebie. Oczywiście - część zarobku, może nawet znaczną, oddawali panującemu i jego urzędnikom. Chyba nie będzie błędu, jeśli się to zwyczajnie nazwie podatkiem państwowym. Reszta zarobku była dla nich i dla ich rodzin. Byle czym się nie zadowalali - mięso jadali częściej niż tylko w święta. Wymagania życiowe wzrastały - w warstwie odpowiadającej XII stuleciu wystąpiły ślady domów dwu, a nawet czteroizbowych. Na podgrodziu! Ale Opolanie lepiej chyba żyli. Stale kładli w swych chatach podłogi, których we Wrocławiu nie wykryto (co jednak nie dowodzi, że ich na pewno nie bywało).

Wrocławianie zajmowali się sadownictwem i hodowlą zwierząt. Sady i pastwiska leżały oczywiście na zewnątrz, za rzeką, bo w bardzo ciasno zabudowanym mieście brakowało miejsca. Hodowano rozmaite pożyteczne drzewa, między innymi orzech włoski.

A nazwa miasta? Biskup Thietmar, który zmarł w roku 1018, mianował je z łacińska: *W o r t i z l a v a*. I dodał, że na Ślęży nadal odprawiają się „przeklęte pogańskie obrzędy”.

Wał Mieszka czy Chrobrego został z czasem zdegradowany i utracił swą godność. Trwał tylko jeden wiek. Potem wyrównano go, a na uzyskanym w ten sposób placu stanęły domy. Później zmyła je powódź. Smugi naniesionego piasku i mułu znać było całkiem wyraźnie. Tak więc przegroda oddzielająca gród właściwy od podgrodzia w XI wieku znikła i nigdy jej nie odbudowano.

Perspektywę tamtego wykopu, w którym spod brudnej wody przeglądają haki wałowe, z jednej strony zamyka Odra, a z drugiej resztką trzynastowiecznego muru zamkowego ze szczątkiem baszty. To już jest późniejszy Wrocław, stolica Brodatych i Pobożnych.

Obraz najdawniejszego miasta, daleki jeszcze od pełni, rysuje się dziś przed nami o wiele wyraźniej, niż to było w dniach opisywanego tu zwiedzania. Stało się to możliwe dzięki nieustannej pracy wykopaliskowej. Ale już wtedy podgrodzie starego Wrocławia było widownią innej, szeroko wstawionej roboty, która pozostawała w pewnym związku z badaniami „tysiąclecia”.

Kiedy pierwszy raz zajrzałem na Ostrów Tumski, był zimny listopadowy wieczór 1947 roku. Ponuro wyglądał postrzępiony wrak katedry. Dachy nie było. Dość więc światła przedostawało się do wnętrza, bym mógł zauważyć, że wszystkie filary nośne wyglądają jak

kamienne drzazgi, wbrew naturze rzeczy, powbijane ostrzami w ziemię.

Stało się to podczas zajadłej i długotrwałej bitwy o Wrocław. Dowództwo broniących się w mieście oddziałów Wehrmachtu i SS urządziło w katedrze skład amunicji. Może był to pocisk działowy, a może bomba z samolotu. Chociaż najbardziej prawdopodobnie wygląda wersja, wedle której wybuch nastąpił na rozkaz niemieckiego dowództwa. Dach katedry wyleciał w powietrze. Rwąca się amunicja zniszczyła całe wnętrze, a przede wszystkim ściosała od dołu ściany i pokracznie zaostrzyła kolumny.

Tamtego listopadowego wieczoru nie przypuszczałem, że wkrótce już tylko jasna barwa świeżych okładzin z piaskowca przypominać będzie o tym fragmencie hitlerowskiego barbarzyństwa.

Chodziłem wtedy i na Piasek oglądać to, co zostało z kościoła Najświętszej Marii Panny, fundacji Piotra Własta. Nikt mi nie bronił wstępu. Zamiast sklepienia widniały zaczerwienione obłoki. Przyszło mi podówczas do głowy; że ruiny i tak się pewnie nie odbuduje, warto więc zabezpieczyć ją przed dalszym niszczeniem i zostawić tak, jak była. W ten sposób rozmyślałem - to się przynajmniej osiągnie, że każdy będzie mógł przyjść i własnymi oczyma patrzeć na samą istotę gotyku. Wyglądało bowiem tak, jakby wstrząs wojenny zdarł, zrzucił z budowli cały miękisz, wszystko, co dodatkowe, nieistotne, wtórne. Opadły cegły, tynki i drewno. Pozostał sam kamień. Obnażył się kościec i system nerwowy architektury gotyckiej. Czarne laskowania, ostrołuki i arkady kreśliły purpurowe niebo.

Wkrótce wszystkie te wspaniałości znikły pod dachem rozpiętym na żelaznej więźbie. Przestano wpuszczać do środka, bo ruszyła odbudowa. Nie jedyna w Polsce i podobnie jak tyle innych korzystająca z poważnych sum z kasy państwowej.

Skoro trwają wielkie prace przy odbudowie starożytnych świątyń, nie może przy nich zabraknąć historyków sztuki, konserwatorów, zwykłych historyków tudzież archeologów. Nasi przodkowie lubowali się w przeróbkach, dodatkach, dopasowywaniu zabytkowych budowli do własnych, nieraz mocno wątpliwej wartości, gustów i pojęć o pięknie. Uważano, że postęp sztuki polega na oblepianiu romańskiego kamienia lub gotyckiej cegły barokowym tynkiem. Nie wypiekajmy zresztą oczu ludziom czasów dawnych. W XIX stuleciu koryfeusze kultury narodowej zmienili częściowo układ rzeźb na Ołtarzu Mariackim Wita Stwosza, a przepiękne jego kolory pokryli gęstą farbą olejną. Romański kapitułarz cystersów w Jędrzejowie kieleckim zniknął z powierzchni ziemi dopiero na początku XX wieku. Teraz odbudowa polega u nas na przywracaniu autentycznego kształtu. A ponadto jeszcze – przy

remontcie zrujnowanego kościoła trzeba koniecznie kopać. Tu i ówdzie należy podeprzeć fundamenty, wymienić, wpakować zastrzyk betonu. Jeżeli kopią, to bez archeologa obejść się nie powinno. Zawsze bowiem ważne jest, na czym kościół stanął.

Wśród ekip pracujących z ramienia Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa była jedna wyspecjalizowana w szperaniu po starych świątyniach. Profesor Zdzisław Kępiński i magister Krystyna Józefowiczówna działali poprzednio w Trzemesznie i Strzelnie. Zwłaszcza odkrycia w tym ostatnim stały się sławne. Teoretyczne obliczenia profesora Kępińskiego okazały się słuszne i spod barokowych okładzin wyrzały romańskie, cudnie rzeźbione kolumny. W Trzemesznie nad resztkami preromańskiego kościoła z X-XI wieku legła betonowa płyta. W ten kosztowny sposób udostępnia się obecnie zabytki dalszemu badaniu i zwiedzaniu.

Największą ilością tajemnic szczyci się katedra w Poznaniu.

Niewielu już chyba ludzi pamięta jej przedwojenny kształt. Brzydka była nad podziw. Ciężki, przysadzisty barokowy kadłub z klasycystycznym frontonem. Nad tym hełmy wież podobne do postawionych na głowie nóg bilardowego stołu. Wojna pozostawiła katedrę w stanie pożałowania godnym: dach spalony, kolumny i tympanon frontonu znikły, wieże jakby kto na płask toporem zrąbał. Ale spod skruszałych tynków wnętrza, spod tego, co ocalało z fasady, nieoczekiwanie wyrzał gotyk. Robota zaczęła się od zdejmowania reszty dodatków.

Już wcześniej po wojnie pod posadzką prezbiterium oglądać można było pozostałości preromańskiego kościoła, odkryte w roku 1946. Światło elektrycznej latarki wyławiało z mroku płowy upłaz muru. Spozrzec się dawało jego łupkowe lico i mięsz z gładów. Pośrodku podziemnej komory kamienna wyniosłość ze śladem jakby podstawy kolumny i kawy międzyfilarowej. Zamurowano to zapewne na rozkaz Mieszka I.

Po wyjściu z podziemia chodziłem pod rusztowaniami w nawach. Peregrynowała wraz ze mną Krystyna Józefowiczówna, przystrojona w roboczy, fioletowej barwy kombinezon i ciężkie buty. Wskazywała, gdzie deskę unieść, w jaką szczelinę zajrzeć. Tłumaczyła, że szare od sypiącego się z rusztowań pyłu bazy kolumn zdradzają toskańską odmianę stylu romańskiego. A przyziemne mury to podstawy wież oraz ślady po pilastrze empory.

Pod posadzką katedry poznańskiej odkryto zarys jeszcze jednego kościoła, który stanął w XI stuleciu, może za sprawą Bolesława Śmiałego. Lepiej lub gorzej zachowały się bazy wszystkich ośmiu kolumn oraz, odziomki ścian. Prace odkrywcze trwały, przez nawę główną miały pójść przekopy. Należało szukać absydy oraz warstw kulturowych, dawniejszych nawet

od budowli Mieszka I. Pod fundamentami wielopokładowej katedry zalegają bowiem szczątki prapolskich konstrukcji.

Razem więc w tym jednym miejscu plon sześciu powojennych lat był taki: ciekawe polichromie z XVII wieku, gotyk, romański kościół Śmiałego przedromańska świątynia Mieszka i na samym spodzie złoza drewna. Dawniej ani się tego domyślał nikt z tych, co patrzyli na nudne i ciężkawe kolumny portyku, dzieło majora wojsk polskich Bonawentury Solariego, wykonane wtedy, gdy wybuchła Wielka Rewolucja Francuska, czyli w roku 1789.

Krystyna Józefowiczówna pokazywała mi katedrę w lecie 1951 roku. W grudniu dowiedziałem się od niej o dalszych, zupełnie już zdumiewających odkryciach. Puszczono wykop przez nawę, wykrywając pod gruzem pięć kolejnych warstw. Przedostatnia nakrywała rozwaliny jakiejś przedromańskiej budowli kamiennej. Nikt nie wiedział, co to za gmach, kto i kiedy go wznosił. Zburzone fragmenty stały już bezpośrednio na warstwie szóstej, zalegającej na cztery metry pod posadzką gotycką. Ziemia tam smolistoczarna. Pełno w niej odłamków i kawałków rąbanych kości. Był to już niewątpliwie poziom dawnego osadnictwa. Ludzie mieszkali tam pewnie wtedy, kiedy nikt jeszcze nawet nie myślał o stawianiu w Poznaniu kościołów katolickich.

U końca wykopu w nawie znaleziono resztki jeszcze jednej budowli kamiennej, wzniesionej z wielkich głazów granitowych, łączonych zaprawą. A więc do tasiemca poprzednio wymienionych rewelacji poznańskich należało dodać jeszcze i te dwa odkrycia.

Poznań pobił więc wszystkie rekordy. Ale odbudowy swej katedry wcześniej dokończył Wrocław.

Przyjeżdżałem oglądać ją już w kwietniu. Nad Odrą, w zacisznych ogrodach kanoników kapitulnych, różowo kwitły krzewy. Pod wschodnią, dobrze nasłonecznioną ścianą kościoła funkcjonowała istna pracownia kamieniarska. Z pracowitego kucia wyłaniały się piaskowcowe laskowania, fryzy i fragmenty arkad. Przez wywarte na ścieżaj wrota jedna za drugą wjeżdżały w nawy ciężarówki z piaskiem, kamieniem, cementem. W ogromnym wnętrzu echo powtarzało rozmowy robotników.

Kierownik odbudowy, inżynier Marcin Bukowski, kazał przynieść drabinę i zesliśmy w ziejący wilgocią głęboki wykop, zajmujący przestrzeń całego niemal prezbiterium. Wszystko tu było wymiecione do gładka, ziemne krawędzie wyciągnięte pod kant. Po tym jednym bez objaśnień łatwo było poznać, że kopali archeologowie spod znaku „millenium”.

W części dołu bliższej wielkiemu ołtarzowi widniały resztki muru. A po przeciwnej stronie

wdzięczna podstawa kamiennej kolumny. Tak wyglądał skromny spadek po katedrze romańskiej. Pozostałe jej kamienie posłużyły na fundamenty późniejszej świątyni gotyckiej.

W czerwcu 1951 roku w obecności przedstawiciela rządu nastąpiło uroczyste otwarcie katedry. Trochę wcześniej przyjechał z Krakowa główny witraż, a z muzeum - zawczasu przygotowany - gotycki ołtarz z Lubinia Śląskiego.

Katedra we Wrocławiu musiała być wcześniej odbudowana, jako dokument i symbol. I to nie tylko z tego względu, że chodzi o stolicę biskupstwa, które w roku 1000 założył Bolesław Chrobry, a więc o świadectwo polskiej historii miasta. Kamienne resztki w prostokątnej jamie pod prezbiterium są znacznie młodsze. Najstarszej świątyni Chrobrego nikt już chyba nigdy nie odnajdzie. Może spłonęła, uległa celowemu zniszczeniu w czasie buntu pogańskiego. A może prościej... była drewniana, Fragmenty muru i podstawa kolumny to wiek XII. Dzieło ówczesnego biskupa wrocławskiego Waltera, Belga z Malonne.

Nie sami tylko Polacy utwierdzali i zdobili mury, zniszczone przez brunatną dziczą, z takim trudem i kosztem obecnie odnowione. Chyba tylko notoryczny fałszerz historii zdoła tu przeoczyć ogromną pracę ludzi naszej krwi. Ale jak każde niemal przez stulecia całe tworzone dzieło sztuki, kościół ten nosi szlachetne piętno współpracy przedstawicieli różnych narodów. Na liście jego dobroczyńców widnieją nazwiska Polaków, Niemców, Belgów, nawet Holendrów. W XII wieku zaczął Belg, Walter. Nawę i zakrynię wykańczał biskup Nankier herbu Oksza, nieustraszonego bojownika o polskość Śląska. Szczerby i rany zadane przez Szwedów leczył biskup Sebastian Rostock. Ambonę rzeźbił Jan Jerzy Urbański, a tam nieco dalej jest płyta brązowa, twór słynnego Holendra, Adriaena de Vries.

Zaraz po wojnie rzuciliśmy się na zabytki Ziemi Odzyskanych z pasją, przypominającą po trosze gorliwość neofitów. Widzieliśmy przede wszystkim to, co świadczyło o ich polskości. Skrzętnie rachowaliśmy każdy kamień, który pamiętał dobę Piastów. Słuszna tendencja i wcale nie warto oponować przeciwko niej samej. Byle tylko strzec się przesady.

Należy pilnie badać wszystko, co we Wrocławiu i gdzie indziej osiągnęli Polacy. Ale nie po to, aby na każdym tutejszym dziele sztuki położyć zachłanne łapy i warknąć: to nasze, tylko nasze, a wam wara.

Punkt honoru był w tym, by dowieść, że wielkie europejskie dzieło kultury, zrujnowane przez wandalów, co umieścili w nim skład amunicji, w polskim ręku nie niszczało, lecz podźwignęło się, pozbyło szpecących dodatków i odzyskało pełną wspaniałość. To właśnie zostało dowiedzione.

Kopano pod posadzką prezbiterium - wykryto fragmenty cenne wprawdzie, ale stosunkowo późne i wykonane ongi z polecenia nie Polaka, lecz Belga. Cały rozmach prac badawczych i ogromne osiągnięcia wzbogacają wiedzę, ale zarazem i poczucie własnej wartości. Dowiadujemy się, od jak dawna i jak wydatnie plemię nasze, wspólnie z innymi, przyczynia się do pomnażania ogólnołudzkiej cywilizacji.

W kilka miesięcy po zwiedzeniu wrocławskich, poznańskich i innych wykopalisk - a ściśle w maju 1952 roku - przyszło mi wycofać cały maszynopis *Świtu*. Zawczasu coś przeczuwałem, powiedziałem raz Witoldowi Stanisławowi Balickiemu, który był wtedy dyrektorem PIW:

- Zobacz pan, że nie zdążymy. Zanim się książka ukaże, oni znowu zaczną kopać i bardzo możliwe, że trumnę króla Popiela wykopią.

Chłody i potworne przeciągi zimowe nie wypłoszyły ekipy poznańskiej z katedry. Kopano dalej. U końca nawy, całkiem już niedaleko od wrót kościoła, wyrzwał spod ziemi dziwny mur. Był niski, od wierzchu gładki, dobrze wyrównany i nosił na grzbiecie ślad po grubej kolumnie. Ściana ta nie była zatem ruiną. Od razu tak ją wybudowano.

Mur, w stosunku do nawy poprzeczny, wychodził dość daleko na boki i tam załamywał się pod kątem prostym. Czyżby zatem oba jego prostopadłe ramiona biegły dalej po obu stronach dzisiejszej nawy w kierunku obecnego ołtarza? Sposób budowy wskazywał na wyraźne pokrewieństwo z resztkami katedry Mieszka I, odkrytymi w 1946 roku.

W kwietniu 1952 poznańskie kierownictwo prac musiało odpowiedzieć na bardzo ważne pytanie. Trzeba było postanowić, czy kopać dalej, czy też ze względu na depcząca po piętach odbudowę zawalić jamę starannie przesianą ziemią.

Kto by wtedy stanął przed wykopem i zajrzał weń od strony ołtarza, ten ujrzałby następujący widok:

Na pierwszym planie kamienne fundamenty katedry Śmiałego. Dalej wзираł spod ziemi szczyt jakiegoś tajemniczego, także kamiennego budynku. Jeszcze dalej obła wypukłość zasypana glazami. W samej głębi perspektywy zwał świeżej ziemi, pod którą już zniknął ów poprzeczny, przed chwilą wspomniany mur. Przy wyliczaniu pominąłem rzeczy w danym wypadku mało istotne, a więc rozmaite mniej lub bardziej barokowe sarkofagi kanoników i innych dostojników, pochowanych pod posadzką kościoła. Przeszkadzały mocno w pracy, gmatwając i bez tego aż nazbyt trudny jej teren.

Rada w radę - postanowiono wykopać jeszcze jeden rów kontrolny. Działo się to obok fundamentów z czasów Śmiałego. Pracował robotnik niezbyt doświadczony. Nie każdy zresztą ma taki talent, jak pochodzący z Trzemeszna Gabriel Jagła, o którym jego przełożeni mówią, że gdyby miał wyższe wykształcenie, zostałby wybitnym archeologiem. Trudno jednak zaczynać od początku, kiedy się już jest w średnim wieku. Gabriel Jagła „czuje warstwę”, w ciemnym i ciasnym wykopie nigdy niczego nie przeoczy, nie zmarnuje, nie uszkodzi. Tym razem jednak nie on kopał.

Krystyna Józefowiczówna wróciła z wykładów i poszła sprawdzić pracę.

- Ależ, panie, pan warstwę przebił!

W ścianie widniała równoległa do dna szara smużka.

- Rozszerzyć wykop !

Smużka zaczęła się rozpląszczać w lekko wklęsłą poziomą powierzchnię.

- Zdejmować wszystko!

Poszły na bok liczne metry szczęsienne ziemi i gruzu. Nie oszczędzono grobowców dostojników. Usunięty został sam nawet fundament katedry Śmiałego.

Pokazała się połowa olbrzymiej szarej jakby misy o czterometrowej średnicy.

A dalej - patrząc ku wrotom - ściany budowli o prostokątnych wymiarach, wykonanej z łupanego kamienia, bardzo porządnie. Jeszcze dalej coś na kształt niskiej kopułki kamiennej. Jeżeli spojrzeć na nią od strony wrót - widać otwór. Z tej perspektywy znalezisko przypomina po trosze zmurowany z kamienia piec chlebowy.

Długo stałem przed tym otworem. Nie był głębszy niż długość mego ramienia. Sklepienie wewnętrzne miało formę zbliżoną do trójkąta. W załamaniach szczątki drewna, ślady dawnych murarskich szalowań. Nad samym dnem przebiegały ongi poziome wręgi żelazne. Metal był słaby. Widocznie z rudy darniowej wytopiony. Przerdzewiał niemal doszczętnie. Nikłe drobiny zachowały się tylko w samych ścianach.

Z otworu wiało wilgocią i chłodem.

Na tych nie istniejących dziś wręgach stała pewnie trumna Mieszka I lub Bolesława Chrobrego.

Z grobowca zachował się tylko szczątek - może jedna trzecia. Na miejscu reszty rozpiął się pękaty sarkofag barokowy. Po trumnie królewskiej dawno już śladu nie ma. Wszystko

wokół uległo splądrowaniu w roku 1038, ona sama zapewne profanacji. Tuż niedaleko, w ruinach prostokątnego budynku. odnaleziono czeską monetę Brzetysława I. Niewielki srebrny pieniążek, po jednej stronie ozdobiony wizerunkiem dłoni ludzkiej, po drugiej krzyżem. Musiał go zgubić żołnierz z drużyny Brzetysława, która latem owego roku zburzyła zamek i kościół na Ostrowie Lednickim, spaliła tam most przez jezioro, złupiła Gniezno.

Na olbrzymią płaską czaszę najlepiej patrzeć z góry, z krawędzi wykopu. Jest szara, w niektórych miejscach mocno uszkodzona. Brak sporych części. Ale znakomita większość koliska zachowała się. Materia podobna do betonu. Stanowi ją zaprawa wapienna, zmieszana ze żwirem. Masę wylano do przygotowanego w ziemi zakłębienia i dano jej zakrzepnąć.

W środku misy widać pionowe gniazdo dla osadzenia słupa centralnego. Był kwadratowy, po rogach lekko zaciosany. Znać to zupełnie wyraźnie. Wokół krawędzi koliska niemal równie dobrze rozpoznać można gniazda innych słupów. A zatem całość musiała dawniej znajdować się pod dachem.

W roku 966 ochrzczono w tym miejscu pierwszych Polan. Szara czasza to znakomicie wręcz zachowane baptysterium, czyli chrzcielnica. Z czasów Mieszka I.

Niebywałego odkrycia naukowego dokonała w Poznaniu niewiasta.

Nasi najlepsi specjaliści zjechali zaraz do Poznania tłumnie. Rozpoczęła się dyskusja naukowa która trwa. Autor tej książki nie ma najmniejszego zamiaru chowania się za niczyj autorytet, pisze o tym, co sam widział i pomyślał.

Że odnaleziono chrzcielnicę - o tym chyba w ogóle nie można wątpić.

Tak samo pewny jest fakt odkrycia grobowca. Czyjego? Tego nigdy na pewno wiedzieć nie będziemy.

Na to wygląda, że grobowiec był dawniej okolony czymś podobnym do posadzki. I teraz, patrząc z góry, wyraźnie widać jej szarą płaszczyznę. Wykonano ją z zaprawy wapiennej wylanej na tłuczeń kamienny. Technika roboty stała tu wyżej niż przy baptysterium. Brzegi posadzki równe, jak nożem wykrojone. To by mogło wskazywać, że dawniej otaczały ją ściany. Sarkofag stałby więc wewnątrz osobnego budynku-mauzoleum.

Dzisiaj na pierwszy rzut oka uderza prymityw wykonania samego grobowca. Wapniaki na zaprawie, tylko od wierzchu łupany kamień. Ale wrażenie może mylić, prowadzić do fałszywych wniosków o dawnym stanie rzeczy. Tragiczne losy grobowca musiały się odbić na jego obecnym wyglądzie. Odnaleziono resztki twardego, zielonkawego koloru kamienia

gabro, Sarkofag mógł być nim obłożony od zewnątrz i mieć wygląd świetny.

W doraźnej, na gorąco prowadzonej rozmowie Krystyna Józefowiczówna wysunęła domysł, że grobowiec rozkazał wznieść król Mieszko II. Był to człowiek wysoko wykształcony jak na swoje czasy, umiał nie tylko po łacinie, ale i po grecku. Znane są jego dobre stosunki z wybitnymi osobistościami Zachodu. Najwcześniejszy portret polskiej postaci historycznej powstał za jego dni. Zaginął, ale na reprodukcjach oglądać można Mieszka II i hrabinę lotaryńską Matyldę, która wręcza monarsze swój dar, księgę o liturgii Kościoła. Mieszko II musiał dobrze zdawać sobie sprawę, kim, jak wielkim człowiekiem był jego ojciec, pierwszy król polski, polityk na europejską skalę. Rozumiał to i uczcił pamięć rodzica monumentalnym grobowcem, wzniesionym w miejscu uroczystości chrztu, w obrębie architektonicznego zespołu katedry.

Hipoteza ciekawa, pełna polotu. Przemawia przeciwko niej to, że skoro Chrobrego stać było na budowę kamiennego kościoła w Tumie podłęczyckim, na błyskawiczną ocenę szansy, jaką dała Polsce męczeńska śmierć św. Wojciecha, to na pewno stać by go było na wystawienie pięknego grobowca własnemu ojcu, Mieszkowi I, który ochrzcił państwo.

Chrzcielnica i sarkofag monarszy to wcale jeszcze nie koniec zaskoczeń. Przypomnijmy sobie tamten niski, już poprzednio zasypyany mur ze śladem po podstawie filaru. Zdradzał on pokrewieństwo ze szczątkami katedry Mieszka I, ujawnionymi pod prezbiterium. Ale te dwa znaleziska dzieli od siebie przeszło dwudziestometrowa odległość.

Przypuszczalnie było tak: w miejscu gdzie obecnie znajduje się prezbiterium, kazał Mieszko I wznieść najstarszą w Polsce katedrę. Przed jej frontową ścianą stanęła wielka chrzcielnica, przykryta dachem wspartym na słupach. Prostokątny obszar przed kościołem - czyli dzisiejsza nawa główna - utworzył tak zwane „atrium”, jak gdyby dziedziniec otoczony kolumnadą, arkadami czy nawet krużgankiem. Chrzcielnica znajdowała się wewnątrz tego podwórca, bliżej katedry. Całość, stanowiącą imponujący, nigdy poprzednio w Polsce nie bywały zespół architektoniczny, kazał pewnie Mieszko przygotować i wykończyć na samą uroczystość chrztu.

Pod nowe budowle kamienne podesłał się celowo zrównany, typowy prapolski wał obronny. Chodząc wokół grobowca i chrzcielnicy depte się po zupełnie ściemniałych smugach jego drewna. Zbudowano go na pewno przed rokiem 950. Skorupy naczyń mówią o tym jak najwyraźniej. Wszystko się zgadza! Katedra stanęła na podgrodzium, które Mieszko I kazał poszerzyć, niwelując w tym celu stare wały, przetwarzając je na fundament... jeśli nie

architektoniczny, to na pewno symboliczny.

Ale między chrzcielnicą a sarkofagiem jest jeszcze tajemniczy kamienny budynek o prostokątnym kształcie. Jest od swych sąsiadów niewątpliwie młodszy, o czym świadczy charakterystyczne nachylenie warstw ziemnych w ścianie wykopu oraz części posadzki przygrobowcowej. Podały się one jakby ku niemu, ugięły pod jego ciężarem. A więc młodszy od nich, starszy za to od katedry Śmiałego, pod której ruinami się odnalazł.

Domysłów było wiele. Najmniej prawdopodobnie wyglądał ten, że budynek to gmach świecki, dom mieszkalny. W takim miejscu? Przed samym frontem katedry? Przepuszczano również, że był to jeszcze jeden grobowiec. W takim razie tamten pierwszy kryłby prochy Mieszka, a ten Chrobrego.

Rok 1038 wszystko obrócił w gruzy. W kilkadziesiąt lat później Bolesław Śmiały kładł fundamenty na zasypanych ruinach. Pierwszy, niezwykle świetny rozdział pisanej historii polskiej był już bezpowrotnie zamknięty. Śmiały świadomie nawiązywał do dawnych tradycji. Początkowo wiodło mu się, aż do koronacji włącznie...

Pierwszy rozdział naszych pisanych dziejów jest chrześcijański. Nie sądzę, by znaleziska poznańskie przemawiały przeciwko twierdzeniu, że dla Mieszka I, z jego punktu widzenia, chrzest był ukoronowaniem, zakończeniem dzieła tworzenia monarchii. Zyskaliśmy raczej nowy argument, i to taki, o jakim nikt dawniej nawet nie śnił.

Książę Mieszko został pomazańcem Boga, któremu oddaje się cześć w takich świątyniach jak poznańska. Pierwszy, wybrany zastęp poddanych wkroczył do atrium i powiedziano go prosto do chrzcielnicy. Składał się na pewno z najbardziej wielmożnych. Po nich tę samą drogę odbywali inni. Z woli i rozkazań monarchy, który zajął już miejsce wysoko wyniesione, całkowicie nadrzędne. Położony tuż obok przepotężny gród warowny gwarantował utrzymanie takiego stanu rzeczy.

Twierdza, jakiej nigdy przedtem nie było, świątynia, jakiej oko nie widziało, potem dwadzieścia sześć lat rządów mądrych, pewnych siebie, wobec nikogo nieustępliwych. Szczecin, Kraków, Wrocław, Pomorze, ziemie Wiślan, Śląsk, może Łużyce. Warto już doprawdy między bajki włożyć wyobrażenie o biednym i ciemnym książątku, które usiłowało się ratować przed ostateczną katastrofą.

Mieszko musiał przejść dobrą szkołę myślenia politycznego, skoro tak trafnie rozumiał sens wydarzeń. Pojął przecie, co w stosunkach wewnętrznych, jak i zewnętrznych przyniesie zmiana wiary. Uczyc się musiał u poprzedników. Możemy zatem przypuszczać, że i ci

pierwsi - rzekomo bajeczni - nie byli w polityce bezradni i coś niecoś o niej wiedzieli. A potem stała się rzecz zwyczajna. Uczeń przerósł mistrzów.

Kroniki pisały tylko o władcy. Wykopaliska uczą o bezimiennym narodzie. Bo nawet ówczesni wielmoże pozostali bezimienni. Sumując wiadomości możemy z czystym sumieniem uznać, że ten naród miał władzę dokładnie taką, na jaką zasłużył.

III

Z miasteczkiem Niemczą wiąże się najstarsza wiadomość o zjawisku, które tylekroć później występowało w bogatych dziejach polskiej wojskowości.

W 1017 roku gród ten obległy silne wojska cesarza Henryka II, wspomagane przez oddziały czeskie księcia Udalryka. Chrobry pchnął posiłki, które przybyły jednocześnie z Niemcami, i korzystając z ciemności oraz ulewnego deszczu przedarły się do twierdzy. Wyczyn powtórzono raz jeszcze, gdy drużyny znowu przysłane przez Bolesława zdołały przeniknąć przez pierścień oblegających i wzmocnić załogę.

Sam Chrobry ani się nawet ruszył. Stał z siłą główną we Wrocławiu, zagradzając cesarzowi odwrót. Nie wątpił widocznie, że poddani i bez jego bezpośredniego nadzoru wykonają rozkazy.

O wypadkach tych posiadamy relację znakomitą i wierną. Biskup Thietmar, pisarz nie byle jaki, był im współczesny. Pod samą Niemczą wprawdzie nie był, bo towarzysząc cesarzowej zawrócił z wyprawy do Magdeburga, ale rozmawiał ze świadkami. Polski, a zwłaszcza Chrobrego, w ręcz nienawidził; co w danym wypadku podnosi wartość jego informacji.

Niemcza wytrzymała oblężenie. Załoga rozporządzała środkami obrony które pod względem technicznym wcale nie ustępowały niemieckim. Thietmar zapisał, że nie wyobraża sobie, by ktokolwiek mógł walczyć z taką wytrzymałością i samozaparciem. Dodał również ciekawy szczegół: „Gdy zdarzyło im się coś pomyślnego, nie wykrzykiwali nigdy z radości...” Człowieka z charakterem, naprawdę zawziętego, poznaje się dopiero po opanowaniu w chwili powodzenia.

Oprócz Czechów wspomagał wówczas Henryka jeszcze ktoś inny. Cesarz rzymski, w przyszłości święty, nie wahał się zawrzeć sojuszu z Wioletami, którzy wciąż trwali przy swej starej wierze. Wiadomo od Thietmara, że obrońcy Niemczy wystawili na wałach wielki krzyż.

Od tej strony, na którą uderzały oddziały pogan.

Wydarzenie z pozoru bardzo sensacyjne. Henryk II sprzymierzał się z Wioletami od dawna, pertraktował z ich posłami podczas samych świąt wielkanocnych 1003 roku, zaciągał niewiernych na wyprawy do Lotaryngii przeciwko biskupowi Metz. Ale strzeżmy się zbyt pochopnych uogólnień. Chrobry, idąc na Kijów w roku 1013 i 1018, pozostawał w przymierzu ze stepowym plemieniem Pieczyngów, którzy nie wyznawali Boga chrześcijan. Ruscy książęta także nie stronili od sojuszków z pogańskimi szczepami, jeśli widzieli w tym korzyść.

Średniowiecze uchodzi za taką epokę dziejów, w której każdy czyn człowieka był uzasadniony, nawet przepojony względami religijnymi. W polityce nie zawsze to widać. A czasami nie widać wcale. Istnieje między ludźmi nieuleczalna skłonność do przyjmowania części za całość. Starożytne Ateny zaludniali nie sami tylko Sokratesowie. Św. Jadwiga śląska nie może uchodzić za typową przedstawicielkę wszystkich niewiast średniowiecza, które przede wszystkim obfitowało w przeciwności.

Postępowanie Henryka II zostało przynajmniej napiętnowane. Św. Bruno z Kwerfurtu, rodowity Niemiec z grafskiego rodu, przyjaciel Chrobrego i przyszły męczennik spod Giżycka, pisał do cesarza w roku 1009:

„...czy jest to dobrem prześladować chrześcijanina, a utrzymywać przyjaźń z ludem pogańskimi Co za zgoda Chrystusa z Belialem, co za porównanie światła z ciemnością? Jak mogą się zgadzać diabeł Swarozyc i wódz świętych, nasz Maurycy? Jakim czołem schodzą się razem święta włócznia i godła pogańskie, karmione krwią ludzką?”

Prawdziwa wiara średniowiecza, ta bezapelacyjnie rozstrzygająca o czynach ludzkich, przejawiała się w postępowaniu Brunona i Wojciecha. Dość stąd sławy dla Chrobrego, że sprzyjał im obu. Ale byłoby przesadą mniemać, że ówczesna Polska szczególnie świeciła cnotami chrześcijańskimi i dodatnio odbijała od europejskiego tła. Nie była gorsza, i na tym kropka.

Nie da się pewnie nigdy ustalić, gdzie leżał pod Niemcżą obóz Wioletów, a gdzie stał na wałach krzyż. Może od zachodu, gdzie są mokradła i płytkie stawy, po których brodzą z kosztami ubabrani w blocku młodzi obywatele miasta, łowiąc ryby. Jeżeli zaś od wschodu - to darmo marzyć o jakichkolwiek odkryciach. Przebiega tam teraz szosa i tor kolejowy. Trasę wyrąbano w bazalcie. Gładka, szarosinej barwy skała sterczy pionowo nad szynami.

Aleksander Gieysztor z samochodem ministerstwa został we Wrocławiu, a my z panią

Marią Anną Dembińską dowędrowaliśmy do Niemczy autobusem. Zaszedłem na chwilę do sklepu i po wyjściu zobaczyłem, że moja towarzyszką podróży, niewiasta wysokiego wzrostu, rozmawia z jakimś olbrzymem w brązowej wiatrówce i tak zadziera głowę, jakby patrzyła na dach dzwonnicy. Profesor Włodzimierz Hołubowicz napatoczył się od razu, nie trzeba było go szukać w nieznanym mieście.

Siedzimy sobie we trójkę na szesnastowiecznym murze opasującym krawędź wzgórza grodzkiego. Pnące rośliny wysłały kamienie istnym materacem. Wygodnie, słońeczko dogrzewa. Daleko w dole terkocze po szosie traktor. Potem pociąg towarowy z gwizdem i sapaniem przetacza się w kierunku Dzierżoniowa. Wał brudnego dymu nasycza korony wielkich dębów rosnących na łączce za torem. Przez chwilę wierzchołki ich wyglądają niczym małe płaskie wysepki.

Problematyka Niemczy, drobnej miejsciny zagubionej na południowo-zachodnich kresach, jest wyjątkowo bogata.

Proszę tylko spojrzeć na zwyczajną mapę Śląska, taką, jaką się wiesza w szkole. Widać, jak w żółtawe podgórze Sudetów wcina się wąski lejek zieleni. U samego szpica tego dość głębokiego klina leży Niemcza. Gród postawiono w miejscu, które góruje nad prastarą drogą handlową. Tędy, po linii Wrocław-Kłodzko-Praga, przebiega odgałęzienie traktu sambijskiego, zwane kłodzkim, czyli jedna z odnóg znanego nam już nieźle „szlaku bursztynowego”.

Wczesnośredniowieczne, a przedtem jeszcze „łużyckie” osiedle zajęło cały szczyt wzgórza, które kształtem zupełnie przypomina siodło kozackie. Łęk przedni, w danym wypadku wzniesienie północne, jest znacznie wyższy i węższy od tylnego, południowego. Oba boki stromo opadają ku Ślęży, łąkom i mokradłom. Z biegiem czasu miasto wylało się za mury, opasujące krawędź. Domy mieszkalne popęzły w dół. Oba dojazdy, północny i południowy, uległy znacznemu obniżeniu. Ale i teraz idąc od stacji w kierunku rynku może się człowiek trochę zasapać, zwłaszcza jeśli mu się śpieszy. Dawniej było znacznie bardziej stromo. Archeologowie nie mają tu lekkiego chleba. W Niemczy, podobnie jak i w innych starych miastach, niewiele jest miejsc nie zabudowanych.

Korzyści płynące z dogodnego położenia handlowego oraz ich konsekwencje to jedno zagadnienie dla badaczy. Drugie - to sama nazwa.

Niemcza. Osiedle nazywało się tak już w X stuleciu. Osobliwe miano nie uszło czujnej uwagi biskupa Thietmara, który napisał, że gród „nasi budowali”. Wiadomości nie wysłał

pewnie z palca. Musiał skądś zasłyszeć, że w odkopywane dziś wały wsiąkał kiedyś pot niemieckich robotników. Pozostaje do rozstrzygnięcia kwestia właściwego rozumienia słowa „Niemcza” oraz sensu biskupiej notatki.

Specjaliści niemieccy wytłumaczyli sobie zagadkę tak, jak się po nich należało spodziewać. Według nich gród w Niemczy powstał w jakimś V stuleciu, podczas wędrówek ludów, a zbudowało go plemię germańskie, które nie dało się wyprzeć napływającym od wschodu Słowianom i heroicznie wytrzymało na Śląsku. Nauka niczego co prawda o takim przetrwalniku nie wiedziała, należało więc znaleźć argumenty na poparcie tezy równie ryzykownej, jak chwiejnej. Toteż przed wojną trzykrotnie kopano w Niemczy. Czego można się spodziewać po uczonym, który przystępując do badań zna ich wynik? Dokładnie tego, co po reporterze, który jeszcze nie dojechał do miejsca przeznaczenia, a już wie, co o nim napisze.

Inna próba wyjaśnienia źródła nazwy wygląda tak: przy budowie grodu zatrudnieni byli jeńcy niemieccy. Ale nasi historycy nie śpieszą się zbyt pochopnie rozstrzygać, na czyj rozkaz ci ludzie pracowali. Bo jeśli Śląsk naprawdę należał kolejno do Wielkomorawian i Czechów, to może na ich. Piastowie mogli zająć twierdzę już przedtem wzniesioną.

W tradycjach polskiego imiennictwa miejscowego od dawna zakorzenił się zwyczaj nazywania osad „od pochodzenia lub narodowości osadzanych w nich jeńców wojennych, np. Pomorzany, Ślężany, Czechy, Sarbia, Serby (tj. Serbowie łużyccy), Prusy, Prusce, Pruszcz (tj. Połowcy), Pieczeniegi (tj. Pieczyngowie), Jatwiegi i inne” - mówi Józef Kostrzewski w *Kulturze prapolskiej*.

Problem, dlaczego Niemcza tak się nazywa, można więc uważać za teoretycznie wyjaśniony. Ostatni gwoździć wbić jednak musi archeologia. Decyduje to, co się znajdzie pod ziemią. Aczkolwiek nie da się zapewne odgadnąć, do jakiej narodowości należeli właściciele odkopanych szkieletów - jeżeli takowe w ogóle będą - to jednak zawsze potrafimy ustalić, według jakiego systemu budowano gród. A to rozstrzygnie sprawę. W danym wypadku jest mniej więcej obojętne, kto ciosał i kładł bierwiona. Sposób fortyfikowania powie nam ważkie słowo o tym, kto obmyślił robotę i kierował nią, czyli o politycznej przeszłości kraju.

Profesor Hołubowicz zaprowadził nas na tyły nowoczesnego kościoła, który wznosi się na południowej - niższej i szerszej - wyniosłości wzgórza miejskiego. Jest to właśnie jedno z nielicznych miejsc nie zabudowanych. Obecnie. Bo dawniej, w stuleciu XIII-XIV, stał tam

kościół, przez którego fundamenty i murki podziemne należy się mozolnie przebijać do warstw głębszych. Potem założono cmentarz, zlikwidowany dopiero w roku 1857.

- Co znakomitszych nieboszczyków pieczołowicie przetransportowali do nowych grobów - powiedział profesor Hołubowicz, - A kości biedoty zostały ot tak...

W ścianie przekopu tkwiła czaszka ze szczęką przyłożoną byle jak w okolicy ucha.

Kopanie wznowiono w Niemczy późno, dopiero w sierpniu 1951 roku, kiedy ekspedycja zakończyła pracę na Ślęży. Ludzi nam ciągle brakuje. Te same ręce muszą się trudzić na rozmaitych stanowiskach, a tymczasem na samym Dolnym Śląsku setki grodów czekają na zbadanie.

Doły nie były specjalnie głębokie. Pod wilgotną gliną dna wyraźnie znaczyły się grzbiety kłód wałowych. Po bokach rozsypisko, smugi spalenizny tudzież sporo substancji, która na pierwszy rzut oka podobna do gliny, okazała się sproszkowanym w ogniu kamieniem. Stanowiło to wewnętrzny skłon starego umocnienia, którego lico ginęło pewnie pod murem z XVI wieku, okalającym były cmentarz.

Siedzieliśmy na tym murze przez dobrych parę godzin, gawędząc *de omni re scibili et quibusdam aliis*, słuchając opowiadań o tajemnicach Ślęży i potrzebie szerszych badań na ziemiach zachodnich, które zdumiewają bogactwem zagadnień. Czekają tam na łopatę zespoły przemysłowe nie gorsze od małopolskich, liczące po kilka tysięcy dymarek. Przemysłni hutnicy z wczesnego średniowiecza wynajdywali sposoby ułatwiania sobie pracy. Wdmuchiwanie powietrza do pieca to ciężka robota. Dlatego pewnie dymarki na szczycie Ślęży, gdzie można było liczyć na czynną pomoc wiatru.

Tropienie w Niemczy śladów domniemanego grodu z V wieku uprawia się nie tylko dla sprawdzenia, jak to tam było z germańskim plemieniem, co z wiernością Nibelungów trwać miało wśród słowiańskiego przyływu. Chodzi także o uchwycenie na gorącym uczynku tego fragmentu dziejów, w którym zaczęły się kształtować pierwociny ustroju feudalnego, a rosnąca klasa władców - odgradzać się wałami od zubożałej masy chłopstwa z dawnych wspólnot.

Nazajutrz rozstaliśmy się z niemczańską ekspedycją, przypuszczając, że i ona zbył długo nie będzie popasać na siodłatym wzgórzu. Bądź co bądź był już wrzesień. Omyliliśmy się. Profesor Hołubowicz siedział tam do 16 października. Pogłębił wykopy do sześciu metrów.

Calec to w Niemczy urodzajny less. Miękka gleba jest jak zwykle poprzerastana licznymi

korzonkami roślin. Wyżej leży warstwa próchnicy, zawierająca ślady osadnictwa z okresu kultury „łużyckiej”. A więc kawałki kości, ułamki naczyń, węgiel, fragmenty polepy z odciskami prętów, płytka łupku ze śladami obrabiania, część jakiegoś przedmiotu żelaznego.

Ponad tym dwudziestocentymetrowa warstewka próchnicy odmiennej barwy - to już wczesne średniowiecze. Ciemna, silnie odymiona ceramika.

Płaskie dna garnków, a na jednym z nich znak majsterski w formie nieregularnego krzyża. Mieszkańcy nie wyprzysięgli się widać używania naczyń z poprzedniej epoki. Dowodzą tego skorupy „łużyckie”, co prawda nieliczne.

Pokład jeszcze wyższy to ił, obficie przemieszany z popiołem i węglem. Na nim trzy ceglaste plamy; ślady palenisk. Ceramika wczesnośredniowieczna, ale kawałki niezniszczalnych garnków „łużyckich” też są.

Potem zbity, twardy pokład mierzwy. Ponieważ występują w nim belka i kopci, fragmenty budowli, mamy prawo domyślać się, że mierzwa służyła za środek zabezpieczający domostwa przed zimnem. Nawalono jej pod fundamenty, by od spodu nie wiało.

Tu wystąpiły bardzo liczne znaleziska pochodzenia organicznego. Ziarna prosa, łupiny orzechów laskowych, żołądzie, chmiel, wiele trzasek, wiórów i innych dowodów obróbki drewna na miejscu. Zamiast gwoździ ludzie ówczesni używali drewnianych kołeczków, wnętrza pomieszczeń oświetlali łuczywem, którego ogarków nie zabrakło. I żarna rotacyjne znano w Niemczy. Badacze natrafili na jeden komplet granitowy, ułożony oryginalnie. Kamień górny spoczywał roboczą płaszczyzną do góry, dolny do dołu. Akurat odwrotnie niż potrzeba. Zupełnie, jakby przedtem znajdowały się w skrzyni, którą ktoś obalił, żarna wyrzucił i już nie pofatygował się podnieść.

Bezpośrednio na mierzwie leżała pierwsza warstwa bierwion wału obronnego z doby wczesnego średniowiecza. Kłody dębowe, grube przeciętnie na dwadzieścia centymetrów, ścinane toporem i potem łupane. Umacniająca je ziemia pochodziła zapewne z samych brzegów Ślęzy. Wraz z nią dostały się fragmenty ceramiki. Zagarniali ludzie, oczywiście, co pod łopatę trafiło, byle prędzej i więcej. Tacy, co troszczą się o skorupy, mieli zjawić się w Niemczy dopiero tysiąc lat później.

Kłody kładziono prostopadle do biegu wału i tak, że każda wyższa była nieco krótsza od swej sąsiadki z dołu. Dzięki temu powstawało ukośne nachylenie. Na drewniano-ziemnym umocnieniu spoczywa gruby słój kamieni, zwyczajnej zwietrzliny miejscowego łupku. Na wierzchu i po bocznych skosach obficie występuje węgiel i znać ślady pożaru. Zagadka łatwa

do odcyfrowania. Podobnie jak w tylu innych prapolskich grodach, wały Niemczy wieńczyły izbice, olbrzymie skrzynie z belek, zawierające kamień. Spłonęły, a osmolony łupek rozsypał się na boki.

Wał, liczący dziś tylko trzy metry wysokości, istniał na pewno w samych początkach XI wieku. To, co leży pod nim, sięga stulecia VIII, a nawet VI.

Treściwe omówienie znalezisk przekonuje chyba, że niemczański zbiór starożytności poczułby się równie dobrze gdzieś w pobliżu Gniezna albo Krakowa. Nikogo by nie zaskoczyło, gdyby je tam wykryto.

Na żadne ślady grodu germańskiego z V wieku natrafić się nie udało.

Nie ulega więc wątpliwości, że zza odkopanych teraz tramów dębowych i kamieniami wypełnionych izbic broniła swego miasta załoga Niemczy w roku 1017. Musiałem użyć terminu „załoga”, bo mowa o wojnie, ale zdaję sobie sprawę, że niezupełnie odpowiada on rzeczywistości i może mylić. Na równi z drużyną książęcą w obronie tej i w całym działaniu wojennym uczestniczyli mieszkańcy - Niemczy, Śląska i całej Polski.

Fatalnie przeszkadza, że niepodobna na pewno orzec, kiedy Piastowie opanowali kraj nad górną Odrą. Większość historyków wymienia rok 990 jako datę ostatecznego przyłączenia, ale profesor Jan Natanson-Leski zdecydowanie i w przekonujący sposób temu zaprzecza. Jego zdaniem Mieszko I odziedziczył Śląsk po ojcu. W każdym razie władza Piastowska zbyt długo tu jeszcze nie trwała, kiedy nadeszła godzina próby nadzwyczajnie ciężkiej. Bo przecież wojna polsko-niemiecka ciągnęła się za Chrobrego lat kilkanaście z przerwami.

Śląsk ani razu się nie wyłamał. Obrona Niemczy to jeden z ostatnich, aktów wojny, która w roku następnym, 1018, zakończyła się zwycięskim dla Polski pokojem w Budziszynie. Ludzie, zmordowani poprzednimi długotrwałymi kampaniami, aż do końca dochowują wierności i wykazują ponadto zaciekłość, budzącą podziw nawet we wrogu.

A zatem podbój Śląska przez Piastów - przez Ziemowita czy Mieszka nosił także cechy zjednoczenia. Władzę Gniezna rychło uznano tu za własną. Widocznie nie naruszyła ona ładu drogiego Ślązakom i przez nich stworzonego w epoce poprzedniej, plemiennej. Nie zapomnijmy tylko, że walki staczone przez Chrobrego z cesarzem na Śląsku były pierwszymi w historii polskoniemieckimi starciami o tę dzielnicę. Jej mieszkańcom zupełnie wtedy brakło tradycji przeciwstawiania się naporowi germańskiemu. W roku 1017 na pewno żyli ludzie, którzy doskonale pamiętali rok 990, kiedy to w pobliskich Łużycach zjawiły się cztery hufce rycerstwa niemieckiego, przysłane Mieszkowi na pomoc przez cesarzową. Wśród samych

obrońców Niemczy mogli być tacy, którzy za miodu patrzyli na wojowników arcybiskupa Gizylera, jako na sojuszników.

Śląsk przyrósł do Polski zadziwiająco szybko i mocno. Nigdy jeszcze sama przemoc nie zdziałała takiego cudu.

Zapisane przez kronikarzy wypadki tamtych lat niezbiacie świadczą o solidarnym działaniu wszystkich Polaków. To nie tak było, że Chrobry i otaczający go wielmoże walczyli o cele obojętne ludowi. Henryk II natknął się na wschodzie na już wyrosłą historyczną jedność, a nie na samych tylko Piastów, zazdrosnych o swe partykularne panowanie. Możemy być pewni, że jego poprzednik, dobrej pamięci Otto III, ocenił Chrobrego nie tylko z powodu przepychu, z którym go w Polsce powitano. On także widział ową jedność. Obejrzał ją dość dokładnie, bo jechał od Iłwy, przez Lednicę aż do Gniezna.

Państwowe zamierzenia władców, godnych tego miana, oraz „tęsknoty mocnych drużynowych wojów” miały być całkowicie obojętne poddanym. Tak napisano w pewnej głośnej powieści przedwojennej. Nie bardzo pasuje to do faktów, które się wydarzyły akurat w dniach przedstawianych przez tę powieść.

Czasy Władysława Hermana były nędzne. Ośrodkiem opozycji przeciwko niedołącznemu, uległemu wobec obcych księciu, był Wrocław. Po stronie Zbigniewa i Bolesława Krzywoustego, rokujących lepsze nadzieje, opowiadał się kasztelan, „co przedniejsi i starsi grodu”, lecz także „całe pospólstwo Wrocławia”. Kiedy później Krzywousty objął władzę, „zajadłe chłopstwo” rzeczywiście dokazywało nie lada czynów w walce z armią Henryka V. Zdaje się, że w krótkim powyższym wyliczeniu nie pominąłem żadnej z klas społecznych Polski ówczesnej.

Wszystko to własnoręcznie zapisał Gall, współczesny wypadkom. Jego kronika, mimo woli, lecz tego wsparta znacznie wcześniejszymi wywodami Thietmara, jest świadectwem istnienia narodu.

Jeśli ktoś uzna za anachronizm używanie słowa „naród” w odniesieniu do XI czy XII wieku, to powiedzmy mu inaczej: ludzie mieli już wtedy w sercach pojęcie ojczyzny.

Takie oto refleksje wzbudzają starożytności Niemczy, która zajmuje osobliwe miejsce w historii polskich wojen.

W roku 1331 Krzyżacy mieli się spotkać pod Kaliszem z armią swego sprzymierzeńca, Jana z Luksemburga, niemieckiego króla Czech. W umówionym dniu - 21 września - Jan pod

Kalisz nie przybył. Poczekawszy trzy doby wojsko Zakonu rozpoczęło odwrót. 27 września król polski Władysław dopędził i rozbił silną straż tylną, dowodzoną przez wielkiego marszałka Teodoryka von Altenburg.

Jan Luksemburczyk nie przybył i nie dał Zakonowi pomocy, ponieważ natrafił na Śląsku na silny opór księcia świdnickiego, Bolka II, sprzymierzeńca Polski i bliskiego krewnego jej króla. Bardzo zaciekle bronił się gród w Niemczy. Jan zdobył go, ale na spotkanie kaliskie się spóźnił. A gdyby przybył w porę, wzięty we dwa ognie Łokietek musiałby ponieść klęskę.

Niemcza posiada więc poważny udział w polskim zwycięstwie pod Płowcami.

IV

Przed wojną dokonano na ziemiach polskich dwóch wielkich, bardzo poważnych i najzupełniej nie oczekiwanych odkryć archeologicznych. Jedno z nich to Biskupin. Drugie zdarzyło się na ziemi polskiej wprawdzie, ale wtedy jeszcze nie w państwowym tego słowa znaczeniu. Toteż pierwsze wzięli w opiekę najlepsi specjaliści, los drugiego był całkiem odmienny.

Odkrycie, stwierdzające najbardziej rdzenną polskość Opolą, wynikało z nadmiernego zapалу nacjonalistów niemieckich do usuwania stamtąd wszelkich śladów polskości.

Wiosną 1929 roku bandy szowinistów zmasakrowały w Opolu grupę aktorów polskich. Niesławna historia była głośnym, lecz wcale nie jedynym przejawem ostrego kursu. W tym samym czasie trwało bowiem burzenie zamku na wyspie odrzańskiej, zwanej Ostrówkiem. Robotę prowadzono z zapalem na pewno godnym znacznie lepszej sprawy. Stare mury nie poddawały się łatwo. Przyszło używać najbardziej sprawnych narzędzi, a nawet sięgać po dynamit.

Oglądałem lotnicze zdjęcie kasztelu, dokonane tuż przed jego zagładą. Zespół piętrowych budynków o spadzistych dachach obejmował Ostrówek z trzech stron jakby prostokątną kłamrą. Na wyniosłej baszcie okrągłej siedziała czapa spiczastego hełmu. U skraju sterczała jeszcze jedna wieża, czworokątna. Nosiła nazwę Głodowej, a wśród rodowitych opolan uparcie utrzymywało się podanie, że osadzano w niej ludzi skazanych na ten rodzaj śmierci. Inna legenda opowiadała o zamurowywaniu żywcem w grubych ścianach.

Twierdza nie była już autentycznym zamkiem piastowskim, który tu stanął w XIII-XIV

stuleciu. Znaczna jego część została dawno zburzona, reszta uległa znacznym przeróbkom. To, co przetrwało do hitlerowskich czasów, pamiętało wiek XVII i na pewno kryło pozostałości dawnej architektury.

Ocalała tylko baszta, i to w stanie pozałowania godnym. Innych budynków zamkowych już nie ma. Po Wieży Głodowej pozostało wspomnienie, rysunki i nieliczne fotografie.

Przy burzeniu jednej ze ścian natrafiono w zamurowanej wnęce na szkielet kobiety okryty zetłalym całunem. Nie wiadomo, kto to był - niewierna żona czy mniszka, która złamała śluby.

Na miejscu kasztelu, radującego oko bogactwem linii zespolonych w harmonijną całość, stanął gmach regencji. Potwornie wielki i ciężki blok żółtego klinkieru na pajęczych nóżkach. Podcięto go bowiem szerokim podjazdem z cienkimi czarnymi kolumnkami.

Ceglana baszta pozbyła się hełmu, otrzymała za to ozdobę w postaci pierścienia żółtego klinkieru u samej góry.

Budowa gmachu regencji wymagała odpowiednio głębokich fundamentów. Zaczęto je kopać i wyjrzała spod ziemi sensacja w postaci całego drewnianego miasta. W światku uczonych specjalnego autoramentu zawrzało. - Pragermańskie osiedle! - zakrzyknięto z triumfem.

Konsulat polski natychmiast wysłał depezę, zawiadomił, kogo potrzeba. - Przyjechał z Poznania Kostrzewski - opowiadali mi starzy opolanie. - Prywatnie, jak zwyczajny turysta. Stanął koło bariery, popatrzył!... Aha!

Zamiłowania do prawdy żaden naród nie ma na wyłączną własność. Uczony niemiecki, archeolog Raschke, miał ponadto dość odwagi cywilnej, by głośno powiedzieć: - Nie, panowie, tutaj niczego pragermańskiego nie ma. Osiedle miejskie w Opolu jest czysto słowiańskie. Inaczej jeszcze mówiąc - polskie.

W istniejących podówczas w Niemczech warunkach nauki i prawdy stosowanej twierdzenia Raschkego nie wyszły znaleziskom na dobre. Są na świecie niezawodne sposoby administracyjne topienia spraw niewygodnych. Odmawia się subwencji, obcina budżety... Przedwojenne badania w Opolu ograniczono do samych wykopów pod fundamenty. Podwórza zamkowego nie tknięto... na wielkie szczęście.

Czteryście dwadzieścia pięć metrów kwadratowych powierzchni wyściela drewniany dywan. Żółcą się na nim prostokąty słomianych mat, którymi osłonięto najcenniejsze

odkrycia. Nad prostopadłymi ścianami ogromnego Jolu drewniane bariery oraz wysokie żurawie studzienne - do wydobywania kubłów z ziemią.

Przed wojną wyryto w Opolu doły bardzo głębokie. Wydobyło masę zabytków, których jednak nie opracowano, nie oznaczono nawet warstw pochodzenia, Ukazało się parę tylko lakonicznych sprawozdań. Materiał powędrował na przechowanie do Muzeum Prehistorycznego w Raciborzu, gdzie podczas wojny poszedł z dymem. Pozostało nam samo tylko wyszczególnienie znalezionych przedmiotów oraz wiadomości ogólne, Takie na przykład, że osada opolska, pięć razy zmyta przez powódź i czterokrotnie strawiona pożarem, nawarstwiała się aż dziewięciokrotnie na poprzednie własne ruiny. Ślady życia osiadłego wiodą w głąb IX stulecia, a jeszcze niżej są pokłady kultury „łużyckiej”.

Tyle tylko mówią dawne badania niemieckie. Pozostało nam jeszcze jednak - jak przed chwilą wspominałem - rozległe, nie naruszone podwórze zamkowe. To w nim był wykop z żurawiami, drewniany dywan i słomiane maty.

Trafiłem do Opolu na okres bezkrólewia. Dotychczasowe kierownictwo w osobach profesora Rudolfa Jamki i Emila Hachulskiego przeniosło się na Wawel, a nowego jeszcze nie mianowano, Owej jesieni nie miało się już zresztą więcej kopać. Nie można przecież bez przerwy ryć i ryć, bo opracowanie wydobytych przedmiotów też wymaga niemałego czasu. A jeśli się zaniedba badania zdobyczy - to, co dawniej słojami leżało w ziemi, ułoży się w takie same warstwy na półkach magazynów. Odnoszę wrażenie, że profesor Jan Czekanowski skłonny jest oskarżać naszych archeologów o tworzenie takich właśnie odkurzonych warstw.

Oglądałem w Opolu warstwę trzecią licząc od góry, czyli znaczny fragment miasta z XIII wieku. Zwiedzałem jego osobliwości, korzystając z przewodnictwa młodej asystentki, pani Barbary Czerskiej.

Bez przewodnika byłoby nawet trudno. Domów wprawdzie niewiele, zaledwie trzynaście, zgrupowanych wokół dwóch placyków, jednego placu oraz ulicy (powtarzam, że jest to tylko fragment miasta), ale trzynastowieczne obyczaje mieszkaniowe były dziwne i bez objaśnień osoby wtajemniczonej niewiele można zrozumieć.

Domy są obecnie otwarte od góry, rzecz jasna. Z każdego pozostał jedynie prostokątny odziomek z belek, kładzionych na zrąb. Zupełnie jakby ostrym nożem pościnano ściany do wysokości kilkudziesięciu centymetrów, czyli jakich pięciu, sześciu dolnych bierwion.

Oto chałupka o podłodze trójdzielnej, przypominającej trzy sąsiadki. Wyścielala je

plecionka. Znalezione tu mnóstwo skorup orzechów laskowych. Dawni Polacy jadali je chętnie - i z innych wykopalisk o tym wiemy. Ale tutaj wygląda na skład orzechów. Wystąpiły w wykopaliskach znaczne ilości prosa, kości zwierząt domowych i ości ryb, skorupy jajek, pestki śliw, jabłek, zwłaszcza zaś najliczniejsze wiśni i brzoskwiń. To wszystko należy do normy. Skądże jednak w Opolu aż tyle skorup ślimaczych? Na terenie osiedla nie wykryto ani jednego pomieszczenia dla zwierząt, które hodowano, ale trzymano chyba gdzieś na zewnątrz.

W tej ciasnocie nie było miejsca na stajnie czy obory. Nie było go też na sady. To wszystko musiało się znajdować gdzieś za wałami, a nawet za rzeką. Zupełnie jak we Wrocławiu.

Nie ma żadnych wątpliwości co do Opolu - to było miasto zamieszkałe przez rzemieślników i kupców, którzy musieli nabywać żywność. Typowi mieszczanie, uprawiający swe procedury na wieki całe przed okresem kolonizacji na prawie niemieckim, która jakoby to miała u nas zapoczątkować życie miejskie.

Ale, jak wolno wnosić, mieszczanie oryginalnego, później już nie spotykanego typu.

O domu, oznaczonym dla porządku i łatwiejszej systematyki numerem trzecim, opowiadała Barbara Czerska, że znaleziono w nim - pod jednym i tym samym dachem - sporo kawałków skóry, przęśliki tkackie oraz ostrogę bojową. Więc albo majster szewski, przęślikarz i wojownik mieszkali razem, albo - wiele rzeczy było zupełnie inaczej niż później.

W 1953 roku profesor Henryk Łowmiański wydał książkę: *Podstawy gospodarcze formowania się państw słowiańskich*. Wśród mnóstwa poruszonych przez autora zagadnień jedno dotyczy bezpośrednio sprawy ostróg opolskich, a także licznych sztuk broni tu znalezionych.

Według profesora to, co skrótowo zwiemy wojskiem albo rycerstwem Mieszka czy Chrobrego, dzieliło się w zasadzie na trzy kategorie: rycerstwo wyższe, wielmoże, feudałowie - ci mieli na własność ziemię, ale od handlu na dużą miarę wcale nie stronili; drużyna wojenna - stała siłą zbrojna, utrzymująca się na koszt panującego; i rycerstwo niższe - do niego właśnie mógł się zaliczać właściciel domu, w którym typowe atrybuty rzemiosła w najlepszej zgodzie sąsiadowały z ostrogą.

Ustawy odgraniczające zajęcia godne szlachcica od hańbiących go procedurów miejskich zjawily się u nas o wiele później. Jeszcze za Jagiełły rycerstwo swobodnie trudniło się handlem. Za czasów dawnego Opolu zamieszkujący miasta kupcy i rzemieślnicy mogli być

także wojownikami. Panujący pamiętał o nich i obdarzał, przypadła im część z podziału łupów, lecz główne źródło utrzymania ich samych oraz rodzin stanowiła praca.

„Nie da się zaprzeczyć - pisze Henryk Łowmiański - że miasta były osadami rzemieślniczo-handlowymi, niemniej wyraźnie występuje ich funkcja jako obozów warownych zamieszkałych przez ludność rycerską. Nie widać też, ażeby mieszkańcy pełniący funkcje gospodarcze handlowo-rzemieślnicze stanowili grupę odrębną od rycerskiej.”

Jeśli tak było, łatwo pojmujemy, dlaczego obrona Niemczy za Chrobrego czy Głogowa za Krzywoustego przebiegała aż tak sprawnie pod względem technicznym. Łyki były wtedy rycerstwem.

W Opolu nie brakowało wojowników konnych, lecz brzęku ostróg wcale nie było słyhać. Bo te, których używali, nie były podobne do późniejszych, zaopatrzonych w potwornej wielkości koła zębate. Ostroga wczesnośredniowieczna nie wygląda tak groźnie, bodźce ma stożkowate lub ostrosłupowe, bez kółka. Tamte srogo zębate weszły w użycie dopiero wtedy, gdy przyjął się zwyczaj okrywania konia grubym kropierzem i jeźdźcowi zaczęło być trudno dobrać się mu do skóry.

Przyjechałem do Opolu, kiedy chwilowo nie było na miejscu fachowego kierownictwa, ale to wcale nie znaczy, że nie miałem z kim pogawędzić o planach i pracach. To miasto nie czekało na sygnał z Warszawy, samo rozpoczęło badania przeszłości regionu. Ludzie nie zapomnieli starego zamczyska ani rewelacji, które wyrzały z dołów kopanych pod gmach regencji. Już w 1947 roku powstał Komitet Badań Prehistorycznych w Opolu, założony przez Polaków miejscowych oraz przyjezdnych, takich, co od razu rozpakowali walizki. Władze natychmiast udzieliły mu poparcia.

W magazynach archeologicznych na Ostrówku leżało kilka milionów znalezisk, piętrzyły się stopy pudeł i skrzyń, a mimo to chodzić i poruszać się można było swobodnie. Biura ekspedycji - takich samo Kierownictwo nie miało w Warszawie. Zbudowano je w sposób bardzo pomysłowy. Zajęto po prostu obszerny podjazd czy prześwit gmachu regencji. Między czarnymi kolumnkami puszczone drewniane ściany. O dach troszczyć się nie trzeba było, bo przecież wszystko znalazło się pod pierwszym piętrzem żółtego domiska. W ten sposób znalazło się miejsce i na biura, i na pracownię, i na niewielką, ale treściwą wystawę. Zdziałał wszystko ów Komitet, który uzyskał też od władz wielki budynek w Rynku, przeznaczony na Muzeum Ziemi Opolskiej.

Autentyczne poparcie społeczeństwa, akcja wychodząca od dołu, bez czekania na sygnał żadnej centrali. Nic na świecie jej nie zastąpi.

Długo rozmawiałem z dwoma przedstawicielami Komitetu, rodowitymi opolanami, doktorem Szymonem Koszykiem oraz Ignacym Kuźniewskim. Zaczęli od zaprowadzenia mnie przed mapę Opolszczyzny. Uwidoczniony był na niej bieg górnej Odry. Oba brzegi rzeki pstrzyły się żółtymi kółeczkami.

- Nie wystarczy przekopać i zbadać tylko samo Opole - powiedziano mi. - Naszą ambicją zbadać te wszystkie stanowiska w liczbie trzystu. To jest nasz cel. Bo w nich kryją się dowody rdzennej i tysiącletniej polskości.

Niewątpliwie - polskości dawnej. Bo jeżeli chodzi o współczesną, to zdaje się, że nie trzeba lepszego argumentu niż ci dwaj Ślązacy.

Nie wytrzymali długo przy obrosłych pleśnią tematach. Zaczęła się rozmowa o współczesności, o zamiarach rozwoju Opola w ramach niedawno wtedy rozpoczętego planu sześcioletniego. Szczególnie zapalił się doktor Koszyk.

- Bo tu dawniej bez sensu było budowane, proszę pana - perorował z ożywieniem. - Fabryczne kominy nad samą Odrą! Któż to widział? Bo Rynek to jest salon miasta, ale wybrzeże rzeki, jak się jedzie od Wrocławia, to jest jego bilet wizytowy. Tu musi być ładnie i dla oka miło.

Z faktu budowy wielkiej cementowni moi rozmówcy byli zadowoleni. Ale doktor Koszyk opowiadał, że lansuje projekt obsadzenia jej masywu rzędami topoli.

- Bo to, proszę pana, tak trzeba działać, żeby... żeby - zaciął się *um das Landsbild zu verschöneren!*

Powstrzymałem odruch. Nie wypadało objąć za szyję i wyściskać poważnego, siwego pana. A chciało mi się to zrobić. Za to właśnie, że po niemiecku, precyzyjnie i ściśle wyraził myśl, która zwykle się w takich okolicznościach rodzi w mózgu Polaka... ze wschodu. Nikt mi nigdy nie wytłumaczy, że czerwone nowoczesne mury nad Jeziorem Biskupińskim albo nad Jelonkiem w Gnieźnie to ładny widok.

Silny urok wywiera nawet na przyjezdnych ludzi to miasto nad Udrą, stolica prapolskiego plemienia, którego siły lat temu tysiąc sto wywiad frankoński oceniał na dwadzieścia grodów.

Pod wieczór zaszedłem do Muzeum Miejskiego. Dyrektor, doktor Józef Obuchowski, z Grodzieńszczyzny rodem, pracował w swym gabinecie, lecz odłożył papiery i natychmiast

zaprowadził mnie do działu etnografii.

- Co to jest? Jak pan nazywa ten przedmiot? - zapytał. - To? Durszlak. Drewniany, ale durszlak.

- Nie! Nieprawda! Przedmiot ten nazywa się cedzitko albo ocedzok. A tamto, ot w tej szafie?

- Szufła!

- Znowu nieprawda! - dyrektor patrzył na mnie z rosnącym zgorzeniem i ubolewaniem. - Wiejacha! To tylko tam u was, w Warszawie i w Krakowie, używa się cudzoziemskich terminów. A w Opolszczyźnie, która przez sześćset lat była od Polski oderwana, są nazwy własne, polskie.

Archeologiczne bezkrólewie nie trwało w Opolu długo. Stanowisko objął profesor Włodzimierz Hołubowicz. Długoletnie prace jego zespołu odsłoniły panoramę, której mimo wszystko nie spodziewaliśmy się. Profesor pisał o swych odkryciach. Oprócz publikacji fachowych, ukazała się również w roku 1956 rzecz przeznaczona dla szerszej publiczności: *Opole w X-XII wieku*. Byłoby całkiem dobrze, gdyby nie ta okoliczność, że książka została doszczętnie wykupiona i nigdzie jej dostać nie można.

Drewniane miasto opasane drewnianymi wałami, które służyły jednocześnie za tamy przeciwpowodziowe, było nie lada jakim ośrodkiem rzemiosła i handlu. Istniało już w wieku X, ale korzenie jego sięgają głęboko w stulecie VIII.

Pewnego letniego wieczoru 1953 roku spotkałem profesora Hołubowicza w Gnieźnie. Obaj zmierzaliśmy do Biskupina. Opowiadanie o Opolu szczelnie wypełniło czas.

Profesor nie tyle mówił o szczegółach, co swobodnie interpretował sens znalezisk, a jedno z jego przypuszczeń wydało mi się szczególnie przekonujące i ciekawe: mieszczanie opolscy musieli mieć szersze zainteresowania i dalej sięgać myślą oraz wyobraźnią niż ich własna władza państwowa. Wśród resztek domostw na Ostrówku i w ciasnych przesmykach ulicznych odnaleziono strzępy tkanin, które niewątpliwie pochodziły z Flandrii. To by jeszcze nie było niczym nadzwyczajnym. Budowniczy wrocławskiej katedry w XII w. był Belgiem, zakonnicy z tamtejszego klasztoru na Piasku utrzymywali stały kontakt z Francją, a cała ówczesna Polska ciągle po coś sięgała na Zachód. Ale w Opolu, w warstwie odpowiadającej X stuleciu, leżał kawał kobierca „kosmacza” sporządzonego z wełny kóz angorskich i na pewno wywodzącego się z Azji Mniejszej. Stal damasceńska i cenne muszelki znad Morza

Czerwonego znalazły się również. Stronami, z których pochodziły te egzotyczne wyroby, interesowali się wtedy w Polsce tylko kupcy. Brak dowodów, że ktokolwiek z Opolan wyruszył kiedykolwiek w tak daleką wędrówkę i dotarł aż do Bliskiego Wschodu. Silnie zdarte podkowy, których dużo odszukano, świadczą o wyprawach na południe, za góry - może tylko do Czech, a może i gdzieś dalej... Jeśli wschodnie towary przywozili do Opola ludzie obcy, to wraz z nimi i wiadomości. Nie było chyba jeszcze na świecie kupca, który by nie pragnął dowiedzieć się czegoś o miejscu pochodzenia nabywanych przedmiotów.

Używano w Opolu i brokatu, tkaniny cenionej jak samo złoto. Mieszczanie nie żalowali grosza na stroje, co jeszcze nie dowodzi, że nie chcieli płacić taniej. To można było osiągnąć, unikając pośrednictwa. Należało wiedzieć, gdzie są wytwórnie i którą drogą do nich.

Rzemieślnicy opolscy. Umieli sporządzać wytworne ażurowe obuwie, rzeźbione łoża, a także noże, których pojedyncze okazy składały się z dwu rodzajów stali. Lepsza, wysokiego gatunku, tworzyła ostrze, pośledniejsza tylce.

Majstrowie budowlani pracowali nie tylko w samym mieście, ale i na miejscu wyrębu, w lesie. Tam przygotowywali cały materiał na dom, cechowali poszczególne belki, które płynęły potem Odrą na Ostrówek. Tutaj należało już tylko dostarczyć je na plac budowy i złożyć, zważając na wyciosane siekierą znaki.

Do wymyślenia tej metody zmusiła chyba sama natura miejsca. Miasto na wyspie było zwarte i ciasne. Jakże w nim było upchać składy surowca i gotowego budulca, warsztaty cieślów? Ulice moszczone były dranicami, które co jakiś czas podwyższano, układając nowy poziom. W Opolu ciągle chyba coś się budowało. Ulepszenie, polegające na dostawie wodą elementów już przygotowanych do szybkiego złożenia lub ułożenia, ułatwiało życie miasta.

A żyło się w nim, jak można wnosić, wcale niebiednie i nie w zacofaniu, lecz wedle obyczajów dziwnie niezmiennych, wyraźnie dziedziczonych z jednego pokolenia na drugie. Badacze stwierdzili, że wschodnie kąty domostw były zawsze najlepiej utrzymane, najczystsze. Ani razu nie udało się wykryć paleniska, przyciśniętego belkami podłogi później położonej. Kamienie, na których płonął ogień, zbierano widać przy przebudowie bardzo starannie, nie uważano więc ich za byle co. Tak całkiem, jakby płomień ogniska nadał im godność. Ulice wytyczone były tak, że pierwsze promienie wschodzącego słońca musiały oświetlić południowo-wschodnie naroża domów.

Osiedle na Ostrówku zaczęło rosnąć w dobie pogańskiej, w chrześcijańskiej rozrosło się w miasto. To, co o nim wiemy, nie wskazuje na żaden wstrząs, który by zakłócił formy

bytowania. One się udoskonalaly w sposób chciałoby się rzec: organiczny, równy. Tylko z kronik wiemy, że w roku 966 Opole wraz z całym państwem wkroczyło w nową epokę historii.

Amulety i znaki magiczne wykrywano częściej niż krzyże.

Wykopaliska opolskie poparły wnioski wysnute z opowiadań kronikarzy. Przyjmując chrześcijaństwo Polska usunęła ostatnią z różnic dzielących ją od krajów Zachodu. Już wcześniej zdecydowanie zbliżyła się do nich we wszystkim, co dotyczyło cywilizacji materialnej i organizacji życia politycznego. Stała oczywiście na niższym szczeblu rozwoju, lecz niewątpliwie na tej samej drabinie hierarchii.

Wiosna 1241 roku zakończyła historię dawnego Opolą. Po bitwie pod Legnicą spalili je Tatarzy. Ludność uszła w lasy i archeologowie nie wykryli szkieletów.

MARE BARBARUM

I

- Jak tu u was na Górę Zamkową?

- Na Górę Zamkową? Nie ma takiej w Szczecinie. Pan chce pewnie do Zamku Piastowskiego? Tym tramwajem i zaraz po lewej ręce będzie widać.

Pomyliłem się w nazwie. Zwiodło mnie przyzwyczajenie do zawołań potocznych, spowszedniałych i wytartych w powszednim użyciu. Tutaj, w „nowym kraju”, powracająca polskość postarała się o miana trochę odświętne i koturnowe.

Historycy już chyba jednogłośnie twierdzą, że Piastów w Szczecinie nigdy nie było, a przynajmniej, że brak dowodów piastowskiego pochodzenia miejscowej dynastii, niewątpliwie zresztą słowiańskiej. A więc w gruncik rzeczy dopytywałem o drogę do Zamku Książąt Pomorskich.

Wypalone od fosforowych bomb amerykańskich szare mury. Bielma zamurowanych okien nad gajem bujnej zieleni, błyszczącej w słońcu kryształami rosy jesiennej. Wysoko, na wschodniej ścianie wewnętrznego podwórca, mały prostokąt purpury i złota. Nisko w dole poczerniałe belki i kołki na dnie ogromnej sztolni.

Dawno temu, pewnego równie pięknego poranku polskiej jesieni, kiedy zabieraliśmy się w szkole do lektury *Iliady*, zdumiała mnie wiadomość o trudach odkrywczych dawnego Schliemanna. Nauczyciel opowiedział nam, że badacz rozpoznał Troję Homera w dziewiątej z przekopanych warstw wzgórza Hissarlik. Dziewiąta warstwa! To mi się wydało niemożliwym do pobicia rekordem mozołu naukowego.

Stoję na szczycie olbrzymiej drabiny na podporach, ukośnie pochylonej nad szczecińskim wykopaliskiem. Dokonuje się stamtąd zdjęć, które pokazują ogólny widok odkrycia. Nieliczne bierwiona tam na dole i czarne kołki wokół nich to jest dwunaste z kolejno odsłanianych złóż historii. Skorupy garnków, lepionych ręcznie, bez użycia koła, zdradziły jego wiek - IX stulecie po Chrystusie. Bez mała tysiąc dwieście lat temu położono te dranice i okrągłaki; wtedy używano znalezionych tu przęślików, szydła kościanego, noży, grzebieni, z których ocalały dwa kawałki. Jeszcze niżej, w owej chwili niewidoczny, leży w ziemi czarnej jak smoła pokład trzynasty, „łużycki”, z wczesnej epoki żelaza.

Jedne na drugich spiętrzały się na sobie ostatki drewnianych budowli. Taki sam zrębowy system wznoszenia chat, wzmocnianych palikami oraz podkładkami z belek pod narożniki. Ten sam sposób wykładania ulicy dranicami. Ewolucyjne zmiany w zakresie ceramiki, ale zasadniczo ten sam typ rolniczo-rzemieślniczego osiedla. Masy dobrze oczyszczonego zboża, łuski rybie, haczyki, resztki tkanin wełnianych, grzebienie do czesania lnu - nie przerwany ciąg osadniczy ludności miejscowej, najrdzenniejszej autochtonicznej.

Ciemną smugą węgla i popiołu położyła się na tym warstwa trzecia od góry. Nie znaleziono w niej żadnych szczątków budowli, które poszły z dymem w pierwszej połowie XII wieku. Wiemy od kronikarzy, że wtedy właśnie zdobył Szczecin Bolesław Krzywousty, który stosował twarde metody nawracania na chrześcijaństwo, a wojował nadzwyczaj srogo.

Warstwy wyższe to już stulecia XIII i XIV, aż do żółtego piasku podsypanego pod bruk pewnie w wieku XVI. Podówczas także, w dobie renesansu, wmurowany został tamten prostokąt purpury i złota - płyta Barnima IX, nie ostatniego jeszcze z dynastii pomorskiej.

W samych początkach polskich prac na zamku, w październiku 196 roku, natrafiono pod ruinami kaplicy na trumny książęce. Za murem cmentarnym, o owalnym zarysie, łopaty odsłoniły pierwsze pokłady drewna. Od tego zaczęło się kopanie.

Jasne światło słoneczne zalewało gabinet kierownika badań, magistra Tadeusza Wieczorkowskiego, znajdujący się w skrzydle zamku już całkowicie uporządkowanym. Rozmówca wysunął szufladę biurka i położył przede mną niewielki płaski przedmiot.

- Na oko jak pan określi pochodzenie? Z której strony świata?

- A wolno wziąć do ręki?

- Proszę.

Była to długa na kilka centymetrów figurka z utraconą głową. Wypukłorzeźba. Powłóczysta szata prostymi fałdami zakrywała stopy posążku. Zgięte ramiona przytrzymały przy piersi jakiś kształt, którego jednak nie mogłem rozpoznać. Wydawało się, że na barkach jakby znać dolny rąbek nakrycia głowy.

- Ja tak myślę... na oko tak mi się zdaje, że jakby egipskim pochodzeniem załatywało - mówię niepewnie.

- Owszem, były i takie domysły. Przypuszczano, że to jest w każdym razie import z południowego wschodu. Ale proszę się przyjrzeć, co to za materiał.

- Róg?

- Tak jest. Obecnie przypuszczamy, że posążek pochodzi z północy. Znaleźliśmy to w warstwie jedenastej. Proszę, oto szkło powiększające. Ta postać jedną ręką przytrzymuje ptaka, a drugą go karmi.

W istocie, przez szkło lepiej widać. Figuryńka grała pewnie jakąś rolę w dawnych obrzędach. Ktoś jej cześć oddawał, może okadzał i składał ofiary. U dołu znać resztki żelaznej podstawy - posążek można było ustawiać.

Znalazło się to w najstarszej niemal warstwie wczesnośredniowiecznego osadnictwa, wśród licznych śladów pożaru, w bezpośrednim sąsiedztwie przedmiotów tak rodzimych i zwykłych, jak stempel zdunski, osełki, igły i szydła kościane, łyżki, noże żelazne i przęśliki. Subtelnej rzeźby dotykały twarde dłonie oraczy i rzemieślników.

Znalezisko to nie jest jednak żadną nadzwyczajną rewelacją. Nawet jeśliby naprawdę pochodziło z Egiptu. Rogowy wizerunek bogini czy kapłanki potwierdził tylko to, co wiedzano dawniej, tezy, o które staczano zażarte spory naukowe. Podobnie zresztą jak i wszystko, co wydobyło z wykopu, który się wdrażył w ziemię najdalej na północnym zachodzie położonego kąta Polski.

W płamach czarnej próchnicy, na samym dnie, zalegają świadectwa kultury „łużyckiej”. W zasięgu tej prasłowiańskiej cywilizacji leżał cały bieg Odry, razem z ujściem rzeki i archipelagiem wysp. Ale tutaj, od Zaodrza aż po ujście Wisły i jeszcze dalej na wschód, ludy „łużyckie” wytworzyły typ specjalny, nadmorski. Jednocześnie weszły w bezpośrednią styczność z Germanami, którzy wtedy - to znaczy w drugim tysiącleciu przed Chrystusem - oprócz Skandynawii i Jutlandii zajmowali w Europie trójkątny obszar, oparty podstawą o zachodni Bałtyk, wierzchołkiem zaś o średni bieg Łaby, przy ujściu Haweli. Linia poprowadzona stamtąd do Gryfii daje pojęcie o ówczesnej wschodniej granicy świata germańskiego.

Cóż tu się dziwić, że w średniowieczu piękna rzeźba zawędrowała do Szczecina? Świetny znawca tych spraw, doktor Władysław Kowalenko, powiada, że już w epoce „łużyckiej”, a więc o kilkanaście stuleci wcześniej, na ziemię nasze docierały drogą morską nie tylko brązowe miecze i sztylety, złote i srebrne zapinki ze Skandynawii, nie tylko broń z Anglii, ale nawet ozdobne paciorki z Egiptu. I w drugą stronę - bałtycki bursztyn znano w Etrurii, Grecji, Babilonie i Egipcie. Powszechna nazwa elektryczności wywodzi się wszak od greckiego słowa „*elektron*”, które oznaczało bursztyn.

Wśród jeszcze dawniejszych znalezisk pomorskich są siekierki zrobione z pięknej odmiany pręgowanego krzemienia. Wydobywano go w kopalniach koło wsi Krzemionki Opatowskie w województwie kieleckim.

W okresie „łużyckim” ludność nadbałtycka podzieliła się na dwie grupy: zachodniopomorską, po obu brzegach dolnej Odry, oraz kaszubską, sięgającą na wschód aż po Zalew Wiślany. Grubo przed naszą erą losy ich potoczyły się w sposób zupełnie odmienny.

Już w początkach epoki żelaza odłam zachodni z trudem utrzymywał teren przed naporem Germanów z zachodu, Bornholmu i Szwecji. Ślady tych zmagania to liczne prasłowiańskie grody. W VII czy VI wieku przed Chrystusem Germanowie zajmują Uznam, Wolin oraz dzisiejszy powiat kamieński, w stuleciu IV docierają do samych granic Ziemi Lubuskiej. Są oni teraz warstwą panującą, ale na podbitym obszarze trwa nadal ludność pierwotna.

W tym samym czasie grupa kaszubska przeżyła dobę niebywalej świetności, niepodzielnie władając od Regi aż poza Wisłę. Jej rozgałęziony handel i wysoko rozwinięta metalurgia stają się głównymi dźwigniami zamożności i znaczenia politycznego. Musiała tu wtedy istnieć - i to chyba niesłaba - jakaś forma organizacji państwowej, skoro właśnie Pomorzanie dokonali najpierwszego w dziejach zjednoczenia politycznego krajów Polski zachodniej i środkowej. W pierwszym okresie epoki żelaza (700-400 przed Chrystusem) podbił je lud, który grzebał swoich zmarłych w dziwnych urnach ozdobionych wizerunkiem twarzy ludzkiej oraz w obszernych jakby komorach, wykładanych kamieniem. Zdobywcy mieli cenny zwyczaj wyobrażania na ściankach owych urn scen z życia nieboszczyka - łowów odbywanych konno, wozów z dwukonnym zaprzęgiem. W tym wszystkim mogła się przejawiać stara tradycja znad Morza Śródziemnego. Na samym początku tej relacji wspominałem, w ślad za uczonymi, że na ziemi te w III tysiącleciu przed Chrystusem dotarł lud „ceramiki wstęgowej”, którego pierwotne siedziby leżały daleko na południu. Po nim to pozostały nam pamiątki w postaci nazw Tczewa, Rozewia i Wierzycy.

Nie jest to jedyna teoria wyjaśniająca etruskie nazwy na polskim Pomorzu. Profesor Kazimierz Tymieniecki twierdzi, że mogli je nadać sami Etruskowie, przybywający morzem dla handlu. Z tego samego źródła mogą się wywodzić i urny „twarzowe”, i wyobrażone na nich dwukonne zaprzęgi.

Lud kultury „grobowców skrzynkowych” i „urn twarzowych” podbił i na czas pewien zjednoczył ziemie polskie. Wyruszył z Pomorza. Ale jego etniczne pochodzenie stało się

przedmiotem zażartego sporu z pewną kategorią uczonych niemieckich, którzy dopatrywali się w nim germańskich plemion Bastarnów, Burgundów i Wandalów.

Ani w Skandynawii, ani w Danii żadnego odpowiednika kultury „urn twarzowych” nie ma. Bastarnowie, którzy prawdopodobnie byli ludem celtyckim, a nie germańskim, nigdy w ogóle Pomorza nie oglądali, a Burgundowie i Wandale zjawili się tam, owszem, ale dopiero w I stuleciu przed Chrystusem, a nie w epoce żelaza.

Kultura „urn twarzowych”, która rychło rozplynęła się w morzu innych plemion prapolskich (o czym pisałem w rozdziale poświęconym Tyńcowi), była tworem kaszubskiego odłamu ludności „łużyckiej”. Jego ekspansję i podboje próbowano wyjaśniać „zdobywczymi tendencjami psychiki germańskiej”. Były czasy i okoliczności, w których taka teza stanowiła komplement. Nauka rzetelna tłumaczy zjawisko owej ekspansji nie odwołując się do mistycznych cech ducha plemiennego. Doktor Władysław Kowalenko powiada na przykład w studium *Najdawniejsze związki Prасłowian i Słowian z Bałtykiem*:

„W żadnym okresie pradziejów ziem polskich i pomorskich ludność łużycka, a szczególnie kobiety nie wykazywały tyle upodobania do ozdób co wówczas. Również mężczyźni używali wielu przyborów toaletowych. Na Pomorzu wówczas były w powszechnym użyciu paciorki bursztynowe oraz paciorki ze szklawa (barwy pomarańczowej z białymi i niebieskimi oczkami) sprowadzane z Egiptu, a z nad Morza Czerwonego muszelki ozdobne (kauri).”

Zamiłowanie do elegancji, obecność na Pomorzu luksusowych paciorków egipskich oraz muszelek kauri - posiada ścisły związek ze zjawiskiem ekspansji politycznej Pomorzan w latach 700-400 przed Chrystusem. Dowodzi bowiem bardzo znacznej zamożności starszyny plemienną, ciągnącej zyski z handlu morskiego. Dodajmy wysoko rozwiniętą metalurgię, a otrzymamy obraz ludu, który wcześniej od reszty „łużyckich” pobratymców musiał doznać podziału społecznego ludności, a w ślad za tym rozwinąć organizację polityczną.

Najazdy Pomorzan skłoniły ludność pozostałego obszaru „łużyckiego” do zabezpieczania się grodami. Może pod groźbą tej inwazji opustoszał Biskupin? A może i tajemniczy Neurowie z Wielkopolski wtedy także wyemigrowali ze swych pierwotnych siedzib aż nad Dniestr, pokrywając sromotę rejterady pogłoskami o nadmiernie rozplenionych wężach. Jeśliby tak było, niezamierzonym skutkiem najazdów Prąkaszubów byłby zapis w dziele Herodota, najstarsza w kronikarstwie wzmianka o Słowianach w ogóle.

Zdobycze plemion pomorskich nie stworzyły długotrwałej organizacji politycznej na ziemiach „łużyckich”, które zaczęły wchodzić w fazę pewnej dekadencji. Dla Pomorza

Zachodniego kończy się ona w II stuleciu przed naszą erą. Udoskonalona produkcja żelaza i przemysł hutniczy pozwalają Słowianom znowu stanąć na nogi. Linia środkowej Odry, wraz z ujściem Warty i Noteci, jak również dolny bieg Nysy zostają odzyskane. Na samym brzegu morskim Słowianie znowu przekraczają Regę i sięgają aż po Świnoujście. Co prawda, są tu jeszcze j Germanowie, ale trudno rozstrzygnąć, czy - zmienioną losu kolejną - nie jako ludność zależna.

Doktor Kowalenko jest autorem ciekawej hipotezy. Położenie Słowian nad Bałtykiem mogła ułatwić przypadająca na te czasy słynna wyprawa Cymbrów i Teutonów w granice państwa rzymskiego, która odciągnęła napór germański w inne strony, na południe.

U schyłku ostatniego tysiąclecia przed Chrystusem granica świata słowiańskiego i germańskiego biegła dokładnie wzdłuż Odry i Nysy. Na zachód od tych rzek brak śladów pobytu Prasłowian. Mieszkali oni zwartą masą po stronie wschodniej.

W 58 roku przed Chrystusem zdarzył się wypadek zanotowany przez Korneliusza Neposa. Rzymski prokonsul Galii, Metellus Ceter, otrzymał w darze od króla Batawów rozbitków morskich, kupców, którzy zapędzili się aż na wybrzeże Atlantyku, gdzie statek ich strzaskała burza. Analiza tej wiadomości prowadzi uczonych do wniosku, że żeglarze ci, nazwani przez Neposa Indami, byli w rzeczywistości Wenedami, czyli Słowianami z naszego Pomorza. Bo tak nazywali Słowian pisarze starożytni. Zatoka Gdańska nosiła u nich miano Wenedzkiej.

Nazwa przechowała się długo. Używali jej w stosunku do Słowian Niemcy, a Finowie do dzisiejszego dnia mówią na Rosjan: Venäjä.

W samych początkach naszej ery przy ujściu Wisty miało się rzekomo pojawić germańskie plemię Gotów, a w pięćdziesiąt lat później drugie jeszcze; Gepidów. Użyłem słowa „rzekomo”, bo profesor Tymieniecki w ogóle kwestionuje obecność Gotów i Gepidów nad Wisłą, obstając przy swym twierdzeniu wbrew zdaniu wszystkich innych historyków polskich. Dotychczas uchodziło za pewnik, że wspomniane plemiona germańskie stopniowo odpłynęły na południowy wschód, ku Morzu Czarnemu, gdzie przebywały na pewno. Profesor Tymieniecki utrzymuje, że Gotowie dostali się nad to morze wzdłuż Dunaju, a nie Wisły. W każdym razie IV stulecie zastaje całe Pomorze w ręku Słowian, którzy zdołali nawet przesunąć się dalej na zachód i osiągnąć Rugii.

Żadna z odkopanych w Szczecinie dwunastu warstw nie pamięta tej epoki. Najniższa, trzynasta, jest co prawda jeszcze starsza. „łużycka”. Ale tak się złożyło, że pomiędzy nią a IX stuleciem jest luka. W tym miejscu, a nie na całym Pomorzu! Szczecin to dość młode osiedle.

Niewiele starsze od tysiącletniego Gdańska.

Od niedawna kopano wtedy w jeszcze jednym miejscu. Na zastanym gruzami stoku pomiędzy Zamkiem a Odrą, w miejscu dawnego Targu Warzywnego, zdjęto nawierzchnię z dość znacznej prostokątnej przestrzeni. Najpierw pokazały się dwie poziome, bardzo potężne belki spojone na krzyż, z wycięciem pośrodku dla osadzania pionowego słupa i z zaciosami dla ukośnych podpór. Rzecz ta, uderzająco podobna do monstualnie wielkiej podstawki pod choinkę, jest może fundamentem pręgierza, który tu stał w wieku XVI, jak wiemy z rycin. Wokół zaczęły się pokazywać bierwiona, pale i kamienie dawnych budynków. Wszystko wtedy odkopane zawierało się jednak między stuleciem XIII a XVI. Późniejsze badania rzuciły wiele światła na średniowieczne podgrodzie szczecińskie, lecz ze względu na stosunkową młodość samego miasta nie mogły sięgnąć zbyt głęboko w przeszłość.

Ale ta „młodość” - podkreślam z naciskiem - to pojęcie względne. Szczecin dość późno wybił się na samo czoło Pomorza Zachodniego, lecz w X stuleciu na dzisiejszym wzgórzu zamkowym stało już grodziszcze. A znajdujące się niżej, ku Odrze, szczątki podgrodzia są starsze, pamiętają wiek IX. Pod tym, co dotychczas odkopano, zalegają jeszcze złoża wcześniejsze. Ostatnie słowo o Szczecinie wypowie niedaleka, zapewne, przyszłość.

Otoczenie wykopu było bardzo oryginalne, gdyż na ruinach puścił się już i wybujął spory gaj. Można było wygrzewać się na słońcu, słuchać szmeru liści i wypatrywać zdziczałych królików. A wspiąwszy się na kupę cegieł, miało się tuż przed oczyma żyjące nadbrzeże Odry - nową jezdnię i samochody, torowisko tramwajowe, a nieco dalej pochylone nad wodą dźwigi portu i czarne kadłuby przycumowanych transportowców.

Trochę na lewo widniała samotnie przysadzista i malownicza baszta średniowieczna zwana pięknie Basztą Siedmiu Płaszczy. Nikt dawniej nie wiedział o jej istnieniu. Aż przyszła okropna noc, kiedy od amerykańskiego fosforu zajęta się cała, dzielnica, w której - jak mi później wyjaśnili gdańscy stoczniovcy,- w małych warsztatach, systemem prawie chałupniczym, wyrabiano części hitlerowskich łodzi podwodnych. Uciekający ludzie padali do rzeki niczym płonące pochodnie. Wieża ocalała. Wyjrzała, spośród ruin domów, które ją były obudowały tak ciasno, że o niej zapomniano.

Kiedy w IX stuleciu kładziono kłody, odsłonięte obecnie na podwórzu zamkowym, położenie Szczecina w świecie słowiańskim uległo radykalnej zmianie. Osiedle utraciło charakter kresowego. Rola tę przejęła odległa Lubeka. W okresie wędrówek ludów, stąd - z Pomorza aż po Pasłękę wylała się na zachód potężna fala słowiańska, która dała początek

plemionom wieleckim i obodrzyckim. Do tych ostatnich należała Lubeka. Warto spojrzeć na mapę, by uzmysłwić sobie siłę tego słowiańskiego wylewu. Bezceremonialnie popchnięci Germanowie tym energiczniej zwalili się na murszejący świat starożytny.

Na losach osiedla, którego przeszłość opisywać mi wypadło, odbiło się to między innymi tak, że Szczecin, zamiast na zachodniej granicy, znalazł się raptem w samym środku słowiańskiego Pomorza.

Było ono już wtedy, a co najmniej od początku X wieku, zorganizowane politycznie, czego dowodzą liczne grody. Dzięki temu na północ od Noteci wyrosła silna zaporą, która zabezpieczała kraj Polan przed najazdami morskich Wikingów. Bastion skutecznie spełniał tę rolę, aczkolwiek stosunki pomiędzy Pomorzem a Piastami z Gniezna wcale nie zawsze układały się sielankowo.

W *Opisie Europy* króla Alfreda Wielkiego znajdują się wiadomości zaczerpnięte z opowiadań niejakiego Ohthere, Norwega, który mawiał o sobie, „że żaden człowiek nie mieszka bardziej na północ od niego”. Razu pewnego Ohthere „z Skiringes-hall, jak powiadał, żeglował przez pięć dni do portu, który nazywa się Haede. Port ten znajdował się na pograniczu Słowian i Sasów, i Angłów, a przynależał do Danów...”

Skiringes-hall to dzisiejsze Skiringsaal w południowej Norwegii. A Haede było wielkim portem duńskim wybudowanym u ujścia Schlei. Tam znajdowało się w IX wieku „pogranicze Słowian i Sasów, i Angłów”. Informacja pochodzi z dzieła człowieka, który interesował się wiedzą czystą, a nie politycznie stosowaną.

Chcąc mieć więcej wiadomości, Alfred Wielki wysyłał ludzi w dalekie podróże. Jednym z takich zwiadowców dodatniego typu był Wulfstan, Anglosas. Profesor Gerard Labuda, któremu zawdzięczamy te dane, przypuszcza, że wędrował on po Bałtyku w ostatnim dziesięcioleciu IX wieku. Oto, co zapamiętał i opowiedział:

„Wulfstan opowiadał, że jechał z Haede, że przybył do Truso w siedem dni i nocy, że okręt szedł przez całą drogę pod żaglami. Słowiańszczyznę miał po prawej ręce, po lewej zaś Langland, Laeland, Falster i Skonię... A Słowiańszczyznę mieliśmy aż do ujścia Wisły przez cały czas po prawej stronie. Wisła ta jest wielką rzeką i przez to dzieli Witland i kraj Słowian. A Witland należy do Estów. A też Wisła wypływa z ziemi Słowian i spływa do Zalewu Estyjskiego, a ten Zalew Estyjski jest co najmniej piętnaście mil szeroki. Od wschodu spływa tutaj do Zalewu Estyjskiego rzeka Ilfing - z tego jeziora, nad którego brzegiem stoi Truso. I schodzą się tutaj w Zalewie Estyjskim od wschodu rzeka Ilfing z kraju Estów i od południa

Wisła z kraju Słowian. Tutaj zaś Wisła zabiera rzece Ifing jej nazwę i spływa z tego zalewu do morza w kierunku północno-zachodnim. I dlatego nazywa się to Wisłoujściem („for dy hit man haet Wisle muda”).”

Od razu widać, na czym polegała różnica pomiędzy pracą „Geografa bawarskiego” a Wulfstana. Ten drugi nie gromadził wiadomości strategicznych. Ale relacja jego wymagałaby dziś całego słownika geograficznego. Więc tylko w największym skrócie: terminy „Witland” i „Estowie” odnoszą się do kraju Prusów, Zalew Estyjski zowiemy obecnie Wiślanym, a Truso to Elbląg. Jak się zdaje, Wulfstan utożsamia Wisłę z Nogatem. Za jego czasów stosunki w ujściu Wisły wyglądały zresztą najzupełniej inaczej niż teraz. Cała delta Wisły jest jej własnym dziełem, a kilka tysięcy lat temu morze sięgało aż pod Malbork.

W każdym razie dzięki Ohthere i Wulfstanowi, a jeszcze bardziej dzięki królowi Alfredowi Wielkiemu wiemy, że u schyłku IX wieku całe wybrzeże Bałtyku od podnóża Półwyspu Jutlandzkiego do Żuław wiślanych włącznie należało do Słowian. Co jeszcze nie oznacza, że już wtedy podlegało Piastom.

W drugiej połowie X stulecia kronikarze Zachodu zauważyli nareszcie i zapisali pierwsze fakty z historii polskiej. Nie bez przyczyny tak się złożyło, że najwcześniejsze znane z opisu węzły naszych dziejów zasupły się wokół spraw i rzeczy pomorskich.

Wedle dawniejszych wyobrażeń miało być tak: tuż przed rokiem 963 Mieszko I zajął kraik plemienia Licikowiczów (piszący po łacinie kronikarz na pewno przekręcił nazwę; łupem Mieszka mogła się wtedy stać Ziemia Lubuska albo Piryce, albo nawet sam Szczecin) Podbój ten wplątał go w konflikt z Wioletami, a margrabia wschodniemiecki Gero skorzystał z okazji i posłał im na pomoc grafa saskiego Wichmana. W roku 963 zważyło się na Polskę podwójne, kombinowane uderzenie. Gero wyruszył na Łużyce, a Wichman z Wioletami na samego Mieszka, którego dwukrotnie pokonał i zabił mu brata, nie znanego z imienia. Niefortunny obrót wydarzeń zmusił polskiego księcia do rejterady politycznej. Mieszko upokorzył się przed Geronem, prosił go o pośrednictwo i uznał się za lennika cesarza. Konsekwencją zależności od Niemiec było przyjęcie chrześcijaństwa.

Wkrótce po wojnie ukazała się, wspomiana już tutaj, znakomita książka Gerarda Labudy *Studia nad początkami państwa polskiego*. Autor niemiłosiernie przenicował współczesne i nieco późniejsze zapiski mnicha korbejskiego Widukinda oraz biskupa merseburskiego Thietmara, Zestawił je ze sprawozdaniem Ibrahima ibn Jakuba z Tortozy, zanalizował każde zdanie kronik, zdemaskował anachronizmy tudzież dodatki i w rezultacie zażądał generalnej

rewizji poprzednich zapatrywań. Według niego rok 963 niesłusznie zrobił aż tak wielką karierę. Tego lata margrabia Gero istotnie wyprawiał się na Łużyce, ale to nie dotyczyło Polski. Historia nasza nie zaczyna się od konfliktu z Niemcami i nie ich napór skłonił Mieszka do przyjęcia chrztu.

Co się tyczy grafa Wichmana i wojen z Wioletami, to odbyły się one naprawdę, lecz dopiero w latach 964-966.

Osobliwą postacią był ów Wichman. Spiskował przeciwko rodzonemu wujowi, księciu Hermanowi Billungowi. Był w zмовie z saską konspiracją oraz z królem duńskim, który się malowniczo zwał Haraldem Sinozębym, a spłodził syna o jeszcze piękniejszym imieniu Swena Widłobrodego.

Matactwa Wichmana wyszły na jaw i w Niemczech zaczęły spadać głowy. Główny winowajca zdążył jednak uciec do swego starego znajomego, margrabiego Marchii Wschodniej, Gerona, który nie uradował się z wizyty. Przed kilku laty wyprosił już był u cesarza łaskę dla warchoła, a nawet poręczył zań przysięgą. Tymczasem Wichman znowu nabruździł. Chronić go dalej? To mogło kosztować co najmniej urząd, a może i szyję. Gero znalazł wyjście z kłopotliwej sytuacji. Odesłał Wichmana do Słowian, do wieleckiego plemienia Redarów. Z nimi chadzał saski banita na Mieszka.

W 966 czy w 967 roku Wichman opuścił Redarów i poszukał sobie nowego pola działania, Był nim Wolin. W X stuleciu miasto to - położone nad wschodnim ramieniem Odry, Dziwną - przeżywało szczyt potęgi. Kronikarze ówczesni, na pewno nie bez przesady, nie wahali się mianować je największym w Europie. Helmold tak o nim rozprawił:

„O sławie tego miasta wiele rzeczy zaledwie podobnych do uwierzenia opowiadają i ja też niektóre przytoczę. Było ono rzeczywiście największym z miast, jakie w Europie się znajdują. Mieszkali w nim Słowianie i mieszanina ludów innych, tak Greków, Rusów, jak i barbarzyńców. Sascy przybysze [Niemcy] otrzymali także wolność przemieszkowania tam, byleby tylko, póki tam zostawali, nie wydawali się publicznie ze swym chrześcijaństwem. Wreszcie pod względem obyczajów i gościnności nie było żadnego narodu uczciwszego i dobroduszniejszego. Miasto bogate w towary wszystkich narodów posiadało wiele przyjemności i rzadkości.”

Władysław Filipowiak ustalił, że Wolin już w IX stuleciu wstąpił w okres świetności. Wulfstan obojętnie przepłynął obok morzem, nie wspominając Wolina ani słówkiem.

Uczeni współcześni stawiają znak równania pomiędzy Wolinem a legendarnym

Jomsborgiem. Romantyczna ballada o gnieździe rycerzy morza została poważnie nadwątlona. Wywodzi się ona z sag islandzkich - z końca XII lub nawet z XIII wieku. Wcześniejsze wiersze skaldów mówią o Jomsborgu jako o grodzie Vikingów - ale słowiańskich. Znany nam już Harald Sinozęby, rzekomy założyciel Jomsborga, uchodząc przed buntem Swena Widłobrodego, przybył tutaj, do „słowiańskiego miasta Jumne”, i życzliwie przyjęty po kilku dniach życie zakończył. Stało się to w roku 985 czy 986.

Jeśli mimo wszystko Wikingowie naprawdę osiedlili się w ujściu Odry i założyli tam swój zakon wojskowy, to nie na długo. Nie oni byli twórcami wielkiej świetności Wolina.

Był on stolicą państewka znakomicie widać zorganizowanego, skoro całej wyspy pilnował łańcuch twierdz-strażnic, pozostających ze sobą w stałej łączności wzrokowej. Była tam i latarnia morska, o której kronikarze pisali z podziwem, zowiąc ją „ogniskiem Wulkanu”. Wolin wyrósł na szlaku handlowym z Hamburga do Wielkiego Nowogrodu. Droga przecinała Dziwnę akurat tam, gdzie ukrzepiło się miasto. Państewko leżało na samym pograniczu plemion pomorskich i wieleckich, a mocniej obwarowywało się od strony wschodniej.

Jednakże uniesienia Helmolda nie były całkiem bezpodstawne. Badania doprowadziły do stwierdzeń z pozoru mało prawdopodobnych. W omawianym okresie miasto Wolin miało od ośmiu do dziesięciu tysięcy mieszkańców. podczas gdy całe plemię Wolinian liczyło około dwudziestu tysięcy głów,

Stopień „urbanizacji” zupełnie zdumiewający! Doprawdy przypominają się starożytne republiki greckie, gdzie większość obywateli mieszkała w mieście; nadającym całemu państewku nazwę i ton. Typowe dla Indoeuropejczyków zamiłowanie do tworzenia „drobnoustrojów politycznych” przejawiało się zarówno nad Morzem Egejskim, jak i nad Bałtykiem.

Doktor Władysław Filipowiak wykrył w Wolinie kołowrót stoczniowy, drewniany, służący do wciągania statków na pomost. Zupełnie podobne, lecz mniejsze - obejrzyć można na Pomorzu i dzisiaj.

Wichman sprzymierzył się z nie lada potęgą. Nie zwlekając, latem 967 roku, ruszyła nowa wyprawa na Polskę. Ale sytuacja polityczna tej ostatniej zmieniła się dość radykalnie. Mieszko zdążył już być przyjął chrzest i rozerwać przymierze czesko-wieleckie. W wojsku jego znajdowały się teraz dwa konne hufce posiłkowe znanne z Wełtawy.

Wichman głęboko wtargnął w ziemie polskie, aż na lewy brzeg Warty. Dnia 26 września 967, w miejscu nieznanym, Mieszko podstępem odciągnął go od umocnionego obozu. Na

zapędzonego daleko rzucił od frontu własną piechotę, a z tyłu zagon jazdy czeskiej.

Pobity na głowę, uciekał graf saski przez całą noc, aż rano musiał wyjść na uczęszczany trakt. Rozpoznany, zginął z rąk ludu - *vulgus* - pisze kronikarz - rozjątrzonego napadem.

W pięć lat później zanotowano dziwną i pozornie paradoksalną historię pierwszego w dziejach konfliktu polsko-niemieckiego. Mieszko uważany był wtedy za przyjaciela cesarza. Latem 972 roku nadgraniczny margrabia łżycki Hodo gwałtem, w nadzwyczajnym pośpiechu, zebrał wojsko i powiódł je na Polskę. Cesarz Otto I bawił we Włoszech, wszystko działo się więc bez jego wiedzy i upoważnienia. Hodo ruszył, ale zamiast uderzyć wprost na wschód jak by nakazywała logika - na Poznań i Gniezno, wyminął olbrzymie bagniska przy ujściu Warty, przeprowił się przez Odrę i parł na północ. Tu, na samych peryferiach swego państwa, czekał go Mieszko. Dnia 27 czerwca 972 roku doszło do wielkiego starcia pod grodem Cydyną. Była to pierwsza znana w dziejach bitwa Polaków z Niemcami. Wiadomości są pewne, bo w wyprawie Hodona uczestniczył graf Zygryd, ojciec kronikarza Thietmara.

Początkowo Hodo brał górę, ścigał. Mieszko cofał się, aż uderzenie silnych rezerw pod wodzą brata książęcego, Czeczibora, dało stronie polskiej pełne zwycięstwo. Hodo i Zygryd wynieśli głowy z pogromu, a wspomnienia niemiłych przygód rodzica mogły podsycać w duszy Thietmara jego znaną niechęć do Polaków.

Dziwne historie trwały jednak dalej. Cesarz przysłał z Italii stanowczy rozkaz zaprzestania działań wojennych i wezwał Mieszka wraz z Hodonem przed swój sąd. Według ówczesnych pojęć miał do tego prawo, jako najwyższy autorytet polityczny chrześcijańskiej Europy. Wyrok był dla Polski niepomysłny. Mieszko musiał dać na zakładnika sześciolatniego syna Bolesława, w przyszłości nazwanego Chrobrym. Przyjazne stosunki Polski z cesarstwem popsuły się zdecydowanie.

Profesor Labuda w przekonujący sposób rozwikłał te od dawna znane zagadki. Niefortunną wyprawę Hodona spowodowało uderzenie Mieszka na Pomorze Zachodnie, na Szczecin i Wolin. To był pierwszy wielki czyn księcia po przyjęciu chrześcijaństwa. Po rozstrzygnięciu spraw wewnętrznych w sensie wzmocnienia monarchii oraz po zawarciu przymierza z Czechami sięgnął on po bogate nadmorskie miasta-republiki. Ale postępek Mieszka tak głęboko naruszał równowagę i zagroził interesom cesarstwa, że Hodo - pod presją stanu „wyższej konieczności” - ośmielił się na własną odpowiedzialność zerwać pokój i pójść z wojskiem na „przyjaciela cesarza”.

Wyrok wcale nie zepchnął Mieszka z obranej drogi. Szczęście mu się uśmiechnęło, w 973

roku nagle, słuchając niesporów, zmarł Otto I. Podczas zamieszek w Niemczech wrócił pewnie do kraju Bolesław. Mieszko wtrącał się do zatargów wewnętrznych w Rzeszy i energicznie pewnie działał na Pomorzu. Bo w roku 979 rzecz byka zakończona - całe Pomorze należało do Polski.

W roku 1960 zespół Władysława Filipowiaka odnalazł w Wolinie na głębokości ośmiu metrów pod powierzchnią ziemi wał, który stanowi rozstrzygający argument w sporze historycznym. Był on szeroki w podstawie na szesnaście metrów i zbudowany systemem hakowym. Taki sam mógłby stać w Gnieźnie, Poznaniu czy we Wrocławiu.

A zatem Mieszko I po zwycięstwie nad Wichmanem zajął Wolin i natychmiast umocnił się w nim bardzo potężnie.

Nagle uderzenie Hodona miało przeszkodzić tym działaniom polskiego księcia, o których niemy wał woliński opowiada arcywymownie.

Oddając - tuż przed śmiercią - kraj swój pod protekcję Rzymu, przedstawiał się stary Mieszko papieżowi jako właściciel Szczecina i całego Pomorza na wschód od Odry.

Badacze początków państwowości polskiej na Pomorzu stoją wobec zadań o wiele bardziej zawiłych niż w reszcie kraju. Nie ma tu tak wyraźnie rozgraniczonych faz, jak w Małopolsce czy nawet na Śląsku. Historia Pomorza faluje burzliwie jak sam żywiole, którego opanowanie stworzyło odmienne warunki bytowania ludzi tutejszych. Związek z morzem, inne niż w reszcie Polski sposoby gospodarowania, rozległe związki handlowe z zagranicą rodziły całkiem swoiste formy ustroju społecznego oraz zażarty separatyzm pomorski. Kiedy w krainach zanoteckich wytwórczość skupiała się wokół grodów feudalnych, tu - przy jednoczesnej słabości władzy miejscowego księcia wyrosły republiki miejskie: Wolin, Szczecin, Kołobrzeg... Warstwą panującą była tam kupiecka szlachta.

Trzeba się wyrzec tradycyjnego przekonania o cichym, potulnym i zbożnym ludku słowiańskim, który niczego więcej nie pragnął, jak kontentować się małym, pracować na zagonie, bić zwierza w boru i wypływać z siecią po flądry, a któremu niegodziwi Normanowie mącili sielski spokój. Pomorzanie szeroko zasłynęli w rzemiośle pirackim. Przed rokiem 1000 podobno niczym szczególnym jeszcze się nie odznaczyli w tej dziedzinie. Pobierali dopiero lekcje od Jomsborga, który jednak sam był prawdopodobnie osiedlem słowiańskim. Więc w żaden sposób nie da się przerzucić na Skandynawów całej odpowiedzialności za rozbój na Bałtyku.

Okolo połowy XII stulecia kunszt korsarski rozkwitał najpiękniej. Wschodnia Jutlandia

opustoszała całkiem. Ludność uciekła przed słowiańskimi Wikingami. Ten sam los spotkał wschodnią i południową Zelandię. Chrześcijański król Danii, Swen, dla świętego spokoju musiał posyłać srebrne naczynia w darze Światowidowi z Arkony.

Trudno właściwie przeprowadzić dla owych czasów granicę pomiędzy piractwem z jednej, kupiectwem zaś, a nawet prawem morskim z drugiej strony. Istniało wtedy prawo - *ius naufragii* - którego mocą wszystko, co tylko pochodziło z rozbitego okrętu, zarówno towary, jak ludzie, przechodziło na własność mieszkańców wybrzeża. Taki przepis stanowił zachętę do dawania z brzegu mylnych sygnałów, na przykład w nocy przy pomocy ognia. Hel, skłaniający się wtedy z łańcucha wysepek, stwarzał po temu dogodne warunki. Z biegiem czasu przywilej obrabowywania wraków stał się wyłączną własnością monarchów, którzy mogli nim obdarzać jednostki lub instytucje zasłużone. Tak na przykład w XI II wieku klasztor w Oliwie sprawował *ius naufragii* od Gdańska aż po Puck. Ale w XIII wieku papież podnieśli głos przeciwko temu prawu. Kazimierz Jagiellończyk, przyjmując w roku 1454 Pomorze pod swe berło, przyrzekł prawa tego nie wykonywać. Jednakże jeszcze Zygmunt August potrafił nadawać *ius naufragii*, a i w XVII stuleciu je stosowano. Po raz ostatni wspomina się o nim w Kodeksie Zamoyskiego, lecz już jako o przestępstwie.

Osobliwością historii Pomorza było zażarte i wytrwałe pogaństwo. Istniały tam ośrodki kultu o znaczeniu i wpływach bez precedensu w innych dzielnicach polski, gdzie - jak się zdaje - już pierwsi Piastowie umieli sobie poradzić z uroszczeniami kapłanów. W Wolinie stała na rynku obrzędowa włócznia, Szczecin miał aż cztery świątynie. Poświęcona Trzygławowi wznosiła się tam, gdzie teraz jest Zamek, i budziła podziw u obcych. Bogate jej rzeźby pokrywały malowidła nieczułe na deszcz.

Żadnych jej szczątków jeszcze nie odszukano. Chociaż... a tamta figurynka z rogu? Leżała w warstwie bardzo starej - kultowy charakter posążku nie może być chyba podawany w wątpliwość. Więc może magister Wieczorkowski schował do szuflady przedmiot, który ongi pozostawał w jakimś związku ze świątynią albo nawet pochodził z niej.

Z wykopu szczecińskiego wydobyło wiele skorup orzechów laskowych. Prasłowianie jadali ich zawsze sporo. Leszczyna najpierwsza porasta na porębach. Ale profesor Konstancy Moldenhawer, któremu odesłano łupiny do Poznania, potraktował je bardzo poważnie, oglądał przez lupę każdy ułamek. Zauważył rzecz dziwną. Znakomita większość skorup nie była zgnieciona, jak to się zwykle zdarza. Ten, kto te orzechy setki lat temu otwierał, brał nóż i bardzo delikatnie ścinał ich wierzchołki. Przez szkło powiększające można, było wyraźnie dostrzec ślady cięć, a nawet ustalić, że raz użyto noża ostrego, kiedy indziej przytępionego.

Takie postępowanie pozwalało na wydobywanie jąder orzechów w stanie nie uszkodzonym. Profesor Moldenhawer długo zastanawiał się nad znaczeniem swego odkrycia. Doszedł do wniosku, że chodziło albo o dostarczenie całych jąder na stół jakiegoś władcy, albo były one potrzebne na ofiary dla bóstw.

Byłem świadkiem dyskusji na ten temat toczonej w gronie specjalistów. Ledwie profesor Moldenhawer skończył, stała się rzecz nieoczekiwana. Zabrał głos Ryszard Kiersnowski, który dużo i dobrze pisze, lecz za to niechętnie mówi.

- Spostrzeżenie pana profesora - oświadczył - znakomicie pasuje do notatki jednego z kronikarzy XII wieku, który zapisał, że w Szczecinie był otoczony czcią „święty orzech”.

Uparte trwanie Pomorzan przy pogaństwie tłumaczy się w sposób zwyczajny, bez potrzeby odwoływania się do jakichś szczególnych cech psychiki tego plemienia. Stara wiara była silnie związana z morzem, doskonale przyrastała do typu społeczeństwa, Chrobry założył biskupstwo w Kołobrzegu, który nie miał takiego znaczenia w religii pogańskiej, jak Wolin czy Szczecin. A mimo to biskup Reinbern „niszczył i palił świątynie z posągami bożków i oczyścił morze zamieszkałe przez złe duchy, wrzuciwszy w nie cztery kamienie pomazane olejem świętym i skropiwszy je wodą święconą”. Doktor Kowalenko przypomina, że jeszcze w roku 1150 poseł plemienia Ranów złożył królowi duńskiemu uroczyste oświadczenie: że „poręką dotrzymania warunków pokoju będzie uroczyste rzucenie kamienia do morza oraz zaklęcie, że naruszający pokój niech zginie w otchłani morskiej, jak kamień do niej wrzucony”.

Wieszcze konie Pomorzan - kary w Szczecinie, siwy na Rugii - służyły do wróżb na temat powodzenia zamierzonych wypraw morskich.

Toteż i działania mające na celu opanowanie tego kraju nosiły charakter wojen, lecz także wypraw misyjnych, ideologicznych przedsięwzięć popartych siłą oręża.

Trzecia spomiędzy warstw odkopanych w Szczecinie była czarna od węgla i nie zawierała żadnych pozostałości budowli. Obliczenie pozwoliło datować ją na początek XII wieku. W 1121 roku zdobył miasto Bolesław Krzywousty. Akcję misyjną na Pomorzu prowadził najpierw z jego ramienia Hiszpan, imieniem Bernard; a potem Niemiec, św. Otto, biskup bamburski, który nieco później doświadczył zadziwiających przygód w Wolinie, biografowie jego opisali wszystko dokładnie. Według nich wolinianie byli okrutni i barbarzyńscy, brutalni i nieposkromieni, ale dzielni i wielce zacięci.

Otto zjawił się u nich pewnego wieczoru 1124 roku. Przyjęto go bardzo niezyczliwie, jako

wroga ojczyzny i burzyciela starych praw, które zabraniały publicznego wyznawania chrześcijaństwa. Misjonarze schronili się do domu książęcego, azylu, skąd bez pozwolenia władcy nie wolno było zabrać nawet najgorszego zbrodniarza, jeśli się tam schronu. Dworzyszczce książęce było mocno zbudowane z bierwion. Lecz i one nie oparty się szturmowi rozjątrzonego tłumu. Kładkami, wiodącymi przez tonące w przepastnym błocie uliczki, uciekał Otto z towarzyszami ku mostowi na Dziwnie. Ktoś go doścignął i uderzył grubą gałęzią tak, że biskup wpadł w bajoro, gdzie omal nie utonął. Zbiegowie opamiętali się dopiero między jakimiś stodołami, na prawym brzegu Dziwny. Starczyło im jednak przytomności umysłu, by zerwać za sobą deski nawierzchni mostu.

W sprawie przyjęcia chrześcijaństwa Wolin zlot się ostatecznie na sąd Szczecina, „matki miast”. Czarna warstwa spalenizny zalegała już wtedy wzgórze świątyni Trzygława. Szczecin doradził przyjęcie nowej wiary. To jego postępowanie dano Rugii powód do wypowiedzenia mu wojny. Zresztą później zarówno Szczecin, jak Wolin powracały do pogaństwa, co było oryginalnym, lecz niezmiernie zapóźnionym i szkodliwym wyrazem prób obrony dawnych porządków.

Te miasta były republikami. Rządziła w nich starszyzna przy współudziale wiecu, którego rola była raczej formalna. Przeciwno chrześcijaństwu występowała jednak cała ludność, ponieważ porządek feudalny, który przychodził wraz z nim, wcale nie zapowiadał gminowi poprawy doli.

Odwrotnie niż w reszcie kraju, przyjęcie chrześcijaństwa nie stało się na Pomorzu czynnikiem utrwalającym władzę polskich monarchów. Sama Polska właśnie wtedy wchodziła w okres rozbicia dzielnicowego i dostatecznej pomocy dać nie mogła. Własnego kleru miała mało, nie mogła sprostać niemieckiemu współzawodnictwu. W roku 1177 książę pomorski Bogusław I, wespół z innymi polskimi dynastami, uczestniczył w wiecu państwowym w Gnieźnie. W cztery lata później złożył na rynku w Lubece hołd cesarzowi Fryderykowi Rudobrodemu. Pragnął poprawić w ten sposób swe ciężkie położenie polityczne, gdyż jego najgorszymi nieprzyjaciółmi byli margrabiowie pograniczni. Opieka cesarza mogła osłonić przed nimi.

Razem z nową wiarą szeroką falą chlusnęła na Pomorze niemczyzna. W takim Trzebiatowie w roku 1244 założono klasztor norbertanów. Nie tylko zakonnicy byli wyłącznie Niemcami, ale i w rozległych dobrach zgromadzenia osiedlali się sami koloniści z Nadrenii i Saksonii. W roku 1248 książę Barnim I nadał biskupom z Kamienia połowę ziemi kołobrzeskiej, a wkrótce sprzedał i drugą. Od tej chwili zarząd kraju przeszedł całkowicie w

ręce Niemców, a dawne prawo polskie ustąpiło miejsca niemieckiemu. Nawet słowiańscy wielmoże - owa tak charakterystyczna dla Pomorza warstwa szlachty kupieckiej - zaczęli porzucać miasta, przenosić się na wieś i emigrować na Pomorze Wschodnie, byle dalej od władzy biskupa.

Wbrew rozpowszechnionym i tendencyjnie szerzonym opiniom kolonizacja niemiecka na Pomorzu Zachodnim wcale nie oznaczała początku ery rozkwitu miast. Następuje proces odwrotny - dawne wielkie ośrodki handlowe stają się miasteczkami, kraj nabiera charakteru wiejsko-feudalnego.

Już u schyłku XII wieku potężny dawniej Wolin otrzymał z ręki Duńczków cios ostateczny. Pisze o tym kronikarz: „Ja, Swen, przyglądałem się temu osobiście, jak arcybiskup Absalon zrównał z ziemią mury założonego przez Haralda grodu Jomsborg.”

W rozdziale tym szeroko korzystam z przywileju, jaki mi dało zniesienie sztucznej granicy między historią a prehistorią. W wykopie, który oglądałem, w dwunastu złożach zawierają się dzieje czysto słowiańskiego osadnictwa w Szczecinie. Wszystko, co było wyżej, nosiło już ślady napływającej niemczyzny. Lecz jakże tu wyznaczyć sobie jakąś linię, na której zainteresowania powinny się zatrzymać? I to w tym mieście, gdzie sprawa zahaczenia i utrwalenia państwowości polskiej wahała się bardzo długo, czekała rozstrzygnięcia - aż przez wszystkie niemal warstwy słowiańskich zabytków, brutalnie, niczym gwoździe do trumny, wbiły się pionowe słupy. Widać je bardzo wyraźnie w rogu wykopu. Archeologowie mało się nimi przejmują. Zbywają pytanie lakoniczną uwagą, że są to resztki podstaw pod szwedzkie odlewnie dział z doby wojny trzydziestoletniej. Belki te wkopano więc akurat wtedy, kiedy umierał ostatni książę szczeciński, słaby i chorowity Bogusław XIV, cień władcy popychadło w rękę Gustawa Adolfa, żalony epigon dawnej świetności.

Jakże więc można twierdzić, że pionowe tramy szwedzkie nic wspólnego ze sprawą państwowości polskiej w Szczecinie nie mają? Przecież wyznaczają one ostateczną granicę zmarnowanej epoki dziejów. Inaczej nie można powiedzieć, jak właśnie - zmarnowanej. I od tej myśli opędzić się nie sposób zwiedzając szczecińskie zamczysko.

Warto jednak pokusić się o próbę ścisłego określenia dat granicznych owej zmarnowanej epoki. Bo zdaje się, że w tej kwestii nieporozumień jest aż za wiele.

Piastowie nie wchodzi w rachubę. Można nawet z powodzeniem bronić tezy, że Pomorze Zachodnie bardziej ich obchodziło od Wschodniego. Bałtycka polityka tej dynastii zaczęła się od Mieszka I, a skończyła na Kazimierzu Wielkim, którego granice dzieliło od Kołobrzegu

już tylko mizernych kilkadziesiąt kilometrów, a testament wyraźnie wskazywał kierunek północno-zachodni.

Jagiellonowie. Oskarża się nie tyle ich samych, co okres nacechowany tak zwaną ideą jagiellońską.

Krótkie przypomnienie na pewno nie zawadzi.

Wiele można powiedzieć o tym, co zaszło zaraz po bitwie pod Grunwaldem, ale fakty pozostają faktami. Władysław Jagiełło skruszył potężną krzyżacką nogę. Kazimierz Jagiellończyk odzyskał Gdańsk oraz uzyskał Elbląg z Malborkiem, których nigdy przedtem Polska nie miała. Jan Olbracht idąc nad Morze Czarne wiodł ze sobą wielkiego mistrza Krzyżaków, których zamierzają przesiedlić na dalekie południe. Zmarł w Toruniu, gdzie zbierał wojsko do akcji, która miała zapewne prowadzić do usunięcia Zakonu znad Bałtyku. Aleksander był najmniej zdolny ze wszystkich Jagiellonów. W 1503 roku przychylnie wysłuchał prośby Bogusława X, który proponował Polsce objęcie zwierzchnictwa lennego nad całym Pomorzem Zachodnim. Rokowań nie ukończono. Król Aleksander panował od roku 1501 do 1506. Kiedy w roku 1513 ten sam Bogusław X zwrócił się z tą samą prośbą do Zygmunta I, nazwanego później Starym, król sprawę odroczył.

Jeszcze parę słów o Bogusławie X. Był on panem całego Pomorza Zachodniego i ostatnim z rodu. W 1493 zawarł układ w Pyrzycach, mocą którego uznawał swym dziedzicem Jana Cicerona Hohenzollerna, margrabiego brandenburskiego. Ratunek przyszedł od Anny Jagiellonki, córki króla Kazimierza. Poślubiona Bogusławowi, urodziła siedmioro dzieci. Dynastia szczecińska przeżyła jeszcze wiek przeszło, klamka nie zapadła. Sam Bogusław X zwracał się do Krakowa ze wspomnianymi propozycjami zjednoczenia. W roku 1518 wołał o wieczyste przymierze - daremnie.

Nie mogąc się niczego w Krakowie dokołać, książęta szczecińscy podnieśli ręce. W 1521 roku uznali się za lenników cesarza - teoretycznie rzymskiego, a w rzeczywistości niemieckiego.

Dwaj ostatni Jagiellonowie zaprzepaścili nie tylko sprawę Pomorza Zachodniego, lecz i całego wybrzeża. To było jedno pasmo niewybaczalnych błędów. Zmarnowana epoka zamyka się w granicach dat: 1506-1572. Tam się mieści i obojętność wobec prośb Szczecina, i hołd pruski, i zgoda na to, by Hohenzollernowie berlińscy mogli dziedziczyć po królewskich.

A społeczeństwo polskie? Prymas Jan Łaski, przywódca średniej szlachty, żądał energicznej polityki w sprawach pomorskich, czuł niebezpieczeństwo niemieckie. Mikołaj

Rej z Nagłowic, uchodzący za idealnego przedstawiciela ziemiaństwa, nie chcącego nie wiedzieć o morzu, był w sejmie orędownikiem spraw pomorskich. Imieniem izby poselskiej upominał króla Zygmunta Augusta i panów senatorów, by lepiej dbali o Gdańsk i wybrzeże Bałtyku.

W tych czasach król polski miał jeszcze dużą władzę. Do niego należała polityka zagraniczna, wolno mu było nawet wojnę rozpocząć bez upoważnienia sejmu.

Sprawy pomorskie uległy zaprzepaszczeniu wskutek konkretnych błędów. Popelnili je w określonych miejscach i wiadomym czasie ludzie znani z imienia i nazwiska. Zawinił nie naród, ale jego władza.

W XVII stuleciu na ratunek dla Szczecina było już za późno. W 1630 roku zajęli go Szwedzi. Rządy ich trwały do roku 1713. Po dłuższym oblężeniu zdobyły wtedy Szczecin wojska rosyjskie i saskie, lecz otrzymali go Prusacy; na mocy układu z kniazem Mieńszykowem. Taki był początek niemieckiej władzy państwowej nad miastem, w którym się urodziła władczyni Rosji, Katarzyna II, Niemka z krwi i kości. Germańskie panowanie trwało przeszło dwa stulecia. Skończyło się w roku 1945.

II

Trafiłem do Gdańska na przysłowiową minutę przed dwunastą. Sprowadziła mnie alarmująca kartka profesora Konrada Jażdżewskiego: kończymy kopanie. Jak dobrze, że nie przyjechałem wcześniej.

Wszystkie niemal bierwiona domów i ulic z XII wieku zostały już zdjęte. W glinie i mierzwie dna widniały ostro zarysowane odciski-negatywy.

Tuż obok nie naruszonych jeszcze odziomków chaty sterczało dość wysokie rusztowanie z mocnych żerdzi. U jego szczytu blok i na zwisającej linie stalowej drąg żelaznego świdra. - Razem! Raaz!

Walcowate żelazo wbiło się w grunt. Kilka par dłoni chwyciło za ramię poprzeczne. Zazgrzytało, zachrobotąło sypko.

Aj! aj! aj! Co my tam niszczymy! Cóż za wandalizm! Co za barbarzyństwo! Na pewno idzie przez palenisko.

Profesor wiercił się i skręcał jakby świder borował nie w ziemi, lecz jemu pod żebrem.

- Słuchajcie! - zwrócił się ostro do asystenta. - Macie się natychmiast postarać o żółty piasek, i jak tylko skończymy, zaraz dziurę zasypać i jeszcze zdeptać. Tak. Dobrze ubić. Bo jeszcze z górnej warstwy spadnie co aż na sam dół i powstanie jakieś naukowe świństwo. A po zasypaniu będziemy mieli dokładny kształt drogi świdra. I dowiemy się, cośmy zniszczyli.

O tym, co prawda, można się było przekonać i zaraz, jak tylko po przewierceniu dwudziestu centymetrów ziemi zaskrzypiał blok i świder podjechał do góry. Walcowata puszką o zębatym wycięciu bocznym była pełna. Zawartość jej natychmiast została odrysowana na arkuszu papieru milimetrowego i powędrowała do słoików. Czegóż tam nie było! Czarnobrazowa próchnica, dwa kawałki skóry szewskiej, skorupy naczyń, kamienie, kości.

- Do góry! Raazem - raaz!

Teraz ostrze natrafiło na kłodę. I to chyba na dębową. Świder podniesiono i barczysty majster jął się łomu.

Na to już profesor patrzeć nie mógł.

- Chodźmy dalej - zwrócił się do mnie. - A wam, w razie koniecznej potrzeby, pozwalam wziąć najwyżej na sztych łopaty w bok. Na więcej stanowczo się nie zgadzam.

Zanim doszliśmy do drabinki, dostrzegł przeoczony poprzednio przez studentów pławik z kory, krzemień oraz pasmo skóry. Leżało to sobie od stuleci na oczyszczonej teraz z drewna powierzchni, niedostrzegalne niemal, nie różniące się barwą od otoczenia. Kazał zlokalizować, wymierzyć, odrysować i odnieść do składu.

Wędrowaliśmy pustą o tej wczesnej porze ulicą Rycerską, mniej więcej w dół biegu Raduni. Pomarszczoną od wiatru Motławą sunął statek pasażerski. Radio wygrywało na pokładzie skoczego obertasa. Profesor opowiadał, że w przyszłości tu, przy nadbrzeżu, na terenie Targu Rybnego, zaczniesz szukać wczesnośredniowiecznego portu. Wiadomo bowiem, że nie mógł się on mieścić dalej, w górę rzeki. Tak zwane Prawe Miasto nie sięga głębiej niż w XIV stulecie. Gdańsk najstarszy formował się bliżej morza, wzdłuż wyrzeźbionego przez wodę grzbietu ziemnego, co się ciągnął od okolic kościoła Św. Katarzyny aż do wschodniego krańca dzisiejszej ulicy Grodzkiej. Cypel tego wzniesienia celował w samo obecne ujście Raduni do Motławy. Tam stał gród książąt pomorskich. Dalej ku północy - zalewowe, moczarowate tereny sięgały aż do Bałtyku.

Różnymi czasy morze to zmieniało nazwy. Ptolemeusz udostępnił je mianem Oceanu Sarmackiego, a obecną Zatokę Gdańską określał jako Wenedzką. W średniowieczu mówiono różnie - „Mare Orientale”, „Mare Scythicum”, „Mare Balticum”. Niemiecka nazwa „Ostsee” też jest stara i pochodzi co najmniej z IX stulecia.

W jednym z dokumentów Karola Wielkiego użyto w roku 786 określenia: „Mare Barbarum” - Morze Barbarzyńskie. Z lubością podchwycili je kronikarze. Starożytność klasyczna, która ukuła termin „barbarzyńcy”, nigdy nie przenosiła go w dziedzinę pojęć geograficznych. Radzi natomiast czynili to średniowieczni mnisi.

„*Ubi Pene fluvius currit in Mare Barbarum*” - kazał napisać Karol Wielki: tam gdzie rzeka Piana wpada do Morza Barbarzyńców. „Jakoż dobrze nazwano” - można by powtórzyć za pewnym starym polskim pamiętnikarzem. Tytuł własności, oczywiście częściowej, ówczesnego Bałtyku ujęty został wcale trafnie. Południowe wybrzeże było wtedy słowiańskie. Od Słowian pochodzą nazwy tamtejszych zatok, a słowo „*baltis*” znaczy po litewsku biały i czyta się „*bałtis*”. Na mapach drukowanych w Kownie widnieje napis „*Baltis Jurn*”, co oznacza po prostu: Białe Morze.

Tyle razy już powoływałem się w tej książce na „szlak bursztynowy”, który przecinał ziemie polskie i miał tak wielkie znaczenie dla ich rozwoju gospodarczego. I oto jesteśmy u jego północnego wylotu. Gdańsk powstał w nadzwyczajnie ważnym węzle drogowym, ujętym między dwie strażnice - samo miasto i grodzisko na Górze Gradowej. W kierunku północnym, poprzez Oliwę, Sopot i Kołobrzeg, wychodził stąd szlak pomorski. Inny, południowy, wiódł na Tczew do Poznania i Krakowa. Były i drogi podrzędne: zachodnia do Kościerzyny przez Żukowo, oraz wschodnia - która przez Mierzeję Wiślaną i Świeżą prowadziła w krainy Prusów.

W roku 997, w najstarszym żywocie św. Wojciecha, po raz pierwszy wspomniano o mieście - *urbs Gyddanyzc*.

Niedaleko od ruchliwego nadbrzeża Motławy zauważyłem w niewielkim oknie potężne rogi łosia oraz inne, całkiem oryginalne przedmioty. Lokal, w którym się wtedy mieściła polowa wystawa ekspedycji gdańskiej, nadawałby się raczej na podrzędną piwiarnię.

Niemalą starożytności słowiańskich obejrzałem sobie podczas paromiesięcznej wędrówki po wykopaliskach. Jednak to, co mi w Gdańsku pokazano, na nowo podnieciło przytępioną uwagę. To stanowisko jest pełnym unikatem nie tylko w Polsce. Jest tu tak: w głównym wykopie - na terenie samego miasta - zalega na sobie szesnaście wczesnośredniowiecznych

złóż. Następują jedno po drugim, wyraźne, dokładnie od siebie pooddzielane pokładami mierzwy, kryjące prawdziwe skarby zabytków. Sama przyroda uczyniła bowiem z Gdańska kopalnię wiedzy archeologicznej.

Szczałki starego miasta leżą w miejscu wilgotnym. Woda powstrzymywała tlen. A że starzy gdańszczanie, obyczajem swoich czasów, zamięłowaniem do czystości nie grzeszyli, pełno wszędzie odpadków. Z drewnianych chałup oraz moszczonych dranicami ulic złuszczyły się masy kory. Woda, metan i garbnik - trójca niezrównanych konserwatorów. Toteż przyzwyczajeni do rozmaitych dziwów uczeni od czasu do czasu przymilkną na widok tego, co Gdańsk ma do pokazania.

W 1950 roku znaleziono tu gęśle, jedyny w ogóle znany dotychczas okaz instrumentu strunowego z wczesnego średniowiecza. Spośród dwóch tysięcy dziewięciuset siedemnastu pozycji, zapisanych do inwentarza znalezisk w roku 1951, kilkadziesiąt przedmiotów to nowe formy zabytków, zupełnie poprzednio nie znane w polskim, a nawet ogólnosłowiańskim materiale archeologicznym.

Wiele zadziwiających rzeczy nęci oko. Ale najdłużej stałem przed gablotą, której zawartość skłania do wniosku, że szewcy gdańscy nie mogli mieć sobie równych. Ależ buty! Ależ buty! I dziś by można je kopiować. Pantofelki damskie. Przyszwa ażurowa. Stanowią ją dwa rzędziki pętelek, po trzy z każdej strony, obdzierganych po brzegach barwną nicią i łączących się zgrabnie wzdłuż osi stopy. Albo inna para, przeznaczona widocznie na chłodniejszą porę roku. Przyszwa haftowana w zwrócone ku sobie grzbietami półksiężycy, a między nimi wyszycie środkowe w formie paska. Były jeszcze i inne, z wycięciami poprzecznymi w kształcie gwiazdy, z kolorowymi haftami na czarnym tle, z cholewkami wysoko podniesionymi od tyłu i zaopatrzonymi w nacięcia do przewlekania rzemyka, który opasywał kostkę. Gdańszczanki używały obuwia o spiczastych nosach.

Mężowie uczeni, a zamięłowani w klasyfikowaniu wszystkiego na sposób naukowy, doszli do wniosku, że i pomorscy, i skandynawscy szewcy popierali a wówczas te same wzory. Nie wiadomo jednak, gdzie mieściła się wyrocznia mody.

W Gdańsku nie wykryto ani jednej pary kapci lub chodaków. Zupełnie tak samo było w Opolu.

Wbrew obowiązującym w muzeach prawidłom przyzwoitości poprosiłem o wyjęcie spod szkła i danie mi do ręki pewnego egzemplarza grzebienia. Takiego jeszcze nie widziałem, jak długo żyję. Był składany, na podobieństwo brzytwy. Oprawka i sam grzebień sporządzone z

kilku delikatnych płytek rogowych na nitach. Subtelna, pełna dyskretnej elegancji rzeźba pokrywa powierzchnię. Mały przedmiocik tworzy całość skomponowaną w kształt skończenie piękny.

Nie tylko grzebień i przybory toaletowe rzeźbiono w owych barbarzyńskich czasach. Także rękojeść zwyczajnej chochli drewnianej zdobiono plecionkowym ornamentem. Łyżek używano w Gdańsku dwojakiego rodzaju. Głębsze służyły przy zupach, kaszę się jadało przy pomocy innych, bardziej płaskich. Widelców ani tu, ani w ogóle nigdzie wtedy nie było.

Podziwiałem okazy najstarszych polskich pasiaków. Tkanina wełniana, snuta i wątkowana równo, bez błędów, brzegi wzmacniane. Paski wąskie - od dwu do dwunastu nici - biegną przez całą długość. Znac kolor czerwony, który dawała marzanna, brunatny i czarny. Pasy oliwkowe zabarwiły się tak wskutek działania kwasów humusowych, dawniej miały naturalny ton wełnianego surowca. Wśród odnalezionych jego odmian spotyka się oprócz wełny sporo lnu. Ale płótno nie dotrwało.

Już nie w muzeum, lecz w baraku ekspedycji doktor Janina Kamińska, zastępczyni kierownika, pokazywała mi jeszcze jeden zabytek sztuki tkackiej, przechowywany szczególnie pieczołowicie, jako wielka rzadkość. Były to woreczki na amulety, przyczipione do podwójnego sznura ze szlufką, podobnego do dzisiejszych zakonnych. Nosiło się to widocznie jako pas. Sznury są czarno-czerwone, splecione z szesnastu nitkami na kształt warkocza: cztery czarne - cztery czerwone... Woreczki są dwa, zrobione z wełnianego pasiaka. Czarne smugi znac wyraźnie. Większy zawierał skręcone czerwone nitki wełniane, przedziurawiony siekacz bobra i kawałek bursztynu, pokryty delikatnym rytym, podobny do ramienia krzyżyka. W mniejszym mieścił się mech.

W Gdańsku, we wszystkich przekopanych warstwach - aż do XIV stulecia - występują obok siebie emblematy starej i nowej wiary. Bursztynowe krzyżyki obok amuletów pogańskich. Pokazano mi nawet maleńki bursztynowy młoteczek - symbol Thora. Zalicza się on zresztą do nadzwyczajności, bo zabytki pochodzenia skandynawskiego i w ogóle germańskiego zdarzają się w Gdańsku zaskakująco rzadko. Sam profesor Jażdżewski spodziewał się początkowo, że będzie ich jednak więcej.

Oba kultury żyły obok siebie przez czas długi. Chrześcijaństwo przyjmowało się na Pomorzu opornie. Co prawda Gdańsk nie wykazywał takiej zaciętości, jak Szczecin lub Wolin - niczego o tym nie wiemy - ale tradycjonalistyczny był na pewno.

Można przypuszczać, że najstarszy kościół stanął w okolicy zbiegu dzisiejszych ulic

Czopowej i Sukienniczej. Niemal na pewno leżał tutaj i najdawniejszy cmentarz gdański.

Przed wojną, podczas robót kanalizacyjnych, natrafiono tam na zwłoki w trumnach. Znaleźsk nie badano. Wszystko zostało zasypane ziemią i oddane na pastwę zapomnienia. Ale jeden z gdańszczan-Polaków widział przypadkiem owych nieboszczyków i po wojnie opowiedział archeologom, że spoczywali w trumnach zrobionych z pni drzewnych.

Nic dziwnego, że uczeni wiadomego autoramentu utaili odkrycie. Trumny-kłody są rzeczą dobrze znaną nauce. W takich samych leżeli słowiańscy książęta odkopani przed wojną w Dawidgródku na Polesiu.

Skoro mowa o trumnach, przedmiotach drewnianych, to powróćmy jeszcze na chwilę do muzeum i przyjrzymy się innym wyrobom z tegoż materiału. Z ogólnej liczby blisko trzech tysięcy tegorocznych znalezisk gdańskich dziewięćset pięćdziesiąt dwa to drewno.

Ciesielstwo kwitło. Miasto zamieszkałe przez kilka tysięcy ludzi było wyłącznie drewniane, więc jakże inaczej? Ale z narzędzi ciesielskich, oprócz pałek i klinów, znaleziono wtedy tylko zniszczony strug z dwiema rękojeściami. Piły nie znano. Kłody, bierwiona i dranice obrabiano toporem.

Zbadawszy zaledwie jedną czterechsetną część osiedla, nie natrafiono na warsztaty tokarskie. Wiadomo jednak, że ci majstrowie zgrabnie toczyli miski; talerze, czerpaki, warzęchy i temu podobne rzeczy. Talerze spotyka się rozmaite, lekko wklęsłe lub prawie płaskie. Miski dość głębokie, od zupełnie małych, siedmiocentymetrowych w średnicy, do wielkich, ćwierćmetrowych. Niektóre posiadały dna wyrobione w kształt podstawki, inne miały dziurki do zawieszania. Solidna majsterska robota.

Bednarzy w grodzie nie brakowało. Klepki robili porządne, tak kombinowane, by obręcz nie zsuwała się z wiadra.

Jednym z głównych, podstawowych zajęć ludności było rybactwo. Łusek wszędzie pełno. Ale gdańszczanie nie interesowali się byle jaką rybą. Jesiotry, łososie, szczupaki - i to nie drobiazg żaden, lecz sztuki po trzy metry długości. Na wody Motławy, Wisły, a nawet i na morze wypływano w łodziach klepkowych, sporządzonych bez użycia gwoździ metalowych. Zastępowała je rzecz znacznie lepsza, mianowicie kołeczki drewniane. Skoro tak spojona łódź namokła, żadna siła ludzka nie mogła rozerwać klepek. Boków łodzi zniszczonych używano niekiedy jako podłóg. Ten sam obyczaj znany był i wolinianom.

Z innych reliktyw zawodu rybackiego odszukano zwoje liny, kleszczki do wiązania i szelki

do wyciągania sieci. Pływaków rozmaitej wielkości były setki. Widniały na nich nacięcia - znaki własnościowe, dowody istnienia stałych dziedzicznych zespołów rybackich, maszoperii.

Późniejsze badania przekonały, że w czasach najdawniejszych gdańscy rybacy używali sieci mniejszych. Łowili jeszcze wtedy na własny, rodzinny użytek. Potem, w służbie książęcej, organizowali połowy na wielką skalę. Podobnie było i z myślistwem, które z biegiem czasu i zmian stało się widać jednym z obowiązków mieszkańców.

Bursztyn rozrzucony był po warstwach całego wykopu, i to w najrozmaitszych postaciach, poczynając od surowca. Na to wygląda, że każdy gdańszczanin sam zwyczajnym nożem wyrabiał zeń dary dla lubej, paciorki rozmaitego kształtu, wisiorki, zawieszki, a dla siebie kostki do gry. Ręcznie też, sposobem dość prymitywnym, majstrowano bursztynowe pierścionki, przeważnie obrączki, czasem sygnety.

Glina, wełna, len, drewno, najwyżej rodzimy bursztyn - wyliczenie sprawiające wrażenie dosyć zgrzebne. Głęboko w dole, nawet tam, gdzie zalegają zabytki z XI wieku, a więc z niemowlęcej doby Gdańska, znaleziono bizantyńskie oraz perskie jedwabie, brokat, złoto-czerwone tkaniny. Szkło z Nadrenii, luksusowe dzbany kijowskie i kolońskie, ozdobne okucia ze Skandynawii, kryształ górski, krwawniki... Rzemieślnicy i rybacy z XI wieku miewali pieniądze, brzęczącą monetę. Prowadzili handel nie tylko wymienny.

Prawił nam Gall dziwne rzeczy o przepychu, którym Bolesław Chrobry olśnił oczy cesarza Ottona III: „...nie była to tania pstrokaczna byle jakich lichych ozdób, lecz wszystko, cokolwiek kosztowniejszego można znaleźć u wszystkich ludów; gdyż za czasów Bolesława wszystkie damy dworskie i wszyscy rycerze zamiast sukien lnianych lub wełnianych nosili płaszcze z delikatnych tkanin, a skór, nawet kosztownych, choćby były nowe, nie noszono na jego dworze bez podszycia kosztowną tkaniną i bez złotogłowiu. Złoto bowiem za jego czasów tak było w powszechnym posiadaniu u wszystkich, jak [dziś] srebro, srebro zaś było tak tanie, jak słoma.”

Cóż o tym powiedzieć, pamiętając o bizantyńskiej wstążce ze srebrnego brokatu na jedwabiu oliwkowym, odkopanej w drewnianym Gdańsku, w dzielnicy plebejskiej? Tyle pewnie, że Gall przesadzał, lecz nie kłamał.

Ależ on i wtedy mówił prawdę, kiedy donosił o niewiarogodnym postępku Władysława Hermana, który - nie mogąc sobie poradzić z burzliwą ludnością - kazał spalić wszystkie miasta na Pomorzu. Warstwa gdańskiej odkrywki, dokładnie odpowiadająca czasom tego niedołęgi i okrutnika, zdradziła spaleniżnę.

Obszerniej opowiadam tu o tym, co sam widziałem (a nieraz jeszcze powracałem do Gdańska). Ale prace trwały siedem lat i aczkolwiek profesor Jazdzewski ostrzega z naciskiem, że do pełni obrazu daleko, wiele rzeczy widać wyraźnie. Na przykład falowanie koniunktur, przyływy i odpływy dobrobytu. Dobrze się wiodło gdańszczanom za Mieszka I, za Chrobrego, a nawet za Mieszka II. Potem przyszedł okres dotkliwej nędzy. Opanowanie położenia przez Krzywoustego odbiło się wyraźnie na losach miasta, i to w sposób dodatni. Gdańsk zabudował się ciasno, na dobre wytyczył ulice i ostatecznie ustabilizował wewnętrznie. Pojawiły się domy wieloizbowe, może nawet piętrowe. Nie brakowało obok nich mieszkań małych, jednoizbowych - różnice zamożności były wyraźne. Lecz wszystkie domy budowane są mocno, na zgrab.

Całkiem podobnie jak w Opolu, co jakieś dwadzieścia pięć lat przebudowywano się w Gdańsku na nowo. Poziom ulic, wykładanych dranicami, rósł od brudu i śmieci, drewno niszczało, tak tu, jak i w samych domach, gdzie istniały podłogi. Rozwalano więc je, używając dolnych belek poprzednich budowli jako czegoś w rodzaju fundamentu. I tak rosło sobie miasto do góry, pokład jego materialnych dziejów grubiał.

Od czasów Krzywoustego parcele były stałe, na co wskazuje niezmiennie niemal przez stulecia miejsce zabudowy kolejnych domów na, tym samym placu. Oto na przykład mieszkanie, którego resztek archeologowie jeszcze nie zdążyli uprzątnąć przed zimą. Pokazały się dwie pod sobą położone podłogi. Przez obydwie idą takie same wycięcia, idealnie pasujące do wymiarów warsztatu tkackiego. Sprawa chyba wyraźna - dom dziedzicznego tkacza.

Zupełnie tak samo jak w Opolu drzwi obracały się na czopach, a wysokie były na metr dwadzieścia centymetrów. Gdańszczanin nie wchodził jednak do izby zgięty ani nie był karłem. Do wysokości drzwi trzeba bowiem doliczyć i próg. Stanowiło go kilka dolnych belek ściany - jakieś sześćdziesiąt centymetrów. Schylać się nie należało, za to bez porządnego zadzierania kolan obejść się nie mogło. Profesor Kostrzewski wpadł na ciekawy domysł, że może te prapolskie osobliwości mieszkaniowe dały początek znanemu przysłowiu „Za wysokie progi na moje nogi.”

Obszerny wykop gdański obramia po brzegach gruba tafla betonu. Podczas wojny zbudowano w tym miejscu duży schron przeciwlotniczy. W związku z tym początki prac badawczych nie zaliczały się do nazbyt przyjemnych. Trzeba było przekopać się przez rumowisko, a także usuwać świeże, doraźnie tu zagrzebane trupy w liczbie pięćdziesięciu. Pobliska Radunia wyrzucała jeszcze wtedy potwornie wzdęte, zgalaretowane ciała.

Badaczy przywabił widok starych skorup, które leżały w rumowisku, obok płyty betonowej. Podczas kopania schronu bezceremonialnie wyrzucono je na powierzchnię.

W podłęczyckim Tumie wojna umożliwiła odkrycie kościoła z X wieku, w Szczecinie odsłoniła Basztę Siedmiu Płaszczy, w Gdańsku wskazała, gdzie było prapolskie miasto. Z czego tylko ta archeologia nie korzysta!

Oprócz odkrywki głównej była jeszcze jedna, dodatkowa. Odchodziła od ulicy Rycerskiej pod kątem prostym w kierunku Raduni. Potężny rów z poprzecznym zwałem kamieni na dnie.

Szukało się w tym miejscu resztek grodu. Skutek był o tyle pomyślny, że odkryto dwa kolejne wały, starszy i młodszy. Wszystko w nich było zgodne ze słowiańskimi regułami - izbice, przekładki i haki. Jedno tylko sprawiało szperaczom niemały kłopot. Nie można było jakoś uzgodnić chronologii wałów i miasta. Umocnienia okazały się znacznie młodsze. Wobec takiego stanu rzeczy profesor nakazał szczególnie ściśle metody poszukiwań. Każdy drobiazg lokalizowano trójwymiarowo. Aż w 1951 roku wyjrzało spod ziemi nieoczekiwane rozwiązanie zagadki - trzeci wał, najstarszy, opasujący ciaśniejszą przestrzeń niż poprzednie.

Teraz wszystko stało się zrozumiałe. Miasto rosło wszcz i sunęło przed sobą własne obwarowania. W praktyce tak to wyglądało, że stare umocnienie należało zrównać i wznieść nowe, szersze. Tak powstały trzy wycinki pierścienia, na które natrafiono w tym rowie.

Z grodem właściwym, siedzibą książąt pomorskich lub namiestników piastowskich, kłopot. Wiadomo, lecz z kronik, że stał tam, gdzie potem Krzyżacy wznieśli swój zamek. Ale nie udało się natrafić na ślad chociażby wału, odgradzającego ośrodek władzy od dzielnicy zamieszkałej przez lud. Najprawdopodobniej takiej przegrody nigdy tu nie było. Gdański gród właściwy dzieliła od podgrodzia zapewne palisada.

W poprzednich rozdziałach pisałem o zaobserwowanym przez specjalistów wyodrębnianiu się ośrodków władzy, które upodobniło prapolskie osiedla warowne do pawich ok - w planie poziomym. Badania późniejsze wcale tego spostrzeżenia nie obaliły, wniosły za to ważną poprawkę. Owego wyodrębniania się nie należy traktować w sposób schematyczny. W Gdańsku od początku jeden i ten sam wał służył bezpieczeństwu zarówno rządzących, jak rządzących. We Wrocławiu, nawet w Gnieźnie nie odbudowywano już wałów zagradowanych po zniszczeniu ich w XI wieku. Podział społeczny istniał w Prapolsce, ale nie przypominał przepaści. Twierdzenie pasujące chyba do znanego z kronik faktu wyraźnej solidarności wszystkich warstw w chwilach krytycznych. Tylko pamiętajmy, że kronikarze najchętniej pisywali właśnie o chwilach trudnych, na dzień powszedni mniej zwracali uwagi. Wyręcza

ich chociażby Gdańsk, gród będący polskim tworem państwowym, a pozbawiony naprawdę silnej przegrody wewnętrznej.

Pochodzenie grzędy olbrzymich głazów, która poprzecznie przecinała dno wykopu jest dokładnie znane. Rok 1340 - fundamenty zamku Zakonu Braci Szpitala Niemieckiego Najświętszej Marii Panny w Jerozolimie, czyli Krzyżaków. Kamienie, z których każdy waży mniej więcej po tonie, wkopywano od razu poniżej poziomu morza. Na nich dopiero stanęły okrutnie mocne mury fortecy. Możliwość jej zbudowania była logicznym następstwem istnienia czarnej warstwy spalenizny, która w wykopie głównym zamyka dzieje starego, polsko-pomorskiego miasta, a pamięta tragiczną jesień 1308 roku.

Historia jest znana, opisana przez kronikarzy, a także przez literatów, między innymi przez Stefana Żeromskiego w *Wietrze od morza*.

W 1308 roku margrabia brandenburski Waldemar wkroczył na Pomorze i zajął je. Pomagał mu możnowładczy ród Święców, których Władysław Łokietek odsunął od władzy, skoro tylko opanował wybrzeże. Położenie było niewymownie ciężkie, gdyż Polska dopiero się jednoczyła po rozbiciu dzielnicowym. Wielkopolskę trzymał zresztą współzawodnik Władysława, Henryk III Głogowczyk. Dochowywał Polsce wierności Bogusław IV ze Szczecina, ale Brandenburczycy potrafili go unieruchomić, rzuciwszy przeciwko niemu inną armię.

Patrycjat niemiecki, już wtedy obecny w Gdańsku, wydał margrabiemu samo miasto. Za to w grodzie utrzymał się sędzia pomorski, Bogusz. Bronił się twardo, lecz to nie mogło zmienić okropnej sytuacji.

W 1306 roku Łokietek już raz wyrzucił był z Pomorza Brandenburczyków. Teraz nie mógł dać Gdańskowi pomocy, ponieważ zajęty był mnóstwem innych spraw. Kazał Boguszowi radzić sobie, jak tylko można, a w ostateczności zwrócić się o pomoc do Krzyżaków. To samo zalecał przeor dominikanów gdańskich.

Mistrz pruski, Herman von Plotzke, przysłał odsiecz. Przyprowadził ją komtur ziemi chełmińskiej, Gunter von Schwarzburg. Brandenburczycy ustąpili na zachód, a Krzyżacy zajęli Gdańsk, którego nie oddali aż do roku 1454.

W czasie późniejszych procesów strona polska mówiła Krzyżakom: dnia 14 listopada 1308 roku wymordowaliście dziesięć tysięcy mieszkańców i spaliliście miasto. Przedstawiciele Zakonu odpowiadali: ucieliśmy głowy dwiętnastu łotrzykom z partii Święców, mieszkańcy zaś sami spalili swoje domy i poszli gdzie indziej.

Badania archeologiczne prowadzono w Gdańsku systematycznie przez lat siedem i w wielu punktach miasta. Posłuchajmy, co mówi profesor Jażdżewski w studium: *Gdańsk X-XIII wieku na tle Pomorza wczesnośredniowiecznego*:

„Przede wszystkim skonstatowano, że na początku KIV wieku wybuchł wielki pożar, który strawił zarówno budynki mieszkalne, jak i wały obronne w różnych, odległych od siebie punktach wczesnośredniowiecznego Gdańska. a mianowicie wszystkie domy w dzielnicy rybackiej w wykopach I-V na 1 stanowisku, ostatni, najmłodszy wał grodowy w wykopie VIII na tymże stanowisku, dalej wał podgrodzia na stanowisku 4, oraz część domostw w dzielnicy rzemieślniczej na 2 stanowisku. Ustalono dalej, że na zbiegu ulic w dzielnicy rybackiej znajdowało się dość dużo grotów od beltów do kusz i innych militariów, mogących świadczyć o stoczony tu walce; jest widoczne, że w popłochu ludność nie ratowała swego dobytku, pozostawiając cenniejsze przedmioty na miejscu, że po pożarze domy już nie zostały odbudowane, lecz teren pogorzeli zasypano i zrównano, że pobudowano na nim budynki gospodarze krzyżackie w zupełnie innym rozplanowaniu i że dotychczasowi mieszkańcy tej części Gdańska opuścili bezpowrotnie swoje dawne siedziby.”

Opinia wyrażona w sposób naukowo oględny, lecz zupełnie niedwuznaczna. Dobrowolne zniszczenie przez ludność własnego miasta, mającego za sobą trzysta kilkadziesiąt lat rozwoju, byłoby wypadkiem jedynym w dziejach. Ta ludność nie miałaby zresztą żadnego powodu do porzucania cennych przedmiotów. Warstwa spalenizny we wszystkich gdańskich wykopach posiada wymowę aż nazbyt wyraźną. W najmłodszym wale znaleziono w roku 1951 trzy szkielety, złożone we wspólnej mogile. Może były to ofiary tamtej rzezi.

Polscy oskarżyciele przesadzali, mówiąc o dziesięciu tysiącach zamordowanych. Całej ludności miasta, której mogło być od siedmiu do dziesięciu tysięcy, Krzyżacy nie wyrznęli. Zginęła większość mieszczan, a wraz z nimi wszystka szlachta pomorska, obecna wtedy w Gdańsku. Rycerstwo chwyciło za broń i za darmo życia nie oddało. Opat z Oliwy mógł nieść ostatnią posługę konającym, „o ile mu na to pozwalano”.

Listopad 1308 roku oznacza kres polskiej, pomorskiej metropolii nad Motławą. Badano jej dzieje, wdrażając się w głąb wieków - zacząwszy od złóż węgla z tamtej daty. Nie znaczy to wcale, że w czasach późniejszych nic się tutaj z polskością nie wiązało. Ani trochę nie znaczy! Ale dochodzenia naukowe, których fragmenty usiłuję w tej książce przedstawić, odnoszą się do samych fundamentów naszej budowli państwowej. Jeśli chodzi o Gdańsk, wykazują one wręcz zadziwiająca ścisłość i zwartość. Wszystkie nawarstwione na sobie fazy osiedla - od X wieku po XIV - dowodzą ani na chwilę nie zakłóconej ciągłości rozwoju

kulturowego. Niewątpliwie musiała tu mieszkać ludność jednego i tego samego plemienia.

„Ciągłość ta rozwoju widoczna jest w ledwie dostrzegalnym, powolnym rozwoju form kultury materialnej, szczególnie ceramiki. Czysto słowiański, polsko-pomorski charakter grodu konsekwentnie utrzymuje się poprzez wszystkie warstwy wczesnośredniowieczne” - pisał profesor Jażdżewski w sprawozdaniu za rok 1951. A w cztery lata później dodał, że okres silnej aktywności Wikingów skandynawskich na Bałtyku, trwający od końca VIII do początków XI wieku, pozostawił w Gdańsku ślady zadziwiająco nikłe. „Zaledwie kilka drobnych przedmiotów” - na setki tysięcy odszukanych zabytków - dowodzi handlu ze Skandynawią lub jej wpływów. „Konkretnych dowodów na fizyczną obecność Skandynawów w Gdańsku brak.”

Podobnie ma się rzecz z Niemcami. Patrycjat germański już w XIII wieku przebywał w Gdańsku. Próbował wtedy nawet wydać miasto Brandenburczykom, czemu zapobiegły drużyny Bolesława Pobożnego z Wielkopolski. Ale kulturalne wpływy niemieckie dają się w Gdańsku zauważyć dopiero w XIV i XV wieku - p o w y ż e j warstwy spalenizny.

W XIV wieku resztki ludności polskiej musiały porzucić swe siedziby. Krzyżacy nie tolerowali nikogo w pobliżu murów twierdz. Napływającym osadnikom niemieckim pozwolili się budować, lecz w przyzwoitym oddaleniu, na Prawym Mieście. Autochtonom wyznaczili po pewnym czasie dzielnicę Osiek. Dokument, spisany w średniowiecznej niemczyźnie, określa ich jako: „*dy Polene us deme hachilwerke*”.

Wtedy dopiero wzniesiony został w Gdańsku gmach nie mający nic wspólnego z tutejszą tradycją budownictwa. Przez trzydzieści dwa lata siedzieli Krzyżacy w grodzie dawnych książąt pomorskich. Aż w roku 1340 postawili na jego miejscu własną fortecę. Straszna to była potęga! Potrójny prostokąt murów nad potrójnymi fosami, których dna leżały głęboko poniżej poziomu morza.

Krzyżacy przynieśli nad Wisłę i Nogat nie tylko własny, germański dorobek cywilizacyjny. Po tytuł do stawy mogą się skutecznie zgłaszać narody tak egzotyczne, jak Arabowie i Sycylijczycy. Zakon korzystał z najlepszych wzorów średniowiecznego świata, czerpał z całego dorobku Zachodu i Południa. To jedna niezaprzeczalna prawda. Druga głosi, że w chwili zaboru Pomorza posiadał druzgocącą przewagę materialną i cywilizacyjną nad Polską.

Od zajęcia przez Krzyżaków Gdańska do bitwy pod Grunwaldem upłynęło sto dwa lata. W przeciągu tego wieku Polska zdołała: uchylić się od przedwczesnego starcia, rokującego tylko

zgubę, dogonić n a j p i e r w s z ą p o t ę g ę E u r o p y i złamać ją w bitwie o śmierć lub życie. Skłonny jestem twierdzić, że XIV wiek był najważniejszym w naszych dziejach. Dzięki niemu Polska istnieje.

Pod Grunwaldem walczyła różnojęzyczna koalicja, z którego to faktu wysnuwano rozmaite zbyt pochopne wnioski, nie przyjmując do wiadomości opinii osoby najlepiej poinformowanej. Wielki mistrz Zakonu, Ulryk von Jungingen, jasno określił w roku 1409, kto liczył się jako prawdziwy i główny przeciwnik Krzyżaków:

„...raczej tedy na głowę niż na członki wymierzę cios. Wolę nawiedzić wojną ziemię osiadłą, miasta i włości aniżeli pustki i lasy, wojnę zamierzoną przeciw Litwie obrócić przeciw Polsce.”

Zrobił, jak zapowiedział.

Długo gawędziliśmy o ponurych mnichach, siedząc sobie pod roslym kasztanem u krańca wykopu, który odsłonił krzyżackie fundamenty. Profesor Jażdżewski dowodził że w roku 1308 oddziały zakonne weszły do grodu od strony morza. Był to nie lada wyczyn ten przemarsz po podmokłych, zalewowych terenach, gdzie ciężkozbrojni rycerze i knechtowie musieli skakać z kępy na kępę.

Właśnie zamierzałem się obejrzeć na obszar za Radunią, którą starożytni pięknie zwali Eridanos, skąd w 1308 roku nadciągnęły białe płaszcze z czarnymi krzyżami - kiedy gwałtownie szcęknęła furtka od ulicy Rycerskiej. Dwie postacie w ciemnych kombinezonach biegły ku nam z pośpiechem, jakby się paliło.

- Panie profesorze! Skończyliśmy wiercenie. Jest wynik. Sensacja!

- Co się stało?

- Najniższa warstwa kulturowa leży pięćdziesiąt pięć centymetrów poniżej poziomu morza. A od tego poziomu, na którym obecnie pracujemy, jest jeszcze dwieście dwadzieścia centymetrów do rozkopania.

- Czekaście - profesor podniósł się z kamienia, na którym siedział. W dłoni trzymał już ołówek i notes.

- Powtórzcie no liczby!

I natychmiast, razem z rozgorączkowanymi posłami z wykopu, Jerzym Kmiecińskim i Henrykiem Wiklakiem, przystąpił do obliczeń. Zaglądałem mu pilnie przez ramię.

- Więc tak. W roku 1948 zaczęliśmy kopać w punkcie położonym 5,2 m ponad poziomem morza. Głębokość osiągnięta do dziś - 3,62 m. Do poziomu morza pozostaje zatem 1,65 m. Warstwy zaś kulturowej, jak mówicie, mamy jeszcze pod sobą 2,20 m. Zgadza się - pięćdziesiąt pięć centymetrów poniżej poziomu morza. Tam będzie fajrant!

Zaległo milczenie. Tylko obaj młodzi ludzie sapali, zadyszani od szybkiego biegu.

- Ale czekajcie, czekajcie - podjął znowu profesor. - Przecież tamci nie byli znowu wtedy tacy sprytni, żeby pobudować wodoszczelne waty i wodę wypompować. I na punkcie „0” też się budować nie mogli, boby chałupy w wodzie stały. Musieli wybrać miejsce co najmniej o pięćdziesiąt centymetrów ponad poziomem. To znaczy... Czy pan rozumie, co to znaczy? - zwrócił na mnie okrągłe oczy. - To jest rewelacja dla historii delty Wisły. To znaczy, że tysiąc lat temu poziom morza musiał być co najmniej o jeden metr niższy niż dziś.

Młodzi ludzie odeszli.

- Dwa metry dwadzieścia. Całe dwa metry dwadzieścia - profesor nie mógł się uspokoić. Cieszył się z rozmiarów ciężkiej pracy badawczej, jaka go jeszcze czekała.

- Przed nami Gdańsk X stulecia, Gdańsk kontaktów z Wikingami, wielkiego przewiewu na Bałtyku. I takie rzeczy ujawnia ten Gdańsk, którego historia tak była krzywdzona, poniewierana, umyślnie kaleczona. Gdańsk, od którego zaczęła się druga wojna światowa! Panie, czy pan wie, gdzie znajduje się nasze miejsce pracy? Tuż przy placu Obrońców Poczty Polskiej. A sama poczta to tamten wielki gmach obok naszych baraków.

Puszkowe świdry w wielu miejscach przewierciły - wtedy i później - ziemię gdańską. Wyniki potwierdziły prawdę - od czasów wczesnego średniowiecza wybrzeże morskie w okolicach Gdańska obniżyło się co najmniej o jeden metr.

Istnieje teoria, która głosi, że wskutek polodowcowych ruchów izostatycznych południowe wybrzeże Bałtyku obniża się, zapada nieustannie. Wiercenia dokonane przez archeologów poparty ją w sposób nader przekonywający. Ale dzisiejsi gdańszczanie - zwłaszcza ci, co mają mieszkania na piętrze - nie powinni żywić przesadnych obaw. Nie tak zaraz jeszcze zagrożą im wzburzone fale Morza Barbarzyńców. Zapadanie południowego wybrzeża odbywa się w tempie jednego milimetra rocznie.

Walcowate puszki, umieszczone na końcach drągów wiertniczych, wydobywały fragmenty tego, co tam zalegało na samym spodzie. Oglądałem kawał misy drewnianej, toczonej, przez którą przewędrowało bezceremonialne ostrze. A w trzy lata później - jesienią 1954 roku - w

towarzystwie paru profesorów politechniki znowu zajrzałem na Rycerską. Ogradzony wykop był opustoszały. Archeologowie zakończyli sezon, profesor Jażdżewski powrócił do Łodzi, gdzie wykłada. Dno jamy pokrywała tafla mętnej wody. Zbadano i to, co leżało poniżej dzisiejszego poziomu morza.

Wypisano Gdańskowi dokładną metrykę. Powstał około roku 980, nie wcześniej. A więc za Mieszka I i, jak się wolno domyślać - z jego rozkazu. Jeśli tak, Gdańsk, który rósł i wyrósł wraz z Polską, stanowi jeden więcej dowód wartości myśli politycznej jej ówczesnego kierownictwa, ośrodka władzy.

W dziedzinie rozwoju gospodarczego Pomorze Wschodnie pozostawało daleko w tyle za Zachodnim. Gdańszczanie z X czy XI wieku, pomimo swych brokatów i jedwabi, ani się mogli równać z wolinianami czy mieszkańcami Szczecina. Polska Mieszka I parła na północny zachód, ale nie zaniedbała i północno-wschodniego, kresowego kąta. Wisła była wtedy dla niej rzeką drugorzędną, częściowo graniczną, ale należało wyzyskać i jej bieg. Toteż w latach dziewięćset osiemdziesiątych wybudowano w delcie rzeki warowny gród, wyposażony w przystań nad Motławą, a zamieszkały przez rybaków, rzemieślników i kupców.

Św. Wojciech, który tam przybył w roku 997, ochrzcił „wielkie tłumy ludu”. Kronikarz przesadził albo mierzył miarą, która nam wydaje się przesadna. Z obliczeń wynika, że Gdańsk ówczesny mógł mieć jakichś tysiąc dwustu mieszkańców co najwyżej. Dwadzieścia lat wcześniej była tam pustka.

To chyba nie przypadek, że w osiedlu będącym polskim tworem państwowym przedstawiciel władzy nie odgradzał się specjalnie od ludu, z którym go jednoczyło wspólne i dla obu stron oczywiste dobro.

W WIŚLICY

I

Po raz pierwszy w życiu odwiedziłem Wiślicę we wrześniu 1950 roku. Poczułem się, jakbym trafił w takie miejsce, gdzie świat się kończy. Od miejsciny nie wiodą w kierunku Wisły żadne drogi. Szosa ze strony Buska, a od przeciwnego krańca wysuwa się ku Nidzie grobla, którą usypał podobno diabeł, zaklęty przez mądrego proboszcza.

Wiślica miała nieszczęście leżeć w pasie przytykającym do granicy galicyjskiej. Zgodnie z zasadami „strategii Scytów” rząd carski nie budował żadnych dróg, świadomie i celowo przetwarzał kraj w depresję cywilizacyjną. Nadzwyczaj trudno usunąć później skutki tego rodzaju zabiegów, trwających przez lat osiemdziesiąt przeszło. Zwłaszcza jeśli od chwili ich zaniechania odbyły się dwie wojny światowe.

Przejmujące wrażenie sprawia widok miasteczka, oglądanego od Nidy. Kupka niedużych domków, trwożnie skupionych na spłaszczonym wzniesieniu. trzymających się siebie jakby ze strachu przed okoliczną pustką. A nad tym wszystkim, nad żalosną mizérią nowszej doby historii, dwa ogromne ceglane masywy. Gotycka kolegiata króla Kazimierza Wielkiego i takież dom Jana Długosza, historyka, kanonika i arcybiskupa. Wiek XIV i XV. Czasy późniejsze nie pozostawiły w Wiślicy nic godnego uwagi.

Kieleccyzna tłumaczy Stefana Żeromskiego. Pisarz urodził się i wzrósł w kraju, w którym co krok niemal można napotykać widoki podobne do wiślickich. Sandomierz - mógłby być polską Florencją, gdyby nie zaniedbanie, bieda, brak wodociągów, które tu istniały... za królów. O całych siedemnaście kilometrów odległy od kolei Opatów, z kamienną romańską kolegiatą Św. Marcina, a w niej renesansowe nagrobki Szydłowieckich, zaliczane przez znawców do najlepszych dzieł odlewnictwa w Europie. Kielce - w nich samych wspaniały pałac biskupi, a obok Białogon, gdzie można obejrzeć ciekawe, ładne, ale nie w pełni wykończone założenie urbanistyczne... twór księdza Stanisława Staszica.

Młodym latom pisarza stale towarzyszyły zabytki wielkości, obrosłe późniejszą nędzą.

Kiedy w 1914 roku armia niemiecka ruszyła ze Śląska ku Wiśle, właśnie w Kieleckie, dowodzący nią Paweł von Hindenburg tak podsumowywał swe spostrzeżenia:

„Wkraczamy do rosyjskiej Polski i w tejże chwili pakujemy się w to, co generał francuski,

opisując przeżytą przezeń kampanię 1806 roku, nazwał szczególnym elementem tutejszej wojny, a mianowicie - w gnój! I to w gnój pod każdą jego postacią, a więc nie tylko pod gołym niebem, lecz także w tak zwanych mieszkaniach ludzkich i na samych ludziach. Przekroczywszy granicę, weszliśmy jak gdyby w inny świat. Mimo woli cisnęło się pytanie: jak podobna, aby w pośrodku Europy kamienie graniczne, dzielące Poznańskie i Polskę, odgraniczały tak krańcowo odmienne stopnie kultury jednego i tego samego szczepu? W jakiej niedoli cielesnej, moralnej i materialnej pozostawiła kraj ten państwowa opieka rosyjska! A jak mało pierwiastków cywilizacyjnych przeniknęło z polskiego przerafinowania u góry w dolne warstwy, siłą powstrzymane w rozwoju!”

W 1959 roku Wiślica stała się głośna w całej Polsce, a bodajże i szerzej. Będzie ciekawe, lecz nie dziwne, jeśli podniesieniu się miasteczka dopomoże jego własna przeszłość. Już w roku 1960 kilka tysięcy turystów je odwiedziło.

Reszta chętnych musi się uzbroić w cierpliwość, i to nie tylko dlatego że nie miałyby gdzie głowy skłonić ani co jeść.

Dotychczas raz jedynie pokazano odkrycie tłumowi. Było to jesienią 1959 roku. Przed zasłonięciem wykopu w kościele badacze ogrodzili go mocnymi poręczami i ogłosili w miasteczku, że każdy, kto chce, może przyjść popatrzeć. Tłok był taki jak podczas sumy, kiedy arcybiskup przyjedzie. A cisza jak w grobie.

Obecnie wykop wygląda jak podziemna komora, szczelnie wewnątrz obity drewnem. Ze wszystkich stron świeci jego jasny kolor, czuć żywicą. Poziome i ukośne belki, wiązane według wskazówek najlepszych specjalistów Politechniki Warszawskiej i pod ich bezpośrednim nadzorem, tworzą kościec.

Magister Andrzej Tomaszewski schodzi pierwszy, o metr przede mną. Jego wysoka postać zagradza mi drogę, uniemożliwia wszelki szybszy ruch naprzód. A głos z naciskiem dyktuje, gdzie mam stopy stawiać.

- Na tę krawędź muru... A teraz już tylko po rozporach! I przez cały czas dłońmi za te górne belki - mówi, pilnie okiem sprawdzając wykonanie. Z powodu tych samych ostrożności wczoraj w ogóle mnie tu nie wpuszczono. Poprzedniej nocy, podczas wyjątkowo silnej burzy, kiedy uderzyło nawet parę kulistych piorunów, wyładowania popsuły w kościele elektryczność (bo od niedawna Wiślica ma prąd). Bez światła nie można schodzić w wykop.

Przycupnąłem na kłodzie, ociosanej gładko, do kantu. Pozycja pewna, zwłaszcza jeśli przez cały czas obejmować ramieniem stojak. Dno komory mam tuż pod sobą. Jest doskonale

płaskie i żółte, ponieważ przysypano je grubo trocinami. Jego powierzchnia znajduje się o cztery niemal metry poniżej posadzki kolegiaty.

Andrzej Tomaszewski zaczyna od przeciwległego brzegu. Zwykłą miotełką pomału odgarnia trociny. Pokazuje się różowawa płaszczyzna płyty i nagle pierwsza ciemna kresa bocznego ornamentu. Już widać dziwnego centaury-kobietę z włosami upiętymi w kształt rogu, podobnego do czapki frygijskiej.

Widać już cały wielki kwadrat płyty. Z trzech stron obramia ją regularna wstęga ornamentu, zwana przez specjalistów „bordiurą”. W zawity motyw roślinny wplótł artysta aż cztery tajemnicze figury. Badacze już rozpoczęli spór o ich symboliczną wymowę. Padają argumenty, których samo brzmienie rozszerza horyzont miejscowej historii. Słychać o możliwościach wpływu Węgier, Moraw, Czech, Włoch północnych, Konstantynopola-Bizancjum.

Na razie o tym nie myślę. Przypadkiem wybrałem miejsce na belce, która przebiega poziomo tuż nad głowami trzech postaci ludzkich, wyobrażonych w XII wieku rylcem rytownika na kruchym gipsie i cało przechowanych pod czterometrowym słojem ziemi zmieszanej z twardym, ciężkim gruzem kamiennym.

Spoglądam wprost na oblicze brodatego mężczyzny. Poważny mąż patrzy ku górze. Twarz jego wyraża korne uwielbienie. To samo mówią wzniesione w geście adoracji dłonie. Po obu stronach niewiasta i młody chłopak też trwają w pozie modlitwy i wiary. Łączą się w religijnym hołdzie, powtarzają dokładnie ruch... Czyj? Małżonka i ojca? Kogoś w każdym razie, kto dużo znaczył w świecie doczesnym. Szaty wszystkich trojga są bogate. Artysta nie gubił się w szczegółach, był oszczędny. Ale spody sukni niewieściej i tunik męskich ozdabiają pasy, na których wyraźnie znaczą się ciemne punkty. Był w średniowieczu zwyczaj przyszywania dzwoneczków na rąbkach ubrań osób dostojnych, książąt. Pas mężczyzny kończy się dwoma gruszkowatymi ciężar karm. To są już na pewno owe dzwonki.

Za plecami mam zabezpieczoną deskami ścianę ziemi, której dotychczas odkrywcy nie poruszyli. Zrobią to jeszcze w tym, 1960 roku. Wtedy się okaże, ku czemu z taką pokorą kieruje wzrok ta trójka bardzo wielmożnych ludzi, Ale przedtem rozwiązana zostanie dręcząca wszystkich zagadka losu dalszej części płyty. Próbną sondaż, delikatne drażnienia poziome, zdają się zapowiadać, że i tam gips się ostał.

Utrzymuje się wśród nas skłonność do uznawania za pewniki mniemań, które wcale nimi nie są. Uchodzi za rzecz dowiedzioną, że pamięć osobnicza i zbiorowa przechowuje wieści o

dotadnich stronach czasów minionych, a szybko pozbywa się balastu przykrych. W rzeczywistości bywa nieraz wręcz przeciwnie. Kronika Długosza zawiera skąpą wiadomość o jakiejś krypcie w Wiślicy, w której jakoby to miał się ukrywać Władysław Łokietek. Ani w dziejopisarstwie, ani w tradycji nie przechował się cień chociażby wspomnienia o tym co dawny kościół wiślicki mieścił w podziemiu. Można więc śmiało przypuszczać, że gdyby tylko okoliczności historyczne ułożyły się odpowiednio ludzie potrafiliby zapomnieć o Kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu.

Nie wiedzieliby w ogóle, że kiedykolwiek istniała.

Zestawienie z Kaplicą Zygmuntońską jeśli zgrzeszyło, to skromnością raczej niż przesadą. Europa liczy wiele dzieł sztuki XVI wieku równych tej kaplicy albo i lepszych. Rytowana płyta w Wiślicy jest zjawiskiem niemal jedynym w swoim rodzaju. Kościół klasztorny w Ilseburgu w górach Harzu ma podobną, również wykonaną z gipsu w stuleciu XII i pokrytą ornamentem. Ale ona tylko pod względem techniki przypomina wiślicką. Nie wiadomo, skąd pochodzi rytownik, który tworzył u nas. Pewne za to, że jako artysta stał na samych szczytach swojej epoki.

Powłóczyłość szaty niewieściej wy dobył jednym pociągnięciem ryłca. To widać! Chciałoby się nawet mówić o jednym ciosie ostrza, ale nie... on je prowadził ruchem ciągłym, czując temat palcami. Kresa rozszerza się, grubieje i zaraz znowu czyni wiotką. Dokładnie tak, jak potrzeba, by i po ośmiu stuleciach przemówić do widza tonem pewnym, władczo.

Ani śladu krajobrazu w tle, nigdzie ani drobiny dziubdziania w szczegółach, „żeby było jak żywe”. Detale stroju, nawet rysy twarzy to właściwie znak tylko, kontur, niezbędne minimum. Nie jest „jak żywe”, za to żyje. Wyraża prawdę wieków, w których złożono pierwsze zwrotki *Bogurodzicy*. Przecież to jej melodia jest w dłoniach, w oczach tych postaci.

W XII wieku, gdzieś w jego drugiej połowie, wykonano kolejno kilka czynności. Najpierw usunięto część starej podłogi w krypcie kościelnej (w przyszłości przekonamy się może, czy nie wykopano wtedy również jam na trumny). Na poziomą płaszczyznę wylano płynną masę, zrobioną z gipsu zmieszanego z paloną i zmieloną gliną. To wszystko przedtem, to znaczy przed rytowaniem. Potem bruzdy rysunku nasyciono ciemnym barwnikiem, w którego skład wchodził sproszkowany węgiel.

Jak ten człowiek wykonał zadanie główne, jak rytował? Powierzchni mógł dotykać samym ostrzem narzędzia. Miękki gips przechowałby ślady stóp i dłoni. Z tego samego powodu musiał się śpieszyć. Gips szybko krzepnie. Pochylać się, sięgać od strony krawędzi nie było

sposobu.

I wtedy zatem, przed ośmiuset laty, musiało istnieć nad tą płytą jakieś rusztowanie. Artysta leżał może na nim, może klęczał. Jedno absolutnie pewne: rusztowanie obmyślono tak, by zostawić twórcy pełną swobodę ruchu ramienia. A może on zwisał w jakimś koszu czy na desce, przesuwany w miarę potrzeby nad gotową już, lecz jeszcze martwą kartą gipsową? W średniowieczu artyści działali w zespołach. Do roboty w Wiślicy zaprzęć się musiało całe grono majstrów. Byli wśród nich tacy, którzy wiedzieli, jak przygotować i rozlać masę. I tacy, którzy umieli otworzyć rytownikowi drogę do każdego punktu rozległej płaszczyzny. Narodziny obrazu pilnie śledziły oczy grona ludzi, którzy byli bractwem. Ten, co rzeźbił, wykonał zadanie główne, ukoronował pracę zbiorową. Pozostał bezimienny, jak i jego towarzysze.

Skąd przyszli i dokąd poszli? Doskonałość ich wspólnego dzieła nie pozwala wątpić, że to, czego dokonali w Wiślicy, nie było im pierwszozną. Po wypełnieniu zobowiązania nie zostali pewnie na łaskawym chlebie miejscowego księcia. Nie po to się dobrali. Sens życia ich bractwa polegał na twórczości.

Za Wisłę chyba nie poszli. Nie byłoby po co. Ale na lewym brzegu rzeki nie brakowało książąt dzielnicowych, nie gorszych, nie mniej ambitnych od tego, który władał w Wiślicy. W takim Strzelnie w tym samym czasie stanęły przepięknie rzeźbione kolumny, w Gnieźnie archikatedra przyozdobiła się swymi słynnymi drzwiami w Kaliszu. Mieszko Stary wznosił kolegiatę... Z Wiślicy do Krakowa w jedną, a do Sandomierza w drugą stronę wcale nie tak daleko. Płock również leży nad Wisłą.

Czy jest nadzieja odnalezienia kiedykolwiek śladów wcześniejszej i późniejszej roboty owego bractwa, w którym rzemiosło i sztuka zrosły się w jedno? To pewne, że kiedyś musiały istnieć. Jak dotychczas - w całej Europie znane są dwa okazy rytowanych płyt, w Ilsenburgu i w Wiślicy. Obie są z g i p s u. Przypadek nie zawsze bywa łaskawy. W Wiślicy budowniczy późniejszej kolegiaty gotyckiej usunęli podstawę jednej z kolumn, obramiających niegdyś płytę. Wykopy pod fundamenty ominęły ją właściwie o włos.

Ani spostrzegłem, kiedy zaludniła się podziemna komora. Członkowie ekipy badawczej wsuwali się widać pojedynczo, ostrożnie zajmując miejsca na rozporach. W ciszę zamkniętego wnętrza od dawna już pewnie wniknął nie zauważony dźwięk. Nie przeszkodził myślom o sztuce, która rosła „w cieniu ołtarza”. Już pierwsza jego nuta musiała utrafić w ich tok. Na górze rozpoczęły się nieszpory, kolegiata huczała grą organów. Stłumiona melodia

wypełniała wykop. Kiedy umilkła, pojąłem, że pora wychodzić. Zabrakło jednego z tonów doznanego przeżycia.

Tegoż wieczoru wpuszczono mnie pod obszerny budynek drewniany, przysłaniający wielką odkrywkę, znajdującą się tuż obok, za murem przykościelnego cmentarza. Poprzednio docent Zofia Wartołowska postawiła uprzejme, ale kategoryczne weto. Światło dzienne pod tamtą szopę przenika - nie o to chodziło. Od paru tygodni w całej Polsce leją katastrofalne deszcze. Archeologowie zrobili wszystko, co tylko leżało w ich mocy. Wczoraj jeszcze na gwałt kopali dodatkowe rowy, ustawiali ściek z desek, odpływ dla rozlewisk z cmentarza, położonego nieco wyżej. Mało pomogło. Woda wdarła się w wykop, pokryła jego dno. Na szczęście już wsiąkała, bo w nocy przestało padać, ale pozostawiła wszędzie czarne szklivo. Za ślisko. Tutaj także nie wolno ryzykować.

Wyraziłem się przed chwilą niezbyt dokładnie, bo zakaz zwiedzania był częściowy. Nie wolno mi było schodzić w głąb, a tym bardziej za ekran z białego płótna, odgradzający północną część bardzo rozległej jamy. Temu, co jest bliżej, niejako na froncie, mogłem się do woli przyglądać z drewnianej galeryjki, specjalnie przeznaczonej dla publiczności. Wszystko, przypominam, to znaczy dół, ekran i balkonik z poręczą, mieści się wewnątrz wielkiej szopy drewnianej, pod dachem. Jeszcze całkiem niedawno temu nie było tej budowli. Tędy, gdzie ona teraz stoi, prowadziła ulica Batalionów Chłopskich, która za Kazimierza Wielkiego miała ten sam kierunek, tylko nazywała się Solną.

Z odległości kilku metrów patrzę więc na szczątki niewielkiego budynku z kamienia. Oglądam go z boku, bo gmach ma położenie poprzeczne w stosunku do biegu ulicy. Wyjrzał naturalnie z warstwy grubo niższej od tego jej poziomu, jaki istniał za króla Kazimierza.

Dziwna budowla, podwójna. Część bliższa moich oczu, południowa, miała kształt zwykłego prostokąta, złączonego bokiem z partią dalszą, o wiele bogatszą w formy. Była tam wewnątrz murów wydłużona, ale cackiem ciasna salka, po stronie wschodniej kończąca się kolistą wypustką - izdebką. Zewnętrzna ściana opisuje w tym miejscu łuk.

Zwykłą rzeczą koleją ziemia przechowała tylko to, co było zrosnięte z nią samą - najniższe pasma. Ustrzegła je za to w całości i dzisiaj zarys poziomy jest pełny, wyznaczony grubym murem kamiennym.

Biały ekran płócienny nie jest zasłoną ani tłem dekoracyjnym. Umieszczono go, aby nauczać. Na pionowo zwisającej płachcie widnieją napisy objaśniające oraz rysunki, dające pojęcie, jak prawdopodobnie wyglądało to wszystko ongi.

Stał więc tutaj mały, lecz krzepki kościółek murowany, któremu w jakiś czas później dodano od południa prostokątną przybudówkę. Mieściła pewnie kaplicę grobową, bo inaczej skądże by się w niej wzięły aż cztery mogiły. Leżały w nich szkielety mężczyzn, których pochowano bardzo starannie jednego nawet pod płytą ze sztucznego kamienia - ale w podróż wiekuiącą nie dano im nic z dóbr ziemskich. Żadnego noża, naszyjnika, miecza ani garnka z ofiarą. Szkielety bez dodatków spoczywały tu zresztą wokół, także tam, gdzie od dawna znajduje się w Wiślicy plac targowy.

Zadziwiająco niewielki był masywny kościółek. Jego światło wewnętrzne wynosiło pięć metrów na trzy. Absylda miała w średnicy dwa metry.

Docent Zofia Wartołowska opowiadała mi wczoraj ciekawe rzeczy o religijnych wyobrażeniach Prasłowian. Według nich świątynia była siedzibą samego bóstwa, a nie gmachem przeznaczonym na zgromadzenia wiernych. Chrześcijaństwo z powodzeniem stosowało praktykę przyswajania, chrzczenia właśnie, niektórych tradycji pogańskich. Nowa wiara przygarniała ludzi razem z ich obyczajem, o ile się dało. Jej głosiciele byli za mądrzy, by postępować inaczej.

Za płócienną zasłonę ekranu wszedłem bardzo ostrożnie, wśliznąłem się raczej, prawie na czworakach. Deszcze, które dla archeologów były nieszczęściem, mnie obdarzyły łaską głębokiego przeżycia. Znaleźko utraciło wygląd preparatu naukowego, rzeczy martwej, oczyszczonej z wszelkiego pyłu, gotowej pod szkło. Na krótko stało się znowu tym, czym było przez tyle stuleci. Tworem bez nazwy, wchłoniętym przez grunt, zdanym na jego łaskę i własny los.

Ciemna, lśniąca od wilgoci krawędź wielkiej konchy wyłaniała się z czarnej mazi niczym z wnętrza ziemi otwartego przez samą przyrodę.

Fundamenty murowanego kościółka beztrósco skryły osobliwe dzieło rąk ludzkich. Widocznie budowniczy uznali je za już niepotrzebne. A może niszczało - było wszak wykonane z kruszywa skałki gipsowej. Nasi badacze odsłoniли tę część, która podczas kopania wyrzała spod północnej ściany świątyni.

Była to duża, czterometrowej średnicy misa. Wyraźne ślady po okalających ją niegdyś słupach zdają się mówić o dawno zaginionej obudowie i dachu. Tuż niedaleko odkryto wykute w wapiennej skałce podłoża trzy grobowce. I w nich także spoczywały szkielety męskie, bez najmniejszego śladu darów pogrzebowych. Obyczaju wkładania ich w mogiły chrześcijaństwo nie uznało i nie przyswoiło. Ale w najdawniejszych czasach posłuszni tym

zakazom byli przede wszystkim sami kapłani nowej wiary.

(Kiedy w roku 1426 umarł Ziemowit IV, książę na Płocku, wdowa włożyła do trumny istne skarby, usłała ją jak łożo. „Nie mógł znieść tej barbarzyńskiej głupoty” biskup płocki, Stanisław Pawłowski, więc „gdy po skończonym pogrzebie wszyscy odeszli, kazał z grobu wyjąć złoto, srebro, szaty, naczynia i inne ozdoby, i rozdał je na chwałę Bogu i ludzkie użytki”. W Polsce XV wieku taki wypadek był już czymś zupełnie wyjątkowym. Wdowa po księciu Ziemowicie, Aleksandra, to rodzona siostra króla Władysława Jagiełły, neofitka.)

Obsiadły mnie w Wiślicy wspomnienia sprzed ośmiu lat. Wtedy patrzyłem na szczątki takiej samej misy w katedrze poznańskiej. Dzisiaj mam przed sobą zakole wynurzające się spod budowli, zniszczonej wprawdzie i zapomnianej od wieków, lecz takiej, która także była kiedyś kościołem chrześcijańskim. I w Wiślicy również odsłonięto zatem wielką chrzcielnicę.

Zbiegiem okoliczności zachowało się tu urządzenie, jakiego nie ma w Poznaniu. Może istniało kiedyś i tam, bo mówię tylko, że nie ma go obecnie. Jest to pozioma niewielka płaszczyzna o kształcie zbliżonym do trapezu, wysuwająca się z samego brzegu czaszy, na jej osi północnej. Miejsce, które podczas ceremonii chrztu mógł zajmować ksiądz.

Tam, na tej platformce, odnaleziono bezcenny drobiazg, nóżkę glinianego pucharka. Docent Zofia Warołowska i profesor Włodzimierz Antoniewicz twardo obstają przy twierdzeniu, że to naczynie mogło być wykonane najpóźniej w stuleciu IX.

Daleko jeszcze do zgody między specjalistami. Na dobrą sprawę spory dopiero się zaczęły. Ale wymienieni przed chwilą uczeni głoszą, co następuje:

Kościółek, którego resztki znaleziono pod ulicą Batalionów Chłopskich, zbudowano na początku X wieku. Zniszczony został i zapomniany od tak dawna, że już Kazimierz Wielki, o niczym nie wiedząc, poprowadził swoją ulicę Solną nad jego zwaliskami i cmentarzem. Chrzcielnica jest od kościółka znacznie starsza, zalega wszak pod jego fundamentami. Skorupy wskazują, że powstała w stuleciu IX.

Jeżeli tak, to zabytki poznańskie wcale nie są najstarszymi świadectwami chrześcijaństwa w Polsce. Wiślickie wyprzedzają je o lat kilkadziesiąt, może o cały wiek.

Rok 966 i w tej sprawie nie jest więc żadnym początkiem. Oznacza tylko datę przyjęcia nowej wiary przez Gniezno, stolicę księcia Polan i całej Polski. Ale my jesteśmy w tej chwili w Wiślicy, czyli na terytorium dawnego państwa Wiślan. Jak się już wspominało, w IX wieku św. Metody posłał do ich władcy i kazał mu powiedzieć: „...dobrze by było, synu, abys się dał

ochrzcić dobrowolnie na swojej ziemi, bo inaczej będziesz w niewolę wzięty i zmuszony przyjąć chrzest na ziemi cudzej; wspomnisz moje słowo...”

„Tak się też stało” - dodał kronikarz od siebie.

Okolo roku 880 Świętopełk Wielkomorawski podbił Wiślan. Księcia ich ochrzczono w niewoli, a lud też przymusowo, lecz w kraju, na jego własnej ziemi, która zdołała przechować tajemniczą misę z gipsu.

Gliniany pucharek, znaleziony na platformie przy chrzcielnicy wiślickiej, zaczyna przemawiać tonem dziwnie podobnym do tego, którym od dawna rozbrzmiewa *Żywot św. Metodego*, czyli *Legenda pannońska*, spisana w wieku IX albo na początku X.

II

Poszukiwania archeologiczne w Wiślicy mają już swoją własną historię. Zaczęły się w 1949 roku i od tego czasu niezmiennie kierują nimi docent Wartołowska i profesor Antoniewicz.

Zainteresowania skupiały się poprzednio głównie na grodzisku. Leży ono opodal miasteczka, wśród rozległych łąk. Dawniej, to znaczy, że już bardzo dawno temu, znajdowało się po przeciwnej, prawej stronie rzeki. Jak fantastycznie Nida zmieniała koryta, o tym przekonują dopiero zdjęcia lotnicze, poczynione z helikoptera. Po całej płaszczyźnie fotografii wiją się esy floresy o różnym nasyceniu koloru. I teraz jeszcze idzie się na miejsce wzdłuż zupełnie czystej i głębokiej pewnie wstęgi starorzecza. Kiedy było właściwą rzeką, grodzisko, będące wtedy grodem, pilnowało przeprawy.

Stało pewnie na początku XI wieku, może wcześniej. W każdym razie wtedy, gdy Piastowie z Gniezna przyłączyli już kraj Wiślan do monarchii polskiej. Sama jej nazwa dopiero się wówczas przyjmowała i autor *Żywota św. Wojciecha* wyrażał się o tym państwie w sposób mało precyzyjny: „W okolicach Germanii jest miejsce zasobne bronią i srogimi mężami. Mieszkańcy zwą je Słowiańszczyzną.”

Zdaniem większości badaczy, owo przyłączenie kraju Wiślan (a jednocześnie i Śląska) odbyło się w roku 990, gdy walczącego z Czechami Mieszka I wspierały cztery hufce rycerzy niemieckich. Ale profesor Jan Natanson-Leski głosi teorię o wiele śmielszą. Twierdzi, że opisana przez Thietmara wojna z Czechami toczyła się o Łużyce. Ziemię Wiślan i Śląsk

odziedziczył Mieszko po przodkach, pewnie po ojcu.

Dokładnej daty budowy grodu nad Nidą nigdy nie określimy, lecz nie ona jest tu zagadnieniem najważniejszym.

Mamy przed sobą najdawniejszy ślad ogólnopolskiej władzy politycznej nad tą ziemią. Grodu nie postawiono na pustyni! Samo państwo Wiślan jest przecież dość późnym rozdziałem tutejszej historii. Niezbyt daleko leży Igołomia ze swym wielkim zespołem przemysłowym. Na podnóżu Łysogór rozciągał się zastanawiająco duży ośrodek wytopu żelaza, czynny w pierwszych wiekach po Chrystusie. To są najbardziej okazałe znamiona starości. Ale nie brakuje i pomniejszych, dotychczas zupełnie nie znanych. Z zainteresowaniem przeczytałem krótkie, odbite na powielaczu, sprawozdanie magister Łucji Okuliczowej z badań, przeprowadzonych ostatnio we wsi Pełczyska w powiecie pińczowskim. Już przed wojną muzeum krakowskie otrzymało stamtąd sygnał w postaci licznych znalezisk. Teraz wykryto ślady dwu nawarstwionych na sobie osad. Ta młodsza żyła na samym początku naszej ery, a więc starsza musi pamiętać czasy przedchrystusowe. Wystąpiły w Pełczyskach także i ślady wpływów celtyckich. Inny, równie treściwy raport złożył magister Jerzy Pyrgała. Pracował tuż obok Wiślicy, we wsi Kobylniki. Znalaziono między innymi aż trzydzieści siedem jam „o charakterze gospodarczo-magazynowym” oraz dwa doły, służące mieszkańcom do pławienia żelaza. Wszystko to pochodzi zapewne z IV i V stulecia.

Piastowie z Gniezna zajęli kraj o bardzo starej kulturze. Jak nim rządili? Kto zasiadł w grodzie nad Nidą i jakie metody stosował? Przywykliśmy lekko traktować te pytania, a tymczasem wyczerpująca odpowiedź pouczyłaby nas, w jaki sposób rojowisko plemiennych ojcowizn zrosło się w jedni. dla wszystkich ojczyznę.

W trzy i pół - co najmniej! - stulecia po zajęciu przez, Piastów ziemi Wiślan Kazimierz Wielki ogłosił w tej samej Wiślicy swój pamiętny statut. Zawierał on prawo spisane, lecz obowiązujące tylko w Małopolsce. Osobny kodeks dla Wielkopolski wydał w Radomsku, a Sieradz i Łęczycę pozostawił przy ich lokalnej jurysdykcji, pozwalając im swobodnie czerpać wzory z Krakowa lub Poznania.

Tak postępował ostatni z królewskiej linii Piastów, dziedzic władzy nad całym państwem. Praszczurowie, którzy państwo to dopiero sklejali, musieli tym bardziej szanować odrębności jego części składowych. W takich grodach, jak ten nad Nidą, z powodzeniem mogli zasiadać nawet potomkowie lokalnych książąt plemiennych. Bo powoływanie ich też mogło być

użytecznym sposobem godzenia odwiecznego ładu prowincji z nową władzą, przybyłą z północy. Jej historyczne powodzenie wynikało i z tego, że nigdy się ona tępieniem owego urozmaiconego ładu nie zajmowała. Po jej stronie stała wielka przewaga materialna, używana mądrze, z umiarem.

Nie należy koniecznie przyjmować za prawdę, że skoro zbudowano nową twierdzę, to niewątpliwie komendę objął w niej obcy miejscowym ludziom satrapa, który tylko rozkazywał, przymuszał i łamał opory. To wszystko musiało jednak odbywać się w sposób o wiele bardziej rozumny, to znaczy życiowy. Niezbitego dowodu dostarcza sama trwałość państwa zorganizowanego przez i za Piastów.

Tak sobie rozmyślałem, a nawet napisałem, kiedy w kwietniu 1961 roku zaproszono mnie na konferencję sprawozdawczą da Pałacu Kazimierzowskiego. Zwięzły referat o grodzie wiślickim wygłosiła doktor Wartołowska. Od dawna kumam się z wykopaliskami, ale mało przeżyłem podobnych zaskoczeń.

Gród został zbadany do końca. Kopać się już tam więcej nie będzie, bo nie ma czego szukać. Fortalicja, wzniesiona u schyłku X lub w początkach XI wieku, przetrwała w pierwotnym kształcie do roku 1135, kiedy najazd Rusinów, Pieczyngów i Węgrów obrócił w ruinę zarówno ją, jak i osiedle, którego mieszkańcy przeszli wtedy gehennę. Odnaleziono wyraźne ślady domów załogi. Było ich kilkadziesiąt, mniej więcej jednakowych, o wymiarach około czterech metrów na cztery. Nie ma po temu żadnych wątpliwości, bo przyziemia tych domków były wkute w skałę gipsową. Każdy miał w rogu kamienny piec.

Budyneczki były j e d n a k o w e. Nie wykryto ż a d n y c h resztek siedziby wielmoży. Wolno więc przypuszczać, że nie istniała.

Załoga na pewno miała dowódcę. Mógł nim być... taki jakiś Chebda albo Giez z powieści Antoniego Gołubiewa *Bolesław Chrobry*. Woj dobry do zadań ściśle wojskowych, ale nie parający się polityką, niezdolny do niej. W przeciwnym razie dom jego wydzielałby się od reszty, jako przeznaczony dla przedstawiciela władzy wyższego rzędu, państwowej.

Więc może tak było, że zajęcie kraju przez Piastów przede wszystkim wpłynęło na poprawę warunków bezpieczeństwa? Gród i załoga nad ważnym brodem, który dla zbójów był tym samym, czym wodopój dla zwierząt drapieżnych - miejscem, którego nikt ominąć nie może, gdzie najłatwiej napadać i obdzierać. Więc może ta piastowska władza przede wszystkim ulepszała, przejmowała na siebie i wzmagała funkcje życiowo ważne dla ogarnianych przez nią regionów? Nie tyle eksploatowała, co służyła? To by tłumaczyło jej

historyczne powodzenie. Bo wiadomo przecież, od każdego ustroju poddani czy obywatele oczekują nieustannego oddawania usług. Porządek, który nie spełnia tego warunku, stoi na glinianych nogach. Piastowskie były mocne.

Takie wnioski zdają się wynikać z rewelacyjnego stwierdzenia, że w feudalnym grodzie wiślickim siedziby feudała w ogóle nie było.

Piastowie wprowadzali plemiona lechickie pod wspólny dach państwowy. Przemoc stosowali, byli okrutni, lecz niebarbarzyńscy. To znaczy, że nie niszczyli odwiecznie ustalonego ładu prowincji. Ulepszali go raczej i chronili siłą dużego państwa.

W odbudowanym później grodzie wiślickim znalazł się dom większy, wyróżniający się od reszty. Ale były to już czasy rozbicia dzielnicowego i budowla owa mogła stanowić mieszkanie samego księcia.

W jednym z tych starszych kwadratowych domków służących załodze znaleziono przedmiot bardzo dziwny. Jest to wydłużona figurka kościana, podobna do trzonka noża. Samą głowicę wieńczy sześć popiersi ludzkich, zwartych ramionami. Wydatne biusty wskazują płeć. Na głowach zaznaczone liniami diademy, niżej naszyjniki czy obramienia dekolców - a każdy nieco inny. Twarze niby ludzkie, ale dziwnie trójkątne, jakby podobne do ptasich, trochę niesamowite, drapieżne.

Doktor Wartołowska przypuszcza, że mogą to być wyobrażenia wiał, słowiańskich nimf, boginek wodnych. Domysł pasuje do natury miejsca - gród wiślicki leżał na czymś w rodzaju wyspy wśród rozległych mokradeł. Trzonek pogańskiego noża obrzędowego? Jak Polska długa i szeroka niczego podobnego nie znaleziono. Tylko na biustach dwu dziwożon wyraźnie widać nacięcia w kształcie ukośnych krzyżyków. Zupełnie takie same, jakie nosi magiczny konik z Opoła, wykonany w stuleciu XI, oraz ogromne rzeźby ze Ślęzy, zdziałane około V wieku przed Chrystusem.

Rzeźbiony trzonek od bardzo dawna leżał w ziemi. Zasypano go wtedy, gdy budowano domki dla pierwszej załogi piastowskiej w Wiślicy. Być może, kępa wśród bagien, która od XI wieku dźwiga gród, poprzednio służyła kapłanom starej wiary.

Najstarsze fortyfikacje w Wiślicy składały się z typowych wałów drewniano-ziemnych. Całe kolisko obronne utrzymało się do dzisiaj, aczkolwiek od dawna niszczył je, kto chciał, a w 1914 roku artyleria robiła tu sobie stanowiska bojowe. W XII stuleciu zastosowano nowy typ umocnień. Był to mur kamienny. Ślady jego występują na całym kręgu, duże odcinki można i teraz podziwiać. Gdzie indziej znikł, bo gdy tylko w 1915 roku front odtoczył się na

wschód, pewien przedsiębiorczy obywatel Wiślicy zorganizował eksploatację i sprzedaż kamienia.

Od czasu odkrycia pod ulicą Batalionów Chłopskich badacze przyglądają się murowi ze wzmożoną uwagą. Widać w nim bowiem kamienie ociosane w kształt regularny, takie, jakich się zwykle używa przy bardziej skomplikowanym budowaniu. Być może, pochodzą one ze starego kościółka, który wtedy ostatecznie zakończył swój żywot.

Ciasna świątynka od dawna już przestała wystarczać, nie tyle może osiedlu, co dworowi książęcemu. Toteż już za Kazimierza Odnowiciela, Bolesława Śmiałego lub Władysława Hermana, o trzydzieści metrów na zachód od niej stanął trzynawowy kościół romański, również zresztą niezbyt obszerny. Kiedy miasto wstąpiło w okres rozwoju, z powodzeniem zaleczając rany zadane mu w roku 1135 przez Rusinów, Pieczyngów i Węgrów, w tym samym miejscu wzniesiono nową trzynawową świątynię, która murami swymi ogarnęła kościół Odnowiciela czy Śmiałego, uczyniła z jego części kryptę własnego prezbiterium. To tam właśnie nieznani mistrzowie wykonali płytę gipsową i pokryli ją rytym. Prawdopodobnie stało się to za Kazimierza Sprawiedliwego. Od roku 1166 Wiślica była własną dzielnicą tego księcia.

W praktyce wyglądało to tak: człowiek idący od drzwi kościoła w pobliżu prezbiterium natrafiał na schody, które prowadziły go w dół. Minąwszy płytę, przeciwnym biegiem schodów wynurzał się z podziemia i stawał tuż przed ołtarzem.

Sklepienie krypty, opierało się na czterech kolumnach, obramiających płytę (bazy trzech zachowały się do dziś). Było wykonane sposobem stosowanym i teraz - z zaprawy z gipsu hydraulicznego, którą wlano do odpowiedniej formy i pozwolono zakrzepnąć.

W 1241 roku najazd Tatarów zniszczył południe Polski. Szosa z Kielc do Wiślicy omija Chmielnik, pod którym Mongołowie rozbili wtedy rycerstwo ziemi sandomierskiej.

Na przełomie XIII i XIV wieku działał osławiony biskup krakowski, Jan Muskata. Chórem podnosiły się przeciwko niemu oskarżenia o to, że jest przysięgłym wrogiem nie tylko Władysława Łokietka, lecz i całego narodu polskiego, który pragnie wytepić. Między innymi zarzutami w skardze kleru sandomierskiego figurował jeden szczególnie ciężki. Muskata miał zniszczyć w Wiślicy jakiś kościół.

Wykopaliska naprowadziły na ślady poczynań biskupa. Są to mury i fundamenty bardzo potężnej wieży, przy której wznoszeniu bez ceremonii używano odłamków starszych, romańskich. Coś z prawdy było więc we wspomnianych narzekaniach kleru, chociaż można

przypuszczać, że Muskacie chodziło nie o zniszczenie kościoła, lecz o przerobienie go w sensie obronnym. Czasy były niespokojne, do czego w niemałym stopniu przyczyniał się sam biskup.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, w trakcie tych polnych rozmachu prac zawalono kryptę ziemią i gruzem. Jeśli tak było, zawarty w niej skarb sztuki rytowniczej skrył się od oczu ludzkich na lat przeszło sześćset pięćdziesiąt.

Czasy spokojniejsze, szczęśliwsze, zaczęły się o wiele rychlej. Łokietek zmógł przeszkody, zjednoczył, co się dało z ziem polskich, i w roku 1320 został królem. Podobno to on zaczął budować w Wiślicy na starym miejscu nowy kościół według porządku gotyckiego. Nie wiadomo, czy tak było na pewno, ale zastanawia, jak bardzo miejscowa tradycja umiłowała postać Władysława.

W kolegiacie znajduje się ciekawa figura średniowieczna. Właściwe jej miejsce jest w głównym ołtarzu, ale teraz - ze względu na wykopaliska w samym kościele - ksiądz dziekan przeniósł ją do tymczasowego, obok kruchty. Pochodząca z pogranicza romańszczyzny i gotyku rzeźba przedstawia Madonnę z Chrystusem na ręku. Podanie, o którego prawdziwości nikt w Wiślicy nie wątpi, zowie ją Matką Boską Łokietkowską. Posąg miał stanowić osobistą własność króla i towarzyszyć mu we wszystkich wyprawach (w co trudno uwierzyć, ze względu na sam ciężar figury).

Latem 1960 roku błyskawicznie rozeszła się po miasteczku pogłoska, że odkryto w prezbiterium złotą trumnę matki Łokietka. Wymysł. Dlaczego jednak uczeplił się on akurat tej postaci? Jakoś te wiślickie legendy z uporem trafiają w tę samą, odwieczną koleinę. Widocznie na początku XIV stulecia zaszło tu coś, czego echa przechowuje pamięć zbiorowa. Musiało to być przeżycie głęboko wzruszające i dobre. Może naprawdę Łokietek ukrywał się w Wiślicy za czasów swej niedoli?

Tym bardziej to wszystko zastanawia, że majestatyczna tablica rzeźbiona, ozdabiająca wejście do kościoła, przedstawia nie Łokietka, lecz jego syna, Kazimierza Wielkiego. Klęczący król trzyma na dłoniach miniaturę strzelistej świątyni i ofiarowuje ją Madonnie.

Jeśli nawet Kazimierz nie zaczął budowy gotyckiej kolegiaty, to ją na pewno wykończył. Na frontonie pozostały jednak wieże romańskie i trwały jeszcze przez sześć prawie stuleci.

Wiele dobrodziejstw otrzymała Wiślica od Kazimierza, ale żadne z nich nie spłynęło na stare grodzisko, które stało się już po prostu niepotrzebne. Monarcha wznosił zamek w samym mieście i opasał je murami.

Ludzie z zespołu doktor Wartołowskiej poszukują dzisiaj ich śladów. Kopanie odbywa się w rozmaitych punktach - na skarpie wyniosłości, w ogrodach, tuż przy stodółce czy chlewiku - zawsze jednak na samym obrębie miejsciny, która dotychczas jakby nie odważyła się przekroczyć Kazimierzowych granic.

Także i ulice Wiślicy dochowują wierności planom wytyczonym za jego rządów.

Same mury obronne znikły późno. W początkach XIX wieku rozebrano je, a materiał sprzedano.

Zaniedbane grodzisko służyło obywatelom za miejsce wypasu bydła, lecz także i do celów dość specjalnych. Można by nawet mówić o tradycji, gdyby nie to, że każdy musiał sam wpaść na pomysł, wiadomości się nie udzielało. Podczas zamieszek wewnętrznych, wojen i innych niepokojów ten i ów ukradkiem, najpewniej po nocy, zakopywał tam kosztowności. Ale nie każdemu dane było potem wrócić. „Skarby” pozostawały w ziemi, czekając na archeologów.

W XI wieku, kiedy gród stale pusty, bez załogi, ktoś schował tu garnuszek z kilkuset monetami srebrnymi, odnaleziony dopiero w roku 1960. Ale najpokaźniejszy skarb wygrzebano dziesięć lat wcześniej. Oprócz monet był tam kubek srebrny, dwie łyżki, aż sto siedemdziesiąt guzów od żupanów szlacheckich oraz rzecz, która zdradziła narodowość właściciela: pieczęć z literami hebrajskimi. Ukryte to zostało w wieku XVII, po wojnach szwedzkich, kiedy w Wiślicy wybuchły rozruchy przeciwko Żydom.

W grodzisku znajduje się jeszcze jedna osobliwość. Można tam zobaczyć szczątek starodawnej studni o wodzie słodkiej. Rzecz niby całkiem zwykła, dziwić się zacznie dopiero ten, komu wiadomo, że w dzisiejszej Wiślicy nie warto kopać studzien, bo występuje w nich woda gorzka, nie nadająca się do domowego użytku (w pobliżu leży Busko ze swymi źródłami leczniczymi, kto wie, czy i Wiślicy nie czeka przyszłość miejscowości kuracyjnej). Interesujące, w jaki sposób założyciele grodu odgadli, gdzie trzeba kuć skałę, by natrafić na źródło.

Do miasteczka przywozi się wodę z Nidy beczkami i sprzedaje na wiadra. Taki stan rzeczy trwał bardzo długo i dopiero ostatnio postanowiono go zmienić. Po elektryczności, której Wiślica nigdy dawniej nie oglądała, przychodzi kolej na wodociągi. Prace wstępne stały się szczeblem do nowej sławy osiedla.

Jesienią 1957 roku archeologowie otrzymali wiadomość, że rów prowadzony wzdłuż ulicy Batalionów Chłopskich odsłonił jakieś głęboko położone mury, natrafił również na szkielety.

Początkowo Gromadzka Rada Narodowa zgodziła się tylko na czas pewien odstąpić ulicę badaczom. Teraz nie ma już mowy o usuwaniu ich stamtąd, nikt tej kwestii w ogóle nie podnosi. Mury kościółka i chrzcielnicę przykryje specjalny stały budynek, umożliwiający zwiedzanie, a jezdnia go ominie, pójdzie bokiem. Tradycja Kazimierza Wielkiego ulegnie złamaniu, bo natrafiono na starożytności, o których i on już nie wiedział.

Wzruszające są refleksje mieszkańców: - Takie świętości w ziemi! A chodziło się tędy i splunęło czasem. I krowy placki zostawiały. Kto mógł wiedzieć?

Godna upamiętnienia jest skrócona tabelka dotacji pieniężnych na wykopaliska. Na początku był Uniwersytet Warszawski, to jasne - przecież to jego ludzie prowadzili badania. Potem Gromadzka Rada Narodowa dała dziesięć tysięcy, po niej z takimiż sumami przyszły powiat Busko i tamtejsza Miejska Rada Narodowa. Powstała również w Busku Komisja Przyjaciół Wiślicy. To wszystko było w roku 1958. W następnym powiat i województwo wystąpiły już z setkami tysięcy. Obecnie zapewniona jest co roku półmilionowa przeszło kwota z kasy Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

Pomoc finansowa rozwijała się, poczynając od dołu. Najpierw dała gromada, potem stolica. Tak być powinno. Podczas specjalnego zebrania pewien stary gospodarz, na pamięć i na wrywki znający statystykę gromadzką, przekonywająco wywodził, że niechby każda zagroda ofiarowała tygodniowo jedno jajko, a zbierze się pokaźna suma. Tutejszym wykopaliskom od początku towarzyszy zjawisko pod każdym względem cenne: przychylny mikroklimat, życzliwość bezpośredniego otoczenia.

Ma Wiślica i wiernego stróża swoich starożytności. Jest nim Stefan Marzec, od dawna tu osiadły nauczyciel. Czerpiąc ze swej roboty korzyści natury moralnej, dba on o wszystko. Oprowadza, informuje, propaguje, założył księgę pamiątkową, zajmuje się; czym tylko potrzeba. Dzięki niemu archeologia obecna jest w Wiślicy na co dzień, a nie tylko w sezonie prac.

W domu Stefana Marca mieści się kwatera doktor Wartołowskiej. Od czasu odkryć i w Wiślicy wystąpiły tak zwane u nas trudności lokalowe. Ekipa badawcza jest liczna, potrzebuje mieszkań, pracowni pod dachem, magazynów. Ksiądz Paweł Wołoszyn, dziekan miejscowy i od bardzo wielu lat proboszcz, oddał jej do rozporządzenia połowę domu Jana Długosza. Trudno o postępek bardziej zgodny z istotą życzeń, wyrażonych na ostatniej karcie dzieła wielkiego historyka, który błagał „wszystkich duchownych, tak zakonnych, jako i świeckich, wielebnych i przeznacznych mężów, doktorów, profesorów, mistrzów i pisarzy”, aby po jego

zgonie „księgi te dziejów rocznych w dalszym ciągu pisali, a nigdy przerwy w nich lub zaniechania nie dopuszczali... pracując w ten sposób dla dobra powszechnego, dla pożytku i zaszczytu miłej ojczyzny, a więc i jeszcze dla chwały Bożej i prawdy”.

Mnie także przypadła kwatery w domu Długosza. Była to duża, chłodna izba na piętrze, z oknami otwierającymi widok na cmentarz przykościelny, boczną ścianę kolegiaty i tablicę Kazimierza Wielkiego. Na drewnianych półkach mieściło się to, co po dwóch wojnach światowych ocalało z księgozbioru parafialnego. Wydobyłem tom, którego rozmiary zwracały uwagę. Zawierał rozporządzenia urzędowe, jakie w przeciągu jednego tylko roku 1796, pierwszego po trzecim rozbiórce Polski, wydać raczył „Franciszek Wtóry, z Bożej Łaski obrany Cesarz Rzymski, po wieczne czasy Pomnożyciel Rzeszy, Król Niemiecki, Węgierski, Czeski, Gallicy i Lodomerii etc., etc. Arcyksiążę Austrii, Xiążę Burgundii, Lotharingii, Xiążę Toskański etc., etc.” - Już 21 marca 1796 obwieszono w jego imieniu: „Gdy okoliczności terażniejsze zupełny rozbiór Królestwa niegdyś Polskiego za sobą pociągnęły... zatym Herby Polskie z miejsc, naktórych się jeszcze znajdują zdjęte byź natychmiast powinny a Nasze Cesarsko-Krolewskie Herby umieszczone byź mają.”

Do czego się nie wtrącały te aż nazbyt opiekuńcze rządy! W całym majestatycznym aparacie, wymieniając tytuły władcy, podano na przykład do wiadomości publicznej, że nie wolno importować z zagranicy lakierowanych deszczulek do oprawy szczotek.

W sąsiednich izbach kwatrowali poszukiwacze, na parterze była ich stołówka.

Drużyna badawcza jest tu różna od widywanych poprzednio na wykopaliskach (podobną spotkałem raz jeden tylko - w Płocku w roku 1956). Bo też działa ona z ramienia Zespołu Badań nad Polskim Średniowieczem, utworzonego przez dwie wyższe uczelnie stołeczne: uniwersytet oraz politechnikę. Kierownikiem jest profesor Włodzimierz Antoniewicz, zastępcą profesor Piotr Biegański, dzięki któremu dostałem się z Kielc do Wiślicy i powróciłem do samej Warszawy komfortowo i w stylu wybitnie nowoczesnym: samochodem politechniki i z szybkością wahającą się od stu do stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

Oprócz dwóch osób już wymienionych Zespół Badań stanowią profesorowie: Aleksander Gieysztor, Jerzy Teliga, Zofia Wartołowska, Michał Walicki, Jan Zachwatowicz, oraz magister Andrzej Tomaszewski - sekretarz naukowy. W lipcu, akurat podczas mojej wizyty, z utęsknieniem czekano na kratownicę, którą według projektu profesora Teligi wykonywał „Mostostal”. Miała być nie tylko mocna, lecz i kunsztowna, plastykowana, dyskretna i miła dla oka, a posłużyć do zabezpieczenia podziemnej krypty. Dopiero po jej założeniu wolno

będzie badaczom posunąć się dalej, ruszyć słoń ziemi i gruzu zasłaniający resztę płyty gipsowej.

Nic jeszcze nie powiedziałem o człowieku, który pierwszy do niej dotarł. Nazywa się Tomasz Mrówka. Nieduży, raczej okrągławy, przyjemny młody człowiek, nie pozbawiony poczucia humoru oraz - na oko sądząc charakteru. Żadnych zwierzeń nie udało się z niego wydusić. „Ano, kopało się, kopało...” - mówi, spoglądając nie bez ironii. Zdaje się, że zaprzysiągł dożgonną wierność naczelnemu przykazaniu naszej współczesnej młodzieży, które powiada: za skarby świata nie okazuj przejęcia się. Do sławnej płyty pierwszy dotarł magister, owszem, ale inżynier. Tomasz Mrówka ukończył politechnikę, a nie uniwersytet.

Nie ma co mówić, politechnika wniosła na wykopaliska nowy, bardzo pożyteczny ton - rzutkość, przekonanie, że najbardziej nowoczesne narzędzie to reguła, chleb powszedni. No i całą swą wiedzę specjalną. A jej samej przyda się posłużyć trochę nauce historii.

Na wykopaliskach zaczynają się nawzajem przenikać dwie dyscypliny, które przez dziwaczne nieporozumienie uchodzą za wrogie. Oczywiście w oczach ludzi, nie mających pojęcia ani o jednej, ani o drugiej.

Tylekroć wspomniana krypta leży nie na osi kolegiaty i nie w prezbiterium. Znajduje się po stronie lewej - czyli Mszału - tam gdzie do niedawna stał boczny ołtarz. Odnalezienie jej to osobna i bardzo pouczająca historia.

Podczas pierwszej wojny światowej artyleria tak naruszyła kolegiatę, że później trzeba było w wielu miejscach rozebrać mury do końca i odbudować wszystko na nowo. Prace prowadził sławny historyk sztuki i architekt, Adolf Szyszko-Bohusz. Można podziwiać ich rozmach i tempo, skoro zostały ukończone w pięć lat po odzyskaniu niepodległości. Były to czasy ciężkie, a oprócz tego nikomu się wtedy nie śniło o takich chociażby pomocach technicznych, jak ciężarówki. Do usuwania gruzu, przywożenia i odwożenia wszystkiego służyły koniki, resztę załatwiały dłonie ludzkie.

Dokonały wówczas żywota dwie wieże romańskie, pamiętające wiek XII. Stało się to przypadkiem, a starsi mieszkańcy Wiślicy barwnie o nim opowiadają. Okna i inne otwory wież były od dawien dawna wypełnione kamieniami. Usunięto je, nie zastanowiwszy się, że nikt nie dźwigałby ciężarów na wysokie piętra dla rozrywki, owe kamienie umieszczono więc celowo. Pewnego dnia robotnicy pracowali na rusztowaniach, kiedy raptem zatrzeszczało i jakby zadymiło ze ścian. Stary majster połapał się pierwszy. „Wiara, skakać!” - krzyknął z dołu. Wielkie kupy piachu ocaliły kości spadających z wysoka ludzi. Ledwie zdążyli odbiec,

wieże runęły w bok, w kierunku domu Długosza.

Profesor Szyszko-Bohusz kopał również w samym kościele, ruina wojenna oraz odbudowa dostarczyły po temu okazji. Sporządzał naturalnie plany odkrywek, które szczęśliwie przetrwały okupację.

Dzisiejsi badacze nawiązali do spadku po poprzedniku, zmarłym w roku 1948. Plany powiedziały im, że Szyszko-Bohusz natknął się na jakieś murki, położone o trzy przeszło metry pod posadzką. Doszedł aż do nich, lecz nie posunął się dalej w głąb.

Postanowiono kopać w tym samym miejscu. Okazało się, że Szyszko-Bohusz przerwał pracę, kiedy od rytowanej płyty dzieliła go warstewka grubości dwudziestu centymetrów. Zabrakło jednego sztychu łopaty, może tylko przypadku, wynikłego z czyjegoś roztargnienia. A nic wtedy, w latach dwudziestych, nie wskazywało, że kiedykolwiek jeszcze można będzie ryć jamy w samym kościele.

Płyta w Wiślicy należy do naprawdę wielkich odkryć naukowych, stoi na równi z kolumnami ze Strzelna, odsłoniętymi w 1946 roku przez profesora Zdzisława Kępińskiego. Te znakomite dzieła sztuki rzucają zupełnie nowe światło na kulturę Polski XII wieku. Ostatecznie obalają zakorzenione mniemania o dzikości i prymitywie.

O płycie wiślickiej mogliśmy się dowiedzieć lat temu bez mała czterdzieści. A ponieważ nie dowiedzieliśmy się, przez tyleż czasu nauka oraz opinia publiczna żywiły wyobrażenia zupełnie fałszywe. Brakło dowodu rzeczowego, który by je podważył. Z tego samego powodu nikt się do podważania nie zabierał. Nie miał po temu bodźca.

To powinno nas nauczyć zbawiennej skromności. Wiele pewników naukowych trwa niewątpliwie tylko dlatego, że nie można ich obalić przy pomocy kontrargumentu, który i s t n i e j e, lecz dotychczas nie został poznany. Jak wykazuje doświadczenie, uczonemu zdarza się czasem ominąć tajemnicę o włos. Ostrożność jest szczególnie zalecona w nauce historii, bo w tej dziedzinie źródła naszej wiedzy zawsze pozostawały na Lasce losu. Przypadek gospodarzył, jak chciał.

Zaginęło mnóstwo dokumentów, które kiedyś znajdowały się tu, w Wiślicy, w domu Jana Długosza. Leżały na stole kronikarza, spoczywały w jego zamczystych skrzyniach. Do czasu... Długosz był nie tylko świetnym pisarzem, ale i sumiennym pracownikiem. Gromadził źródła w sposób bardzo staranny. Jednakże jego metody badawcze pozostawiały wiele do życzenia. Ileż dokumentów pominął, niewłaściwie streścił lub pojął! I ileż by one powiedzieć mogły dzisiaj, gdyby istniały. Nie ma ich i nigdy nie wrócą.

Historia nie powinna pozować. Do matematyki się nie upodobni, a straci tylko własne oblicze. Chce czy nie chce, pozostanie bliską krewną literatury. Większość dziejopisarzy kategorycznie dziś zaprzecza nieśmiałym domysłom, że twórcy drzwi gnieźnieńskich czy kolumn ze Strzelna mogli być Polakami, wyszkolonymi w artystycznych środowiskach Zachodu. Wczoraj jeszcze żaden historyk nie ośmieliłby się głosić, że książę Kazimierz Sprawiedliwy zdobił Wiślicę dziełami sztuki, z których Italia czy Nadrenia też byłyby dumne.

Historia chce się teraz na gwałt upodobnić do nauk ścisłych i przyrodniczych, lecz niektórzy jej arcykapłani stanowczo odmawiają posługiwania się doświadczeniem. Nie chcą wysnuwać z niego wniosków. Czy to nie dziwne? A przecież doświadczenie to żąda tak mało: tylko teoretycznej zgody na praktyczną możliwość najbardziej z pozoru niemożliwych rzeczy.

Wracajmy do konkretnego. Mieć plany Szyszko-Bohusza to było grubo za mało. Należało jeszcze dokopać się odkrytych przez niego murków i zejść głębiej. To wymagało zgody gospodarzy kolegiaty na... Postaram się pokrótce pokazać, na co.

Stalle, które znajdowały się dotychczas w prezbiterium, utworzyły ścianę, odgradzającą dwie trzecie wnętrza kościoła. Wiernym pozostała reszta, przylepka do kruchty. Tam odbywają się w ciasnocie wszelkie nabożeństwa. Za przegrodę ze stall wchodzić nie wolno.

W odstąpionych sobie partiach naw badacze zdjęli przede wszystkim całą posadzkę. Odsłonił się widok dosyć niesamowity. Wszedłem od strony, gdzie do niedawna wznosił się wielki ołtarz. Stałem w prezbiterium wydanych trumnami i kośćmi. Zaraz na lewo trumna niezwyklej rozmiarów, mieszcząca zapewne dwoje ludzi. Zakłębnięte wieko czyni ją podobną do łodzi. Dalej druga, sporządzona z jednego pnia drewna, dłubana w okrągłaku. Obok mała trumienka dziecka, wkopana w sam środek, jakby w łono grobu zwykłej wielkości. Dno kościoła to jedno pole brunatnego prochu, czaszek i piszczeli.

Z nawy i prezbiterium wydobyło dotychczas sto siedemdziesiąt sześć szkieletów. Najstarsze pogrzebane były w głębokim średniowieczu, kiedy nie było jeszcze gotyku i wszechwładnie panował styl romański.

Jama, która odsłoniła kryptę, jest obszerna. Wydrążenie jej przedstawiało szalone ryzyko, świadomie podjęte zarówno przez wykonawców, jak i przez tych, którzy wyrazili zgodę. Budowniczości ogromnej kolegiaty gotyckiej nie przewidywali pustki w jej wnętrzu. Zanim ściany dołu skrzepiono rozporami, pomimo największego pośpiechu i troski, fundamenty musiały przez czas pewien wytrzymać straszny ciężar parcia zewnętrznych mas ziemi, którym raptem zabrakło równoważnika w środku, między ścianami. Od początku istniało pełne

zaufanie do fachowców z politechniki, brakło jednak absolutnej gwarancji, że wszystko się powiedzie.

Życzliwość, którą miejscowe duchowieństwo świadczy wykopaliskom, godna jest wielkiego uznania i stanowczo trzeba ją upamiętnić drukiem. Ksiądz Paweł Wołoszyn pomaga, jak może, własnym autorytetem tłumi w zarodku wszelkie plotki, nawet z ambony mówi o powadze poczynionych odkryć. Kiedy bawiłem w Wiślicy, przyjechał z Kielc ksiądz prałat Jan Danilewicz, sprawujący opiekę nad kościelnymi zabytkami diecezji. Przywiózł profesorowi Biegańskiemu pismo z oficjalną zgodą kurii na rozpoczęcie poszukiwań w Kijach. Przyziemie tamtejszego kościoła to także głębokie średniowiecze, styl romański.

III

U schyłku lata 1960 roku została odsłonięta dalsza część płyty, ta, ku której spoglądały trzy wcześniej poznane postacie. Prasa całego kraju natychmiast wydrukowała wizerunki. Wiadomo więc, że pojawiły się trzy inne figury ludzkie - mężczyzna świecki, młodzieniec, a pomiędzy nimi duchowny.

Nad ich głowami zachodzący również na bordiurę napis, ryty pięknymi literami, których styl nosi nazwę kapitały. Oto on:

HI CONCULCARI QUERUNT UT IN ASTRA LEVARI POSSINT ET PARITER VE...

Znaczy to po polsku: Ci pragną być podeptani, aby mogli być podniesieni do gwiazd i jednocześnie... Dalszego ciągu nie poznamy nigdy. Druga część płyty zachowała się w stanie o wiele gorszym. Jest nawet częściowo uszkodzona, tam właśnie, gdzie napis biec zaczął pasem obramienia. Gips nie wytrzymał doświadczeń, jakich mu czas nie szczędził; wykruszył się.

Czyżby zatem naprawdę grobowiec, nadzwyczajnie oryginalne wieko sarkofagu książęcego? Już przedtem zwróciło uwagę, że ułożona zamiast podłogi płyta nie była zatarta. Tylko jeden jej róg zdawał się zdradzać ślady rzeczywistego deptania. Pełen pokory napis mógł być tylko gestem.

I sama płyta mogła być tylko symbolicznym grobowcem. Nie kryć zwłok, lecz wyobrazić ludzi żywych, którzy sami polecili umieścić swe wizerunki nisko, u stóp ołtarza.

Więc to ku niemu wznosiły się dłonie i kierował wzrok osób bardzo wielmożnych, wyobrażonych rylcem artysty. Ku ołtarzowi oraz ku fryzowi, wieńczącemu całą kompozycję płyty. Widnieją na niej dwie złączone stylizowane gałęzie - symbol Drzewa Życia. Tę samą wymowę miałby w tym miejscu znak krzyża.

Z obu stron Drzewa dwa szponiaste lwy paszczami, które są uderzająco podobne do groźnych twarzy ludzkich, zwrócone ku widzom. Oczy obydwu są ciemne, jakby ślepe. Rytownik wypełnił je całkowicie czarną zaprawą, tą samą, którą nasycił bruzdy rysunku. Według teorii profesora Antoniewicza lwy przedstawiają demony, lecz już nieszkodliwe, pokonane przez Drzewo Życia.

Niżej, pod fryzem i bezpośrednio pod napisem, pokazały się nowe rozmodlone postacie. Środkowa, znacznie wyższa od sąsiednich, to duchowny w piusce albo z dużą tonsurą. Przy nim mały chłopak wyobrażony w sposób porywająco piękny. W jego lekkim, nawet beztróskim geście modlitwa zlewa się w jedno z naiwnym zachwytem dziecka. Z drugiej strony księdza wznosi twarz i ręce stary brodaty człowiek. Szata jego jest bardziej powłóczysta i jakby uboższa. On jeden nie ma u spodu tuniki rąbka z kropkami. I tylko jego oczy są wypełnione ciemną farbą, jak u lwów. Czyżby ślepe?

Ale tym razem możemy mieć do czynienia nie z symboliką, lecz z wiernym odtworzeniem modelu. W średniowieczu cała Europa roiła się od ociemniałych. Żalony - słabe słowo! - wprost potworny stan higieny czynił ze ślepoty zjawisko zwykłe. Tracili wzrok biskupi, królowie, jak słynny Jan z Luksemburga, pan Czech. O infekcjach wiedzieli oni tyleż, co najlichszy z ich poddanych.

Domysły wolno snuć tym śmieiej, że i uczeni dalecy są na razie od wniosków ostatecznych. Wszyscy godzą się co do artystycznej wartości zabytku, reszta stanowi przedmiot dochodzeń i sporów.

Dla historyków, a tym bardziej chyba dla historyków sztuki, kwestia tożsamości wyobrażonych na płycie osób nie znaczy zbyt wiele. Zupełnie inaczej z pisarzem. Żywy, konkretny człowiek stoi w literaturze na pierwszym miejscu. On jest warunkiem jej istnienia.

Jakżeż to mogło wyglądać, kiedy rodzina książęca kroczyła na nabożeństwo? Z przodu, w pierwszym szeregu, siedł syn młodszy z opiekunami: z kapelanem dworu, spowiednikiem i doradcą, oraz ze starym, już ociemniałym piastunem. Za nimi sam książę, mający po prawicy małżonkę, po lewicy pierworodnego. Przecież ten właśnie układ widzimy na płycie. A jeżeli słusznie wymienia się imię najmłodszego z synów Krzywoustego, to obraz staje się jeszcze

bardziej czytelny:

Kazimierz Sprawiedliwy, jego żona Helena Rościszłowiczówna, księżniczka kijowska („Helena w stroju niedbałym”), oraz ich dwaj synowie Leszek Biały i Konrad, nazwany później Mazowieckim. Sam wygląd dwu pozostałych postaci dowodzi, że nie należały one do rodziny panującej.

W pierwszym szeregu stoi ksiądz. Wysoki wzrost tej postaci podkreśla dostojeństwo stanowe. Duchowny o całą głowę przerasta starego ślepeca (rytując dolny szereg, artysta starał się go wyrównać, postać środkową przedstawił w półprzykłęku). Średniowiecze, teocentryzm, przemożna rola religii? Oczywiście. Ale czy w tym konkretnym wypadku kompozycja rytu nie wskazuje dodatkowo na Kazimierza Sprawiedliwego? Przecież ten ksiądz zawdzięczał swój piękny przydomek klerowi, któremu sprzyjał i ulegał. Jeżeli wierzyć Wincentemu Kadłubkowi, jeszcze na chwilę przed nagłym zgonem podczas uczty Kazimierz zadawał kapłanom pytania, dotyczące życia pozagrobowego i zbawienia duszy.

Na Kazimierza Sprawiedliwego zdają się wskazywać aż trzy argumenty: data, miejsce i treść rytu.

Wątpię, czy słuszna jest praktyka zaopatrywania jego przydomka w uszczypliwy cudzysłów. Polityka Sprawiedliwego nie przyczyniła krajowi ani blasku, ani szkody. Jej ocena jest zresztą sprawą podrzędną wobec niezbiecie dodatniego ogólnego bilansu rządów piastowskich. Kler otrzymywał od księcia przywileje, obwarowywał swą pozycję, przez to samo dając przykład społeczeństwu świeckiemu, które uczyło się żądać prawa spisanego. ustąpienie kodeksu obyczajowego paragrafami utrwalonymi piórem na pergaminie to na pewno był wielki postęp. W roku 1180 Kazimierz II Sprawiedliwy wydał w Łęczycy znany przywilej, którym wyrzekął się panującego w całej ówczesnej Europie *iuris spoli*, czyli prawa księcia do zabierania ruchomego majątku zmarłych biskupów. W sto kilkadziesiąt lat później Kazimierz III Wielki ogłosił w Wiślicy statut, który zabraniał dziedzicom zagarniać mienie bezpotomnie zgasłych chłopów, przeznaczał owe dostatki najbliższym krewnym nieboszczyka. Od Łęczycy do Wiślicy droga wyraźna. Jej sens polegał na rozszerzaniu i umacnianiu uprawnień społeczeństwa.

Wykopaliska odsłoniły fragment tego, co epoka Sprawiedliwego zrobiła dla sztuk plastycznych. Na pewno tylko fragment, bo nigdy nie dowiemy się, jak wyglądał cały kościół wiślicki, który nie był wszak jedynym we włościach Kazimierza.

To on pewnie otoczył grodzisko murem kamiennym. Wykryto tam znak kamieniarski,

grecką literę, co niedwuznacznie wskazuje, że majstrowie, którzy budowali, pochodzili z północnej Italii, z Lombardii. I stanowili oczywiście znowuż zespół, bractwo. Nic nie przeszkadza domysłom, że i twórcy płyty byli Italczykami.

Nie ma żadnych powodów do ponizania pamięci Kazimierza Sprawiedliwego.

Spory o sens odkryć z ulicy Batalionów Chłopskich będą bardzo zacięte i zasadnicze. Oby tylko nie odbywały się w pomieszczeniach hermetycznie zamkniętych, to znaczy na łamach czasopism fachowych. Nastąpi zupełna klęska, jeżeli i tym razem zastosuje się dziwny wynalazek lat ostatnich. Polega on na tym, że referaty uczonych odbija się na powielaczach i dostarcza kopie nielicznemu gronu wybranych. Tak traktowana nauka przestaje istnieć jako zjawisko społeczne, traci był obiektywny, trzeba to wreszcie bez ogródek powiedzieć.

Już teraz specjaliści podzielili się na dwa obozy. Pierwszy stanowczo opowiada się za rewelacyjną starością zabytków, datuje chrzcielnicę na wiek IX, kościółek zaś na pierwszą połowę X. Drugi nie mniej kategorycznie temu zaprzecza. Jego zdaniem kościół powstał w stuleciu XI, a chrzcielnica pamięta najwyżej te same czasy, co jej poznański odpowiednik. To znaczy rok 966, datę chrztu państwa.

Zwolennicy pierwszej z dwu wykluczających się wzajemnie tez widzą w zabytkach wiślickich niezbity dowód przenikania do Polski obrządku słowiańskiego. Jego apostołowie, Konstanty-Cyryl i Metody, nigdy oczywiście nie przekroczyli grzbietu Karpat. Mieli jednak uczniów, których wysycali w dalekie strony.

Pani Zofia Wartołowska broni teorii słowiańskiej z ogniem w duszy i oczach. Co prawda, podczas wiślickich pogawędek raczej przekonywała i wyjaśniała, niż broniła, bo ani myślałem przeciwnać. Twierdziła między innymi, że obrządek słowiański mógł sięgać nawet do Wielkopolski, a zniekształcone wspomnienie o tym - mogło się przechować w podaniu o anielskich odwiedzinach u kołodzieja Piasta. Do chaty jego przybyło, jak wiadomo, dwóch wysłanników nieba. Jeżeli zapomnieć o ich legendarnym charakterze istot nieziemskich, a widzieć w nich tylko misjonarzy, od razu zainteresuje wiadomość, że św. Metody rozsyłał swych uczniów parami. Zawsze dwóch, nigdy w pojedynkę! Szli przecież w podróże pełne niebezpieczeństw. Mistrzowi zależało nie tylko na ich wzajemnej pomocy, lecz i na tym, by choć jeden powrócił i zdał sprawę.

Niezwykli goście mieli rozmnożyć jadło i napitki w komorze Piasta. Jeśli posiadali jako tako zasobne trzosa, sprawa utraci charakter cudu. W księstwie Popiela brzęcząca moneta była pewnie zjawiskiem dość rzadkim.

Już na własną odpowiedzialność dodam, że według legendy aniołowie nie napotkali trudności językowych w porozumiewaniu się z Piastem i Rzepichą.

Więc trzeba zdecydować się na jedno z dwojga: albo zupełnie odrzucić legendę, albo redukując ją do prawdopodobnego minimum przypuścić, że przyszło pod Gniezno dwóch dziwnych, życzliwie usposobionych ludzi, którzy potrafili się dogadać z miejscową odmianą Słowian (ich ewentualny wpływ na późniejsze poczynania Piasta w dziedzinie polityki to już temat wyłącznie dla powieściopisarzy).

Ktoś może w ogóle wzruszyć ramionami, widząc tak namiętne zajmowanie się legendą. Wbrew pozorom jego postępowanie dowodziłoby smutnego zacoiania. Legend nie należy lekceważyć. Wiele z nich już zdradziło jakiś odległy, rzeczywisty rodowód.

Nie pierwszy raz wypływa u nas kwestia istnienia w Polsce obrządku słowiańskiego. W zbył gruntowne wspominki wdawać się niepodobna, ale o jednym warto napomknąć. Byli tacy, co głosili, że św. Stanisław ze Szczepanowa, biskup krakowski, reprezentował obrządek nie łaciński, lecz słowiański, i dlatego zginął. Wniosek filozoficzny, którego zresztą nie podtrzymuję, mógłby zatem brzmieć oryginalnie: uznany za wyklętego zbrodniarza król Bolesław Śmiały szerzył obrządek rzymski (a postępował w sposób właściwy swojej epoce). Niezależnie od powyższego, niezbite fakty dowodzą, że ten król istotnie przez całe życie trzymał się wiernie obozu papieskiego. To była stała wytyczna jego polityki.

Dawne teorie odłożmy i pomówmy trochę o pewnej współczesnej, głoszonej nie tylko przez publicystów. Przyjęcie obrządku łacińskiego miało więc źle wpłynąć na dzieje Polski. Zostaliśmy odcięci od pozostałych krajów słowiańskich, których kultura znalazła lepsze warunki rozwoju niż nasza. Obawiam się trochę, że odkrycia wiślickie dodadzą zapala wyznawcom mistycznej wiary w utracone błogosławieństwa liturgii słowiańskiej.

Nie rozpaczałbym tak bardzo nad warunkami, w jakich się znalazła czy też w jakie popadła polska kultura, wykolejona przez nie przemyślany postępek Mieszka I. Takie załe, rozwodzone w obliczu dopiero co odkrytej płyty wiślickiej, mogłyby bowiem kogoś z czytelników rozśmieszyć. A poza tym - dopóki Polska używała łaciny, jej pisarze dość łatwo osiągnęli to, o czym daremnie marzą współcześni: znaczenie na rynku europejskim. O przepaści, która miała nas oddzielić od Rusi Kijowskiej, przestańmy nareszcie mówić. Jeżeli już koniecznie zajmować się bajkami, to lepiej tamtymi o Piaście i aniołach. Na pewno więcej w nich prawdy.

Zadziwiająca jest skłonność ludzka do przeceniania zjawisk natury wyznaniowej. Polska i

Ruś Kijowska miały wspólną granicę oraz stosunki nawiązane i trwające w praktyce. Cóż zamieszkujących je i rządzących nimi ludzi mogło obchodzić, że legaci papiescy wyklęli w Bizancjum patriarchę, a on ich? Czyż dlatego mieli wykolejać jaki taki ład, burzyć równowagę mniej więcej ustaloną od wieków? Czysto retoryczne pytania. Papież Grzegorz IX w XIII wieku wzywał przełożonego polskich dominikanów do czujności i do zapobiegania małżeństwom mieszanym. W XIII wieku! Nakaz papieski przyszedł tuż przed najazdem Tatarów, który naprawdę - ale dopiero on - miał odbić się fatalnie na stosunkach Polski ze Wschodem.

Postępowanie Piastów wobec prawosławnych doskonale pasowało do słów, które wyrzekł ich potomek po kądzieli, cesarz Zygmunt Luksemburczyk: „Zatrudniać się zjednoczeniem Greków nie ma potrzeby, gdy Grecy jedną z nami wiarę wyznają, brodami tylko i pojmowaniem żon od nas się różnią, czego im wcale za złe mieć nie można, kapłani bowiem greccy na jednej żonie przestają, łacińscy po dziesięć i więcej ich trzymają.” - Słowa cesarza przekazał potomności kanonik Jan Długosz, właściciel pięknego domu w Wiślicy.

Sprawa przenikania do Polski obrządku słowiańskiego w wieku IX to pasjonujące zagadnienie. Oby tylko nie dostarczyło podniety amatorom prawienia kazań.

Z zupełnie zrozumiałych względów Polska musiała przyjąć chrzest w tym samym obrządku, który wyznawały Niemcy. Wszystko inne byłoby działaniem niepoczytalnym. Raczej nie należy pouczać Mieszka I, co powinien był robić tysiąc lat temu. On wiedział lepiej, o czym zaświadczyły fakty. Wojny katolickiej Polski z katolickimi Niemcami to była polityka, i nic więcej. Okazji do szantażu wyznaniowego zabrakło.

Ale ludzie jakoś nie zawsze chcą słuchać wymowy faktów. Istnieje na przykład coś w rodzaju dyskusji na temat przeznaczenia wielkich mis wapiennych, odkopanych w Poznaniu i w Wiślicy. Nie wszyscy chcą uznać, że były kiedyś chrzcielnicami. Słyszałem opinię, wyrażoną tonem lekko protekcyjnym: no tak, millenium... rok 966... rozumiem, ale może nie chrzcielnica, ale poidło?

W teorię poidła uwierzę natychmiast, skoro mi tylko pokażą kości żyraf, naówczas w Polsce bytujących. Bo nasze zwierzęta mają szyje krótkie. Poidła dla nich przeznaczone miewają zwykle kształt koryt, a nie mich o czterometrowych średnicach.

Dziwnym zbiegiem okoliczności obie tajemnicze czasy odnaleziono w miejscach jak najściślej związanych z kultem chrześcijańskim. W Poznaniu pod posadzką katedry i przed samiuteńkim frontonem pradawnego kościoła, w Wiślicy pod fundamentami takiegoż. Że też

w o b u wypadkach nie wyszukano innego miejsca na zbiorniki wody, przeznaczone do celów niereligijnych! W Poznaniu mógł to być oczywiście basen rozrywkowy, pracowicie po to wykonany, aby dzieci przybyłych na nabożeństwo feudatów miały gdzie puszczać łódeczki z kory.

Bardzo szanuję naukę i mam na to dowody w postaci kilku poświęconych jej książek reportażowych. Inaczej dział się zaczyna, kiedy w pozór nauki stroją się mniemania dość dowolne, lecz za to arbitralne. Pewien uczony wie, że św. Wojciech zaraz po wylądowaniu w ziemi Prusów rzekł napotkanym ludziom: „Przybyłem tu jako wasz zwierzchnik i macie mnie słuchać.” Teorię poidła stworzył również właściciel tytułu naukowego.

Żadne z przypuszczeń lub twierdzeń, które tu osobiście wysuwam, nie chce udawać nauki ani nawet jej popularyzacji. To jest tylko esej, co skromnie znaczy po polsku: próba.

Przeszłość kraju Wiślan i jego rola w dziejach państwa polskiego aż kuszą do próby zrozumienia.

Pisząc dziesięć lat temu rozdział *Czoło ziem polskich* - poświęcony Wielkopolsce - zakończyłem go w ten sposób: „Nową stolicę założył Kazimierz Odnowiciel tam, gdzie tradycje chrześcijaństwa były jednak starsze, bardziej zakorzenione. W Krakowie.” Niczego nie odwołuję. Skądże by znowu, skoro jedna z dwóch poważnych teorii naukowych, dotyczących odkryć wiślickich, chce zdecydowanie potwierdzić starość tradycji chrześcijańskich w tym kraju. Pragnąłbym jedynie ponownie zwrócić uwagę na dziwny objaw, który by od biedy można nazwać dwustolecznością Polski średniowiecznej.

Grodem koronacyjnym aż do samego końca XIII wieku pozostaje u nas Gniezno, aczkolwiek już w XI punkt ciężkości przesuwa się do Krakowa. Dopiero w 1320 roku Władysław Łokietek łamie zwyczaj i przyjmuje pomazanie na Wawelu. Syn idzie w jego ślady, ale kiedy w roku 1370 koronę polską ma włożyć Ludwik Węgierski, arcybiskup Jarosław Bogoria ze Skotnik żąda, by stało się to w Gnieźnie. Całkiem, jakby chciał wprowadzić nową dynastię w koleinę wyżłobioną przez stopy pierwszych Piastów. Symbolika wiele znaczyła dla ludzi ówczesnych. Łokietek zmarł dnia 2 marca, lecz pochowano go dopiero po koronacji Kazimierza, która odbyła się 25 kwietnia. To we Francji, a nie u nas wymyślono efektowne zawołanie: „Król umarł, niech żyje król!” U nas trumna zmarłego monarchy czekała niejako ze zstąpieniem do grobu, aż spadkobierca zasiądzie na tronie i choć odrobinę się umości. Po zgonie Kazimierza Wielkiego zamiast zwlekania był pośpiech. Pochowano go w dwa dni po śmierci, kiedy Ludwik dopiero zbliżał się do

Krakowa. Przybywał przedstawiciel nowej u nas, obcej dynastii. „Wierni” uczniowie Kazimierza zażądali koronacji w Gnieźnie, uczczenia prastolicy.

Bardzo długo trzymało się w polskiej praktyce politycznej wspomnienie o miejscu narodzin państwowości. A mimo to - jeśli, jak głosi większość uczonych, Kraków został przyłączony w roku 990, to na przodującą pozycję zdecydowanie wysunął się w pół wieku później. Lecz już znacznie wcześniej Chrobry rad w nim przebywał i wyraźnie chyba awansował gród wiślański.

Niedawno powstałe i rozrosłe państwo polskie należało do tych tworów politycznych, które odpowiadają naturze rzeczy. Złączyły się w nim plemiona o silnie zindywidualizowanych obliczach, ale wprost predestynowane do współżycia. Gnieźnieńska szkoła rządzenia, znająca nie samą tylko przemoc, sprzyjała wyrastaniu więzi. Dlaczego jednak właśnie dawny kraj Wiślan zaczął robić tak szybką karierę w nowej wspólnocie lechickiej?

Docent Wartołowska i profesor Antoniewicz używają przekonujących argumentów i przeciwnicy ich poglądów nie będą mieli łatwego zadania. Ale przypuśćmy, założmy, że kościółek w Wiślicy nie pamięta X wieku, a chrzcielnica powstała w tym samym czasie co poznańska. Nawet to nie podważyłoby faktu, że świątynka Feliksa i Adaukta na Wawelu jest bardzo sędziwa. Istnienie jej zawdzięcza się krótkotrwałym rządóm czeskim.

Kraj Wiślan był dla książąt gnieźnieńskich nabytkiem nadzwyczajnej ceny. Opanowanie go równało się dla nich zdobyciu szczybla wiodącego wzwyż. Po prostu dlatego, że ten kraj był lepiej nasycony kulturą.

Igołomia i zespół hutniczy koło Łysogór wiele nas nauczyły o tradycjach i poziomie rodzimej wytwórczości. Oba ośrodki leżały w ziemi Wiślan. Gród w Wiślicy z całkiem określonych powodów stanął nad Nidą. Tędy, przez tę przeprawę, wiódł ważny szlak handlowy z Kijowa do Krakowa. Piastowie zatroszczyli się o jego bezpieczeństwo, ale sama droga i wcześniej była używana. Przez przełęcz karpackie przenikały wpływy południa. Ileż wymowy w fakcie, że o państwie Wiślan nie było głucho w Europie, aczkolwiek leżało w głębi lądu. Nawet Alfred Wielki o nim słyszał i napomknął.

Jak się wydaje, i w dziejach Polski zauważyć można zjawisko, doskonale znane z roczników innych państw. W ostatecznym obrachunku kultura bierze górę nad siłą fizyczną.

Ogólnopolska państwowość miała północny rodowód. Przyszła z Gniezna. W niedługi czas po jej okrzepnięciu krainą naczelną stał się obszar zdobyty późno, południowy. Zabytki

kultury materialnej oraz ślady wczesnego przenikania chrześcijaństwa tłumaczą, dlaczego się tak stało.

Katedra wawelska dopiero w 1333 roku została cmentarzem królów. Pierwsi Piastowie kazali się chować w Poznaniu, nieco późniejsi - w Płocku. W dobie rozbicia dzielnicowego grodem koronacyjnym i stolicą kościelną pozostawało Gniezno, ale książęta walczyli o Kraków. Przede wszystkim o Kraków. Jego pożądał zarówno Mieszko Stary, jak Konrad Mazowiecki i wszyscy Henrykowie ze Śląska. W XIII wieku tylko wskutek fatalnego przypadku w skali dwóch kontynentów, czyli najazdu Tatarów, nie zjednoczyli Polski Piastowie z Wrocławia rodem. Ostatnim aktem walki o władzę było dla nich opanowanie Krakowa.

Małopolska dochowywała tradycji, wiodących się z czasów wiślańskich. Była tą dzielnicą królestwa, która najchętniej i najłatwiej chłonęła rozmaite nowinki. Wyraźnie różniła się w tym względzie od surowej, przywiązanej do starego obyczaju Wielkopolski. Wiele o tym mówią statuty Kazimierza Wielkiego. Ten wydany w Wiślicy, małopolski, był wybitnie nowatorski.

Zabytki niedawno temu odkopane w owym miasteczku świadczą, jak ciekawie falowała historia Polski. Jak szybko i zdecydowanie poszedł w górę kraj, który wcześniej doznał wprawdzie klęski politycznej od Wielkomorawian, ale nie utracił dorobku kulturalnego.

Wcale nie chcę z góry rozstrzygać o wyniku sporu uczonych. Być może, zwyciężą w nim ci, którzy utrzymują, że na białym ekranie zawieszonym w nakrywającej wykop szopie należy napisać: chrzcielnica z roku 966 i kościół pod wezwaniem św. Mikołaja, zbudowany w wieku XI. Zwolennikom tego poglądu życzę oczywiście honorowej porażki, ale to nie ma nic do rzeczy.

Dostatecznie wymowny jest sam przedmiot zatargu. Doprawdy, rewelacje archeologiczne stępiły naszą wrażliwość. Opamiętajmy się, wspomnijmy niedawną przeszłość! Przecież wczoraj prawie bez dyskusji odrzucano domysł, że Mieszko I mógł coś wiedzieć o chrześcijaństwie, zanim sam się ochrzcił. Nowa wiara miała się u nas pojawić nagle, wcześniejszego przenikania być nie mogło.

A teraz poważni, rzetelni uczeni nie wahają się wysunąć twierdzenia, że rok 966 oznacza datę chrztu Gniezna i dynastii, a początki chrześcijaństwa w Polsce należy przesunąć na stulecie poprzednie, IX. Tezę taką można dziś nie tylko postawić, lecz ponadto liczyć na sukces w sporze z jej przeciwnikami.

Jeśli Mieszko I odziedziczył po ojcu kraj Wiślan, wolno przypuszczać, że poganin Ziemomysł miał wśród poddanych chrześcijan, a w państwie swym kościoły. Patrząc z Gniezna, widziało się je daleko na południu, za Pilicą.

PRAWDA LEGEND

W tydzień po odwiedzinach w Wiślicy podziwiałem inne ślady dorobku państwa Wiślan. Znajdują się one także w granicach dzisiejszego województwa kieleckiego, ale tym razem w ściśle rodzinnych stronach Żeromskiego. Wybrałem się na Łysą Górę, czyli na Święty Krzyż. Aż dotychczas nie zwracałem uwagi na ciekawy kontrast pomiędzy tymi dwoma nazwami, używanymi na przemian, wedle woli, a oznaczającymi właściwie ten sam punkt na mapie. Obecnie w zgodnym ich współzyciu widzę prawie symbol.

Na Łysej Górze nie odkryto rzeźb. Dowiedziono za to, że zabytek wyjątkowo wielkich rozmiarów może sobie przez tysiąc lat leżeć na powierzchni ziemi, a nikt go nie zauważy w całości. Bo fragmenty ludzie dobrze znali, deptali nawet po nich, a czasami i niszczyli je.

Ale opowiadać trzeba po kolei, tak będzie lepiej.

Nigdy jeszcze nie odbywałem wędrowki reportażowej w nastroju równie mrocznym. Zanim wsiedliśmy w Warszawie do wagonów, znowu lunęło. Przerwa w potopie trwała jakieś trzy kwadranse. O świcie zobaczyłem, że wąwozami i spadzistymi drózkami Kielecczyzny rwą potoki o barwie zupy pomidorowej, z przepustów kolejowych wypływają na pola i łąki prawdziwe rzeki. Do Skarżyska pociąg przybył punktualnie, do Kielc spóźnił się o całą godzinę. Utknęliśmy na stacji w Zagnańsku i czekali bez końca. Przyczynę wyjaśnił wkrótce widok sznuru wagonów ze żwirem i kamieniami oraz drużyny robotniczej, na gwałt ratującej podmyty nasyp. Notuję to, aby lato 1960 roku nie tak prędko zostało zapomniane.

Z peronu w Kielcach dostrzegłem jednak zwiastuna nadziei - błękitne okno w jednolitej, szaromlecznej oponie. Zniszczone przez burzę gradową pola koło Krajna oglądałem w blasku słońca, podobnie piękną drogę przez Puszcę Jodłową. Przywiozłem na Święty Krzyż pogodę. Trwała całe trzy dni.

Zadziwiająca są osobliwości tutejszego mikroklimatu. Zakonnicy, misjonarze, zawczasu rozpoznają nadchodzące deszcze, gdyż kamienne płyty krużganków klasztornych stają się mokre, a niekiedy wyglądają, jakby kto na nie z wiadra chlusnął. W puszczy sterczą w ziemi głazy, zwane przez ludność „kamieniami świętokrzyskimi”. Są wilgotne nawet w suchą pogodę. Ich powierzchnia stale przypomina czoło spracowanego człowieka.

Kwaterna przypadła mi w samym klasztorze, na piętrze. Zakonnik przystanął przy oknie

klatki schodowej, skąd otwierał się znajomy widok na północ. Nigdy go jeszcze nie podziwiałem z tej wysokości. Był cudownie rozległy, ale zamglony, bo świat cały parował, Patrząc ponad wierzchołkami wieńca czarnych jodeł można było spostrzec w oddali wielkie rozlewisko, sterczące z niego kępy drzew.

- Tam płynie maleńka rzeczulka, Pokrzywianka. Zwykle wcale jej stąd nie widać. Klęska! - cicho mówił przewodnik.

Nie tylko słońce rozproszyło posepny nastrój. Już o wczesnej godzinie pokazała się od strony Słupi gromadka turystów. Podchodzili pod szczyt wolno, rozrzućeni w luźny rój. Wyglądali na studentów i na prawdziwych Włóczęgów (niechże mi będzie wolno postawić w tym rzeczowniku dużą literę: to przez sentyment - trzydzieści lat temu byłem członkiem Akademickiego Klubu Włóczęgów Wileńskich). Do Słupi musieli przyjść wczoraj, to znaczy podczas deszczu. Ale takich ulewa nie odstraszy od wałęsania się. Na stopach trampki albo pionierki, żadne poty nie powiewają, ubranie jak własna skóra, nie przeszkadza w marszu. Oto zwolennicy najszlachetniejszej odmiany turystyki, jaka w ogóle istnieje - pieszej wędrówki. Tylko ona naprawdę daje poznać urodę ziemi.

Wkrótce, bo już w sobotę po południu, zobaczyć miałem na Świętym Krzyżu turystów trochę innego gatunku. Przyjeżdżają autobusami, przybrani w czarne garnitury świąteczne oraz w krawaty. Zostaje po nich sporo potłuczonego szkła.

Nie brakuje kontrastów w milej ojczyźnie naszej.

Tak więc ulokowano mnie w klasztorze, w celi, której stały lokator chwilowo wyjechał na misje. Okno wychodziło na wschód, w stronę Słupi. Wychyliwszy się w dzień, mogłem do woli podziwiać widoki, poznane lat temu bez mata czterdzieści, lecz po raz pierwszy oglądane z tej perspektywy. Nagi grzbiet skały i olbrzymi krzyż, tam nisko barokową bramę w murze, dalej cały cypel łysiny szczytu, opasanego puszcza. I tę niezwykłą, tylko temu miejscu właściwą panoramę ziemi sandomierskiej, która wygląda jak czasza, pełna wszelkich kolorów roli uprawnej. Zapalając wieczorem światło, rozmyślałem, ile oczu tam w dole dostrzega błysk na wysokościach. Elektryczność daleko sięga, lecz wielkie stosy ognia rozniecone tu na górze też nie uszłyby uwagi ludzkiej. I nie uchodziły na pewno...

Nie wiem, czy noce lipcowe zawsze bywają tu równie spokojne. Bo dziesięć lat temu, u schyłku września, w korytarzach starego gmachu, który kiedyś też byk klasztorny, potem służył za ciężkie więzienie, a teraz mieści schronisko turystyczne, było po prostu niesamowicie. Wicher wył potępieńczo, blaszane rynny graty melodię naprawdę odpowiednią

dla sabatu czarownic.

Istnieje teoria, która próbuje w przyrodniczy sposób wyjaśnić, skąd się wzięły legendy uczepione szczytu Łysej Góry. Zwraca ona uwagę na gołoborza, szeroko znane i niezwykle malownicze usypiska głazów na zboczach. Współczynnik ich rozgrzewania się w dzień, a stygnięcia po zachodzie słońca jest zupełnie inny niż w okalającej puszczy. Z różnic i nagłych przeskoków temperatury rodzą się wiry powietrzne, gwałtowne wichry oraz bogata, lecz niekiedy zatrważająca gama efektów dźwiękowych. Ludzie pierwotni wytłumaczyli sobie to wszystko na swój sposób.

Ciekawy i ważny wywód, ale jak na próbę wyjaśnienia tutejszych tradycji o wiele za ubogi.

Wiara w czarownice oraz ich obrzędy pojawia się na zachodzie Europy dopiero w wieku XII i dość wolno wędruje do Polski. Ponurej pamięci podręcznik inkwizytorski *Malleus maleficarum* (*Młot na czarownice*), napisany przez dwóch autorów niemieckich i wydrukowany w roku 1486, w Polsce został częściowo przetłumaczony i wydany w 1614. Co prawda już wcześniej opublikowano w Krakowie dzieło: *Pogrom, czarnoksiężskie błędy, latawców zdrady i alchemiczne fałsze jak rozprasza Stanisław z Gór Poklatecki*. Data jego druku to rok 1595.

Legendy świętokrzyskie opowiadają o tajemnicach bez porównania starszych i nie mających w ogóle nic wspólnego z czarnoksiężstwem. Zapomnieliśmy o tym i samiśmy sobie winni. Książki zawierające informacje niemal z reguły miewają u nas pojedyncze wydania w niskich nakładach i nie dostępują łaski wznowień, zastrzeżonej przede wszystkim dla romansów. Chodzimy później po własnym kraju jak ślepi. Przeciętny Polak więcej wie o Pustyni Libijskiej niż o Polsce.

Moje wieczory łysogórskie spędzałem przykładowo w celi klasztornej. Zajmowałem się porządkowaniem notatek oraz lekturą. Z biblioteki zakonu wypożyczono mi książkę, strzeżoną pilnie, ponieważ stanowi rzadkość. Wyszła w roku 1873, w Warszawie, pod tytułem *Benedyktynski klasztor Świętego Krzyża na Łysej Górze*. Napisał ją ksiądz Józef Gacki, należący widać do tej cennej odmiany inteligencji, która czas wolny od obowiązków stanu czy zawodu poświęca na studia. Studia skromne, pozbawione górnych ambicji, ale twórcze. Ileż wartościowych wiadomości czy spostrzeżeń zawdzięczamy rozmaitym amatorom poszukiwania i zapisywania!

Ksiądz Gacki zadał sobie między innymi trud spisania legend oraz zjawisk związanych z

nimi. Streszczę tu niektóre, bo nie sposób przytaczać wszystkiego.

Dowiadujemy się więc, że na początku XV stulecia powstały dwie opowieści o Św. Krzyżu. Autorem ich był zapewne opat Jan Katarynka, Czech z pochodzenia. Wydrukowano je w roku 1538 po czesku, potem spolszczono. Zdaniem Jana Katarynki, za czasów pogańskich stała na Łysej Górze świątynia trzech bożyszcz: Lada, Boda, Leli. Co roku w dniu 1 maja odbywały się obchody, w których uczestniczyły tłumy.

Kiedy przyszło już do kraju chrześcijaństwo, Łysa Góra stała się widownią starcia orężnego wyznawców starej i nowej wiary. Poganie schronili się tutaj, ufni w niedostępność miejsca, wzmożoną jeszcze przez oblodzenie zboczy. Ale dowódca rycerstwa chrześcijańskiego kazał odpowiednio przekuć wierzchowce, wdarł się na górę i zwyciężył. Panujący wynagrodził go za to herbem, w którym widniała podkowa (zaliczająca się zresztą do znaków typowych dla polskiej heraldyki).

Za Kazimierza Jagiellończyka miejscowi benedyktyni zwrócili się do monarchy z ciekawą skargą. Co roku na Zielone Świąta odbywały się na Łysej Górze ni to ludowe samorodne „odpusty”, ni to jarmarki. Zbierał się wielki tłum, a podczas zabaw dochodzić miało do gorszącego bezeczeństwa. Zbadano sprawę i wyszło na jaw, że nikt nigdy pozwolenia na te jarmarki nie udzielił. Same jakoś wyrosły, nie wiedzieć skąd i z czego. Król zabronił zgromadzeń, które ustały tutaj, ale natychmiast przeniosły się na niedaleką Górę Witosławską.

Stojący na szczycie kościół ulegał rozmaitym przebudowom. W 1686 roku opowiada w swej książce ksiądz Gacki - kując skalę przed drzwiami kościoła, co na pewno wymagało i kopania, odnaleziono bożyszczce „węglami osypane”. Trudno odgadnąć, czy był to posąg drewniany, częściowo spalony, czy też cały - może kamienny - obalony i przywalony zgliszczami świątyni. Jedno pewne: tajemnicze odkrycie nastąpiło na samym szczycie Łysej Góry, właśnie tam, gdzie co najmniej od XI wieku stoi kościół chrześcijański.

A teraz trzeba przytaczać dosłownie, bo ksiądz Józef Gacki pisze o rzeczach, których był świadkiem: „Dziś ogni czerwcowych, czyli sobótek, po górach w dobrach pobenedyktyńskich nie palą. Wzbronili ich pewno zakonnicy, tamując nocne swawole, jak to uczynili proboszczowie w Goślicach pod Sandomierzem (1825 r.) i w Grocholicach pod Opatowem (1857 r.), którzy przez lat kilka wciąż noc świętojańską ze sługami kościelnymi na miejscu palenia sobótek przepędzali i wreszcie choć bliższych kościołowi parafian od tej zabawy odzwyczaili. W przyległych jednak wioskach, zwłaszcza w łańcuchu gór ku Łysicy, sobótki zawsze są obchodzone.”

Jak się wydaje, dopiero czasy najnowsze niechęć wyplenili stary obyczaj, który hardo się stawiał królom biskupom i proboszczom. Rozwój miast i przemysłu, uwłaszczenie chłopów, niebywale ułatwienia w dziedzinie komunikacji, a ostatecznie pierwsza wojna światowa - to wszystko gruntownie naruszyło odwieczną zasiedziałość, przewietrzyło kraj. Tradycja gasła wraz ze starcami. Duchowych spadkobierców było coraz mniej, wreszcie całkiem zabrakło. Pouczająca historia! Warunki życia, realne okoliczności są silniejsze od zakazów i nakazów.

Legendy o czarownicach są więc na Łysej Górze czymś ubocznym, dodatkowym. One są po prostu jedną więcej odbitką powszechnej europejskiej sztampy. Zjawiskiem schematycznym, wspomnieniem ponurego obłędu, jaki ogarnął kontynent, szczególnie w wieku XVI i XVII. Przecież rozmaitych „łysych gór” liczymy w Europie na setki i każdy trybunał wymuszał torturami zeznania o ich położeniu.

Oryginalne, naprawdę zwracające uwagę podania i dziwy łysogórskie dotyczą ludowych obrzędów oraz wiary, która je zrodziła. To znaczy tej, która na naszych ziemiach istniała w czasach przedchrześcijańskich. Wchodzi zatem w grę nie magia, lecz religia.

Wznoszone tutaj kościoły chrześcijańskie też mają swoją historię, i to więcej niż ciekawą. Od bardzo dawna, lecz wcale nie od początku, noszą wezwanie Świętego Krzyża. Miejsce stało się szczególnie strawne za pierwszych Jagiellonów, którzy odznaczali się nadzwyczajnym nabożeństwem do tych relikwii i samego wezwania. Sprawdźmy u Długosza, że korzystali z każdej okazji odwiedzenia tego ustronia. W oryginalny sposób odbiło się to nawet na dziejach malarstwa w naszym kraju. Władysław Jagiełło kazał ozdobić kościół freskami bizantyńskimi. Syn Julianny twerskiej przywykł do nich od dziecka i lubił je. Abstynent, pijający tylko czystą wodę, pracującym na Łysej Górze malarzom ruskim kazał zawozić wino. Nieodrodny syn jego, Kazimierz, spoczął po śmierci na Wawelu, w kaplicy zwanej Świętokrzyską. Sarkofag wyrzeźbił mu Wit Stwosz, lecz ściany kaplicy pokrywają malowidła ruskie.

Najstarszy kościół chrześcijański na Łysej Górze nosił jednak wezwanie Świętej Trójcy. Według miejscowego podania stał nie na szczycie, lecz na samym wschodnim cyplu polany, tam gdzie dzisiaj jest drewniana kapliczka przy rozwidleniu trzech dróg. Zbudowano go podobno na rozkaz Dobrawy, która zmarła w roku 977.

Wzmianki o faktach przeplatają się z legendami, lecz może to lekkomyślność nie zwracać uwagi, że wszystko układa się tu jakoś w sposób logiczny. Pierwszy kościół chrześcijański

staje na Łysej Górze bardzo wcześnie, władza jakby się śpieszyła do widomego wprowadzenia nowej wiary na tę właśnie wyniosłość. Otrzymuje nazwę kościoła Świętej Trójcy. Poprzednio miała się tu znajdować świątynia trzech bóstw pogańskich.

Christopher Dawson pisze zdumiewające rzeczy o wnikaniu chrześcijaństwa w „homerycki świat” anglosaski, liczący całe tuziny drobnych władców: „Król Raedwald usiłował pogodzić stary i nowy świat przez składanie ofiar w tej samej świątyni, którą oddał na potrzeby chrześcijańskiego nabożeństwa, ale takie kompromisy nie były częste.” Znacznie lepsze perspektywy miała przed sobą świadoma, przemyślana działalność Kościoła, który żądał od nawracanych posłuszeństwa w sprawach zasadniczych, lecz potrafił przyswajać nowej wierze omszałe tradycje lokalne.

Chrześcijaństwo przyszło do nas, wyposażone już w ogromne doświadczenie pełnego niemal tysiąclecia pracy misjonarskiej.

Piętnastowieczne twierdzenie Jana Katarynki o trzech bożyszczach pogańskich wydaje się zwykłym zmyśleniem. Ale wezwanie nadane pierwszemu w tym miejscu kościołowi każe szukać w legendzie cech prawdy.

W opowieści o walce między poganami a chrześcijanami jedno tylko wydaje się mocno podejrzane: ów herb, nadany pomysłowemu rycerzowi. Ostrożność wskazana jest we wszystkim, co dotyczy genealogii i heraldyki, gdyż na tych polach łatwo się natknąć nie tyle na legendy, co po prostu na kłamstwa. Warto przeczytać u Władysława Smoleńskiego, jaki piękny rodowód wykoncypował sobie Seweryn Rzewuski, targowiczanie.

Cała reszta opowieści o walce może się z powodzeniem odnosić do czasów, kiedy powracający z Niemiec Kazimierz Odnowiciel tłumił bunt pogański. Nic by w tym nie było niezwykłego, gdyby jeden z ostatnich, może w ogóle ostatni akt rozprawy odbył się tutaj. Ale nadanie herbu w XI wieku to wymysł wierutny.

Znalezienie posągu w roku 1686 trzeba uznać za fakt. U schyłku XVII wieku panowała atmosfera sprzyjająca wierze w cuda, czary, sny i sztuczki diabelskie, sprzyjająca także prześladowaniom religijnym i gwałtom wobec inaczej wierzących, ale nie fabrykowaniu tego rodzaju odkryć. Gdybyż przynajmniej ktoś nawiedzony wskazał, gdzie należy szukać przeklętego bałwana, by go unicestwić. Ale nie! Bożyszczce odnaleziono w sposób całkiem prozaiczny, podczas kucia skały, pewnie w jakimś jej zagłębieniu.

Obrzędy odprawiane przez ludność oraz ich uporcezywe trwanie to także fakty. W tej mierze nic zakwestionowaniu nie podlega.

Tak oto przedstawia się, w grubym streszczeniu, zawartość kartoteki z napisem „Dziwa Łysogórskie”. Przez tyle lat badacze mieli do niej swobodny dostęp, lecz jakoś nie korzystali z przywileju. Dopiero druga połowa XX stulecia przyniosła zmianę.

Jestem pełen szacunku dla postaci i całego dorobku profesora Aleksandra Brücknera. Jedynie pewne cechy jego postawy badawczej wydają mi się przesadne. Znakomity uczony może zbyt pochopnie skreślał, odrzucał, nawet wyszydzał. Za wiele rzeczy traktował jak grube wymysły, bajki lub zapożyczenia od obcych. Miał wielu naśladowców. Przyjęta się u nas moda lekceważenia starożytności rodzimych.

Późniejsze doświadczenia nauczyły, a przynajmniej powinny były nauczyć głębszej pokory. Sporo zaskoczeń przeżyliśmy, wyszło na jaw wiele niespodzianek, których istnienia nie odgadywały najtęższe umysły. Kartezjusz ma w dalszym ciągu słuszość: bez wystarczających dowodów nie wolno niczego przyjmować za prawdę. Dziedzina historii winna jednak i w ten sposób rozumieć wskazanie wielkiego myśliciela, że bez dostatecznych dowodów lub uzasadnień nie należy zaprzeczać wiadomościom przekazanym nam przez przeszłość. Nakazywana przez naukę postawa metodycznej nieufności nabrała ostatnio oryginalnego zabarwienia. Nie można ufać własnym zdolnościom pojmowania świata rzeczy ludzkich, gdyż okazał się on ponad wszelkie wyobrażenie skomplikowany, dziwny. Pozostaje nam jedna, na pewno niezawodna wskazówka; trzeba badać.

Sądzę, że tylko w zmienionej przez doświadczenie atmosferze mogła się dokonać rewizja poglądów na dzieje Łysej Góry. Nowe propozycje napotkały zresztą na opory, zrodzone przez nieufność przestarzałego typu. Jest bardzo znamienne, że propozycje te złożył uczony zupełnie młodego pokolenia.

Parę lat temu Jerzy Gąssowski wystąpił z twierdzeniem, że na Łysej Górze mieścił się wysoko zorganizowany ośrodek kultu pogańskiego. Uwierzył więc niejako wywodom opata Jana Katarynki, który żył w stuleciu XV, a nawet poszedł jeszcze dalej. Bo tamten nie mówił o żadnym sanktuarium na skalę państwową.

Jest to ten sam Jerzy Gąssowski, który w 1951 działał w Biskupinie na „piętnastce” i lekko podrwiwał z moich uwag na temat kościanej oprawki noża. Wtedy młodziutki magister, teraz młody doktor, autor rozpraw naukowych i książek popularyzujących wiedzę.

Przybyłem na Łysą Górę właściwie po to, aby obejrzeć, co doktor Gąssowski wykrył na poparcie swych teoretycznych domysłów. Inaczej mówiąc, zobaczyć cały wał kamienny, którego odcinki nieraz deptałem podszwami własnych butów, ani się czegoś domyślając. Ale

ja wtedy przekraczałem wał w poprzek, co czynny tysiące ludzi, wśród nich niejeden badacz. Jerzy Gąssowski był pierwszym naukowcem, który domyślił się, że trzeba pójść wzdłuż kamiennego usypiska. Wiele niezwykłych odkryć wygląda całkiem prosto, lecz dopiero po ich dokonaniu.

Wał przez cały czas biegnie puszcza, niekiedy wśród gęstwiny, co poniekąd tłumaczy, czemu aż tak długo się tał. Do dzisiaj zachowane zakole zachodnie liczy siedemset pięćdziesiąt metrów długości, tyleż ma wschodnie. Lecz nigdzie nie można ogarnąć okiem dłuższego odcinka. Las umiał strzec tajemnicy.

W obchód ruszyliśmy we dwóch. Gąssowski kazał mi iść o parę kroków w tyle i dobrze uważać pod nogi. On miał gumowe buty robotnicze, ja zwykłe trampki, a na Łysej Górze nie brakuje żmij. Na szlaku, z którego zwykle korzystają turyści, są nawet napisy ostrzegawcze.

Wędrówka byka chwilami dosyć trudna. Wał usypano z nie spajanego kamienia i na tych odcinkach, gdzie powierzchnię stanowią spore głązy, można nogę wykręcić. Miejscami zarośla niemal pokryły wypukłość, kolczaste wici czepiają się ubrania, gałęzie zagrządzają szlak. Albo znów inaczej - grzbietem lekko wzdętego szarego chodnika idzie się w tunel pełen zielonkawego mroku.

Niełatwo ocenić wysokość, a tym bardziej szerokość, gdyż stopami wału dawno zawładnęła roślinność. Trzeba badań, które już zostały przeprowadzone. Średnia wysokość wynosi więc trzy metry, chociaż niekiedy bywa znacznie większa. Przekrój podstawy sięga miejscami piętnastu metrów. Przysadzisty nasyp mocno trzymał się ziemi.

Mrok puszczy rzednie, wchodzimy w pełną jasność dnia. Iść jest przyjemnie, bo zewnętrzny płaszcz wału składa się z drobnych, gładko zleżałych kamyków. Otworzył się rozległy widok w stronę Łagowa, na sinawe Pasma Jeleniowskie.

Południowo-wschodnie zakole nasypu pełne jest pogodnego uroku. Wydaje się, że budowniczym zależało na wyglądzie tego odcinka pierścienia. Tutaj wał wydyma się wysoko, zarośla nie dały mu rady. Jest okazały, imponuje, potęga dzieła bije w oczy.

Gąssowski podnosi i pokazuje mi jeden kamyk, drugi... Po chwili już sam dostrzegam, że wiele z tych leżących na samej górze pokrywa delikatna siateczka czarnych linijek. Są gładkie, zmyte przez słoty i wybielone przez słońce, lecz subtelnie pożyłkowane. Geologowie orzekli, że kamienie zużyte na wał były na pewno odpowiednio przygotowane przez ludzi. Jest to tłuczeń. A ponadto jeszcze - powierzchnia wału po stronie południowo-wschodniej zdradziła wyraźne ślady ognia. Siateczki czarnych żytek to spękania, spowodowane przez

wysoką temperaturę.

Zatem na tym wyniosłym, wprost reprezentacyjnym bastionie palono potężne ogniska. Może podtrzymywano je stale, przynajmniej w niektórych porach roku. Widać je było z daleka... Tam nisko leży dolina, wiodąca w otwarte, równinne ziemie państwa Wiślan. Ciągający stamtąd pielgrzymi szli na te ognie, jak na drogowskaz, przekraczając krąg wału dyszeli trzask stosów, owiani byli ich dymem. Wejście jest tuż obok, od strony podanej ku wschodowi.

I jakżeż to nikt go dotychczas nie zauważył... widząc! Jest najzupełniej wyraźne, nawet okazałe, i w dodatku ani trochę nie zadrzewione. Głęboki wąwozik przecina kamienne usypisko. Na pierwszy rzut oka każdy rozpozna w nim dzieło rąk ludzkich. Rozpozna, ale dopiero dziś.

Jasno tu i słonecznie na południowo-wschodnim bastionie. A może budowniczy wyróżnili go od reszty wału właśnie dlatego, że tyle tu słońca? Pierwsze promienie wschodu chyba o każdej porze roku muszą doń docierać.

Wał na Łysej Górze nie miał charakteru obronnego. Był na to za niski, a zwłaszcza o wiele za długi. Ocalałe dzwona pierścienia liczą około półtora kilometra. Dodajmy partie zniszczone, a otrzymamy ze dwa tysiące metrów. Trzeba bardzo dużej siły żywej dla obsadzenia go tak, by wszędzie można było skutecznie walczyć wręcz i jeszcze trzymać rezerwę w pogotowiu. Żywienie tak wielkiej załogi, skupionej na nie uprawnej pustce, byłoby problemem nie do rozwiązania. Głód szybko poradziłby sobie z obrońcami. (Mieszczanie krakowscy, rozumiejąc beznadziejność próby utrzymania długich obwarowań miasta, skupili się na Wawelu, który jest o tyle mniejszy od Łysej Góry. To było za Leszka Czarnego, w XIII wieku, kiedy Kraków zaludniało kilka tysięcy ludzi, a zasobów nie brakowało.)

Kamienny Wał na Łysej Górze nosił charakter sakralny. Otaczał rozległy, pozbawiony zarośli a skalisty szczyt, uznawany za miejsce święte i oddany na własność bóstwom.

Doktor Gąssowski zbadał go w kilku miejscach, usuwając kamienie i kopiąc w poprzek. Wszędzie wystąpiły drobne szczątki, skorupy, pozwalając oznaczyć czas budowy. Było to w VIII, najpóźniej w IX stuleciu.

Prace trwają. Archeologów jest zaledwie kilku, za to robotników można mieć, ile dusza zapagnie. W tych stronach wcale nie tak łatwo o zarobek (podobnie jest w Wiślicy, gdzie wielu ludzi i w dzień powszedni ma czas wystawać na rynku). Toteż zgłosili się liczni ochotnicy do łopaty. Gąssowski postępował oględnie i według sprawiedliwości. Dbał, aby nie

przyjąc dwóch ludzi z tej samej zagrody, wdowom dawał pierwszeństwo. Głód pracy, płatnej po czterdzieści złotych dziennie, spowodował naturalne skutki. Wiedząc, ile ma pieniędzy, doktor Gąssowski zawczasu obliczył, co zdoła wykonać. Pomylił się, plan robót ziemnych przekroczył o połowę. Ci ludzie pracują, że daj Boże całej Polsce podobnie. Jeśli zadanie jest proste, nie wymaga nadzoru specjalistów, archeolog może się zająć czymś innym i w ogóle pójść gdzie indziej. Wykonawcy nie zawiodą, zrobią, jak tylko można najlepiej.

Na północnym stoku góry, o jakieś pięćdziesiąt metrów poniżej szczytu dźwigającego kościół i klasztor, leży obszerna polana Bielnik. Pochodzenie nazwy nie stanowi zagadki. Bielono tu kiedyś płótno. Bielnik zajmuje dość znaczną przestrzeń, długi jest na sześćset, a szeroki na dwieście metrów. Mniej więcej pośrodku znajduje się malownicza kępka drzew. Nikt się nią teraz specjalnie nie interesuje, aczkolwiek są tam szczątki cegielni gotyckiej.

Bielnik jest ładny, obrzeżony puszcza, trochę niebezpieczny ze względu na żmije, lecz przede wszystkim dziwny. Wielka polana tworzy pochyłą płaszczyznę. Zazwyczaj przyroda górską zachowuje się inaczej. Nienaturalna równina wcinająca się w spadzisty stok może być dziełem ręki ludzkiej.

Na Bielniku kopał magister Janusz Kuczyński i natrafił na szczątki osiedla ludzkiego z XII stulecia sięgającego swymi początkami w czasy nieco wcześniejsze niż wiek X. Próbné sondaze wydobyły materiały jeszcze starsze. Wystąpiły również żuźle hutnicze. Opodal jest źródółko, wszystko więc wskazuje na stare osadnictwo.

Trzeba jeszcze dodać, że Bielnik leży po zewnętrznej stronie kamiennego wału, i prosić o zapamiętanie tej wiadomości.

Zamiar odwiedzenia kolejnego stanowiska skłonił do odbycia sporej przechadzki, Trzeba było zejść aż do południowego podnóża góry. Przy okazji, korzystając z uprzejmości leśniczego, zwiedziliśmy ścisły rezerwat. Wymagało to zrobienia dużej pętli - pragnąc trafić na południe wyruszyliśmy z klasztoru na zachód - ale się na pewno opłaciło,

Leśniczy opowiadał o pewnym Angliku, który był tutaj, podziwiał, ale i mówił coś o kosztach czy cenie marnowanego - jego zdaniem - drewna. Nie tak łatwo teraz napotkać na naszym kontynencie las pierwotny, gdzie pnie rosą, jak je los posiał, i butwieją tam, gdzie padły. Mroczna jest Puszcza Jodłowa, tylko miejsca zajęte przez buki świecą już z daleka jak zielone słońca. Pleni się tu wszystko według własnych praw, których nie wolno naruszać nikomu... z wyjątkiem osób głośno teraz wykrzykujących o konieczności budowy na Łysej Górze telewizyjnej stacji nadawczej. Doprawdy, podziwu godne! Usłuchano wezwań

Żeromskiego i przemieniono Puszcę Jodłową w rezerwat. Pochłonęło to moc kosztów - z tego punktu widzenia Anglik miał rację - ale było słuszne, sto razy słuszne. Jeszcześmy nie wyzyskali złotego jabłka, bo nie ma udogodnień dla takich turystów, którzy nie tłuką po krzakach butelek, ale za to zostawiają pieniądze. I oto już są wołania o stację telewizyjną, która jak amen w pacierzu popsuje piękno zakątka, a ponadto jeszcze naruszy mikroklimat puszczy. Zepsuje rezerwat.

W niektórych krajach zabroniono odrzutowcom przelatywania nad parkami narodowymi, Przyrodnicy stwierdzili bowiem, że huk tych maszyn uśmierca jaja ptasie, Nie widać ani jednej rozumnej przyczyny, dla której należałoby wprowadzać nowy i potężny czynnik techniczny właśnie tam, gdzie poprzednio postanowiono utrzymać przyrodę w jej pierwotnym bycie. W Kielecczyźnie nie brakuje gór, ale na Święty Krzyż już wiedzie szosa, i to ma stanowić rozstrzygający „argument”. Budowa nowej drogi żadnemu jeszcze krajowi na świecie nie zaszkodziła. Wydatek na nieduży odcinek szosy z jednej i koszt (nie tylko materialny) zmarnowania Puszczy Jodłowej z drugiej strony - to zestawienie niestety przestaje być śmieszne.

Na dole, gdzie las zgęstniał, stał się przeważnie liściasty i poweselał od słońca, poznaliśmy jedną z tajemnic puszczy. Już od dwóch dni piękna pogoda, a tutaj woda ciecze jak z mnóstwa beczek. Stara, rzadko używana dróżka przemieniła się w ruczaj o żywym prądzie.

Tyle już widziałem w Polsce wykopalisk, a jeszcze żadne nie wydało mi się tak urocze, jak to opodal wsi Łazy. Leży na samiuteńkiej granicy lasu, w kępie wielkich świerków. Kilka kroków wyżej, a zatrzyma gęstwina puszczy. Archeologów ściągnął w to miejsce rów, okalający rezerwat. Przeciął ukryte w ziemi szczątki osiedla ludzkiego.

Na stanowisku „Łazy” kieruje pracą pani Eligia Krystek, badaczka bardzo młoda, pisząca teraz rozprawę magisterską. Zastaliśmy ją w chwili, kiedy dokonała odkrycia nie stanowiącego wprawdzie rewelacji, ale jakoś po ludzku wzruszającego. Obok czarniawego paleniska prastarej chaty, po której prawie nic więcej nie zostało, stał nieduży pękaty garnuszek, Był podparty drobnymi kamuszkami. Gospodyni zdjęła go widocznie z ognia, ustawiła obok, by sobie przestygł, a zaraz potem coś zaszło. Na następne dotknięcie dłoni ludzkich czekał garnuszek przez lat więcej niż tysiąc. Przypadkiem były to znowu dłonie niewieście.

Jerzy Gąssowski prozaicznie polecił staranne przechowanie zawartości naczynka. Analiza chemiczna ustali może rodzaj jada.

Niczego więcej nie oczekują chyba archeologowie od garnuszka, którego ja osobiście nigdy nie zapomnę. Wątła skorupka gliniana przetrwała, kiedy waliły się ściany chaty i całej ówczesnej historii. Wyłoniła się teraz z dna jamy, by w obliczu zmienionego do niepoznaki świata zaświadczyć o dziwności losu. Uległ zagładzie cały towarzyszący jej byt ludzki, zwierzały bez śladu jego pasje. Zachowało się to, co oszczędzić raczył ślepy traf,

Widok garnuszka, jedyne bodaj zupełnie nie tkniętego zabytku dziejów Łysej Góry, skłaniał do zadumy nad względnością naszej wiedzy o historii, lecz także nad nieprzemijającym pięknem jej samej. Kto wie zresztą, czy owa wiedza nie odzyska uroku, utraconego w oczach ogółu, gdy tylko zechce wyrzec się uroszczeń? Nie warto pozować, kiedy się jest właściwie odkrywcą ułamków na zawsze przepadłych całości. Można jednak i trzeba wiernie służyć nawet tak względnemu poznaniu, a to z tej prostej przyczyny, że ludzie poznawać pragną. Chcemy wiedzieć coraz więcej... w miarę możliwości. Najlepszy sposób zachęcania do nauki polega chyba na głoszeniu, że prowadzi ona w głąb tajemnic, którym nie ma końca.

„Łazy” wszystkiego o samych sobie nie wyjawia, mogą jednak sporo powiedzieć. Są szczątkami otwartego osiedla wiejskiego, któremu nie patronował żaden gród, To znaczy zaliczają się do odkryć rzadkich, bo najczęściej kopie się wokół dawnych ośrodków władzy i w miastach.

Ludność tutejsza w ciekawy sposób trzymała się miejscowych tradycji, już i wtedy odwiecznych. W okresie rzymskim cały obszar łysogórski stanowił jedno wielkie zagłębienie hutnicze o powierzchni około 400 km kw. Starannie badała je specjalna ekipa archeologów i innych fachowców, działająca w tak zwanym „planie łysogórskim”. Owocem jej pracy jest między innymi niewielkie muzeum w Słupi, przy drodze wiodącej na Święty Krzyż, niedaleko od słynnej figury klęczącego pielgrzyma.

Osiedle rozkopywane na stanowisku „Łazy” datuje się z VII wieku, jest więc późniejsze od okresu rzymskiego. Mimo to i w nim odkryto dotychczas aż osiemnaście piecowisk hutniczych, które odnalazł i badał magister Kazimierz Bielenin. Tak to wygląda, jakby wysoko dawniej spiętrzone wody opadły, ale nie wyschły, utrzymały się w małych stawkach, może kałużach. Wygasły tysiące piecowisk rozsianych po wielkiej przestrzeni - poszczególne wioski nadal uprawiały hutnictwo, już w małej skali. Nic przecież nie pozwala twierdzić, że „Łazy” były jedyną osadą okolicy lub nawet na stokach samej Łysej Góry (gdyby nie rów wokół rezerwatu, nie wiedzielibyśmy niczego i o „bazach”). Owszem, wyraźne ślady wskazują, że osadnictwo pełzło zboczem, ku szczytowi. Nigdzie jednak nie przekroczyło

wału.

Las jest pełen tajemnic. Nie mówię już nawet o gęsto teraz zarosłej „aptece benedyktyńskiej”, gdzie ojcowie hodowali niegdyś rozmaite zioła, którymi kurowali każdego, kto się zgłosił, podobno nader skutecznie. Ale niedaleko od niej, więc w głębi puszczy, jest mur kamienny, o którym nawet podania niczego nie mówią. Badać tu tylko a badać, tematów na długie lata wystarczy.

Na razie na Łysej Górze są trzy stanowiska archeologiczne. Dwa już opisałem. Trzecie zobaczyć musi każdy, kto przywędruje na szczyt albo idzie od Słupi „drogą królewską” (nie ma ona nic wspólnego z Jagiellonami ani nawet z epoką monarchów obieralnych; powinna się nazywali „cesarsko-królewską”, bo przeprowadzili ją Austriacy, którzy od trzeciego rozbioru do roku 1809 władali Kielecczyną).

Wschodnia część łysiny szczytowej jest obszerna i stanowi znowuż dziwnie równą płaszczyznę. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ludzie dopomogli przyrodzie, niwelując polanę - nie wiadomo jednak kiedy. Droga królewska przecina ją wzdłuż osi, wiodąc od drewnianej kapliczki, gdzie stać miał kościół Dobrawy, ku dzisiaj istniejącemu klasztorowi. Cała łąka mieści się wewnątrz kamiennego wału, odkrytego przez doktora Gąssowskiego, i tym przede wszystkim trzecie stanowisko łysogórskie różni się od obu poprzednich. A w logicznym wyniku takiego stanu rzeczy różni się również znaleziskami - przynajmniej dotychczas.

Działa tu magister Zygmunt Pyzik, a ślady jego robót same rzucają się w oczy każdego przechodnia. Wyrył więc rów, biegnący prosto jak strzełił aż ku zaroślom na skraju (zakonnicy nie sprzeciwiali się psuciu pięknego pastwiska; odnoszą się w ogóle do wykopalisk bardzo życzliwie, ofiarowali archeologom usługi własnej kuchni i jadalni, zdejmując im z głowy wielki kłopot, bo w pustkowiu trudno o zaprowiantowanie). Przy samej drodze zdjęta została murawa z dość znacznej powierzchni. Pokazał się jakiś fundament, wyraźnie dzielący się na trzy pola, resztki bruku, szczątki studni. Odnaleziono nawet monety, pozwalające dokładnie datować. Tak więc wszystko, co leżało nad brukiem, pochodzi z XVIII stulecia (stare wizerunki pouczają o istnieniu jakichś budowli przed bramą kościoła i niżej od niej). Co leży pod brukiem, przyszłość wykaże. Na razie brak jakichkolwiek dowodów życia osiadłego z doby pogańskiej. Nie pomógł nawet ów długi rów, który powinien był na coś natrafić. Ludzie bywali tu w dobie układania kamiennego wału - a więc w VIII czy IX stuleciu - ale nie mieszkali.

Dotychczasowe poszukiwania naszkicowały zatem przedchrześcijańską przeszłość Łysej Góry w sposób dość wyrazisty i całkiem logiczny. Rozległa łysina szczytu nie zdradziła śladów mieszkań ludzkich. Była opasana wałem, za którego zewnętrznym skłonem zaczynało się plenić życie osiadłe. „Łazy” leżą daleko, ale na dzisiejszym Bielniku chaty przysuwały się w samo pobliże świętego kręgu. Widocznie wolno go było na co dzień oglądać, dotykać nawet może, lecz nie przekraczać. Skały i łąki zamknięte wewnątrz służyły celom innym niż bytowanie powszednie.

Namacalne, rzeczowe dowody zdają się świadczyć o prawdzie legend, za długo i nazbyt już zarozumiale pogardzanej.

Świątynia! Przecież nie mogło chyba obejść się bez niej. Siedziby jej stróżów, kapłanów! Natura miejsca sprawia, że oczy same kierują się ku skalistemu grzbietowi, gdzie od XI wieku stoi kościół chrześcijański.

Badacze ryli i tutaj. Znaleźli, owszem, lecz tylko dowody, że za Kazimierza Wielkiego, kiedy przedłużano prezbiterium, usunięto mur z XIII wieku. Nie można go było zostawić, bo stałby za blisko absydy.

Kościół, jak się już wspominało, bywał nie raz jeden przerabiany. Dzisiejszy jego wygląd datuje się z czasów późnych, bo aż z XVIII stulecia. Ale w krużgankach klasztoru wyraźnie występuje gotyk. Pod budowlą jest sam grzebień skaty, należało zatem znaleźć oparcie dla murów - tu podsypać i umocnić, tam znów skopać. Jeśli Mieszko i Dobrawa naprawdę wzniesli swój kościół aż hen pod lasem, to imiona takich, którzy później nakazywali tu wielkie prace, utworzą całą litanję: Odnowiciel lub Śmiały, ktoś z XIII wieku, Kazimierz Wielki, Jagiellonowie i wielu młodszych. Czy jest tu w ogóle jaka gruda ziemi, której by nie tknęła łopata budowniczych?

W 1686 roku natknięto się podczas robót na posąg bożyszcza „węglami osypany”. Garnuszek z „Łaz” miał więcej szczęścia, los - jak widać - ani myśli się liczyć z wartością zabytku. Nie złorzeczymy mu jednak przesadnie, bo okazał się łaskawy dla kruchego gipsu w Wiślicy.

Kościół świętokrzyski ma oczywiście podziemia. Turyści radzi je oglądają, ulegając smutnej manii natury ludzkiej, zawsze ciekawej trupów, a znęceni wynikami innego niepojętego dziwactwa, które każe chować zwłoki bliskich w murowanych grobach lub balsamować je. Gdyby Jeremi Wiśniowiecki mógł przewidzieć sensację, jaką budzić będą jego szczątki, kazałby testamentem postąpić z nimi w sposób jedynie rozumny, to znaczy

pochować w sosnowych deskach wprost w ziemi. Książ z Łubniów od dawna leży w otwartej trumnie i bez butów. Ukradł mu je pewnie jakiś piechur austriacki w 1915 roku, kiedy splądrowano grobowce, a wysoką wieżę, krytą miedzianą blachą, wysadzono w powietrze.

Istnieje stare podanie o postach polskich, którzy z rozkazu króla podróżowali do Rzymu po relikwie. Papież polecił im wrócić do domu i przywieźć nieco ziemi spod Sandomierza, tylekroć nawiedzanego przez Tatarów. Ze ściśniętej palcami grudki pociekła krew. Moim zdaniem, w opowiedzianej legendzie tai się spostrzeżenie na pewno trafne. Wobec historycznej starości tego kraju uznać wypadnie, że prochy ludzkie stanowią poważny składnik jego pól. Tych, którzy obrócili się w glebę, spotkał los zaszczytny, godny człowieka.

Podziemia z trumnami, fundamenty kościoła i klasztoru, dzwonnica, długie mury obwodowe, roboty przy wznoszeniu rozmaitych budowli więziennych, których na szczęście przeważnie już nie ma, to wszystko wymagało kopania, kopania, kopania...

Obym się mylił, ale wątpić wolno, czy cokolwiek z dawniejszych czasów da się jeszcze na szczycie Łysej Góry odkopać.

O stolicy księcia Wiślan nic tym razem od archeologów nie słyszałem, za to własnymi oczyma oglądałem dzieło, wykonane na jego rozkaz. Tylekroć tu wzmiankowany wał zawiera) trzydzieści dwa tysiące metrów sześciennych kamienia!

Wspomnę teraz o miejscu, którego nie ominął pewnie nikt, kto jeździł na Łysą Górę, aby naprawdę obejrzyć rzeczy ciekawe. Myślę o wielkim gołoborzu na północnym stoku. Znajduje się ono całkiem niedaleko od klasztoru, właściwie tuż przy szosie dojazdowej. Skręca się w las i wkrótce natrafia na nieduże, spłaszczone rozsypisko kamienne. Mnóstwo ludzi tu bywało, a nikt nie odgadł, że chodzi po zniszczonym wale. Cel wędrówki już prawie widać, a pomylić się co do kierunku nie ma sposobu, bo drogę wskazuje jakby ścieżka usypana z głazów, taka z pozoru całkiem naturalna szyja gołoborza. Jest stroma. Łatwo upaść i potłuc się.

Obraz tego miejsca doskonale tkwił w mej pamięci od czasu dawniejszych wycieczek. Zgorszony oczywistym dowodem własnego gapiostwa - ten wał! deptałem po nim - widać myślałem teraz szczególnie intensywnie. Karkołomna „ścieżka” wydała mi się dziwna. Zaproponowałem więc Jerzemu Gąssowskiemu pogład, który on uznał za całkiem prawdopodobny, a przynajmniej zasługujący na rozważenie. Przecież ta „ścieżka” wygląda na ślad pracy. Tędy wleczono z gołoborza głazy potrzebne na budowę wału. Bo niby skąd było je brać, skoro niewyczerpany zasób materiału jest tuż, o tu, w dole. I właśnie z niego wyrasta

ku górze wąska odnoga usypana ze złomów skalnych, a dotykająca najbliższego punktu w wale.

Wlekli, a raczej podawali sobie coraz to wyżej, systemem „potokowym”. Co zbywało, poniechali na miejscu. Doktor Gąssowski nie jest zresztą pewien, czy wał został całkowicie wykończony, kolisko zamknięte. Trudno to sprawdzić, bo dzwona najbliższe klasztorowi dawno uległy zniszczeniu, podobnie jak szeroki fragment, który teraz przecina szosa, a dawniej czynił to trakt. Jeśli pracę nagle przerwano, widok ścieżki aż pęczniejącej od kamienia staje się tym bardziej zrozumiały.

Muszę raz jeszcze powrócić do cytatu z *Legendy pannońskiej*, opowiadającej o działalności św. Metodego w wieku IX. Ograniczę się teraz do jednego krótkiego zdania, lecz przytoczę je w starosłowiańskim oryginale. Bardzo mato napisał kronikarz o ziemi Wiślan w dobie przedchrześcijańskiej:

„*Pogansk knędz, siln wielmi, sjeđę w Wislje rugaszese křstjanam i pakosti diejasze.*”

Pierwsze z dwu twierdzeń nieznanego autora przyjmowane było dotychczas raczej na wiarę. Wał łysogórski dostarczył materialnego dowodu prawdy. Trzydzieści dwa tysiące metrów sześciennych kamienia! Książę Wiślan był naprawdę potężny, skoro mógł nakazać taką pracę, a podlegli mu ludzie zorganizować ją i wykonać. Do roboty wprężnięty został cały tłum. Głazy z gołoborzy przechodzić musiały z rąk do rąk. Barki ludzkie wydzwigały je wyżej, rozniosły po całym kolisku, dłonie przemieniły w tłuczeń, ukształtowały w grzebiń nasypu. Byli tacy, co przedtem dokładnie wytyczyli biegnący puszcza szlak, obmyślili sposoby, dzięki którym pierścień opasał strome zbocza, zwarł się.

Drugi człon zdania, ten zawierający orzeczenia, wymaga, moim zdaniem, ponownego rozpatrzenia. Tłumaczy się go w ten sposób, że ów książę siedział w Wiśle czy też w Wiślech, „urągał chrześcijanom i szkody im wyrządzał”. A może słowa „*pakosti diejasze*” należy inaczej przełożyć, na przykład: obrzydliwości wyprawiał? Bo *pakosT* to paskudztwo, sprośność, obrzydliwość, a *pakostiti* znaczy nie tylko szkodzić, lecz także i zanieczyszczać, kalać.

Uraganie jest pojęciem bardzo subiektywnym. Samo istnienie świątyń pogańskich mogli zakarpaccy chrześcijanie uważać za urąganie Bogu i plamę na licu ziemi. Książę Wiślan stwarzał na swej ziemi istne sanktuarium dla starych bożyszcz. Posłał tłum poddanych do prac na tajemniczej górze, wznoszącej się w głębi jego państwa. Wieści o tym streściła *Legenda pannońska* w słowach: „*i pakosti diejasze*”.

Z tej *Legedy* wcale nie wynika, że Wiślanie chodzili za Karpaty i czynili materialne szkody ludziom tamtejszym. Zawiera się w niej wiadomość przeciwna raczej. Przecież inicjatywa należała do św. Metodego. To on postał do księcia Wiślan, żądając przyjęcia chrztu, uprzedził więc niejako zbrojną akcję Wielkomorawian, o przygotowaniach do której musiał wiedzieć.

Legenda pannońska mówiła prawdę. Nie wątpiliśmy o tym i poprzednio, ale ważne rzeczy nie były wiadome. Aż dotychczas nikt się nie domyślał, że w ziemi Wiślan wiara pogańska przybrała już formę i rozmiar kultu państwowego. Bo taka jest najistotniejsza treść odkryć na Łysej Górze. Ogromnych robót nie mogliby wykonać czciciele jakiegoś miejscowego bóstewka. Sanktuarium powstało po to, by pokłonili mu się wszyscy poddani wiślańskiego monarchy.

Zbudowano je w VIII lub IX stuleciu, które wymieniają również uczeni, będący zwolennikami teorii, że chrzcielnica w Wiślicy starsza jest od poznańskiej. Jerzy Gąssowski nie jest zupełnie pewien, czy wał na Łysej Górze został całkowicie ukończony. A może zabrakło czasu? Może chrześcijański już prace w Wiślicy zaczęły się zaraz po nagłym, przymusowym przerwaniu tych tutaj, jeszcze pogańskich? Nikt nie potrafi zaręczyć, czy nie tak było, że nowa wiara przemogła w chwili, kiedy stara usiłowała okrzepnąć w formach organizacyjnych, dotychczas jej nie znanych.

Pytajników jest mnóstwo, lecz nie podlega wątpieniu, że plemienne państwo Wiślan osiągnięto szczebel rozwoju, który stanowczo wymagał udoskonalenia więzi religijnej. Pasma kamiennego rozsypiska na Łysej Górze stanowi świadectwo, odnoszące się do spraw ducha. W X wieku Włodzimierz Wielki z Kijowa długo zastanawiał się i badał rozmaite wiary. Pragnął najpierw założyć u siebie nad Dnieprem Olimp słowiańskich bożyszcz, ale ostatecznie inaczej rozstrzygnął. Wybrał chrześcijaństwo. Co najmniej sto lat wcześniej książę Wiślan także widać głęboko rozmyślał na te same tematy. Zapraagnął skrzepić rodzime pogaństwo. Wiele nawet zdziałał na mylnej drodze.

Jeden pytajnik na zawsze pozostanie bez odpowiedzi, aczkolwiek zwykły człowiek jej właśnie najbardziej by pragnął. Nie dowiemy się nigdy, jak rozegrała się sprawa pomiędzy wałem na Łysej Górze a chrzcielnicą w Wiślicy. Droga od jednego symbolu do drugiego wiodła na pewno przez dramat pełen wydarzeń i wielkich pasji. Dla państwa Wiślan była to nawet tragedia, dla jego ludu potężne przeżycie - co najmniej. Nie ma o tym najmniejszych wieści i pojmujemy dlaczego. Zabrakło świadka znającego pismo. Pióro i pergamin - oto dwaj dyktatorzy dziejów. Silniejszy od nich jest tylko przypadek, który zniszczył niejedną ze

starych kronik, nakazał wieczne milczenie jej autorowi. Bo i za to nikt ręczyć nie może, że nigdy nie istniał żaden opis upadku państwa Wiślan.

Przemawia do nas archeologia, czyli niema historia. Ale domyślać się wolno.

Kiedy ksiązę Wiślan szedł po chrzest „na ziemi cudzej”, w Gnieźnie rządził już ród Piastów. W drewnianym grodzie na wzgórzu Lecha zasłyszano o tym, co zaszło u sąsiadów. Tak być musiało. Wiślan od dziedzin mazowieckich oddzielała tylko Pilica, Warta bierze początek z Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej. Wieści płynęły z jej biegiem, przenikanie ich było - musiało być - zjawiskiem najnormalniejszym w świecie. Te plemiona mówiły jednym językiem.

Wkrótce nadszedł taki czas, że ksiązę Mieszko zaczął rozmyślać nad sprawą religijnej więzi spojonych szczepów lechickich. On wyprzedził w tym dziele Włodzimierza Wielkiego, sporo rozstrzygnął i przyjął chrzest o równe dwadzieścia dwa lata wcześniej. O jego namysłach niczego wprawdzie nie wiemy, ale znowu tylko dlatego, że nie był o nich poinformowany nikt piśmienny. Dramat władcy Wiślan - sąsiada, a kto wie, czy nie współzawodnika przodków - był pewnie w tych Mieszkowych rozważaniach argumentem nieostatnim, a może nawet jednym z decydujących. Tym bardziej, jeżeli Mieszko kraj Wiślan odziedziczył i sam osobiście go poznał, wypytał, co i jak było.

Kamienne ruiny pod posadzką katedry poznańskiej i okazały wał na Łysej Górze są świadectwami zamysłów politycznych, zmierzających do celów całkiem sobie podobnych. Ale różnica między nimi jest olbrzymia. Zamiast tracić siły na udoskonalanie więzi starej, Mieszko dał swemu państwu nową, tę, która już przemogła w Europie.

Polska wzbogaciła się o ziemie państwa Wiślan i cały jego dorobek kulturalny. Ale i wcześniej urwane dzieje tamtego księstwa nie zmarnowały się. Posłużyły za doświadczenie.

STAROŻYTNOŚCI BULGARSKIE

I

W pewnych okolicznościach może spowszednieć nawet widok dróg wysadzonych orzechem włoskim i morwą, a także rozległych pól, na których zamiast żyta czy ziemniaków rośnie słonecznik, tytoń i truskawka. Zwłaszcza jeśli się niecierpliwie wygląda sensacji zupełnie innego gatunku.

Minęliśmy ogromną wieś, ale już wiedziałem, że w tym kraju nie ma małych siół ani przysiółków. Zwyczajna wieś miewa tutaj rozmiary naszego miasteczka. Okolica była lekko pagórkowata, raczej monotonna. I nigdzie ani zapowiedzi...

Siedzący obok szofera Stefan Popow nachylił się ku mnie i palcem wskazał niedaleki horyzont. Widniało tam coś w rodzaju pojedynczej arkadki, jakby ktoś ustawił w szczerym polu samotną, dość masywną bramę.

Jeszcze chwila i auto zatrzymało się w mizernym gaiku akacjowym. I tu zaraz, na miejscu, ledwie zdążyłem wysiąść, uderzyło w oczy to, co znałem niemal od dziecka... z podręczników Terlikowskiego, poświęconych kulturze antycznej. Grobowiec, kształtem przypominający domek mieszkalny, architrawy, szczątki kolumn, płyty cięte wspaniałą antyką. Wszystko kamienne, szare, pokryte delikatnym, płaskim i suchym porostem, jakby mchem z koronki.

Dalej widniały zwaliska amfiteatru. Niewielki był, prowincjonalny, ale zaopatrzone we wszystko, do czego przywykli ludzie rozmiłowani w widowiskach teatralnych. Miejsce dla orkiestry, siedzenia dla widzów... Jezdnia ulicy składają się z gładkich tafli kamiennych. Tam gdzie parę z nich usunięto na bok, można było zajrzeć pod spód i zobaczyć ciemny tunel przewodu. Miasto było skanalizowane. Arkadka, którą mi poprzednio pokazał Stefan Popow, stanowiła resztkę akweduktu doprowadzającego kiedyś wodę z odległych źródeł.

W ten sposób pierwszy raz w życiu zetknąłem się z pamiątkami starożytności klasycznej w ich własnej ojczyźnie. Zrządzeniem losu stało się to nie w Grecji ani w Italii, Lecz w północnej Bułgarii, w połaci kraju zawartej pomiędzy Dunajem a łańcuchem Wysokiego Bałkanu, którego inna, bez porównania piękniejsza nazwa brzmi: Stara Płanina. Mało się rozumiem na językoznawstwie i nie chciałbym popaść w herezję, ale nie będzie chyba błędu w mniemaniu, że to ostatnie miano ma rodowód czysto słowiański.

Miasto, którego szczątki oglądałem, tysiąc osiemset lat temu nazywało się Nicopolis ad Istrum, dzisiaj: wieś Nikiup. W początkach II wieku po Chrystusie założył je cesarz rzymski Trajan, dla uczczenia zwycięstw nad Dakami, zamieszkującymi obszary obecnej Rumunii. Inna pamiątka po tym samym triumfie to słynna kolumna Trajana w Rzymie. Zdjęcia pokrywających ją płaskorzeźb można oglądać we wszystkich europejskich podręcznikach historii.

Daleko jeszcze do odsłonięcia pełni tajemnic i całej kraszy Nicopolis ad Istrum. Dotychczas zdjęto ziemię tylko z niewielkiej części dzielnicy centralnej. To, co odkryte, wygląda jak szara wysepka wśród zielonego pola powzdymanego w mnóstwo garbków. Obiecujący widok.

Tamtego dnia nie było robót archeologicznych. Między nagrobkami z wolna posuwali się trzej kosiarze tnąc trawę. Niechcący sprowokowałem ich do przyjaznego uśmiechu. Obu dłońmi zaczerpnąłem z pokosu i zanurzyłem twarz. Od razu po przyjeździe kierowca wtoczył auto w cień drzewka, schronił maszynę przed żarem. Upał był straszny, ale też wonny a wonny. Trawa tutaj jedwabista jakaś, długa, gęsta i cała przetkana kwiatami.

Nicopolis, a raczej... już Nikiup leży o osiemnaście kilometrów od miasta Tyrnowa, które poczynając od schyłku XII wieku przez dwieście lat było stolicą Carstwa Bułgarskiego, drugiego z kolei. Jest w Tyrnowie wzgórze-zabytek, nazywające się Carewicz. Mur obwodowy zamku monarszego zachował się dobrze, odnawiają go zresztą bardzo starannie. Wygląd ściany przy bramie wjazdowej urósł w moich oczach do miary symbolu całej historii słowiańskiej Bułgarii. Nisko przy samej ziemi, w położeniu poziomym, żywcem wmurowano tam nietknięte płyty nagrobne, pokryte starym pismem łacińskim i greckim. Carowie kazali je przywozić z Nicopolis i z warowni rzymskiej, znajdującej się w samym Tyrnowie. Budowali z materiału w ich kraju rodzimego. A że płyty owe były duże i solidne, użyto ich jako przyziemia, bazy muru.

W jednym z poprzednich rozdziałów była mowa, że podczas wielkiej wędrówki ludów fala słowiańska przelata się za Karpaty. Łatwo o tym pisać, czerpiąc wiadomości z powszechnie znanych źródeł czy opracowań. Bez trudu również można sięgnąć po *Średniowiecze powszechne* Tadeusza Manteuffla i dowiedzieć się od autora, że upadek państwa Attyli szczególnie ułatwił Słowianom drogę za Dunaj, toteż w VI stuleciu widywały ich nawet wyspy archipelagu greckiego, a Konstantynopol drżał przed nimi.

Wiedza specjalistów o tych zjawiskach jest wszechstronna, ale zwyczajny miłośnik

starzyzny dopiero wtedy dobrze je zrozumie, kiedy na własne oczy zobaczy tereny, skolonizowane wówczas przez Słowian, oceni wartość historycznego podłoża, na które trafiła ich wędrówka. Obawiam się, że z popularnym wyobrażeniem o tych sprawach jest podobnie, jak z dawnymi mniemaniami o chrzcie Polski. Podobnie, ale na odwrót.

U nas rok 966 miał rozpocząć wszystko na nowo, co było dawniej nie liczy się. Tam, na Bałkanach, Słowianie stworzyli nowe porządki, poprzednich rozdziałów dziejów wolno zatem nie uwzględniać. A naprawdę to w obu wypadkach powinno się rozumować całkiem inaczej. U nas rzymska nowina wniknęła w dobrze już rozwinięty organizm, przepoiła go na wskroś, ale przecie go nie stworzyła. Tam grecko-rzymska i inna puścizna wcale nie szeszła, została wchłonięta przez to, co świeżo napłynęło z północy.

Autora tej książki nie będzie się chyba podejrzewać o brak szacunku dla oryginalnej kultury Słowian. Ale... jest różnica pomiędzy Atenami Peryklesa a naszym Biskupinem, aczkolwiek świetność obu wspomnianych metropolii przypadła na te same czasy. Płynące na południe plemiona słowiańskie miały swój rodzimy, zasługujący na pilną uwagę dorobek. Ale w zdobywanym kraju natykały się na rzeczy, których u siebie nie oglądały.

Jedna z gablotek muzeum w Płowdiw mieści wizerunek drewnianej fortalicji słowiańskiej. Obok, na wewnętrznym podwórku, widnieje wystawa rzeźby klasycznej i fragmentów wielkiej architektury grecko-rzymskiej. Takie rzeczy zetknęły się ze sobą w stuleciu VI. Początkowy kontrast z czasem przerodził się w zrost. Nowy stop wzbogaciły zresztą inne jeszcze pierwiastki, bo i w starożytności Grecy ani Rzymianie nie byli na Bałkanach jedynymi twórcami kultury.

Chcąc pisać o starożytnościach bułgarskich, muszę najpierw powiedzieć, w jaki sposób doszedłem do ich oglądania. To tylko w dziewiętnastowiecznej powieści bohater, wegetujący w Przywiślinii literat, raptem postanawia wyjechać na Capri i rusza niemal nazajutrz, jakby był Rotszyldem lub ambasadorem Jego Imperatorskiej Mości. Bawiłem w Bułgarii trzy tygodnie i zdążyłem w tym czasie sporo zobaczyć. Oprócz zwiedzenia samej Sofii i jej bezpośrednich okolic były to następujące eskapady: dwudniowa wycieczka samochodem w przepiękną dolinę Stromy, do Macedonii, na pogranicza greckie; w drodze powrotnej sławny klasztor Riła w górach tejże nazwy; potem przejażdżka rzeczna Dunajem od Widynia aż do Ruse, czyli wzdłuż całej niemal północnej granicy Bułgarii; z Ruse do Tyrnowa... sto kilkadziesiąt kilometrów doraźnie wynajętą taksówką; nad morze zabrał nas samolot: Warna, Nessebar, Burgas, i znowu samolot do Starej Zagory, która w porze kwitnięcia lip otumania zapachem; w Dolinę Róż jeździliśmy autem aż dwa razy - do samego Kazanłyku, a potem

dalej, obejrzyć Szypkę; dwa dni spędziliśmy nadprogramowo a sielsko w domu rodziców naszej przewodniczki we wsi Granit, która się znajduje w prowincji Czirpan, tam, skąd pochodzi bułgarski ryż oraz białe, wytrawne i zdradliwe wino „Czirpanski Dimiat” (rośnie w tym Granicie najstarszy w całej Bułgarii dąb. Pomimo kilkuset lat wieku sylwetę ma całkiem młodą, ani cienia w niej z posepnej powagi naszych Bartków. Klimat Południa!).

I jeszcze, przed powrotem do Sofii, miasto Płowdiw, skąd dwa dalekie wypadu samochodem w góry Rodopy: do klasztoru w Baczkowie, który dobrze pamięta czasy pierwszej wyprawy krzyżowej, i do wsi Batak. Dziś już zapomniano tej nazwy, która u schyłku XIX wieku stała się głośna na obu półkulach.

Samochody, samoloty, statki rzeczne tudzież morskie, koleje, najlepsze hotele. Przecież i u siebie w kraju takie podróże odbywać można tylko w marzeniu sennym. Byliśmy w Bułgarii gośćmi tamtejszego Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, który sam troszczył się o wszystko. Używam liczby mnogiej, bo ruszyłem z Warszawy i cały czas wędrowałem razem z Waławem Bilińskim, autorem *Lata po wojnie*. Poznałem go kilka lat wcześniej, kiedy pracował w łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych. Pokazywał mi wtedy w ich studio krótkometrażówki, obrazujące... starożytności bułgarskie. Nie przypuszczałem wówczas, że w przyszłości będzie mnie fotografował na ich tle. Co prawda, spodziewaliśmy się więcej po tych tysiącu i paruset zdjęciach, które zrobił. Filmy nabyte w Łodzi tuż przed wyjazdem okazały się „przeterminowane”, co wyszło na jaw poniewczasie. Dobre były tylko te, które Biliński kupił w Bułgarii.

Z ramienia Komitetu zajmowały się nami same niewiasty. Widocznie w Bułgarii już wiedzą, komu najłatwiej utrzymać Polaków w karności. Honory domu czyniła i ogólne kierownictwo sprawowała pani Wiera Kujewa, znana z przekładów książek polskich na język Bułgarski. Opiekowała się nami i pani Błaga Dymitrow, tłumaczka *Pana Tadeusza*. Dzieło jej pokazało się właśnie w księgarniach, i to nie w samej tylko Sofii, co sprawdziliśmy. Pracowała nad nim podobno przez kilkanaście lat. Jeśli to prawda, musiała zacząć chyba w szkole. Na wiosnę tegoż 1960 roku bawiła w Warszawie, gdzie ludziom łatwiej było poczytywać ją za Szwedkę niż za Bułgarę.

W podróży naszej przewodniczką i przywódczynią była pani Neli Ażmanowa. Skończyła filologię słowiańską. w Sofii, potem studiowała jeszcze w Warszawie. Pod koniec wędrówki, w klasztorze Baczkowo, poprosiłem ją, by tym razem oszczędziła sobie fatygi tłumaczenia. Udzielający objaśnień zakonnik miał dykcję tak wyrazistą, że wszystko można było pojąć.

Dotychczas nie mogę odgadnąć, dlaczego przypadkowo spotykani ludzie nieodmiennie brali nas za Niemców. Wprawdzie lwowiak Biliński oprócz łyczakowskiego akcentu odznacza się jeszcze nordyckim wyglądem, ale ja? Mniej bym się dziwił, gdyby mnie wzięto za Turka. Tylko w rylskim klasztorze sprzedający pamiątki stary mnich z miejsca powiedział: „Wy Palaki!”

Już Sofia zaczyna pouczać o podłożu historii Bułgarskiej. To miasto w starożytności nazywało się Serdika i Konstantyn Wielki przez czas pewien zamierzał umieścić stolicę imperium tutaj właśnie. Dzisiejsze miano pochodzi od kościoła Św. Zofii, zbudowanego przez Justyniana w stuleciu VI. Stoi ta świątynia po dziś dzień w samym centrum miasta, opodal olbrzymiej, złotem kopuł świecącej cerkwi Aleksandra Newskiego, postawionej na pamiątkę zwycięstwa Rosjan nad Turkami i wyzwolenia Bułgarii w roku 1878. Mało ocalało z dawnego kościoła Św. Zofii. Szczególnie dało się mu we znaki wielkie trzęsienie ziemi 1918 roku. Ale w ścianach znać jeszcze dziwną cegłę bizantyńską, długą a płaską, układaną w ramowy wzór, sposobem u nas nie oglądanym.

Rzymskie ruiny wyrzwały spod ziemi podczas prac przy sofijskim „emdeemie”. Domy jego mniej są bombastyczne od warszawskich, co jeszcze nie oznacza, że piękne. Ale tworzą oryginalną ramę zawartego między nimi obszernego wykopaliska.

W muzeum sofijskim dokonaliśmy odkrycia, które jeszcze w drodze powrotnej do Polski omawialiśmy, cmokając z podziwu. Dlaczego podręczniki Terlikowskiego milczały o tym, że starożytni Rzymianie znali s a m o w a r y ? Stoją w gablocie dwa takie okazy, pociemniałe od wieku, który poutrać im także kurki. Wszystko jest: pękaty korpus, nóżki, metalowa falbanka u dołu, pionowa rura na węgiel we środku. Jednej tylko rzeczy brakuje do kompletu efektów. Napisu: „Tuła”.

W Warszawie - tak na wszelki wypadek - zwierzyłem się z resztek wątpliwości profesorowi Kazimierzowi Majewskiemu, który właśnie, to znaczy późną jesienią 1960 roku, powrócił z Bułgarii, gdzie - obok Swisztowa nad Dunajem - wykrył i odsłonił ruiny miasta Novae, razem z murem obwodowym. Kwaterował tam kiedyś I Legion rzymski, mający w koszarach centralne ogrzewanie.

- Oczywiście, że znali - uśmiechnął się. - Znajdowano samowary w rozmaitych rzymskich osiedlach, między innymi w Szwajcarii. Tylko, widzi pan, oni sobie w nich nie czaj grzali, ale wino.

W tymże muzeum sofijskim znajduje się na parterze duża wystawa starożytności.

Wywiozłem stamtąd przede wszystkim wspomnienie o dwóch hellenistycznych nagrobkach, Oba powstały w greckich koloniach nad Morzem Czarnym. Jeden przedstawia postać mężczyzny z psem. Zachował się świetnie. Tysiąclecia nie zdołały pozbawić go nawet imienia. Jest to nagrobek Anaksandra, obywatela dzisiejszego Sozopola, starożytnej Apollonii. Z drugim zdarzyło się podobnie jak z posągiem Nike Samotrackiej, któremu los utracił głowę, lecz nie potrafił w niczym pomniejszyć dzieła sztuki, Obu jego postaciom czas starł twarze. Ręka niewiasty, bezwładnie wsparta o ramię męża, mówi wszystko,

Tak się złożyło, że niedługo przed moim wyjazdem do Bułgarii Zygmunt Kubiak dał mi do przeczytania rękopis swej znakomitej *Muzy greckiej*, która w parę miesięcy później ukazała się nakładem PIW. Jest to tom swobodnych przekładów epigramatów z epoki hellenistycznej.

Jeden szczególnie utwór - napis nagrobny - przypomniał mi się tutaj, w sali muzeum.

„Ja, który tu spoczywam, Dionizos z Tarsu, dożyłem lat sześćdziesięciu i cały czas w celibacie. Czemuż ojciec mój nie był tak mądry”

Kim należało być, żeby tak napisać? *Epitafium starego kawalera* jest bezimienne, nie wiadomo, kto i gdzie je ułożył. W każdym razie bez reszty należało do kręgu kultury, która pełniąc swych wpływów ogarniała ziemię późniejszej Bułgarii.

Skoro już doszło do przytoczeń z literatury, to jeszcze jeden urywek, którego pochodzenia nie trzeba chyba wyjaśniać:

„- Chilonie Chilonidesie, gdzie jest twoja ojczyzna?

- Nad Pontem Euxynem, panie. Pochodzę z Mesambrii,”

Mesambria to obecny Nessebar, po którym co roku już od czerwca zaczynają się przewalać międzynarodowe tłumy letników i turystów. Tylko że oni zaludniają istne miasto nowoczesnych hoteli, świeżo zbudowane na wybrzeżu i wzbudzające w każdym Polaku żółtą zazdrość. Do właściwej Mesambrii wyprawiają się rzadziej, autokarami, samochodami własnymi lub obrotnego „Bałkanturista”. Bo grecka Mesambria to ta mała i zabudowana przede wszystkim starymi cerkwiemi wysepka, do której przybijają statki z Warny (czyli z helleńskiego Odessos). Z lądem łączy ją wąski przesmyk. Miasto nosiło kiedyś w herbie typowy hełm grecki.

Dzisiejszy Nessebar to grecka Mesambria, a ta z kolei wywodziła się z trackiej Mesevrii. Grecy i Rzymianie wiele tu wszędzie po sobie zostawili, ale nie oni jedni się liczą. Rozprawiając o swej historii, Bułgarzy zawsze starannie się upominają o szacunek dla

dorobku autochtonicznej ludności kraju, Traków. Znał ich już Homer i sławił jako znakomitych jeźdźców i hodowców koni.

Łatwo w Bułgarii o widok wysokich nasypów ziemnych, rozsianych po polach i wzgórzach. U nas kopce takie zwie się kurhanami i nie zawsze słusznie uważa za grobowce. Tutaj noszą one odpowiadającą prawdzie nazwę mogił trackich.

Jest taka i w Granicie. Leży opodal wsi, wśród pastwisk za rzeczką. Wyniosła, pozwala ogarnąć okiem całe osiedle i rozległą połąć kraju, aż po góry na horyzoncie. Pokazywano mi rzecz, którą ktoś tu znalazł czy też dzieci wygrzebały, bawiąc się w piasku na stoku mogiły. Była to szara, dość ciężka płytką kamienna o kształcie zaokrąglonego z jednego krótszego boku prostokąta, wielkości dłoni męskiej. Widniała na niej mocno starta przez czas, lecz całkiem jeszcze wyraźna rzeźba jeźdźca i psa. Niepodobna ściśle określić wieku znaleziska, wyłuskanego z warstwy przypadkiem. Ale tylko miara tysiącleci może się do niego stosować. Wizerunek „jeźdźca trackiego” jest typowy dla prastarej kultury tego ludu.

Do Kazanłyku jeździliśmy specjalnie po to, by obejrzeć mogiłę, która uzyskała europejski rozgłos, i to nie tylko wśród archeologów. Był to jedyny wypadek, że należało zawczasu wystarać się w Sofii o pisemne pozwolenie na zwiedzanie. Na południowym pograniczu milicja potraktowała nas liberalnie, chociaż nie mieliśmy przepustek. Na północnym, czyli na Dunaju, nikt w ogóle o nic nie pytał. W Rodopach wpuszczono nas bez przeszkód do podziemnej hali turbin hydroelektrowni. Tu, w Kazanłyku, bez papieru z pieczęcią i podpisem ani rusz!

W końcowej fazie wojny artyleria królewska kopiąc schrony na przedmiejskich wyniosłościach odsłoniła podziemne mury. Nie ruszyła ich na szczęście i zawiadomiła specjalistów. Dzisiaj całe znalezisko przykrywa obszerny gmach kamienny, masywny, o trójjarkadowym wejściu. W jego wnętrzu można oglądać zewnętrzne ściany budowli, którą dawniej chronik ziemny nasyp mogiły.

Kryła coś, co dla wyrazistości najłatwiej porównać do niewielkiej kaplicy. Najpierw wąska i ciasna szyja korytarzyka z sufitem o przekroju trójkątnym; potem okrągła salka zasklepią w wyniosłą kopułę pokrytą nieprzerwanym fryzem malowideł. To z ich powodu nie wpuszcza się nikogo do środka bez przepustki, a wszelkie wycieczki zbiorowe w ogóle wyklucza. Oddechy kilku osób to przecież już zmiana mikroklimatu wnętrza! Nikt na świecie nie wie jeszcze, jak najlepiej chronić takie skarby, jak je całkowicie zabezpieczyć przed procesem chemicznym. W korytarzyku kolory już zblakły, sprawiają takie wrażenie, jak gdyby obraz

wsiąkał w ścianę. W okrągłej salce są jeszcze całkiem świeże. Stoją tu liczne aparaty pomiarowe, zdaje się, że nawet sejsmograf. Przewodniczka wlecze na długim przewodzie silny reflektor. Sam pomysł stałej instalacji elektrycznej zasługiwałby na wyklęcie.

Malowidło przedstawia ucztę pośmiertną. W środkowym punkcie widnieje postać trackiego dostojnika, który tu spoczął. Jest naturalnie i rydwan czwórkonny, a w przedsionku grobowca spoczywały szkielety rumaków. Postacie, całą scenę przepaja wpływ helleński, ale wyraźnie znać odmienny, tracki ton. Jedna z postaci ma na głowie czapkę, która niewiadomymi mi drogami, żywcem, w tym samym kroju, lecz pod nazwą „frygijskiej” wniknęła w tradycję dość odległego kraju i od dawna już stale zdobi francuską Mariannę.

W 1954 roku nasz „Przegląd Artystyczny” wydrukował studium profesora Dymitrowa o tym grobowcu kazanłyckim. Przepustka, którą przywieźliśmy z Sofii, nosiła jego podpis. W przerwie pomiędzy egzaminami profesor znalazł godzinę czasu na pogawędkę, dał nam *placet* i błogosławieństwo na zwiedzanie wszelkich starożytności, jakie tylko istnieją w Bułgarii.

Opodal Kazanłyku odkryto również całe kamienne miasto trackie. Oglądać go nie można, ponieważ znikło pod wodą. W tym miejscu powstało bowiem jedno z największych w kraju spiętrzeń rzecznych. Tafłę jego widać z daleka, z serpentyn szosy wiodącej na Szypkę.

Podczas minionej wojny Bułgarzy mieli dziwne szczęście do nadzwyczajnych znalezisk. W okolicach Płowdiw natrafiono wtedy na pewien skarb. Dzisiaj znajduje się on w miejscowym muzeum, pod szkłem, pośrodku sali. Pilnują go dyskretnie, w sposób niedostrzegalny, ale pilnować na pewno muszą. Jest to zastawa do wina, składająca się z dziewięciu naczyń, wykonanych w IV lub III wieku przed Chrystusem. Metaloplastyka, ale nie z żelaza. Ze szczerego złota wagi ośmiu przeszło kilogramów.

W 1960 roku wykryto w Wiślicy na grodzisku skarb, późniejszy od owego trackiego o tysiąc kilkaset lat. W glinianym garnuszku, pod szmatką, pięćset pięć monetek srebrnych, przeważnie z czasów Bolesława Śmiałego i Władysława Hermana. Mój Boże!

Osobliwość z Płowdiw posiada ogromną wartość historyczną, naukową i materialną. Z jedną tylko, artystyczną, jest nieco gorzej. Za bogate to wszystko, za kunsztowne, zanadto krzyczące. Secesja starożytności, jakże już odległa od umiaru klasycznej sztuki helleńskiej. Puchary naśladują kształty zwierzęce i ludzkie, ucha amfory mają postać centaurów...

U Rzymian obecne Płowdiw nazywało się Trimontium, co można przełożyć na Trójwzgórze. Położone nad Maricą miasto liczy w rzeczywistości aż sześć skalistych wyniosłości, ale starożytni ograniczyli się do zasiedlenia połowy. Dzisiaj w najwyższym

punkcie stoi z daleka widoczny olbrzymi pomnik żołnierza radzieckiego. Tuż obok, tylko nieco niżej, jest jeszcze drugi, z krzyżem na szczycie. Napis głosi: „*W carstwowanie rossijskiego impieratora, Aleksandra II, pod naczelstwom gienierala adiutanta Gurko 3-go, 4 i 5 janwaria 1878 goda srazenie pri Filippopolie.*” Tak, to ten sam Osip Hurko, generał-gubernator warszawski. Ale mniejsza o niego. Ważne jest określenie miejsca: bitwa pod Filippopolis... Rosjanie sięgnęli po najstarszą historyczną nazwę miasta. W 312 roku przed Chrystusem Filip II Macedoński - ojciec Aleksandra Wielkiego - ostatecznie podbił Trację, zbudował nad rzeką Hebros, obecną Maricą, warowne osiedle i nadał mu własne imię - Philippopolis. Ateny rozbrzmiewały w tym czasie „filipikami” Demostenesa. Upadek Tracji był ciężkim ciosem dla niepodległości greckiej, na klęskę pod Cheroneą nie trzeba już było długo czekać. W paręset lat później przyszli Rzymianie.

Pamiętki po nich wycierają tu niemal wszędzie. Gładki bruk uliczny oraz resztki budowli leżą na przykład pod fundamentami nowego hotelu, w którym mieszkaliśmy. Zowie się on „Trimontium”. Rzymianie nie ograniczyli się zresztą do tego jednego miana, wymyślili jeszcze inne: Julia, Ulpia i Flavia Trimontium, lecz żadne z nich się nie przyjęło. Już Trakowie, którzy po podboju macedońskim nadal oczywiście zamieszkiwali prowincję, przerobili po swojemu nadaną przez zdobywców nazwę na Pułpudewa czy Pułpudowa. O wiele później nastąpiła dalsza odmiana, tym razem słowiańska - Plandin, Plapladin. XV stulecie przyniosło Plaudin, z którego prosta droga wiedzie do dzisiejszego Płowdiw. Trudno się w tym dźwięku dosłuchać grecko-macedońskiego źródłosłowu, ale o jego rzeczywistości nie wolno wątpić.

Podobnie chyba trzeba się zapatrywać na cacy rozwój kultury Bułgarii. Teraźniejszy obserwator niełatwo dostrzeże rolę starożytnych dokonań, które jednak nie mogły doszczętnie przepaść. Wiele z nich wchłonęły żywe siły później wyrosłego organizmu.

Migawkowa metoda relacji odpowiada charakterowi naszej wędrówki, niepodobna zresztą stosować innej. Chodzi wszak tylko o pobieżny szkic głęboko zalegającej warstwy historii.

Imponujące rzeczy istniały już od dawna na Bałkanach, kiedy za Dunajem zaczęły się pokazywać nowe, nie znane tu przedtem postacie. Około 550 roku (po Chrystusie, oczywiście) uczony Grek Prokopiusz zapisał:

„Tymi ludami, Słowianami i Antami, nie włada jeden mąż, lecz żyją od wieków we gminowładztwie i dlatego wspólnie ich obchodzi, co pomyślne i co przykre... Żyją w nędznych kolibach, nawzajem daleko rozłożeni, każdy zaś często odmienia miejsca siedziby. Wstępując

w bój tłumny pieszo, nachodzą nieprzyjaciela dzierżąc w rękach małe tarcze i spisy; pancerza nigdy nie wdziewiają, niektórzy ani świty, ani płaszcza nie mają, jedynie nogawice po pas wciągają i tak do utarczki z przeciwnikiem stawają. Mają też oba [ludy] jeden język zupełnie barbarzyński ani też co do wyglądu między sobą się odmieniają. Wszyscy są bowiem odznacznie rośli i dzielni, co do ciała i włosów ani nadto biali albo blondyni, ani też całkiem ku czerności nie są zwróceni, ale wszyscy są rudawi. Tryb życia nędzny i zaniedbany jako Masageci i sami wiodą, i jako tamci najczęściej bywają brudu pełni. Żli zaś albo złoczyńcy bynajmniej nie bywają, ale i w swej prostocie zachowują tryb Hunów... zajęli wiele ziemi, bo największą część po tamtej stronie dunajowej...”

Trochę później cesarz Maurycjusz dorzucił inne wiadomości:

„Słowianie i Antowie są jednego trybu życia i jednych skłonności, wolni, nie dają się przenigdy nakłonić do ujarznienia albo panowania, a już najmniej na własnej ziemi; są liczni a wytrwali, znoszą łatwo i upał, i zimno, i słotę, i ciała nagość, i brak żywności. Ku odwiedzającym ich są łaskawi i życzliwie odwodzą ich z miejsca na miejsce... pomszczenie [krzywdy] gości za świętość sobie uważając. Tych, co są u nich w jeństwie, nie zatrzymują ich, jak inne narody czynią, na czas nieograniczony, ale naznaczywszy im czas pewny, pozostawiają na ich zdaniu, czy chcą wrócić między swoich za pewnym wynagrodzeniem, czy zostać u nich wolni a przyjaźni. Dostawa im moc bydła rozmaitego i zboża w stogach złożonego, a najwięcej prosa i lnu. Niewiasty ich nad wszelkie przyrodzenie ludzkie bywają cne, tak że wiele z nich śmierć mężową uważa za koniec własny i chętnie same się udawia, wdowieństwa za życie sobie nie licząc. Mieszkają zaś po nieprzystępnych polanach, rzekach, moczarach, jeziorach, a wyjścia z siedzib czynią wszelakie dla zdarzających się im pospolicie niebezpieczeństw. Rzeczy swe potrzebne w ukryciu chowają, nie posiadając jawnie nic zbytecznego, a żyjąc po rozbójniczemu, chętnie po gęstych i skalistych miejscach napady na wrogów skuteczniają...”

Aleksander Brückner, od którego zapożyczyłem cytaty, przypomina, że zawartych w nich danych nie można stosować do plemion słowiańskich w tym samym czasie żyjących gdzieś nad Wartą. Grecy zetknęli się przecież z potomkami tych, którzy już w poprzednim stuleciu opuścili siedziby ojczyste i ruszyli w szeroki świat, za Karpaty. Inna rzecz wędrówka wojenna, inna ład odwiecznie osiadły, ustalony. Tamci, co zostali w ojcowiznie, musieli wieść życie lepsze, bardziej uporządkowane. Ale do jednych i drugich może się odnosić wiadomość, zanotowana przez Prokopiusza:

„Wierzą, że jest jeden bóg, władca gromu, panem nade wszystkim, i jemu ofiarują wołu i

wszelakie było poświęcone. Losu ani znają, ani zresztą dopuszczają, aby miał moc jakąkolwiek nad ludźmi, lecz gdy śmierć już im przed nogami grozi, czy to w chorobie, czy w walce, ślubują w razie wyjścia, że natychmiast za duszę bogu ofiarę uczynią, gdy wyjdą, ofiarują, co obiecali, i mniemają, że okupili zbawienie tą ofiarą...”

Wiary się łatwo nie odmienia, nawet w wędrowce. Pojęcia religijne wyniesione z ojcowizny nie mogły zanadto odgradzać Słowian od chrześcijaństwa, z jego nauką o jedynym Stwórcy oraz o Opatrzności. I - dodajmy jeszcze - pojęcia te wcale nie świadczyły o dzikości, były wcale dobrze wysublimowane. W dziedzinie wiary dawno ochrzczonych Bałkanów nie oddzielała od Słowian żadna nieprzebyta przepaść. Nikogo z nich nie trzeba było przekonywać o istnieniu życia pozagrobowego, powiada Józef Kostrzewski. Sami już u siebie w domu uznali je za dogmat.

Od początku VII wieku Słowianie poczynali sobie coraz śmielej, aż kronikarz hiszpański Izydor stwierdził zwięźle, że „zabrali Rzymianom Grecję”. Doszli do Dalmacji, zalali cały Bałkan, w 619 roku stanęli pod murami samego Konstantynopola. Na Morzu Egejskim pojawiły się ich statki korsarskie. Stare, pięknie rozwinięte miasta padały ich ofiarą, ale zdobywcy osiedlali się na gruzach czy w półrozwalinach, siłą rzeczy wchłaniając wiele umiejętności. Siedem ich plemion stworzyło związek o charakterze państwowym.

W tym samym stuleciu cesarze bizantyńscy oddali dzisiejszą Dobrudżę we władanie Bułgarom. Był to lud azjatyckiego pochodzenia. Do wędrówki na zachód skłonił go nacisk ze strony Chazarów. Dzisiaj tych pierwotnych Bułgarów zwie się dla odróżnienia i jasności Protobułgarami. Wynik akcji dziejowej, której byli uczestnikami, o wiele przerósł bowiem możliwości i znaczenie samego ich plemienia. Historia ocaliła jednak jego nazwę oraz... siedem luźnych wyrazów żyjących do dzisiaj w słowiańskiej mowie bułgarskiej.

W 681 roku chan Asparuch, zwany inaczej Isperichem, założył państwo poddając swej władzy Słowian wschodniobałkańskich. Był to oryginalny twór polityczny, powstały częścią z przymusu, częścią z porozumienia przybyszów z ludami czującymi się już tutaj jak u siebie w domu. „Szlachta” protobułgarska miała na razie przewagę nad słowiańską, ale ten stan rzeczy ulegał stałej przemianie w kierunku odwrotnym. Decydującą rolę odgrywał wyższy poziom kulturalny Słowian.

Pierwotna Bułgaria rozciągali się po obu brzegach Dunaju, jej południowe granice sięgały tylko do Starej Płaniny, Sofia leżała daleko od nich. Dopiero w 809 roku zdobył ją chan Krum, szukający dostępu do Morza Egejskiego. Ale miasto miało jeszcze bardzo długo

czekać na godność stolicy. Na razie Krum obronił swą zdobycz, w wyrazisty sposób okazał nawet współczesnym, jak niebezpiecznie jest zadzierać z nim, W nocy z 26 na 27 lipca 811 roku rozniósł wojsko bizantyńskie w wąwozie Virbica, głowę poległego cesarza Nikeforosa kazał wbić na pal i ustawić w miejscu widocznym, a potem zrobił sobie z czaszki puchar na wino.

W ówczesnym Konstantynopolu, czyli Rzymie wschodnim, bardzo popularny był zwyczaj karania przeciwników politycznych przez obcinanie nosów. Jeden z cesarzy przeszedł nawet do historii z przydomkiem Beznosego.

W 865 roku, za rządów Borysa I, Bułgaria przyjęła chrzest. Jakiś udział w tym akcie wzięli zapewne apostołowie Słowian Cyryl i Metody, którzy jednak dopiero nieco później mieli rozwinąć szerszą działalność. Chrzest Bułgarii przypadł na chwilę powstawania pierwszej schizmy kościelnej, której bohaterem był patriarcha wschodni Focjusz, człowiek wykształcony, przyjaciel św. Cyryla.

Decyzje i działania Borysa przyczyniły się nawet do dalszego popsucia stosunków pomiędzy Rzymem a Konstantynopolem. Zdolny i przewidujący chan doszedł wprawdzie do wniosku, że trzeba zmienić wiarę, ale wcale nie pragnął uzależnienia od Bizancjum. Toteż wydal poselstwo do papieża Mikołaja I, prosząc o duchownych łacińskich. Nie odmówiono mu i w Bułgarii zaraz zjawili się legaci z Rzymu.

Korespondencję pomiędzy chanem a papieżem zaliczają znawcy do najciekawszych dokumentów epoki. Borys postawił Rzymowi aż kilkadziesiąt pytań. Chciał wy badać stosunek zachodniego chrześcijaństwa do całego stylu życia kraju, którym rządził. Mikołaj I był człowiekiem o szerokich horyzontach, potrafił odróżniać rzeczy ważne od takich, które z punktu widzenia wiary znaczyły mato, wiele natomiast dla drugiej strony, czyli dla nawracanych. Rzecz tylko z pozoru śmiechu warta: Bizantyńczycy uznawali noszenie spodni za dowód dzikości i za obyczaj pogański. Rzymscy duchowni byli o wiele rozsądniejsi, czyli bardziej liberalni. Nie uważali przewrotu w dziedzinie ubraniowej za warunek niezbędny.

Z czasem cerkiew zaliczyła Borysa w poczet świętych. U schyłku życia złożył on władzę i wstąpił do klasztoru. Opuścił go jednak na wiadomość, że jego pierworodny i następca, Włodzimierz, porzucił chrześcijaństwo. Borys własnymi dłońmi oślepił winowajcę, wiarę przywrócił, a tron oddał drugiemu z synów, Symeonowi, którego historycy uważają za najwybitniejszego władcę Bułgarii.

Było to w roku 893. Niepodobna i nigdy nie można będzie powiedzieć, co się wtedy działo

w kraju Polan nad Wartą. W każdym razie rosło tam już państwo, o którym w piśmiennym świecie nikt ani słyszał.

Symeon Wielki ciężko dał się we znaki Konstantynopolowi. Stworzył niebywale ambitny program usunięcia cesarzy wschodniorzymskich i zastąpienia ich przez nowe, powszechne imperium słowiańskie. Uważał się bowiem za Słowianina, a chrześcijaninem był z głębokiego przekonania. Jako młodszy syn panującego przygotowywał się do stanu duchownego, a zainteresowania dla wiedzy wcale nie były mu obce. Kształcił się wraz z synami cesarskimi w Bizancjum i tam je znienawidził.

Pomysły objęcia spadku po Bizancjum przez Słowian trwały w Bułgarii, pojawiały się i w Serbii. Po wiekach, kiedy Konstantynopol wpadł w ręce Turków, przejęła je Moskwa i rozwinęła w słynnej teorii „trzeciego Rzymu”.

Ponieważ wspominam ciągle dwie stolice chrześcijaństwa, winienem przypomnieć i z naciskiem podkreślić, że mniemania o rozdzielającej je przepaści polegają na nieporozumieniu doprawdy żalnym. Spory religijne nie rozerwały świata, wspólnie dziedziczącego spadek antyczny. Nie sprawił tego ani Focjusz w wieku IX, ani legaci papiescy, którzy dnia 15 lipca 1054 roku złożyli na ołtarzu kościoła Hagia Sophia akt, wyklinający patriarchę Michała Keluriososa. Z wyjeżdżającymi nazajutrz do Rzymu cesarz zęgnął się grzecznie. Dopiero podbój turecki i jego skutki naprawdę oddzieliły Wschód od Zachodu.

Symeon Wielki nie raz jeden bezpośrednio zagrażał Konstantynopolowi, ale go nigdy nie zdobył, zmuszając jednak do opłacania pieniężnego haraczu. W 912 roku, pod murami stolicy, patriarcha ukoronował go, podnosząc do godności na wzór cesarskiej. Odtąd w historii Bułgarii oraz powszechnej pojawia się tytuł *c a r a*.

Nie byłem niestety w żadnej ze stolic Pierwszego Carstwa Bułgarskiego. Rolę tę pełniły kolejno miasta Pliska i Presław, położone na północnym wschodzie. Wiele można zrobić, korzystając z życzliwości gospodarzy, ale czasu rozciągnąć się nie da. Znam więc tamtejsze zabytki tylko z opisów, fotografii, a zwłaszcza z filmów, oglądanych w Łodzi. Kiedy mi je Biliński wtedy demonstrował, początkowo myślałem, że chodzi o rzymskie pamiątki w Bułgarii. Stolice chanów i carów to monumentalna kamienna architektura. Dziedzictwo po Trakach, Grekach i Rzymianach nie przypadło. Zostało podjęte, przyswojone twórczo.

W muzeum sofijskim oglądałem jednak zabytek z tamtych czasów, a mianowicie z X wieku. Parę razy powracałem do niego, bo mnie wzruszył. Była to płyta kamienna o

wyglądzie mocno sędziwym, pokryta pismem, cyrylicą. Głosiło ono, że „*Tuk leży Mosticz...*”, który piastował wysokie godności państwowe przy carach Symeonie Wielkim i Piotrze Łagodnym, a kiedy już ukończył osiemdziesiąty rok życia - „*stana monach i tako swrszi žiwota si*”.

Przypomniał mi się klasztor kamedułów na Bielanych pod Krakowem. W lochu służącym za cmentarz zakonników tablica z XVIII wieku opowiada, że tu oto spoczywają prochy ojca Pachomiusza, który przeżył na świecie lat osiemdziesiąt trzy, z tego w habitcie - trzy.

Napis na nagrobku Mosticza jest uważany za najstarszy w Słowiańszczyźnie.

Jeśli wspomnieć u nas o języku cerkiewnosłowiańskim, każdemu przyjdzie zaraz na myśl Wschód. Pomyłka w orientacji bardzo rażąca, trzeba bowiem patrzeć na Południe. Język ten to dialekt słowiański z bułgarsko-greckiego pogranicza, z okolicy Salonik, starożytnej Tessaloniki. I tam, a nie gdzie indziej utrwaliło go pióro, bo święci Cyryl i Metody, wynalazcy alfabetu słowiańskiego, pochodzili właśnie z Salonik.

Oto wywody Aleksandra Brücknera, dotyczące Rusi Kijowskiej, po jej chrzcie:

„Podobnie poniekąd jak w Polsce Czesi, tak na Rusi Bułgarzy, którzy od stu kilkunastu lat, wcześniej nawróceni dzięki Cyrylowi i Metodemu, literaturę cerkiewną w własnym utworzyli języku, służyli za pośredników między cerkwią grecką a ludem słowiańskim, i Ruś przyjęła wraz z greckim chrześcijaństwem bułgarski język pisemny i literaturę, zdobywając bez najmniejszego własnego wysiłku bogate jej zasoby. Wprawdzie odchyłał się język ruski znacznie od bułgarskiego, ale to nie wykluczało doraźnego zrozumienia, tym bardziej że język nabożeństwa wszędzie chętnie od pospolitego wyróżniano.”

Najwyższe w tym czasie, godne wielkiego szacunku zdobycze kulturalne Słowiańszczyzny osiągnęło jej wychodźstwo. Te plemiona, które zawędrowały na gleby dobrze już uprawione przez starożytnych. Ich materialny dorobek Słowianie niszczyli wprawdzie w sposób dotkliwy, zwłaszcza w pierwszym rozpędzi, ale nawet w trakcie tej czynności sami się przetwarzali, rośli.

Pierwsze Carstwo stworzyło wielką potęgę polityczną i snuło szerokie plany. To najmniej dziwne. Nietrudno w historii o przykłady światowładczych uroszczeń, głoszonych przez kulturalne prymitywy, doraźnie rozporządzające siłą. Sama Bułgaria miała w przyszłości paść ofiarą jednego z nich. Bardziej zastanawiają pomniki architektury, pozostawione przez Carstwo. Ale najcenniejsze zjawisko to rozwój literatury we własnym języku, którego szczyty przypadły na X stulecie.

Początki były dużo wcześniejsze. Już Borys I gościnnie przyjął u siebie wygnanych z Moraw uczniów Cyryla i Metodego, biegłych w piśmie: Nauma, Angelariego i Klemensa. Symeon, zanim został panującym, całe lata spędził w Bizancjum, gdzie dobrze nasiąkł subtelnościami kultury. Nic dziwnego, że jego stołeczny Presław stał się ośrodkiem całej szkoły literackiej. Historia przechowała nie tylko utwory, ale nawet nazwiska ówczesnych pisarzy bułgarskich: Hrabar, Joan Ekzarcha, Tudor Doksow, biskup Konstantyn z Presławia... Dzisiejsi historycy lubią cytować fragmenty *Szestodniewu* Ekzarchy, szczególnie od czasu kiedy archeologia potwierdziła jego prawdomówność. Okazało się bowiem, że opisy wspaniałości Presławia wcale nie grzeszyły przesadą.

Poezja, literatura religijna i prawnicza (także z czasem żywcem przeniesiona na Ruś Kijowską) - to wszystko mniej dziwi. Największa osobliwość polega - moim przynajmniej zdaniem - na tym, że ówcześni pisarze bułgarscy zdolni byli czynnie uczestniczyć w sporze teoretycznym, dotyczącym sprawy o znaczeniu powszechnym. Utrzymywał się wtedy pogląd, że tylko trzy języki - grecki, hebrajski i łacina - są godne pisma. Inne mowy, jako dialekty barbarzyńców, wykluczano od tego dostojenstwa. Przeciwno takiemu ujmowaniu sprawy występowała szkoła presławska, szczególnie Hrabar. Broniąc swych praw teoretycznie, stwarzano jednocześnie fakty dokonane, wkrótce pociągając za sobą Ruś.

Trzeba przyznać, że Kijów miał dobrego pośrednika na drodze do kultury. Brał z drugiej ręki, ale od takiego nauczyciela, który sam kształcił się u pierwszorzędnym mistrzów i potrafił otrzymane dobra rozwinąć na własnym gruncie w sposób całkiem oryginalny. Nie mam zamiaru w niczym obniżać znaczenia dobrodziejstw otrzymanych przez Polskę z Czech, którzy jednak stykali się zaledwie z Niemcami. Z Pragi do Rzymu o wiele dalej niż z Presławia do Bizancjum.

W uwadze powyższej nie ma ani cienia pretensji do naszej zadomowionej na ustroniu historii, która sięgnęła na Zachód, a nie na Południe lub Wschód. Pierwszy utwór literacki powstał w Polsce dopiero w stuleciu XII, a w dodatku napisany został przez bezimiennego cudzoziemca po łacinie. Wczesne fazy dziejów wysuniętych za Dunaj straży przednich Słowiańszczyzny wyglądały imponująco. Później wiele się zmieniło.

Historia Bułgarii to jedyny w swoim rodzaju temat dla pisarza. Aż dziwne, że nikt go dotąd nie wyzyskał. Przecież to się wszystko układa wedle klasycznych wzorów tragedii antycznej. Władcą sceny jest Los.

Ten naród dwukrotnie stwarzał dzieła wielkie, za każdym razem zakończone klęskami.

Dlaczego? Jeśli odpowiedź ma wyjaśnić, jak do owych katastrof doszło, udzielić jej można bez specjalnego trudu. Wystarczy nieco kronikarskiej fatygi. Ale jeżeli pytamy o sens wydarzenia - odpowiedzi właściwie nie ma.

Tak wypadło z rachunku sił, całkowicie obojętnych wobec wartości tego, co padło ofiarą.

Bizancjum nie pogodziło się z potęgą Bułgarii. Dopóki żył Symeon, słano doń listy „nie atramentem, lecz łzami pisane”, i podjudzano na niego Pieczyngów oraz Węgrów. Kiedy Carstwo osłabło, udało się Bizantyńczykom stworzyć mu naprawdę groźny drugi front. Wysłannik cesarza Nikefora Fokasa, za bajeczną, niewiarogodną sumę tysiąca pięciuset funtów złota, pozyskał Światosława kijowskiego.

Światosław uderzył na Bułgarię, zdobył w niej osiemdziesiąt osiedli, zwanych przez kronikarzy miastami, zamierzał nawet przenieść stolicę z Kijowa do Perejasławca, który prawdopodobnie leżał przy ujściu Dunaju. Zajął Filippopolis-Płowdiw i Macedonię. W późniejszej fazie wojny Bułgarzy szli razem z nim. „Pomagali Rusom z nienawiści do Romejów (Greków), ich bowiem czynili winnymi za najazd Rusów na swój kraj.” Cesarz Leon Tzimiskes pokonał ostatecznie Światosława, który stracił w wyprawach dwie trzecie wojska, a także korzyści, jakie w stosunku do Bizancjum osiągnął Kijów poprzednio. Zginął w roku 973 przy porożach Dnieprowych, zabity przez Pieczyngów.

Przejścia te i zatargi wewnętrzne osłabiły Bułgarię. Jak już wspominałem, na samym początku wybraliśmy się na wycieczkę do Macedonii i na pogranicze greckie. Zaraz za miastem Błagojewgrad wjeżdża się w dolinę Strumy. Po lewej ręce ma się masyw Pirinu, najwyższe wzniesienie w kraju. Szosa towarzyszy przełomowi rzeki przez łańcuch górski, wije się, wcięta w zbocza porośnięte lasem. Po drugiej stronie tor kolejowy nurkuje z jednego krótkiego tunelu w drugi. Wędrować tamtędy autem znaczy właściwie popełnić zbrodnię przeciwko Duchowi Świętemu. Widoki zmieniają się szybko, w oczach zostaje chaos urwisk, szczytów, zakrętów. I wcale nie słychać szumu Strumy i nie czuć, że brzegi pachną. Winno się tamtędy tylko chodzić.

Zapamiętałem ruinę zamku, ścianę raczej, którą wiek upodobnia do skały. Dziewięćset lat temu cała okolica była usiana fortcami Bułgarów i Bizantyńczyków. Gdzieś tutaj, w wąwozie Strumy, w miejscu zwanym wtedy Kimbalongos, czyli „drugim polem”, cesarz Bazyl II odniósł decydujące zwycięstwo. Wziął do niewoli piętnaście tysięcy wojowników bułgarskich i kazał wszystkim co do jednego powydziierać oczy. Potem puścił ich wolno, Widok pochodu ślepców przyprawił cara Samuela o apopleksję i śmierć. Stało się to w

październiku 1014 roku.

Jeszcze czterech lat potrzebował Bazyli II „Bułgaroktonos” na ostateczny podbój państwa. Dokonał go w roku 1018. Ostatni car, Jan Władysław, zginął w walce. Wprost z podbitego kraju ruszył Bułgarobójca do Aten, gdzie w starożytnym Partenonie, od dawna już przerobionym na kościół Matki Bożej, ofiarował bogate wota z cenności zdobytych podczas wojny. Miara to symbolizować triumf Grecji nad Słowiańszczyzną. Istotnie, siła stara, czcigodna wprawdzie, lecz kosztniejsza i zdegenerowana, odniosła zwycięstwo nad tworem młodym, który zadziwiająco szybko zdołał stopić w nową całość plemiona cackiem różnolite, nie tylko przejąć, ale i wytworzyć rozmaite wartości, nawet przekazać je dalej mieszkającym pobratymcom.

Na gruzach Cesarstwa Zachodniorzymskiego, w jego dawnych prowincjach, również powstawały nowe państwa. Budowały je ludy, których samo imię siało grozę. „Tą burzą, szarańczę czy gradem byli dziś Frankowie. O, Frankowie - dzicz najbardziej nienasycona, wiarołomna, niszczycielska... jasne zupełnie, że ci nie przyjmą nawet po wiekach wiary prawdziwej, światła rozumu czy prawa (tak mniemał Narses, najprzenikliwszy, może genialny mąż czasu, z niezachwianym przekonaniem).” Przytoczyłem fragment świetnej powieści Hanny Malewskiej *Przemija postać świata*, bo nie znam lepszego przykładu refleksji historycznej, nasyconej mądrą ironią.

Na Wschodzie stosunki ułożyły się inaczej. Tamtejsze imperium zdobywało się jeszcze na burzenie nowych tworów, powstających na lądzie Europy (z ludami azjatyckimi poradzić sobie już nie mogło). W X wieku, który dla Zachodu był dobą ponurego mroku, Carstwo Bułgarskie samo już stworzyło własną kulturę. Przetrwało wiek X tylko o osiemnaście lat.

Trudno wyrzec się przywileju oceny dawnych wypadków w świetle tego, co zaszło później. Taka metoda, nieprzydatna dla uczonego, droga jest literatowi, ponieważ pomaga ukazać dramat historii, a czasami nawet jej tragiczność. Wydaje się więc, że wszystko, co przeszkodziło krzepnięciu na Bałkanach nowej siły, źle wpłynęło na dzieje Europy. Ten podany ku Azji, wąziutką cieśniną oddzielony od niej półwysep naszego kontynentu, był czułym punktem. Mogąc się stać bastionem, odegrał w przyszłości rolę pomostu, którym wdarła się napaść. W chwili decydującej okazał się za słabo umocniony.

Bazyli Bułgarobójca był dziwnym, skomplikowanym człowiekiem. Potrafił łączyć potworne okrucieństwo ze swoistym liberalizmem. Podbiwszy Carstwo, nie tępił już Bułgarów, okazywał im pewną tolerancję. Takie postępowanie było czymś naturalnym u

polityka, który snuł plany złączenia pod swym berłem całego spadku po Rzymianach. Bazyli II z powodzeniem wyprawiał armie do Włocie, gdzie jakoby to wspierały je posiłki, przysłane poprzednio nad Bosfor przez... Bolesława Chrobrego.

Wiadomo powszechnie o współpracy Bolesława z Ottonem III, który zamierzał wskrzesić powszechne imperium. Ale Otto zmarł młodo, jego pomysły rozwiały się. Czyżby Chrobry naprawdę przestawił ster i związał się z tym mężem, który również dążył do odtworzenia powszechnego państwa - ze stolicą już nie w Rzymie, lecz w Bizancjum? Oszałamiające zagadnienie! W każdym razie jest pewne, że zajmwszy Kijów w roku 1018 słał stamtąd Bolesław do Bazylego listy z ofertami przyjaźni.

Data ostatecznej katastrofy Carstwa Bułgarskiego w naszych rocznikach oznacza sukces, który się nigdy nie miał powtórzyć i który w ogóle należy do zjawisk fenomenalnych: wygraną wojnę na dwa fronty. Od doraźnego ujęcia Kijowa znacznie ważniejsze było zwycięstwo nad Niemcami.

Bułgarobójca zmarł w tym samym roku co Chrobry, czyli w 1025. Zgodnie z jego wolą zwłoki pogrzebano w kościele przeznaczonym na pochówki niezamożnych pielgrzymów. Następców Bazylego nie stać już było na mądre postępowanie i Bułgaria doznała ucisku, zwłaszcza od kleru greckiego. batem 1040 roku wybuchło wielkie powstanie, początkowo uwieńczone znacznymi powodzeniami. W siedem lat później syn ostatniego cara, Aron, jako dowódca bizantyński, odniósł na Kaukazie duże zwycięstwo nad Turkiem Toghrul-Begiem, który rozciągał swe zwierzchnictwo nad przeważną częścią Iranu. Nie zahamowało to dalszych postępów Turków Seldżuków. W 1055 roku Toghrul-Beg zajął Bagdad. Bizancjum mogło się zdobywać na zdecydowane działania już tylko pod ręką takich jak Bazyli II. Po jego zgonie zaczęło znowu słabnąć. Siła zdolna je zastąpić i lepiej umocnić Bałkany istnieć przestała w roku 1018.

Zwycięstwo Bizancjum nad Bułgarią nie oznaczało przynajmniej tryumfu barbarzyństwa.

Szosa z Płowdiw do Asenowgradu biegnie krajem otwartym. Po prawej ręce ma się ciągle widok na równoległe pasmo Rodopów, porośnięte lasami. Pompatyczny zwrot podręcznikowy o „szacie roślinnej” zdaje się tutaj nabierać żywego sensu, bo bór naprawdę przylega do górniczym płaszcz. W mieście skręć w prawo i szosa wnika w gardło wąwozu Asenicy, przecinającej Rodopy w poprzek. Zagubiłem się w urokach krajobrazu bułgarskiego, nie wiem, któremu z przełomów dwu rzek - Strumy czy Asenicy - przypisać pierwszeństwo. Nauczani doświadczeniem, często żądaliśmy postojów. Aparat Wacława Bilińskiego nie

próżnował. Tutaj, w Rodopach, napotkać można kamienne mosty, które wysokim, zuchwałym łukiem od jednego zamachu przekraczają rzekę. Ludność zwie je rzymskimi. Omszale, dostępne trawom i kwiatom, pozbawione poręczy, wrosły w przyrodę brzegów.

Zaraz na początku, w samym prawie ujściu wąwozu, na bardzo wysokim cyplu wartuje nad rzeką Asenowa Krepost'. Nazwa jej pochodzi z XIII wieku, lecz fundamenty wrastają w IX. Z samej fortecy, która widywała i łacińskich krzyżowców, mało co zostało, za to nad podziw dobrze zachowały się ruiny cerkwi. Nawet łupkowe dachy trwają. Nie sposób się nasycić widokiem, na jaki pozwala wyniosłość. O parę kilometrów w lewo rzeka wypada z bramy górskiej, ściśnięta dotąd ścianami, wyzwala się nareszcie w położej dolinie Maricy. Przeskoki panoramy zmieniają rytm oddechu.

Dzięki wspomnianym postojom dość długo jechaliśmy wąwozem Asenicy i trudno mi uwierzyć twierdzeniu wydrukowanemu w przewodniku, że z Asenowgradu do baczkowskiego klasztoru jest niecałe dwanaście kilometrów.

Klasztor wita na bramie napisem: „*Błogosławien gradij wo imia Gospodnie*”, i jest na pewno o wiele mniej reprezentacyjny od słynnej Riły, której nie ominął chyba nikt zwiedzający Bułgarię. Tak samo jak tam dokładnie zamknięty czworobok gmachów monasteru żywymi frontonami obraca się ku wnętrzu, gdzie w punkcie centralnym stoją cerkwie. I one także żyją. Palą się świece, obok oparza mnich spowiada rosłego mężczyznę. Z góry spoglądają srogie oczy bizantyńskiego malowidła, ściemniałego od wieku.

Klasztor powstał w roku 1085, za dni cesarza Aleksego Komnena (dobrze znanego czytelnikom *Krzyżowców* Zofii Kossak). Założyli go dostojnicy dworscy, dwaj bracia Gruzini: Grzegorz i Apasij Bakkuriani. Jeszcze się przechowała pamiętająca ich budowla, przeznaczona początkowo na grobowiec fundatorów. Pochodzili z dalekich stron - liczne prądy kulturalne płynęły przez cesarstwo bizantyńskie - jednakże architektura wspomnianego gmachu zdradza wyraźnie wpływy miejscowe, bułgarskie. Młodsza nieco jest dziwna cerkiew Archaniołów Michała i Gabriela. Ocieniona cyprysem nie posiada w ogóle parteru, który zastępują potężne arkady. Do niej dobudowano później główną świątynię tutejszą.

Zaraz po założeniu klasztoru jęła się w nim rozwijać działalność pisarska. Oprócz utworów oryginalnych powstawały i przekłady klasyków. Okres panowania Bizancjum nie był jednak stracony dla kultury.

W Tyrnowie, nisko nad rzeką, w skromnym sadku owocowym stoją resztki cerkwi Św. Dymitra. Można tam zaglądać bez niczyjego pozwolenia, zboczywszy z szosy wjazdowej.

Spokój zakątka nastraja na ton sielski, nie zapowiada rzeczy wielkich. W tej cerkwi bojarzy Assen i Piotr, rodzeni bracia, ogłosili powstanie narodowe przeciwko Bizantyńczykom, tym razem uwieńczone powodzeniem.

Rok 1185 oglądał w Bizancjum rzeczy nawet jak na to miasto i na średniowiecze niezwykle. Zrzucony z tronu cesarz zakończył życie w cyrku, powieszony za nogi. Przedtem wyłupiono mu jedno oko i ucięto jedno ramię, wystawiając nieszczęśnika na szyderstwa motłochu. Klęsk przychodzących z zewnątrz też nie brakowało. Nieco wcześniej Normanowie wdarli się od strony morza do Salonik, gdzie sprawili niebywałą rzeź.

Po zwycięstwie pod Starą Zagorą powstańcy ogłosili niepodległość w roku 1186 i data ta stała się początkiem dziejów Drugiego Carstwa bułgarskiego.

Pierwszy władca, Assen, panował tylko dziesięć lat. Zgładził go bojar, niejaki Iwanko, dziedzic wspomnianej przed chwilą Asenowej Kreposti (która wtedy już istniała, ale nazywała się inaczej). Car Piotr przeżył brata tylko o rok. Zginął także z rąk skrytobójcy.

Bizantyńczycy, którzy tajemnie kierowali sprawcami, nie zrobili dobrego interesu. Iwanko porzucił ich sprawę, przeszedł na stronę Bułgarii i przyłączył do niej swe włości. Lecz jeszcze ważniejsze, że tron po zgładzonych carach odziedziczył trzeci brat, Jan - zwany inaczej Joannica albo Kalojan. Z wolnej i nieprzymuszonej woli przybrał on przydomek Grekobójcy (Rhomaïoktonos), a używanie go sumiennie uzasadnił. Oryginalną cechą jego programu politycznego była żądza odpłaty za dawne zbrodnie Bułgarobójcy. Znamienna cecha życiorysu Kalojana: podobnie jak kiedyś Symeon Wielki kształcił się on w Bizancjum, skąd nie wyniósł ciepłych uczuć dla wychowawców.

Nie ograniczał się do zemsty, plany i horyzonty miał zadziwiająco szerokie, potrafił włączyć się w poważny system polityczny. W 1201 roku wymusił na Bizancjum oficjalne uznanie niepodległości Bułgarii. A w roku 1204 odbyły się w Europie dwie koronacje, bardzo charakterystyczne ze względu na kraj pochodzenia pomazańców. W Rzymie papież Innocenty III namaścił Pedra II na monarchę Aragonii, a w Tyrnovie dnia 7 listopada legat papieski Leon de Santa-Croce ukoronował Kalojana na króla, patriarchę Basileiosa zaś uczynił prymasem Bułgarii. Zachowywała ona swój obrządek, lecz poddawała się zwierzchnictwu papieża, a więc przystępowała do Kościoła rzymskiego. Król bułgarski miał być odtąd lennikiem Stolicy Apostolskiej... zupełnie, ale to najzupełniej tak samo jak władcy Portugalii, Aragonii, Anglii oraz sam cesarz niemiecki.

Dla wyrazistości i lepszej perspektywy warto przypomnieć, że tytuł prymasa Polski datuje

się z roku 1418.

Pertraktacje trwały parę lat. Joannita zgodził się na wzmiankowane warunki, został uznany przez papieża królem, przez co stawał prawnie na równi z pozostałymi monarchami europejskimi, ale dla swych poddanych zachował tradycyjny tytuł *c a r a*. Musiał pojmować, że imponderabilia bardzo dużo ważą w społeczeństwie.

Innocenty III z zasady popierał poszczególne państwa narodowe, poddając je bezpośredniemu zwierzchnictwu Rzymu. Miało to doprowadzić do urzeczywistnienia teorii o pełnej władzy papieża nad światem chrześcijańskim. Car-król Joannica też wysoko mierzył. Pragnął uzyskać tytuł cesarza, a kościelną stolicę Bułgarii obdarzyć patriarchatem. Brak poparcia dla tych planów miał spowodować w przyszłości zerwanie z Rzymem. Ale stało się to już za panowania Jana Assena II.

Stosunki Kalojana z ludźmi Zachodu tworzą wyjątkowo urozmaicony obraz. Przyjaźni z siedzącym w Rzymie Innocentym towarzyszą - w jednym i tym samym czasie - zaciekle walki z takimi łacinnikami, którzy zawędrowali na Bałkany.

Tak zwana czwarta krucjata, wskutek machinacji weneckich i chciwości jej uczestników, posila - jak wiadomo - nie do Ziemi Świętej, lecz na chrześcijański Konstantynopol. „Gród strzeżony przez Boga” krzyżowcy zdobyli i potraktowali tak, że podobno Turcy w dwa i pół wieku później zachowali się jednak przyzwoiciej. Mamy w świeżej pamięci obrazy rzezi, skreślone przez Jerzego Andrzejewskiego w jego arcydziele *Bramy raj*.

Łacińskim cesarzem Wschodu został Baldwin, hrabia Flandrii. Obrano go, bo nic nie znaczył. Chodziło o usunięcie mocniejszych. Podczas koronacji ludzie mrużyli oczy przed blaskiem bijącym z szytych klejnotami szat pomazańca. Wkrótce potem, nie mając już pieniędzy, Baldwin zastawił Wenecjanom relikwię Korony Cierniowej. W trzydzieści pięć lat później król Francji, Ludwik IX Święty, wykupił ją, sprowadził do Paryża i wybudował dla niej Sainte-Chapelle.

Baśniowa koronacja odbyła się 16 maja 1204 roku. A w roku 1205 Bułgarzy na głowę rozbili pod Adrianopolem rycerstwo zachodnie i wzięli Baldwina do niewoli. Na własne nieszczęście usiłował on zaliczyć Kalojana do rzędu swych wasali i wdał się w wojnę.

Na skłonie wzgórza Carewicz w Tyrnowie, doskonale z dala widoczna, wznosi się wysoka czworograniasta wieża. Nie wiem, czy od początku miała sylwetę podobną do naszych, łacińskich, czy też odnowiono ją tylko w ten sposób. A może pewną rolę gra i sugestia. Według miejscowej legendy w tej baszcie, do dzisiaj zwanej jego imieniem, umarł Baldwin,

pierwszy łaciński cesarz Wschodu.

Podczas tych zamieszek łacinnicy zdradą opanowali Asenową Krepost'. Kilkunastu ich rycerzy wraz z nieliczną drużyną przez rok przeszło broniło się w twierdzy przeciwko Bułgarom, którzy dowiedli wszak pod Adrianopolem, że umieją walczyć. Odsiecz uwolniła obleżonych i dopiero wtedy Kalojan znowu opanował Krepost'. Była ona zupełnie nie do wzięcia szturmem, co i dziś jeszcze łatwo poznać - pomimo drogi, która tam wiedzie, a nawet parkingu.

Zupełnie to samo da się powiedzieć o Carewcu w Tyrnowie, czyli o wzgórzu, które stanowiło właściwą stolicę Drugiego Carstwa Bułgarskiego.

Bardzo oryginalne położenie ma to miasto. Oglądając zdjęcia można przypuszczać, że leży w górach, i każdy nieco sprytniejszy fotograf łatwo wyprowadzi widzów w pole. Bo w rzeczywistości Tyrnowo widnieje w zielonkawej połaci mapy, góruje nad poziomem morza o mizerne dwieście pięćdziesiąt metrów. Katowice są zatem bardziej wyżynne. Wszystko zawdzięcza się tu osobliwym poczynaniom rzeki Jantry, która wypływa z Tyrnowa w tym samym kierunku, z jakiego przy płynięciu, zrobiwszy w dodatku trzy malownicze pętle w samym mieście. Woda wypłukała, co tylko było miękkie, zostały skały. Z Carewca Jantra omal nie uczyniła wysepki. Pozostawiła przesmyk, który w dole ma ze sto metrów szerokości, ale w górze wygląda jak kamienny grzbiet. Tamtędy wiodła jedyna droga na Carewiec. W najwęższym miejscu wykuto w niej poprzeczną przepaść, zaopatrując wyrwę w bramę warowną oraz most zwodzony. Sztuczne umocnienia są tu tylko uzupełnieniem naturalnych. Kamienne mury przedłużają w górę urwiska skał.

Tyrnowo od dawna opuściło swe historyczne wzgórza-dzielnice, Carewiec i Trapezicę. Miasto lokuje się teraz na grzebieniu wyniosłości, którą w tutejszych warunkach chciałoby się nazwać łądem stałym, wybrzeżem. Stłoczone domy zdają się lepić do ziemi niczym gniazda jaskółcze, a większość z nich dochowuje wierności miejscowym tradycjom budownictwa - świeci białymi ścianami, które podkreśla jeszcze ciemny kolor belkowań. Zwykle, wszystkim dostępne i tanie restauracyjki mają terasy-balkony, skąd rozciągają się niebywale widoki. Na szczęście nowy, duży i luksusowy hotel wybudowano tak, że niczego nie psuje. I on także zapewnia swym lokatorom panoramy, dla których warto się budzić nawet o wschodzie słońca, kiedy z mgły sterczą tylko same szczyty Carewca, Trapezicy - no i te dalej położone krawędzie kotliny, gdzie pierwszą fortalicję wybudowali Rzymianie.

Takich urządzeń jak warszawskie Kamienne Schodki liczy Tyrnowo na tuziny. Stare

miasto miało właściwie tylko jedną ulicę, biegnącą samym grzebieniem, a poza tym mnóstwo przesmyków, wiodących w górę, w dół i gdzie tylko było potrzeba. Zainteresowało mnie, jak tu sobie ludzie radzą w zimie. Usłyszałem w odpowiedzi, że wystarczy trochę trocin, bo gołoledzi nic bywa. U nas nie można by tak uroczu miast lokować, bo obywatele łamaliby kręgosłupy. Za to u nas ostatnie solidne trzęsienie ziemi przytrafiło się za czasów Jana Długosza, kiedy runął w Krakowie dach kościoła Św. Katarzyny. Tutaj w 1911 roku z tej samej przyczyny kilkaset domów zamieniło się w gruzy.

Najwyższy punkt, sam szczyt Carewca, zajmowała w średniowieczu cerkiew i siedziba metropolity. Zamek monarszy był niżej. Taki podział miejsc może w dzisiejszym widzu wywoływać fałszywe wrażenie. W rzeczywistości rozstrzygnęły o nim pewnie same rozmiary zamku, któremu byłoby za ciasno na cyplu. Wawel bułgarski jest bowiem rozległy i tym różni się od polskiego, że stanowi ruinę. Zła historia ścięła mu wszystko, co wznosiło się wysoko. Ocalały potężne przyziemia, które kreślą dziś kamienny plan wnętrza. Mozolne prace archeologów odsłoniły to, co za tureckich rządów wchłonęła ziemia: więc mury zewnętrzne i skomplikowane, dobrze obmyślony system obronny bramy wjazdowej; imponujące resztki sali tronowej, uplanowanej na kształt bazyliki, zdobnej kiedyś kolumnami, marmurem, rzeźbą i malowidłem; cerkiew zamkową pod wezwaniem Św. Praskowii, a w niej grobowce panujących; wiele innych pomieszczeń, a wśród nich takie nadzwyczajności, jak olbrzymi zbiornik na wodę oraz tłocznię wina.

Ruiny na wzgórzu Carewiec stwarzają pojęcie o rozmachu i ambicjach monarchów bułgarskich. Jednakże pełne wyobrażenie o ówczesnej kulturze kraju da dopiero połączenie tutejszych widoków ze wspomnieniem o wnętrzu sławnej cerkwi w Bojanie, na samych przedmieściach Sofii. Przetrwały tam na ścianach malowidła będące arcydziełami. Twórcy pozostawali wierni surowym kanonom, lecz ożywili je. Świat otaczający wniknął w dziedzinę reguł sakralnych (których tylekroć potępiana sztywność nie przeszkodziła jednak powstaniu i przetrwaniu upokarzająco wielkiej sztuki bizantyńskiej). Tu, w Bojanie, owo przenikanie swojskiej świeckości wyraża się niekiedy w sposób wzruszająco prosty. Oto na stole *Ostatniej Wieczery* przed Chrystusem i apostołami leżą powszednie bułgarskie jarzyny. Znawcy twierdzą, że artysta nie zamknął oczu i na nowości przyniesione przez łacinników, od 1204 roku władających w Konstantynopolu. Widać zaciekały go ich ubiory i statki morskie, skoro odtworzył je na freskach. Ale najważniejsze są postacie ludzkie. Car Konstantyn Assen, carowa Irena oraz opiekunowie cerkwi to chyba na pewno portrety. Rysy konkretnych osób musiały się odbić i w wizerunkach świętych Pańskich, które żyją.

Podobny, może gorszy, a może jeszcze lepszy detal zdobić musiał ściany zamku na wzgórzu Carewicz.

Wykopalisk, które odsłoniły jego krasę, dokonano w czasach najświeższych. Poprzednio na sąsiedniej Trapezicy szukał pewien archeolog francuski, obdarzony przez cara Ferdynanda specjalnym pozwoleniem. Było to w początkach XX wieku. Trapezica dźwigała w średniowieczu siedemnaście cerkwi bojarskich, istniały tam domy mieszkalne i system obronny. Francuz ogrodził teren swej pracy szczelnym parkanem, a to, co wykopał, można dziś podziwiać, lecz w Luwrze.

Wiosna 1960 roku była w Bułgarii wyjątkowo późna, więc prace archeologiczne na Carewcu dopiero się zaczynały. Kierujący nimi Stefan Popow jak najpoważniej zatroszczył się o zaznajomienie nas z zabytkami Tyrnowa. Doraźnie przekazał swe obowiązki zastępcy i na dobre przyłączył się do naszej trójki. Z tej jego decyzji wynikła wyprawa do Nicopolis ad Istrum, odbyta nazajutrz, a także korzyści natury psychicznej, gdyż sposób bycia i sam nawet wygląd młodego badacza usposabiają optymistycznie.

Pokazał nam ruiny zamku, po czym powiódł gdzieś na zewnątrz murów, nie wyjaśniając - po co. Szliśmy ścieżkami jakby parku, aż pokazała się drewniana barierka, tablica na słupie, a dalej szara krawędź skały. Jeszcze dalej widniało już tylko powietrze i mocno odległe tło zbocza kotliny.

Zaszliśmy w miejsce, które się nazywa Łobnata Skała, po polsku: skała straceń. Zrzucano stąd w przepaść przestępców politycznych. Taka bułgarska Skała Tarpejska.

Z bocznych, nawet nieco wyżej położonych, lecz łagodniejszych wyniosłości był dobry widok na profil lekko przewieszzonego cypla. Zapragnąłem koniecznie mieć zdjęcie, ale w Bilińskim odezwał się sceptyk:

- Ta słuchaj, ja zrobię, ale nic z tego nie będzie. Tam trzeba postawić człowieka w charakterze skali. Pojmujesz?

Argumentacja była nieodparta, ale na samej Łobnatej Skale okazało się nieswojo. Te rozwichrzone, migocące liśćmi korony drzew w dole, ogromny widok w dolinę Jantry, a zwłaszcza wiatr, dmący akurat w plecy... Nie choruję na lęk przestrzeni, ale tutaj ona naprawdę ciągnie. Nie sposób odczepić się od natrętnej myśli o tym, co czuć musiał skrepowany powrozami człowiek, którego tu przywlekli.

Dzisiaj przepaść spłycała się do trzydziestu paru czy kilku metrów, bo puściły się drzewa i

stok podróśl. W średniowieczu liczyła podobno dziewięćdziesiąt.

W końcu XIII wieku zleciał z Łobnatej Skały patriarcha Joachim III. Został ukarany za spiskowanie z Tatarami, którzy na czas krótki zajęli wtedy Tyrnowo, a mianowicie z Nogajem - tym samym, co spalił Kraków, lecz Wawelu wziąć nie zdołał.

Wspólny wróg w postaci Tatarów nie był jedynym łącznikiem pomiędzy historią Bułgarii i Polski. Kiedy po unii z Litwą stanął Kraków wobec wielkiego problemu prawosławia, siłą faktu nabrali znaczenia ludzie z takiego państwa słowiańskiego, które od dawna wyznawało wschodnie chrześcijaństwo, lecz do Zachodu nie czuło odrazy. Znamienne, że w dziedzinie kontaktów z Bułgarami katolicki Kraków został znacznie wyprzedzony przez pogańskie jeszcze Wilno. Litwa liczyła około osiemdziesięciu procent ludności prawosławnej.

W 1352 roku na tronie cerkiewnym w Kijowie zasiadł niejaki Teodoryt, wyświęcony na metropolitę „całej Rusi”. Było to sprzeczne z interesami Moskwy, a bardzo pożyteczne dla Litwy, której władca - Olgierd - głosił, że „cała Ruś winna po prostu do Litwinów należeć”. Teodoryt otrzymał godność od patriarchy z Tyrnowa. Jak widać, poganin Olgierd znalazł ówczesne spory cerkiewne i rozłamy pomiędzy Bułgarią a Bizancjum, gdzie stanowczo przeważał wpływ Moskwy, a zwłaszcza jej złota. W dwa lata później Bizancjum wyznaczyło na metropolitę całej Rusi Aleksego, doradcę trzech po kolei wielkich książąt moskiewskich, budowniczego pierwszego muru ceglanego wokół Kremla (przodka znanego pamiętnikarza i generała radzieckiego, Ignatjewa). Teodoryt przegrał, aczkolwiek kijowianie go popierali.

Rok 1375 - kiedy na unię jeszcze się nie zanosilo, a Kiejstut szykował wielki najazd na Polskę - zdawał się zapowiadać Litwie zdecydowany sukces. Metropolita Kijowa i całej Rusi został sławny Kiprian, rodowity Bułgar z Tyrnowa. Po bitwie na Kulikowym Polu, gdzie Moskwa rozgromiła sprzymierzonych z Litwą Tatarów Mamaja, zmienił on front i w dniu 3 maja 1381 roku przybył na Kreml. Dymitr Doński powitał go radośnie, kazał bić w dzwony wszystkich cerkwi.

Usiłowania, rozpoczęte przez Litwę na własny rachunek, przed unią, trwały i po jej zawarciu, wciągając teraz w pogmatwane sprawy Wschodu także i Polskę. W 1418 roku Władysław Jagiełło wysłał do Konstancji, na sobór Kościoła katolickiego, metropolitę kijowskiego Grzegorza Camblaka, którego otaczał świetny orszak. Zapowiadało to próbę zbliżenia obu wyznań, podnosiło w oczach Zachodu znaczenie króla Polski i w jednej osobie najwyższego księcia Litwy. Wschód patrzył na te sprawy inaczej. Camblaka obrał synod biskupów prawosławnych, mających siedziby w granicach Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Patriarcha bizantyński natychmiast wyklął metropolitę.

Grzegorz Camblak był także Bułgarem i również pochodził z Tyrnowa.

W stolicy Bułgarii, w licznych klasztorach rozsianych pod miastem, mieścił się poważny ośrodek pracy umysłowej. Wychodzili stamtąd wybitni działacze cerkiewni, pisarze. Wyniesienie Kipriana oraz Camblaka niezbicie świadczy ~ roli, jaką ówczesna Bułgaria odgrywała we wschodnim chrześcijaństwie. Godność metropolity kijowskiego oznaczała bardzo wiele. Krzyżacy twierdzili, że w osobie Camblaka „Witold wyniósł i obrał ruskiego papieża lub, jak go zowią, patriarchę na Litwie i zamierza zmusić Moskwicinów, Nowogrodzian, Pskowian, słowem wszystkie ruskie kraje, do posłuszeństwa temu patriarsi”. Takiego stanowiska nie można było powierzać byle komu.

Grzegorz Camblak był moralnym pogrobowcem. Przepych, z jakim wystąpił w Konstancji, zwrócił nań uwagę Zachodu. Pędzle tamtejszych malarzy uwieczniły postać metropolity, który podczas soboru katolickiego odprawiał greckie nabożeństwa. Ale pomyślność jego własnej ojczyzny już przed ćwierćwieczem zapadła w niepowrotną przeszłość. Camblak był uczniem Eutymiusza, ostatniego patriarchy niepodległej Bułgarii. Poświęcił pamięci mistrza utwór: *Pochwalno słowo za patriarch Jewtimij Tyrnowski*.

Eutymiusz umarł na zesłaniu, w klasztorze Baczkowo. Katastrofa nie załamała go widać, skoro zaraz po przybyciu wznowił dawne, literacko-naukowe tradycje monasteru. Zasługujące na cześć największą usiłowania nie mogły jednak odmienić tego, co już się stało. Noc, która zapadła nad Bułgarią, miała trwać pięć stuleci.

Nie bez racji uważamy dzieje Polski za tragiczne. Okres, w którym nie istniała żadna forma naszej państwowości, ciągnął się najpierw przez dwanaście lat (1795-1807), a potem znacznie dłużej, bo osiemdziesiąt siedem (1831-1918). Zwracam uwagę, że pominąłem w tym wyliczeniu Rzeczpospolitą Krakowską oraz erę autonomiczną Galicji. Niektórym narodom powiodło się jednak o wiele gorzej.

Szczyt pomyślności Drugiego Carstwa bułgarskiego przypadł na czasy Jana Assena II (1218-1241). Nastąpiło wtedy zerwanie z Rzymem i ustanowienie odrębnego patriarchatu w Tyrnowie. Potem przyszła doba kryzysu, walk wewnętrznych, nawet podziału dzielnicowego państwa - zjawiska ujemne, lecz w niczym nie przekraczające normalnej miary europejskiego średniowiecza. Zresztą... wspaniale freski w Bojanie pochodzą właśnie z tej politycznie niezbyt błyszczącej epoki. Powstały w roku 1259. Osłabieniu Bułgarii towarzyszył w czasie duży wzrost znaczenia sąsiedniej Serbii, której potęga też się jednak umniejszała po śmierci

sławnego cara Stefana Duszana.

Katastrofa Bałkanów wynikała z przyczyn zewnętrznych. Domowe przesilenia tamtejszych państw słowiańskich nie odegrały roli decydującej. To tylko zbieg okoliczności, że przypadły na fatalny termin. Takie same sprawy, odbywające się w łaskawiej ułożonych regionach Europy, uchodziły na sucho.

W 1337 roku Turcy osmańscy po raz pierwszy pojawili się po europejskiej stronie cieśnin. Zostali wezwani przez Jana VI Kantakuzena, który walczył z Janem V Paleologiem o tron w Bizancjum. Osobliwe to było posunięcie polityczne. Turcy znajdowali się wtedy właściwie na dorobku. Organizator potęgi tego szczepu, Osman, zmarł w roku 1326. Zdążyli już jednak mocno uszczuplić Cesarstwo Wschodnie od strony jego azjatyckiej połaci. Zdobyli Bruszę, Nikomedię, Nikeę, podeszli pod sam Konstantynopol. Zaproszono ich dalej, a wkrótce ślepy przypadek wzmógł skutki ludzkiej głupoty, ożenionej z żądzą władzy. W marcu 1354 roku wielkie trzęsienie ziemi zburzyło Gallipoli. Mieszkańcy opuścili gruzy, dokąd natychmiast i na dobre wprowadzili się Turcy. Dokładnie w tym samym roku objął nad nimi władzę Murad I, wódz i zdobywca nie lada jaki.

Potem szło już szybko, a echa wypadków słychać było w odległych krajach Europy. Przecież pozoru do głośnego zjazdu monarchów w Krakowie oraz do uczty Wierzyrkowej - dostarczyły zabiegi króla Cypru o pomoc. Było to w roku 1364. Murad I oderwał od Bułgarii Adrianopol i Płowdiw. W muzeum miejscowym ciąg wystawowy kończy się w sposób wstrząsająco treściwy. Akcent finałowy to pokryty arabeskami medalion, podobny do stylizowanego kwiatu. Jest to pieczęć-podpis jednego z sułtanów: „Muhamed chan, syn Abdul-Hamida I, zawsze zwycięzca, sprawiedliwy.”

Murad I zginął w słynnej bitwie na Kosowym Polu, która odbyła się dnia 15 czerwca 1389 roku i przyniosła kres niepodległości Serbii. Wzięty do niewoli car tej ostatniej, Łazarz, został ścięty wraz z innymi jeńcami. Tron turecki objął Bajazet I. Zaczął rządy od zabójstwa brata, a skończył żywot w żelaznej klatce Tamerlana. Zamknięty tam musiał patrzeć, jak „wielki zdobywca Azji” gwałci mu żonę i córkę. Od tej pory żaden sułtan turecki nie miał koronowanej małżonki.

Bajazet I podbił resztki Bułgarii. Carewiec padł w roku 1393, wzięty zdradą. Rządy tureckie od razu nabrały charakteru doskonale pasującego do wzmiankowanych rozpraw Azjatów między sobą.

Podbój Bałkanów i śmiertelne już zagrożenie okrążonego zewsząd Konstantynopola

wywarły jednak wrażenie na Zachodzie. W 1396 roku Zygmunt Luksemburczyk, król niemiecki, czeski i węgierski, a w przyszłości cesarz, powołał przeciwko Turkom duże wojsko. Oprócz wspomnianych narodowości służyli w nim Francuzi, Burgundczycy i Polacy. Dnia 28 września Bajazet rozbił ich wszystkich pod Nikopolem.

Ten Nikopol nie ma nic wspólnego z Nicopolis koło Tyrnowa. Leży nad samym Dunajem, na prawym brzegu, i oglądaliśmy go z pokładu statku. Patrząc na bardzo szeroką i głęboką rzekę rozmyślałem o wydarzeniu skrzętnie opisanym przez Długosza: W chwili klęski Zygmunt i część rycerstwa schronili się na barki, które zawiozły ich aż do Konstantynopola. Nie było względów dla mniej szczęśliwych, spóźnionych - odrąbywano czepiające się burt dłonie. Widząc to, rycerz polski z ziemi sieradzkiej - Świętosław herbu Łada i z dziwnym przydomkiem Szczenię - poradził sobie inaczej. Tak jak był, w pełnej zbroi i z mieczem, „zaufany w swej sile i odwadze”, wparł w wodę zakutego w żelazo wierzchowca „i przez wrzące wiry bystrej i szerokiej w tym miejscu rzeki przepłynąwszy, życie swoje ocalił”. Koń musiał być nielichy, jeździec także. (Nawiasem mówiąc, ten szczegół może dopomóc do wyjaśnienia nie wiadomo czemu zapomnianej zagadki: w czternaście lat później, pod Grunwaldem, poległo zaledwie dwunastu wybitniejszych rycerzy polskich, aczkolwiek wszyscy uczestniczyli w najgorętszym boju jako przedchorągiewni. W starciach ówczesnych, polegających na walce wręcz, ginęli słabsi, mniej odporni).

Kolejna próba wyzwolenia wiąże się nie tylko z nazwiskami polskich ochotników, lecz z imieniem króla. Popularny, w wielu językach rozpowszechniany przewodnik bułgarski opowiada: „Pięćdziesiąt lat później [od chwili zdobycia Warny przez Turków] padł w bitwie w pobliżu miasta król polski Władysław III Warneńczyk, który na czele swego wojska chciał oswobodzić ujarzmionych braci słowiańskich.” Nie spierajmy się w tej chwili o ocenę celów, jakie przyświecały właściwemu kierownikowi ówczesnej polityki polskiej, kardynałowi Oleśnickiemu. Klęska pod Warną zasłoniła inne rzeczy. Wyprawa Władysława, odbyta w zimie 1443-1444 roku, wyzwoliła Sofię i chociaż nie sięgnęła Adrianopola, to jednak przyniosła kilka poważnych zwycięstw i chwilę nadziei krajowi. Potomnym pokoleniom jego mieszkańców przyszło długo czekać na drugą podobną.

W 1440 roku Turcy oblegali dzielnie broniony Belgrad. Chcąc skłonić załogę do kapitulacji, puszczali na twierdzę ucepione do strzał proklamacje, których tekst był napisany w języku bułgarskim. Propaganda nie odnosiła skutku. Kartki owe „Władysławowi królowi wiernie odsyłano” - zapewnia Długosz. Musiały budzić żywy oddźwięk w sercu szesnastoletniego chłopca, który z natury był zapalczywy i skłonny do szlachetnych

odruchów.

Tak więc historia niepodległego państwa bułgarskiego, rozpoczęta w wieku VII, przzerwana na początku XI i wznowiona u schyłku XII, nie doścignęła końcowej granicy XIV stulecia.

Trudno nie powrócić do tematu już poprzednio z lekka potrąconego. Na południowo-wschodnim krańcu Europy rozpoczął się, lecz niedostatecznie rozwinął, ten sam proces, który przyniósł błogosławione skutki Zachodowi. I tu, i tam w prowincjach dawnego Imperium Rzymskiego umościłi się i zaczęli zakładać własne państwa barbarzyńcy. Tamci w Italii, Galii i Germanii działali w lepszych warunkach. Cesarstwo Zachodnie tak dalece osłabło, że upadło - czyli zostało złuzowane, zastąpione przez takich, co wbrew wszystkim początkowym pozorom okazali się godnymi spadkobiercami. Sam tytuł cesarza rzymskiego wznowił król Franków, dziczy, której poczynania parę wieków wcześniej skłaniały mądrego Narsesa do skrajnego pesymizmu. Carowie Bułgarscy wcześniej zapragnęli przejąć tytuły oraz władzę imperatorów Wschodu. A więc i tutaj świeża siła gotowa była do zastąpienia starej, bardzo czcigodnej, ale już nieuleczalnie chorej na sklerozę. W dodatku ci wschodni barbarzyńcy okazali się nader pojętymi uczniami. Chłonęli kulturę antyczną i szybko wzbogacali ją o talkiem nowe wartości.

Obawiając się podejrzenia o stronnictwo, posłużę się teraz cytatem. Pisze Christopher Dawson w książce *Religia a powstanie kultury zachodniej*: „Za panowania wielkiego cara Symeona (893-927), który ustanowił niezależny patriarchat bułgarski, nowa rodzima kultura osiągnęła rychło dojrzałość podobną do kultury anglosaskiej Nortumbrii sprzed dwóch wieków. Znaczenie jej było nawet większe niż tej ostatniej, ponieważ język starosłowiański, będący językiem nowej kultury słowiańskiej, miał się stać świętym językiem liturgii na wschodzie Europy, zwłaszcza w Rosji.”

Nie powiodło się na Wschodzie. Bizancjum zachowało dosyć mocy, by systematycznie upuszczać krew nowej sile, nawet na dwa stulecia załamać jej polityczny wytwór. W decydujących chwilach XIV wieku granica Europy nad cieśninami była obsadzona rozpaczliwie słabo. Tu się nie powtórzyło żadne Tours i Poitiers, gdzie frankoński Karol Młot rozbił Arabów.

Uroczę *Sylwetki rzymskie* Stanisława Łosia opowiadają w tonie pogodnej melancholii o tym, jak w stary organizm Zachodu wsiąkały młode soki: „Za czasów Sydoniusza (V wiek) barbarzyńcy nie tylko uparcie powracali, ale w ogóle nie chcieli się z cesarskich prowincji wyprowadzić. Nikt zresztą nie upierał się, by ich do tego przymusić. Jednych tylko Hunów

wyparto z mieczem w rękę, płacąc zwycięstwo hojnie rozlaną krwią wizygockich sojuszników. Wszystkich innych najeźdźców przyjęto w granice cesarstwa, wyznaczając im siedziby pod gościnnym niebem Hiszpanii i Galii. Germańskie ludyszcza obdarzono pięknie brzmiącą nazwą gości (*hospites*) i sojuszników (*foederati*), kacykom zaś ich przyznano tytuł królewski (*reges*), a ponadto przyozdobiono ich w godność obywateli rzymskich i rzymskich generałów (*magistri militum*). W ten sposób dawni obywatele cesarstwa mogli bez urażenia swych niezbyt gwałtownych uczuć przyjmować u siebie germańskich dowódców. Ludność niższych stanów witała barbarzyńców - o ile nie przychodzili jako otwarci wrogowie - bez wielkiej niechęci. Ubodzy, włóczędzy i wszelkiego autoramentu ludzie bezpańscy zbiegali się pod znaki germańskich królików, pod którymi można było pożywić się, coś zrabować i coś ukraść...”

Żyjący w V stuleciu Sylvianus, chrześcijanin i kapłan, pisał swe dzieło *O Opatrzności Bożej z pasją człowieka uwikłanego w przedstawiane piórem wypadki*. Mówił więc o pospółstwie imperium: „Nie mogąc znieść u Rzymian dzikiego okrucieństwa, szukają rzymskiej łagodności u barbarzyńców. A chociaż różnią się zwyczajami i językiem od tych, u których szukają schronienia, chociaż razi ich, że tak powiem, sam odór barbarzyńskiego ciała i odzieży, wolą się jednak pogodzić z obcym sobie sposobem życia niż znosić ze strony Rzymian dzikie bezprawie.

Raz po raz udają się więc czy to do Gotów... czy do innych państw barbarzyńskich i nie żałują swej ucieczki. Wolą bowiem jako jeńcy pędzić życie swobodne niż pod pozorem wolności cierpieć niewolę.”

Przypomnijmy sobie, co cesarz Maurycjusz pisał o naddunajskich Słowianach, którzy traktowali brańców choć trochę po ludzku. Ani Germanowie, ani Słowianie nie znali takiej instytucji niewoli, jaka plamiła świat starożytny.

Powróćmy jeszcze do cytatu z książki Stanisława Łosia. Sydoniusz, biskup Clermont i poeta, miewał kłopoty, gdyż „co wieczór ściany pałacu trzęsły się od grzmotu germańskich pieśni, wysławiających bohaterów Walhalli czy może zalety francuskiego (jesteśmy w Galii) wina; tego nikt wiedzieć nie mógł, bo nikt przecie nie rozumiał tych gardlanych dźwięków”.

„I tak oto, proszę państwa, Imperium Rzymskie przestało istnieć” - powiada u Dürrenmatta Romulus Wielki.

Ale Odoaker, król Herulów, wyznaczwszy ostatniemu cesarzowi rzymskiemu znaczną rentę na utrzymanie, jego insygnia odesłał do Konstantynopola-Bizancjum. Gest

barbarzyńskiego władcy podkreślał, że na Wschodzie jeszcze się nie miało „pod koniec starożytnemu światu”. On tam jeszcze długo trwał.

Istnieje malowidło bizantyńskie, przedstawiające tryumf Bazylego II nad Bułgarami. O wydzieraniu oczu niczego się stamtąd nie dowiemy. Ogromny, siwobrody, wspaniale i poważnie ubrany cesarz stoi na złotym podnóżku. Ręka jednego anioła pomaga mu dźwigać koronę, dłoń drugiego czyni toż samo z włócznią. Aureola otaczająca skronie imperatora jest zupełnie podobna do anielskich. Wyżej, w złocistej, Chrystus. Po bokach święci. U stóp Bazylego, obutych w purpurowe haftowane skórznie, czołga się ośmiu wodzów bułgarskich.

Wszystko to zupełnie nie opłaciło się Europie, dziejom jej kultury. O Cesarstwie Zachodniorzymskim, lecz tylko o nim, można powiedzieć to samo, co polski kronikarz rzekł o jednym z naszych królów: „że dogodnie i według czasu ze świata ustąpił”.

Sądzę, że rozprawianie o czyjejkolwiek winie lub odpowiedzialności byłoby czynnością bardzo śmieszną. Taki był wynik układu i wzajemnych stosunków sił, działających w przeciągu długich stuleci. W fizyce z reguły mówi się o linii wypadkowej, której ostateczny kierunek zależy od wszystkich będących w ruchu i częściowo znoszących się nawzajem czynników, wektorów. Pojęcie wypadkowej można przenieść i do rozważań o dziejach.

Nic z góry nie rozstrzygało, jak w przyszłości potoczą się losy Carstwa bułgarskiego, utwierdzonego w stuleciu VII. Turcy wygrali w wieku XIV, bo byli silniejsi. Nie przynosili niczego, co by w dziedzinie gospodarki, sił wytwórczych, ustroju społecznego lub kultury przewyższało poziom Europy. Kryteria postępowości były przeciwko nim, co jednak nie przeszkodziło sułtanom zająć pod Wiedeń, do granic Polski, ujarzmić liczne narody i gnieść je przez kilka stuleci.

Przepaska, którą nosi na oczach posąg bogini sprawiedliwości, doskonale by pasowała i do wizerunku muzy historii. Może nawet byłaby bardziej na miejscu. Sprawiedliwość nie patrzy wprawdzie na podsądnych, ale myśli o nich. Historia i tego nie potrafi.

Temat oraz chronologia dostarczają okazji do przyjrzenia się ogólnej panoramie państw słowiańskich. Za punkt wyjścia przyjmijmy wiek X, kiedy to łaciński, germański i arabski Zachód zauważył istnienie monarchii, o której nikt piśmienny przedtem nie słyszał - Polski. W tym czasie dorobek Słowiańszczyzny przedstawiał się bardzo ciekawie, jeśli nie imponująco. Mija już ćwierćwiecze od chwili, kiedy to Józef Kisielewski sprawił oszałamiające wrażenie, przypominając ogółowi, że na Czechach i Polsce zachodnia Słowiańszczyzna wcale się nie kończyła. Za Odrą siedziała cała plejada plemion,

posiadających dwa poważne związki polityczne w postaci federacji Obodrzyców i Wioletów, zwanych także Lucicami i Wilkami. Mniej wiemy o grupie łużyckiej, która jednak już w IX stuleciu stworzyła nad Sałą księstwo, a sięgała do dzisiejszej Norymbergi i Magdeburga. O sprawach Południa mówiło się tutaj dość obszernie, jeśli chodzi o Bułgarów. Serbii i Chorwacji należałoby poświęcić co najmniej takiż szkic. Na wschodzie był Kijów, o którego świętości biskup merseburski Thietmar wyśpiewywał hymny pochwalne. Ruś ówczesna tworzyła nadzwyczajnie urozmaicony obraz. Składała się z mnóstwa pomniejszych, prężnych, żywotnych organizmów, pozostających w pewnej, wedle naszych obecnych pojęć, wcale luźnej zależności od Kijowa.

Wczesne średniowiecze było dla Słowiańszczyzny łaskawe. Samo bogactwo jej politycznych struktur zdawało się zapowiadać rzeczy piękne. Ta mozaika ludzka dobrze przylegała do ogromnego obszaru ziemi, zdolna była rozwinąć naturalne właściwości regionów. Była zjawiskiem jak najbardziej podobnym do objawów, o których chętnie a wymownie opowie nam każda mapa ówczesnego Zachodu. I tam także właściwa domena królów Francji obejmowała Paryż i Orlean z najbliższymi przyległościami, a reszta państwa podlegała monarsze w sposób zupełnie względny.

A teraz schyłek XIV wieku, chwila, która przyniosła niemal jednoczesną zagładę państwom Serbów i Bułgarów. W całej rzeszy słowiańskiej jedna tylko stolica zachowała pełną suwerenność i własne oblicze. Był nią Kraków.

Miał on wtedy przed sobą wielką i swobodną przyszłość. Nic nie zapowiadało jeszcze katastrofy, która nastąpiła po upływie czterech dalszych stuleci. Do ambitnych zadań szykowała się również Moskwa, posiadająca już program Iwana Kality „zbierania ziemi ruskiej”, lecz jeszcze nie przeczuwająca „trzeciego Rzymu”. W czasie, o którym mowa, Kreml był nadal zależny od Tatarów. Zwycięstwo na Kulikowym Polu miało ogromne znaczenie dla przyszłości, ale na razie stanu rzeczy nie zmieniło. Wkrótce po tej bitwie chan Tochtamysz zajął i spalił samą Moskwę. Jutro jej stało ciągle pod znakiem zapytania. Po bitwie grunwaldzkiej i po pokoju melneńskim zacząć się miał na Wschodzie okres zdecydowanej i jak się mogło wydawać, ostatecznej przewagi Litwy.

Od kilkudziesięciu lat nie istniała już dynastia ruskich książąt halickich, która zachowała najwięcej niezależności od Ordy, a zesłała ze świata zgładzona przez tatarsko-bojarską spółkę. Ziemie jej zajął Kazimierz Wielki, nie chcąc wpuścić chana, Litwy ani Węgrów nad Wisłok, pod sam bok Krakowa. Poprzednio dynastia ta - Romanowicze - wyrastała w oparciu o Polskę, w 1253 roku wzięła od papieża tytuł królewski, wyraźnie tworzyła drugi ruski

ośrodek krystalizacyjny. Była bezpośrednią spadkobierczynią tradycji Kijowa.

Z jednej strony Tatarzy, a z drugiej Litwa zniwelowali Ruś. Zamiast dawnego bogactwa tworów politycznych, na wielkiej przestrzeni nastąpiła właściwie pustka. O panowanie nad nią toczyła się już śmiertelna walka pomiędzy Moskwą a Wilnem, gdzie językiem urzędowym od dawna była mowa ruska. Innych poważnych ośrodków politycznych na całym tym ogromnym obszarze nie było, bo Wielki Nowogród i Psków lawirowały, troszcząc się jedynie o swe kupieckie interesy.

Kraków osamotniał w Słowiańszczyźnie. Istniało wówczas królestwo Izeskie, ale trudno mówić o jego zupełnej suwerenności, skoro władał nim Zygmunt Luksemburczyk, a niemieckie było wszystko, co górowało wśród kleru, szlachty i mieszczaństwa. W kraju dojrzał husytyzm, który był w równej mierze rewolucją socjalną, co powstaniem narodowym. W przyszłości, pod rządami Jerzego z Podiebradu i Władysława Jagiellończyka, Czechy miały jeszcze odzyskać niepodległość, ale mimo wszystko to już było dogorywanie, Praga nie wyszła z rąk Habsburgów - aż do roku 1918. Książęta zachodniopomorscy również tylko wegetowali. Obodrzyci i Wieleci zaliczali się do wspomnień.

Jeśli chodzi o suwerenność, najbardziej w tym względzie podobne do Krakowa, najbardziej wolne były wtedy dwie stolice mazowieckie - Warszawa i Płock. Rządzili nimi rodzeni, lecz zupełnie do siebie niepodobni bracia Janusz I i Ziemowit IV. Ten ostatni - jak się wydaje, polityk wyjątkowych zdolności - przed niedawnym czasem odegrał był bardzo poważną rolę. Omal ponownie nie wprowadził na polski tron dynastii Piastów - w swojej własnej osobie. W niewiele lat później miał wystąpić pod Grunwald syna i wojsko, lecz sam pozostać w domu. Zabezpieczał się na wypadek przegranej Jagiełły, uchylał zapasową furtkę. I opłaciło mu się. Polska zwyciężyła pod Grunwaldem i terytorialnie nic nie zyskała, a on otrzymał ziemię zawkrzańską. Prowadził politykę mazowiecką, był panem w znacznej mierze niezależnym. Liczył się z polską radą koronną, która mówiła tym samym językiem co on. Żadnym Niemcom, Turkom ani Tatarom się nie kłaniał.

I tak oto, proszę państwa, u schyłku XIV wieku, z wyjątkiem Krakowa i Warszawy, wszystkie inne stolice słowiańskie miały czego zazdrościć Płockowi.

Wcale tu nie chodzi o same tylko przywileje dla dynastów. Mazowszanie blisko z Polską współżyli, lecz jeszcze ani myśleli uważać się za Polaków. W zabawny sposób zaświadczył o tym rok 1503, kiedy Warszawa zatrzasnęła bramy przed posłami króla polskiego Aleksandra, a zgromadzony na murach lud miotał ciężkie obelgi na głowy wstrętnych Polaków. Czyniąc

to posługiwał się jedyną mową, jaką znał. Łajał po polsku. Warszawa miała mniej niemieckiego patrycjatu niż jakiegokolwiek inne miasto na ziemiach piastowskich. Pod względem krwi była zawsze najbardziej polska. W tym zakątku Słowiańszczyzny typowe dla średniowiecza zamiłowanie do regionalizmu przetrwało bardzo długo. Skutki okazały się jak najlepsze. Gdzie indziej samorodną różnorodność zgmiotła siła obca.

Zachodnich Słowian poszczerbili, ujarzmili lub całkiem wytepełili Niemcy. Moralna ocena ich działań nie podlega dyskusji, ale jedno trzeba uczciwie przyznać: Germanowie nie wyjaławiali ziemi, którą zdobyli mieczem. Na zdobytym przez Tatarów i Turków Wschodzie było całkiem inaczej, wręcz przeciwnie.

Znowu wypływa kwestia odpowiedzialności za to, co się stało. Na ogół ludzie mają zadziwiającą skłonność do roztrząsania sumienia temu, komu się nie powiodło. Bardzo łatwo w starszej, nowszej i najnowszej literaturze odnaleźć narzekania na brak zgody wśród Słowian Połabskich, która to okoliczność miała decydująco rozstrzygnąć o zwycięstwie Teutonów. Tamte plemiona żarły się, kłóciły między sobą, to prawda. Radziłbym jednak sięgnąć po kronikę Thietmara albo po inne dzieła i przeczytać o nieprawdopodobnej anarchii panującej w samych Niemczech. Przecież to państwo ani razu nie zdołało rozwinąć przeciwko Polsce całej swej mocy, miało tytuł cesarski, lecz nie zdobyło się na zasadę dziedzicznej władzy monarszej. Rzesza Niemiecka to kłębowisko intryg, wzajemnych nienawiści i sobiepaństwa. Tylko ta okoliczność sprawiła, że Niemcy nie urzeczywistniły teorii o powszechnej władzy cesarza i nie podbiły już nie Słowian Połabskich, ale całej Europy. Były najpierwszą materialną potęgą kontynentu.

Anarchia połabska wcale nie była gorsza czy większa od germańskiej. Siły fizyczne obu stron różniły się jaskrawo i to rozstrzygnęło o przebiegu historii. Przewaga Niemców w dziedzinie organizacyjnej i umysłowej była również rzeczą najnormalniejszą w świecie. Przeciwno Słowiańszczyźnie działali ci sami cesarze i wodzowie, którzy trzęśli Rzymem i doksztalcali się przy okazji.

Dziwna rzecz - Polacy tyle od Niemców ucierpieli, a stale nie doceniają potęgi Germanii, z której to przyczyny za nisko szacują własne średniowiecze. Państwa stworzonego przez i za Piastów Germanowie jednak nie złamali, nie ujarzmili i nie przeniknęli. Tymczasem rachunek sił mógł wróżyć całkiem inny wynik. Polska została zepchnięta na wschód, ale - od jej zachodniej granicy przedrozbiorowej było całkiem niedaleko do Odry. W okolicach Wschowej granica niemal dotykała tej rzeki. Przyglądanie się mapom bardzo dobrze robi, ponieważ uczy trzymać się konkretności. W potonie XVII wieku do Rzeszy Niemieckiej należały

na Zachodzie między innymi: Dunkierka, Gandawa, Bruksela, Metz, Toul, Nancy, Strasburg i całe Franche Comté. Na szczęście wtedy właśnie jeszcze raz zawiodła próba wzmocnienia władzy cesarskiej i Rzesza upodobniła się do rojowiska państweczek żyjących na własny rachunek każde. Błogie to były porządki... Niemcy dopiero wtedy śmiertelnie zagrozili Europie, kiedy królowie pruscy sprzęgli je w jednolitą karną siłę.

Nie wyklinajmy dawnych partykularyzmów, bo naprawdę nie ma za co. One się pomału, w drodze ewolucji, zrastały w bogate wewnętrznie całości, a samo ich istnienie sprzyjało rozwojowi kultury zarówno duchowej, jak materialnej.

Na Wschodzie obiecująca różnorodność wcześniej uległa zagładzie. Odpowiedzialność? Co - przez litość! - mogli poradzić książęta ruscy, skoro Mongołów stać było na stworzenie od jednego zamachu, lecz tylko na krótko, imperium sięgającego od Bugu po Koreę? Turków nie udało się odepchnąć od Bałkanów. Oni byli silniejsi. Kto koniecznie chce zgłaszać zażalenia, ten niech je kieruje pod adresem geografii. Typowe dla Europy porządki zostały wszak zniweczone w tych jej połaciach, które są podane ku Azji i wskutek tego były narażone na wychodzące stamtąd uderzenia.

Historia cofnęła słowo, unieważniła łaskawe obietnice wczesnego średniowiecza. Stulecia XIII i XIV okazały się okrutne dla wschodniej i południowej Słowiańszczyzny. Zniszczyły jej wcześniejszy dorobek. Wykoleiły również Polskę, a to przez głębokie naruszenie równowagi za jej granicą wschodnią.

Za mało rozmyślamy, jak boleśnie odbiło się to na losach naszego kontynentu. Obszar, na którym mogła nie wegetować, lecz rozkwitać jego kultura, skurczył się bardzo. A zapowiadało się inaczej...

Zdaniem znawców, na freskach w Bojanie można się doszukać wczesnych przeblysków renesansu. Powstały na kilka lat przed datą narodzin Giotto, o którym encyklopedia zwięźle głosi, że „twórczość jego przyczyniła się do zerwania z konwencją bizantynizmu na korzyść pogłębienia treści psychologicznych”. Niepodległa Bułgaria, razem z jej nieposłusznymi wielmożami, carami zrzucającymi przestępców z Łobnatej Skały i buntami ludowymi o charakterze herezji, to była t a k ż e młodość chrześcijańskiej Europy.

Śladów panowania tureckiego nie brakuje ani nad Dunajem, ani w Rodopach. W takim Widyniu jest to potężna brama obronna, okraczająca przesmyk jezdni. Po każdej stronie tunelu kilka zakratowanych nisz więziennych. Zażywający konnej przejażdżki pasza mógł bez przeszkód sycić oczy widokiem ich wnętrza.

Brama ta przypomniała mi pewną humorystyczną przygodę z dawnych czasów, kiedy byłem w Wilnie spikerem.

Powrócił z Bułgarii i miał o niej opowiedzieć przez radio profesor Mieczysław Limanowski, geograf, teatrolog, filozof, a właściwie nie pisujący wierszy poeta (jego figura występowała w Szopce Akademickiej jako „profesor Li-w-manowcach swej zawilej mowy błąkający się”). Był zachwycony Bułgarią.

- Panie! Był pan tam? To niech pan jedzie! Cudowny kraj. A jak pan zmieni sto złotych, to nie będzie pan wiedział, kto pan jest - Rockefeller czy car Borys.

Uzupełniając napisany uprzednio tekst, machnął profesor do mikrofonu, że „w średniowieczu robactwo tureckie oblało Bułgarię”. Na nieszczęście w pewnej zainteresowanej ambasadzie także słuchano. Przyszedł potem do centrali papier z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żeby uważać, co się mówi, bo bywają przykrości.

A jeśli już jesteśmy przy rzeczach zabawnych... pewien znajomy opowiadał mi, jak zwiedzając na Bałkanach meczet doznawał niezwykłych grzeczności od duchownego, który szalenie się cieszył gościem z Lechistanu. Zapytany o przyczynę, odrzekł: „Bo są na świecie tylko dwa rycerskie narody: Turcy i Polacy.”

Meczety, zwłaszcza w Płowdiw, wyglądają ładnie. Podziwialiśmy je od zewnątrz, bo zdejmowanie butów i paradowanie w skarpetkach wydało się nam czynnością niezbyt pociągającą.

Raz tylko pamiątka z czasów niewoli wzruszyła w sposób miły. Podczas wycieczki na Szypkę odwiedziliśmy wieś Mgliszcz, skąd pochodzi małżonek naszej przewodniczki, pani Neli Ażmanowej. Zyskaliśmy wtedy pierwszą okazję do zapoznania się z wiejskim domem bułgarskim. Inne później oglądane - też przestrzegały zwyczaju. Każdy z nich to osobny świątek. Od ulicy i sąsiadów odgradza go nie płot, lecz mur z niedużą furtką, biegnący czworobokiem i zamykający we wnętrzu dom mieszkalny, budynki gospodarcze, sadzik i ogródek warzywny. I w każdym jest niewielki choćby letnik, winorośl rozpięta na podporach

z okorowanych gałęzi. Ileż uroku w takiej bezpretensjonalnej pergoli! Wieśniak bułgarski jest w swoim domu całkiem u siebie. W kaszę może mu kto i dmucha, ale nie zagląda. Czasy tureckie musiały wzmocnić zamiłowanie do ogradzania się. Znać to także po innych domach, należących niegdyś do bogaczy. Pomyślane były tak, aby mieszkańcy mieli możliwość zyskać na czasie, coś przedsięwziąć na wypadek nocnego najścia wyznawców Proroka.

Rozmawiało się w Mgliszczu o sprawach bieżących, więc dopiero w muzeum kazanłyckim przeczytałem skrót podania z XV wieku: Kiedy pułki tureckie były już gotowe do rozprawy z powstańcami bułgarskimi, dobry Bóg zesłał mgłę tak gęstą, że wojownicy padyszacha uderzali jedni na drugich, mordowali się nawzajem i ponieśli klęskę. Zdarzenie upamiętniła nazwa miejscowości, obok której wszystko się odbyło.

Najczęściej jednak panowanie tureckie przypominają wtłoczone w ziemię cerkwie. Jedną taką, można zobaczyć w samym śródmieściu Sofii. Inną, całkiem prawie podziemną, w Nessebar. Istnieją w całej Bułgarii obok takich, co z zewnętrznego wyglądu przypominają kamienne stodoły, zaopatrzone tylko w maleńkie absydy. Dopiero ściany i cała przestrzeń wnętrza dawały artystom swobodę.

Cerkiew w Arbanasi koło Tyrnowa dowodzi, że zdarzali się między nimi prawdziwi mistrzowie.

Turcy zabraniali wznoszenia cerkwi wyróżniających się wyglądem lub wyniosłych. Cała chwała należała się meczetom. Ogromny, zdobny, będący monumentalnym dziełem sztuki ludowej klasztor rylski nie przeczy regule, pochodzi bowiem z późnych czasów. Czworograniasta wieża w centrum pamięta wprawdzie rok 1335, lecz jest zabytkiem świeckim. Monaster ma niemal dokładnie o pięć stuleci mniej. Taki jak dziś stanął dopiero w roku 1833, kiedy imperium ottomańskie było już od dawna „chorym człowiekiem” i musiało utracić coś niecoś z dawnej krzepy ideologicznej.

Ale aż do końca pozostawało wierne tradycji.

Był koniec czerwca, dnię długie, więc pani Ażmanowej wystarczyło czasu na zorganizowanie jeszcze jednej wycieczki samochodowej w Rodopy. Tym razem ruszyliśmy z Płowdiw w kierunku południowo-zachodnim. Przecieliśmy piękne, gęstym lasem porośłe pasmo. Szosa biegła teraz wśród wzgórz bezdrzewnych. Dalej były jeszcze wyniosłości przekraczające dwa tysiące metrów, lecz nasz szlak kończył się we wsi Batak. Zaraz na prawo od głównej ulicy stoi tam niska, niepokazna cerkiew kamienna. Nie jest zbyt stara, pamięta zaledwie 1813 rok.

Nie było czasu na dokładne oględziny, bo lunął mocny, gruboziarnisty deszcz. Biegiem wpadliśmy do świątyni, gdzie od razu rzuciło się w oczy dziwne urządzenie wnętrza. Pośrodku nawy widniał kamienny jakby sarkofag. Był otwarty. Skrzynię wypełniały kości ludzkie. Niektóre czerepy zdawały się nosić ślady uszkodzeń. Wokół, pod ścianami, na specjalnych podwyższeniach stały wieńcem małe trumienki z drewna. Wieko każdej można było uchylić i sprawdzić, że również kryją czaszki i piszczele. Tylko że tutaj nad każdą widniał nekrolog, a przy większości fotografie. Sarkofag wypełniały szczątki bezimienne.

W kwietniu 1876 roku w tej dzielnicy Bułgarii wybuchło jedno więcej rozpaczliwe powstanie ludności. Turcy złamali opór źle uzbrojonych chłopów. 4 maja zdobyli Batak i wycięli w pień wszystkich, którzy wpierw nie padli na barykadach - starców, kobiety, dzieci. Zginęło około czterech tysięcy osób, a prasa rozniosła po całym kulturalnym świecie wieść o rzezi. Ocalały jednostki. Był wśród nich chłopak, który widział, jak jego ciężarnej matce rozpruto brzuch.

Naprzeciwno, w zwykłym domu wiejskim, znajduje się muzeum. Można tam obejrzeć broń powstańców - dębową armatkę. Lufa z grubych klepek, ściągniętych przez wsiowego kowala żelaznymi obręczami. Obok w gablocie widnieje pod szkłem oręż Achmet-agi, zdobywcy Bataku. Para pistoletów oraz jatagan. Piękny okaz! - kute srebro suto sadzone rubinami. Tamże leżą dwa spore odłamki drewna, a dokument, spisany w początkach XX wieku i poświadczony przez rejenta, powiada, że są to części pnia, na którym Turcy ścinali ludzi w Bataku. Obeszłoby się i bez dokumentu, bo zacieki krwi jeszcze znać. Podobne są na ścianach cerkwi.

W Bataku po raz pierwszy w życiu zrozumiałem po trosze naszych szlachciców z XVII wieku, którzy na sejmikach gardłowali za wojnami z pohańcem - wcale nie zawsze Polsce potrzebnymi (do Jana III nigdy nie miałem żalu, bo on dobrze wiedział, po co poszedł pod Wiedeń). Polska ówczesna za cenę największego wysiłku mogła zabezpieczyć własne granice i co najwyżej, przy nie lada szczęściu, wypchnąć Tatarów z Krymu i Budziaku. Plan wyrzucenia Turków z Europy przedstawiał chimere, Władysław IV był niepoprawnym marzycielem. Wenecja tylko czekała na konflikt Polski z Turkami, by co rychlej zawrzeć z nimi zyskowny pokój. Wszystko to tak, przyjemnie jednak wiedzieć, że starzy podróżnicy po Bałkanach rozpoznawali w ikonach św. Jerzego wizerunki polskiego króla, jedynej wtedy nadziei udręczonych. Później zwrócono tęsknoty w inną stronę.

W cerkwi rilskiej znajduje się piękny ikonostas, rzeźbiony w drzewie i złożony. Artysta kilkakrotnie niszczył własne dzieło, istniejące dzisiaj jest tym, które go nareszcie zadowoliło.

Wśród bogactwa ornamentów umieścił on pewną symboliczną scenę. Gryf skrzydlaty walczy z bezskrzydłym, a obok przygląda się starciu bocian, jakby czuwa nad wynikiem. Gryf pierwszy to Turcja, drugi - pozbawiony skrzydeł - Bułgaria. Bocian, uważany w tym kraju za zwiastuna dobra, oznacza Rosję. Pośrodku ikonostasu w pełnej krasie herb jej imperium.

Cóż za zygzaki potrafi wyprawiać historia! Przecież ten dwugłowy orzeł tylko przez przyswojenie stał się moskiewskim, i to dopiero w XV wieku. Pierwotnie zdobił sztandary cesarzy bizantyńskich, wrogów Bułgarii. Sromotnie zleciał z wież Kremla, ustępując miejsca Czerwonej Gwieździe, tutaj trwa i pozostanie.

Rzeź w Bataku nie była zjawiskiem odosobnionym, bo jednocześnie podobne zbrodnie działały się w reszcie kraju, a także w Bośni i w Hercegowinie. Europa zatrzęsła się od oburzenia. Wiliam E. Gladstone wygłaszał w parlamencie brytyjskim szlachetne mowy. Słuchanie i czytanie tych uniesień dostarczało zapewne nie lada wzruszeń, ale Bułgaria mogła tyleż na nich zyskać co Polska, przy wielu wcześniejszych i późniejszych okazjach też obdarzana współczuciem. Zamierzone zbiorowe wystąpienie mocarstw przeciwko Turcji rychło przemieniło się w ich gorączkowe zabiegi o utrzymanie jej stanu posiadania w Europie. Rej w tej robocie wodziła Anglia. Pomimo wspomnianych pięknych mów w parlamencie. Dla propagandy i pozorów sułtan Abdul-Hamid nadał państwu konstytucję, która zapowiadała rozmaite pożyteczne swobody, wśród nich zniesienie pańszczyzny oraz tortur. Staro się to 23 grudnia 1876 roku. (Datę poleca się uwadze zwolenników tezy, że zacofanie wewnętrzne stanowiło istotną przyczynę upadku Polski, która skasowała tortury o równy wiek wcześniej, wtedy także zaprowadziła u siebie pierwsze na świecie ministerstwo oświaty, a w niektórych punktach Ustawy 3 Maja wyprzedziła Europę, stanowiąc parlamentarną i konstytucyjną odpowiedzialność rządu, działającego kolegialnie. Czemuż przechodzące wszelką miarę zacofanie nie uśmierciło państwa tureckiego i jakoś nie wadziło carom?)

Na wielkie szczęście dla Bułgarii sprawy jej, całych Bałkanów i Morza Czarnego żywo obchodziły imperializm carski, który nie zwykł był działać w rękawiczkach. 27 kwietnia 1877 roku Aleksander II wypowiedział sułtanowi wojnę. Wielka armia rosyjska, wspierana przez pulki rumuńskie, przedarła się koło Swisztowa przez Dunaj i poszła na południe, ciężko walcząc z Turkami, którzy okazali się nie tylko bitni. Mieli lepszą artylerię, dobrego wodza w osobie Osmana-paszy, ich sztabowcy nie tak już bezwstydnie kradli i nie sprowadzali na front baletnic. Brat carski, wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, zabawiał się wesoło z panią Czysłową i robił znakomite interesy w porozumieniu ze spółką handlową, której właściciele nosili nazwiska raczej nierosyjskie: Greger, Kohan i Horwitz.

Turcy przegrali wojnę; kładąc na polach bitew około dwustu tysięcy żołnierzy carskich. Konstantynopol jednak utrzymali. Jedyne Srebrna Rota Preobrażeńskie Pułku gwardii pieszej, uważanego za najpierwszy w wojsku, na znak zwycięstwa wkroczyła do miasta, odbyła honorowy przemarsz i wyszła z powrotem.

Wojnę, która dała Bułgarii niepodległość, uwieczniają ogromne cerkwie o złoconych kogutach, nazwy ulic i całych miejscowości, liczne pomniki. Najważniejszy z nich wznosi się w samym środku Sofii i przedstawia osobę Aleksandra II na koniu.

Ocena wydarzeń historycznych zawsze zależy od doboru punktu widzenia. Sławna dawniej rosyjska pieśń rewolucyjna *Dubinuszka* poświęcała zwrotkę jednemu z epizodów tej właśnie wojny:

*Tam gdzie Pławna stoit
Jest' tam kurhan wielik,
Do tiech por jeszcze kosti nie stlieli
W imieniny caria, cztob jewo utieszyt',
Sorok tysiacz naroda słożyli...*

W dniu imienin brata Mikołaj Mikołajewicz rzucił na Plevnę generalny szturm, który Osman-pasza odbił, zadając nacierającym potworne straty.

Od tamtych czasów sławna Szyпка nazywa się Górą Stoletow, ku czci generała carskiego dowodzącego zajadłą obroną przełęczy. Byliśmy i tam, ale niewiele udało się zobaczyć. Tego dnia mgły snuły się po Starej Płaninie, a razem z nami przywędrowała na szczyt jakaś wyjątkowo gęsta chmura. Olbrzymi lew z brązu ledwie majaczył na frontonie obelisku. Z poświęconej poległym tablicy tyle zdołałem odcyfrować, że zginął tutaj książę generał, paru oficerów - z których jeden zwał się Godlewski - oraz, bezimiennie, „*trista czterynadcat' niżnich czynow*”.

Wybór punktu widzenia rozstrzyga i właśnie dlatego należy go tym razem dokonać. Pomimo całej, także i osobistej, odrazy do Aleksandra II przyjmuję punkt widzenia bułgarski. Jest już nieważne, po co cesarz pchał się na Bałkany. Po drodze zrobił rzecz na pewno dobrą, wyzwolił uciemiężony kraj. Bułgaria wcale nie zmarnowała czasu, jaki nastąpił po roku 1878. Znać to chociażby po wyglądzie jej miast, które ostatnia wojna na ogół oszczędziła.

Okazało się jednak, że usunąć samych Turków, to mało. Powróćmy znowu do Bataku.

Na ścianach muzeum mieszczącego jatagan Achmet-agi wiszą fotografie. Widać na nich

następujące sceny: na ziemi głowa ludzka - nie czerep, mówię wyraźnie, ale głowa z włosami, skórą, ciałem i zamkniętymi oczyma a nad nią grupa zbiedzonych osób, dozorowana przez uzbrojonych mężczyzn w hełmach Wehrmachtu. Umundurowanie strażników różni się od niemieckiego.

W styczniu 1944 roku policja królewska rozbiła w Rodopach, w pobliżu Bataku, bazę partyzancką, noszącą nazwę „Teheran”. Wziętych do niewoli i rannych uśmiercono. Potem nad odciętą głową każdego musiała publicznie wartować rodzina poległego. Trumienki w cerkwi zawierają szczątki tych ofiar.

Oczywiście tylko historię stać na podobne inscenizacje, ona jedna może sobie na nie pozwolić. Powieściopisarza wyszydzone by za takie pomysły, obwołano by go grafomanem. Królewska policja bułgarska ścina Bułgarom głowy akurat tam, gdzie siedemdziesiąt lat wcześniej, ku zgrozie kulturalnego świata, to samo czynili Turcy.

Takie były moje pierwsze refleksje (jeśli nie liczyć moralnego wstrząsu). Potem przyszedł czas na spokojniejszy namysł oraz na wnioski.

Chan Krum pijał wino z czerepu nieprzyjaciela - zupełnie tak samo jak królowie Longobardów w Italii. Car Kalojan tego już nie robił, ale był srogi. Car Jan Assen II umiał okazywać wspaniałomyślność pokonanym i wziętym do niewoli Bizantyńczykom, był wielkoduszny. Jego osobisty charakter swoją drogą, ale nie da się wszak zaprzeczyć, że w innych krajach europejskich ewolucja odbywała się kubek w kubek podobnie. Ludwik XI - wiek XV - był potworem, Henryk IV w stuleciu XVII całkiem przyzwoitym szefem rządu. Bułgarię w 1396 roku podbili tacy, którzy aż do ostatka ścinali głowy, wsadzali na pale, torturowali. Moralny spadek po nich okazał się trudny do zmycia. Łatwiej było złamać władzę polityczną. Okrucieństwo cechowało wszystkie kraje, które zaznały nieszczęścia rządów tureckich.

Tadeusz Borowski wzburzył opinię publiczną, gdy analizując sprawy Oświęcimia pokazywał, jak zbrodniarz deprawuje własne ofiary. Z czasem oponenci przyznali pisarzowi rację, prawda historii była od początku po jego stronie.

W 1903 roku sprzysiężeni oficerowie serbscy po bestialsku zgładzili swą parę królewską. Dokonane w Petersburgu sto przeszło lat wcześniej zabójstwo cara Pawła I, którego zaduszono szarfą orderową, to był łagodny sposób postępowania w porównaniu ze wspomnianym wyczynem. Opisywać jego szczegółów raczej nie należy. W 1912 roku koalicja Czarnogóry, Bułgarii, Grecji i Serbii pokonała Turków, odbierając im wszystkie

niemal posiadłości bałkańskie, z wyjątkiem samego Konstantynopola. Ale brak umiaru i zamiłowania do kompromisów wśród zwycięzców, w połączeniu z intrygami wielkich mocarstw, rychło spowodował wybuch nowej wojny, rozpoczętej w czerwcu roku 1913. Tym razem Bułgaria znalazła się w konflikcie z wczorajszymi sprzymierzeńcami, których armie postępowały tak, jakby pragnęły wytepić naród. Nie tylko palenie wsi, rabunek, gwałcenie kobiet, ale i kastrowanie mężczyzn były na porządku dziennym. Metody dziwnie podobne do tych, które poprzednio przez długie stulecia uprawiali baszybuzukowie sułtanów. Usuwanie z Bałkanów resztek panowania tureckiego odbywało się w warunkach szczególnych. Zresztą korzystając z zatargu pomiędzy zwycięzcami Turcy odzyskali Adrianopol-Edirne, zdobyty niedawno przez Bułgarów za cenę wielkich ofiar.

Nie wolno poprzestawać na dostrzeganiu źdźbła albo nawet belki w cudzym oku. W monarchii polskiej od głębokiego średniowiecza nie było królobójstw. Pierwszy prezydent Rzeczypospolitej został zamordowany.

Szukając zasady ogólnej dochodzi się do przekonania, że pozbawienie wolności zawsze przynosi zło. Naród odzyskujący niepodległość bywa obciążony nałogami, jakich nie znał, kiedy tę niepodległość tracił. Czas spędzony w niewoli może czasem przynieść zyski materialne. Moralnie musi cofać.

Niezależnie od politycznej oceny przedwojennej carskiej Bułgarii w dziejach jej można znaleźć pouczające dowody dodatniego działania wolności. Poszukajmy ich tam, gdzie najtrudniej. Żadna sztuka wskazywać na szlachetnego pisarza Iwana Wazowa, opowiadać, że nigdy nie otrzymał od rządu ani grosza zapomogi, za własne uczciwe zarobki wybudował sobie w Sofii miłą jednopiętrową kamieniczkę, a po zgonie spoczął w centrum stolicy, obok cerkwi Justyniana.

Urodzony w Wiedniu car Ferdynand I należał do starej dynastii Sachsen-Koburg-Gotha i był postacią odrażającą. Jego podstępne machinacje, prowadzone za plecami rządu bułgarskiego, doprowadziły do katastrofy 1913 roku. W chwili klęski słał do prezydenta Poincarégo listy, będące arcydziełami fałszu przetkanego pochlebstwami. O kulturze Ferdynanda świadczy fakt wybudowania na samym froncie Carewca willi w stylu wiedeńsko-secesyjnym. Jest to jedyny budynek mieszkalny na całym wzgórzu!

Borys III przyszedł na świat w Sofii i był już Bułgarem. Od poddanych się nie oddzielał, swoistą popularność zyskiwało mu zamiłowanie do fachu maszynisty kolejowego. Jeździł parowozem po całym kraju. Do „osi” przystąpił, lecz nie wypowiedział wojny Rosji,

uważając to za moralnie niemożliwe dla Bułgarii. Był, obok Rumuna Antonescu, jedynym człowiekiem w obozie „osi”, który potrafił mówić Hitlerowi prawdę w oczy. O ile się orientuję, w Bułgarii - podobnie jak i w Polsce - nikt nie wątpi, że nie umarł własną śmiercią. Hitler kazał go zgładzić.

Człowiek urodzony w Sofii i naprawdę mający ojczyznę różnił się od własnego ojca, indywiduum, które tylko dlatego przyszło do Bułgarii, że była korona do wzięcia. Ostatni car bułgarski nie ustępował współczesnym sobie monarchom. Nie zostało dowiedzione, że on sam, osobiście, pragnął tego, co robili niektórzy z jego sług.

Wspomnijmy jeszcze postać bardzo zasługującą na szacunek. Premier Aleksander Stambolijski to chłopski polityk podobny do naszego Wincentego Witosa.

Odzyskana wolność robiła swoje.

III

Przeszłość Bułgarii jest tragiczna i pewnie dlatego znakomicie nadaje się do literackiego opisu. Ważniejsze, że pobudza do rozmyślań. Ten kraj, wskutek obfitości tracko-grecko-rzymsko-tureckiej i jeszcze innej egzotyki, to taki punkt, z którego wyraźnie widać pewne zjawiska charakterystyczne dla całej Słowiańszczyzny. Z Nicopolis ad Istrum patrzy się na nie jak gdyby od zewnątrz.

Wydaje mi się, że narody słowiańskie nie umieją cenić własnej przeszłości. Jedyne wyjątek stanowią Rosjanie. Nie szanuje się tam trzech ostatnich cesarzy, ale Mikołaja I - nie mówiąc już o Piotrze czy Katarzynie - traktuje przychylnie. Historiografia radziecka umie bardzo wysoko podnosić uznane za dodatnie objawy czy postaci nawet stosunkowo niedawnych carskich czasów.

Na przeciwnym biegunie stoją oczywiście Polacy. U nas wolno wypisywać skończone bzdury, demonstrować rażące nieuctwo i brak rzetelności, ale pod warunkiem, że wszystko to pływać będzie w sosie gorzkim. Czasem kadzidło, zawsze ocean dziegciu - oto cała nasza apteka.

W dodatku jeszcze przywykliśmy oglądać przeszłość każdego słowiańskiego państwa z osobna. W rezultacie giną nam z oczu zjawiska i panoramy ogólne.

Nie widzimy p o w s z e c h n e g o rozkwitu Słowiańszczyzny we wczesnym średniowieczu ani późniejszej katastrofy, z której jedna tylko Polska wyszła na razie obronną ręką. Skądże w tych warunkach ma się brać zrozumienie, o ile te nieszczęścia zubożyły dorobek kontynentu?

A teraz celowa złośliwość. Houston Stewart Chamberlain, Anglik z urodzenia - Niemiec z wolnej i nieprzymuszonej woli, jest autorem osławionej książki *Die Grundlagen des XIX Jahrhunderts*, zgodnie uznawanej za biblię rasizmu. On wprowadził w obieg pojęcie rasy germańskiej. W rozdziale *Der Eintritt der Germanen in die Weltgeschichte* napisał wyraźnie, że ta jego „europejska rasa” Germanów to Celtowie, Germanowie właściwi oraz Słowianie - razem wzięci i na równi traktowani. Pod niebiosa wynosił Ostroroga, wygłaszającego przed papieżem harde mowy, a bez miłosierdzia poniewierał Niemcem, kardynałem Hozjuszem, który zwalczał polską wolność i popierał rzymskie uroszczenia do władzy. Chamberlain nie miał poczucia śmieszności, kiedy pisał o cesarzu rosyjskim „*echtgermanische Imperator*”, co wcale nie miało być przytykiem do niemieckiego pochodzenia dynastii. Mniejsza w tej chwili o pomyłone historiozofie autora. Nie da się jednak zaprzeczyć, że znał on fakty i widział oczywistość, czyli poważną rolę Słowiańszczyzny w dziejach naszego kontynentu, jej europejski autochtonizm.

To było do sztabucha niektórych naszych amatorów uproszczeń. Arystydes Briand powiedział kiedyś przy okazji rozmowy o wojnie stuletniej i Dziewicy Orleańskiej, że szkoda było tak wielkich ofiar, bo przecież Anglicy podbiwszy Francję staliby się zaraz Francuzami. O Briandzie orzeczono, że nic nie umie, lecz wszystko rozumie.

My natomiast słabo zdajemy sobie sprawę z nieprawdopodobnej zdolności wchłaniania i trawienia, jaką się odznacza Słowiańszczyzna. Po rzutkich i zdobywczych Protobułgarach pozostała nazwa kraju oraz siedem luźnych wyrazów. Car Symeon, rządzący na przełomie IX i X wieku, już się uważał za Słowianina. Ileż elementów przyswoił i zesłowiańszczył naród bułgarski, który przez pół tysiąclecia żył w warunkach rokujących raczej jemu samemu zagładę.

To samo zjawisko znamy również z dziejów Polski. Bez najmniejszej dla siebie szkody wchłoniliśmy całe potoki krwi niemieckiej, ruskiej, litewskiej, francuskiej, szwedzkiej, tatarskiej i rozmaitej innej. Jagiellonowie spolszczyli się najzupełniej, i to rychło, a przecież jeśliby zażądać ich metryk, wyszłoby na jaw, że byli litewsko-rusko-niemiecko-włoską mieszanką. Nieliczne drobiny krwi lechickiej odziedziczyli po Piastach - za pośrednictwem Luksemburgów i Habsburgów. Jagiellonowie, Jan Dantyszek, *recte* Flachsbander czy von

Höfen, ród Fukierów, a właściwie Fuggerów z Augsburga - to się wszystko odbyło w czasach świetności królestwa, kiedy sama panująca w nim wolność mogła przynęcać obcych. Ale znawcy wywodzą, że okres wzmożonej polonizacji szerszych warstw ludności Litwy nastąpił po trzecim rozbiore Polski. Decydującą rolę odegrał uniwersytet wileński z jego gronem znakomitych profesorów i potężnym promieniowaniem kulturalnym. Z tych profesorów Śniadeccy wywodzili się ze Żnina, a Joachim Lelewel z Warszawy i... z rodziny niemieckiej, spolszczonej w dobie bardzo smutnej, za Sasów, kiedy królem był Wettin, a głównym ministrem Brühl.

Doświadczenie bułgarskie przewyższa chyba jednak wszystko, co można by sobie, wyobrazić. Rosja też oddziaływała jak magnes, ale ona była ogromnym mocarstwem. Tutaj wchłanianie elementów obcych i stapianie rodzimych partykularyzmów w nowoczesny naród odbywało się wtedy, kiedy zagrożone było jego fizyczne istnienie. Pięćset lat!

Mówiono mi, że są w Rodopach wsie, których mieszkańcy wyznają islam, lecz nie umieją ani słowa po turecku. Nie władali tym językiem również ich przodkowie. Któreś tam pokolenie nieco się ugięło, zmieniło wiarę. Nie wyrzekło się mowy.

Na ogół Słowiańszczyzna przetrwała w większości ziem, które zajęta w dobie wielkich wędrówek. Znikła jedynie tam, gdzie musiała stawić czoło takiej w s z e c h s t r o n n e j sile, jak Niemcy, to znaczy między Łabą a Odrą. Czysto militarna potęga Turcji okazała się niedostateczna, pomimo że w tym państwie aż do XIX wieku włącznie stosowano metody godne stulecia X, margrabiego Gerona. Historia raz jeszcze potwierdziła od dawna znaną prawdę, że sama represja jest działaniem bezskutecznym. Przymus tylko wtedy skutkuje, jeżeli w rozmaitych dziedzinach życia towarzyszą mu wyraźne, natychmiastowe korzyści. Są zresztą sprawy, w których w ogóle nie działa.

Wrażenia bułgarskie kazały mi powrócić do rozmyślań, snuty na użytek prywatny już od kilku lat. Zaczęło się w samym końcu listopada 1956 roku, kiedy wyruszyłem na wycieczkę do Chin. Ponieważ podróżowałem sam, nic nie przeszkadzało refleksji.

Leciałem starym Ilem, czego wcale nie żałuję. TU 104, które widywałem na lotniskach, to środek komunikacji w sam raz dla polityków czy ludzi interesu. Dlaczego jednak pisarz miałby się aż tak śpieszyć? Co można zobaczyć z takiej maszyny?

Gdzieś między Omskiem a Nowosybirskiem nastąpiła przyjemna szara godzina w samolocie. Nie zapalono jeszcze świateł. Widać było czarnobrazowy ląd, który wydawał się wklęsły, ciemny firmament, a na nieboskłonie rozmazane rdzawe pasma nikańcego dnia.

Uświadomiłem sobie wtedy, że oto od dłuższego już czasu lecę nad Rosyjską Republiką Związkową, czyli nad państwem słowiańskim, nazajutrz będę nad nim leciał jeszcze daleko, a przecież ziemie naprawdę słowiańskie skończyły się dawno, hen na zachód od Wołgi. Kazań, gdzie lądowaliśmy nad ranem, zdobył na Tatarach Iwan Groźny w XVI wieku. W Gorkim, dawniejszym Niżnim Nowogrodzie, nie byliśmy, bo to nie po drodze, ale wiadomo dokładnie, że zbudował go - i nazwał Niżnim - książę suzdalski Jerzy dopiero w roku 1221.

Poprzestawać na Wołdze jako na wyrazistym wskaźniku nie należy. „*Priepodobnyj Nestor lietopisiec*”, autor ruskiej *Powieści dorocznej*, utrzymuje, że plemiona Dregowiczów i Więtyczów, mieszkające nad górnym Dnieprem i Oką, były polskiego pochodzenia. Są badacze, którzy za ich praojczyznę uważają Mazowsze. Swój ogromnie rozległy wschód Słowiańszczyzna po prostu zdobyła i skolonizowała. W wielu wypadkach stało się to w czasach późnych i bardzo późnych. Bo XVI i XVII wiek to właściwie historyczne przedwczoraj.

Linia prosta nakreślona pomiędzy najdalej obecnie na zachodzie i wschodzie położonymi punktami władania Słowian liczy około siedmiu tysięcy kilometrów. Uczeni nadal wiodą spory o praojczyznę wszystkich Słowian. Można przyjąć, że w okresie historycznie decydującym o ich późniejszym rozwoju, czyli pomiędzy VI wiekiem przed Chrystusem a IV nowej ery, zajmowali oni ziemie od Odry do środkowego biegu Dniepru. Ale takie ogólne określenie nie zadowala, trzeba szukać większej precyzji.

Profesor Tadeusz Manteuffel również zajmuje się kwestią prasiędziby: „...istnieją rozbieżności poglądów - powiada - choć coraz bardziej utrwala się zdanie o konieczności jej szukania między Odrą a Wisłą”. I nieco dalej, na tej samej 120 stronie *Średniowiecza powszechnego*:

„Najwcześniejszym terenem ekspansji słowiańskiej były ziemie sięgające na wschodzie po środkowy Dniepr. Przebywających na tym obszarze już w IV wieku Słowian późniejszy pisarz gocki Jordanes (piszący w VI wieku) nazywa Antami.”

Jak już wiemy, Prokopiusz z Cezarei zauważył tych Antów aż nad Dunajem.

Tak więc dzisiejszy zachód i centrum Ukrainy należałoby uznać za najdawniejsze zdobycze Słowian. Ich rzeczywista prasiędziba znajdowała się na ziemiach dzisiejszej Polski i była od niej szczuplejsza.

Nie można odmówić Słowiańszczyźnie zdobywczego rozmachu. Należy go raczej uznać za wyjątkowo potężny. Nie chciałbym popadać w przesadę, ale na to wygląda, że ów rozmach

znacznie przewyższa dokonania germańskie, a nawet anglosaskie.

Tatarzy zadali Rusi niczym niepowetowane szkody, zubożyli jej strukturę polityczną. Ale rozkład Złotej Ordy nastąpił względnie szybko. W 1480 roku, za Iwana Srogiego, Moskwa odzyskuje suwerenność. W 1551 roku, za Iwana Groźnego, zdobywa Kazań, w pięć lat później Astrachań i kraj Baszkirów. Cały bieg Wołgi należy odtąd do niej, a jednocześnie przestaje jej zagrażać jakikolwiek poważny drugi front. Dopiero w 1904 roku carat dowiaduje się o istnieniu takiego w postaci Japonii, jak również o tym, że nie da się tego frontu czapką przykryć. No, ale to wszystko dzieje się już nie nad Wołgą, gdzie niegdyś Tatarzy mieli swoją stolicę, ale nad Pacyfikiem.

Słabo zaludniona północ Azji nie mogła stawić poważnego oporu Moskwie, górującej pod każdym względem, i rychło stała się niewyczerpanym źródłem siły tej ostatniej. Nazwa Syberii wywodzi się od miana stolicy chanatu tatarskiego, położonego nad Irtyszem. Kozak Jermak Timofiejewicz zdobył ją w roku 1582, czyli za rządów tego samego Iwana Groźnego, który opanował Wołgę. Wybrzeże Oceanu Spokojnego zobaczyli Kozacy w roku 1640.

Prace na wschód Niemcy miały zadanie o wiele trudniejsze. Ich największy skok, usadowienie się w dzisiejszej Łotwie i Estonii, był dokonany drogą morską. Lądową zamykała Polska.

Wyzwolenie się z niewoli tatarskiej kosztowało Moskwę moc krwi i mozółu, lecz mimo to wolno uznać, że wschodni kierunek ekspansji przyszedł Słowiańszczyźnie łatwo. Odnosi się to zwłaszcza do największych zdobyczy, poczynając od wieku XVI.

Inaczej, wręcz przeciwnie, rzecz się miała ze Słowiańszczyzną zachodnią i południową. „Germańskie ludyszcza”, które uciekły ze Wschodu przed Hunami i zburzyły Zachodnie Cesarstwo Rzymskie, na pewno wybrały „lepszą część” losu. Na Bałkanach Słowianie mieli do czynienia z Bizancjum, którego potęgą budziła naówczas duży respekt, nawet w Italii. Jeszcze w XI wieku zanosilo się na ponowne zjednoczenie dawnego imperium przez cesarzy z Konstantynopola. Za Dunajem słowiańscy przybysze musieli się uporać z wszechstronną przewagą. Z kulturalną poradzili sobie świetnie, sami się podciągając na poziom twórczy. Wobec politycznej i wojskowej przewagi Bizancjum Słowianie się ostali, aczkolwiek nie zdołali urzeczywistnić swych zamierzeń, to: znaczy nie przejęli kluczowej pozycji nad cieśninami. Okazało się to po prostu niemożliwe.

Turkom podlegali przez czas przerażająco długi, lecz nie wyrzekli się ani wiary, ani mowy, a co jeszcze dziwniejsze - nie oddali terenu.

Słowianie skolonizowali Bałkany, które jeszcze w V wieku wcale do nich nie należały. Ale utrzymać tę „kolonię” było przecież nieskończenie trudniej niż przerobić Australię czy Nową Zelandię na kraj anglosaski. Tutaj trzeba było działać pod prąd, i to pod bardzo nieprzychylny prąd historii.

Plemionom czeskim i morawskim życie również nie układało się przyjemnie, ponieważ od bardzo wczesnych czasów szedł przeciwko nim wściekły napór Niemiec. Nie gdzie indziej, tylko tu, na Morawach, germańscy biskupi bezwzględnie, nawet wbrew papieżowi, zwalczali działalność św. Metodego, przy okazji formułując pogląd, że „Bóg upodobał sobie tylko trzy języki: hebrajski, łaciński i grecki”. Jak się już wspominało, wygnanych stąd uczniów Metodego przyhołubił Borys I bułgarski. Na Bałkanach było lepiej.

Kronikarze niemieccy znacznie wcześniej zwrócili uwagę na Czechy niż na Polskę. Zanotowali na przykład, że w roku 929 Henryk I obległ Pragę „i przyjął w poddaństwo jej króla”. Nie był to jedyny ani ostatni wypadek uderzenia Niemców na stolicę Czech w stuleciu X. W roku 950 pod samymi murami Pragi Bolesław czeski musiał złożyć hołd Ottonowi I i uznać swą zależność.

Wspomnijmy jeszcze wiek XVII, okropne czasy po bitwie pod Białą Górą. Niemczyzna, zgrupowana, pod katolickim sztandarem Habsburgów, zastosowała wtedy takie metody, że podobne miała Europa poznać aż za Hitlera. Większość narodu czeskiego uległa wytepieniu.

Pomimo to wszystko - Czechy istnieją. Prawda powszechnie znana, lecz nabierająca specjalnej wymowy, jeśli się pamięta o warunkach historycznych, wśród których przyszło żyć temu narodowi.

Grzebanie się w zapomnianych i szarych z pozoru starożytnościach słowiańskich jest jednak pożytecznym zajęciem. Zwłaszcza jeżeli zaniechać nieszczęsnej manii szufladkowania i rozpatrywania kwestii każdego kraju z osobna. Próbnym szkic syntetyczny od razu podsunie pod oczy charakterystyczne cechy wspólne: zasługujący na uwagę rozmach, umiejętność wchłaniania pierwiastków obcych, nawet przeważających kulturalnie, i nieprawdopodobną wprost zdolność trwania. Przy łaskawszym nieco przebiegu historii takim, jaki zapowiadało wczesne średniowiecze - dorobek Słowiańszczyzny mógłby być pod każdym względem bogatszy.

Panoramy ogólne wcale nie przeszkadzają dalszemu wglębieniu się w szczegóły.

Słowianie, którzy zajęli Bałkany, jedni przyszli od strony Dniepru, a drudzy od przełęcz karpackich. Późniejsza Małopolska także żywo uczestniczyła w wysyłaniu swych ludzi w

odległe kraje. To samo Śląsk. Słowiańszczyzna połabska wywodziła się z Pomorza. Jeżeli Nestor i jego objaśniacze nie mylili się, Mazowsze było macierzą ludności osiadłej u źródeł Dniepru i jeszcze dalej.

Jak się zdaje, z jednego tylko zaścianka słowiańskiej prasiędziby nikt wtedy na żadną wędrowkę nie wyruszył. Ten osobliwy kraik leżał nad Wartą i pobliskimi jeziorami. Nieruchawi ludzie, którzy tam mieszkali, stworzyli w swej ojcowiznie organizację polityczną. Z czasem rozrosła się ona w państwo polskie.

Zaludnienie Gniezna zgęstniało w VIII i IX stuleciu. Te same czasy pamięta najstarszy wał grodowy na Górze Lecha. Nad granicą, a raczej nad rubieżą ziemi Polan, wartowała w Bonikowie twierdza postawiona również w wieku VIII, a może nawet nieco wcześniej. Mniej więcej z tej samej doby pochodzi drugie umocnienie na błoniach pod Łęczycą, doskonalsze od najpierwotniejszego w tym miejscu, a szczelnie później ukryte pod wałami Krzywoustego.

Coś wyraźnie fermentowało i tworzyło się w zaścianku już wtedy, kiedy na dalekim południu słowiańscy pobratymcy, zamieszkali na ruinach kamiennych miast greckich, zaczęli nie całkiem dobrowolną spółkę z plemieniem zdobywczych Bułgarów.

Jeśli szczególną cechą pozostałej Słowiańszczyzny jest rozmach, to głównym znamieniem historii prapolskiej jest chyba jej zasiedziałość, tysiącletni związek z określonym szmatem ziemi. Pod wałami piastowskiego gródka w Biskupinie natrafia się na szczątki „łużyckie”, realnie, widomie nawet z nim spokrewnione. Nikt tam nie odnajdzie śladów niczyjej odrębnej historii.

Nie zamierzam twierdzić niczego w sposób kategoryczny ani budować teorii. Wysuwam tylko pewne kwestie, które wydają się ciekawe.

Tak na przykład zastanawiającą cechą polityki Piastów jest brak zamiłowania do zbyt szerokiej ekspansji. Ich wysiłki miały na celu przede wszystkim łączenie ziem, rozciągających się nad Wartą, Wisłą i Odrą. W X wieku chodziło im już o źródle i ujścia dwu ostatnio wspomnianych rzek. Sięgnęli więc w strony stosunkowo odległe od Gniezna, lecz postępowanie ich wynikało niejako z samej natury rzeczy. Kto doszedł znad jeziora Jelonek aż do Wisły samej, ten musiał zainteresować się zarówno jej górnym, jak i dolnym biegiem. Zwłaszcza że nie mieszkał tam nikt zbytnio się różniący mową lub obyczajem.

Jeden tylko Bolesław Chrobry miał porywy imperialne, próbował opanować i poddać swej władzy Czechy, a może nawet snuł plany jeszcze szersze. W *Myślach o dawnej Polsce* zastanawiałem się już nad tym, że euforia ogarnęła pierwszego dynastę polskiego,

wychowanego w chrześcijaństwie. W 1000 roku Chrobrego wtajemniczono i wciągnięto w zamierzenia bardzo ambitne, dotyczące całego spadku po Imperium Rzymskim. Pokuszenia o Pragę przypadły na najbliższe lata po zjeździe gnieźnieńskim i zgonie Ottona III. Potem Chrobry powrócił do charakterystycznych metod swego rodu.

Byłoby pewnie błędem ganić ów piastowski umiar i przypisywać mu złe skutki. Polska budowla polityczna okazała się zadziwiająco solidna. Poczynając od XI wieku przyszło jej wytrzymać naprawdę bardzo straszny napór niemiecki. Przetwała doznając wielu szczerb. W XIV wieku ponownie okrzepła i była na najlepszej drodze do odzyskania strat. A w życiu wewnętrznym dowiodła, że dotrzymuje kroku Zachodowi w dziedzinie najtrudniejszej. Z pokaznej liczby uniwersytetów założonych w Europie w wieku XIV krakowski był drugi z kolei. Szedł po praskim, a tuż przed wiedeńskim. Tragedią Polski było chyba to, że piastowski umiar nie potwał o parę choćby pokoleń dłużej. Koniec dynastii spowodował zwrot i podjęcie zadań bardzo rozległych... za wcześnie.

Pomiędzy stwierdzonym faktem autochtonizmu historii Polski a równie niewątpliwym zjawiskiem niechęci jej rodzimych władców do przekraczania granic naturalnych wolno się dopatrywać związku natury przyczynowej. Ten drugi objaw nie mógł się narodzić z powietrza, nie stanowił daru niebios. Logicznie biorąc, musiał wypływać z pierwszego.

Wyniki pracy tych plemion słowiańskich, które nigdzie nie wyemigrowały i pozostały w swych ojcowiznach, nie okazały się ujemne. Ich twór państwowy był całkiem rdzenny, o czym dowodnie świadczy jego nazwa. My na szczęście nie potrzebujemy się spierać o to, czy jacyś Warego-Rusowie lub (Proto) Bułgarzy byli istotnym czynnikiem państwowotwórczym i czy nie obeszloby się bez nich. Teorie o normandzkim pochodzeniu Piastów nie zasługują na poważne traktowanie. Obojętne, z czego wywodzi się nazwisko tej dynastii, z tytułu dworskiego czy od imienia. Jest całkiem polskie.

Rozbiory psują nam perspektywę historyczną, przeszkadzają widzieć rzeczy na ich właściwych miejscach. Tak więc zbyt łatwo zapominamy, że Austria, Rosja i Prusy przemocą zniszczyły takie państwo, które - jedno jedyne w całej Słowiańszczyźnie - nigdy przedtem niepodległości nie straciło, a w ostatniej dobie przed katastrofą odrodziło się, wdrożyło śmiałe reformy i dowiodło swych praw do życia. To przecież wtedy, w chwili tej katastrofy, a nie dzisiaj, trzeba tylko zaczynać rozmowy o nadchodzącym „tysiącleciu”! Najstarszy gród książęcy w Gnieźnie pamięta koniec VIII wieku, trzeci rozbiór nastąpił u samiuteńskiego schyłku XVIII. Rachunek równy. Pewnie, że tamten wał to dopiero dzieje polańskie, ale gnieźnieńska przeszłość jest źródłem historii polskiej i w całości do niej należy.

Kraków był w pełni suwerenny, podczas gdy inne stolice słowiańskie popadły w taką czy inną zależność od obcych. Potem przekazał godność Warszawie, nawykłej do swobody już nawet nie państwowej tylko, lecz regionalnej. Naród polski ma bardzo stare tradycje wolności, w naszej połaci kontynentu na pewno najstarsze i najmocniej wrosłe. Jego wolność najdłużej nie doznawała ograniczeń. Czy okoliczność ta nie ma czasem wpływu na znany fakt, że „charakter narodowy” Polaków pod wieloma względami różni się od pozostałych słowiańskich?

Zaraz po utracie niepodległości zaczęły się wysilone, nerwowe prace zmierzające do jej odzyskania. Ba! jeszcze wcześniej - gwałt, wywiezienie senatorów przez Repnina, natychmiast spowodował jeszcze gwałtowniejszy odruch obronny, który się zowie Konfederacją Barską. Klaustrofobia jest zjawiskiem naturalnym u istot wolnych. Naród nawykły do swobody okazał się szalenie uczulony na wszystko, co ją krępowało.

Oryginalny krąg zatoczyły rozważania zawarte w tym rozdziale. Rozpoczęte w Nicopolis ad Istrum, powróciły tam, skąd wystartowała niniejsza książka do Wielkopolski, czoła naszych ziem. Ale nie było w tym grzechu, skoro w tytule tomu widnieje przymiotnik „słowiański”.

My, Polacy, nie zanadto lubimy ten wyraz. Dawniej było inaczej i Jan Długosz dumnie rozgłaszał, że Władysław Jagiellończyk w roku 1411 na „zaszczyt ludów słowiańskich przyjął rządy królestwa czeskiego”. Za przemianę całkowicie odpowiedzialne są praktyki smutnej pamięci „słowianofilstwa”, którego mętny mistycyzm służył do maskowania carskich zamierzeń imperialnych. Za dużo było upomnień pod adresem lackich odszczepieńców oraz urzędowo popieranym zabiegów o skierowanie rozmaitych strumyków do morza, rozlewającego się wokół Petersburga.

Od jakiegokolwiek ideologii słowiańskiej zachowaj nas, Panie! Są jednak rzeczy, nad którymi warto się zastanowić.

W Burgas, w pięknym parku nad Pontem Euxynem, czyli nad Morzem Czarnym, Biliński pierwszy zauważył pomnik Adama Mickiewicza. Zgodnie doszliśmy do wniosku, że wznosząc go musieli Bułgarzy przytłumić pewne sentymenty, raczej wspomnienia. Przecież Mickiewicz wdawał się z Turkami, niewątpliwie pragnął triumfu armii sułtana nad wojskami cesarza Rosji. Kiedy umierał w Stambule, w rylskim klasztorze już była wyrzeźbiona scena z gryfami i bocianem oraz herb Romanowów. Nie oceniam i absolutnie nie zamierzam potępiać politycznych zabiegów poety, zwracam tylko uwagę na okoliczności historyczne, istniejące

kiedyś realnie.

Podczas rozmów w bułgarskim Związku Pisarzy przekonaliśmy się, że bardzo tam nie lubią pamięci Sadyka-Paszy Czajkowskiego. Nie lubią, ale o nim wiedzą.

Pomnik Adama Mickiewicza stoi więc w tym samym Burgas, które przed wiekami upatrzone było na port, skąd okręty krzyżowców miały wypłynąć przeciwko Stambułowi. Minione rozdziewięki polityczne nie przeszkodziły zjawiskom zupełnie naturalnym.

Dzięki pokrewieństwom, a jeszcze prościej: dzięki podobieństwom językowym, narody słowiańskie stanowią środowisko, wewnątrz którego wartości kulturalne mają ułatwiony obieg. Za cenę niezbyt wielkiego wysiłku oraz przy pewnej wprawie, osłuchaniu, możemy się nawzajem zrozumieć, nawet całkiem na surowo. Okoliczność powszednia, ale, moim zdaniem, znacznej wagi. Ona sprzyja promieniowaniu kultur narodowych, rozszerza pole działania.

Tyle było ostatnio artykułów na temat zaściankowości polskiego piśmiennictwa, a nikt jakoś nie przypomina, że kiedyś dziab się inaczej. Książka Miechowity o dwóch Sarmacjach wkrótce doczekała się jedenastu wydań europejskich i licznych przekładów. Traktat Frycza-Modrzewskiego o naprawie Rzeczypospolitej natychmiast poszedł bardzo wysoko - w skali całego kontynentu. Rozprawa moralno-polityczna Wawrzyńca Goślickiego stała się nawet swoistą sensacją, gdyż w Anglii systematycznie konfiskowano jej przekłady - aż do XVIII wieku. Jeden z nielicznych ocalałych egzemplarzy dotarł podobno do rąk Wiliama Szekspira. Może to autosugestia, ale przyglądając się znakomitej grze Jacka Woszczerowicza w *Ryszardzie III* rozmyślałem, że niezależnie od wzruszeń artystycznych widz tej sztuki musiał dochodzić do tej samej konkluzji co Goślicki: do przekonania o potrzebie odpowiedzialności władzy politycznej. Polska literatura dostarczała na europejskie rynki towaru będącego naturalnym wytworem własnych wolnościowych zamięłowań kraju.

Cytowałem na wrywki przykłady dzieł autorów polskich, którzy tworzyli po łacinie. Wróciłem więc do tematu, już w poprzednich rozdziałach parokrotnie potrąconego. Te książki nawet w Hiszpanii i we Włoszech czuły się jak u siebie w domu. „Nie ma dla nas ludzi, rzeczy ni spraw prostych” powiada Teodor Parnicki.

Wcale nie namawiam do porzucenia języka narodowego ani do produkowania wyłącznie na słowiańskie rynki. Twierdzę tylko, że pożyteczne i dobre jest wszystko, co rozszerza oddech - na wszystkie strony.

Sama najszerszej pojęta historia uczyniła z narodów słowiańskich środowisko, w którym

łatwiej o zainteresowanie twórczością oraz sprawami poszczególnych jego członów. Wymiana wartości nie powinna by napotykać na przeszkody zasługujące na miano naturalnych. Faktem jest, że Bułgara, Czecha, Ukraińca, Rosjanina, a zwłaszcza już Białorusina zainteresuje *Pan Tadeusz*. W Portugalii trzeba by do tego człowieka o horyzontach naprawdę uniwersalnych, a takich ludzi jest dość mało.

Słowiańszczyzna to żadna idea ani ideologia. Jest ona tylko wytworem historii oraz jej ważnym rozdziałem. Dzisiaj istnienie jej jako grupy językowej, a przez to samo pewnego środowiska, stwarza dość interesujące możliwości dla humanistów. Bo twórczość w dziedzinie nauk ścisłych i techniki nie potrzebuje takich ułatwień. Posługuje się wszak powszechnym językiem matematyki.

Na zakończenie niech mi będzie wolno opowiedzieć o przygodzie, przeżytej wprawdzie w Warszawie, lecz dotyczącej kraju jeszcze bardziej odległego niż Bułgaria.

Parę lat temu dałem redakcji miesięcznika „Polska” felieton pod tytułem *O historię naprawdę powszechną*. Ukazał się w wydaniu przeznaczonym dla Zachodu oraz dla Dalekiego Wschodu, gdzie rozpowszechniona jest znajomość języka angielskiego. Najdawniejsza przeszłość - wywodziłem - traktowana jest w sposób niewłaściwy. Cała uwaga czytającego ogółu skupia się na tych samych tematach, nawet krajach. Są nimi: basen Morza Śródziemnego oraz Ameryka Środkowa w dobie podboju hiszpańskiego. O tamtejszych zagadnieniach barwnie opowiadają bowiem utalentowani pisarze. Wiedza o pozostałych starożytnościach kryje się w dziełach specjalistów, którzy dość rzadko dbają o literacką formę swych wypowiedzi. Taka praktyka jest niesłuszna, pora starać się o znajomość historii naprawdę powszechnej, to znaczy pokazującej dorobek wszystkich narodów. Bo dopiero ich suma stwarza całość, pozwala ocenić bogactwo cywilizacji.

W kilka miesięcy później Ministerstwo Spraw Zagranicznych nadesłało mi dwa czasopisma indyjskie - tygodnik i dziennik - wychodzące po angielsku. Oba zawierały przedruk wspomnianego felietonu. Zgadza się zatem nie tylko w Warszawie, że trzeba szerzej oczy otwierać i spojierać wokół, a nie ciągle w jeden i ten sam punkt.

Najdawniejsza, a także znacznie bardziej świeża przeszłość narodów słowiańskich należy niewątpliwie do tematów trwających w cieniu. Już w Polsce wydawało mi się to niesłuszne. Pogląd ten pogłębił się w Bułgarii. Bez poznania ciekawych i pełnych tragicznego uroku dziejów Słowiańszczyzny nie może być mowy o syntezie historii ani europejskiej, ani powszechnej.